

LAVYRLE SPENCER

## SPRAWY RODZINNE

*Nad grobem mym nie stój wśród łkań,  
Ja nie śpię w nim, nie ma mnie tam.  
Ja jestem tysiąc wiatru tchnień  
I śnieżny diament w mroźny dzień,  
Słońce na kłosach zbóż - to ja,  
Łagodny deszcz, jesienna mgła.  
W cichy poranek, gdy budzisz się,  
Ja jestem śmigły w górę pęd  
ptaków, co krążą pośród chmur.  
Ja jestem gwiazd milczący chór.  
Próżny twój płacz nad grobem mym,  
Ja żyję wciąż, nie ma mnie w nim*

*Pamięci naszych ukochanych córek Sary i Beth*

Serdecznie dziękuję Jasonowi Huebnerowi, z komendy policji miasta Anoka w stanie Minnesota, za pomoc w zbieraniu materiałów i pisaniu tej książki.

Jesteś kochany, Mały.

Dziękuję także państwu Dawn i Bobowi Estelle z kwiaciarni Stillwater Floral za informacje na temat handlu kwiatami, które okazały się bardzo pomocne.

## ROZDZIAŁ 1

Christopher Lallek nie oczekiwał od życia niczego więcej. Był dzień wypłaty, miał wolne, jego stary, poobijany chevy nova został gruntownie wyczyszczony, a w salonie Fahrendorff Ford czekał już na niego nowiuteńki ford explorer. Był to ostatni krzyk mody, z czterolitrowym sześciocylindrowym silnikiem w układzie V, z napędem na cztery koła, klimatyzacją, regulowanym nachyleniem kierownicy, odtwarzaczem płyt kompaktowych i skórzanymi siedzeniami. Kolor lakieru nosił nazwę „poziomkowy” i był bardziej ekstrawagancki niż wszystko, co Chris do tej pory posiadał. Jeszcze godzina, a papiery zostaną podpisane i będzie mógł wsunąć się za kierownicę pierwszego w swym życiu nowego pojazdu. Do pełni szczęścia brakowało mu tylko czeku z wypłatą.

Wjechał na parking komisariatu policji W Anoce, zatoczył swym gruchotem półkole i z przyzwyczajenia zaparkował tyłem przy krawężniku, obok dwóch czarnobiałych wozów patrolowych, ustawionych w ten sam sposób w pobliżu drzwi.

Wyskoczył z samochodu, gwizdząc „I've Got Friends in Low Places”, po czym dał radosnego susa na chodnik. Zerknął w niebo przez swoje lustrzane okulary, na wściekle różowym sznurku. Wspaniały dzień. Słoneczny. Kilka białych puchatych chmur na wschodzie. Już teraz, tuż przed południem, było ponad dwadzieścia pięć stopni; do czasu gdy chłopaki zbiorą się nad jeziorem, będzie ponad trzydzieści. Greg miał po drodze sprawdzić, po ile są te wielkie dętki do pływania; Tom przynosi narty wodne, a Jason załatwił na cały dzień ślizgacz swoich starych. Ktoś skoczy po piwo. Chris miał kupić parę zgrzewek wody sodowej, po sześć butelek, do tego salami, ser i może jeszcze trochę śledzi w śmietanie, bo obaj z Gregiem za nimi przepadali. Potem pojedzie nad jezioro nową furgonetką, przy dźwiękach ostatniego kompaktu Gartha Brooksa - hej, żyć nie umierać! Wciąż pogwizdując, otworzył przeszkłone drzwi i wszedł do pokoju odpraw. Przy stole z komputerem stali Nokes i Ostrinski, obaj w mundurach. Rozmawiali o czymś z powagą.

- Co słysząc, chłopaki?

Spojrzeli na niego i umilkli. Patrzyli, jak wsuwa rękę do swojej przegródki na korespondencję, wyciąga stamtąd kopertę i otwiera ją.

- Do licha, nareszcie wypłata! - Odwrócił się na pięcie, zerknął na czek i uderzył nim w dłoń. - Zzieleniejecie chłopaki, mój nowy explorer w końcu dotarł na miejsce. Stoi wypucowany i gotowy do odbioru! Jeśli macie ochotę wyjść na dwór i odprawić ostatnie obrządki nad moja starą nową, to...

Uderzyło go nagle, że żaden z nich - ani Nokes, ani Ostrinski - nie poruszył się. Żaden

się nie uśmiechnął. Nie odezwali się słowem od chwili, gdy tu wszedł. Z pokoju patrolowego wyszło w milczeniu kolejnych dwóch umundurowanych funkcjonariuszy. Byli równie poważni jak dwaj pozostali.

- Murph, Anderson... - powitał ich Christopher, teraz już czujny. Był policjantem od dziewięciu lat. Zbyt dobrze znał tę ciszę, tę powagę, ten bezruch.

- Co jest? - Po kolei obrzucał ich spojrzeniami.

- Złe wieści, Chris - powiedział grobowym tonem jego kapitan, Toby Anderson.

Christopher miał wrażenie, że żołądek opada mu o dwa cale w dół.

- Ktoś zginął.

- Niestety, tak.

- Kto?

Przez dziesięć sekund nikt się nie odzywał.

- Kto?! - krzyknął Chris, czując, jak narasta w nim przerażenie.

- Greg - odpowiedział niskim, ochryłym tonem Anderson.

- Greg! - na twarzy Christophera odmalowało się zdziwienie, potem niedowierzanie. - Chwila. Chyba coś się komuś tutaj pomieszało.

Anderson pokręcił tylko ze smutkiem głową. Nadal patrzył wprost na Chrisa; inni pilnie obserwowali swe buty.

- Ale skąd. On dzisiaj nie ma służby. Wszedł z mieszkania nie dalej jak godzinę temu; miał tu przyjść po czek. Potem wybierał się do banku i do swojej matki, a gdy tylko odbiorę explorera, mamy kupić koło do pływania i pojechać nad jezioro George.

- Nie zginął na służbie. To się stało, kiedy tutaj jechał. Christopher poczuł, jak ta prawda spływa nerwami do jego kończyn, które zaczynają drętwieć. Kręciło mu się w głowie.

- O cholera - szepnął.

- Jakaś furgonetka przejechała czerwone światło i walnęła w nie go czołowo - wyjaśnił Anderson.

Christopher poczuł w środku pustkę. Jego stężałe rysy zdradzały, że nie może pogodzić się z tym, co zaszło. Dzień w dzień miał do czynienia z tragediami, ale pierwszy raz ze śmiercią kogoś ze swojej brygady. W dodatku chodziło o jego najbliższego przyjaciela. Stał, targany sprzecznymi reakcjami: to, co było w nim ludzkie, zalewało go falami ciepła i słabości, ale jako strażnik prawa, zachowywał chłodny, analityczny dystans. Kiedy się wreszcie odezwał, jego nienaturalnie ochryply głos rwał się:

- Jechał motocyklem.

- Tak...

Anderson urwał, wszelkie pytania o szczegóły były niepotrzebne. W krtani Christophera urosła wielka kula, poczuł ucisk w piersiach, kolana zaczęły mu drżeć. Opanował się jednak i zaczął zadawać te same pytania, które by zadał, gdyby Greg był kimś obcym. Prawie nie zdawał sobie sprawy, że na skutek szoku zachowuje się jak zdalnie sterowany automat.

- Kto odebrał telefon?

- Ostrinski.

Oczy Christophera odnalazły natychmiast młodego policjanta, który stał obok, błądy i wstrząśnięty. - Ostrinski? Chłopak milczał. Wyglądało na to, że płakał.

- No, dalej... opowiadaj - naciskał Christopher.

- Przykro mi, Chris, już nie żył, kiedy tam dojechałem.

Ni stąd, ni zowąd pojawił się gorący poryw gniewu. Christopher odwrócił się gwałtownie, odsuwając ze zgrzytem krzesło.

- Do jasnej cholery! - krzyknął. - Dlaczego Greg? - W przyływie wściekłości zaczął obwiniać przyjaciela: - Dlaczego nie pojechał ze mną! Powiedziałem mu, że podrzucę go do matki! Dlaczego musiał brać ten motor?

Anderson i Ostrinski ruszyli ku niemu, chcąc go pocieszyć, ale Chris cofnął się.

- Nie! zostawcie mnie... muszę... zostawcie mnie na minutę. - Odwrócił się od nich, przeszedł dwa kroki, po czym, zatrzymawszy się nagle, znowu zawołał: - Cholera!

Dopał go lęk wzniecony przez dawkę adrenaliny, która dostała się do jego żył. Było mu to gorąco, to zimno; drżał i czuł się tak, jakby jego ciało nie mieściło się w skórze. Jako glina, widział takie reakcje dziesiątki razy i nigdy ich nie rozumiał. Gdy na złe wiadomości ludzie reagowali gniewem, co zdarzało się często, sądził, że są twardzi, a tu raptem jemu przytrafiało się to samo - ten nagły błysk nieopanowanej wściekłości, która sprawiała, że zamiast płakać po stracie przyjaciela, miotał się jak oszalały wojownik.

Gniew odpłynął równie szybko, jak się pojawił. Chris stał wstrząśnięty, było mu niedobrze. Do oczu napłynęły piekące łzy, w gardle czuł ucisk.

- Och, Greg - zawołał dziwnym, skrzekliwym głosem. - Greg...

Koledzy podeszli do niego. Tym razem nie uchylił się, kiedy poczuł na ramionach ich dłonie. Cicho przekazywali mu wyrazy współczucia; w ich głosach także słyhać było emocje. Christopher odwrócił się i nagle poczuł, że obejmują go ręce kapitana Andersona. Wielkie, krzepkie ręce, wyćwiczone w sztuce walki, przyciskały go mocno. Obaj starali się powstrzymać szloch.

- Dlaczego Greg? - zdołał wydusić Chris. - To takie cholernie niesprawiedliwe.

Dlaczego nie jakiś... jakiś handlarz, sprzedający dzieciakom pod szkołą kokę, albo jakiś czuły tatuś, który... leje swe pociechy dwa razy w tygodniu. Do diabła, mamy takich ze stu w kartotekach.

- Wiem, wiem... to niesprawiedliwe.

Po twarzy Christophera popłynęły łzy. Stał w objęciach Andersona, z podbródkiem przyciśniętym do szorstkiego od naszywek kołnierza kapitana. Słyszał, jak tamten, wyższy od niego, przelyka raz po raz tuż przy jego uchu, czuł pokrowiec na kajdanki wpijający mu się w brzuch. Pozostali koledzy stali obok, nie wiedząc, co zrobić czy powiedzieć.

- To był dobry człowiek... - powiedział Anderson - dobry policjant.

- Miał dwadzieścia pięć lat. Do diabła, on właściwie nie zdążył żyć. Kapitan poklepał go po ramieniu i zwolnił uścisk. Christopher opadł na krzesło, zgiął się w pół i zakrył twarz dłońmi. Przypomniawszy sobie, jak tego ranka w mieszkaniu, które wspólnie zajmowali, Greg wyszedł ze swojej sypialni. Jego brązowe włosy sterczały na wszystkie strony, drapał się po piersiach i jak zwykle rzucił Chrisowi kawalerskie powitanie: „Zaraz będę lał jak koń wyścigowy. Z drogi!”

Potem przyczłapał z łazienki do kuchni i stał przez dobre półtorej minuty przed otwartymi drzwiami lodówki, gapiąc się do środka. „To o której masz zamiar odebrać tego explorera?” - zapytał. Sięgnął do środka, wyjął sok pomarańczowy, wypił połowę wprost z kartonu, czknął głośno i wreszcie puścił drzwi, pozwalając im się zamknąć.

On nie umarł! To niemożliwe!

Zaledwie godzinę temu stał przed kredensem w kuchni, zjadając grzanekę. Miał na sobie kąpielówkę i pomiętą koszulkę z napisem: WĄSACZE JEŹDŹĄ ZA DARMO! „Muszę wpaść do mamy - powiedział. - Rozwaliła się jej końcówka od węża ogrodowego. Prosiła, żebym założył nową”.

Greg był zawsze taki dobry dla swojej matki.

Matka Grega... o Jezu! biedna matka Grega. Na myśl o niej Chris poczuł nową falę przerażenia i smutku. Ta kobieta przeszła już w życiu swoje. Nie trzeba jej było jeszcze policyjnego kapelana pukającego do drzwi z takimi wieściami.

Christopher wciągnął z drzeniem haust powietrza, wyprostował się i przejechał ręką pod nosem. Ktoś podał mu kilka szorstkich serwetek z pokoju śniadaniowego. Wysiadał nos i zapytał ochryple:

- Czy kapelan poinformował jego rodzinę?

- Nie - odpowiedział kapitan Anderson.

- Ja chciałbym to zrobić, jeśli można.

- Jesteś pewien, że dasz sobie radę?

- Znam jego rodzinę. Może łatwiej im będzie usłyszeć to ode mnie niż od kogoś obcego.

- W porządku, jeśli czujesz się na siłach.

Chris wstał, zdziwiony, że czuje się tak słaby. Drżał cały - kolana, żołądek, dłonie - szczerkał zębami, jakby wyszedł na mróz.

- Dobrze się czujesz, Lallek? - zapytał Anderson. - Wyglądasz trochę nie bardzo. Może posiedź jeszcze chwilę.

Chris posłuchał rady. Klapnął na krzesło, jakby coś go nagle przestraszyło. Zamknął oczy i kilka razy odetchnął głęboko, tylko po to, by poczuć, że łzy znowu napływają mu do oczu.

- Po prostu tak trudno w to uwierzyć - wymamrotał, ściskając rękoma głowę i potrząsając nią. - Godzinę temu stał w kuchni i jadł grzanekę.

Ktoś dodał:

- A wczoraj, kiedy schodził z dyżuru, mówił, że wybieracie się nad jezioro.

Chris otworzył oczy. Przez łzy zobaczył rozmazaną olbrzymią postać Pete'a Ostrinskiego. Miał zaledwie dwadzieścia pięć lat; po jego twarzy było widać, jak wielki przeżył szok.

- Pete, chłopie, przepraszam cię. Przecież to ty odebrałeś telefon. Ja tutaj beczę, a to na ciebie spadł największy cios.

- Tak - wydusił Ostrinski, ale nie mógł mówić dalej. Odwrócił się, żeby wytrzeć oczy.

Teraz z kolei Chris zaczął go pocieszać. Wstał, zarzucił mu ręce na ramiona i mocno go uściskał.

- Jest już w kostnicy? Ostrinski ledwie mógł mówić.

- Tak, ale nie jedź tam, Chris. W każdym razie nie pozwól jechać jego matce. Jest paskudnie pokiereszowany.

Christopher raz jeszcze przycisnął do siebie Ostrinskiego, po czym bezradnie opuścił ręce.

- To ją zabije.

- Taa... ale matki są twarde.

Ruth Randall, która zajmowała się kartotekami, stała cicho w drzwiach, oparta o framugę; nie wiedziała, co zrobić lub powiedzieć, podobnie jak oni wszyscy. Drzwi od strony parkingu otworzyły się i zamknęły. Do pokoju wszedł kolejny policjant w mundurze.

- Właśnie się dowiedziałem - powiedział Roy Marchek, po czym w zatłoczonym

pomieszczeniu zapadła zupełna cisza. Każda z obecnych osób miała codziennie do czynienia z tragediami i chcąc nie chcąc, zdążyła się do nich w pewnym sensie przyzwyczaić. Ale ta śmierć, śmierć jednego z nich, dotknęła ich o wiele bardziej niż bezosobowe wezwania.

Wejściowe drzwi znowu się otworzyły i pojawił się policyjny kapelan, Vernon Wender. Był to wyprostowany czterdziestoparoletni mężczyzna o rzadziejących ciemnoblonde włosach; nosił okulary w srebrnej oprawie. Przeszedłszy obok Ruth Randall wkroczył do pokoju brygady, pomiędzy mężczyzn. Kapitan Anderson powitał go skinieniem głowy.

- Straciliśmy dobrego człowieka - powiedział Wender stłumionym, pełnym szacunku głosem. - Straszliwa tragedia.

Zapadła głucha cisza, każdy z obecnych zmagał się z własnymi uczuciami.

- Kiedy po raz ostatni rozmawiałem z Gregiem - ciągnął po chwili przerwy kapelan - powiedział mi: „Vernon, zastanawiałeś się kiedyś, jak wielu ludzi nie cierpi swej pracy? Ale nie ja. Uwielbiam być gliną. Dobrze jest krążyć po mieście i pomagać ludziom”. Może wszyscy poczujecie się lepiej, kiedy nad tym pomyślicie. Greg Reston był szczęśliwy. - Wender odczekał kilka sekund, po czym dodał:

- Będę tu przez cały dzień, gdyby ktoś chciał porozmawiać... albo pomodlić się... albo wspomnieć zmarłego. Sądzę, że wszyscy po czujemy się nieco lepiej, jeśli już teraz odmówimy modlitwę.

Słuchając, jak kapelan się modli, Christopher z wolna przestawał rozumieć jego słowa. Myślał o rodzinie Grega, zwłaszcza jego matce, o wstrząsie, jaki ją czeka. Była wdową i miała jeszcze dwoje dzieci - dwudziestotrzyletnią Janice oraz czternastoletniego Joeya - ale na Gregu, jako najstarszym, najbardziej polegała od śmierci swego męża przed dziewięciu laty. „Silna kobieta - mówił o niej Greg wiele razy - najsilniejsza jaką znam... i najlepsza”. Przez całe życie Christopher Lallek nie słyszał, aby ktoś wychwalał swoją matkę tak jak Greg Reston. Stosunki pomiędzy nimi opierały się na wzajemnym szacunku, podziwie i miłości - uczuciach tak pełnych ciepła, że słuchając o nich w ciągu tych kilku lat, odkąd Greg wstąpił do policji, Christopher często czuł w żołądku ucisk zazdrości. Greg mógł dyskutować ze swoją matką o wszystkim: o sporcie, pieniądzu, seksie, filozofii, nawet o zranionych uczuciach, które zdarzają się w najzgodniejszych rodzinach. Tych dwoje rozmawiało ze sobą na o wszystkim, a potem Chris wysłuchiwał relacji Grega. Wiedział o pani Reston więcej niż wielu ludzi o własnych matkach. Z czasem nabrał dla niej podziwu i szacunku, jakich nigdy nie żywił wobec własnych rodziców.

Modlitwa dobiegła końca. Zaszurały stopy. Ktoś wysiąkał nos. Chris wydał z siebie głębokie, drżące westchnienie, po czym rzekł do Wendera :



- Greg i ja mieszkamy... mieszkaliśmy razem. Chciałbym sam powiadomić jego rodzinę.

Kapelan ścisnął jego rękę.

- W porządku, ale czy jesteś pewien, że dobrze się czujesz?

- Dam sobie radę.

Wender opuścił dłoń i z powagą skinął głową.

Na zewnątrz słońce wciąż świeciło jasno. Piekło boleśnie zażawione oczy. Chris zasłonił je okularami i wsiadł do samochodu, prawie nie zauważając, że rozgrzana tapicerką pali go w nagie uda. Uruchomił silnik, ale nie pamiętał o wrzuceniu biegu. Greg tak naprawdę nie umarł. Zaraz zaparkuje obok, podejdzie, oprze się rękoma o drzwi samochodu i powie: „No to spotykamy się nad jeziorem”.

Nie, nie powie!

Już nigdy.

Christopher nie zdawał sobie sprawy z upływającego czasu. Czuł tylko ciężar smutku panujący nad każdym atomem jego istoty. Z ociąganiem wrzucił bieg i wyjechał na ulicę. Od przyziemnych czynności związanych z prowadzeniem auta oddzielał go rodzaj emocjonalnej mgły. Usiłował przypomnieć sobie Grega, zobaczyć twarz przyjaciela, gdy widział go po raz ostatni. Greg wychodził z mieszkania - właśnie! - ubrany jak na plażę, na głowie miał czerwoną czapkę z daszkiem, w jednej ręce trzymał jabłko, a w drugiej klucze. Kiedy otwierał drzwi, przytrzymał jabłko w zębach, potem ugryzł kawałek i powiedział z pełnymi ustami: „No to zobaczymy się za jakąś godzinę”.

Czapka z daszkiem zamiast kasku.

Kąpielówki zamiast dżinsów.

Podkoszulek w miejsce skórzanej kurtki.

Bez skarpetek w brudnych białych butach. Chris zbyt dobrze wiedział, co dzieje się z tymi ofiarami wypadków motocyklowych, którym nie chciało się odpowiednio ubrać.

Zmiażdżone czaszki...

Nagie kości na asfalcie.

Spalona skóra...

Buty, których czasem nie udaje się odnaleźć.

Klakson samochodu przywołał go do rzeczywistości. Łzy przesłaniały mu świat. Posuwał się z szybkością dziesięciu mil na godzinę w strefie, gdzie wymagane było trzydzieści, i właśnie przejechał znak stop, nawet nie zwalniając. Do diabła, nie był w stanie prowadzić. Jeżeli nie będzie uważał, sam za chwilę kogoś zabije.

Otarł oczy rękawem koszuli. Przyspieszył do trzydziestu, usiłując wyrzucić te przerażające obrazy ze swego umysłu. Musi opanować emocje, zanim dotrze do domu pani Reston.

Myśl o niej napełniła go nową falą przerażenia. Matka - Boże wszechmogący, jak mówi się matce takie rzeczy? A zwłaszcza matce, która już utraciła jedno dziecko?

Drugie z jej dzieci zmarło na SIDS - zespół nagłej śmierci niemowlęcej - kiedy Greg był taki mały, że ledwie to pamiętał. Jednak gdy podrośł, rozmawiała z nim o tamtych czasach. Na tym polegała jej filozofia, którą Greg tak podziwiał i starał się naśladować. Uważała, że nic nie jest tak ważne jak szczęście jej małżeństwa i rodziny, byłoby więc niewybaczalne, gdyby podkopywała je, przeciągając żalobę.

Czuła, że ciąży na niej odpowiedzialność, że musi być dobrą żoną dla męża i matką dla syna, który pozostał przy życiu. Aby tak się stało, natychmiast zaszła w ciążę. Urodziła się Janice, siostra Grega, o dwa lata młodsza od niego. W dziewięć lat później urodził się Joey.

Mając lat trzydzieści sześć, matka Grega owdowiała. Jej mąż, którego bezgranicznie kochała, zmarł na tętniaka mózgu po trzydniowym pobycie w szpitalu. Wszelako pani Reston okazała tę samą odporność co poprzednio. Pozostała z trojgiem dzieci, którym była potrzebna, nie miała zawodu, z ubezpieczenia na życie wypłacono jej nędzne dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, ale ona nie chciała pograżać się w smutku i ubolewaniu nad własnym losem. Zwróciła się do konsultanta udzielającego porad w sprawach zawodu, ukończyła kilka kursów, spędziła rok w szkole handlowej, kupiła sobie kwaciarnię i w ten sposób stworzyła podstawy, które pozwalały jej pomagać dzieciom tak długo, jak długo będzie trzeba.

Silna? Ta kobieta była niczym skała Gibraltaru. Ale nawet skały pękają pod zbyt wielkim ciśnieniem.

W skwarze ostatnich dni tego tragicznego czerwca, jadąc do jej domu Christopher Lallek zastanawiał się, jak ma jej powiedzieć o tym, że utraciła kolejne dziecko. Dobrego sposobu po prostu nie było.

Dom pani Reston położony był o jakieś dwie mile od komisariatu. Chris przejechał większą część drogi zupełnie nie zwracając uwagi na to, co go otacza, ale gdy skręcił w Benton Street, stał się czujny i niespokojny. Szeroka aleja ciągnęła się wzdłuż zakola Missisipi, zabudowana była po obu stronach starannie utrzymanymi domkami. Pani Reston mieszkała o kilka przecznic od Ferry Street, a jej dom wychodził na południowy zachód i stał po przeciwnej stronie ulicy niż rzeka. Był to ładny stary dworek, biały, z czarnymi żaluzjami. Po obu stronach wejścia znajdowały się kwietniki z beżowej cegły, pełne kwitnącego na czerwono geranium. Na podwórku rosły okazałe klony; ich korony o doskonale okrągłych

kształtach przypominały lizaki, jakby regularnie przycinał je zawodowy ogrodnik. Wokół ich pni wyrastały z ceglanych kręgów różowe i białe petunie. Trawa była schludnie przystrzyżona, ale w pobliżu krawężnika zaczynała już schnąć. Obrotowy zraszacz kręcił się chaotycznie tam i z powrotem. Kiedy Christopher wjechał na podjazd i zatrzymał się przed wielkim, wolno stojącym garażem, zraszacz bryztał wodą na przednią szybę i opryskał mu lewy łokieć. Drzwi garażu były podniesione. Jedno stanowisko było puste, na drugim stał samochód pani Reston, pięcioletni niebieski sedan marki Pontiac, którego rdzewiejący zderzak ozdobiony był nalepką z napisem:

*KWIATY CZYNIĄ ŻYCIE PIĘKNIEJSZYM.*

Chris wyłączył silnik. Siedział przez chwilę, patrząc w głąb garażu na przedmioty, które wiele mówiły o życiu właścicielki: grabie i motyki, wózek ogrodowy, torba węgla drzewnego; warsztat jej zmarłego męża, nad którym wciąż jeszcze wisiały narzędzia: podczepiony do krokwi stary żółty rower, zapewne własność Grega.

Napłynęła kolejna fala smutku. Chris ścisnął palcami grzbiet nosa; wokół piersi zaciskała mu się niewidzialna pętla. Czuł się, jakby połknął piłkę tenisową.

Niech cię cholera, Greg, dlaczego nie włożyłeś kasku?

Przez chwilę siedział i płakał, niejasno uświadamiając sobie, że pani Reston nie powinna zostawiać otwartych drzwi do garażu; każdy może tam wejść i ukraść, co mu wpadnie w oko. Greg strofował ją za to, ale odpowiadała ze śmiechem: „Znam w tej dzielnicy wszystkich od dwudziestu lat i nikt nie zamyka garażu. Poza tym, kto miałby mi coś ukraść? Kto by miał ochotę na te śmieci, które tam leżą? Jeśli ich strasznie potrzebuje, to niech przyjdzie i sobie weźmie”.

Lecz Christopher był policjantem i wiedział, podobnie jak Greg, jak niebezpieczne może być zostawianie otwartych drzwi. Kto od tej chwili będzie jej przypominał o ich zamykaniu? Kto jej przypomni o wymianie oleju w samochodzie? O założeniu nowego filtra w piecu centralnego ogrzewania? Kto będzie naprawiał jej węże ogrodowe?

Otarł oczy, nałożył z powrotem okulary, po czym zaczerpnąwszy głęboko powietrza, otworzył drzwi samochodu.

Żar asfaltu, z którego wykonany był podjazd, natychmiast przebił się przez podeszwy niebieskich gumowych kłapek. Nagle zdał sobie sprawę, co ma na sobie. Kiedy człowiek przynosi tego rodzaju wieści, nie powinien być ubrany w strój plażowy.

Zapiął trzy guziki u koszuli i gdy obchodził maskę swojego samochodu, ujrzał na podjeździe zwinięty gumowy wąż, u którego Greg miał wymienić końcówkę.

Chris poczuł, że znów wszystko w nim wzbiera niczym wulkan.

Do diabła, czy już zawsze na myśl o Gregu będzie czuł się tak strasznie? Chwilami miał wrażenie, że jego żebra oddalają się od siebie jak dwie części otwierającej się bramy. Od tej pory jego życie będzie serią wspomnień; czy każde z nich będzie ze sobą niosło to potworne uczucie osamotnienia i potrzebę wypłakania się? ' Obszedł zwinięty wąż i ruszył w stronę drzwi frontowych.

Były otwarte.

Stał przez chwilę, patrząc poprzez siatkę przeciw owadom. Zbierał się na odwagę. W środku, w jakimś odległym pokoju, z radia płynęła stara piosenka Neila Diamonda. Hol wejściowy prowadził wprost na tyły domu, gdzie przed rozsuniętymi szklanymi drzwiami stał kuchenny stół. Przeciąg wessał firankę i przycisnął ją do siatki. Dalej widać było taras i wielkie ocienione drzewami podwórze. Chris miał tu być z Gregiem na pikniku z okazji Czwartego Lipca. Teraz spostrzegł kontury innych przedmiotów: bukiet kwiatów na stole, sweter przewieszony przez oparcie krzesła, puszkę jakiegoś napoju i torebkę leżącą na stosie książek, jakby gospodyni właśnie się gdzieś wybierała.

W głębi domu rozległ się, a potem umilkł chłupot wody z kranu. Kobięcy głos zaśpiewał jedną linijkę wraz z Neilem Diamondem, po czym oddalił się, milknąc w drzwiach sypialni po prawej.

Christopher stał w cieniu zadaszenia nad wejściem. Z prawej strony miał kawałek ściany, z lewej z wielkiej donicy wychylało się mocno pachnące geranium. Czarny guzik dzwonka tkwił w dziurkowanej mosiężnej oprawie.

W całym swoim życiu Christopher Lallek nigdy niczego nie bał się tak, jak naciśnięcia tego guzika.

Postanowił zapukać - pukanie wydało mu się jakoś delikatniejsze. Zapukał i czekał, wciąż czując w gardle tenisową piłkę.

Lee Reston zakręciła wodę, przetała kran, odwiesiła ręcznik i przeczesała palcami proste ciemnoblonde włosy. Obserwowała w lustrze, jak wracają na swoje zwykłe miejsce. Czasem myślała o tym, żeby je zapuścić, zrobić z nimi coś, ale nigdy nie lubiła związanego z tym zamieszania. Jej włosy rozdzielały się tam, gdzie się rozdzielały, i spływały na boki, tworząc krótką fryzurę a la Julie Andrews. To wymagające niewiele zachodu uczesanie bardzo jej odpowiadało, przy tym niezłe pasowało do dziecinnych piegów, które prześladowały ją każdego lata. Zacisnęła mocniej węzeł ściskający w talii dzinsową spódniczkę, spojrzała na swoją prostą białą bluzkę, po czym wkręciła w uszy dwa maleńkie złote kolczyki. Zrobiła to tak, jak jej zalecono przed wielu laty, kiedy miała przekłuwane uszy.

Nucąc jakąś linijkę z „Cracklin Rosie”, zgasiła światło w łazience i przeszła do sypialni. Z tubki, która stała na toaletce, wycisnęła na dłoń odrobinę kremu do rąk. Właśnie zaczęła go rozsmarowywać, gdy usłyszała pukanie do drzwi wejściowych.

- Proszę! - zawołała, zerkając na zegarek. Już za pięć dwunasta; w południe miała być w sklepie. No, ale była tam przecież Sylwia, jej siostra, i pilnowała interesu. One dwie nigdy nie rozliczały się co do minuty.

Ruszyła przez pokój dzienny w stronę drzwi frontowych, zastanawiając się, czy będzie musiała kupić nowy wąż gumowy. Greg już trzy razy obiecywał, że to naprawi, ale jak dotąd, niestety, bez rezultatu. Kiedy minęła łuk pomiędzy pokojem dziennym a holem wejściowym, zobaczyła z zaskoczeniem, że na progu stoi przyjaciel Grega, dzielący z nim mieszkanie.

- Christopher! - powitała go z uśmiechem, otwierając drzwi z siatki. - Co tu robisz? Myślałam, że wybieracie się z Gregiem nad jezioro. Proszę wejdź.

- Dzień dobry, pani Reston.

- Jeśli go szukasz, to go tutaj nie ma. Miał dzisiaj wpaść założyć nową końcówkę do węża, ale się nie pokazał. Może jeszcze przyjdzie. Poczekaj, jeśli chcesz.

Chris, błyskając owłosionymi nogami, wszedł do środka w kąpielówkach, jaskrawej pomarańczowo - zielonej koszulce w hawajskie wzory i gumowych kłapkach na bosych stopach. Uniósłszy wzrok, matka Grega zobaczyła swoje zniekształcone odbicie w jego lustrzanych okularach z wściekle różowym sznurkiem zwisającym od ucha do ucha.

Stała przed nim, nadal wcierając w dłonie krem o kwiatowym zapachu, i niecierpliwie myślała o tym, że powinna wyruszać do pracy.

- Wpadniesz do nas czwartego, prawda? To wspaniale. Upieczemy na grillu indyka z czosnkiem. Potem, jeśli będziemy w stanie znieść nawzajem swój chuch, pogramy w siatkówkę. Jak ci się to podoba?

Nie odpowiedział. Bardzo powoli zdjął okulary, tak że zawisły na sznurku. Od razu zauważyła, że płakał.

- Christopher, co się stało? - Zrobiła krok w jego stronę.

Z trudem przełknął ślinę, grdyka opadła jak kostka lodu wrzucona do szklanki z napojem.

- Pani Reston...

Wiedziała to i owo na temat tego młodego człowieka, choć on nie miał pojęcia, jak dużo. Słyszała o jego żalnym dzieciństwie i o rodzicach traktujących go jak błąd, którego nie powinni byli popełnić.

- Christopher... - dotknęła jego ręki, pogodzona z tym, że Sylvia będzie musiała

popracować sama nieco dłużej. - Chcesz porozmawiać?

Odczrząknął, chwycił jej dłonie i uściśnął mocno. Wciąż jeszcze były śliskie od kremu i pachniały kapryfolium.

- Pani Reston, mam straszną wiadomość. - Uznał, że najlepiej powiedzieć od razu, bez przeciągania sprawy. - Zdarzył się okropny wypadek. Greg nie żyje.

Ani wyraz, ani kolor jej twarzy nie uległy zmianie. Oczy też nie zdradzały niczego.

- Greg? - powtórzyła zupełnie normalnym głosem, jakby wiadomość, którą przyniósł, była zbyt dziwaczna, aby dało się w nią uwierzyć.

- Tak mi przykro - szepnął Chris.

Przez bardzo długą chwilę nie poruszała się. Po prostu stała przed nim, podczas gdy świadomość tego, co zaszło, wlewała się w nią falami, zmieniając jej życie. W końcu zakryła obiema dłońmi usta. Jej oczy rdzawego koloru napełniły się łzami i zaczęły połyskiwać jak polerowana miedź.

- Greg... - zdołała powiedzieć piskliwym, zniekształconym głosem.

- Jechał tutaj. Jakiś samochód nie stanął na czerwonym świetle i uderzył w niego. Kiedy nasz wóz patrolowy tam dotarł, już nie żył.

- O mój Boże - szepnęła, opuszczając powoli ręce. - Nie Greg... och, nie, nie Greg.

Zaczęły ją wstrząsać mimowolne spazmy. Ilekroć gwałtownie wciągała powietrze, coś jej w gardle przeskakiwało. Z ust otwartych w niemym krzyku wydobyła się w końcu przeciągła, bolesna sylaba. Christopher chwycił ją w ramiona; czuł, jak okulary wpijają mu się w ciało. Odsunął je i z całych sił przytulił matkę Grega. Jej lament brzmiał żałośnie niczym wysoka, niepewna nuta wygrywana na skrzypcach przez dziecko.

- Nie... nie... nieeeee... - krzyczała tuż przy uchu Christophera z twarzą wzniesioną ku niebu.

Wreszcie, kiedy zdawało się już, że jej płuca pękną z braku powietrza, zaczęła boleśnie płakać. Chris trzymał ją mocno. Stawała się coraz cięższa, aż kolana ugięły się pod nią i zawisła na nim całym ciężarem.

- Nie następne... - jęknęła. - Nie... nie następne.

Serce mu pękało. Musiało pękać, bo czuł, jak coś się w nim rozdyma, naciskając żebra, żołądek, płuca.

- O... on... je... jechał... ż.... żeby... na... prawić... mój... w... w... - nie była w stanie dokończyć słowa.

- Tak - szepnął Chris zduszonym głosem. - Jechał, żeby naprawić pani wąż.

Zaczęła straszliwie drzeć, więc ostrożnie, żeby się nie przewróciła, opuszczył ją na

podłogę. Nagimi kolanami czuł chłód parkietu. Matka Grega wsparła czoło o jego szyję, o nagi trójkąt owłosionej skóry nad idiotyczną hawajską koszulką, do której przyłgnęła, łkając niepowstrzymanie. Kołysała się bezustannie z taką siłą, że za każdym razem popychała go lekko do tyłu.

- Próbo... wał go kie... edyś na... naprawić, a... ale kupi... ił złą końcówkę.

- Wiem... - powiedział Chris. - Wiem... - Gładził jej plecy, cierpiąc z żalu nad nią. Chciałby jej tego oszczędzić, przyprowadzić tu Grega, przynieść tamto zmarłe niemowlę albo sprowadzić męża, który pomógłby jej przejść przez tę próbę. Zamiast tego klęczał tu i najlepiej jak umiał, starał się ją pocieszyć. Nie był jej całkiem obcy, ale też z pewnością nie był przyjacielem - po prostu młodym człowiekiem, którego kilka razy spotkała w przelocie, dla którego była miłą, ponieważ pracował i mieszkał z jej synem.

Klęczeli tak razem, dopóki przód jego koszuli nie przemókł zupełnie. Zaczęły go boleć kolana. Pani Reston nadal szlochała, kołysząc się i lamentując. Chris chwycił jej dłonie, posadził ją na podłodze, oparł o ścianę, potem usiadł obok, obejmując ją ramieniem. Przytulona do jego piersi nie przestawała płakać.

Łkała i kołysała się, aż niebieski dzins jej spódnicy pokryły ciemne plamki.

- Zaraz wrócę - powiedział Chris.

Wsparłszy matkę Grega o ścianę, poszedł poszukać chusteczek. Znalazł w kuchni paczkę i wrócił do pani Reston. Usiadł obok niej, położył jej na kolanach niebieskie, malowane w kwiatki pudełeczko, wyjął trzy chusteczki dla siebie, a trzy kolejne wepchnął w bezwładną dłoń kobiety, opierającej się o ścianę jak pozbawiona mięśni masa. Objął ramieniem, pozwalając się jej wypłakać. Z policzkiem przy jej włosach gładził ją, raz po raz wycierał twarz, zarówno jej, jak i sobie, a zużyte chusteczki rzucał na podłogę.

Ulicą przejechał jakiś samochód. Zraszacz bryzgnął wodą po podjeździe dziesięć razy... piętnaście... dwadzieścia. W zagłębieniu jego ramienia głowa pani Reston wydawała się bardzo gorąca. Jej przedramię przykleiło się do jego skóry.

Wreszcie wydała z siebie rozedrgane westchnienie. Podniosła głowę, przesuując nasadą dłoni po czole. Christopher cofnął rękę, którą ją obejmował. Zastanawiał się, co robić dalej. Matka Grega wysiąkała nos i wyrzuciła chusteczkę.

- O Boże - szepnęła, jakby nie była pewna, czy ma siłę na cokolwiek poza bezwładnym siedzeniem pod ścianą. Nie otwierała oczu, a od czasu do czasu jej ciałem wstrząsało łkanie.

- Gdzie jest Janice?

Spomiędzy rzęs pani Reston popłynęły łzy. Przygryzła wargę, by powstrzymać szloch.

Podciągnęła kolana, objęła je rękoma i wsparła na nich głowę, nie przestając drżeć.

Chris położył jej dłoń na plecach.

- Gdzie ona jest? - szepnął.

- W Sa... an Fraan... Francisco.

- W San Francisco?

- Ze swoją przy... przyjaciółką, K... Kim.

Prawda, Greg wspominał, że jego siostra wybiera się na tygodniowe wakacje.

- A co z Joeyem?

- Joey jest nad... Guli Lake, z Whit... Whitmanami.

- Trzeba ich jakoś zawiadomić.

Pani Reston nadal siedziała zgięta wół, jej ramiona drżały. Chris nie wiedział, jak postąpić: zapomnieć o szczegółach - czy zacząć o nich mówić? pozwolić jej płakać - czy po prostu dać jej spokój?

- Czy pani siostra jest w sklepie? - zapytał.

Matka Grega przytaknęła, nie odrywając twarzy od kolan. Chris przyklęknął obok patrząc na jej potargane włosy ciemnoblonde, z miedzianymi pasemkami.

- Mam do niej zadzwonić i poprosić, żeby tu przyszła i z panią posiedziała?

- N... nie. - Uniosła wreszcie głowę i przetarła oczy otwartymi dłońmi. - Nie. Sama do niej zadzwonię.

Pociągnęła nosem, wzięła pudełko z chusteczkami, i zaczęła niepewnie wstawać. Kiedy wsparła się na piętach, Chris wyciągnął rękę, żeby ją podtrzymać. Podniósł się razem z nią i czekał, nie puszczając jej. Pani Reston pochyliła głowę i jeszcze raz wytarła oczy.

Wreszcie rzuciła mu wymuszony, niepewny uśmiech. Nie odwzajemniając go, Christopher otoczył ją ramieniem i poprowadził powoli do kuchni. Telefon stał na szafce, ale stół wydawał się teraz bezpieczniejszy. Odsunawszy krzesło, Chris pomógł jej usiąść; potem sam usiadł obok, na krześle ze swetrem przewieszonym przez oparcie. Torebka, coca - cola i książki wciąż leżały na blacie - niczym wspomnienie szczęśliwej, zwyczajnej codzienności, którą tak nagle przerwał.

- Nie musimy jeszcze do nikogo dzwonić. Spokojnie.

Pani Reston podparła głowę dłonią i spojrzała w stronę przesuwanych drzwi, gdzie firanka nadal łopotała w ciepłym letnim powietrzu. Chris czekał w milczeniu, tak bardzo przejęty jej smutkiem, że na chwilę zapomniał o własnym.

- Czy muszę tam iść i go zidentyfikować? - zapytała, odwracając ku niemu obrzmiałą od płaczu twarz.



- Nie. Wystarczyło jego prawo jazdy.

Zamknęła oczy i westchnęła z ulgą, potem otworzyła je znowu i zapytała: - Widziałeś go?

- Nie.

- A chcesz zobaczyć?

- Nie wiem.

- Bardzo był pokiereszowany?

- Nie pytałem. - Biorąc rzecz dosłownie, była to prawda. Nie pytał.

- Jechał samochodem?

Chris wstał i zajął do trzech szafek, zanim wreszcie znalazł szklanki. Napełnił jedną lodem z zamrażalnika, po czym wrócił do stołu. Otworzył puszkę, nalał do szklanek coli i podał ją pani Reston.

- Czy jechał samochodem? - powtórzyła spokojnie, ale z naciskiem, gotowa przejść do następnego kroku.

Christopher stanął przy przesuwanych drzwiach zwrócony do niej plecami. Rozstawił szeroko nogi i wbił palce stóp w niebieską porowatą gumę swoich kłapek.

- Nie. Motocyklem.

Po krótkim milczeniu, kiedy ta informacja do niej dotarła, pani Reston wydała kilka krótkich, stłumionych, urywanych dźwięków swoim wysokim, przywodzącym na myśl skrzypce głosem. Chris odwrócił się i zobaczył, że nie tknęła napoju, tylko siedzi z łokciami na stole, ukrywając twarz w dłoniach. Podeszedł i położył jej ręce na karku, aby wiedziała, że on tam jest, aby poczuła dotyk kogoś, kto też się przejmuje.

- Wcale nie musi go pani widzieć. Co by to dało?

- Nie wiem... Muszę... Jestem jego m... matką... Boże, Boże, Boże...

- Powinien tu być ktoś z pani rodziny. Czy mam zadzwonić do pani siostry... albo do matki?

- Ja... zadzwonię. - Wytarła twarz, opanowała się i ze znużeniem wstała, wspierając się oburącz na blacie.

Chris patrzył, jak matka Grega wchodzi pomiędzy ustawione w podkowie szafki roboczej części kuchni, a potem podnosi biały telefon. Przez piętnaście sekund ze słuchawki dolatywał sygnał centrali, po czym pani Reston, nie wybrawszy numeru, odłożyła ją na widelki i zgięła się wpół nad blatem.

Podeszedł do niej natychmiast.

- Ja zadzwonię. Do kogo?

Wydawała się niezdolna do podjęcia jakiegokolwiek decyzji.

- Nie wiem - wydusiła z siebie, znowu zaczynając płakać. - N... nie wie... wiem. Nie chcę im o tym... mówić.

- Proszę - Chris odprowadził ją z powrotem do stołu. - Niech pani usiądzie, a ja się wszystkim zajmę. Gdzie jest książka telefoniczna?

- Taam... w szufla... adzie.

W drugiej szufladzie, do której zajrzał, znalazł jej notes z numerami. Odszukał telefon do kwiaciarni. Kiedy stukał w guziki aparatu, pani Reston patrzyła na niego przez ramię. Usta zasłaniała sobie niebieską chusteczką higieniczną, a z jej zaczerwienionych oczu płynęły łzy.

- Kwiaciarnia, słucham - rozległ się kobiecy głos.

- Czy to pani Enid? - zapytał Chris. - Tak, słucham.

- Jest pani sama czy z kimś? Jej głos stał się podejrzliwy.

- Kto mówi?

- Przepraszam, Christopher Lallek, przyjaciel pani siostrzeńca, Grega Restona. Jestem teraz w domu pani siostry i obawiam się, że mam dla pani bardzo złe wieści. Greg zginął w wypadku motocyklowym.

Wyobraził sobie, jak pani Eid otwiera szeroko usta i opada na krzesło.

- O mój Boże - szepnęła wreszcie.

- Przepraszam, że mówię to tak brutalnie. Jest ktoś z panią? Kobieta po drugiej stronie zaczęła płakać, zakrywając słuchawkę dłonią. W ciągu całej rozmowy Chris nie spuszczał z oka pani Reston, która wstała teraz z krzesła, okrążyła szafkę i wzięła od niego słuchawkę.

- Sylvia?... Och, Sylvio... wiem... o Boże... tak... nie, nie... żadnego nie ma... tak... o tak, proszę... dziękuję ci.

Znowu potrzebowała jego ramion i kiedy tylko odłożyła słuchawkę, wtuliła się w nie natychmiast.

- Jedzie tu - powiedziała, przywierając do niego.

Stali w kuchni, czekając na jej siostrę, a w pamięci Christophera utrwał się zapach szamponu pani Reston. A także inne wrażenia: kąt, pod jakim promienie popołudniowego słońca przesączały się przez drzewa na tyłach domu; sposób, w jaki łopotąła firanka; dalekie parskanie włączonej kosiarki; zapach świeżo skoszonej trawy; widok bukietu kwiatów, który to rozmazywał się, to wyostrzał, to znowu rozmazywał, w miarę jak w oczach Chrisa pojawiały się i znikaly łzy; pospolite ogrodowe kwiaty, których nazw nie znał; zdjęcie Grega wetknięte za ramkę jakiejś grafiki, która wisiała na pokrytej niebieską tapetą ścianie; strużki skroplonej wody ściekające po ściankach szklanki z colą tak samo, jak łzy ściekały po twarzy

matki Grega; dzinsowa spódnica ocierająca się o jego nagie nogi; jej gorąca twarz przyklejona do boku jego szyi, koszula przylepiona do ciała przez łzy obojga; na drzwiach lodówki kartka z napisem: „Dać Gregorowi resztę lazanii”, oraz druga, przypominająca: „Janice, NW Lot 75, 1:35”; nie milknące brzęczenie kosiarki; radio wygrywające tęskną piosenkę Vince'a Gilla „When I Cali Your Narne”...

- Och, on uwielbiał tę piosenkę - szepnęła matka Grega zbolalym głosem.

- Tak, wiem - odparł Chris. - Puszczal ją przez cały czas. - Obaj kochali to nagranie, obaj mieli odtwarzacze kompaktowe.

Kiedy uświadomili sobie, jak wiele w nadchodzących dniach, miesiącach i latach będzie takich drobiazgów przypominających Grega, znowu wezbrał w nich smutek. Usłyszeli zajeżdżający samochód i oderwali się od siebie. Na czole pani Reston, w miejscu gdzie dotykało ono szyi Chrisa, widniała owalna czerwona plama, przekreślona ciemniejszą pręgą odcisniętą przez jadowicie różowy sznurek jego okularów. Na chodniku rozległy się kroki. Drzwi frontowe otworzyły się, Lee pobiegła ku nim, a Chris odprowadził ją wzrokiem. Zobaczył pełne żalu powitanie, pierwsze z wielu, jakich miał być świadkiem w ciągu nadchodzących dni. Ujrzał w jej oczach łzy i z trudem przełknął własne.

- Och, Lee...

Usłyszawszy jej imię wymówione z takim współczuciem, pomyślał: „To za dużo jak na jedną kobietę: maleńkie dziecko, mąż, a teraz dorosły syn”.

- Dlaczego, Sylvio, dlaczego? - jęknęła pani Reston.

A jedyna odpowiedź, na jaką mogła się zdobyć jej siostra, brzmiała:

- Nie wiem, kochanie, po prostu nie wiem.

- Och, Greg... - to słowo wydarło się z ust Lee Reston jak lament, bolesne wołanie do ukochanego syna, który nigdy już nie usłyszy swojego imienia.

Stojąc tak, słuchając i patrząc, Christopher Lallek czuł, jak jego osamotnienie pogłębia się z każdą chwilą. Miał trzydzieści lat, ale po raz pierwszy doświadczał na własnej skórze prawdziwego smutku. Porażało go, że czuje się aż tak zagubiony i niepewny. Wobec straszliwej nieodwracalności śmierci wszystkie jego dawne problemy wydawały się błahe i bez znaczenia. Ta nieuchronna i potężna siła odzierała człowieka z woli myślenia, działania, pozbawiała wszelkiej siły.

Skoro tak czuł się on, to co musiała czuć matka?

Pani Reston oderwała się od siostry i Sylvia Eid zobaczyła Chrisa, który stał niepewnie obok. Mimo łez zdołała powiedzieć: - To pewnie Christopher - i oto stwierdził, że tuli do siebie tę dziwną kobietę z czułością, której jeszcze wczoraj nie podejrzewałby u siebie.

On, który trzymał ludzi na dystans, który nie bywał wylewny wobec nikogo, a zwłaszcza wobec obcych, obejmował kobietę, z którą zamienił dotąd ledwie kilka słów.

Przekazawszy sobie w ten sposób wyrazy pociechy, zwrócili się do osoby, która bardziej niż oni potrzebowała otuchy. Objęli Lee, wzięli ją pomiędzy siebie i zaprowadzili na kanapę w saloniku, miejscu raczej dziwnym jak na południe dnia powszedniego, ale chyba stosownym do sytuacji. Pani Reston ścisnęła rękę siostry, powtarzając słowa, których w ciągu nadchodzących trzech dni Christopher miał wysłuchiwać wciąż na nowo:

- On... on jechał tu, żeby... żeby założyć nową końcówkę do węża ogrodowego.

Dlaczego słysząc to Chris znowu poczuł w oczach łzy? Ponieważ przypomniały mu, jak beztrąsko jeszcze przed godziną uznawał życie za coś pewnego? jak bardzo Greg troszczył się o matkę? Czy dlatego, że była to jedna z tych zwykłych, codziennych rzeczy, które znacznie lepiej niż słowa wyrażają miłość i przywiązanie?

Kiedy kobiety zdołały się nieco uspokoić, Sylvia zapytała:

- Jak się dowiedziałas?

- Od Christophera. Przyszedł tu, żeby mi powiedzieć. Sylvia spojrzała na niego zapuchniętymi od płaczu, zaczerwienionymi oczyma.

- A pan jak się dowiedział?

- Ja... - musiał odchrząknąć, żeby móc mówić dalej. - Przyszedłem na komisariat, żeby zabrać czek z wypłatą, i wtedy mi powiedzieli.

Pani Reston uniosła ku niemu oczy pełne łez. Ścisnęła mocno jego dłoń.

- Jaki to musiał być dla ciebie straszny wstrząs. A potem jeszcze musiałeś... przyjść tutaj i zawiadomić mnie.

Kiedy Chris spojrzał na jej rękę zaciśniętą na swojej, raz jeszcze przeżył wszystko od nowa. Zdołał się jednak opanować. Dłoń nie zaczęła mu drżeć, a oczy pozostały suche. Wplótł swoje palce pomiędzy jej i szepnął ochryple:

- On panią tak diabelnie kochał.

Lee Reston zamknęła oczy, próbując nie rozkleić się znowu, potem otworzyła je, odsłaniając rdzawego koloru, pełne łez źrenice.

- Dziękuję - szepnęła, wciąż ściskając jego dłoń.

Kiedy tak siedzieli połączeni smutkiem i wzajemnym współczuciem, wytworzyła się pomiędzy nimi jakaś trudna do określenia więź. On dawał jej to, czego potrzebowała, aby przetrzymać następną godzinę. Ona wiedziała, że przybycie tutaj i przekazanie tej wiadomości było dla niego najtrudniejszym z zadań.

- Gdyby pani czegokolwiek potrzebowała... zjawię się natychmiast - obiecał, a

obietnica ta była równie szczerą jak przyjaźń, jaką darzył jej syna, i rozpacz po śmierci Grega.

- Dziękuję, Chris - powiedziała, po czym ścisnęła mu dłoń jeszcze mocniej, po raz pierwszy doceniając w pełni jego obecność i przyznając sama przed sobą, jak kojąco działała na nią obecność mężczyzny. Wiedziała z całą pewnością, że w ciągu straszliwych dni, które ją czekają, będzie dzwoniła do niego wiele razy.

## ROZDZIAŁ 2

Lee Reston miała wrażenie, że porusza się w jakimś urojonym świecie. Chwilami pogrążała się w smutku tak głęboko, że była w stanie tylko płakać, to znów, kiedy stawiała wobec kolejnego straszliwego i nieuniknionego obowiązku, działała jakby z zewnątrz siebie samej.

Trzeba zadzwonić do Janice.

- Janice... - wystarczył sam dźwięk tego imienia, żeby po twarzy Lee popłynęły łzy. Nie chciała rozbijać świata córki choćby o jedną chwilę wcześniej niż to było konieczne.

- Ja zadzwonię do Janice - zaproponowała jej siostra.

- Dziękuję, Sylvio, ale powinna to usłyszeć ode mnie.

- Och, Lee, dlaczego się na to narażasz?

- Jestem jej matką. Ja to zrobię.

Lee Reston wykazywała czasem tak silne zdecydowanie, że dziwiło to nawet ją samą. Uciec w omdlenie, osunąć się w bezwładny niebyt - to zupełnie nie leżało w jej naturze. Zawsze stawiała czoło wyzwaniom i tak miało pozostać. Była przy niej Sylvia i ten młody człowiek, Christopher. Mogła liczyć na ich wsparcie, więc musiała robić to, co było do zrobienia.

Pozwoliła jednak, by Sylvia wybrała numer. Kiedy podniosła słuchawkę, ręka jej drżała, a nogi się uginały, jakby były z gumy. Ktoś podsunął jej krzesło. Opadła na nie z wdzięcznością.

Głos Janice, o zgrozo, był pełen radości.

- Mama, cześć! Co za niespodzianka. Jeszcze pięć minut, a byś nas nie zastała. Idziemy na Nabrzeże Fishermana!

„Och, Janice, kochana córeczko, tak bardzo bym chciała nie robić ci tego!... „

- Kochanie, muszę cię prosić, żebyś wróciła do domu. Mam bardzo smutną wiadomość. Janice, tak mi przykro... zdarzył się okropny wypadek. - Na myśl, że wypowie te słowa, ogarnęło ją przerażenie, jakby miała je usłyszeć po raz pierwszy, a do tego poczucie nierzeczywistości: nie ona będzie mówić, lecz ktoś inny, obcy. - Greg nie żyje.

- Och, nie... nie... nieeee... Mamo... O Boże... nie...

Lee ścisnęła słuchawkę w obu dłoniach. Chciała być przy Janice, objąć ją, przytulić, pomóc jej przez to przejść, ale dzieliło je dwa tysiące mil, mogła więc tylko słuchać szlochu córki.

- Nie, to nie może być prawda!

- Och, Janice, kochanie, tak bardzo bym chciała być z tobą! - W ciągu tej strasznej rozmowy Lee niejasno zdawała sobie sprawę z tego, że Sylvia otacza ją ramieniem, a obok stoi Chris.

- Janice, musisz zła... złapać pierwszy sa... samo... - Wybuchnęła płaczem, który starała się stłumić, by córka nie słyszała. Sylvia objęła ją mocniej, a Chris przejął słuchawkę.

- Janice, mówi Christopher Lallek. Jestem z twoją matką i ciotką Sylvia. Przykro mi... wszyscy jesteśmy wstrząśnięci.

Szloch załamywał i zniekształcał głos dziewczyny. Chris odpowiadał na jej pytania - te trudne, których jej matka nie powinna słyszeć. W końcu powiedział:

- Janice, daj mi do telefonu Kim. - Zdając sobie sprawę, że wstrząs wytrącił siostrę Grega z równowagi, sprawy związane ze zmianą rezerwacji samolotu wolał omówić z jej przyjaciółką. Poprosił ją, by oddzwoniła, powiedział, że będzie na lotnisku i sam odbierze Janice. Ustaliwszy to, oddał słuchawkę pani Reston i słuchał bolesnego pożegnania matki z córką.

- Janice?... Tak... ja również... Proszę, pośpiesz się.

Po odłożeniu słuchawki Lee była wyczerpana. Mimo to powiedziała:

- Może teraz zadzwonię do Joeya i będę to miała za sobą.

- Pozwól, że ja to zrobię - błagała szeptem Sylvia. - Proszę.

- Nie, Sylvie Ten telefon muszę wykonać ja. I do zakładu pogrzebowego też. Potem ty i Christopher zrobicie resztę.

Okazało się jednak, że rodzina Whitemanów jest nieuchwytna. Było gorące letnie popołudnie, zapewne pływali po jeziorze.

- Będziemy próbować dalej - powiedziała Lee.

Patrzyła na telefon, który wydawał się zarówno przyjazny, jak i wrogi. Przechodziła już przez to, wiedziała, co należy zrobić, a jednak nie chciała ponownie podnosić słuchawki, aby zlecić człowiekowi, który zajmował się zwłokami, opiekę nad ciałem jej syna. Dobry Boże... na motocyklu. Ten obraz uderzył w nią z całą mocą, ale wepchnęła go za wspomnienie roześmianego, krzepkiego Grega, który zjeżdżał motorem z podjazdu, unosił na pożegnanie rękę i wołał: „Dzięki za wspaniałą wyżerkę, mamuś. Nieziemski z ciebie kucharka!”

Pojawiły się inne wspomnienia - z dnia, kiedy umarł Bill, z chwili śmierci ich trzymiesięcznego syna, Granta. Wzdrygnęła się i przywołała obraz dwójki pozostałych dzieci. „Mam szczęście - pomyślała. Jeszcze oni mi zostali. „ Będę dla nich silna. Wciąż myśląc o nich, wybrała na tarczy telefonu numer zakładu pogrzebowego. Dawała sobie radę, dopóki nie

padło pytanie:

- Gdzie on jest?

Rzeczywistość spadła nagle i zmiażdżyła ją swym ciężarem.

- Jak to... gdzie? - powtórzyła, nerwowo spoglądając dookoła, jakby spodziewała się, że odpowiedź jest zapisana na ścianach. - Ja... ja nie... o Boże...

Christopher natychmiast odebrał od niej słuchawkę.

- Mówi Christopher Lallek z komisariatu w Anoce, przyjaciel zmarłego - rzekł spokojnym, rzeczowym tonem. - Czy mogę odpowiedzieć na pańskie pytania?

Słuchał przez chwilę, po czym ją! wyjaśniać:

- Kostnica Szpitala Miłosierdzia... Dzisiaj, o dziesiątej trzydzięci... Wypadek motocyklowy... Tak... Tak, sądzę, że tak... 910 - 8510... Wyznania luterańskiego... Tak, a jeśli ona nie będzie miała, to mamy w komisariacie... Jeśli to niczego nie skomplikuje, to chyba potrzebuje czasu na podjęcie tej decyzji. Część rodziny nie została jeszcze powiadomiona... Tak, jutro byłoby lepiej... Sądzę, że o dziewiątej będzie w sam raz. Dziękuję, panie Dewey.

Odłożywszy słuchawkę, Chris zapisał w leżącym obok notatniku nazwisko i numer Waltera Deweya, po czym powiedział do Lee:

- Oczywiście musi się z nim pani spotkać, ale to może być jutro. Umówiłem panią na dziewiątą. Na razie nie musi się pani przejmować innymi sprawami. On wszystko załatwi.

- Greg jest już w kostnicy?

- Tak. W Szpitalu Miłosierdzia. Kiedy nasz komisariat przyjmuje zgłoszenie o wypadku, ofiary są zabierane właśnie tam. Pan Dewey zajmie się wszystkim.

Lee znowu zdała sobie sprawę, jak bardzo się cieszy, że ma tu Christophera Lalleka. Pewnie i on nie otrząsnął się jeszcze z szoku, ale dobrze to ukrywał: podejmował się nieprzyjemnych zadań, tak jakby to zrobił mąż, gdyby jeszcze miała męża... albo jak dorosły syn. Ilekroć była o krok od kolejnego załamania, włączał się samorzutnie i ratował ją z opresji. Odnosiła wrażenie, że w pewnym stopniu zastępuje jej Grega - nie tylko dlatego, że był mężczyzną, ale też najlepszym przyjacielem syna.

Zostawiła Sylvie i podeszła do niego:

- Dziękuję, Chris - powiedziała, kładąc dłonie na krótkich rękawach jego jaskrawej hawajskiej koszuli. - Przepraszam, że tak się rozsypałam i obarczyłam cię wszystkim.

- Ma pani prawo czuć się kiepsko. To jeden z najgorszych dni w pani życiu.

- I w twoim także - rzekła ze zrozumieniem.

- Tak... pewnie. Ale... - zerknął na notki przyczepione do drzwi lodówki - Greg chyba chciał, żebym pani pomógł najlepiej jak mogę, więc jeśli nie ma pani nic przeciwko



temu, zostaną jeszcze.

Przytuliła go mocno i wtedy usłyszeli nawzajem, jak każde przelyka swoją porcję żalu. Lee pogładziła go po plecach i przez ułamek sekundy miała wrażenie, że znowu trzyma w ramionach Grega.

Zadzwonił telefon.

Sylvia podniosła słuchawkę. Patrzyli na nią w napięciu.

- Tak, Kim. Linie Northwest, trzecia pięćdziesiąt sześć... siódma pięćdziesiąt dziewięć.

- Zapisała dane, po czym przez chwilę słuchała.

- Strasznie mi przykro, że masz zepsute wakacje, ale to bardzo miło, że wracasz z nią. Jestem pewna, że potrzebne jej będzie twoje wsparcie.

- Po kolejnej przerwie dodała: - Tak, siódma pięćdziesiąt dziewięć. Nie jestem pewna, kto z nas będzie na lotnisku, ale ktoś przyjedzie. Proszę, powiedz jej, że matka czuje się dobrze. Jesteśmy z nią, ktoś tu będzie przez cały czas... Tak. Tak. W porządku, to na razie.

- Odłożywszy słuchawkę, powiedziała: - Kim wraca razem z Janice, więc postaraj się nie martwić, Lee.

To był tylko pierwszy z wielu telefonów. Popołudnie płynęło powoli. Okazywało się, że ta niespodziewana śmierć wymaga zaskakująco wielu rozmów telefonicznych. Sylvia i Christopher przeprowadzili je na zmianę: do męża Sylvi, Barry'ego, który pojawił się w piętnaście minut po otrzymaniu wiadomości; do rodziców Lee, którzy dowiedziawszy się o wypadku, zaczęli straszliwie szlochać i trzeba ich było długo uspokajać, zanim dało się kontynuować rozmowę; do najbliższej sąsiadki i przyjaciółki, Tiny Sanders, która również zjawiła się natychmiast; do kwiaciarni. Kilkakrotnie dzwonili do Whitmanów, ale wciąż nikt nie odpowiadał.

Dom zaczął wypełniać się ludźmi. Przyszły sąsiadki, pytając, w czym mogą pomóc, Sylvia zaczęła więc podawać im telefony, pod które miały zadzwonić. Kiedy zapisywały nazwiska i numery, Lee naraz odwróciła się, uniosła głowę i zdążyła nawet otworzyć usta, aby zapytać: „Czy ktoś już zawiadomił Grega?” Tak jakby to był najzwyczajniejszy dzień. Przerazona, powstrzymała się w ostatniej chwili przed wygłoszeniem tego pytania, a wtedy realność śmierci syna uderzyła ją na nowo. Stała otoczona kobietami wertującymi książkę telefoniczną i zastanawiała się, jak to możliwe, że już nigdy nie zobaczy, jak jej syn wchodzi do tej kuchni, otwiera drzwi lodówki, by poszukać czegoś dobrego. Nigdy nie będzie na jego ślubie, nie zobaczy jego dzieci. Czy to naprawdę możliwe, że powodem tego całego zamieszania jest jego śmierć?

Ktoś przyniósł ogromny ekspres i dom wypełnił się zapachem świeżo parzonej kawy.

Ktoś inny podrzucił paterę z pokrojonymi w kawałki owocami, potem pojawiło się ciasto. Przyjechali rodzice Lee, którzy bardziej sami potrzebowali pociechy, niż byli w stanie jej udzielić. Matka Grega przyłapała się na tym, że stara się ich pokrzepić, choć jej samej tak bardzo byłyby potrzebne słowa otuchy. Lecz dla nich ta wiadomość była całkiem świeża. W pewnej chwili, trzymając swą matkę w ramionach, czując, jak szloch starszej pani wstrząsa nimi obiema, Lee pomyślała: „Muszę stąd wyjść! Nie zniosę tego ani minuty dłużej!” Ale wtedy drzwi się otworzyły i wszedł ktoś nowy, ktoś, kto także musiał wylać pierwsze łzy na ramię Lee, zamknąć ją w rozpaczliwym uścisku.

Pośród tego narastającego jazgotu żałobników Christopher odszukał ją i powiedział cicho:

- Pani Reston, mam na linii Joeya.

Serce zaczęło jej łomotać, ręce i nogi zrobiły się nagle ciężkie jak z ołowiu. Poszła posłusznie w stronę telefonu, a on ruszył za nią. Stał obok, zwrócony do niej plecami, jakby chciał ją osłonić przed innymi, kiedy będzie wypełniała ten rozdzierający serce obowiązek.

- Joey?

- Cześć, mam, co się stało? Dlaczego Chris do mnie zadzwonił?

- Joey, kochanie, to najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek miałam ci do powiedzenia. Chodzi o...

Przerwała, aby się uspokoić, a wtedy chłopiec zawołał głosem, w którym pobrzmiwała panika:

- Czy ktoś jest ranny, mam? Coś z Janice?

- Nie chodzi o Janice, Joey... chodzi o Grega.

- Grega? - zapiszczał chłopak dyszkantem. - Co się stało?

- Miał wypadek na motorze, kochanie.

- Och - jęknął cichutko Joey.

- On nie żyje, synku.

Chłopiec milczał bardzo długo. Kiedy się znowu odezwał, jego głos brzmiał tak jak przed rokiem, gdy zaczynał przechodzić mutację:

- Nie żyje? Ale... ale jak to możliwe?

- Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale taka jest prawda. To się stało dziś rano.

- Ale... ale miał mnie w przyszłym tygodniu zabrać z chłopakami do Valley Fair.

- Wiem, kochanie, wiem.

- O, Jezuu, mam... - Próbował nie płakać, lecz piskliwy głos i urywane zdania zdradzały go. - To niesprawiedliwe.

- Wiem, Joey - szeptała Lee.

- Jak my sobie damy radę bez niego?

- Damy sobie... zobaczysz. Będzie nam ciężko, ale nadal mamy siebie. I mnóstwo ludzi, którzy nas kochają. Jest tu teraz ze mną ciocia Sylvia i dziadek z babcią, i mnóstwo sąsiadów, i Christopher, a Janice przyjeżdża dziś wieczorem. Ale ciebie też tu potrzebuję, dobrze?

- Dobrze - wydusił z ogromnym trudem.

- Skarbie, wszystko będzie dobrze. Zobaczysz. Przetrzymamy to.

- Dobrze. Pani Whitman chce z tobą mówić.

Głos, który rozległ się w słuchawce, był pełen przerażenia.

- Dobry Boże - powiedziała pani Whitman. - Wyjeżdżamy natychmiast. Przywieziemy Joeya do domu najszybciej jak się da. Och, Lee, tak mi przykro.

Odłożywszy słuchawkę, matka Grega wytarła oczy. Chris nadal odgradzał ją od reszty pokoju. Odwrócił się do niej i rzekł:

- To było diabelnie trudne.

- Tak.

- Czy ktoś ma po niego pojechać?

- Nie. Przywiozą go tutaj.

- Jest pani pewna? Bo mogę go odebrać. Chętnie to zrobię. Lee poczuła ogromną wdzięczność. Dotknęła jego ramienia.

- Wiem, ale nie potrzeba. Oni już wyjeżdżają. Ale będę ci bardzo wdzięczna, jeśli pojedziesz po Janice i Kim. Chris ujął jej dłoń i uściśnął mocno.

- Pojadę, oczywiście.

- Bo gdybym ja pojechała odebrać Janice, mogłoby mnie tu nie być, kiedy przyjedzie Joey, i... - czuła, że za chwilę znowu się rozplacze.

- Proszę już nic nie mówić - pomógł jej Christopher. - Będę na lotnisku. Jak się pani czuje? Wszystko w porządku? Może podać kawę albo coś do zjedzenia?

- Nie, dziękuję, Chris. Ale ty coś zjedz.

- Nie przelknąłbym ani kęsa. Nie mógłbym.

Było późne popołudnie. Sąsiedzi zaczęli znosić ciepłe dania, kanapki i sałatki. Drzwi frontowe otwierały się bezustannie, w całym domu słychać było gwar. W pewnej chwili do kuchni weszła Sylvia.

- Lee, przyszedł Lloyd - powiedziała.

- Lloyd... Och, Lloyd.

Pani Reston natychmiast ruszyła w stronę holu, w którym właśnie pojawił się jej teść. Włosy miał równie srebrne jak oprawki okularów, był średniego wzrostu; robił wrażenie niezwykle schludnego. Lee nie spotkała dotąd człowieka o tak łagodnej twarzy. W jego rysach nawet smutek wydawał się pełen uprzejmości.

- Lee... - powiedział tylko.

Oboje przeżywali na nowo dzień, gdy razem boleli nad śmiercią Billa, jego syna. To dziwne, jak bardzo Lee kochała teścia. Bardziej niż własnego ojca. Przy nim czuła się swobodniej, mogła rozmawiać szczerzej, mogła odsłaniać przed nim duszę. To nie był Bill - nigdy, nawet przez pomyłkę nie brała go za Billa - lecz w ramionach Lloyd Restona czuła się bliżej swego męża. Miała wrażenie, że Bill jest tuż obok, że stara się ją wesprzeć.

- Życie jest pełne smutku - szepnął Lloyd - a my dostaliśmy już swoją porcję, prawda, maleńka? Ale to też przetrzymamy. Wiemy, że tak, bo przeszliśmy już przez to kiedyś.

Kiedy oderwał się od niej, miał łzy w oczach i na policzkach, ale nie okazywał smutku jak jej rodzice. Lee poczuła, że ją to uspokaja.

- Czy dzieci już wiedzą?

- Tak. Jadą do domu.

- To dobrze. - Uścisnął ją raz jeszcze. - Poczujesz się lepiej, kiedy z tobą będą. Czy nie za dużo tu ludzi? Nie przytłaczamy cię?

- Nie. Wszyscy chcą dobrze. Musieli się tu zebrać, bo ich także to przeraża. Chociaż to nie był ich syn, zdają sobie sprawę, że któregoś dnia ich może spotkać to samo. Niech zostaną.

Nadszedł pastor, Ahldecker. Kiedy składał jej wyrazy współczucia, matka Grega zobaczyła przez drzwi z siatki, że przed domem stoi samotnie Christopher i wyłącza spryskiwacz, który przez cały dzień podlewał jedno miejsce. Zwinął wąż i wsunął go pomiędzy krzewy przy wejściu. Powoli, ze spuszczoną głową wykonywał metodyczne ruchy. Po twarzy płynęły mu łzy.

Ta pełna smutku samotność bardzo ją poruszyła. Zbierając w dłoń kolejne zwoje węża, pozwalał sobie na łzy, które powstrzymywał w domu, gdy starał się ją wesprzeć. Bezbłędnie wyczuwał, kiedy jest jej potrzebny, a teraz Lee mogła odwzajemnić tę troskę.

- Proszę mi wybaczyć, pastarze. Zaraz wrócę.

Wyszedłszy na zewnątrz, cicho zamknęła siatkowe drzwi. Podeszła do niego od tyłu, objęła go ramionami, przytuliła dłonie do jego piersi, na których wciąż jeszcze wisiały okulary przeciwsłoneczne, i przywarła policzkiem do jego pleców. Popołudniowe słońce rozgrzało koszulę Chrisa. Serce biło mu spokojnie, oddech jednak był nierówny, raz po raz

przerywany tłumionym szlochem. Poczawszy jej dotyk, opuścił bezwładnie ręce; gumowy wąż nadal zwisał mu pomiędzy palców. Stali tak przez długą chwilę. Z końcówki zraszacza spływała na chodnik woda, rozbryzgując się na ich kostkach, lecz nie zwracali na to uwagi.

Słońce świeciło im w plecy; ich cienie kładły się na mokrym betonie jak wycinanki z szarego papieru. Zbliżał się wieczór. Siedzący na telefonicznym drucie gołąb zagruchał żałośnie. Nieco dalej odpowiedział mu drugi. Wydawało się, że oba ptaki toczą swą smętną rozmowę przez cały ten dziwaczny, niewypowiedzianie smutny dzień.

Wreszcie Christopher wciągnął haust powietrza i wypuścił go z drżącym westchnieniem.

- Był mi bardzo bliski, wie pani? I nigdy mu tego nie powiedziałem.

- On o tym wiedział. I czuł to samo.

- Ale powinienem był mu powiedzieć.

- Takie rzeczy mówimy ludziom na niezliczone sposoby. Powiedział mi, że w zeszłym tygodniu przyniosłeś mu z piekarni Hansa dwie bułeczki cynamonowe. Pamiętam, że czasem myślałem jego samochód tylko dlatego, że właśnie robiłeś to z własnym; że pomagałeś mu uruchomić auto, kiedy wysiadł akumulator; że oddawałeś jego kasety wideo do wypożyczalni, żeby nie musiał płacić kary. To wszystko są sposoby wyrażania uczuć. On to rozumiał. Naprawdę.

- Jednak szkoda, że mu nie powiedziałem.

- Nie dręcz się tym, Chris. Jestem pewna, że on wiedział.

- Nikt mnie nigdy nie nauczył, jak to trzeba robić. Nigdy nie... Przerwał w pół słowa.

Lee wyczuła, że ten mężczyzna nie zaznał miłości w domu rodzinnym.

- A czy on ci kiedykolwiek mówił o swoich uczuciach? Christopher opuścił wzrok na zielony gumowy wąż i zaczął z roztargnieniem skrobać go paznokciem kciuka.

- Nie.

- A czy w nie wątpisz? Pokręcił głową.

- Pozwól, że coś ci powiem... - Lee cofnęła się o krok, odwróciła go ku sobie i spojrzała mu w twarz. - Odkąd zamieszkaliście razem, nigdy nie wziął stąd żadnego jedzenia, nie zapytawszy, czy starczy także i dla ciebie. „Chris niezbyt często jadał domowe żarcie”, mówił, „więc zapakuj trochę i dla niego”. Robiłam to, a on zabierał jedzenie, bo to był jeden z jego sposobów mówienia, że cię kocha. Nie było świąt, żeby się nie martwić, że zostaniesz sam. Dlatego właśnie zapraszał cię do nas. A kilka tygodni temu naprawił coś w twoim zdezelowanym samochodzie, prawda? Jakiś bezpiecznik klimatyzatora czy coś takiego. Nie trać ani minuty na rozpaczanie, że mu nie powiedziałeś, ile dla ciebie znaczy. Szkoda życia.

On wiedział o tym tak samo dobrze jak ty.

Christopher chlipnął, wycierając nos brzegiem dłoni. Lee znalazła w kieszeni spódnicy chusteczkę i podała mu ją.

- Jeśli to ci pomoże, obiecaj sobie, że od tej pory będziesz mówił ludziom, co dla ciebie znaczą. Jeśli kogoś kochasz, powiedz mu o tym.

Chris wytarł nos. Skinął głową, nie odrywając oczu od chodnika.

- Będę tak robił.

- To dobrze - powiedziała pani Reston. - Czujesz się teraz lepiej? Odetchnął głęboko.

- Tak. Dziękuję.

- Jak wiesz, przechodziłam już przez to. Jestem starą wygą w radzeniu sobie ze smutkiem i wiem, że mamy tego przed sobą dobry rok albo i więcej. Wiem też, że on nie zawsze przychodzi grzecznie wtedy, kiedy nie masz co robić, gdy jest dzień, a ty siedzisz sobie w domu sam. Smutek to wstrętny łajdak, uderza wtedy, kiedy się go najmniej spodziewasz. Jeśli zdarzy się coś takiego, pamiętaj, Chris, jestem tutaj i możesz do mnie przyjść o każdej porze dnia czy nocy. Jakoś przez to przebrniemy. Zgoda? Znowu skinął głową.

- Dziękuję, pani Reston - mruknął.

- A teraz musisz już jechać na lotnisko. Na mnie czeka wielebny Ahldecker. Zdobyła się na uśmiech. Na twarzy nie miała ani śladu makijażu. Jej skóra, przez cały dzień moczona łzami i wycierana chusteczkami, była zaczerwieniona i obrzmiała. Patrząc na nią, Christopher zauważył w kształcie jej oczu i ust podobieństwo do Grega.

- Teraz rozumiem, dlaczego panią tak bardzo kochał i podziwiał. Jest pani bardzo mądra i bardzo silna.

Pchnęła go delikatnie w stronę samochodu.

- Jedź już, zanim znowu doprowadzisz mnie do płaczu.

W Międzynarodowym Porcie Lotniczym Minneapolis St. Paul samolot linii Northwest, odbywający lot 356, miał się zatrzymać przy szóstym wyjściu. Janice Reston sięgnęła na półkę ponad głową, zdjęła z niej swoją torbę i czekała z ciężkim sercem, aż drzwi się otworzą, a stojący przed nią pasażerowie ruszą ku nim wzdłuż przejścia.

Zastanawiała się, czy czeka na nią mama, czy może ciocia Sylvia z wujkiem Barrym. A może dziadek i babcia Hillier. Przeplakała większość lotu z San Francisco, gapiąc się w okno, za którym słońce sunęło ku tyłowi samolotu, odbijając się w jego srebrnym skrzydle. Kim także często wycierała oczy. W końcu otworzyła książkę leżącą na jej kolanach od chwili, gdy ujęła przyjaciółkę za rękę, aby pozwolić jej się wygadać.

Teraz, idąc rękawem w stronę terminalu, ze zdumieniem zobaczyła, że u wyjścia czeka na nią Christopher Lallek.

- Chris! - zawołała i upuściła płócienną torbę, aby rzucić mu się w ramiona.

- Janice...

- Och, Chris, jak to możliwe?

Kiedy do niego przywarła, otaczając jego szyję rękoma, znowu ośwładną ją szloch. Chris trzymał ją tak mocno, że tylko czubkami palców dotykał podłogi. Pasażerowie obchodzili ich dookoła, a Kim stała obok z oczyma pełnymi łez.

O tym, by rzucić się Chrisowi w ramiona, Janice marzyła od chwili, gdy poznała go przed dwoma laty. Greg wstąpił akurat do policji w Anoce i zamieszkał z Christopherem. Nigdy jednak nie wyobrażała sobie, że będą się przytulać w takich okolicznościach. On miał lat i trzydzieści, ona zaledwie dwadzieścia trzy. Zawsze traktował ją jak młodszą siostrę Grega, na tyle dużą, aby być w college'u i chodzić bez mamy po mieście, lecz o wiele za młodą, by się umawiać na randki. Nagle, w ciągu kilku godzin, wkroczyła w to wszystko śmierć i różnica wieku stała się nieistotna. Wspólne przeżycie zbliżyło ich do siebie. Byli po prostu dwojgiem ludzi, którzy kogoś kochali i utracili go. Teraz, gdy tak stali przytuleni, pełni smutku, liczyła się tylko ta strata. Oderwali się od siebie, Chris wyciągnął dłoń.

- Cześć, Kim. Jestem Christopher Lallek. Bardzo mi przykro, że wakacje skończyły się, zanim na dobre je zaczęłaś. Kim także miała obrzmiałą i zaczerwienioną twarz.

- Nie mogłabym tam zostać w takiej sytuacji.

Chris wziął torbę Janice, po czym wszyscy troje ruszyli w stronę taśmociągu bagażowego.

Kiedy jechali na północ, w stronę Anoki, Kim siedziała z tyłu, a Janice na przodzie. Chris odpowiadał na jej pytania, lecz gdy zobaczył, że dziewczyna raz po raz musi sięgać do torebki po chusteczkę, wyciągnął dłoń, by pogłodzić ją po ramieniu.

- Jak mama?

- Jak skała Gibraltaru. Pociesza każdego, kto przychodzi, choć powinno być akurat odwrotnie. Greg zawsze powtarzał, że to silna kobieta, a dzisiaj miałem okazję się o tym przekonać. Ale wiem, że poczuje się lepiej, kiedy ty znajdziesz się w domu. Najcięższe były dla niej rozmowy z tobą i twoim bratem.

- Czy on jest już w domu?

- Kiedy wyjeżdżałem, jeszcze go nie było. Ale Whitmanowie mieli go przywieźć z nad jeziora.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Myśleli o własnych uczuciach, o tym, co czuje Lee i

czternastoletni chłopiec, który został jedynym mężczyzną w rodzinie. Tłumik w starym samochodzie Chrisa dogorywał, dolatujący z niego grzmot dudnił im w głowach, a gorące powietrze, które wpadało przez uchylone okna, rozwiewało włosy. Bezpiecznik w klimatyzatorze wysiadł wkrótce po tym, jak Greg go wymienił, Christopher jednak uznał, że nie warto zakładać następnego, skoro nowy explorer ma nadejść lada dzień. Nowy explorer - do diabła, od południa nawet o nim nie pomyślał. Dealer wydzwaniał pewnie do niego przez całe popołudnie, nie mając pojęcia, czemu się nie zgłasza. Ciekawe, że wobec dzisiejszej tragedii nowy samochód zupełnie stracił znaczenie.

Słońce dotykało już horyzontu. W dali zamajaczyły budynki centrum Minneapolis, spowite perłową mgiełką. Potem, kiedy droga I - 94 skręciła na północ, także i one zniknęły.

Christopher wbił oczy w szosę. Jechał, nie zdając sobie sprawy, że zmienia pasy ruchu, włącza i wyłącza migacze, utrzymuje stałą prędkość. Obie dziewczyny patrzyły w boczne okna. Janice zastanawiała się nad tym, jak wielka zmiana zaszła w jej życiu od wczoraj, nad tym, że nigdy więcej nie będzie już takie samo. Tyle wspomnień dzieliła z Gregiem, a teraz nie było nikogo, z kim mogłaby o nich porozmawiać, zwłaszcza o tych sprzed śmierci taty. Joey był o tyle młodszy, nie mieli wspólnych wspomnień. To z Gregiem się bawiła, z nim chodziła do szkoły średniej, jego dopingowała w biegu na 440 jardów, z nim rozmawiała o randkach swoich i jego.

Dzieci Grega byłyby kuzynami jej dzieci. Bawiłyby się razem, razem jeździły na wakacje. Czasem, kiedy Greg i jego żona chcieliby sobie gdzieś pójść, Janice siedziałyby z nimi. Wszystkie ich dzieci bywałyby nawzajem na swoich przyjęciach urodzinowych, na imprezach z okazji otrzymania świadectw, na ślubach. Wyglądając przez okno samochodu, poczuła się nagle oszukana i ogarnął ją gniew. Tyle czasu, tyle miłości zainwestowanej w życie kogoś innego, i nagle ten ktoś znika, a wraz z nim tak wielka część jej własnej przyszłości!

Raptem ogarnęło ją poczucie winy za takie myśli. „Jak mogę się gniewać? I na kogo? Na Grega? Na mamę? Na tatę? Na to dziecko, które umarło, więc nie musi teraz cierpieć i nie ma go teraz tutaj ze mną? Na siebie za to, że pojechałam do San Francisco, zamiast spędzić z nim tych ostatnich kilka dni?”

Odrzuciła głowę do tyłu, na oparcie fotela.

- Jesteś zły, Chris? - zapytała. Zerknął na nią.

- Tak.

- Na kogo?

- Na Grega. Za to, że nie miał kasku. Na los. Do diabła, sam nie wiem. Stwierdziwszy,



że nie tylko ona doświadcza takich uczuć - jakkolwiek by się wydawały samolubne - Janice doznała pewnej ulgi.

- Ciągle myślę o tym, że nie miał okazji się ożenić, mieć dzieci...

- Tak, wiem.

- I mama, i my wszyscy. To znaczy, cholera! pomyśl tylko o urodzinach! pomyśl o świętach! - Znowu zaczęła płakać. - Będą... będą okropne!

Miała rację. Chris mógł tylko przechylić się i uścisnąć jej dłoń.

Chris pomyślał, że nigdy jeszcze nie był świadkiem sceny budzącej tyle żalu, co powitanie Lee Reston z dziećmi. Stał patrząc, jak cała trójka uosabia smutek, i czuł, że gdyby tylko mógł przywrócić mi Grega, oddałby za to z ochotą znaczną część własnego życia.

Słyszał ich szloch, widział niezgrabny potrójny uścisk, patrzył, jak ręce matki gładzą głowy dzieci wtulonych w nią twarzami. Wycofał się, żeby nie zakłócać ich prywatności. Przeszedł na tyły domu i usiadł na stopniach tarasu prowadzących na ładnie utrzymany trawnik, który sięgał aż po szpaler żywotników na granicy sąsiedniej posesji. Blżej niego drzewa rzucały cień. Na drugim końcu, wzdłuż granic trzech sąsiednich działek, kwiatowe rabaty okalały skrawek trawy, który służył jako boisko do siatkówki w czasie rodzinnych pikników. Chris był na kilku z nich. Pozostały w jego pamięci jako bardzo szczęśliwe dni, jedne z najszczęśliwszych w jego życiu. Hot - dogi, śmiech, rodzina, przyjaciele - wszystko to, czego mu do tej pory brakowało. Właśnie Greg go tam przyprowadził. Powitali go jak swojego: „Piwo jest tam, napoje tutaj, a kto się sam nie obsłuży, idzie do domu głodny i nikomu go nie żal!”

Czwarty Lipca był prawdopodobnie nieaktualny. W tym roku chyba nie będzie pikniku. Chris już w kwietniu poprosił kapitana o wolne na ten dzień, ale teraz pewnie zgłosi się na ochotnika, żeby jeden z żonatych kolegów mógł pobyć z rodziną. Do diabła, nie miał przecież nic lepszego do roboty. Przywykł do zgłaszania się na ochotnika w święta. Lepsze to niż siedzenie w domu i użalanie się nad sobą.

Pamiętał pewne święto Czwartego Lipca, kiedy miał lat dwanaście, może trzynaście, w każdym razie na początku szkoły średniej. Wstąpił do szkolnej orkiestry i kazano mu grać na tubie, ponieważ w jego domu nie było pieniędzy na instrumenty, a szkoła dostarczała tylko tuby i bębny. Chris wybrał tubę. Wciąż doskonale pamiętał jej ciężar na ramieniu, dotyk wielkiego jak filiżanka ustnika na wargach oraz to podniecenie, kiedy po raz pierwszy maszerował ulicą z mosiężnym dzwonem nad głową. Miał taki jeden ulubiony marsz, nazywał się „Klakson”. Kurczę! ależ krew się w nim gotowała, kiedy go grali. *Pam, pam, pam, pam*: cała orkiestra kroczyła dumnie ulicą, a on i bęben basowy nadawali rytm.

Dyrygent, pan Zanter, oświadczył, że ich młodzieżowa orkiestra została zaproszona na paradę w miasteczku Princeton, więc wszystkim wydano aksamitne pelerynki, z jednej strony kasztanowe, z drugiej czarne. Kazano im też włożyć czarne spodnie i białe koszule.

Przyszedł wtedy do domu ze ściśniętym sercem, ponieważ wiedział, że będzie musiał poprosić rodziców o nowe czarne spodnie. Zajmowali nędzne mieszkanie nad sklepem ze sprzętem elektrycznym, o pół kwartału od Main. Wchodziło się tam od strony bocznej alejki, po wypaczonych, zniszczonych zewnętrznych schodkach. W ciepłych porach roku unosił się tam zapach warzyw gnijących w kubłach na śmieci przy sklepie o dumnej nazwie Czerwona Sowa. Parę razy, gdy w domu nie było nic do jedzenia, Chris wyczekiwał przy tylnych drzwiach sklepu spożywczego, aż pracujący tam ludzie zaczną wyrzucać zepsuty towar.

- Hej, może pomóc? - zapytał kiedyś, a facet w poplamionym białym fartuchu odpowiedział:

- Niesamowita sprawa! Dzieciak proponuje pomoc. Pewnie, dlaczego nie?

Tego dnia wyrzucali przebarwione kalafiory, nadgniłą wykwinną sałatę oraz pęczki brokułów, całkiem dobre według Chrisa, tyle że on nie cierpiał brokułów. Następnie pracownicy sklepu zabrali się do pomarańczy - miejscami miękkawych, ale wcale nie spleśniałych.

- Hej, one wyglądają jeszcze całkiem nieźle - powiedział Chris.

- Ale nie na tyle, żeby je sprzedawać.

- Ma pan coś przeciwko temu, żebym jedną zjadł?

- Bynajmniej. Masz, weź dwie. Weź trzy. - Chris łapał owoce, które tamten rzucał w jego stronę. Wziął wtedy do domu kilka pomarańczy, przywędnięte marchewki i coś, co się nazywało dynią makaronową, a po obraniu i ugotowaniu smakowało jak pasza dla bydła.

- Ja tego nie lubię! - narzekała jego młodsza siostra Jeannie.

- Zjadaj - rozkazywał. - To zdrowe, a poza tym stary dopiero za dziewięć dni dostanie czek z opieki społecznej.

Dobrze jednak oboje wiedzieli, że starzy muszą sobie najpierw kupić alkohol. Najczęściej kupowali go w knajpie, którą dzieciaki określały mianem „Dziury”. Był to wilgotny, zadymiony bar w suterenie o jedną przecznicę od ich mieszkania. Ojciec biegł tam, ledwie zdołał wstać, a matka dołączała do niego tuż po pracy. Pracowała w smażalni przy parkingu dla ciężarówek obok autostrady nr 10.

Wychodziła z domu, zanim dzieci zdążyły się obudzić, wracała najczęściej, kiedy były już w łóżkach.

Tego dnia gdy Chris wrócił do domu przygnębiony z powodu czarnych spodni,

zarówno stary, jak i stara siedzieli w Dziurze. Ugotował Jeannie makaronu, zmieszał go z zupą pomidorową, a kiedy mała poszła spać, zaczekał na rodziców.

Wrócili około północy, kłócąc się jak zwykle. Śmierdzieli jak podłoga w barze. Stary zatoczył się i nie wyjmując z półotwartych ust papierosa zapytał:

- A ty czemu, do diabła, nie śpisz?

- Muszę z tobą porozmawiać.

- O północy? Taki szczył jak ty powinien być o tej porze w łóżku.

- Byłbym, gdybyście wrócili do domu o przyzwoitej porze.

- Jesteś zafajdany gówniarz, wiesz? I nie mów mi, kiedy mam wracać do domu, a kiedy nie! „W tej rodzinie ciągle jeszcze ja noszę portki!

Bez wątpienia nosił. Były potwornie brudne i śmierdziały okropnie, tak jak i on cały. Zwisaly mu pod wielkim, od piwa, brzuchem niczym hamak.

- Potrzebuję pieniędzy na spodnie.

- Masz przecież dzinsy.

- Na czarne spodnie.

- Czarne! - eksplodował stary. - A na cóż ci do diabła czarne spodnie?

- Do munduru orkiestry. Mamy maszerować w paradzie i każdy musi mieć białą koszulę i czarne spodnie.

- Parada! Jezu Chryste, oni myślą, że ja mam pieniądze do wyrzucania w błoto z okazji jakiejś tam parady! Niech dyrygent przyjdzie i powie mi w twarz, że mam płacić za pieprzony mundur orkiestry! Już ja mu nagadam!...

- Css, Ed, zamknij się, na miłość boską! - włączyła się matka. - Obudzisz Jeannie!

- Nie mów mi, żebym się zamknął, Mavis! To mój dom, do cholery! Mogę w nim krzyczeć tak głośno, jak mi się podoba!

- Tato, naprawdę potrzebuję tych pieniędzy.

- A ja ich nie mam.

- Ale żeby się dzisiaj upić, to miałeś! I ty, i mama. - Uważaj, co mówisz, synu!

- To prawda.

- Nie ma nic złego w tym, że człowiek wypije sobie małego drinka albo nawet dwa, i taki zasmarkany gówniarz jak ty nie będzie mi mówił, kiedy mam dość!

- Ed, daj mu spokój.

- Do cholery, ty go zawsze bronisz! Ten zakichany smarkacz zupełnie nie szanuje rodziców, ot co. Za każdym razem, kiedy jakiś dupek mówi swojemu ojcu... - Ed czknął nagle, aż brzuch mu zafalował, a podkrążone oczy o mało nie wyszły z orbit.

- Tylko ja nie będę miał czarnych spodni.

- To okropne, co? Ten cholerny rząd wysysa z człowieka krew, żeby budować szkoły, a potem wyciąga jeszcze łapę po więcej! Możesz iść w dzinsach, a jak im nie odpowiadają, chrzań ich.

- Tato, proszę... wszyscy będą mieli kasztanowo - czarne pelerynki, więc niebieskie dzinsy...

- Pelerynki! - Głowa Eda wystrzeliła do przodu. - Pelerynki! Jezu Chryste, cóż oni z was chcą zrobić, bandę lalusiów? Pelerynki!

- Zarechotał głośno. Odchylił się tak mocno do tyłu, że guziki na brzuchu omal nie wyskoczyły z dziurek. Patrząc szyderczo na syna, wyprostował się, wyjął z ust papierosa i zdusił go w popielniczkę.

- Nie mam pieniędzy na lalusiowate mundurki i możesz to ode mnie przekazać dyrygentowi.

Christopher i Jeannie dzielili ze sobą ponurą sypialnię, którą niemal w całości wypełniały dwa wąskie łóżka oraz poobijana komoda. Chociaż Chris wsunął się w pościel bez zapalania światła, wiedział, że siostra nie zmrużyła nawet oka. Czasami kiedy rodzice się kłócili, udawała, że śpi, ale nie dzisiaj.

- Nienawidzę ich - powiedziała rzeczowym tonem.

- Nie powinnaś tak mówić.

- Dlaczego? Może ty ich kochasz?

On także ich nienawidził, ale nie chciał zarazić jej swoimi uczuciami. Dziewczynki są inne. Dziewczynki potrzebują matki w sposób szczególnie, znacznie dłużej niż chłopcy.

Jeannie przeraziła go, oświadczając nagle:

- Jak tylko podrosnę, wyniosę się stąd.

Do licha, miała dopiero dziewięć lat! Powinna jak inne w jej wieku dzieci żyć sobie beztrudno, zamiast planować ucieczkę z rodzinnego domu.

- Jeannie, nie mów tak.

- Ale to prawda. Mam zamiar uciec.

- Ach, Jeannie, daj spokój...

- I nigdy tu nie wrócę... no, może raz albo dwa, żeby zobaczyć ciebie. Ty jeden jesteś tutaj coś wart.

Leżał ze ściśniętym gardłem. Nie był w stanie skarcić jej w jakiś przekonujący sposób, ponieważ i jemu chodziły po głowie takie myśli.

W tydzień później matka wsunęła mu w dłoń dwadzieścia pięć dolarów.

- Masz - powiedziała. - Na te czarne spodnie.

- Dzięki - odparł bez choćby odrobiny ciepła w głosie. Zasługiwał na przyzwoite ubrania, na jedzenie na stole oraz rodziców w domu, od czasu do czasu trzeźwych. Na tyle zasługiwał każdy dzieciak. Gdyby nie on, Jeannie chodziłaby do szkoły jeszcze bardziej zaniedbana. To on każdego ranka zmuszał ją, aby się uczesała, zjadła coś i włożyła kurtkę. Stary w tym czasie chrapał w pijackim odrętwieniu, a matka smażyła jajka dla kierowców ciężarówek, aby zarobić na te ich nie kończące się popijawy.

Te dwadzieścia pięć dolarów, które mu dała, nie mogło wynagrodzić dwojga pijanych rodziców nie mających czasu na wychowywanie dzieci.

- Ojciec nie chciał źle. Wiesz, życie paskudnie go potraktowało, kiedy spadł z tej rampy i przetrącił sobie grzbiet. Zanim to się stało, był innym człowiekiem.

Tych słów Chris wysłuchiwał często, lecz nie nabierał się na nie. Innych ludzi także spotykały nieszczęśliwe wypadki, a przecież potrafili się z nich otrząsnąć. Inne matki wiedziały, że ich dziewięcioletnie córki potrzebują kogoś, kto by prał i prasował ich ubrania, kto byłby w domu, żeby ugotować im kolację i powiedzieć „dobranoc”. Ed i Mavis byli alkoholikami, prosta sprawa, a ona nie była wcale lepsza od niego. Nie bili dzieci, ale też wcale nie musieli tego robić; wystarczyło, że je lekceważyli.

Czwartego Lipca Christopher Lallek pomaszzerował w paradzie wystrojony w nowe czarne spodnie, rodzice jednak nie oglądali tego, a lekceważące uwagi ojca na temat „lulusiów” przytłumiły jego radość z występu. W następnym roku szkolnym zrezygnował z orkiestry i w zamian zapisał się na lekcje gospodarstwa domowego. Pomyślał sobie, że skoro przez następne pięć lat ma gotować dla siebie i Jeannie, 10 przynajmniej nauczy się, jak to robić. Poza tym na zajęciach z gospodarstwa domowego dostawał od czasu do czasu darmowy posiłek.

Christopher siedział na stopniach sekwojowego tarasu i wspominał stare dzieje. Zapadł zmierzch. Na południowym wschodzie pojawiły się pierwsze gwiazdy. W ogrodzie pani Reston cykały świerszcze. Za plecami Chrisa przez kuchenne drzwi sączyło się światło, a na drzwiach lodówki wisiała kartka przypominająca o lazanii. Poczł burczenie w brzuchu, co uświadomiło mu, że nie jadł od rana. Nie czuł się jednak głodny. Powinien wstać i wrócić do domu, zostawić tę rodzinę samej sobie, lecz nie wiedział, jak znieś wejście do mieszkania tak pełnego pamiątek po Gregu. Jego ubrania w szafie, odtwarzacz kompaktowy w pokoju dziennym, jego poczta na szafce w kuchni, szampon obok prysznic, ulubiony sok w lodówce...

Słodki Jezu, oddałby wszystko za mamę i tatę, do których mógłby teraz iść; za kogoś,

do kogo mógłby pójść i dać się przytulić; kogoś, kto by go kochał i troszczył się o niego, tak jak w tej rodzinie. Kogoś, kto by pościelił mu łóżko w gościnnym pokoju, a potem przyszedł do niego, przeczesał mu włosy palcami i powiedział: „Wszystko będzie dobrze, synu. Straciłeś przyjaciela, ale nadal masz nas. Kochamy cię”.

Nigdy od rodziców nie usłyszał tych słów. Nigdy ich do nikogo nie wypowiedział, nawet do Jeannie przed jej wyjazdem, ani do Grega przed jego śmiercią. To, co wyznał pani Reston, było prawdą: nikt go nigdy nie nauczył, jak to robić.

Ed i Mavis nadal żyli w tym mieście. Mieszkali w licej, dotowanej przez państwo dzielnicy, dokąd Chris regularnie był wzywany z powodu zakłóceń porządku. Po raz ostatni widział ich może przed trzema laty. Stary miał siwą brodę i śmierdział tak samo jak zawsze. Siedział w bujanym fotelu, popijając tanią whisky wprost z półkwartowej butelki. Stara sączyła piwo i oglądała seriale telewizyjne, a mieszkanie było tak ohydne, że chyba tylko ogień mógłby tam coś zdziałać. Chris został wezwany do jakiejś bójki w innym mieszkaniu. Któż może wiedzieć, co go skłoniło, aby zapukać do ich drzwi? Żałował, że to zrobił. Nic się nie zmieniło, nic nie miało się zmienić.

Za jego plecami rozległ się głos Lee Reston:

- Chris?... A cóż ty tam robisz po ciemku?

Westchnął i wstał z twardych drewnianych stopni. Rozprostował plecy, popatrzył w gwiazdy.

- Wspominam.

Matka Grega rozsunęła drzwi i wyszła na taras. Skrzyżowała ręce na piersiach, po czym tak samo jak on spojrzała w niebo.

- Tak - powiedziała.

Milczeli oboje przez chwilę, myśląc o nadchodzącej nocy, i dniach i miesiącach, które mieli przed sobą. Świerszcze nadal szeleściły w ogrodzie, lewkonie wydzielają cierpki zapach. Wszedł księżyc, na i trawie zaczęła osiadać rosa, z każdą chwilą obfitsza.

Życie toczyło się nadal.

Oni także musieli trwać.

- Muszę już iść - powiedział Chris.

- Dokąd?

- Do siebie.

- Och, Chris... czy mogę... może chciałbyś, żeby ktoś...

- Wszystko w porządku, pani Reston. Kiedyś będę musiał się z tym uporać. Teraz są tu pani dzieci i powinna pani pobyć z nimi trochę sam na sam. Kapitan dał mi wolne aż do

pogrzebu, a nawet dłużej, gdybym potrzebował, więc jutro będę w domu. Będzie pani musiała zabrać jego ubrania, pocztę, kluczyki do samochodu... różne rzeczy. Jeśli mam tam być, kiedy pani po nie przyjdzie, proszę powiedzieć. Jeśli woli pani, żebym sobie poszedł, to również nie ma problemu. Teraz proszę odpocząć. Miała pani ciężki dzień.

Matka Grega przeszła przez taras. Na stopach miała tylko nylonowe pończochy, buty zostawiła gdzieś w mieszkaniu. Stała przed nim z założonymi rękoma. Światło z kuchni rozjaśniało od tyłu jej włosy.

- Nie musisz jeszcze wracać. Możesz przespać się na kanapie w dużym pokoju, a jutro pojedziemy tam razem.

Przez moment Chris czuł pokusę. Przed oczyma przemknęła mu scena, którą wyobraził sobie wcześniej - jak pani Reston odgarnia mu włosy i spokojnym głosem mówi: „Już dobrze, Chris. Jestem tutaj i kocham cię. Wszystko się jakoś ułoży. „

Ale teraz ona miała swoją rodzinę i własny smutek, z którym musiała dać sobie radę. Dziś wieczorem nie był jej tutaj potrzebny. Po cóż jej jeszcze jedna osoba, którą musiałaby się zajmować?

- Dziękuję, pani Reston, ale nic mi nie jest. Niech pani wraca i pobędzie z dziećmi. Zobaczymy się jutro. Patrzyła, jak idzie dookoła domu w stronę samochodu. Kiedy dotarł do rogu, zawołała:

- Christopher!

Zatrzymał się i spojrzał na nią. W świetle księżycy zobaczyła jego krótkie, regulaminowo przycięte włosy, skomplikowany hawajski wzór na koszulce, nagie nogi i stopy wciąż tkwiące w gumowych klapkach, które włożył rano, kiedy wybierał się na plażę, planując doskonałą zabawę.

- Dziękuję ci za wszystko, co dzisiaj zrobiłeś. Nie dałabym sobie rady bez ciebie.

- Ja również dziękuję - odparł. - Za to, że pozwoliła mi pani zostać. Oszalałbym chyba, gdybym nie mógł być tu z panią.

Znowu ruszył przed siebie, ale Lee zawołała za nim:

- Zaczekaj chwileczkę.

Zniknęła w kuchni. Po chwili wróciła, niosąc w rękach kwadratową paczuszkę zawiniętą w folię. Zeszła cichutko po stopniach, wciąż bez butów. Na jej lewym boku jaśniało światło z kuchni. Przebiegła przez trawę i podała mu paczuszkę.

- Nie jadłeś cały dzień. Zagrzej to w mikrofalówce... Obiecujesz?

- Zagrzej ę. Dzięki.

Zawiniątko, które spoczęło na jego ręce, okazało się zimne, zostało wyjęte z

zamrażalnika. Nie musiał go otwierać, by wiedzieć, że to lazania.



### ROZDZIAŁ 3

Christopher położył zawiniętą w folię paczuszkę na siedzeniu samochodu, uruchomił silnik i niechętnie ruszył do domu.

Jego domem było mieszkanie na osiedlu Cutter's Grove. Mieszkali tam z Gregiem od dwóch lat. Chrisowi spodobało się, że budynki były całkowicie nowe i że był pierwszym najemcą lokalu. Miał straszego bzika na punkcie czystości. Nie dość, że jego mieszkanie musiało być nowiutkie i czyste, to jeszcze ten, kto miał je z nim dzielić, musiał utrzymywać nienaganny porządek.

Kiedy się dowiedział, że chłopak, który dopiero co wstąpił do policji, szuka pokoju, podszedł do Grega i rzekł szczerze:

- Wychowałem się w gnoju. Miałem rodziców alkoholików, zupełnie ich nie obchodziło, czy w domu jest coś do zjedzenia, a jeszcze mniej czy ich nora została sprzątnięta. Więc jeśli nie masz zamiaru zajmować się pracami domowymi, powiedz od razu. Oszczędzimy sobie mnóstwa starć.

- Mnie wychowała matka - odparł Greg - która została wdową mając trzydzieści sześć lat, więc musiała pracować. Było nas troje. W czwartki zawsze zrywała nas z łóżek o szóstej rano i do siódmej kazała nam sprzątać, a wieczorem po kolacji musieliśmy dokończyć robotę, tak żeby na weekend cały dom lśnił na cacy. Jeśli któreś nie wykonało swojej części pracy, traciło wszystkie przywileje, łącznie z kieszonkowym i prawem do korzystania z samochodu. Co ty na to, Lallek?

Spojrzeli na siebie badawczo, uśmiechnęli się, uścisnęli sobie dłonie i zostali przyjaciółmi.

Christopher otworzył drzwi mieszkania. Kiedy zapalił światło, wewnątrz jak zwykle panował porządek. Kuchnia, na prawo od wejścia, była schludnie sprzątnięta.

Pokój dzienny na wprost również. Cały utrzymany był w tonacji czekolady z mlekiem. Wprowadzając się tutaj, doszli do zgodnego wniosku, że nie ma powodu, aby dwóch kawalerów musiało siedzieć na beczkach po piwie i trzymać nogi na drewnianych szpulach po kablach telefonicznych. Pokój nabrał charakteru. Stała tu wielka kremowa sofa z ogromnymi poduchami, dwa miękko wyściełane klubowe fotele, stylowe krzesło z brązowej skóry oraz dobrana do niego otomana, a także monstrualnych rozmiarów zestaw sprzętu elektronicznego, który zajmował całą ścianę. Do tego trochę drobiazgów stwarzających domową atmosferę: obok przesuwanych szklanych drzwi drzewko figowe ofiarowane przez matkę Grega wraz z kilkoma mniejszymi roślinami, parę oprawionych w ramki plakatów, mosiężne lampy,

duńskie stoliki z tekowego drewna, a na jednej ścianie kolekcja czapek z daszkiem. Lubili je obaj i zaraz na początku postanowili kupić kilka rozciąganych krzyżowych wieszaków, aby trzymać czapki tam, skąd łatwo było je w każdej chwili zdjąć.

Christopher pamiętał dobrze - na wieszaku nie było czerwonej czapeczki z emblematem Minnesota Twins. Zastanowił się, gdzie może być teraz i jak wygląda. Za to zielona, którą Greg dostał od dziadka Restona na ostatnie urodziny i którą lubił najbardziej, nadal tam wisiała. Umieszczony na niej napis głosił: PEBBLE BEACH, a jej kształt był zdaniem Grega najodpowiedniejszy dla tego rodzaju nakrycia głowy.

Chris poczłapał powoli do wieszaka, zdjął zieloną czapczkę i przez długą chwilę trzymał ją w rękach. Podeszedł do skórzanego krzesła, usiadł na nim ciężko, z wielkim trudem, niczym staruszek. Położył foliowy pakuneczek na otomanie, czapkę zaś nasunął na głowę. Zamknął oczy, osunął się na oparcie, a wtedy wspomnienia o Gregu zaczęły przepływać przed jego oczyma niczym film: rozgrywki piłkarskie w lidze policyjnej, śmiganie na nartach wodnych, zajadanie hot - dogów - ten chłopak przepadał za hot - dogami - jazda czarno - białym wozem patrolowym, pełne „choler” rozmowy z kumplami w komisariacie, praca w mieszkaniu, podkręcanie radia, kiedy nadawali piosenkę, którą lubił, zwłaszcza w wykonaniu Vince'a Gilla.

Wspomnienia, wspomnienia... do diabła, ależ to bolało.

Po jakimś czasie wstał, włożył lazanię do lodówki i przeszedł przez przedpokój na drugi koniec mieszkania. Przed drzwiami sypialni Grega zatrzymał się. Stał długo w ciemnościach, zbierając się na odwagę, aby zapalić tam światło i spojrzeć w pustkę panującą w pokoju. Zrobił to wreszcie... Wsparł się o framugę drzwi, próbując pogodzić się z tym, że nieobecność przyjaciela jest sprawą nieodwracalną. Pistolet w kaburze, który leżał teraz na komodzie, nigdy już nie zawisnie przy pasie Grega. Odznaka policyjna nigdy nie zostanie przypięta do jego koszuli, spinka do krawata, radiotelefon, wszystkie policyjne akcesoria, których używał przez ostatnie dwa lata, nie będą mu już więcej potrzebne. Nigdy nie będzie już spał w tym pokoju ani nosił żadnego z wiszących w szafie mundurów, nigdy nie popatrzy na rodzinne zdjęcia na toaletce, nie dokończy książki Roberta 15. Parkera, z której teraz wystawała zakładka, nie zapłaci rachunków opartych o kufel na toaletce, nie włączy radia, nie założy słuchawek ani nie wrzaśnie z tego pokoju: „Konam z głodu! Chodźmy gdzieś na hot - doga!”

Tak właśnie robił, a wtedy Chris darł się do niego w odpowiedzi: „Ty i te twoje hot - dogi! Daj odetchnąć, Reston, dobrze?”

Żarty na temat hot - dogów nigdy się nie kończyły.

W zeszłym roku na gwiazdkę Greg dał mu kupon uprawniający do darmowej porcji w Jimbo's Jumbo Dogs, pękatej przyczepie z hot - dogami, która stała przy Main Street i zdążyła wrosnąć na stałe w krajobraz miasta. Po zjedzeniu któregoś z tamtejszych przeżerających kiszki specjałów, nafaszerowanych przyprawami, odbijało się człowiekowi przez dwa dni, a cuchnął przez trzy następne. Ilekroć przejeżdżali obok swoim czarno - białym służbowym wozem, Greg proponował: - Może wstąpimy?

- Och, nie - odpowiadał Chris. - Jezu, daj spokój, nie dzisiaj.

- Spójrz na to w ten sposób: jedząc tutaj, oszczędzamy na przyprawach - przekonywał go Greg, kiedy ostatnio tam byli.

Chris wszedł do pokoju. Nadal miał na głowie zieloną czapkę. Czuł, że kryzys znowu nadchodzi - ściśnięte gardło, klucie w piersiach, pieczenie w oczach. Nie bronił się. Zgięty w pół przycupnął na podłodze. Wsparty plecami o łóżko Grega, z podciągniętymi pod brodę kolanami, przyciskając oburącz zieloną czapkę do skroni, zaczął wyć tak, jak jeszcze nigdy w życiu. Jego przeraźliwe łkanie, ciężki, spazmatyczny szloch wypełniały cały pokój. Pewnie słysząc je było też w mieszkaniu powyżej. Chris nie przejmował się tym. Nie wstrzymywał płaczu, pozwalał, by każda z tych wyczerpujących chwil zbliżyła go o krok do momentu, gdy zaakceptuje śmierć Grega. To było straszne. Brutalne. Konieczne.

- Niech to cholera! - zawołał nagle, po czym znowu płakał, płakał aż do całkowitego wyczerpania.

Potem nadal siedział skulony na podłodze. Wysiąkał nos, nie zdejmując z głowy czapki Grega, i wciąż zastanawiał się, dlaczego dobrzy odchodzą, a meły zostają, żeby bić, gwałcić, okradać, sprzedawać narkotyki i nie zauważać swoich dzieci.

O pierwszej nad ranem ciągle tam jeszcze siedział. Czuł, jak pulsuje mu w głowie, odwracał daszek czapki to do przodu, to do tyłu, od czasu do czasu wstrząsały nim zanikające spazmy. Z wolna wsączało się w niego zmęczenie, coraz trudniej mu było dawać sobie z nim radę. Westchnął dwukrotnie, głęboko i z drzeniem, rozejrzał się dookoła, zastanawiając się, dlaczego ludzie uważają, że taki płacz poprawia samopoczucie.

Czuł się okropnie. Miał wrażenie, że głowa mu eksploduje, a oczy pękają za chwilę jak prażona kukurydza.

Musiał przyznać, że być może płakał także trochę nad samym sobą - nad tym dzieckiem, którym był kiedyś, nad samotnością, w której żył, nad bolesnymi wspomnieniami, do których zmusił go dzisiejszy dzień.

Wszyscy goście opuścili już dom Lee. Janice i Joey przebrali się do snu, ale nie bardzo mieli ochotę zostać sami. Tak jak wtedy, gdy zmarł Bill, czuli strach przed

samotnością.

- Chodźcie do mojego łóżka - zaprosiła ich matka, na co oboje przystali z ochotą.

Leżeli we troje, Lee w środku, podłożywszy im ręce pod głowy. Po długiej chwili Joey z wahaniem mruknął:

- Wiesz co, mammo?

- Tak, kochanie.

- Kiedy zadzwoniłaś... ja wcale nie myślałem tego, co powiedziałem. To było głupie - wyznał.

- A co powiedziałeś?

- Że Greg miał w przyszłym tygodniu zabrać mnie i moich kolegów do Valley Fair. Jakby tylko to miało dla mnie znaczenie... Wiesz, o co mi chodzi?

Lee zgięła ramię, przyciągając go do siebie.

- Och, Joey, martwiłeś się tym przez cały czas?

- No, bo to musiało zabrzmieć bardzo samolubnie.

- Ależ nie, kochanie, nie przejmuj się tym. To po prostu była ludzka reakcja, ot i wszystko. W taką wiadomość trudno jest uwierzyć, więc kiedy do nas dociera... cóż, po prostu okazujemy niedowierzenie.

Wiesz, jak to jest: przeżywamy dzień za dniem normalnie i uważamy, że tak musi być, aż tu nagle dzieje się coś takiego, a my myśląc o najzwyczajniejszych sprawach, mówimy: „Kurczę, jak to możliwe, skoro osoba, którą utraciliśmy, nie dokończyła czegoś tam?” Pamiętam, że kiedy umarł tata, wciąż powtarzałam: „Przecież mieliśmy pojechać razem na Florydę”. A dzisiaj, kiedy Christopher tu przyszedł i powiedział mi o tym, w kółko bełkotałam o tym, że Greg nie naprawił jeszcze węża ogrodowego. Zrobiłam to samo co ty. Kiedy słyszymy, że ktoś, kogo kochamy, właśnie zmarł, nie myślimy logicznie, tylko reagujemy, dlatego przestań się tym przejmować.

- Chcesz wiedzieć, o czym ja myślałam w samolocie, kiedy wracałam do domu? - zapytała Janice.

- O czym?

- O tym, jak bardzo zostałam oszukana przez śmierć Grega, bo on nigdy się już nie ożeni, nie będzie miał dzieci ani żony, która byłaby moją szwagierką, o tym, jak okropne będzie od tej pory Boże Narodzenie, i o tym, że bez niego moje urodziny nigdy już nie będą i takie same.

- Sądzę, że każde z nas miało dzisiaj takie myśli.

Leżeli przez chwilę, wpatrzeni w księżycowy blask sączący się przez zasłony - słabe

nocne światło, które wydobywało z mroku zarysy przedmiotów, niezgrabne sylwetki mebli oraz lustro toaletki, odbijające granatową przestrzeń pokoju.

Lee poczuła, że cierpną jej ręce. Wyjęła je spod głów dzieci, ale nadal trzymała Janice i Joeeya tuż przy sobie.

- Powiem wam teraz, o czym dzisiaj ja myślałam, i to aż kilka razy. A za każdym razem czułam się tak okropnie... tak... no nic, powiem wam. W samym środku całego zamieszania, kiedy ludzie wchodzili i wychodzili, zauważyłam, że zadaję sobie pytanie: „Czy ktoś już zawiadomił Grega?” A potem znowu dotarło do mnie, że Greg nic żyje. I wtedy poczułam się dziwnie, straszliwie winna, że zapomniałam o jego śmierci, o powodzie tego zamieszania.

- Ze mną było tak samo - przyznała się Janice.

- Ze mną też - powiedział Joey.

Po raz kolejny okazało się, że zareagowali na sytuację w naturalny ludzki sposób; to ich uspokoiło. W końcu Janice powiedziała lękliwie:

- Nic już nie będzie takie samo.

- Nie, to pewne - odparła jej matka. - Ale przez wzgląd na nas samych musimy zadbać o to, aby nasze życie nadal było pełne i dobre mimo nieobecności Grega. Tak samo musiałam sobie mówić z tysiąc razy po śmierci tatusia, i właśnie to pomogło mi przetrwać. Jeżeli sprawy zaczną was przytłaczać, pomyślcie o tym. Musicie być szczęśliwi i trzeba się o to postarać.

Po jakimś czasie ogarnęła ich senność. To zasypiali, to znów podrywali się; w końcu jakoś minęła ta pierwsza noc bez Grega.

Rankiem zmusili się, by robić to, co było konieczne: wykapać się, coś zjeść, odebrać telefon... jeszcze jeden... i jeszcze... i kolejny. Pomiędzy jedną a drugą odbieraną rozmową Lee zadzwoniła do Lloyda.

- Halo? Mówi Lee.

- Witaj, skarbie. Jak dobrze słyszeć twój głos, nawet taki drżący!

- Muszę cię poprosić o grzeczność, tato.

- Oczywiście, co tylko zechcesz.

- Nie pojechałbyś ze mną dziś do zakładu pogrzebowego?

- Pojadę, oczywiście.

- Nie chcę narażać na to dzieci. Sylvia by pojechała i moi rodzice też, ale wolałabym być z tobą.

- To najmilej, co stary człowiek może usłyszeć o tak wczesnej godzinie. O której po

ciebie przyjechać?

Mając u boku Lloyda, znowu poczuła spokój, tak jakby był z nią Bill. Drogi, życzliwy Lloyd, oko szalejącego cyklonu - jakże mu była wdzięczna, że jest w jej życiu.

Miała już do czynienia z Walterem Deweyem i wiedziała, czego się spodziewać: człowieka pełnego współczucia, a zarazem rzeczowo zadającego pytania, których wymagała jego praca.

Najpierw dane ze świadectwa zgonu - data i miejsce urodzenia, imiona rodziców, numer ubezpieczenia. To było proste. Potem następowały pytania trudniejsze - którego dnia chcieliby odbyć ceremonię, jak długo wystawiona ma być trumna, czy życzą sobie organisty, śpiewaka, czy mają wykupione miejsce na cmentarzu, co z kwiatami, co z lunchem po uroczystości, jakie wydrukować klepsydry? Czy życzą sobie, żeby trumna była otwarta czy zamknięta? Czy mają aktualne zdjęcie Grega? Kto będzie niósł trumnę?

W tym momencie Lee poczuła się zagubiona, więc Lloyd włączył się do rozmowy.

- Lallek rozmawiał o tym ze mną wczoraj. Prawdopodobnie na pogrzeb Grega zjadą policjanci z całego stanu. Tak się dzieje, ilekroć umiera któryś z nich. Czy chciałabyś, Lee, żeby trumnę ponieśli jego koledzy? Myślę, że będą zaszczyceni, jeśli się zgodzisz.

- Tak... och, tak. Greg na pewno by tego chciał. Tak bardzo kochał swoją pracę.

Lloyd uściśnął jej dłoń i na jego twarzy pojawił się pełen życzliwości uśmiech.

- A gdybyś pozwoliła dziecinniałemu dziadkowi, chętnie wy głośiłbym mowę. Myślałem o tym w nocy, kiedy nie mogłem zasnąć.

Gdyby to było możliwe, w tej chwili Lee pokochałaby Lloyda Restona jeszcze bardziej. W ciągu całego życia małżeńskiego uwielbiała go właśnie za te cechy, które przejawiał teraz - miłość połączoną z niezmaconym spokojem. Tak wiele się od niego nauczyła!

W odpowiedzi na tę propozycję uściśnęła jego rękę.

- Wiem, że twój wnuk by to pochwalił. Dziękuję ci, Kochany. Przeszli do pełnego trumien pomieszczenia. Zamiast okazywać emocje, usiłowali wszystko spokojnie analizować. Wreszcie Lloyd wskazał metalową trumnę w kolorze srebrnym.

- Ta mi się podoba. Jest prawie tego samego koloru co pierwszy samochód Grega. Dałem mu na niego pieniądze, kiedy skończył szkołę średnią.

Opuścili zakład pogrzebowy obiecując, że podadzą telefonicznie nazwiska osób niosących trumnę, aby umieszczono je na klepsydrach. Nieco później tego dnia mieli też przywieźć ubranie Grega.

Nie dało się tego dłużej unikać. To było bardziej bolesne niż wszystko inne - znaleźć

się w miejscu, w którym mieszkał, snuł plany na przyszłość, przechowywał pamiątki ze swego dotychczasowego życia.

- No cóż, tato - powiedziała Lee, kiedy znaleźli się znowu w samochodzie Lloyda - jak sądzę, pora teraz pojechać do mieszkania Grega.

Starszy pan przechylił się na siedzeniu i ujął jej dłoń.

- Nikt nigdy nie powiedział, że łatwo jest być matką lub ojcem. Na jednej szali musisz położyć odpowiedzialność, a na drugiej to, co możesz dostać w zamian. To właśnie jedna z tych spraw. Może będzie ci łatwiej, jeśli pomyślisz o radości, jaką wniósł w twoje życie. Pamiętasz, jak kiedyś, kiedy i Janice, i on byli jeszcze dość mali, postanowili upiec ciasto na którąś rocznicę waszego ślubu? Ciasto wyszło nawet niezłe, tylko nie bardzo wiedzieli, co to znaczy lukier, więc po prostu posypali wszystko cukrem.

- A myśmy to zjedli - skrzywiła się Lee na to wspomnienie.

- A ten Dzień Matki, kiedy Greg zbudował domek dla ptaszków?

- Nadal go mam.

- Przepowiadałem wtedy, że ten dzieciak skończy jako cieśla. Nadzwyczaj zręcznie posługiwał się młotkiem.

- A pamiętasz, jak biegał, kiedy był w szkole średniej? Jejku, jak ja lubiłam chodzić na te zawody!...

I tak snuli wspomnienia, dopóki nie dojechali do mieszkania Grega. Po wyłączeniu silnika siedzieli oboje, patrząc na budynek. Nie mieli najmniejszej ochoty zbliżyć się do niego.

- Chcesz, żebym wszedł tam z tobą? - zapytał Lloyd.

- Tak - szepnęła Lee. - Proszę.

Zapukali do drzwi. Otworzył im Christopher, świeżo ogolony, starannie uczesany, ubrany w dżinsy i koszulkę polo. Lee spojrzała na jego opuchnięte powieki i od razu wiedziała, że miał za sobą straszną noc.

- Cześć - powiedziała po prostu, obejmując go.

Stali przytuleni przez chwilę, wspominając poprzedni dzień: jak się dowiedzieli o wszystkim, jak się nawzajem pocieszali, jak stawiali czoło nieszczęściu. Chris pachniał płynem po goleniu, wydawał się mocny, ale zarazem bezbronny. Lee kołysała go lekko. Miała zamknięte oczy i ściśnięte serce.

Kiedy się rozdzielili, Chris spojrzał na teścia Lee.

- Dzień dobry, jak się pan miewa? - zapytał.

- No cóż, miewałem się lepiej - odparł starszy pan. - Przypuszczam, że i ty miałeś nie

najlepszą noc.

- Tak, okropną.

- Powinieneś być zostać u nas - powiedziała Lee.

- Być może - odpowiedział Chris. - Być może. Ale w ten sposób odkładałbym tylko przyjscie tutaj. Na później, na jutro, na pojutrze.

Patrząc na niego, Lee zrozumiała, że Christopher znalazł się w najtrudniejszej sytuacji, bo to on był najbliżej Grega. Nawet ona - mimo iż była matką - nie mieszkała z Gregiem od ponad dwóch lat. Tutaj jego nieobecność musiała być najmocniej odczuwalna.

- Zjadłeś lazanie? - zapytała.

- Tak, dzisiaj rano. - Położył dłoń na swoim płaskim brzuchu, zdobywając się na uśmiech. - Była bardzo smaczna.

Lee rozejrzała się po kuchni. Nie bardzo chciała wchodzić dalej, wolała poczekać z tym choćby kilka minut.

- Czy mogę skorzystać z telefonu, Chris? Chciałabym zadzwonić do sklepu.

- Oczywiście.

Christopher przeszedł z Lloydem do pokoju dziennego, a Lee zadzwoniła do kwiaciarni. Odebrała jej siostra.

- Sylvio, jesteś w pracy? - Zatrudniały cztery bukieciarki pracujące na zmiany.

- Pomyślałam, że lepiej wpadnę i zobaczę, jak sprawy stoja.

- Wszystko w porządku?

- Jak najbardziej. Dziewczeta doskonale daja sobie rade. Nie martw się o nic. Spałaś choć trochę?

- Niewiele. Byliśmy już z Lloydem w zakładzie pogrzebowym i ustaliliśmy, że pogrzeb odbędzie się w poniedziałek o drugiej po południu. Postanowiliśmy, że trumna będzie otwarta.

- Kochanie, przecież ja bym z tobą poszła!

- Wiem. Mama i tato również. Ale pojechał Lloyd. Świetnie sobie poradziliśmy... naprawdę. Ale jest coś, co możesz dla mnie zrobić w sklepie, Sylvio.

- Co zechcesz. Powiedz tylko co.

- Chciałabym, żebyś zadzwoniła do Koehlera i Drama i zamówiła trzy tuziny kalii, trochę frezji, gardenii i mieczyków. Wszystko białe i zielone. Dopilnuj także, byśmy miały wysoki mirt... - Przerwała na chwilę, po czym dodała: - Na poniedziałek.

- Lee, przecież nie będziesz robiła tego sama.

- Owszem, będę.



- Ależ, Lee...

- To był mój syn. Chcę to zrobić, Sylvio.

- Lee, to głupie. Przecież może to zrobić któraś z dziewczyn. Albo ja.

- To muszę zrobić sama, Sylvio. Lloyd wygłosi mowę, a ja przygotuję kwiaty na trumnę.

Po chwili Sylvia zgodziła się z nią wreszcie.

- Dobrze, jak chcesz. Na całą czy na połowę?

- Na całą. Trumna będzie otwierana. Sylvia westchnęła.

- Dobrze, zaraz się tym zajmę.

- Dziękuję ci, kochana.

- Lee?... pomyślałam, że będziesz chciała widzieć. Napływa mnóstwo zamówień na kwiaty dla Grega. Zostanę w sklepie i pomogę dziewczynom, ale gdybyś mnie potrzebowała, zadzwoń, a zaraz się zjawię.

- Dam sobie radę. Jestem teraz w mieszkaniu Grega z Lloydem i Christopherem. Dzieci są w domu.

- Dobrze, ale zadzwoń, gdybyś mnie potrzebowała... obiecujesz?

- Zadzwonię. Dziękuję ci, Sylvio.

Kiedy Lee odłożyła słuchawkę i przeszła do pokoju dziennego, wiedziała, że obaj mężczyźni wszystko słyszeli, choć przez cały czas cicho rozmawiali. Była im wdzięczna, że żaden nie próbował choćby jednym słowem wyperswadować jej tego pomysłu. Objęli ją teraz i stali nieruchomo, patrząc na kolekcję czapek na ścianie.

- Miał na sobie tę czerwoną czapkę Twinsów, ale jego ulubiona nadal tu wisi. To ta, którą dał mu pan w zeszłym roku.

Starszy pan skinął głową. Zdali sobie wszyscy sprawę, że powinni wyrwać się z tego sentymentalnego nastroju. Lee wysunęła się z ich objęć i ruszyła w stronę drzewka figowego.

- Fikus jest całkiem ładny. - Wetknęła palec w ziemię. - Ten kwiatek też... I bluszcz...

Nieme rośliny sprawiały, że zbierało się jej na płacz. Może dlatego, że Greg nigdy już ich nie podleje, chociaż nie - było coś jeszcze: to były symbole jego niezależności: prezenty, które ofiarowała mu, kiedy szedł na swoje, gdy rozpoczynał w tym mieszkaniu własne dorosłe życie. Cieszy! się nim zaledwie dwa lata...

- Och, to głupie - powiedziała, zła na siebie, że znowu płacze. - Przecież to tylko rośliny! Tylko rośliny!

- To nie jest głupie - sprzeciwił się Christopher. - Ile razy na nie spojrzę, czuję to samo... podobnie jest z jego czapkami, kompaktami... ze wszystkim. To wcale nie jest głupie.

- Wiem - powiedziała łagodnie. - Ale jestem już tak zmęczona tym płaczem!...

- Tak - zgodził się z nią cicho. - Wszyscy jesteśmy zmęczeni. - Czyli pora zająć się jego szafą. To chciałeś powiedzieć?

Skinął w milczeniu głową, ruszając w stronę pokoju Grega.

W drzwiach przepuścił ją przodem. Lloyd został w pokoju dziennym. Lee rozejrzała się po sypialni.

- Czy on zawsze był taki schludny?

- Powiedział mi, że zmusiła go pani do tego. Wspominał coś o sprzątanii w czwartkowe poranki.

- Boże, jak on tego nienawidził!

- Ale nie zrobiło mu to najmniejszej krzywdy. Chris podszedł do toaletki.

- Dostał wczoraj kilka listów - podał jej pocztę. - Przejrzałem rano jego rachunki. Zająłem się tymi za mieszkanie, które płaciliśmy wspólnie. Te są za inne rzeczy.

Lee zerknęła na rachunki.

- To za motocykl - powiedziała, po raz kolejny wybuchając płaczem.

Chris objął ją i czekał, aż się uspokoi. Trzymał ją mocno, nieruchomo, a w jego oczach nie było łez. Lee przycisnęła dłonie do jego pleców, w jednej ściskając koperty, które jej wręczył.

- O Boże... - szepnęła. - O Boże...

Kiedy tak stał obok niej, ze zdumieniem zdał sobie sprawę, jak często w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin trzymał ją w ramionach. Uświadomił sobie, że przytulał ją mocniej i dłużej niż jakąkolwiek kobietę od wielu lat. To, że matka Grega tak bardzo mu ufa, wydawało mu się normalne; ilekroć zwracała się do niego, czuł, że jego ból łagodnieje. Smutek był jednak dla Chrisa zupełnie nowym przeżyciem. Oczywiście w ciągu dziewięciu lat przepracowanych w policji widywał rozpacz obcych ludzi. Na kursach psychologii uczono go postępowania ze zszokowanymi ofiarami oraz ich równie zszokowanymi rodzinami, ale po raz pierwszy prawdziwy smutek dotykał jego. Żadni dziadkowie, członkowie dalszej rodziny ani przyjaciele nie byli nigdy częścią jego życia, toteż nie wiedział, czym są pełne łez pogrzeby. Gdyby zmarli mu rodzice, chyba nie bardzo by się przejął.

Lloyd podszedł do drzwi z zieloną czapczką w dłoniach. Spojrzał w oczy Christophera ponad ramieniem Lee. Czekał cierpliwie z twarzą pełną smutku.

W końcu wszedł do pokoju i usiadł na łóżku.

- Zastanawiałem się... - powiedział tak cicho, jakby zwracał się do siebie. - Trumna będzie zamknięta. Greg lubił tę czapczkę najbardziej ze wszystkich. A kiedy żył, prawie

nigdy nie nosił garniturów. Co byś powiedziała, gdybyśmy pochowali go w dżinsach, którejs z jego ulubionych koszulek i tej czapeczce? Lee, kochanie, co o tym sądzisz?

Matka Grega wysunęła się z objęć Chrisa i sięgnęła do kieszeni po chusteczkę. Ocierając oczy, zdołała zaśmiać się niepewnie.

- W dżinsach i koszulce? Och, tato, jesteś nieoceniony.

- Więc co o tym myślisz?

- Myślę, że to świetny pomysł.

- No to wybierz koszulkę. Chris, którą nosił najczęściej?

Po tych słowach otwarcie drzwi szafy i szperanie w rzeczach Grega nie było już takie trudne. Zrobili to razem, pomagając sobie nawzajem, a kiedy wychodzili z mieszkania, wiedzieli, że mają za sobą kolejną przeszkodę.

- Jedziesz z nami - powiedziała Lee do Chrisa. - Nie możesz zostać tu sam.

- Dziękuję, ale muszę iść do dealera Forda odebrać samochód. Miałem to zrobić wczoraj, ale... - Wzruszył ramionami. - Zadzwoiłem do faceta i powiedziałem, że przyjdę dzisiaj.

- A więc wpadniesz do nas później?

Zawahał się. Nie chciał spędzać tam zbyt wiele czasu, wtrącając się w życie rodziny.

- Nie wydaje mi się...

- Chris, proszę. Co będziesz tutaj robił? Poza tym sąsiedzi naznosili tyle jedzenia!...

Przyjdź.

- Dobrze, przyjdę.

- Och, o mało nie zapomniałam. Zrobisz coś dla mnie?

- Co tylko pani rozkaże.

- Może byś porozmawiał z waszym kapitanem i podziękował mu za propozycję, by policjanci nieśli trumnę? Poproś go, żeby wyznaczył sześciu, według swego uznania. Greg lubił jakiegoś Ostrinskiego i Nokesa.

- Ostrinski i Nokes, w porządku.

- I ty, Chris... - Dotknęła jego dłoni. - Gdybyś... gdybyś zechciał nieść trumnę, byłoby mi bardzo miło. Ale tylko jeśli chcesz.

- Poczuję się dotknięty, gdyby pani o to nie poprosiła. Poza tym on by tego ode mnie oczekiwał, tak samo jak ja, gdyby stało się odwrotnie.

Lee uściśnęła jego dłoń, po czym opuściła ją.

- Potrzebne mi nazwiska pozostałych, żeby je wpisać na klepsydry.

- Zajmę się tym, pani Reston. Porozmawiam z kapitanem i sam zadzwonię do Waltera

Deweya.

- Świetnie. Dziękuję. Wygląda na to... - Znowu poczuła ogromną wdzięczność, że może na nim polegać. - Wygląda na to, że bardzo cię wykorzystuję. Wybacz. Naprawdę bardzo mi pomogłeś, chcę, żebyś o tym wiedział. Kiedy jesteś w pobliżu, wszystko jakby... no cóż, czuję się lepiej.

Uśmiechnęła się, a Christopher poczuł, że pierwszy raz od rana wstępnie weń otucha.

- Ja także.

Pojechał do komisariatu, porozmawiał z kapitanem i zadzwonił do zakładu pogrzebowego. Potem zajął się niemiłym drobiazgiem, którego nie chciał pozostawić Lee Reston - pojechał na parking policyjny po kluczyki Grega. Toby, który prowadził ów parking, znał go i wiedział, że on i Greg mieszkali razem.

- Bardzo mi przykro, Chris - powiedział, wręczając mu kluczyki.

- Taa... - Christopher odchrząknął. - To był dobry człowiek i dobry przyjaciel.

Toby położył mu na ramieniu ciężką dłoń. Przez chwilę stali w milczeniu.

- Z motocykla pewnie nic nie zostało.

- Ano nic.

Chris kiwnął głową, wpatrując się w oleistą plamę na podwórzu.

- To dobrze. - Nie próbował dotąd odszukać motoru, a teraz wiedział, że nie będzie musiał tego robić. - Myślę, że to dobrze, inaczej jego matka musiałaby naprawić go i sprzedać, a tak nie będzie się już musiała tym zajmować.

Toby uścisnął jego ramię i opuścił dłoń.

- Pewnie rodzina bardzo to przeżywa. Christopher przytaknął. Czasem nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

- Przekaż im moje wyrazy współczucia, dobrze? - poprosił parkingowy.

- Przekażę, dzięki.

Zrobiło się parno. Na wschodzie niebo było jak lazur, ale na zachodzie chmury przypominały wytarżane w błocie ptaszysko. W oddali rozległ się grzmot. W powietrzu czuło się niemal zapach kurzu zroszonego pierwszymi kroplami deszczu, ową letnią woń, która rozchodzi się tuż przed ulewą.

Kiedy Christopher wyjeżdżał z parkingu Forda nowiuteńkim poziomkowym eksplorere, dochodziła już czwarta. Letnia duchota wdarła się w otwarte okna, mieszając się z zapaszkiem winylu oraz resztek fabrycznych smarów wypalanych z obudowy przez rozgrzany silnik.

To miało być huczne święto. Czekali na ten moment z Gregiem od dwóch miesięcy,

od kiedy zamówił samochód. Planowali, że jesienią pojedą nim gdzieś razem, może do Denver - aby połączyć po górach i odnaleźć opuszczone miasteczka poszukiwaczy złota. Rozważali też wycieczkę do Nowej Szkocji, żeby zobaczyć tamtejsze poszarpane wybrzeże, myśleli nawet o zimowej wyprawie na Florydę. Jakikolwiek miejsce wybraliby w końcu, mieli tam pojechać explorerem.

Nagle Chris poczuł, że ma dość ckliwych rozważań. Jechał właśnie bulwarem Coon Rapids.

- Hej, Greg, popatrz tylko! Mam go! - zawołał w powietrze. Uśmiechnął się i poczuł, że zaczyna go ogarniać zadowolenie. Pozwolił sobie na radość z tego wydarzenia, na które wyczekiwał od tak dawna. - Jesteś tam, Reston? Widzisz? Naprawdę go wreszcie mam i niech cię cholera, że nie ma cię tu ze mną! Odplacę ci za to, ty głupku! I tak pojedę do Denver, zobaczysz jeszcze! Będiesz żałował jak wszyscy diabli, że się nie załapałeś! - W prawych drzwiach explorera coś lekko stuknęło. Chris pomyślał, że będzie musiał powiedzieć dealerowi, by coś z tym zrobił. - No i jak jest tam na górze, Reston? Mają hot - dogi ze wszystkimi dodatkami? To dobrze. Trzymaj się, stary!

Nieoczekiwanie poczuł się szczęśliwy. Dotarło do niego wreszcie, że nie potrafił dotąd pogodzić się ze śmiercią Grega. Wraz z akceptacją tego faktu odzyskał nieco spokoju i znowu mógł się zmagać z życiem. Nie miał wątpliwości, że czekają go jeszcze złe godziny, złe dni, a może nawet dłuższe okresy, kiedy będzie straszliwie tęsknił za Gregiem, ale wiedział też, że właśnie znalazł sposób, jak sobie z nimi radzić. Jak sobie radzić z tym, czego nie dało się uniknąć, jak czerpać radość z tego, z czego należało się cieszyć.

Pojechał do komisariatu pokazać samochód chłopakom. Z przyzwyczajenia sprawdził rejestr wezwań z ostatniej zmiany - podejrzany osobnik, rozróżba w rodzinie, zakłócenie porządku, lokaut, skarga na kłopotliwe zwierzęta - to co zwykle. Wypił kubek kawy, odpowiedział na pełne współczucia pytania o Restonów i pogrzeb, po czym wyszedł cieszyć się dalej nowym samochodem.

Kiedy ruszył w stronę domu Lee Reston, padało. Nowe wycieraczki działały wspaniale, wydając zupełnie inne dźwięki niż te w starym gruchocie. Wsunął do odtwarzacza kompakt Vince'a Gilla, a potem podśpiewywał wraz z nim te fragmenty, których tekst znał. Cieszył się cichym bębnieniem deszczu w metalowy dach, rozlegające się od czasu do czasu grzmoty sprawiały mu ulgę. Gdy Vince zaczął śpiewać „When I Cali Your Name”, popołudnie stało się jaśniejsze.

Na podjeździe domu pani Reston stało kilka samochodów. Chris zaparkował za nimi i w strugach deszczu pobiegł w stronę drzwi.

Otworzyła mu Janice.

- Cześć. Wejdz, proszę. Jak się dzisiaj miewasz?

- Lepiej. A ty?

- Zmęczona, smutna i wzdychająca.

- Tak. To bardzo trudne. - Chris zerknął w stronę kuchni, gdzie paliło się światło, a wokół stołu siedziało kilka osób. - Zdaje się, że macie mnóstwo gości. Chyba nie powinienem był przyjeżdżać.

Objęła go w pasie ramieniem i pociągnęła do środka.

- Nie bądź głupi. To nie pora, żeby siedzieć samotnie. Chodźmy do pozostałych.

Pod wiszącą lampą goście przeglądali albumy pełne fotografii dziadków, ciotek, wujków, kuzynów i przyjaciół. Na blacie stały gorące dania, sałatki, talerze z kanapkami, bułeczkami i ciasteczkami oraz cztery rodzaje ciasta w foliowych foremkach.

- Cześć, Chirs - powitała go Lee z drugiego końca pokoju. - Cieszę się, że wróciłeś. Sądzę, że znasz wszystkich poza tą trójką. To koledzy Grega ze szkoły średniej: Nolan Steeg, Sandy Adolphson i Jane Retting.

Christopher skinął im głową, a Janice dodała:

- Jane chodziła w szkole z Gregiem. Spędzała u nas mnóstwo czasu. - Stanąwszy za krzesłem dziewczyny, uściśnęła ją. Po Jane było widać, że długo płakała.

Zebrani nadal oglądali zdjęcia, wykrzykując raz po raz:

- O, tutaj jest w tej okropnej czapeczce, którą ciągle nosił! Pamiętasz, jak nie mogłaś go zmusić, żeby ściągał ją na noc, Lee?

- Zawsze uwielbiał czapki.

- I hot - dogi.

- I surowe ciasto.

- O, patrzcie, a tutaj na jakimś biegu.

- Jak na kogoś, kto miał zaledwie sześć stóp wzrostu, naprawdę umiał biegać.

- Norman, popatrz na to. Gdzie to było?

- W Taylors Falls. Jeździliśmy tam całą paczką, ściągaliśmy koszule i próbowaliśmy podrywać dziewczyny, odstawiając Frisbee'go.

- Mój syn... podrywał dziewczyny? - powiedziała Lee z udawanym przerażeniem.

- Mój chłopak... podrywał dziewczyny? - zawtórowała jej Jane.

- Wiecie, on nie był ideałem.

- No cóż, my uważaliśmy, że był, prawda, Jane? - zagadnęła Lee i obie wymieniły smutny uśmiech.

Oglądanie zdjęć trwało dalej. Okrążywszy stół, pani Reston zapytała Christophera:

- Nie jesteś głodny? Mamy mnóstwo jedzenia. Dam ci talerz i obsłużysz się sam.

Chris zjadł na stojąco trochę gulaszu, nieco potrawki z kurczaka z ryżem, włoską sałatkę, dwie kanapki z indykiem i trzy kawałki ciasta. Przez cały czas zerkał ponad ramionami siedzących przy stole na zdjęcia Grega, których nigdy przedtem nie widział. Czterokrotnie proponowano mu krzesło, ale odmawiał. Janice podała mu szklankę mleka, a on nadal zerkał pomiędzy głowami na zdjęcia.

Był tam Greg jako niemowlę; jako dwulatek zdmuchujący urodzinowe świece; jako chłopczyk trzymający na kolanach swą maleńką siostrzyczkę; wyruszający po raz pierwszy do przedszkola; jako siedmiolatek bez przedniego zęba; był Greg z Janice i Joeyem; była cała rodzina prezentująca swój połów obok łodzi rybackiej; był Greg stojący w rozkroku z piłką do koszykówki w ręku i Greg nastolatek z czworgiem dziadków przed kościołem luterańskim, zapewne w dniu bierzmowania; Greg leżący na trawie z głową jakiegoś innego chłopca wspartą na jego brzuchu, obaj śmiali się, obaj nosili fikuśne, bardzo szerokie okulary przeciwsłoneczne; był Greg trzymający na barana swoją matkę, która unosiła w górę rękę, jakby dzierżyła w niej szpicrute; był Greg z Nolanem pośród grupki nastolatków opierających się o czyjś samochód i Greg w smokingu, z Jane u boku, zapewne podczas balu maturalnego; Greg z Lee podczas wręczania świadectw; Greg w nowym mundurze z oznaką policyjną obok czarno - białego wozu patrolowego; Greg grający w siatkówkę podczas ostatniego Czwartego Lipca i Greg trzymający piłkę na czubkach palców jednej dłoni, z drugą ręką przerzuconą przez ramię Christophera, który obejmował go za szyję.

Chris poczuł, że robi się zazdrosny. Jakież fajne życie miał ten Greg Reston! Nie byłoby źle umierać, mając tyle szczęśliwych wspomnień. Miał tak liczną i kochającą rodzinę, tylu przyjaciół, każdą chwilę jego życia uwieczniały fotografie, na których zostawał na zawsze - fotografie z miłością przechowywane w albumie przez jego matkę, która była tu teraz, pokazywała je wszystkim, pomagała im otrząsnąć się z bólu, podsuwała jedzenie, napełniała szklanki, dotykała ich ramion, krążąc wokół stołu.

Chris zerknął na nią i pomyślał: „Cóż to za kobieta!” Lee dostrzegła jego spojrzenie i uśmiechnęła się. Uciekł szybko wzrokiem ku zdjęciom, a kiedy odwrócono stronę, zobaczył siebie i Grega.

On miał ze swego dzieciństwa dokładnie cztery zdjęcia. Nie wiedział, kto je zrobił, ale nie przypominał sobie, aby w jego domu kiedykolwiek był aparat. Ze szkoły podstawowej nie miał żadnych fotografii. Był jednym z tych dzieciaków, które nigdy nie przynosiły pieniędzy, kiedy nauczyciel wydawał zdjęcia, toteż jego odbitki fotograf zabierał z powrotem.

Za zdjęcie ze swej promocji zapłacił sam, bo wtedy pracował już i zarabiał całkiem przyzwoite pieniądze.

Wyniósł swój talerz do kuchni i chciał go opłukać.

- Daj, ja to zrobię - powiedziała Lee Reston, stając za nim.

- Już skończyłem. Mam włożyć do zmywarki?

- Tak, proszę.

Chris umieścił talerz w maszynie. Kiedy się wyprostował i odwrócił, Lee stała tuż obok niego. Szafki kuchenne, oddzielające część roboczą kuchni od jadalni, zasłaniały ich przed wzrokiem pozostałych.

- Dziękuję, że zająłeś się sprawą przeniesienia trumny.

- Nie ma za co dziękować. Zrobiłem to z ochotą.

- Co do rzeczy Grega w mieszkaniu...

- Proszę się nie spieszyć. Mamy czas.

- Ale pewnie będziesz chciał wziąć nowego sublokatora.

- Nie zdecydowałem się jeszcze. To za wcześnie.

- Dobrze - zgodziła się z nim cicho. - Chyba będę musiała zabrać jego samochód z garażu.

- Mam tu kluczyki... proszę. - Wydobył je z kieszeni. - Ale z tym też nie ma gwałtu. Auto nikomu nie przeszkadza. Greg zapłacił za miejsce do pierwszego.

Lee popatrzyła na kluczyki w dłoni i na jej twarzy znowu pojawił się smutek.

- Naprawdę, pani Reston - powtórzył Chris - nie ma pośpiechu. Niech pani robi wszystko spokojnie.

Usłyszawszy ich rozmowę, Janice podeszła bliżej.

- Mamo... mówicie o samochodzie Grega? Lee odchrząknęła.

- Tak. Mówiłam, że pewnie powinniśmy go zabrać z garażu. Chris przyniósł kluczyki.

- Miałam nadzieję, że będę mogła korzystać z niego przez jakiś czas. Jest znacznie pewniejszy niż mój.

- Oczywiście, że możesz.

- Mój zżera olej, a przednie opony nie wytrzymają dłużej niż miesiąc. To by mnie naprawę poratowało.

- Jasne, kochanie, proszę bardzo, bierz go. Może nawet przepiszemy go na ciebie, a twój sprzedamy.

- Właśnie o tym myślałam, ale nie chciałam... - Janice wzdrygnęła się posepniejąc. - No, wiesz...



Lee uściśnięła jej ramię.

- Wiem. Ale w końcu coś trzeba będzie zrobić z wszystkimi jego rzeczami.

- Dziękuję, mamo.

- Jeśli chcecie, to wezmę kluczyki - zaproponował Chris - i przyprowadzę samochód w każdej chwili. Któryś z kolegów może przyjechać i zabrać mnie z powrotem. Albo ja przyjadę po ciebie, Janice, kiedy ci będzie wygodnie.

- Mogę pojechać z tobą dziś wieczorem i zabrać auto.

- Jasne. Tak będzie najlepiej. Tyle że pada.

- Jeździłam już w deszczu. Na pewno nie masz nic przeciwko temu, mamo?

- Oczywiście, że nie. Jeszcze jeden drobiazg z głowy. Jedź i zabierz samochód.

- Może zaraz to załatwimy? - zapytała Janice Chrisa.

- Nie ma sprawy.

- Wezmę tylko torebkę.

- Czy mogę jeszcze coś dla pani zrobić? - zapytał Chris matkę Grega, gdy dziewczyna odeszła.

- Och, Chris, tyle już mi pomogłeś! Nie, jedź. - Odprowadziła go do drzwi, gdzie spotkali Janice. - Mam nadzieję, że wszyscy zdołamy dziś zasnąć. Janice, uważaj na deszczu. A ty, Chris... - Obdarzyła go jednym z tych niewymuszonych uścisków, czułych, matczynych muśnięć policzka, które są podziękowaniem i pożegnaniem zarazem.

- Jesteś taki kochany... taki troskliwy. Dziękuję, że przyszedłeś. Chris zastanowił się przez chwilę, czy ona wie, jak miło mu poczuć jej dłoń na swojej szyi, po czym odwrócił się i otworzył siatkowe drzwi, przepuszczając Janice.

- Och, chwileczkę! - zawołała Lee. Pobiegła do kuchni, a po chwili rozległ się szurgot wysuwanej szuflady i dźwięk rozdieranej folii. Po chwili wróciła ze starannie zapakowanym srebrzystym zawiniątkiem. - To ciasto czekoladowe. Na rano.

- Dziękuję, pani Reston.

Kiedy dobiegli do explorera, mieli wilgotne koszulki. Ruszyli w stronę mieszkania Christophera. Pomędzy nimi na siedzeniu leżała skropiona przez deszcz paczuszka.

- Twoja matka jest wspaniała - powiedział Chris.

- Wszyscy to zawsze mówią. W szkole koleżanki mi jej zazdrościły.

- Czy ona kiedykolwiek się załamuje?

- Niezbyt często. Ma takie powiedzonko: siła bierze się z przeciwności losu. Ale myślę, że śmierć Grega tak naprawdę jeszcze do niej nie dotarła.

- Dotrze, kiedy przestanie wszystkich pocieszać i spędzi trochę czasu sama. Do mnie

dotarła, kiedy wczoraj wieczorem wróciłem do mieszkania.

Janice wyciągnęła dłoń i położyła ją na nagim przedramieniu Chrisa. Jechali w milczeniu przez lśniące od deszczu ulice.

Po chwili dziewczyna opuściła dłoń. I nagle ze zdziwieniem zawołała:

- Chris! Przecież to nowiuutki wóz!

- Odebrałem go dzisiaj po południu. - I nic nie powiedziałaś?

Wzruszył ramionami.

- Wydawało mi się, że pachnie nowością. I ciągle jeszcze ma tekturowe osłony na podłodze.

- Jesteś pierwszym pasażerem.

Janice spojrzała na jego profil. Pośród całego smutku naraz niczym prąd przeszył ją dreszcz czystego życia. Lubiła jego twarz od chwili, gdy ujrzała ją po raz pierwszy; miła twarz o czystej opalanej skórze, która zawsze wyglądała na świeżo umytą. Jego nos, wargi, czoło, rozjaśniane przemykającymi światłami, składały się na ciekawy widok. Dzisiaj, kiedy mężczyźni golą sobie na głowach wzorki albo noszą brzydkie strąki zwisające poniżej uszu, jego gęste, krótkie, lekko falujące włosy nadawały mu wygląd amerykańskiego ideału i potęgowały ogólne wrażenie schludności, jakie od niego było.

- Bywały chwile, że marzyłam o przejażdżce z tobą samochodem. Paskudnie, że robię to akurat przy takiej okazji.

Chris czuł na sobie jej spojrzenie, ale puścił tę delikatną aluzję mimo uszu.

- Planowaliśmy z Gregiem, że jesienią pojedziemy tym autem do Denver albo do Nowej Szkocji.

- To zabawne, że każda ścieżka prowadzi do niego.

- Myślę, że to normalne. Kiedy ktoś nagle umiera, pozostawia mnóstwo nie dokończonych spraw.

- Rozmawialiśmy o tym ostatniej nocy, mama, Joey i ja. Leżeliśmy wszyscy w łóżku mamy i mówiliśmy o tym, co czujemy. Chris wyobraził sobie Lee, jak tuli do siebie dzieci. Ten obrazek pasował do niej.

- Założę się, że nigdy w życiu na was nie wrzeszczała, nie skłęła was ani nie uderzyła.

- Skłęć nas nie skłęła, ale krzyczała, kiedyśmy na to zasługiwali. A raz, kiedy miałam pięć czy sześć lat, dostałam lanie, bo nazwałam wujka Barry'ego głupim gnojkiem.

Chris wybuchnął śmiechem.

- Musiałam usłyszeć, jak ktoś inny tak mówi - ciągnęła Janice - nie wiem. A teraz nie

pamiętam już nawet, czym wujek mnie tak wkurzył. W każdym razie nie spodobało mi się to, więc nazwałam go głupim gnojkiem, a mama dała mi po buzi i kazała go przeprosić. Potem ścisnęła mnie tak mocno, aż myślałam, że połamię mi zębra, płakała i mówiła, że jest jej przykro, ale nie wolno mi nigdy więcej mówić tak o nikim.

A Christopher miał rodziców, którzy nazywali swe dzieci głupimi gnojkami i rzeczywiście tak o nich myśleli. Nigdy też nie było potem żadnych skrapianych łzami przeprosin.

- Masz szczęście, dziewczyno. Ona jest fantastyczną matką.

- Skręcili ostro w lewo, wjeżdżając na parking osiedla Cutter's Grove.

Wjechał pomiędzy budynki i uruchomił drzwi podziemnego garażu. Zatrzymując się przy białej toyocie Grega, zapytał:

- Dasz sobie z nią radę?

- Mówiłam ci już, że wiele razy jeździłam w deszczu.

- Nie mówię o deszczu.

- Poradzę sobie - odparła szeptem Janice. - Jestem w końcu dzieckiem swojej matki. -

Pod wpływem nagłego impulsu przechyliła się i pocałowała go w policzek. - Dziękuję za wszystko, Chris. Mama powiedziała, że nie wie, co by bez ciebie zrobiła. To samo dotyczy mnie.

W chwilę potem Janice otwierała drzwi samochodu Grega.

## ROZDZIAŁ 4

Następnego ranka deszcz ustał, a słońce zapowiadało skwarny dzień.

Obudzwszy się o szóstej trzydzieści pięć, Christopher słuchał ciszy, która panowała w mieszkaniu. „Co będę dzisiaj robił?” Po południu miało się odbyć czuwanie przy zwłokach, lecz zanim to nastąpi, godziny będą przypominały obrazy Salvadora Dali - puste, jałowe, wypaczone.

Obrócił się i włączył radio.

Lorrie Morgan śpiewała o poniedziałku, który nigdy nie jest dobrym dniem. Potem wtęczył się prezenter z wiadomością o remoncie drogi. Przez resztę lata I - 694 miała być jednopasmowa. Prognoza pogody zapowiadała na dzisiaj trzydziestostopniowy upał, bezchmurne niebo i maksymalną wilgotność.

- W dzień taki jak dziś podglądanie, jak rośnie wasza trawa, może okazać się bardzo ekscytujące - obwieścił spiker.

Chris pomyślał o trawniku pani Reston i zastanowił się, kiedy po raz ostatni ktoś go kosił. Wszyscy biegali w kółko niczym kurczaki z obciętymi głowami, dom był pełen ludzi, którzy, przepelnieni rozpaczą, nie przejmowali się w najmniejszym stopniu tym, czy trawa została skoszona czy też nie. Pewnie to była robota Joeya, ale w związku ze śmiercią Grega chłopak przeżywał chwile równie ciężkie jak pozostali. Christopher wstał i wziął prysznic.

Było za dziesięć ósma, kiedy Lee Reston doczłapała do drzwi frontowych. Otworzywszy je, usłyszała, że z garażu dolatują jakieś hałasy. Zawiązała pasek sięgającego kolan kimona i wyszła bosą na zewnątrz, na chłodny betonowy chodnik. Kiedy wyjrzała zza rogu, zobaczyła Christophera Lalleka, który nalewał benzyny do zbiornika kosiarki. Miał na sobie szorty, niebieską koszulkę bez rękawów i wściekle różową czapkę z daszkiem, dobraną kolorem do sznurka okularów słonecznych.

- Christopher? - powiedziała Lee. - A ty co tu robisz?

- Koszę trawnik.

- Och, Chris, nie musisz tego robić.

- Wiem, jak dumna jest pani z trawnika, a w ciągu najbliższych dni będzie się tu kręcić sporo ludzi.

- Joey może go skosić.

- Joey ma na razie dość wszystkiego.

- No... dobrze. Zjadłeś przynajmniej śniadanie? Chris uśmiechnął się nieśmiało.

- Miałem ciasto czekoladowe.

- No to wejdź i pozwól się poczęstować kawą.

Ruszyła przodem, a on, idąc za nią, patrzył na jej nagie nogi. Jak na kobietę w swoim wieku miała bardzo kształtne łydki i niezwykle małe stopy. Chris wszedł za nią do środka.

- A co z panią? - zapytał. - Spała pani?

- Och, troszeczkę. A ty?

- Spałem, owszem. Ale obudziłem się wcześniej. W radiu powiedzieli, że będzie dziś upał, więc pomyślałem, że wpadnę i skoszę trawnik, póki jeszcze jest chłodno.

Lee nalala kawy do dwóch grubych niebieskich kubków, po czym oboje usiedli przy stole.

- Pewnie poczuje pani ulgę, kiedy już minie jutro - powiedział Christopher.

- Myśl o powrocie do pracy zaczyna mi się podobać.

- Nie męczą pani te tłumy ludzi?

- Chwilami tak.

- Ja wcale nie chciałem wchodzić, miałem zamiar tylko... - Lee pchnęła go z powrotem na krzesło, z którego zaczął wstawać.

- Nie. Ty nie. Lubię być z tobą. Przy tobie to nieszczęście wydaje się mniej okropne. Miło mi, że tak sobie tu siedzimy w ciszy, we dwoje. - Wyciągnęła nogi i skrzyżowała stopy na siedzeniu krzesła stojącego naprzeciwko.

O tej porze w kuchni panował półmrok, ale pani Reston nie zapaliła światła. Pomieszczenie nie było posprzątane; na blacie nadal leżały foremki po ciastach, naczynia, bochenki chleba, zapomniana poczta. W zlewozmywaku odmakął wypełniony wodą rondel, w którym zapewne ktoś przyniósł jakąś potrawę. Obok zamkniętych albumów ze zdjęciami stało kilka czystych filiżanek do kawy, które ktoś umył, ale nie wiedział, gdzie odstawić. Przesuwane drzwi były otwarte, wpadał przez nie do wnętrza rześki poranny chłód. Na zewnątrz, na trawniku, dwa drozdy przechylały główki, racząc się smakowitym śniadaniem po wczorajszym deszczu.

- Ja to odbieram tak samo - rzeki Christopher. - Kiedy jestem tutaj, czuję się bliżej Grega, ale nie chciałbym stać się natrętem.

- Wiesz co? Jak się staniesz, to ci powiem.

Chris pociągnął łyk kawy, uśmiechając się do niej samymi oczyma ponad krawędzią kubka.

- Wczoraj w komisariacie wszyscy pytali, jak się pani czuje.

- Chyba każdy, kogo znam, chce wiedzieć, jak się czuję. Czy mogę ci coś powiedzieć? Nie chciałabym, żeby to wyglądało na niewdzięczność, ale był wczoraj moment, kiedy

zadzwoił telefon, a ja, znowu słysząc to pytanie, miałam ochotę krzyknąć, uciec stąd. Chciałam po prostu odłożyć słuchawkę i powiedzieć: „Dajcie mi spokój! Jak wam się zdaje, jak się mogę czuć?”

- Niech się pani lepiej do tego przyzwyczai. Coś mi się zdaje, że znajomi będą tu dzwonić jeszcze bardzo długo.

- Pewnie wyglądam na niewdzięcznicę. Cóż ja bym zrobiła bez tych wszystkich wspaniałych ludzi, którzy tu przychodzili, żeby mnie uściskać, powiedzieć, że mnie kochają, i przynieść coś do zjedzenia?

- Ależ skądże! Jest pani dla siebie zbyt surowa. Nie jest pani niewdzięczna, to po prostu ludzkie. Na pytanie: „Jak się pani czuje?” trudno odpowiedzieć nawet w najlepszy dzień. - Chris pociągnął kolejny łyk kawy.

Przez chwilę słuchali śpiewu ptaków. - No to jak się pani czuje? - zapytał. Roześmiali się oboje.

Od tej chwili poczuli się odrobinę swobodniej.

- No, no, jest całkiem miło. - Lee przeczesła palcami włosy. Rękawy kimona zsunęły się jej z ramion. - Nie śmiałam się od dość dawna.

- Ja również. Najczęściej trafiają mi się długie okresy, kiedy mój umysł prawie nie pracuje. A pani?

- Tak samo. Łapię się na tym, że patrzę gdzieś w pustkę. Chris poskrobał kciukiem swój kubek.

- Ale zrobiłem wczoraj coś, z czego jestem dumny.

- Co?

- Odezwałem się na głos do Grega.

- Naprawdę? - Lee wsparła podbródek na dłoni. - Co powiedziałaś?

- Powiedziałem: „Hej, Greg, mam wreszcie explorera!” A potem dodałem: „I niech cię cholera, że nie ma cię tu ze mną!” „Pani Reston zaśmiała się cicho, lecz w tej samej chwili w jej oczach pojawiły się łzy.

- Rozmawialiśmy o wyjeździe jesienią, może do Denver albo do Nowej Szkocji.

- Nie wiedziałam o tym. Ale... - przesunęła swój kubek po blacie do przodu i do tyłu, po czym znowu podniosła wzrok. - Ale to właśnie sprawia, że miło mi teraz być z tobą. Rozmowa z tobą jest jak rozmowa z nim. Dowiaduję się drobiazgów z jego życia, w które nie byłam wtajemniczana przez ostatnie kilka miesięcy. Zawsze go fascynowała Nowa Szkocja.

- Tak, wiem - powiedział Chris, wpatrując się w swoją kawę. - Wczoraj, kiedy się tak na niego wkurzyłem, zapytałem go, czy tam na górze są hot - dogi... - podniósł wzrok na Lee.

- A potem poczułem się dobrze, znacznie lepiej. Powinna pani tego spróbować.

Matka Grega ujęła oburącz swój kubek. Wspierając łokcie na stole, patrzyła na podwórze. Chris nie spuszczał z niej oka. Poły jej kwiecistego kimona krzyżowały się na piersiach. Powyżej wisiała maleńka perła w złotej oprawie z dwoma brylancikami, przyczepionej do misternego złotego łańcuszka. Lee miała smukłą i długą szyję. Na jej dekolcie widać było kilka piegów.

Christopher odwrócił wzrok, dopił kawę i wstał.

- Chyba zabiorę się do pracy.

- Przepraszam - powiedziała pani Reston. - Wprawiłam cię w smutek. Nie chciałam tego.

- Niech pani nie przeprasza. Nie mnie.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Ekspres do kawy pstryknął, włączył się i zasyczał, podgrzewając dzbanek. Na zewnątrz śpiewały ptaki. Na drugim końcu domu ktoś spuścił wodę w toalecie.

- W porządku - zgodziła się Lee.

- I jeszcze jedno. Powinna pani trzymać garaż zamknięty. Każdy mógłby tam wejść i uruchomić pani kosiarkę.

Przez jej usta przemknął uśmiech. - Mówisz tak samo jak on.

- Wiem. My, gliniarze, nigdy nie dajemy za wygraną, prawda? Ruszył w stronę drzwi, a Lee podążyła za nim.

- Dziękuję za kawę.

- Dziękuję za koszenie.

- Najlepiej czymś się zająć.

- Tak, zauważyłam.

Chris wyszedł na zewnątrz. Pani Reston przytrzymała zamykającą się za nim siatkę i stojąc nieruchomo z ręką na klamce, patrzyła, jak idzie po schodkach. Przystanął u ich podnóża, odwrócił się i spojrzał w górę. Z jego obciętych dżinsów zwisały nitki, dyndając na udzie. Włoski na mocnych rękach i nogach były rozjaśnione od słońca. Stał w szerokim rozkroku, ze stopami wsuniętymi w brudne klapki.

- Coś pani powiem. - Założył okulary przeciwsłoneczne, różo wy sznurek zwiisał mu na karku. - Nigdy jeszcze nikogo nie straciłem. Nigdy nie byłem na pogrzebie. Bardzo się tego boję.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, odwrócił się i ruszył w stronę garażu.

W trzydzieści pięć minut później, kiedy kosił trawnik za domem, w przesuwanych

drzwiach pojawiła się Janice. W ręku trzymała szklankę wody z lodem. Zerknąwszy na nią, Chris przypomniał sobie, że jest niedziela. Dziewczyna miała na sobie jasnobrzoskwiniową sukienkę i białe pantofle na wysokim obcasie. Czekając, aż się zbliży, Christopher okrążył kosiarką rabaty z kwiatami, potem wyłączył silnik, zsunął czapkę na tył głowy i wziął od niej szklankę.

- Dzięki - powiedział.

Janice patrzyła, jak pije z odchyłoną do tyłu głową. Spod krótko przyciętego baczka wypływała mu strużka potu.

- Aaach! - westchnął kończąc. Otarł usta wierzchem dłoni i oddał jej szklankę. - Dziękuję.

- Proszę bardzo. Naprawdę bardzo miło, że to robisz.

- Przynajmniej się nie nudzę.

- Nie powinienes tego bagatelizować. Mama bardzo docenia wszystko, co dla nas zrobiłeś.

- I wzajemnie. Wasza rodzina jest niezwykła. Janice uśmiechnęła się.

- Obudziłem cię kosiarką? - zapytał Chris.

- Nie. Zresztą i tak musiałam wstać, żeby przygotować się do kościoła. Chcesz jeszcze wody?

- Nie, dziękuję... była świetna. - Wskazał głową klomby z kwiatami. - Ona to wszystko robi?

- Tak, w wolnych chwilach. Ciągle jej mówimy: „Mamo, jak możesz spędzać tyle czasu w ogrodzie, skoro przez cały dzień zajmujesz się kwiatami w sklepie?”, ale ona to po prostu uwielbia.

Chris wpatrzył się w jakieś wysokie niebieskie kwiaty z pełnymi kolców łądygami, a Janice przyglądała mu się uważnie, zastanawiając się, czy kiedykolwiek zwróci na nią uwagę. W ciągu ostatnich dwóch lat nie zrobił tego. Teraz, kiedy Greg odszedł, Christopher przestanie u nich bywać, a Janice nigdy nie była kokietką. Co więcej, pora zupełnie nie sprzyjała takim rozważaniom.

- Chodzisz do kościoła, Chris? - zapytała.

- Nie.

- Mama prosiła, żebym ci powiedziała, że jeśli chcesz, możesz iść z nami. Możemy zaczekać na późniejsze nabożeństwo.

- Nie, dziękuję. Może raczej - skinął ręką w stronę kosiarki - skończę strzyc trawnik.

- W porządku. - Janice wytrząsnęła ze szklanki resztki lodu na trawę i ruszyła w stronę



domu. Kiedy była w połowie drogi, zawołała przez ramię: - Gdybyś jednak kiedyś miał ochotę, to zaproszenie nie traci ważności.

- Dzięki.

Christopher patrzył za oddalającą się dziewczyną. Przeświecające przez brzoskwińową sukienkę słońce ukazywało zarys jej halki; nogi miała mocne i zgrabne, wysokie obcasy przydawały im jeszcze uroku. Chris czuł się zażenowany jak mężczyzna, który doskonale zdaje sobie sprawę, że robi wrażenie na kobiecie, choć ona wcale go nie porusza.

Trochę niespokojny, zabrał się na nowo do pracy.

W chwilę później wśród drzew zobaczył panią Reston, która wyszła w brązowo - białym żakiecie z krótkimi rękawami, z torebką przewieszoną przez ramię. Pomachała mu ręką, on pomachał jej, po czym patrzył, jak idzie w stronę garażu.

Niebawem w prześwicie między budynkami ujrzał samochód Restonów wyjeżdżających do kościoła.

Kiedy wrócił do domu, na jego automatycznej sekretarce migotało światełko. Przycisnąwszy guzik, usłyszał głos pani Reston.

- Christopher, mówi Lee. Chciałam ci tylko powiedzieć jedno: pogrzeby są straszne. Jeśli to przemyślisz, dojdiesz do wniosku, że tak naprawdę one są dla żywych.

Próbował o tym pamiętać tego popołudnia, kiedy się kąpał, golił i wkładał garnitur oraz krawat, aby udać się na czuwanie przy trumnie swego najlepszego przyjaciela. Mimo to w samochodzie z klimatyzacją włączoną na cały regulator, kiedy jechał w stronę Domu Pogrzebowego Deweya, prąd chłodnego powietrza nie był w stanie osuszyć potu na jego dłoniach.

Ów dom pogrzebowy był jednym z najładniejszych budynków w mieście. Stał w cienistym zakątku, a jego białe kolumny oraz palladiańskie okna przywodziły na myśl okazałą posiadłość gdzieś na południu Stanów. Idąc w jego stronę, Chris czuł w żołądku wielką kulę strachu. Wnętrze robiło solidne i poważne wrażenie. Większość okien była zasłonięta, więc letnie słońce nie docierało do środka. Choć można by się tu spodziewać płynącej z taśmy muzyki organowej, z głośnika dolatywały ciche dźwięki piosenek z albumu Vince'a Gilla „I Still Believe In You”, które stanowiły tło dla prowadzonych półgłosem rozmów.

Christopher, lekko uśmiechając się z niedowierzaniem, przyglądał dłonią krawat i ruszył w stronę pulpitu z księgą pamiątkową. Właśnie wpisywali się do niej rodzice Lee. Szeptali coś do siebie, popatrując gniewnie na sufit, jakby chcieli wyśledzić źródło owej muzyki.

- ... cóż ona sobie myśli, na Boga! - doleciał Chrisa strzęp ich rozmowy.

- Mogę sobie wyobrazić, co powie ciotka Dolores.

Chris złożył podpis i ruszył za nimi w stronę grupki ludzi. Zobaczył wychodzącą spomiędzy nich Lee; szła przywitać się z rodzicami.

- Cześć, mamó. Cześć, tato. Wiem, co chcecie powiedzieć, ale proszę... Uczcijmy jego życie, a nie śmierć.

- Och, Lee, ludzie już szepczą.

- Kto? - zapytała pani Reston, spoglądając wprost w oczy matki. Ujęła jej dłoń w obie ręce. - Rozmawiałam o tym z dziećmi i tak postanowiliśmy. Nasze wspomnienia o nim będą dzięki temu szczęśliwsze.

Peg Hillier cofnęła dłoń.

- W porządku, rób po swojemu. Orrin, chodźmy się przywitać z Clarice i Bobem.

Kiedy odeszli, Chris zajął ich miejsce. Objął przelotnie Lee.

- Wszedłem tutaj, usłyszałem tę muzykę i nagle przestałem czuć ucisk w gardle, znowu mogłem oddychać. Dziękuję.

Pani Reston uśmiechnęła się i uścisnęła jego dłoń.

- Wysłuchałeś mojej wiadomości?

- Tak.

- Więc dlaczego masz wilgotne i drżące dłonie?

Cofnął rękę nie odpowiadając, wciąż niepewny, jak wypada się zachować.

- Nie masz się czego obawiać.

- Nie wiem, co powinienem robić.

- Podejdz do niego i powiedz: „Cześć”, tak samo jak w samochodzie. To wszystko.

Chris zerknął na trumnę. Poczul, że wszystko w jego wnętrzu się kurczy. Matka Grega pogładziła go po rękawie i lekko popchnęła w stronę katafalku. Podeszedł tam, czując, że serce wali mu jak młotem. Jak przez mgłę widział gąszcz kwiatów otaczających podwyższenie. Pachniały tak intensywnie, że niemal brakowało tlenu do oddychania. Stanął pomiędzy dwoma potężnymi bukietami i spojrzał na leżące na wieku metalowej skrzyni oprawione w ramki fotografie, z których Greg uśmiechał się do niego. Były dwie: na jednej jego przyjaciel stał odziany w mundur policyjny, na drugiej, bardzo nieoficjalnej, miał na sobie pasiastą koszulę polo oraz zieloną czapkę z napisem „Pebble Beach”.

Christopher położył dłoń na gładkim metalu, obok fotografii.

- Cześć - powiedział cicho. - Brakuje mi ciebie.

Jakże bezmyślne jest życie! Uczy się, jak radzić sobie ze wszystkim, oprócz spraw

najważniejszych - małżeństwa, rodzicielstwa, śmierci. Ludzie po prostu kuśtykają przez nie, cały czas robiąc mnóstwo błędów. Christopher czuł, że sam się potyka, i znowu zrobiło mu się żal, że nie ma rodziny, kogoś, kogo mógłby wziąć za rękę, kto zrozumiałby go od razu, bez słów.

Kiedy zdjął dłoń z trumny, zauważył, że jest mu lepiej.

- Cześć - rozległo się za jego plecami. Odwrócił się i zobaczył Joeya, który stał ponuro z rękoma w kieszeniach marynarki.

- Cześć - powiedział Chris. Objął chłopca ramieniem. Stali razem, słuchając Vince'a Gilla, patrząc na zdjęcie Grega, krztusząc się wonią kwiatów.

W końcu Joey zwiesił głowę, gwałtownym ruchem otarł łzy i szepnął:

- Kurczę!...

Chris przytulił go mocniej, przyciskając policzek do włosów chłopaka.

- Tak to jest.

Po lewej stronie pojawiła się Janice, dotknęła jego łokcia i przytknęła twarz do rękawa.

Na drugim końcu sali Lee Reston witała się ze swą ciotką Pearl oraz wujem Melvinem. Wyciskali ją, wymruczeli słowa pociechy, a kiedy odchodzili, Lee spojrzawszy za nimi, zobaczyła Christophera z Janice i Joeyem u boku.

Jakiż to miły młody człowiek! Troskliwy bardziej, niż wymagają dobre obyczaje, wrażliwy na uczucia innych, godny zaufania w dziesiątkach spraw. Od chwili gdy spotkali się z Gregiem, stał się dla niego wzorem - był starszy, doroślejszy, prowadził własne życie. Kiedy Greg wstąpił do policji, Christopher wziął go pod swoje skrzydła i nauczył, w sposób praktyczny, jak postępować z podejrzanymi, przestępcami, a także z niektórymi funkcjonariuszami.

Nauczył też Grega wielu niezbędnych w codziennym życiu spraw: bilansowania książeczki czekowej, uzyskiwania kredytu, gospodarowania pieniędzmi, wypełniania druków podatkowych, utrzymywania samochodu, robienia zakupów i prania. Ledwie Greg opuścił dom, natknął się na człowieka, który pod wieloma względami pomógł mu wydorosnąć.

Christopher Lallek - wrażliwy, solidny, skory do pomocy.

Nawet dzieci, wyczuwając to, Ignęły do niego. Był tym, kim Greg - policjantem, stróżem bezpieczeństwa, kimś, do kogo należy się zwracać w nagłych wypadkach - toteż w chwili śmierci Grega wszyscy zwracali się do niego może nawet częściej, niż powinni. Robił wszystko tak chętnie, że każdy kierował się ku niemu, jak chociażby Joey i Janice w tej chwili. Być może stanowił dla nich namiastkę utraconego brata, ale komu to mogło zrobić

krzywdę? Skoro tak ich do niego ciągnęło, chyba należało im na to pozwolić. Zarówno im, jak i Lee łatwiej było żegnać się z Gregiem wspominając jego życie, które jeszcze tak niedawno dzielił z Christopherem.

Poruszała ją głęboko także jego wrażliwość. Kiedy spojrzał na nią z niezwykle niepewnością, przyznając: „Nie wiem, co mam zrobić”, całym sercem chciała mu pomóc. Była przecież matką. Teraz, kiedy patrzyła, jak stoi, obejmując jej dzieci, znowu poczuła przypływ sympatii.

- Lee... - ktoś podszedł z kondolencjami i pani Reston wróciła do swych obowiązków.

Blisko dwie godziny później, kiedy pożegnała ostatnich gości, za jej plecami rozległ się głos Christophera:

- Pani Reston?

Odwróciła się. Była zmęczona, bardzo chciała znaleźć się już w domu.

- Czy nie miałyby pani nic przeciwko temu, żebym zabrał na chwilę Joeya?

- Nie jasne, że nie. Dokąd się wybieracie?

- Pomyślałem, że zabiorę go na przejażdżkę moim nowym samochodem. Może dałbym mu poprowadzić, to by go podniosło na duchu.

- Och, Chris, tak, jedźcie.

- Da pani sobie radę? Janice będzie z panią?

- O mnie się nie martw. Pojadę do domu i położę się.

- Na pewno? Zdaję sobie sprawę, że matki potrzebują swoich dzieci w takich chwilach, nie chciałbym...

- Zabierz go na tę przejażdżkę. Dobrze mu to zrobi.

- W porządku. - Uśmiechnął się, robiąc krok do tyłu. - I proszę się nie martwić. Przywiozę go do domu bezpiecznie.

Joey zgodził się na przejażdżkę bez wielkiego entuzjazmu, ale kiedy znaleźli się na zewnątrz, na zalanym promieniami zachodzącego słońca bulwarze, Christopher wyczuł, że zainteresowanie chłopca wzrasta.

- Nowy?

- Nowiuteńki. - Chris zdjął krawat i uruchomił silnik. - Greg i ja wybieraliśmy się nim przedwczoraj nad jezioro.

Joey rzucił mu niepewne spojrzenie.

- Jak możesz mówić o nim tak bez troski?

- A co mam robić? Udawać, że nie istniał?

- Nie wiem. Ja nie potrafię o nim mówić. Od razu zaczynam ryczeć.

- I co w tym złego? Musisz, to rycz. Ja się dość naryczałem przez ostatnie dni. Inni koledzy też.

Joey patrzył w okno po swojej stronie, nic nie odpowiadając. Jechali cienistymi ulicami Anoki w stronę Main.

- Głodny? - zapytał Chris.

- Nie.

- A ja tak. Nie obrazisz się, jak stanę gdzieś na hamburgera? Żadnej odpowiedzi. Chris podjechał do okienka dla kierowców baru Burger King i zamówił dwa cheesburgery, dwie porcje frytek i dwie cole. Kiedy w kabinie rozeszła się woń jedzenia, Joey, odwróciwszy głowę, patrzył, jak Chris rozpakowuje swoją kanapkę.

- Chyba jestem trochę głodny - przyznał.

- No to poczęstuj się.

Jedząc burgery i frytki, dojechali wzdłuż Main Street do autostrady nr 10, po czym ruszył na północ, w stronę okręgu Ramsey. W ciągu paru chwil znaleźli się poza miastem, pośród pól kukurydzy i rozległych połaci lasu. Na horyzoncie sterczały jakieś silosy. Dookoła wszystko skwierczało od upału. Zboże falowało na lekkim wietrze, na tle błękitnego nieba widać było wrony. Na płocie z kolczastego drutu wisiała tabliczka z reklamą którejś odmiany kukurydzy. Po podjeździe wiejskiego domu jechało na rowerku dziecko. Jakaś kobieta wkładała list do wiejskiej skrzynki pocztowej i podnosiła na niej czerwoną chorągiewkę. Chłopak mniej więcej w wieku Joeya siedział na leżaku w cieniu półcieńzarówki z napisem

PIERWSZY ZBIÓR ZIELONEJ FASOLKI.

Przed ich furgonetką jechał na traktorze farmer, kosząc zielsko wzdłuż rowu. Dookoła rozchodził się słodki zapach trawy i koniczyny. Cholerne życie! Znowu toczyło się jakby nigdy nic.

- Ile masz lat? - zapytał Chris.

- Czternaście. A co?

- Więc nie masz jeszcze prawa jazdy.

- Jesteś gliną, więc powinieneś wiedzieć.

- Jasne, że wiem. Chcesz poprowadzić?

Oczy Joeya zrobiły się okrągłe. Przechylił się do przodu w fotelu.

- Żartujesz?

- Nie, nie żartuję.

- A nie będziesz miał kłopotów?

- A co masz zamiar zrobić? Rozwalić ten wóz?

- Nie jasne, że nie. Będę uważał.

- No to w porządku... - Chris zjechał na bok. Kiedy żwir przestał chrzęścić pod kołami, wysiadł i obszedł dookoła samochód. Joey prześlizgnął się na jego miejsce, a on usiadł na fotelu pasażera.

- Dopasuj sobie siedzenie, jeśli potrzebujesz. I lusterko. Prowadziłeś już kiedyś?

- Troszeczkę.

- Jeśli czegoś nie będziesz wiedział, pytaj.

Joey jechał ostrożnie, ale dobrze. Ścisnął mocno kierownicę i siedział z plecami odchylonymi o kilka cali od oparcia, lecz nie zjeżdżał ze swojej połowy jezdni, utrzymując stale prędkość pięćdziesięciu mil na godzinę.

Chris wyciągnął rękę i włączył radio.

- Lubisz country?

- Taa...

Travis Tritt śpiewał „Trouble”.

W jakieś siedem minut później Joey zapytał:

- Mogę tu skręcić? - Wskazał wąską żwirową dróżkę.

- Ty kierujesz.

Po kolejnych pięciu minutach chłopak zagadnął:

- Mogę jeszcze raz skręcić?

- Ty kierujesz - powtórzył Chris.

Wysłuchali dwóch kolejnych kawałków country, po czym Chris zapytał:

- Wiesz, dokąd jedziesz?

Joey po raz pierwszy odważył się oderwać oczy od drogi.

- Nie.

Chris zachichotał i rozparł się wygodnie w swym fotelu, wspierając kolano o deskę rozdzielczą.

- Nieźle.

W końcu dotarli do Nowthen, małego opuszczonego miasteczka, zorientowali się, gdzie są, i ruszyli z powrotem ku autostradzie stanowej numer 47, gdzie Chris musiał przejąć kierownicę. Gdy dojechali do Anoki, ulica Main była już prawie zupełnie pusta. Działała tylko przyczepa, w której sprzedawano hot - dogi, chociaż tam nigdy nie było wielkiego ruchu. Kiedy przejeżdżali obok, poczuli nagle obawę, że Greg powraca w ich myśli.

Chris przejechał wzdłuż Main. Minął komisariat policji, zerkając na wozy patrolowe zaparkowane w pobliżu drzwi. Joey też na nie spojrzął i znowu zaczęli wspominać Grega.

Potem chłopak nie mówił już nic do chwili, gdy Chris zatrzymał się przy krawężniku obok domu Restonów. Choć raz na podjeździe nie stało pół tuzina samochodów. Były tam tylko pojazdy Lee, Janice i Grega. Wyciągnawszy dłoń, Christopher ściszył radio. Joey siedział w milczeniu przygnębiony, wpatrzony w przednią szybę.

- Przychodził na wszystkie moje mecze - powiedział wreszcie. - Przez cały czas myślę sobie: kto teraz będzie mi kibicował?

- Ja - odpowiedział Chris.

Joey tylko odwrócił głowę. Przyglądał się posepnie przyjacielowi brata, ale nie mówił nic. Jego oczy lśniły. Chris położył mu dłoń na ramieniu.

- Dasz sobie radę, chłopie. Masz niezmierną rodzinę. Trzymaj się ich. Pomogą ci.

Dostrzegł jakiś ruch w drzwiach wejściowych. To Lee, zbliżywszy się do nich, wyjrzała przez ekran z siatki. Stała z założonymi na piersiach rękami, jak zatroskana matka, która stara się nie okazywać niepokoju. Nawet z tej odległości dawało się wyczuć ulgę, jaką sprawił jej powrót Joeya.

Chłopak wysiadł, trzaskając drzwiami. Chris pozdrowił panią Reston uniesieniem dłoni, ona zrobiła to samo, po czym otworzyła siatkowe drzwi, by wpuścić syna. Musi jej być bardzo trudno, pomyślał Chris, nie ograniczać wolności dzieci, kiedy utraciła już dwoje. Usiłować nie zamartwiać się każdą chwilą, kiedy nie ma ich na oku.

Jadąc do domu, sporo o tym dumał. Widział ją stojącą w drzwiach z założonymi rękoma, bez uśmiechu na twarzy.

Lee i Sylvia postanowiły nie otwierać kwaciarni w poniedziałek, w dniu pogrzebu. Tego ranka Lee wyruszyła samotnie, aby przygotować kwiaty na trumnę, tak jak chciała. Odziana w lawendowy fartuch, słuchając taśmy z muzyką Dworaka, wykonała jedno z najpiękniejszych przybrań w życiu. Było surowe, a zarazem czyste, składało się z wonnych gardenii i kalii o szlachetnej linii. Upinając kwiaty, raz po raz ocierała ramieniem łzy.

Musiała przez to przejść. Była jego matką, a poza tym jej praca polegała właśnie na układaniu kwiatów. I wreszcie była to ostatnia rzecz, jaką mogła zrobić dla syna przed złożeniem go w ziemi.

Skończywszy, zadzwoniła do Rodneya, swojego dostawcy.

- Już, Rodney - powiedziała cicho - możesz przyjechać i zabrać to.

Wpuściła go tylnymi drzwiami.

Mimo niedorozwoju umysłowego Rodney był bardzo pomocny. Dostarczał im kwiaty. Teraz stał z mocno zaciśniętymi ustami, aby nie wybuchnąć płaczem - widział Lee po raz pierwszy od śmierci Grega.

Zdjawszy czapkę z daszkiem, miętosił ją w obu dłoniach.

- Bardzo mi przykro, pani Reston.

- Wszystkim nam jest przykro, Rodney - powiedziała, kładąc mu dłoń na ramieniu. -  
Dziękuję.

Gdy wyszedł z wieńcem, Lee wyłączyła magnetofon i usiadła ciężko na taborecie, który stał na zapleczu, pomiędzy wielką chłodnią a metalowym stołem. Teraz, kiedy w pobliżu nie kręcili się klienci ani pracownicy, było tu tak spokojnie. Widać było tylko bukiety kwiatów i rośliny w doniczkach. W powietrzu unosił się znajomy zapach ciętych łądóg. Boże, jakże się cieszyła, że wreszcie jest sama! Oparła przedramię na stole, spojrzała na swą dłoń i znowu zobaczyła na niej brud. Trzy dni spędziła z dala od kwiatów, miło było mieć choćby przez kilka godzin wypielegnowane białe dłonie. Teraz znowu widniały na nich plamy. Potarła jedną z nich kciukiem... tarła coraz mocniej i mocniej, aż wreszcie oczy przesłoniła jej mgła. Sięgnęła do kieszeni fartucha po chusteczkę. Wytarła oczy, ale znowu, szybciej niż poprzednio, wypełniły się łzami. W końcu, pośród kwiatów i ciszy, po raz pierwszy od śmierci Grega naprawdę sama, opuściła głowę na metalowy blat stołu i poddała się rozpacz.

- Greg... Greg... - wykrzykiwała łkając głośno, aż zarówno jej twarz, jak i blat były mokre od łez, a metal ogrzał się od jej skóry. Leżała bezwładnie na lśniącej blacie dając upust żalności, która przepełniała jej serce. To niesprawiedliwe... niesprawiedliwe! Poświęciłam na jego wychowanie tyle czasu i miłości, a teraz go nie ma. Tyle planów na przyszłość, na całe życie, zniszczonych na samym jego początku.

Uspokoiwszy się, leżała przez chwilę z policzkiem w kałuży łez. Szlochała jeszcze, ale coraz rzadziej, coraz ciszej.

Wreszcie podniosła głowę. Wytarła twarz i stół, westchnęła głęboko i przez chwilę siedziała, rozglądając się po sklepie. Czekala, aż w miejsce tamtych dręczących uczuć pojawią się jakieś krzepiące myśli.

Nagle Greg wydał się jej bardzo bliski, nieomal jakby stał obok i czekał, by ją pocieszyć.

- No cóż, miałam cię przez dwadzieścia pięć dobrych lat, prawda, kochanie? - powiedziała na głos. - Do licha, chyba lepiej, by to było dwadzieścia pięć dobrych niż sto złych. No i nadal mam Janice, Joeya... i całe tuziny innych, którzy za niecałe trzy godziny przyjdą na pogrzeb.

Pogrzeb... Lee odetchnęła głęboko i wstała z taboretu. Prawda była taka, że właśnie przed chwilą odprawiła swój własny, prywatny pogrzeb Grega. W porównaniu z nim ten, który czekał ją o drugiej, powinien być łatwy.



Na pogrzeb Grega Restona przybyło trzystu pięćdziesięciu funkcjonariuszy policji z całego stanu Minnesota. Wozy patrolowe wypełniły całe dwa parkingi i jeszcze zabrakło miejsca. Przykuwali uwagę, kiedy wchodzili dwójkami do kościoła. Mieli na sobie wyjściowe mundury, jasnoniebieskie, granatowe, brązowe oraz śnieżnobiałe, zarezerwowane dla kapitanów i komendantów posterunków. Przybyli z rejonu Bliźniaczych Miast i z odległych małych osad; zjawili się przedstawiciele miejskich komisariatów, Stanowej Policji Drogowej oraz biur szeryfów ze wszystkich osiemdziesięciu siedmiu okręgów. Każdą z odznak policyjnych przecinała czarna żałobna wstążka. Kroczyli z powagą, wypełniając kolejne ławki, aż cały kościół luterński Łaskawości Bożej przybrał wygląd migotliwego, impresjonistycznego obrazu.

Lee Reston patrzyła na ich wejście z rosnącym zdumieniem. Było ich tak wielu! Wywierali wrażenie! Nagle z tych wszystkich sylwetek wyodrębniła się postać w granatowym mundurze, zbliżająca się do niej.

- Dzień dobry. - Christopher czapkę z daszkiem trzymał pod lewą pachą. Ujrawszy go w pełnym umundurowaniu Lee, która dotąd widywała go wyłącznie po cywilnemu, poczuła nowy przypływ wzruszenia. W pełnym rynsztunku, w granatowym mundurze z odznaką policyjną i identyfikatorem, w krawacie, z pistoletem u pasa, wydawał się o kilka cali wyższy, o kilka lat starszy i znacznie dostojniejszy. Lee była z niego dumna. Raz jeszcze dostrzegła, jak bardzo jest męski.

- Witaj, Chris.

Wymienili oficjalny uścisk dłoni. Chris zachowywał się jak na człowieka w mundurze przystało. Choć ich oczy wyrażały tylko pełne żalu powitanie, zdołali sobie milcząco przekazać słowa pociechy, sięgające głębiej niż zdawkowe kondolencje większości żałobników, którzy dziś będą łkać, a w przyszłym tygodniu zapomną o wszystkim. Trzymając jego dłoń, Lee wyczuła w nim siłę, na którą zareagowała w sposób niesłychany. Czuła, że są czymś więcej niż dwiema osobami, z których jedna utraciła syna, a druga przyjaciela - wiedziała, że są kobietą i mężczyzną.

Chris puścił jej dłoń i rzekł:

- Cześć, Janice... Joey. - Choć powitał całą trójkę, następne słowa skierował wprost do Lee: - Kiedy Greg zmarł, nasz kapelan przyszedł z nami porozmawiać. Powiedział coś, co zapomniałem pani przekazać: kiedy po raz ostatni rozmawiał z pani synem, Greg wyznał mi, że przepada za pracą w policji i bardzo mu żal ludzi, którzy tak bardzo nie znoszą tego, co robią, że co dzień idą do pracy ze wstrętem. Powiedział: „Kocham moją pracę, bo lubię pomagać ludziom”. Pomyślałem, że chciałaby pani dziś o tym wiedzieć. Był dumny z tego, że

jest policjantem.

- Dziękuję, Christopherze.

Chris odchrząknął i zerknął na stojących w pobliżu mężczyzn. - Proszę pozwolić, że przedstawię pani pozostałych, którzy poniosą trumnę.

Lee uściśnęła dłonie policjantów i wysłuchiwała kondolencji. Potem Christopher tonem nader oficjalnym, tak jak poprzednio, powiedział:

- Pani syn był bardzo lubiany w firmie.

- Ja... no cóż, jestem zaskoczona... Tylu was przyszło.

- Przyjechali z całego stanu.

- Ale aż tylu...

- Zawsze tak jest, kiedy umiera policjant.

- Sądziłam, że tylko wtedy, gdy ginie na służbie.

- Nie, proszę pani.

Umilkli, patrząc sobie w oczy. Chris pojął, że po trzech dniach bliskich kontaktów jego oschła postawa musi się wydawać dziwna.

- Da pani sobie dziś radę? - zapytał nieco cieplejszym tonem. Lee zdobyła się na sztywny uśmiech. - Janice? Gdybym mógł ci w czymś pomóc, daj mi znać. Joey... podobała mi się nasza wczorajsza przejażdżka. Jeśli kiedyś będziesz miał ochotę znowu sobie pojeździć, zadzwoń. Może następnym razem, jeśli akurat będę na służbie, uda mi „się zabrać cię do wozu patrolowego... oczywiście ja będę prowadził.

Uśmiechnął się do chłopaka, który odpowiedział mu nieporadnym półuśmiechem. Potem Christopher odszedł, aby z elegancją człowieka w mundurze przywitać innych członków rodziny.

Nabożeństwo żałobne nie stało się dla Lee serią zamglonych obrazów, jak się spodziewała, ale szeregiem bardzo wyraźnych zdarzeń. Obserwowała je spokojnie, jak kobieta, która zdążyła już wylać najgłębszy żal i teraz oplakuje stratę bardziej na użytek otoczenia.

Niosąc wraz z pięcioma kolegami trumnę, Christopher zachowywał sztywną postawę, patrzył prosto przed siebie, ramiona miał wyprostowane, a daszek czapki idealnie równoległy do podłogi. Lee spoglądała na niego, myśląc o swoim synu, o tym, jak bardzo był dumny z munduru, jak bardzo lubili go koledzy. Stwierdziła, że w jej myślach jest bardzo niewiele smutku.

Białe kwiaty, które przygotowała rano, zakrywały dwie trzecie trumny. Kiedy ludzie dowiadawali się, że to dzieło Lee, płakali jeszcze mocniej.

Dziadek Lloyd wygłosił mowę pogrzebową. Zrobił to z uśmiechem na twarzy i sprawił, że wszyscy śmiali się głośno, słuchając jego wspomnień z dzieciństwa Grega.

Janice i Joey przez cały czas trzymali się za ręce.

Wielebny Ahldecker pomimo lata miał katar i pośród modlitw zdarzyło mu się kilka razy kichnąć.

Sally Ulmand grała na organach wprost cudownie, ale Rena Tomland wyjechała na urlop, a solistka, która ją zastępowała, wypadła dość marnie.

Matka Lee kupiła na tę okazję nowy czarny kostium i pełnymi łez oczyma spoglądała surowo na letnie kolory, w jakie spowite były otaczające ją kobiety.

Obecność tak wielu stróżów prawa napełniła Lee pewną dumą, która pomogła jej przetrwać nabożeństwo. Potem przez miasto przejechała długa na półtorej mili kawalkada lśniących aut. Kiedy kondukt mijał skrzyżowania, dyżurujący na nich policjanci zatrzymywali ruch i oddawali honory.

Na cmentarzu funkcjonariusze otoczyli grób Grega i utworzyli szpaler, przez który Chris wraz z kolegami przeniósł trumnę. Odmówiono modlitwę, trębacz odegrał sygnał, po czym sześciu policjantów wyjęło pistolety i oddało pożegnalną salwę.

Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz. Wszystko się dokonało.

Samochody kolejno odjeżdżały. Rodzina, otoczona przez przyjaciół szepczących słowa pociechy, zwlekała z odejściem. Któraś ze starszych ciotek oderwała z przybrania trumny gardenię i zabrała ją na pamiątkę. Ludzie szli do samochodów powoli, trzymając się za ręce. Być może bardziej niż w ciągu ostatnich dni doceniali teraz życie, błękit nieba i piękno ziemi.

Lee objęła ramionami dzieci. Idąc pomiędzy nimi w stronę samochodu, uświadamiała sobie - choć może nie były to myśli w tej chwili stosowne - że jej wysokie obcaszki zagłębiają się w trawnik. Było to typowe dla pogrzebów - przy jakiejś innej okazji kobieta chodzi po trawie w pantoflach na obcasie? Zastanawiała się, jak w najsmutniejszej chwili swojego życia może myśleć o tak idiotycznie błażej sprawie. Ale takie właśnie były te przełomowe chwile: niosły ze sobą własne, małe możliwości ucieczki. Kiedy myślała o obcasach, jej oczy były suche.

Potem przez dwie godziny przykościelną salkę wypełniał zapach kawy, makaronu z pomidorami oraz ozdobionego bananami deseru owocowego. Raz jeszcze liczba tych, którzy przyszli złożyć wyrazy szacunku, przytłoczyła Lee.

Koledzy Grega ze szkoły średniej, policjanci z żonami, byli koledzy z pracy Billa, ludzie, od których kupowała kwiaty, członkowie Kościoła luterańskiego, których ledwie

znała, szkolne koleżanki i koledzy Janice oraz Joeya, niektórzy z rodzicami. Przyszedł trener, który ćwiczył Grega w lekkiej atletyce: nauczycielka angielskiego przyniosła wiersz napisany przez zmarłego w szkole. Przybyli nawet jacyś ludzie, którzy twierdzili, że jako dwunastolatek przynosił im gazety.

- Aż trudno w to uwierzyć - powtarzała Lee, ściskając im dłonie, przyjmując ich kondolencje oraz wyrazy szczerej troski. - Trudno uwierzyć... Tylu ludzi.

- Przewinął się przez życie bardzo wielu osób - powiedziała jej matka. I nie tak łatwo będzie im o nim zapomnieć. Jane Retting, jego dawna dziewczyna, nigdy nie przestała do niego dzwonić. Nolan Steeg podszedł do Lee nieśmiało i zapytał, czy mógłby dostać jakąś małą pamiątkę po Gregu, coś, co należało do niego. Janice miała jeździć jego samochodem. Joey chciał dostać jego kasety i płyty kompaktowe. W salonie dziadków wisiało zdjęcie Grega. A Christopher Lallek wróci do mieszkania, które z nim dzielił.

Salka zaczęła w końcu pustoszeć. Chris był jednym z ostatnich, którzy pozostali. Składał metalowe krzesła, podawał zmęczonej obsłudze kuchni filiżanki po kawie.

Lee stała w pobliżu drzwi z kilkorgiem krewnych, rozmawiając na temat tego, co jeszcze zostało do zrobienia, do kogo wysłać kartki z podziękowaniami, do jakiego domu starców odesłać kwiaty. Peg Hillier wręczyła jej jakiś zeszyt oraz białe pudełko, mówiąc:

- To jest księga pamiątkowa i pozostałe klepsydry. Co z nie otwartymi listami kondolencyjnymi? Mamy je zabrać czy ty to zrobisz?

Lee zerknęła na Chrisa. Stał z boku w tym swoim sztywnym granatowym mundurze, z policyjnym znaczkiem przesłoniętym kirem. Miała ochotę podbiec do niego i szepnąć: „Zabierz mnie na przejażdżkę swoim nowym samochodem, żebym nie musiała zajmować się następnymi szczegółami ani słuchać tych smutnych głosów, ani podejmować kolejnych decyzji! Po prostu zabierz mnie stąd!”

Zamiast tego odpowiedziała coś matce, podziękowała krewnym, złożyła wyrazy wdzięczności paniom z kółka parafialnego, które kończyły w kuchni zmywanie, po czym wyszła z budynku, niosąc plik kart z kondolencjami oraz karteczki odczepione od chyba dwudziestu wieńców.

Kiedy wyszła na późno popołudniowe słońce, odetchnęła z ulgą. Joey i Janice siedzieli w cieniu na trawie, a wraz z nimi grupka przyjaciół, ich i Grega - Kim, Nolan, Sandy, Jane, Denny Whitman. Lee poszukała wzrokiem Christophera, ale nie było go widać. Jego explorer zniknął także. Nie wiadomo dlaczego poczuła się rozczarowana. Nie miała prawa niczego innego oczekiwać - po cóż miałby zostawać z tymi smutnymi ludźmi? Zrobił więcej, niż do niego należało, od piątkowego popołudnia był praktycznie na każde zawołanie.

- Czy Christopher już pojechał? - zapytała młodzieży.

- Tak - odpowiedziała Janice. - Prosił, żeby cię przeprosić, że się nie pożegnał, ale byłaś akurat zajęta.

- Och...

- Powiedział, że zadzwoni.

Lee odwróciła się, aby nie pokazać, jak bardzo jest zawiedziona. Miała ochotę pojechać do domu, wystawić na taras dwa leżaki, może nawet otworzyć kilka piw i siedzieć obok niego, nie odzywając się ani jednym cholernym słowem. Nie miała pojęcia dlaczego, ale - choć wiele osób jej to proponowało - na dzisiejszy wieczór życzyła sobie wyłącznie jego towarzystwa. Nie własnych dzieci, nie rodziców, sąsiadów, przyjaciół. Kiedy oni byli w pobliżu, musiała z nimi rozmawiać, ścisnąć ich, podawać im jedzenie, zbierać puste szklanki, patrzeć, jak ogarnia ich to udawana wesołość, to znów przygnębienie, słuchać ich słów. A ona pragnęła tylko ciszy i kogoś, z kim mogłaby ją dzielić.

Tam jednak były jej dzieci i nie mogła im powiedzieć: „Zostawcie mnie na chwilę samą”.

- Chcecie już jechać do domu? - zawołała.

- Jasne, ale czy oni mogą do nas wpaść na chwilę?

Lee powstrzymała westchnienie. Jej dzieci także potrzebowały wsparcia, a ci młodzi ludzie mieli go im udzielić.

- W porządku - odpowiedziała.

Młodzież wstała z trawy, wygładzając ubrania. Lee zdała sobie sprawę, że minie trochę czasu, zanim wszystko wróci do normy i jej życie będzie znowu należało tylko do niej.

## ROZDZIAŁ 5

Wieczór zasnuwała złocista mgła. Tego dnia, kiedy Christopher jechał do domu, wydawało mu się, że godzina szczytu jakoś dziwnie się przeciąga. Zapomniał, że to poniedziałek, więc ludzie zajęci są zwykłą krzątaniem - kupują chleb, tankują benzynę, tracą czas na skrzyżowaniach, chcąc skręcić w lewo. Ostatnie cztery dni skutecznie wytrąciły go z rytmu. Życie, zarówno jego, jak i bliskich mu osób, zwolniło tempo i teraz wydawało mu się, że cały świat gna gdzieś nieprzytomnie. Przechodzący obok ludzie wydawali mu się zbyt hałaśliwi, niedelikatni, choć doskonale wiedział, że nie mogą mieć pojęcia o śmierci Grega Restona i jego żałobie.

Na myśl o wejściu do pustego mieszkania zwolnił do pięciu mil na godzinę. Przypomniał sobie młodych Restonów siedzących na trawie pośród przyjaciół. Tuż po stypie zastanawiał się, czy nie podejść i nie dołączyć do nich, ale był na to za stary. Nie pasował do nich. Tak naprawdę miał ochotę pobyć z Lee, ale był z kolei za miodny, do niej także nie pasował. Poza tym wyczerpał już chyba zasoby jej gościnności. W końcu nie należał do rodziny.

Ponieważ nie miał dokąd pojechać, ruszył w stronę domu.

Mieszkanie było ciche i duszne. Rozsunął szklane drzwi i wyszedł na taras, skąd rozciągał się widok na tereny piknikowe Cutter's Grove Park. W oddali, pomiędzy wysokimi, okrytymi zielenią drzewami, połyskiwała Missisipi. Słońce nadal stało wysoko, oświetlając wierzchołki drzew oraz dach parkowej altany. Kilka matek urządzało w niej akurat urodzinowe przyjęcie dla dzieci. Między podtrzymującymi dach altany słupkami rozpięte były papierowe serpentyny, a z rusztów do pieczenia mięsa unosił się dym. Maluchy robiły balony z gumy do żucia, wielkie jak piłki do koszykówki. Ich krzyki dolatywały aż do Chrisa: - Popatrz na ten! Popatrz na ten!

Jego matka nigdy nie urządziła mu urodzinowego przyjęcia, które warto by wspominać.

Wszedł z powrotem do mieszkania. Rozluźnił krawat, rozpiął guziki koszuli, zdjął spodnie. Otworzył drzwi lodówki i prześlizgnąwszy się wzrokiem po soku pomarańczowym Grega, sięgnął po sprite'a. Otworzył puszkę, a kiedy pociągnął łyk, zobaczył, że na automatycznej sekretarce pali się czerwone światełko.

Nacisnął guzik, poczekał, aż maszyna przewinie taśmę, po czym usłyszał dwunastoletni głos:

- Hej, chłopie, co się z tobą do diabła dzieje! Pedziałeś, że zrobimy coś w ten

weekend. Pedziałeś, że zadzwonisz i pojedziemy pływać albo coś. Gówno, facet, ty jesteś taki sam jak inni, nigdy nie myślisz tego, co mówisz. No to się nie męcz i nie dzwoń do mnie. Mam lepsze rzeczy do roboty, niż siedzieć i czekać, aż jakaś kłamliwa, guzik warta świnią zadzwoni, żeby wciskać mi kit. - Klik!

Judd.

Do licha, zapomniał o Juddzie. Wciąż patrząc na telefon, ze znużeniem opuścił rękę, w której trzymał napój.

Judd Quincy, lat dwanaście, płeć męska, czarny; drobne kradzieże w sklepach, ucieczki z domu, wagary, niszczenie szkolnego mienia, kradzieże rowerów; syn dwojga znanych narkomanów, odrzucony przez rodziców, odbicie Christophera Lalleka w tym samym wieku.

Biedny mały bękart. Był bękartem, nie da się zaprzeczyć. Zarówno jego matka, jak i „tatusz” byli biali, a skóra Judda miała kolor jasnobrażowy. Może właśnie dlatego stary maltretował go raz po raz. Jego matkę również.

Chris podniósł słuchawkę i wystukał numer.

- No, co tam? - odezwał się chłopak.

- Judd?

- Kurczę, facet, czego chcesz? - usłyszał po chwili.

- Odebrałem twoją wiadomość.

- Taa... no i co?

- No i nie złość się na mnie, dobrze?

- Nie złościć się na ciebie! Człowieku, ty mnie okłamałeś! Siedzę w tej dziurze przez cały weekend i myślę sobie, że pojedę nad jezioro! Mój kumpel, Noise, jak mu o tobie opowiadałem, twierdzi, że zalewam. Według niego każdy gliniarz pierdoli takich obszcymurów jak ja.

- Znowu używasz tego słowa?

- A czemu, kurwa, nie miałbym używać?

Chris wbił wzrok w podłogę. Pocierał czoło palcami, starając się ostrożnie dobierać słowa:

- Stało się coś, Judd?

- Tu się ciągle coś staje. To najbardziej stające miejsce, jakie w życiu widziałeś.

- Ale coś gorszego niż zwykle?

- Czemu się po prostu nie odwalisz, facet? Dalej, jedź sobie nad jezioro ze swoimi pieprzonymi kolesiami.

- Co ci zrobili, Judd?
- Nic mi nie zrobili, powiedziałem ci już!
- A więc wszystko w porządku?
- A co cię to obchodzi?

Chris postanowił zmienić taktykę.

- Wiesz co?... Potrzebna mi teraz jakaś przyjazna dusza. Myśl, że może być komuś potrzebny, udobruchała nieco Judda.

Chłopcy tacy jak on wiedzą od chwili, gdy nauczą się myśleć, że nikt nigdy ich nie chce, a tym bardziej nie potrzebuje.

- Bujasz, glino.

Niezależnie od wszystkiego Judd cierpiał na kryzys tożsamości. Mówił na poły jak nieźle wykształcone białe dziecko, na poły jak czarny raper.

- Masz wolną godzinkę?
- Na co?
- Na przejażdżkę. Przyjadę po ciebie.
- Nie tutaj.
- Tam, gdzie zechcesz. Judd pomyślał przez chwilę.
- Siedem - Jedenaście, tak jak zawsze.
- Siedem - Jedenaście. Daj mi pięć minut na zdjęcie munduru.

Kiedy Chris wjechał na parking Siedem - Jedenaście, Judd stał oparty plecami o wystawę, wspierając podszwę trampka na biegnącym pod nią murku. Ręce aż po łokcie wsunął w kieszenie krótkich czarno - zielonych spodni. Jego wątle, wyprężone ciało okrywała koszula, w którą spokojnie zmieściłby się Michael Jordan. Włosy miał czarne, kędzierzawe, nad lewym uchem jaśniała pomiędzy nimi błyskawica, wygolona niezdarnie, jak gdyby domową maszynką.

Patrzy! na wjeżdżającego explorera, nie zdejmując nogi z murku. Chciał pokazać, że nie ma zamiaru sikać po nogach z powodu czyjejs nowej czerwonej furgonetki z fikuśnymi spoilerami, szyberdachem i chromowanymi kołami. Nie poruszał się, a jedynie przesuwiał wzrok, nie tracąc z oka nadjeżdżającego pojazdu ani jego kierowcy.

Zatrzymawszy się, Chris spojrział na chłopaka przez otwarte okno po swojej stronie.

- Tee! - powiedział.
- Po co mówisz jak czarny chłopak?
- A po co ty mówisz jak czarny chłopak?
- Ja żem jest czarny.



- Może i tak, ale jeśli chcesz dojść do czegokolwiek na tym świecie, to nie ma sensu, żebyś gadał jak głupi czarny. Wsiadaj.

Judd odepchnął się od ściany, po czym, starannie powłócząc przy każdym kroku nogami, ruszył w stronę furgonetki, wsiadł do środka i rozwalił się w swoim kącie, rozsuwając szeroko kolana.

- Zapnij pas. Znasz przepisy.

- Mendo waty glina.

- Zgadza się. Zapnij pas.

Chłopak wykonał polecenie, ale zaraz zaczął odgrażać się jazgotliwie, wymachując palcem i krzywiąc twarz:

- Mogłem by za to na ciebie donieść, wiesz? Nawet w szkole nie mogom nam mówić, jak mamy mówić. Takie som zasady. Mamy naszom kulturę i mogemy jom zachowywać.

- Ja nie jestem twoim nauczycielem, a jeśli chcesz wiedzieć, to zachowujesz niewłaściwą część tej swojej kultury. Poza tym, komu chcesz na mnie donieść?

- Komuś.

- Komuś. - Chris spojrzał w sufit, kręcąc sardonicznie głową.

- Taa, komuś. Twojemu kapitanowi na ten przykład.

- „Na ten przykład”!... Słuchaj, mówisz jak głupek! Powiedziałem ci już, że jeśli chcesz się któregoś dnia z tego wyrwać, zrobić coś z sobą, mieć samochód taki jak ten i pracę, do której będziesz mógł się porządnie ubierać, i szacunek ludzi, to zacznij mówić jak człowiek mądry. Bo jesteś mądry. Mógłbym znieść ten bełkot, gdyby był prawdziwy, ale kiedy przymknąłem cię po raz pierwszy za te złodziejskie sztuczki, mówiłeś tak samo jak każdy dzieciak w twojej dzielnicy.

- Facet, ty gównon wiesz o mojej dzielnicy, więc po co ta mowa?

- Akurat! Jak ci się zdaje, ile razy w miesiącu muszę tam nadstawiać dupy?

- Ja mara dwanaście lat. Nie wolno ci tak do mnie mówić.

- Wiesz co? Zawrzemy umowę. Ja będę mówił ładniej do ciebie, a ty będziesz mówił ładniej do mnie. Przede wszystkim przestaniesz używać tego słowa na „p”. A po drugie, zaczniesz się wyrażać prawidłowo. Mówi się „mnie”, a nie „mie”.

Judd wykrzywił z niesmakiem usta, odwrócił twarz do okna i wydał z siebie świszczący dźwięk, coś w rodzaju: - Góww...

- Wiem, że chcesz w ten sposób odwdziżyć się swojemu tacie.

- To nie jest mój tato.

- Może i nie, ale to on płaci czynsz.

- I kupuje marychę i śnieg.

Marycha i śnieg oznaczały marihuanę oraz kokainę.

- I to się właśnie stało w ten weekend?

Judd znowu się ożywił; jego kościste kolana zaczęły podskakiwać.

- Jak masz zamiar mnie gnębić przez resztę przejażdżki, to lepiej wysiądę! - odpowiedział.

- Czy to właśnie zdarzyło się w weekend? - nie ustępował Chris. Chłopak wtulił się w swój ką, wyglądając przez okno.

- No i co masz zamiar zrobić? Odstawić mnie znowu do pogotowia? - zapytał nonszalancko.

- A chcesz tego?

Odpowiedzią Judda było pełne buntu milczenie. Bywali tacy, którzy trafiali do pogotowia opiekuńczego i wychodzili stamtąd tyle razy, że traktowali to z pełnym cynizmem, ale w głębi duszy te biedne dzieciaki nie tęskniły za niczym tak bardzo jak za bezpieczeństwem. Nie mogły go zapewnić dwu - , trzydniowe pobyty w pogotowiu. Pracownicy opieki społecznej odwiedzali w tym czasie ich domy, aby w trakcie pokrzepiających pogadań proponować pracę ich rodzicom, którzy i tak woleli żyć z zasiłku. Skutek był zawsze ten sam: rodzice obiecywali poprawę, przez dzień lub dwa żyli przykładowo, a potem - nim minął tydzień - wracali do narkotyków i alkoholu.

- No dobra, powiem ci - zgodził się Judd. - W sobotę wieczorem urządzili sobie balangę. Przyszło trochę znajomych. Kiedy byli na haju, zaczęli w dużym pokoju robić wygibasy...

- Wygibasy?

- Taa. No wiesz... - Judd obrzucił Chrisa spojrzeniem, w którym było tyleż obojętności, co zadziorności. - To słowo, którego mi nie pozwalasz używać. Potem ktoś chciał zmienić partnera i wybuchła bójka. Stary dał w szczękę starej, aż wyleciał jej ząb, a wtedy ona też zaczęła go grzmocić.

- Ciebie też ktoś uderzył?

- Nie.

- Na pewno?

Judd nie chciał odpowiedzieć.

- I co zrobiłeś?

- Wskoczyłem przez okno. Poszedłem do Siedem - Jedenaście i zadzwoniłem do ciebie, tak jak powiedziałeś. Ale ciebie nie było. Gdzieżeś ty do diabła był, człowieku?

- Na pogrzebie mojego najlepszego przyjaciela.

Gdyby Judd był jakimś innym dwunastolatkiem, zapewne odwróciłby się gwałtownie. Ale Judd to był Judd, na przejmowanie się problemami innych ludzi pozostawało w nim bardzo niewiele energii. Całe jej zapasy pochłaniało mu zachowanie własnego życia. Więc po prostu spojrzął w stronę Chrisa i zapytał:

- Kogo?

- Grega. Zginął w piątek w wypadku motocyklowym.

Judd rozważał te wieści. Jego twarz pozostała kamienna, lecz w głębi oczu, którymi patrzył bez jednego mrugnięcia, coś się działo. Po chwili, odwróciwszy wzrok, znowu zaczął wyglądać przez przednią szybę.

- Facet, to prawdziwy cios. Chris nie powiedział nic.

Przez chwilę jechali w milczeniu, po czym chłopak zapytał:

- I co, rozkleiłeś się czy jak?

- Taa. Brak mi go. Paskudnie jest bez niego w mieszkaniu. Jechali dalej. Christopher czuł, że myśl o śmierci przyjaciela zmienia nieco chłopca, że traci nieco buńczuczności. Lecz Judd nie miał się od kogo nauczyć, jak wyrażać smutek czy też współczucie, więc powtórzył tylko:

- Facet, to prawdziwy cios. Milczeli przez chwilę.

- Jesteś głodny? - zapytał wreszcie Chris.

Judd wzruszył ramionami i odwrócił wzrok. Chris podjechał pod okienko baru dla zmotoryzowanych, zamówił dwie porcje kurczaka z sałatką, cztery paczuszki sosu słodko - kwaśnego i dwa kartoniki mleka. Pojechali na przystań i usiedli przy stole piknikowym, patrząc, jak zachodzące słońce odbija się w wodzie.

- Przepraszam, że mnie nie było w sobotę wieczorem - powiedział Chris.

- Paskudnie z tym twoim kumplem.

- Cóż, muszę się z tym pogodzić. Nikt nigdy nie obiecywał, że życie będzie fair.

- Faktycznie, nie znam nikogo takiego.

- A jednak musimy się jakoś trzymać. Wiesz, co mam na myśli? Judd przełknął kolejny kęs kurczaka i kiwnął potakująco głową.

- Zjedz też sałatkę. Dobrze ci zrobi. I wypij mleko. Chłopak odchylił głowę, przełknął trzy razy, po czym otarł usta grzbietem dłoni.

- Ten twój przyjaciel... miał jakichś ludzi, co go dobrze traktowali, czy tak jak ty i ja?

- Miał rodzinę. Idealną.

Judd zwiesił głowę, patrząc na zadarte noski swoich straszliwie znoszonych tramppek,

które opierał o ławę, szeroko rozstawiwszy nogi.

- Powiedzieć ci coś? - zagadnął Chris. Czekał przez kilka sekund, pochylony do przodu niczym koszykarz na ławce rezerwowych. - Kiedy miałem tyle lat co ty, zazdrościłem dzieciakom, które miały porządnych rodziców. Traktowałem je jak pluskwy, nie rozmawiałem z nimi, wiesz? Problem polegał na tym, że jedyną osobą, która na tym cierpiała, byłem ja, bo nie miałem żadnych przyjaciół. Życie bez przyjaciół jest nędzne. Potem wyrosłem i zdałem sobie sprawę, że nikt nie jest winien temu, że moi rodzice są alkoholikami. Mogłem dalej chodzić z tą zadrą w sercu, albo się jej pozbyć. Pozbyłem się i stwierdziłem, że na świecie jest trochę miłych ludzi.

Postanowiłem, że ja też będę porządny, nie taki jak moi starzy. I dlatego zostałem gliną.

Siedzieli w zapadającym zmierzchu, rozmyślając nad tym, co powiedział. Judd dokończył jedzenie. Po jakimś czasie Chris objął ramieniem kościstą szyję chłopca i ruszyli z powrotem w stronę furgonetki. Kiedy do niej dochodzili, Judd powiedział:

- To cholernie fajna bryka, chłopie. Kupię sobie taką kiedyś.

Następnego dnia Chris wrócił do pracy. Wpisano go na „pieską wachtę”, od 2 wieczorem do 7 rano. W komisariacie był na godzinę przed rozpoczęciem dyżuru, jak tego wymagano. W szatni skrzeczał na ścianie głośnik radiowy, trzaskały drzwi metalowych szafek. Przebijający się policjanci prowadzili zwykłe pogawędki. Nokes podszedł do Christophera.

- Jak się masz, Chris? - zagadnął, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Dziwnie tu jakoś bez niego.

- Tak, pewnie, że dziwnie. - Nokes uściśnął go i poczłapał ku swojej szafce. W policji miasta Anoka pracowało dwudziestu dziewięciu etatowych zaprzysiężonych funkcjonariuszy, więc Chris nie zawsze miał tę samą zmianę co Greg. Jednakże dość często stali razem w przejściu pomiędzy szafkami, pogadując ze sobą i dowcipkując. Brakowało dziś tego.

Chris włożył kamizelkę kuloodporną, potem koszulę, a następnie zawiązał krawat, przeglądając się w małym lusterku wiszącym na drzwiach jego szafki, w miejscu gdzie większość ludzi trzyma rodzinne fotografie. Chris miał tu tylko jedną fotkę, na której stał z Gregiem przed czarno - białym wozem patrolowym. Teraz zaczął przymocowywać do pasa atrybuty swojej pracy: radiotelefon w skórzanym futerale, latarkę, gaz obezwładniający, gumowe rękawiczki, kajdanki w skórzanym pokrowcu, kaburę z 9 - milimetrową berettą i dwoma zapasowymi magazynkami. Kiedy skończył, wisiało na nim dwadzieścia sześć funtów ekwipunku. Dzisiejszego wieczoru Christopher Lallek czuł dokładnie ten ciężar.

Na piętnaście minut przed rozpoczęciem służby zameldował się na odprawie w pokoju patrolowym. Usiadł wraz z czterema innymi policjantami, którzy także mieli dziś dyżur, aby obejrzeć najnowsze wiadomości w Telewizji Szkoleniowej Sił Policyjnych. Dzisiaj jednak wielki ekran nie budził specjalnego zainteresowania. Mężczyźni wymieniali półgłosem opinie na temat pogrzebu Grega i pustki po nim, pytali Chrisa o rodzinę Restonów i o to, czy weźmie sobie nowego współlokatora. Ktoś podał mu książkę raportową. Chris zaczął się zaznajamiać z doniesieniami o zaginionych osobach, skradzionych pojazdach oraz nakazach aresztowania, które przefaksowano do wydziału pod jego nieobecność. Po zakończeniu odprawy przeszedł do pokoju informacyjnego, przywitał się z dyspozytorem i przejrzał wezwania z ostatnich dni przyjęte przez komisariat. Choć siedemnastotysięczna Anoka leżała zaledwie dwadzieścia mil od Minneapolis, było tu znacznie mniej przestępstw niż tam, toteż do walki z nimi wystarczały dużo mniejsze siły.

W sobotni wieczór przyjęto łącznie dwadzieścia trzy wezwania, w niedzielę tylko siedemnaście. To samo co zwykle: podejrzane osoby, zakłócenia porządku, napaści, obraza moralności. Przejrzawszy zawartość skoroszytu, Chris odwiesił go na ścianę, uświadamiając sobie, że choć po tych znajomych pomieszczeniach wciąż krążą wspomnienia o Gregu, dobrze jest być tu znowu - być z powrotem w pracy.

Wziął ze stołu czapkę, mówiąc:

- Zmywam się stąd, chłopaki.

- Ja też - powiedział Nokes i razem ruszyli w stronę swoich wozów patrolowych.

Chris spędził tę noc tak samo jak setki innych - strzegąc uśpionego miasta. Chwilami krążył, chwilami siedział, słuchając na kanale pierwszym nie milkącego głosu dyspozytora zawiadującego całym okręgiem. Wraz z Nokesem odpowiedzieli na wezwanie do jakiejś domowej awantury. Kiedy przybył na miejsce, zastał otwarte drzwi, włączony telewizor i puste mieszkanie. Pozwolił się skłąć lokatorom dwóch sąsiednich mieszkań, dzwoniąc do nich, aby zadać kilka pytań. Wróciwszy do swego wozu krążył po mieście, dopóki nie odebrał kolejnego wezwania: dyspozytor wysłał go do lokalu, gdzie włączył się alarm. Okazało się, że uruchomiła go płytka, która oderwała się z podwieszanego sufitu.

Potem siedział obok rozłożystej sosny na parkingu Carpenter's Hall i patrzył na samochody przejeżdżające przez most na Missisipi od strony Champlin. Sprawdzał ich prędkość na radarze; obserwował dwa czerwone światelka na ekranie, słuchając zmiany natężenia sygnału w chwili, gdy auto przejeżdżało obok niego.

Pomyślał o tym, jak blisko stąd do Benton Street. O dziewięć przecznic od niego Lee Reston leżała zapewne w łóżku - śpiąc, a może czuwając? Odpoczywała po czterech

wyczerpujących dniach czy leżała z szeroko otwartymi oczyma, pośród smutnych wspomnień?

Uruchomił silnik i wyjechał z parkingu na Ferry Street, po czym skręcił w lewo, na Benton. Osiedle spało; było ciemno, jeśli nie liczyć kocich oczu, które błysnęły spod kępy krzaków, po czym kot wyskoczył i przebiegł przez ulicę. Przejeżdżając obok domu Lee, Chris zwolnił. Światła były pogaszone, drzwi garażu zamknięte. Na podjeździe stał stary samochód Janice. Toyoty Grega nie było nigdzie widać, zapewne stała w garażu.

Śpisz?, pomyślał Christopher. Czy tylko leżysz, usiłując zasnąć? Może zastanawiasz się, czyje to światła suną tak powoli wzdłuż Benton Street o tej porze? Nie martw się, to tylko ja. Pilnuję cię. Pracowałaś dzisiaj w sklepie, czy może zostałaś w domu i wypisywałaś kartki z podziękowaniami? Widzę, że zamknęłaś drzwi garażu. To dobrze. Zamykaj je teraz co wieczór, dobrze? Jak tam dzieci? Mam nadzieję, że znalazłaś w nich oparcie, że pomagają ci przetrwać kolejne dni. Ja takiego oparcia nie mam. Smutno dziś było w szatni, szafka Grega zamknięta, a jego nie ma. Nikt jej nie otwiera i nie wychyla się zza drzwi. Myślę, że wszyscy się do tego przyzwyczaimy, ale to potrwa, prawda?

O trzeciej nad ranem zjadł ciepły posiłek w restauracji Perkinsa. O piątej, kiedy niebo na wschodzie zaczęło różowieć, znowu przejechał jej ulicą. O szóstej przejechał tamtędy raz jeszcze. Obrotowy zraszacz na trawniku przed domem był włączony. Wstała już. Może piła kawę w kuchni, jak robili we dwoje kilka dni temu? Z trudem powstrzymał się, by nie wstąpić i nie poprosić o filiżankę.

O siódmej zostawił w szafce kamizelkę kuloodporną i pojechał do domu.

O wpół do drugiej obudził go dzwonek telefonu.

- Halo, Chris? Mówi Lee.

- Lee... - odwrócił się, by zerknąć na zegar. - Cześć. - Jego głos zgrzytał jak szpachla zdrapująca farbę.

- Och... Obudziłam cię?

- Nic nie szkodzi.

- Przepraszam. Powinnam była najpierw zadzwonić na komisariat i sprawdzić, kiedy masz dyżur. Pracowałaś w nocy?

- Tak, pieska wachta, ale to nic. - Chris położył się na plecach, wepchnął sobie poduszkę pod głowę i zerknął na smugi słonecznego światła, które właśnie zaczynały wciskać się pomiędzy żaluzje.

- Naprawdę bardzo mi przykro.

- I tak zazwyczaj wstaję około drugiej. Nie ma o czym mówić. - Wydłubał jakiegoś

paprocha z kącika oka i pomyślał, że nie miałby nic przeciwko temu, aby dzwoniła i budziła go co dzień. - Poza tym mam dzisiaj kilka rzeczy do zrobienia. Coś grzechocze w drzwiach explorera, więc chcę sprawdzić, czy nie da się tego usunąć.

- Wszyscy już jechali tym twoim samochodem z wyjątkiem mnie. Jesteś z niego zadowolony?

- Bardzo. Zabiorę panią kiedyś na przejażdżkę, to sama pani zobaczy. Joeyowi też się podobał.

- Chyba tak. Pozwoliłeś mu prowadzić.

- Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu.

- Nie, oczywiście, że nie. Gdyby to był któryś z jego kolegów, zrobiłabym piekło, ale ze stróżem porządku?...

- Rozmawialiśmy o... o Gregu. Do pewnego stopnia udało się nam wyrazić, co czujemy.

- On bardzo potrzebował rozmowy z mężczyzną.

- Jak tam Janice?

- Jest bardzo smutna i dużo śpi. Chyba trudniej się jej z tym pogodzić niż Joeyowi.

- A pani?... Nie powtórzę swego błędu i nie zapytam, jak się pani miewa. Co pani robi?

- Próbuję myśleć o powrocie do pracy. To trudne, kiedy człowiek ma mętlik w głowie. Wygląda na to, że nie potrafię się na niczym skupić. Ale muszę tam wrócić i dać odetchnąć Sylvii. Ciągnęła wszystko za nas obie. Dzisiaj zajmuję się całą masą popogrzebowych spraw i nie umiem się z tego wygrzebać. Właśnie dlatego dzwonię. Chodzi o rzeczy Grega.

- Powiedziałem już, że nie ma pośpiechu. Nie musi ich pani zabierać, dopóki nie będzie pani do tego gotowa.

- Wiem, ale to nade mną wisi jak gradowa chmura. Chciałabym to mieć za sobą. Pomyślałam, że gdybyś nie miał nic przeciwko temu, mogłabym przyjechać w niedzielę. Sklep jest wtedy zamknięty, a Janice i Joey, jak sądzę, mogliby mi pomóc.

- Mam nadal nocną zmianę, więc przez cały dzień będę tutaj. Może pani przyjechać o dowolnej porze.

- Powiedziałeś, że zazwyczaj wstajesz o drugiej?

- Wystarczy, że pośpię do południa.

- Pięć godzin snu? Chris, to za mało!

- No dobrze, więc o pierwszej.

- Lepiej o drugiej. Nie chcę cię pozbawiać snu. Policjant i tak nie ma go za wiele.

- W porządku, o drugiej. Czym pani chce przewieźć meble?

- Jim Clement, sąsiad, powiedział, że mogę skorzystać z jego półciężarówki.

- Sama pani będzie kierować czy mam wpaść i poprowadzić?

- Jim też mi to proponował, ale dam sobie radę. A więc - widzimy się w niedzielę o drugiej.

- Świetnie.

- Aha, Chris...

- Tak?

- Proszę, pośpij jeszcze. Tak mi przykro, że cię obudziłam.

Tego wieczoru przy obiedzie Lee miała zamiar zapytać dzieci, czy jej pomogą. Zanim jednak zdążyła to zrobić, Joey obwieścił, że Denny Whitman i jego rodzice zaprosili go na niedzielną wycieczkę nad jezioro.

- Och!... - powiedziała Lee, nieruchomiejąc nad stołem, z półmiskiem zapiekanki w dłoniach. - Właściwie planowałam, że w niedzielę wybierzemy się w trójkę do mieszkania Grega i spakujemy jego rzeczy. Liczyłam, że mi pomożecie. - Usiadła na swoim miejscu, patrząc, jak Joey nakłada sobie na talerz.

- Akurat w niedzielę? - jęknął. - Nie moglibyśmy tego załatwić w sobotę, żebyśmy jednak mógł pojechać z Whitmanami? Jadą tylko na jeden dzień.

Lee nie okazywała rozczarowania. Przypomniała sama sobie, że jej syn ma dopiero czternaście lat, a w tym wieku dzieci nie wiedzą jeszcze zbyt wiele o potrzebach rodziców, zwłaszcza w sytuacjach takich jak ta. Whitmanowie mieli niewątpliwie jak najlepsze intencje, kiedy go zapraszali. Zdawali sobie sprawę, że teraz bardziej niż kiedykolwiek chłopiec potrzebuje odmiany.

- A ty, Janice? - zagadnęła, zerkając na córkę.

Dziewczyna odłożyła widelec i odwróciła wzrok w stronę kuchennego okna. Oczy miała pełne łez. Jej najukochańsza potrawa leżała na talerzu prawie nie tknięta.

- Mamo... ja... ja po prostu nie jestem jeszcze do tego gotowa. Może byśmy z tym jeszcze poczekali? - Jej matka również odłożyła widelec. - A poza tym - dodała Janice - powinnam popracować w niedzielę. - Była ekspedientką w sklepie w Northtown Shopping Center. - Obawiam się, że jeśli się tam lada dzień nie zjawię, to stracę posadę, a potrzebuję pieniędzy na college. Czy nie możemy tego odłożyć?

Lee ujęła jej dłoń leżącą na blacie stołu.

- Jasne, że możemy - powiedziała cicho. - Christopher mówi, że wcale nie ma pośpiechu.



Janice zamrugała i po jej policzkach popłynęły łzy. Cofnęła dłoń, ocierając oczy. Podniosła widelec, nabrała ziemniaków z szynką, patrzyła na nie przez chwilę, po czym widelec znowu brzęknął o brzeg talerza.

- Coś nie jestem dzisiaj głodna, mamó. - Uniosła pełne łez oczy na Lee. - Zapiekanka jest wspaniała, naprawdę, ale chyba... nie wiem... chyba pójdę na chwilę do swojego pokoju.

- Nie przejmuj się. Ziemniaki mogą poczekać do jutra. Kiedy wyszła, Lee i Joey walczyli przez chwilę z uczuciem osamotnienia, wkrótce jednak poddali się. Chłopak zjadł tylko połowę swojej porcji, po czym oznajmił:

- Ja też nie jestem za bardzo głodny, mamó. Mogę zostawić?

- Jasne - odpowiedziała. - Co masz zamiar robić?

- Nie wiem. Może skoczę na boisko, popatrzę, jak grają.

- W porządku. Jedź - zgodziła się wyrozumiale.

Joey podniósł się z miejsca i stanął niepewnie obok krzesła.

- Pomóc ci przy naczyniach?

- Dam sobie radę. Pocałuj mnie. - Chłopak cmoknął ją w policzek, a ona poklepała go po plecach. - Baw się dobrze i wróć przed dziesiątą.

- Wrócę.

Wyszedł. Lee usiadła przy stole, nasłuchując, jak jej syn podnosi podpórkę swojego dziesięciobiegowego roweru i odjeżdża. Grzechot przekładni na podjeździe stawał się coraz cichszy. Lee czuła się niewypowiedzianie samotna. Chciała wstać, schować resztę zapiekanki, oplukać talerze i włożyć je do zmywarki. Takie rozsądne, przyziemne zajęcia poprawiłyby jej nastrój, lecz była w tej chwili zbyt zmęczona, aby oszukiwać samą siebie. Siedziała więc nadal przy stole z podbródkiem wspartym na dłoni, spoglądając przez okno na podwórze za domem. Mogłaby tam iść, poplewić, popodpierać obsypane kwiatami ostróżki, zerwać bukiet do kuchni. Mogłaby zadzwonić do matki albo do Sylvii, zaprosić Janice do kina, mogłaby umyć samochód, wsiąść do niego i pooddawać naczynia, które ludzie tu poznosili i dotąd nie odebrali. Mogłaby napisać chociaż kilka kartek z podziękowaniami za kondolencje...

Westchnęła. Męczyło ją, że jest tak silna, że wspiera wszystkich dookoła, pragnęła, by na ten jeden wieczór ktoś przejął jej obowiązki. Siedziała przy stole przytłoczona zmęczeniem tak wielkim, że zdawało się nie do przezwyciężenia.

Odwróciła głowę. Popatrzyła wzdłuż korytarza na światło słońca, które odbijając się od elewacji, rozjaśniało wejście do domu. Wczesny wieczór - jakże smutna jest ta pora dnia, kiedy się siedzi samotnie przy stole! Ulicą przejechała ciężarówka Jima Clementa, który był robotnikiem budowlanym i właśnie wracał z pracy. Potem za drzwiami przemknęły na

rowerach dwie dziesięcioletnie dziewczynki w strojach kąpielowych. Ich paplanina nappełniła Lee smutkiem. Wszyscy byli zajęci, mieli jakieś sprawy do załatwienia z kimś innym, każdy się dokądś spieszył.

Wciąż jeszcze siedziała ponuro przy stole, kiedy czarno - biały samochód patrolowy minął fragment ulicy, który widziała ze swego miejsca, i zajechał na podjazd. Zanim zdała sobie sprawę, że oto nadciągnął ratunek, poderwała się z miejsca i pobiegła do drzwi.

Wyszła na zewnątrz w samą porę, by zobaczyć, jak Christopher w pełnym umundurowaniu wysiada z samochodu. Jego niespodziewany przyjazd nappełnił ją nagłym szczęściem.

Chris zatrzasnął drzwi samochodu, ale nie wyłączył silnika. Obszedł maskę wozu. Lee ruszyła ku niemu ochoczo, gnana jakimś nowym impulsem, którego się w sobie nie spodziewała. Dotąd traktowała Chrisa jako jednego z przyjaciół Grega, uważała go za chłopca, lecz policjant, który zbliżał się do niej, wcale nie był chłopcem. Granatowy mundur czynił go wyższym, postawniejszym, przydawał mu dojrzałości, która zaskoczyła teraz Lee. Czapkę z daszkiem nasunął głęboko na oczy; idealnie wyprasowana koszula, ozdobiona różnymi odznakami, plakietkami i dystynkcjami, leżała na nim gładko, a krawat pod opalonym podbródkiem był zawiązany bardzo starannie. Ciężkie futerały z czarnej skóry u pasa dodawały mu jeszcze powagi, a kuloodporna kamizelka sprawiała, że wydawał się tęższy.

Spotkali się przed samochodem, obok maski rozgrzanej od pracującego silnika.

- Cześć - powiedział Chris, zdejmując okulary przeciwsłoneczne i uśmiechając się do niej.

- Cześć. - Lee wepchnęła obie dłonie do kieszeni białych szortów. - Nie spodziewałam się, że cię dzisiaj zobaczę.

- Przyszło trochę poczty do Grega - wyjaśnił, wręczając jej listy.

- Dziękuję. - Zerknęła na adresy nadawców na czterech kopertach. - Chyba pójdę na pocztę i wypełnię formularz zmiany adresu. Muszę to dopisać do swojej listy. Zapomniałam już, jak wiele trzeba wykonać papierkowej roboty, kiedy ktoś umrze. - Podniosła wzrok. - Sądziłam, że pracujesz od jedenastej do siódmej.

- Miało tak być, ale kolega poprosił, żebym się z nim dzisiaj zamienił. - Radio przy jego pasie zaczęło skrzeczeć. Chris, nie patrząc na nie, wyciągnął rękę, aby podkreślić głośność. Greg robił to samo. Lee nigdy nie potrafiła pojąć, jak mogą słuchać jękającego się radiotelefonu i jednocześnie prowadzić z kimś rozmowę. - Minąłem przed chwilą Joeya. Mówił, że jedzie na boisko.

- Letnie rozgrywki - wyjaśniła Lee. - Lepsze to niż snucie się po tym ponurym domu.

- A co z panią? Siedzi pani dalej w ponurym domu?

- Lada moment mam zamiar wrócić do pracy. Myślę, że już dość długo pozwalałam Sylvii ciągnąć wszystko samotnie. Co do niedzieli natomiast, to...

Christopher czekał, wpierając mocno w ziemię stopy w czarnych służbowych butach.

- Dzieci nie będą mogły mi pomóc. Joey chce pojechać z Dennyem nad jezioro, a Janice potrzebuje jeszcze trochę czasu, zanim będzie w stanie się do tego zabrać. Więc będziemy to musieli zrobić kiedy indziej.

- Ja pani pomogę - zaproponował Chris.

- Ale ty już mi tak bardzo pomogłeś.

- I tak zamierzałem to zrobić. Jeżeli pani chce, poradzimy sobie ze wszystkim we dwoje. Ale jeśli woli pani poczekać i zrobić to z dziećmi, nie ma sprawy.

- To nie takie łatwe - powiedziała Lee. - Robiłam to już kiedyś, po śmierci Billa, i zapewniam cię, że można się załamać.

- Więc moglibyśmy tego oszczędzić dzieciom, prawda? - Po chwili, przyglądając się jej uważnie, dodał: - Chociaż czasem sobie wyobrażam, że ma już pani dość oszczędzania wszystkiego dzieciom i chciałaby, żeby to one pani czegoś oszczędziły.

Ileż w nim intuicji, pomyślała Lee. Jak na tak młodego człowieka, zdołał ją rozgryźć z zadziwiającą dokładnością. Czasem, kiedy nachodziły ją takie myśli, czuła się winna, lecz kiedy usłyszała, jak on wypowiada je na głos, doznała ulgi. Zdała sobie sprawę, że nie ma w nich nic złego.

- Skąd o tym wiesz? - zapytała.

W radiotelefonie Chrisa znowu odezwał się jakiś głos, trzeszczał w głośniczku jak wyładowania atmosferyczne:

- Trzy Bravo Osiemnaście.

- Chwileczkę - powiedział Chris. Zdjął z paska odbiornik i zbliżył go do ust. Lee nigdy dotąd nie zauważyła, jak pięknie są wykrojone. - Trzy Bravo Osiemnaście.

- Osiem dwa zero, zachodnia Main Street - zaskrzeczał głos w radiu. - Mieszkanie G trzydzieści siedem. Doniesienie o krzykach. Być może awantura domowa. Nie widziano nikogo.

- Przyjąłem - rzekł Chris, po czym zwrócił się do Lee: - Przepraszam, muszę jechać. - Włożył z powrotem okulary słoneczne. - Niech mi pani da znać, co z niedzielą. Uważam, że należałoby poczekać na dzieci, ale jeśli chce pani to zrobić, uporamy się ze wszystkim w trzy godziny. I wtedy będzie pani mogła przestać się tego bać.

Lee skinęła głową, idąc za nim. Poczekala, aż wsiądzie do samochodu i zapisze adres w notatniku, który leżał obok na przednim siedzeniu. Potem sięgnął po słuchawkę radiotelefonu w samochodzie, aby zgłosić numer swojego auta i podać godzinę.

- Trzy Bravo Osiemnaście, jadę do wezwania. Osiemnasta zero dziewięć. - Odłożył słuchawkę, wrzucił wsteczny bieg i patrząc w otwarte okienko, rzekł: - Wygląda pani na zmęczoną. Proszę się przespać.

Było to zwykłe, zdawkowe pożegnanie, ale zarazem tak osobiste, że w sercu Lee coś się nagle poruszyło. Taką radę mąż mógłby rzucić żonie, czuło się w niej troskę, która sięgała głębiej niż słowa.

Założyła ręce na piersiach, patrząc, jak Chris odjeżdża. Dziesiątki razy odprowadzała tak Grega. Widziała, jak kładzie rękę na oparciu sąsiedniego fotela i odwraca się, by spojrzeć przez tylną szybę, wycofując ostrożnie, z szybkością dziesięciu mil na godzinę. Samochód podskoczył na betonowym krawężniku kończącym podjazd, policjant podniósł dłoń na pożegnanie i pomknął ulicą.

Jeszcze długo po tym, jak zniknął za zakrętem, Lee stała na podjeździe, patrząc w ślad za nim.

Pod koniec tygodnia wróciła do pracy, do kojącego balsamu codziennych zajęć. Otwieranie sklepu o ósmej rano, parzenie kawy, spryskiwanie bukietów w chłodni, sprawdzanie zamówień - te znajome czynności napełniały ją spokojem, choć częstokroć łapała się na tym, że patrzy gdzieś w przestrzeń.

- Jak tam, siostrzyczko? - pytała ją raz po raz Sylvia. Pracownicy, Pat Galsworthy i Nancy McFaddon, także okazywały jej troskę, Lee zauważyła jednak, że odpowiada im zdawkowo, nie wyrażając tego, co naprawdę czuje: panicznego lęku przed niedzielą, kiedy będzie musiała zająć się rzeczami Grega.

W niedzielę upływało pełnych dziewięć dni od śmierci Grega, lecz wobec zadania, które ją czekało, znaczyło to bardzo niewiele. Obudziła się wcześniej, na cztery godziny przed wyjściem do kościoła. O szóstej trzydzieści była już w ogródku i klęcząc na gumowej podkładce, wyrywała zielsko pomiędzy lili. Chciała, żeby już był jutrzejszy ranek, chciała mieć za sobą ten dzień.

Około drugiej temperatura wzrosła do trzydziestu stopni, a miało być jeszcze goręcej. Lee włożyła wypłowiałe zielone szorty i rozciągniętą bawełnianą koszulkę, po czym zmuszając się do każdego kroku, wzięła półciężarówkę od sąsiadów i pojechała przez miasto tam, gdzie kiedyś mieszkał jej syn. Zostawiła samochód na rozpalonym parkingu i powlokła się w stronę mieszkania, niosąc plik poskładanych kartonowych pudeł, który obijał się jej o

kolana.

Christopher otworzył jej ubrany w obcięte dzinsy i białą koszulkę. W radiu śpiewała cicho Gloria Esteban. Postanowił, że dziś nie będzie żadnej muzyki country, która przypominałaby jej o Gregu.

- Cześć - powiedział, odbierając od niej pudła, świadom, podobnie jak ona, co ich dzisiaj czeka.

- Cześć - odparła Lee, nie ruszając się z progu. - Paskudna robota jak na taki piękny dzień, prawda?

Zobaczył, że matka Grega powstrzymuje się od płaczu. Zmagała się z nim chwilę, ale przegrała i na jej twarzy pojawił się grymas. Tekturowe pudła spadły na podłogę i nagle Lee znalazła się w ramionach Chrisa, który tulił ją mocno do swojej szerokiej piersi.

- Chyba trzeba było jednak poczekać na dzieci - rzekł po chwili.

- Nie. Dam sobie radę. Obiecuję. - Oderwała się od niego i odetchnęła głęboko.

- Na pewno?

Przytaknęła energicznie, jakby chciała przekonać samą siebie. Chris wiedział, że ta chwila będzie dla niej trudna, toteż zrobił co mógł, aby ją ułatwić.

- Rozmontowałem jego łóżko, posegregowałem wszystkie kom paki. Te, które należały do niego, włożyłem do jednego pudełka.

Lee chlipnęła raz jeszcze, przejechała dłonią pod nosem i powiedziała:

- Dobrze. No to do roboty.

Poszli wprost do sypialni Grega. Materac i rama z łóżka stały oparte o ścianę.

- Wyprałem jego pościel i włożyłem tutaj - Chris wskazał wypchną torbę. - Tam jest zapakowane w gazety wszystko, co wisiało na ścianach i stało na komodzie: obrazki, dyplomy policyjne i tak dalej. Plakietki i odznaki są tutaj. - Przycupnąwszy, dotknął pudełka po butach. - Zwróciłem na komisariat jego pistolet, kajdanki, radio i wszystko, co trzeba było oddać. - Podniósł na nią wzrok, po czym wyprostował się powoli. Stał z rękoma przyciśniętymi do boków jak niepewny petent w urzędzie. - Mam nadzieję, że dobrze zrobiłem. Sądziłem, że tak będzie łatwiej.

- I jest. - Lee dotknęła z wdzięcznością jego nagiej ręki. Zabrali się do pracy. Ona zaczęła opróżniać szafę Grega, on wziął ramę łóżka, wyniósł ją na rozgrzany parking i władował na ciężarówkę.

Kiedy zawartość szafy znalazła się w pudłach, wynieśli je razem na zewnątrz. Potem zrobili to samo z ciężką komodą, nie opróżniając szuflad, z materacem i sprężynami łóżka. Taszczyli to wszystko przez dwa biegi schodów i pakowali na skrzynię półciężarówki. Kiedy

skończyli, byli mokrzy, a oczy zalewał im pot.

Znalazłszy się na powrót w klimatyzowanej klatce schodowej, poczuli się bosko. W mieszkaniu nadal grało radio, a okna wychodzące na zachód były zasłonięte. Lee ruszyła w stronę zlewozmywaka.

- Może sprite'a? - zagadnął Chris, otwierając drzwi lodówki.

- Bardzo chętnie.

Wyjął dwie puszki i dwie garści lodu. Zaczął nalewać napój do szklanek, lecz nagle odwrócił się i... przerwał.

Lee stała schylona nad zlewem. Nabierając w dłonie wody, ochlapywała nią twarz i szyję, odchylała kołnierz koszulki i wsuwała pod nią mokre ręce. Włosy na karku miała mokre, posklejane w cienkie kosmyki. Jej zielone szorty podwinęły się z tyłu, odsłaniając biały brzeg majtek. Potem zakręciła kran i obiema rękoma zaczęła zbierać wodę z twarzy. Chris chwycił ściereczkę i dotknął jej lewego ramienia.

- Dzięki - powiedziała, biorąc ją od niego po omacku. Przykryła nią twarz i zaczęła osuszać po kobiecemu, wklepując wodę w ściereczkę. Kiedy zdjęła ją z twarzy, Chris ponownie nalewał napój.

- Gorąco - stwierdziła.

- To dla ochłody - powiedział, wręczając jej szklankę. Odebrała go i zaczęła pić. Chris zrobił to samo, obserwując ją nad brzegiem szklanki. Lee miała twarz czerwoną z wysiłku, włosy sterczące na wszystkie strony, białą koszulkę wilgotną aż po pierwszy guzik.

Chris wyjął z tylnej kieszeni spodni czarny grzebień.

- Proszę - powiedział, wręczając go Lee.

- Och... dziękuję. - Użyła go bez śladu skrępowania, nie patrząc w lustro, po czym oddała.

- To może teraz zabierzemy się za kuchnię? - zapytał Chris.

- Tak sędzę. - Spojrzała na szafki. - Co tutaj jest?

- Elektryczna maszynka do prażenia kukurydzy. - Chris otworzył dolne drzwiczki. - Greg kupił ten toster, kiedy stary wysiadł, i ten komplet szklanek. Uważał, że jest nam potrzebny. Przyniósł z domu kilka talerzy, chyba to te zielone, i dzbanek. Większość talerzy i sztućców miałem już, kiedy się wprowadził. Żywność kupowaliśmy do spółki, ale umówiliśmy się, że jeśli któryś będzie miał ochotę na mięso, to kupi je sam. W lodówce jest kilka kawałków, które należały do niego. Chyba żeberka. Mówiąc to, otwierał i zamykał drzwi szafek. Kiedy skończył, Lee powiedziała:

- To bez sensu, Chris. Nie będę zabierać jedzenia, a maszynki i naczynia mogą ci się

przydać. Greg zabrał z domu same stare skorupy, żadną tam rodową zastawę, zapewniam cię. Nic z tych rzeczy nie jest mi potrzebne.

- Nawet maszynka do kukurydzy?

- Maszynkę wezmę.

- A toster?

- Zostaw go sobie.

- A co z żeberkami?

- Możesz je przynieść Czwartego Lipca. Każdy przychodzi z własnym mięsem.

Postanowiłam nie robić indyka. Greg za nim przepadał.

- To znaczy, że nadal ma pani zamiar urządzić piknik?

- Pewnie moglibyśmy udawać, że umarliśmy razem z nim, ale ja nie jestem w tym zbyt dobra. A ty?

- Też nie.

- Piknik dobrze nam robi. Pogramy w siatkówkę, nałykamy się dymu z rożna, pójdziemy do parku oglądać fajerwerki. Przyjdiesz, prawda?

- Za żadne skarby bym tego nie opuścił.

Unieśli szklanki i znowu zabrali się do picia, wypełniając pustkę, która nie wiadomo dlaczego wytworzyła się pomiędzy nimi, gdy tylko w pokoju zapanowała cisza.

- No cóż - rzekł Chris odstawiając szklankę na blat. - Przejrzę teraz rzeczy w łazience. Może pani zerknie do pokoju dziennego.

Lee przeszła do saloniku, w którym nadal grało radio. Po słonecznej stronie mieszkania było cieplej mimo zasuniętych zasłon. Na podłodze, przed otwartymi szklanymi drzwiczkami szafki ze sprzętem elektronicznym, stało pudełko z kasetami i płytami kompaktowymi. Drzewko w doniczce, które przysłała im ze sklepu jako prezent, wyglądało zdrowo; jego gałązki zwisały nad jednym końcem kanapy. Na ścianie na drewnianym krzyżaku wisiało ponad dwadzieścia czapek. Dwa kołki były puste.

Matka Grega stała przez chwilę z rękoma wspartymi na biodrach. Patrzyła na to wszystko, czując narastający w gardle ucisk i złość na samą siebie, że myślała, iż przeżyje ten dzień bez problemów.

Opanowała się i zdjęła z wieszaka jedną czapkę - białą z kasztanowym „A” nad daszkiem: Anoka. Z czasów jego szkoły średniej. Zaniosiła ją do łazienki, stanęła w drzwiach i patrzyła przez chwilę, jak Christopher wkłada różne drobiazgi do sportowej torby ustawionej na brzegu małej umywalki.

- Nie jestem pewna, które są jego - powiedziała cicho. Chris przerwał wyjmowanie

rzeczy z szuflad i odwrócił się do niej.

Usta jej drżały, w rdzawych oczach czaił się lęk. Włożyła czapkę na głowę, wsparła się ramieniem o framugę i wsunęła dłonie w kieszenie szortów.

- To rodzaj próby - powiedziała. - Przeżyć to popołudnie bez załamania i bez ryku... bo on już nie wróci.

- Tak. Wiem - odparł odrobinę zduszonym głosem. Trzymał w ręku szczoteczkę do zębów i pastę. - To też jest paskudna robota. Jego szczotka do włosów, maszynka do golenia, woda kolońska... - Ze złością wrzucił całą garść do torby, wsparł się oburącz na umywalce jak biegacz przed startem. - Boże, tutaj nawet nim pachnie.

Lee ze zdumieniem spostrzegła, jak bardzo koncentrowała się na sobie samej. Wciąż myślała o własnym smutku, pomijając zupełnie jego uczucia.

- Och, Chris, tak mi przykro... - Weszła do niewielkiego pomieszczenia, zdjęła z głowy czapkę, a potem, trzymając ją w jednej ręce, drugą położyła na jego plecach. - Tobie też go brak - szepnęła.

Chris wyprostował się gwałtownie, odwrócił i wziął ją w ramiona. Z zamkniętymi oczami stali objęci w małej, wyłożonej białymi kafelkami łazience, przesyconej nostalgicznym zapachem męskich kosmetyków, czerpiąc od siebie nawzajem siłę. Lustro odbijało rękę Lee, wciąż ściskającą czapkę Grega.

- Nie, to mnie jest przykro - szepnął Chris. - Nie powinienem tego mówić. Jest pani wystarczająco ciężko i bez takich uwag.

- Przecież dla ciebie to także trudne, a jeśli nie będziemy wyrażać szczerze naszych uczuć... - przerwała, nie wiedząc, jak dokończyć.

- Boże, ale z nas para, nie? Potykamy się ciągle i ściskamy co pięć minut, jakby to był koniec świata.

- Radziłam sobie tak dobrze przez cały tydzień, myślałam, że dam sobie dziś radę bez takich widowisk. Ale te czapki w pokoju... jakoś nie mogłam ich znieść.

Otworzyła oczy i zobaczyła w lustrze swoje odbicie w ramionach Christophera, który stał z głową zwieszoną nad jej ramieniem i dłońmi przyciśniętymi do pleców. Ich brzuchy i nagie nogi stykały się, a choć Lee zdawała sobie sprawę, że takie krzepiące uściski bywają na ogół bardziej powściągliwe, nie poruszyła się. W końcu Chris oderwał się od niej.

- Proszę mi to dać - powiedział, cofając się. Wygiął daszek w ładny łuk, nałożył jej czapkę na głowę i odwrócił ją do lustra, stając za nią z rękoma na jej ramionach. - Proszę spojrzeć. Oto matka w czapce z daszkiem i do diabła, nie ma w tym nic złego! Prawdę mówiąc, wygląda w niej pani bardzo dobrze. Powinna pani częściej nosić coś takiego.



Wyszczerzył zęby, skłaniając ją do uśmiechu. Lee uniosła obie dłonie, odchyliła czapkę leciutko do tyłu, nabrała potężny, ożywczy haust powietrza i szybko go wypuściła.

- W porządku. Teraz już dam sobie radę. A co z tobą?

- Ja również. Skończmy z tym i zawieźmy ten majdan do domu. Aaa... i wie pani co? - Zdjął rękę z jej ramion. Było widać, że nastrój nieco mu się poprawił.

- No? - Lee odwróciła się, aby na niego spojrzeć.

- Znam jednego chłopaka, który w pewnym sensie balansuje na krawędzi: w domu nie ma dla niego nadziei, nie można mówić o żadnym życiu rodzinnym, rodzice to narkomani sprzedający swoje bony żywnościowe, żeby kupić kolejną działkę. Gdyby nie miała pani nic przeciwko temu, chciałbym mu dać jedną z czapek Grega. Ten chłopak szanuje policję. Udaje, że tak nie jest, ale szanuje. Taka czapka sporo by dla niego znaczyła.

- Jasne. Daj mu, którą chcesz. Daj mu dwie.

Posortowali czapki oraz rzeczy z łazienki, potem przejrzeni papiery Grega, które leżały w jednej z kuchennych szuflad. Christopher wyjaśnił też sprawę mebli w pokoju dziennym:

- Część z nich miałem, część kupiliśmy wspólnie, ale chciałbym zatrzymać wszystkie. Mam rachunki i zwrócę pani uczciwie to, co zapłacił Greg. Oczywiście jeśli to odpowiada dzieciom. Gdyby chciały coś wziąć, proszę bardzo.

- Na razie niech tu zostaną.

- Ale powinna pani zabrać fikusa.

- Och, daj spokój, mogę mieć tuzin takich po cenie hurtowej, kiedy tylko zechcę. Jego miejsce jest tutaj.

- W porządku - rzekł Chris. - Przyjmuję. Gdyby go pani zabrała, poszedłbym do kwaciarni i kupił dokładnie takiego samego. Dziękuję.

Wyłączyli radio, wynieśli resztę rzeczy, po czym przywiązali materac i sprężynową ramę do łóżka, aby pęd powietrza ich nie zdmuchnął. Christopher nałożył ciemne okulary. Oczy Lee ocieniał daszek czapki Grega. Powietrze falowało nad rozgrzanym asfaltem.

- Da pani radę prowadzić ciężarówkę z całym tym ładunkiem? - zapytał Chris, zawiązawszy ostatni węzeł.

- Jasne!

- W porządku. Pojadę za panią.

Przyjechali razem do domu Lee i przenieśli rzeczy do garażu. Kiedy skończyli i oddali ciężarówkę Jimowi Clementowi, znowu byli zgrzani i spoceni.

- Umie pani pływać? - zapytał Christopher.

- Pewnie.

Stali w cieniu podniesionych drzwi garażu.

- Może by się tak ochłodzić? Moglibyśmy skoczyć nad jezioro.

- Ha! Czemu nie?

Weszła do domu, włożyła kostium, obszerną koszulę oraz klapki, po czym wróciła, niosąc dwa ręczniki.

- Jedźmy.

Chris siadł za kierownicą, a Lee, kiedy już wgramoliła się do explorera, zawołała:

- O rany, fajny!

- Mnie też się podoba.

- Usunęli ci to grzechotanie.

- Mhm.

Przez całą drogę nad jezioro rozmawiali z ożywieniem: o samochodach, o jej sklepie, o tym, że wybrała nazwę „Absolutely Floral”, by pojawić się na samym początku żółtych stron w książce telefonicznej, i o tym, że Sylvia uważała to za głupi pomysł, lecz ten chwyt psychologiczny działał - większość ludzi, którzy składali zamówienia po raz pierwszy, brała adres z żółtych stron.

Plaża była zatłoczona. Zrzucili koszule, przebiegli pomiędzy dziećmi taplającymi się w płytkiej wodzie i popłynęli w stronę pomostu do skoków. Zanurkowali parę razy, popływali nieco, po czym uczepili się pływaka, by jeszcze porozmawiać: o surfingu, który Chris oglądał niedawno w telewizji, o Hawajach, gdzie żadne nie było, choć oboje zawsze chcieli tam pojechać, o tym, w jakich okolicznościach każde nauczyło się pływać w dzieciństwie i z kim najchętniej pływali. Dziesięć stóp od nich chlupnęła w wodę piłka do siatkówki. Chris odepchnął się od pomostu i oto nagle okazało się, że grają w piłkę z grupką rozbawionych ludzi.

Śmiali się.

Byli zmęczeni.

I czuli, że narasta w nich wilczy apetyt.

Kiedy explorer wtoczył się na podjazd, Lee powiedziała:

- Zostało mi trochę spaghetti. Mogę je podgrzać.

- Niezła myśl - stwierdził Chris, wyłączając silnik. Podczas gdy ona podgrzewała makaron, on przygotował wodę z lodem i wyjął widelce z szuflady, którą mu wskazała. Potem Lee bezceremonialnie wręczyła mu serwetkę oraz talerz i usiadła do stołu, prosząc:

- Tylko nie mów mojej matce, jak ci to podałam.

- A co w tym złego?

- Nie ma podkładek pod talerze, stół nie jest nakryty, a ja w tej niestosownej koszuli i klapkach wciskam ci w ręce talerz i jeszcze pozwalam, żebyś sam nalewał wodę i brał z szuflady sztuce. Matka dostałaby apopleksji. Ona ma fioła na punkcie dobrych manier. Nie wolno się zachowywać spontanicznie czy niekonwencjonalnie. Jej ulubione zdanie brzmi: „Co ludzie powiedzą?”

- Fioła? - Chris uśmiechnął się szeroko. Twarz mu lśniła, a włosy po kąpieli schludnie ułożyły się same, bez widocznych starań z jego strony. - Naprawdę powiedziała pani: „fioła”?

Lee przestała nawijać makaron na widelec.

- A co? Nie wolno?

- Mnie to nie przeszkadza, tylko nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby mówiła pani coś takiego. Zawsze uważałem panią za chodzącą doskonałość. Doskonała matka, doskonała dama, doskonała... no, wie pani, co mam na myśli.

- Ja? - Lee wybałuszyła oczy i otworzyła usta. - Daleko mi do doskonałości! Na litość boską, skąd ci to przyszło do głowy?

- Tak mi wychodziło z opowiadań Grega. Według niego nie była pani w stanie zrobić nic złego.

- Od czasu do czasu przeklinam. Masz mi to za złe?

- Nie. To bardzo ludzkie. Swobodniej się dzięki temu czuję w pani towarzystwie. Ale coś pani mówiła o swojej matce.

- Och, chodzi tylko o to, że ona żyje zgodnie z zasadami Emily Post. Stoły nakrywa jak należy, jest członkiem odpowiednich klubów, do obiadu wkłada stosowne stroje, wysyła kartki z podziękowaniami, a na pogrzeby zamawia utwory Griega, nie Vince'a Gilla.

- Podśluchałem jej uwagę na ten temat.

- Nie wątpię. I co powiedziała?

W oczach Christophera pojawił się figlarny błysk.

- Jeśli dobrze zapamiętałem... „Co ludzie powiedzą?” Lee rzuciła mu uśmiech, zabierając się do spaghetti.

- A co z twoją matką? - zapytała. - Jaka ona jest?

Chris przestał żuć, odłożył widelec i wypił łyk wody, zanim odpowiedział:

- Zupełnie inna, może mi pani wierzyć.

- Opowiesz mi o niej?

Zastanawiał się przez chwilę, patrząc jej w oczy, po czym zdecydował się na wyznanie:

- Jest alkoholiczką. Tak samo jak ojciec.

- I zawsze pili?

- Zawsze. Ona pracowała rankami w smażalni na postoju ciężarówek, on, o ile pamiętam, nie pracował nigdy. Twierdził, że jakoś tam sobie uszkodził kręgosłup i nie może. Zazwyczaj kiedy wracałem ze szkoły, oni już siedzieli w knajpie, którą nazywam Dziurą, i zalewali robaka. Matka nie tylko nie nakrywała stołów jak należy, ona ich wcale nie nakrywała. Jeśli w ogóle coś się u nas gotowało, zazwyczaj spadało to na mnie. I mogę panią zapewnić, że nigdy w życiu nie wysłała kartki z podziękowaniami. Zwłaszcza że nie mam pojęcia, za co, do diabła, miałyby komukolwiek dziękować. Nie miała żadnych przyjaciół poza pijakami, którzy przesiadywali w tym barze. Więc niech pani nie ocenia swojej matki zbyt surowo. Mogła pani trafić dużo gorzej. - Powiedział to z sympatią, którą Lee wyczuła i przyjęła.

- A co z rodzeństwem?

- Mam siostrę, Jeannie.

- Starsza czy młodsza?

- O cztery lata młodsza.

- Co się z nią dzieje?

- Jest gdzieś na Zachodnim Wybrzeżu.

- Widujesz ją?

- Niezbyt często. Uciekła, kiedy miała piętnaście lat, i od tej pory zdążyła trzy razy wyjść za mąż i rozwieść się. Kiedy widziałem ją po raz ostatni, ważyła jakieś dwieście pięćdziesiąt funtów i żyła z zasiłku, tak samo jak nasi staruszkowie. Jeannie i ja nie mamy zbyt wiele wspólnego.

- A rodzice? Gdzie teraz są?

- Mieszkają w drugim końcu miasta, na tym paskudnym osiedlu, Jackson Estates. Nie bardzo się zmienili, tyle że teraz piją w domu, bo trudniej im chodzić po schodach.

- Zdenerwowałam cię, wypyując o nich.

- Nie, nie bardzo. Już dawno przestałem liczyć na to, że się zmienią.

- Pewnie są z ciebie bardzo dumni.

- Nie rozumie pani. To nie są rodzice, którzy bywają dumni. Żeby czuć dumę, trzeba najpierw wytrzeźwieć. A oni nie byli trzeźwi od trzydziestu pięciu lat.

- Przykro mi, Chris.

Dokończyli spaghetti z klopsikami. W ciągu tego dnia przeżyli całą gamę uczuć, od smutku po radość i znowu smutek. Z pewnością zbliżyło ich to do siebie, prawdę mówiąc zbliżyło tak bardzo, że czuli się dość nieswojo, kiedy tak siedzieli w przytulnej kuchni,

rozparci wygodnie na krzesłach, rzucając coraz dłuższe spojrzenia.

Christopher wstał i dolał sobie wody do szklanki.

- Napije się pani jeszcze? - zapytał.

Lee skinęła potakująco, znowu nieco zażenowana. Tak to właśnie z nimi było: w jednej chwili czuli się swobodnie, w następnej skrzepowani. Mężczyzna napełniający szklankę kobiecie, która zaczyna mu się trochę za bardzo podobać - jej matka i Emily Post miałyby bez wątpienia kilka celnych uwag na ten temat.

Wypiwszy wodę na stojąco, Chris sięgnął po brudne talerze.

- No to sprzątnijmy, żeby nie miała mnie pani dość.

- Zostaw, sama posprzątam.

- Nie ma mowy. Pomogę.

Zbierali naczynia ze stołu, kiedy Janice wróciła z pracy. Weszła do kuchni i położyła na blacie kluczyki od samochodu.

- Cześć, Christopher! Co ty tutaj robisz?

- Twoja mama poczęstowała mnie kolacją.

Janice domyśliła się wszystkiego i uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Pomogłeś jej przewieźć rzeczy Grega, prawda?

- Tak.

- Widziałam je w garażu. - Popatrzyła na Lee. - Mamo, przepraszam, że ci nie pomogłam.

- Nie ma o czym mówić, kochanie. - Lee pocałowała córkę w policzek. - Mamy to już za sobą.

- Nie. Jest o czym mówić. Powinnam tam być. Naprawdę bardzo mi przykro.

- Christopher mi pomógł, więc daj już spokój.

Lee zabrała się za splukiwanie talerza strumieniem gorącej wody. Janice popatrzyła na matkę, potem na Chrisa i znowu na matkę.

- Na pewno?

- Jasne. Jesteś głodna?

To pytanie przekonało Janice, że jej grzech w istocie nie jest aż tak wielki.

- Mhm... tak jakby. - Wsunęła nos do szafki, w której stał sos do spaghetti, wciąż jeszcze w firmowym opakowaniu. Potem wzięła w dwa palce klopsika. Długie paznokcie pomalowane miała na różowo.

- Jejku, tu się można usmażyć. - Odwróciła się, ugryzła kawałek, po czym oparła się plecami o krawędź szafki. - Myślałam, żeby skoczyć gdzieś popływać. Masz ochotę

przejechać się ze mną, Chris?

Przyjaciel zmarłego brata miał na sobie sportową koszulkę, a spodenki zdążyły mu już prawie wyschnąć.

- Właściwie dzisiaj już pływałem. Z twoją mamą. Janice przelknęła głośno ostatni kawałek klopsika.

- Pływaliście? - Spoglądała badawczo to na jedno, to na drugie. Przez chwilę panowała niezręczna cisza, wreszcie Lee niedbałym ruchem otworzyła drzwiczki zmywarki, mówiąc:

- Spociliśmy się przy dźwiganiu mebli, więc popływaliśmy dla ochłody, a potem zjedliśmy kolację. Mam ci podgrzać?

- Mamo - w głosie Janice wyczuwało się łagodną reprimendę - mam dwadzieścia trzy lata. Nie musisz już podawać mi kolacji.

Lee uśmiechnęła się do córki, wycierając dłonie w ręcznik. - Siła przyzwyczajenia. Christopher przystawił swoje krzesło do stołu.

- No cóż, lepiej już pójde - powiedział. - Pracuję dziś w nocy. Dziękuję za kolację, pani Reston.

- To naprawdę drobiazg. Dziękuję za wszystko, co dzisiaj zrobiłeś.

- Odprowadzę cię - rzekła Janice, kiedy Chris ruszył w stronę drzwi.

Lee poczuła przypływ złości na córkę, że tak beztrąsko rości sobie prawa do jej miejsca przy Christopherze. To uczucie ogarnęło ją nagle, potem z wolna ustąpiło. Powiedziała sobie, że wcale nie ma przy nim miejsca dla niej. Spędzili razem cały dzień, wykonali bez wątplenia trudną pracę, toteż teraz, patrząc, jak jej córka wychodzi na zewnątrz z Chrisem, Lee czuła się opuszczona. Wyglądali razem tak młodo, tak bardzo do siebie pasowali!

Janice zatrzymała się przy drzwiach jego furgonetki, nie pozwalając mu wsiąść do środka. Miała na sobie prostą różową bluzkę i krótką dzinsową spódniczkę, na opalonych nagich nogach białe czółenka. Stała na piętach, odrywając palce od asfaltu, z głową przechyloną na bok.

- Dzięki za to, że jej pomogłeś, Chris. Zachowałam się jak szczur, że tego nie zrobiłam, ale naprawdę byłam do kitu.

Spojrzał jej prosto w oczy. Na wskazującym palcu trzymał kółko z kluczykami.

- Czasami musimy coś zrobić bez względu na to, czy jesteśmy do kitu, czy nie. Nie miałem nic przeciwko temu, żeby jej pomóc, ale masz rację. Ty i Joey powinniście byli z nią dzisiaj być. Potrzebowała was.

Janice wpatrywała się w chromowaną oprawę przedniej szyby. Usta zaczęły się jej wyginać w podkówkę.

- Hej, nie płacz - powiedział Chris, dotykając jej podbródka. Dziewczyna się hamowała, lecz łzy wzbierały w jej oczach. - Przebywaj z nią trochę więcej, dobrze? To dla niej trudny okres. Wszystko spada na nią: pogrzeb, samochody, papierkowa robota... Wiesz, że nawet za milion lat nie wypomni ci tego, ale ona też ma uczucia, choć zawsze na pierwszym miejscu stawia was.

- Wiem - szepnęła Janice.

Stali przez chwilę w padających ukośnie promieniach słońca.

- Jesteś zła, że powiedziałem to, co myślę?

Pokręciła głową, nie odrywając wzroku od chromowanego obramowania.

- Czy masz coś przeciwko temu, żebym wpadał od czasu do czasu i próbował oderwać jej myśli od przykrych spraw? - Znowu pokręciła głową. - No cóż... to widzimy się Czwartego Lipca, tak?

Potakująco skinęła głową w stronę auta.

Kiedy machał ręką na pożegnanie i odjeżdżał, Janice nadal stała na podjeździe z łokciem wspartym na dłoni.

## ROZDZIAŁ 6

Poważne przestępstwa były w Anoce raczej wyjątkiem niż regułą. Stosunkowo rzadko zdarzały się sytuacje, w których funkcjonariusze policji czuli, że ich życie jest zagrożone. Od czasu do czasu aresztowano jakiegoś rabusia albo wzywano brygadę antynarkotykową, ale zazwyczaj praca Christophera Lalleka oraz jego kolegów przebiegała spokojnie.

W pierwszym tygodniu lipca, w mglisty poranek około szóstej dwadzieścia, Chris siedział w swym wozie patrolowym i ziewał. Zerknął na zegarek - jeszcze czterdzieści minut służby. Wypreżył zeszywniale plecy na oparciu fotela. Zerkając na sunące autostradą nr 1 o samochody, zobaczył grand prix rocznik 78, które raz po raz wyskakiwało spoza pędzących aut.

Natychmiast stał się bardziej czujny. Włączył światła na dachu, wyjechał na drogę i skręcił na zachód. Wiedział dokładnie, kiedy jego migające światła zostały zauważone, ponieważ kierowca zwiększył prędkość, brawurowo zmieniając pasy ruchu. W stronę miasta jechało więcej samochodów niż w drugim kierunku, ale i na zachodnim pasie było ich wystarczająco wiele, by Chris poczuł, że drętwieją mu plecy. Zacisnął mocniej dłonie na kierownicy.

Dogoniwszy grand prix, jechał tuż za nim. Czekał, aż kierowca zauważy go w lusterku wstecznym, ten jednak zupełnie nie reagował. Uruchomił na chwilę sygnał, lecz po raz kolejny został zignorowany. Włączył więc syrenę na pełny regulator, czując, jak narasta w nim gniew. Kierowca nadal udawał, że nie widzi czarno - białego auta. Chris podniósł słuchawkę radiotelefonu, powiedział, gdzie jest, i podał numer rejestracyjny ściganego samochodu. Wreszcie, kiedy przejechali już dobre pół mili, cwaniaczek dał za wygraną. Zjechał na prawe pobocze i zatrzymał się.

Christopher czuł, że wszystko się w nim gotuje. Wysiadł z wozu i podszedł do czerwonego od rdzy pojazdu.

Kierowca miał opuszczoną szybę. Siedział lekko pochylony nad kierownicą. Miał jakieś dwadzieścia osiem, może trzydzieści lat, był nie ogolony, a jego włosy tęskniły za fryzjerem. Wyglądał, jakby wracał z całonocnej popijawy. Chris zajrzał do środka, ciekaw, czy nie zobaczy zaczętej butelki.

- Mógłbym zobaczyć pańskie prawo jazdy? - zapytał.
- Po co? - Oddechem cwaniaczka można by garbować skórę.
- Niech mi je pan po prostu pokaże.
- Jak chcesz zobaczyć moje prawo jazdy, to mi powiedz, co zrobiłem.



- Ma pan prawo jazdy?

Przyjemniaczek wzruszył ramionami. Skierował na Chrisa podkrążone oczy, nie próbując nawet ukryć lekceważenia.

- Prawo jazdy, proszę pana.

- Odebrali mi - wymamrotał kierowca. Christopher położył mu rękę na ramieniu.

- Proszę wysiąść - powiedział. Facet skrzywił się szyderczo.

- Odwal się, kutasie - syknął, naciskając na gaz. Krawędź okna uderzyła Chrisa w rękę i pociągnęła kilka kroków za samochodem. Przeszył go ból. Wyszarpnąwszy dłoń, ruszył pędem w stronę wozu patrolowego.

Trzask drzwi! Gwałtowne bicie serca! Jęk syreny! Tył czarno - białego wozu zakolebał się na boki. Spod kół bryznęły na dwadzieścia stóp fontanny żwiru i trawy. Chris złapał słuchawkę.

- Dwa bravo trzydzieści siedem - starał się mówić spokojnie. - Zwiął mi. Na zachód, dziesiątą! Gonię go!

Dyspozytor potwierdził przyjęcie meldunku i podał aktualny czas:

- Dwa b trzydzieści siedem. Zrozumiałem. NZ dziesiątą. Zero - sześć - dwa - pięć.

Christopher miał wrażenie, że jego tętno rośnie wraz z prędkością auta. Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, siedemdziesiąt mil na godzinę. Wyteżył wszystkie zmysły, stłumił wszelkie sygnały ostrzegawcze organizmu.

W radiu odezwał się głos:

- Trzy unia trzydzieści jeden. Jadę na wschód dziesiątą. Zbliżam się do Ramsey Boulevard. Przetnę mu tam drogę. - To patrol z Ramsey nadciągał z pomocą.

Osiemdziesiąt mil na godzinę, dziewięćdziesiąt - zastrzyk adrenaliny. Daleko przed Chrisem wóz z Ramsey, migając wiśniowym światłem, wjechał na lewy pas. Grand prix przemknęło obok, lekceważąc go zupełnie. Christopher wbił oczy w drogę. Pot ściekał mu z czoła, spływał po torsie, przylepiając kamizelkę kuloodporną do ciała, kierownica ślizgała się w mokrych dłoniach. Patrol z Ramsey mknął wraz z nim, nieco przed jego prawym zderzakiem.

Od czasu do czasu Chris donosił przez radio o sytuacji.

- Mijam skrzyżowanie dziesiątej i Armstrong... Jadę dziesiątą na zachód, mijam wagę... - Znajome miejsca umykały do tyłu.

W głośniku odezwał się inny głos:

- Elk River trzydzieści sześć trzynaście, a autostrady 169. Skręcam na zachód w dziesiątą razem z SP 403.

Jezu. To już razem cztery auta. Pięć, licząc ściganego... i sto dziesięć mil na godzinę! Chris zapomniał o całym świecie, skupił się wyłącznie na kierownicy. Ten cholerny idiota w grand prix, Mario Andretti od siedmiu boleści, zagrażał wszystkim kierowcom. Jechał tak na odcinku dziewięciu mil. Wiedział, że przy elektrowni w Elk River czeka ich ostry zakręt w lewo. Po lewej mieli rzekę, a przed sobą groźne filary wiaduktu, którym droga 169 przelatywała ponad dziesiątą.

W oddali zobaczył brązowy wóz patrolu stanowego oraz granatowy samochód z Elk River, na którego drzwiach widniał złoty emblemat przedstawiający łosia. Zaczęły migać kolejne czerwone światła. Samochody na drodze umykały w lewo i prawo. Chris podał swoją pozycję i odwiesił mikrofon, aby ująć kierownicę obiema rękoma.

Pięć pojazdów zbliżało się do siebie. Syreny wyły jak silniki odrzutowców, wszędzie migotały czerwone światła. Chris widział kątem oka pędzące auta policyjne. Kiedy zbliżyli się do zakrętu, cztery wozy patrolowe zdołały otoczyć uciekającego.

Wjazd pod wiadukt! Wejście w zakręt! Rzeka po lewej! Po prawej wielkie zielone wzgórze! Ryk silników, samochody oddalone od siebie o kilka cali wchodzą w podwójny zakręt z prędkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę. Chris poczuł, że coś uderza w jego auto. Cały świat się przechylił, a potem wyprostował na nowo. Po jego prawej wóz z Ramsey zakolebał się na sypkim żwirze i został z tyłu.

Wjechali w drugi zakręt. Nagle ścigany samochód odbił ostro w prawo, wpadł do rowu, podjechał do góry, urywając sobie tylny zderzak, i uderzył bokiem w potężne drzewo. Zderzak - pędzący teraz jak pocisk - poleciał do przodu i wbił się klinem pomiędzy dwa rosnące pod kątem pnie. Kołpaki kół potoczyły się naprzód, podskakując na wybojach. W powietrze, jak po wybuchu bomby, wzbilo się mnóstwo trawy, ziemi i kurzu. Grand prix wylądował na kołach.

Cztery wozy patrolowe podjechały do niego przez łąkę. Policjanci pobiegli w stronę pirata, zostawiając otwarte drzwi, zza których dolatywały trzaski radiotelefonów. Wszędzie migotały czerwone światła. W górze, na szczycie skarpy, zatrzymali się gapie, aby popatrzeć na widowisko.

Christopher podbiegł do okienka kierowcy, czując, jak w jego żyły leją się całe fontanny adrenaliny. Niewydarzony rajdowiec żył. Klnąc w żywy kamień, walił pięściami w kierownicę.

- Jesteś ranny?

- Kurwa mać!

Chris próbował otworzyć drzwi, ale były zaklinowane.

- Dasz radę wysiąść?

- Niech to cholera! Patrz, co narobiłeś! Skurwy... Policjant wyciągnął rękę, chwytając kierowcę za koszulę.

- Wyłaż. Ale już!

Tamten wyrwał się. Nie miał zamiaru wykonać polecenia. Chris oraz policjant z Ramsey po raz drugi sięgnęli do wnętrza i siłą wywlekli go przez okno. Funkcjonariusz z Elk River wyjął pistolet. Trzymając go w obu dłoniach, mierzył w głowę podejrzanego. To samo zrobił ten z patrolu stanowego.

- Na ziemię! - krzyknął Chris.

Kierowca położył się na brzuchu, a policjant wyjął kajdanki.

- Cholerne skurwiałe śwynie! Gównojady! Zastrane gliny! - Pojmany leżał z twarzą na ziemi, obrzucając ich wszelkimi przekleństwami, jakie zdołał wymyślić. Christopher złapał w garść jego czerwoną koszulę, poderwał szaleńca i poprowadził w stronę swojego samochodu, raz po raz pociągając za kajdanki.

- Do wozu, dupku! - wrzasnął, upuszczając z siebie nadmiar pary. Targany gniewem, dokonywał rutynowych czynności. Zamknął podejrzanego na tylnym siedzeniu, oddzielonym siatką od reszty kabiny. Podziękował kolegom.

Złożył raport dyspozytorowi. Zgasił światła alarmowe i wyprowadził swoje auto z rowu. Przejechał dziewięć mil z powrotem do Anoki, a kiedy dotarł do komisariatu, musiał się jeszcze uporać z całą papierkową robotą.

W czterdzieści minut potem zaczęły się dreszcze.

Jechał właśnie do domu, gdy wszystko w jego wnętrzu zaczęło dygotać jak potrącony kamerton. Kiedy chciał nacisnąć guzik otwierający drzwi garażu, dłoń drżała mu niczym staruszkowi. Wjechał do środka, wyłączył silnik, wysiadł z explorera i ruszył na górę, do mieszkania. Czuł się tak, jakby nogi zrobione miał z gumy. Idąc po schodach, miał wrażenie, że rozpada się na kawałki, mięsień po mięśni. Nie mógł trafić kluczem do zamka, a gdy wreszcie mu się udało, miał kłopoty z wyjęciem go stamtąd.

Zaczął krążyć bez celu po mieszkaniu, zdejmując mundur i rozrzucając jego części po pokojach. Umył twarz w zimnej wodzie, wytarł ją, po czym zajrzał do lodówki tylko po to, aby stwierdzić, że nie było sensu jej otwierać. Wydawało mu się, że ściany napierają na niego ze wszystkich stron.

Wyszedł pobiegać przez pół godziny, wziął prysznic, wypił szklanekę soku pomidorowego, a potem usmażył sobie grzanekę z jajkiem, której nie był w stanie zjeść. Zaciągnął zasłony, położył się na środku łóżka... i patrzył w sufit.

Na filmach pościgi samochodowe wyglądają wspaniale, Chris jednak zastanawiał się, ilu reżyserów filmowych rzeczywiście brało w jakimś udział. Wciąż jeszcze czuł ciepło na twarzy i szyi, serce nie przestawało mu łomotać, a pomiędzy łopatkami czaił się jakiś ból. Chociaż wygodnie leżał, napięcie nie spadało, czuł się raczej jak świeżo wylany beton - „tężał”.

Zmusił się, by myśleć o czym innym. O Lee Reston pracującej w pełnym miłych zapachów sklepie przy Main Street. O Juddzie Quincym. O nadchodzącym Czwartym Lipca. O Lee Reston i jej wężu ogrodowym, który miał zamiar naprawić. O Janice Reston i nie ukrywanym zainteresowaniu, jakie mu okazywała. O Lee Reston ochlapującej twarz zimną wodą przy jego kuchennym zlewie.

Spojrzał na zegar - minęło czterdzieści minut.

Godzina.

Półtorej godziny. Około dziesiątej trzydzieści zrozumiał, że nie zaśnie. Czuł się, jakby był na amfetaminie.

Przeturlał się na brzeg łóżka i usiadł, chwytając obiema rękoma krawędź materaca. Podrapał się w głowę, mierzwiąc włosy. Popatrzył w lewo, na miotłę wiszącą na ścianie, spojrzał w prawo, na nocny stolik, przewinął film, który jego umysł wyświetlał przez ostatnie dwie godziny: pościg... Lee Reston... pościg... Lee Reston... Judd Quincy... Lee Reston... Lee Reston... Lee Reston...

Bez wątpienia myślał o niej za wiele, i to nie zawsze w kontekście smutku, który ich łączył. Do diabła, nie trzeba było Freuda, aby pojąć, że kryje się za tym coś w rodzaju kompleksu matki. To było normalne; przecież przytulała go, klepała po plecach, odgrzewała dla niego obiad, polegała na nim w niektórych trudnych sprawach - zupełnie jakby był jej synem.

Przypomnił sobie o wężu.

Mógł się wyrwać z tego stanu!

Wyskoczył z łóżka, umył zęby, włożył dzinsy, koszulkę z emblematem policji, trampki i złocistą czapkę, po czym zszedł do garażu. Zanim ruszył w stronę Benton Street, upewnił się, że skrzynka z narzędziami jest w explorerze.

Nie będzie jej w domu, to dobrze. Za często tam ostatnio bywał, ale tym razem będzie inaczej. Po prostu zakradnie się, naprawi wąż i zniknie. Byle tylko coś zrobić, byle wypalić ten nadmiar energii.

Miał rację. Lee nie było w domu, podobnie jak Janice. Nie widział ich samochodów, lecz drzwi do garażu znowu były szeroko otwarte. Psiakrew, tej kobiecie przydałby się

tydzień w policji, żeby zrozumiała, jak często okradane są otwarte garaże. Drzwi wejściowe do domu także stały otworem. Przez ekran z siatki Christopher widział wnętrze, więc pomyślał, że może Joey jest gdzieś w pobliżu.

Zaparkował na podjeździe, wyjął z kieszeni scyzoryk, obciął końcówkę węża i pojechał do sklepu po nową.

Wróciwszy do domu Lee, usiadł na frontowych schodkach w miłym półcieniu i zabrał się do naprawy. Beton był chłodny. W szparach pomiędzy płytami chodnika krzątało się kilka mrówek. W górze rozlegały się śpiewy chyba z pięciu różnych gatunków ptaków. W tej dzielnicy zawsze było dużo ptaków, ponieważ rosło w niej wiele okazałych drzew. Kwitnące w donicy geranium rozsiewało wokół specyficzny ostry zapach.

Chris pogwizdując robił swoje. Niepostrzeżenie jego rozdygotane nerwy zaczęły się uspokajać. Kiedy chciał wziąć z furgonetki kleszcze, zorientował się, że musiał zostawić je w mieszkaniu po rozebraniu łóżka Grega. Wszedł więc do garażu, by poszukać innych.

Na stole, który pełnił rolę warsztatu, nie brakowało narzędzi. Wyglądało na to, że Bill Reston był zapalonym majsterkowiczem. I to bardzo pedantycznym. Stały tam szafki z maleńkimi plastikowymi szufladkami, pełnymi skrupulatnie posegregowanych śrubek, nitów, uszczelek i gwoździ. Na wiszącej nad stołem tablicy każde narzędzie miało swoje miejsce, choć było widać, że te, których używano po jego śmierci, nie zawsze tam wracały. Część z nich leżała na blacie, razem z kłębkiem sznurka, rusztem do opiekania mięsa i wiadrzem z przyborami ogrodniczymi. Cały ten kąt był mocno zakurzony.

Chris wpatrzył się w tablicę, zafascynowany spuścizną po człowieku, który niegdyś był mężem Lee Reston. Nożyce do blachy, diamenty do cięcia szkła, ściski do drewna... no i najzwyczajniejsze kleszcze.

Kiedy znowu usiadł na stopniu i zajął się naprawą węża, usłyszał za sobą głos:

- Cześć, Chris, co ty tutaj robisz?

Odwrócił się i zobaczył Joeya. Chłopiec stał zaspany w uchylonych drzwiach z siatki.

Ubrany był w szare szorty.

- Naprawiam wam wąż. Wstałeś już?

- Taa...

- Cała reszta w pracy?

- Taa.

Chris na powrót zajął się węzem.

- Można by skosić trawnik - zauważył.

- Dopiero co go kosiłem.

- To było ponad tydzień temu. Może lepiej zrób to dzisiaj. Masz paliwo?

- Nie wiem.

- To idź i sprawdź.

- Dopiero co wstałem.

- Nie szkodzi. Idź i sprawdź.

Joey wyszedł z domu i ruszył bosy do garażu, skąd wrócił po chwili.

- Nie za wiele - powiedział.

- W takim razie ja teraz skoczę po paliwo, a ty się przez ten czas obudź. Jak wrócę, skosisz mamie trawnik, zgoda?

- Tak, chyba tak. Waż był gotowy.

- W porządku. No to widzimy się za chwilę.

Wziął z garażu bańkę na paliwo, napełnił ją na stacji u zbiegu Main i Ferry, po czym wrócił do domu Restonów. Drzwi wejściowe nadal stały otworem, ale chłopca nie było nigdzie widać. Chris wsparł się o futrynę i zawołał do wnętrza:

- Hej, Joe!

Chłopiec pojawił się po chwili, lecz wyglądało na to, że nie odnosi się zbyt entuzjastycznie do całej sprawy. Zamiast się uczesać, wcisnął na głowę czapkę baseballową. Zdążył jednak wciągnąć na nogi skarpetki i włożył adidasy. Zajadał też jeden z tostów z masłem orzechowym i dżemem, których cały stos trzymał w ręce.

- Kupiłem paliwo - powiedział mu Chris - i wlałem do kosiarki.

- Hmm... - Joey wyszedł przed drzwi. Usta miał tak pełne, że nie mógł mówić.

- Posłuchaj... - Christopher podrapał się w głowę, odchylając daszek czapki. Stali obok siebie na najwyższym stopniu. Chris wpatrywał się w dom po drugiej stronie ulicy oraz w połyskującą w oddali rzekę. Dookoła rozsnuwał się zapach masła orzechowego. - Wiem, że wasza mama zawsze pilnowała, żebyście wykonywali swoją część prac domowych. Wiem też, że ciężko ci bez Grega, ale nic się nie zmieniło. Nadal musisz jej pomagać... może nawet więcej niż przedtem. Daj jej czasem odetchnąć. Nie każ się prosić. - Zerknął kątem oka na chłopca. - Dobrze?

Joey myślał przez chwilę, wpatrując się w chodnik, jak gdyby oczekiwał jego rady. Woda z węża pozostawiła na betonowych płytkach mokrą plamę w kształcie litery „J”.

- Taa, dobrze - powiedział przełknąwszy.

- Wspaniale - stwierdził Chris. - A kiedy skończysz koszenie, bądź tak dobry i włącz zraszacz.

- Taa, włączę.

- Dzięki, Joey. - Poklepał go po plecach i zostawił sam na sam z robotą.

Tego popołudnia tuż po piątej obudził go telefon Lee.

- Tylko mi nie mów, że znowu cię obudziłam - zaczęła, usłyszawszy jego bełkotliwe „halo”.

- To pani?

- A ktoś inny bez przerwy nie daje ci spać? Chris przeciągnął się.

- Rrrr... - odchrząknął, budząc się zupełnie. - Która to godzina?

- Dziesięć po piątej. Mówiłeś, że po nocnej zmianie śpisz do drugiej.

- Dzisiaj nie mogłem zasnąć. Trafił mi się pościg samochodowy.

- Och, nie. Tylko nie to! - Najwyraźniej Greg opowiadał jej, jak groźne bywają takie pościgi i jaki wpływ wywierają na każdego nieomal policjanta. - Złapałeś go?

- Dopiero jak wjechał do rowu, a zderzak wyleciał na cztery stopy w górę i utknął na drzewie... - Pani Reston zachichotała. - Oczywiście, według niego, to my jesteśmy wszystkimu winni.

- Był pijany?

- A jakże. Tacy są najgorsi.

- Przykro mi, że tak ci się zaczął dzień.

- Teraz, kiedy się przespałem, adrenalina zdążyła już wyparować. Ale w czym mogę pomóc?

Przez chwilę trwała cisza, po czym Lee powiedziała:

- Dzięki za naprawienie węża.

- Nie ma za co.

- I za paliwo do kosiarki.

- Drobiazg.

- I za to, że wykrzesałeś trochę ognia z Joeya. Nie mam wątpliwości, że to twoja zasługa.

- Hm, może mu powiedziałem słówko lub dwa.

- Delikatnie to określiłeś.

- No cóż, czasem potrafię być delikatny.

- Musiałeś coś powiedzieć także Janice. Zauważyłam, że się zmieniła.

- To dobre dzieci. Po prostu trochę za bardzo zajęli się sobą i jakby zapomnieli, że pani też jest trudno.

- Jak ci się mogę odwdziaczyć?

- Naprawdę chce pani wiedzieć?

- Tak. - Zanim odpowiedziała, wyczuł, że ją zaskoczył.

- Czy miałyby pani coś przeciwko temu, żebym Czwartego Lipca przyprowadził gościa?

- Bynajmniej.

- To Judd Quincy. Ten chłopak, o którym pani opowiadałem.

- Ten z nieciekawym domem?

- Właśnie. Kiedy dzisiaj leżałem i za skarby świata nie mogłem zasnąć, przyszło mi na myśl, że pewnie Judd nigdy jeszcze nie widział normalnej rodziny, a tym bardziej nie spędził z taką rodziną żadnego święta. A dzieciak musi zobaczyć jak to może być, zanim uwierzy, że to w ogóle możliwe. Jeśli nikt mu nie pokaże, że są lepsze sposoby na życie, będzie taki sam jak jego rodzice. W całej Ameryce nie znalazłbym rodziny, która zrobiłaby to lepiej niż wasza.

- Cóż, dziękuję, Chris... Przyprowadź go, oczywiście. - W jej głosie pojawiło się pełne zrozumienia ciepło.

- I nie będzie pani przeszkadzało, jeśli on zje żeberka Grega?

- Ani trochę.

- Ale... ustalmy jedno: w siatkówkę Judd gra w mojej drużynie.

- Chwileczkę!... Stawiasz bardzo surowe wymagania.

- Ten dzieciak ma posturę rozchwianego stołka barowego, mniej więcej tak właśnie kiwają mu się wszystkie kości w stawach. Nie sądzi pani chyba, że pozwolę mu grać w drużynie przeciwnika?

- No cóż, zdaje mi się, że gospodyni powinna mieć jakieś przywileje. Będziemy musieli to przedyskutować, kiedy go zobaczę.

- W porządku, umowa stoi.

Chris leżał na poduszce, uśmiechając się do sufitu. Uniesioną do góry ręką przyciskał słuchawkę do ucha.

- Myślę, że... - zaczęła Lee.

- Taa, chyba powinienem już wstać.

- A ja powinnam zrobić kanapki. Joey gra dzisiaj w piłkę, więc chciałabym popatrzeć.

- Po chwili przerwy zapytała niepewnie: - Może wpadniesz?

- Nie mogę. Ja też mam dziś mecz.

- Ach, jasne. Drużyna policyjna.

- Taa.

- Pierwsza baza, prawda?



- Prawda.
- Kto gra teraz w centrum pola? - To była pozycja Grega.
- Zdaje mi się, że Lundgren. To mój pierwszy mecz od...
- ... od śmierci Grega - dopowiedziała po krótkiej pauzie Lee.
- Przepraszam.
- Musimy nauczyć się o tym mówić.
- Wiem, wiem. Rzecz w tym, że ja to powiedziałem. Nie mam pojęcia dlaczego.
- W takim razie - rzuciła beztróskim tonem - życzę powodzenia w meczu.
- Dzięki. A ja Joeyowi.
- Widzimy się czwartego.
- Tak jest!
- O jedenastej.
- Będziemy punktualnie.

Zadzwoił do Judda.

- I co słyhać?
- Psińco.
- Chcesz dziś popatrzeć, jak gram? Podjadę po ciebie tam gdzie zwykle. O szóstej trzydzieści.

- Jasne. Czemu nie.

Kiedy o wpół do siódmej Chris wjechał na parking, Judd jak zawsze podpierał frontową ścianę Siedem - Jedenaście.

- Hej - powitał go Chris, gdy chłopak wsiadł do wozu.
- Hej.
- Mam do ciebie interes.
- Nie robię interesów.
- Ten zrobisz. Chodzi o piknik Czwartego Lipca z moimi przyjaciółmi. Chłopak nie zdołał zachować zwykłej obojętności. Odwrócił lekko głowę i wytrzeszczył oczy na Chrisa.
- Piknik?
- Taa... Mięso z rusztu, siatkówka w ogrodzie, napoje... A potem fajerwerki w parku. I co powiesz?
- Kurdemol, facet, dlaczego nie?
- Ale będziesz musiał ukrócić takie powiedzonka. To mili ludzie. Judd wzruszył ramionami.
- Spokojna głowa. Dam sobie radę.

- W porządku. - Chris wziął z przedniego siedzenia białą czapkę z kasztanową literą „A”. - To dla ciebie.

- Dla mnie?

- Taa. To czapka Grega, mojego kumpla. Jego matka powiedziała, że mogę ci ją dać. Właśnie do jej domu jedziemy czwartego.

Chłopak wziął czapkę z wahaniem.

- Coś ci powiem - rzekł Christopher - jeśli masz ją nosić, noś ją z szacunkiem. To był dobry gliniarz. Coś znaczył. Kiedy będziesz miał tę czapkę na głowie, nie chcę, żebyś kradł rowery ani sprzedawał części, ani w ogóle babrał się w jakimś gównie. Umowa stoi?

Judd długo przyglądał się prezentowi, po czym oświadczył:

- Stoi.

- I jeszcze jedno.

- Co takiego?

- Musimy ci załatwić nowe łapcie. Jeśli masz grać w siatkówkę w mojej drużynie, nie możesz się potykać o te języki. To by nas mogło kosztować kilka punktów, wiesz?

Judd spojrział w dół na swoje zdeptane tenisówki, a potem znowu na Chrisa. Zdając sobie sprawę, że jeszcze chwila, a zacznie okazywać uczucia, wcisnął plecy w oparcie fotela ze zwykłą obojętnością.

- Nowe łapcie zniosę.

Zanim odezwał się ponownie, zdążyli niemal dojechać do stadionu.

- Pompki? - zapytał, rzucając spojrzenie na policjanta.

- Pompki! - zawołał Chris. - Zlituj się, chłopie. Wiesz, ile kosztują takie buty?

Chłopak wzruszył niebdale ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Pompki? A komuż potrzebne coś takiego?”

Gdy wysiadali z furgonetki, Judd naciągnął czapkę na kędzierzawe włosy. Daszek sterczał mu fantazyjnie nad lewym uchem.

Czwarty Lipca był dokładnie taki, jaki powinien być - słoneczny, suchy i gorący. W chwili gdy Christopher zatrzymał się przy krawężniku przed domem Lee Reston, cały podjazd zapelniony był samochodami, a zza domu dolatywała głośnie muzyka. Nad otwartymi drzwiami garażu oraz wokół drzew przed domem, pomiędzy którymi urządzono pole do krykieta, upięte były czerwone, białe i niebieskie festony.

W uchwycie przytwierdzonym do słupka przy wejściu tkwiła powiewająca na wietrze amerykańska flaga, a w ziemię pośród geranium wetknięto mniejsze chorągiewki.

Christopher i Judd zatrzasnęli drzwi furgonetki, po czym ruszyli za dom. Policjant

miał na sobie białą koszulę z krótkimi rękawami oraz okropne szorty w neonowych kolorach. Chłopak wystrojony był w dzinsy z obciętymi nogawkami, obwisły podkoszulek, białą czapkę Grega z daszkiem przekreślonym na lewe ucho i nowe pompki za sto dolarów. Po raz pierwszy, odkąd Christopher go znał, nie powlókł nogami.

Weszli na podwórko. Cień rzucany przez klon ciągnął się wzdłuż tylnej ściany domu aż po taras, gdzie Oirin Hillier, ojciec Lee, napelniał węglem drzewnym kilka przenośnych rusztów do pieczenia mięsa. Z wystawionego w oknie głośnika dolatywała chrapliwa muzyka orkiestrowa - wojskowe marsze, na których dźwięk Christopher, były trębacz, zatęsknił za tym, aby znowu poczuć na ramionach piętnaście funtów mosiądzu. Obok tarasu, w pełnym słonecznych plam cieniu, Janice, Kim, Sandy Adolphson i Jane Retting ścierały kurz z krzeseł ogrodowych, a w głębi podwórka, na zalanym słońcem boisku do siatkówki, pomiędzy dwiema rabatami w kształcie litery „U”, Lloyd Reston z Joeyem rozpinali siatkę. Peg, matka Lee, stojąc pośrodku lewej rabaty, ścinała nożyczkami kwiaty. Sylvia Eid przerwała nakrywanie plastikowego stołu plastikowym obrusem i zawołała w jej stronę:

- Weź też ostróżkę, mamó, dobrze? Będziemy mieli czerwone, białe i niebieskie.

Cześć obecnych - sąsiadów, kuzynów i szwagrów - Chris poznał przelotnie w trakcie pogrzebu. Jedna z kobiet nalewała z węża wody do wazonu. Jakiś mężczyzna podszedł do niej i nadepnął na przewód, celowo hamując dopływ wody, a wtedy zerwała się i ruszyła za nim w pościg, śmiejąc się i wymyślając mu od najgorszych. Chlusnęła w jego stronę wodą z wazonu, mocząc mu lewą skarpetkę.

Lee otworzyła drzwi z siatki i wyszła na taras z puszką płynu do rozpalania węgla.

- Proszę, tato. I zapalki. - Miała na sobie białe bermudy i bluzkę z nadrukiem przedstawiającym rozwianą flagę amerykańską. Kiedy podawała pudełko Orrinowi, zauważyła nowo przybyłych. Na jej warzy pojawił się uśmiech.

- Chris, jesteś! - Zeszła po stopniach tarasu. Usłyszawszy jego imię, Janice spojrzała za siebie i wrzuciła szmatkę do wiadra, przerywając robotę. Ruszyła z entuzjazmem, aby go powitać.

Lee cmoknęła Chrisa w policzek.

- Cieszę się, że przyszedłeś - powiedziała, po czym wyciągnęła rękę do chłopca. - Cześć, Judd. Jestem Lee Reston.

- Cześć, Chris! - zawołała jej córka. - Cześć, Judd, jestem Janice. Przywitawszy się, spojrzała na strój gościa.

- Kurka wodna! Patrzcie tylko na te szorty! Z którego cyrku je buchnąłeś?

- Zazdrościsz mi, nie? - Wsparł się rękoma pod boki i zerknął w dół. - Obecny tutaj

Judd stwierdził, że muszę nieco ożywić strój. Kupiłem je specjalnie na dzisiaj.

- Przedstawię cię wszystkim, Judd - powiedziała Lee - a tobie każdy sam się przedstawi. Napoje są tam, w chłodziarce, na stole masz naleśniczki z sosem meksykańskim, żebyś nie umarł z głodu, zanim mięso będzie gotowe. Uważaj na te, z których sterczy chorągiewka. Są bardzo ostre. Chris, włóż swoje mięso do lodówki, póki ruszt się nie rozgrzeje, a potem może byś pomógł Lloydowi i Joeyowi przy siatce?

- Z przyjemnością.

- Cześć, Chris! - zawołała Kim z drugiego końca podwórka. - Kogo tam przyprowadziłeś?

- To Judd. Będzie grał w mojej drużynie!

Kiedy obaj przybysze szli w stronę boiska, ze wszystkich stron rozlegały się powitalne okrzyki. Siatka leżała już rozciągnięta na trawie, a Joey wytrząsał z kartonowego pudła komplet aluminiowych palików.

- To pewnie Judd. - Lloyd wyszedł im na spotkanie. - Miło cię poznać. Joey... podejdź tu.

Syn Lee, przerwawszy dopasowywanie rurek, zbliżył się do nich z typową dla czternastolatka rezerwą.

- Cześć - powiedział, stając nieco z tyłu. - Jestem Joey.

- A ja Judd. Po chwili wahania uścisnęli sobie dłonie.

- Pomożesz przy palikach? - zapytał Joey.

- Jasne - odparł Judd.

I w ten sposób rozpoczął się piknik.

Kiedy Orrin przytknął zapalną do brykietów, po podwórku rozszedł się zapach płonącego węgla. Z głośnika popłynęły dźwięki hymnu i przyjaciele Janice rozpoczęli zaimprovizowaną paradę. Lee znalazła w pokoju córki starą buławę dyrygenta i wszyscy po kolei próbowali nią kręcić. Peg Hillier dawała sobie z tym radę nadspodziewanie dobrze, a kiedy wszyscy się dziwili, przyznała, że w młodości była majoretką.

- Wiesz? - szepnął Orrin do Joeya, patrząc pożądlivym wzrokiem, jak żona, w trampkach i luźnej koszuli zakrywającej jej lekko sterczący brzusek, wywija buławę. - Kiedy twoja babcia kończyła szkołę średnią, każdy chłopak z jej klasy chciał się z nią umawiać, ale tylko ja miałem to szczęście.

Judd podsłuchiwał tę uwagę i uważniej przyjrzał się starszej pani, która podrzuciła w górę buławę, ale nie zdołała jej złapać.

- Spróbuj jeszcze raz, Peg!

- Nie daj się, babciu! - wołali wszyscy.

Dała radę za trzecim razem, wzbudzając powszechne wiwaty. Gdy pieśń dobiegła końca, pani Hillier roześmiała się z siebie samej, przycisnęła jedną dłoń do piersi, a drugą wachlowała twarz. Orrin wziął ją w ramiona i szepnął jej coś do ucha. Peg znowu zareagowała śmiechem, po czym przekazała buławę młodszym dziewczętom.

Joey wyniósł z garażu pudło z kulami i rozpoczęto grę. Toczyła się to przed domem, to za nim, bez żadnej troski o reguły.

Potem Lee przyniosła kij do baseballa.

- Uwaga! Słuchajcie wszyscy! - zawołała. - Pora dobrać drużyny do siatkówki! Christopher i ja będziemy kapitanami!

Ruszyła zamasztywym krokiem w stronę Chrisa, rzuciwszy pionowo kij w jego stronę. Uchwycił go w górnej części, tuż pod znakiem firmowym, zaskoczony tym oświadczeniem.

- Liczysz chwyt? - zapytała, rzucając mu pełne figlarnego wyzwania spojrzenie. Złapała kij prawą dłonią tuż ponad jego zacisniętą pięścią.

- Liczę, kurczę. - Zacisnął swoją prawą powyżej.

Lewa.

Prawa.

Lewa.

Prawa.

I tak do samego czubka kija, aż pozostało miejsce tylko na jedną pięść. Lee kocim ruchem zacisnęła na nim dłoń, obwieszczając filuternie:

- Ja pierwsza. Wybieram Judda.

- Och, rzeczywiście, brak pani ludzi - mruknął Chris z udawanym szyderstwem. -  
Joey!

- Tato!

- Pani Hillier.

Wszyscy pomrukiwali zachęcająco, bo wciąż jeszcze wielu zawodników nie miało przydziału.

- Nie możemy mieć męża i żony w jednej drużynie - wyjaśnił Chris. - Za dużo zgrzytów! A poza tym ona tak wspaniale kręci buławą. Założę się, że będzie pani dobra.

- Na litość boską, mów mi Peg - powiedziała starsza pani, dołączając do jego składu.

- Barry.

- Janice.

- Sylvia.

- Hej, zdawało mi się, że mąż i żona nie mogą być w jednej drużynie! Przez całą resztę dobierania bawili się doskonale, rzucając takie uwagi. Kończyli właśnie, kiedy na podwórko wkroczył powoli Nolan Steeg, wysoki, szczupły muskularny.

- Bierzemy Nolana!

- Nie, my bierzemy Nolana!; Przybyły wypiął pierś i rozpostarł szeroko ramiona.

- Pragniecie mnie? - zawołał niczym kiepski aktor. - No to bierzcie... bierzcie!

Okazało się, że tuż za No łąnem wkroczył na podwórko jego kuzyn, rudowłosy chłopak o imieniu Ruffy, który wpadł do niego na tydzień, zatem każda z drużyn zyskała jednego potężnego gracza.

Rozegrali zadziwiająco kiepski mecz. Co chwila ktoś pozwalał, aby piłka spadła na ziemię o dwie stopy od jego nosa. Wciąż się kłócili o linie autowe, więc w końcu ustawili na trawie cztery tenisówki, które miały symbolizować narożniki boiska.

- Och, nie! Tylko nie w kwiaty! - wrzasnęła Lee, kiedy piłka po raz pierwszy poleciała w tamtą stronę i na oczach wszystkich złamała żółtą lilię.

Lloyd, krocząc pośród roślin niczym bocian, wyjął piłkę, a potem podniósł lilię i wsunął ją sobie za ucho.

- Przepraszam, kochanie - powiedział, wracając do gry. Kiedy następnym razem piłka poleciała ku rabatom, rozległ się chór czterech głosów:

- Och, nieee, nie w kwiaty!

Potem zamieniło się to w okrzyk bojowy, który budził niepohamowany śmiech, ilekroć klomby zbierały łanie. Lee dobrodusznie rozkładała tylko ramiona, wznosząc dłonie ku niebu.

Judd skakał jak na sprężynie. Ilekroć znalazł się przy środkowej linii, drużyna Lee zdobywała punkt. Także i Joey świetnie ścinał, toteż gra nabrała impetu. Peg Hillier zdołała obronić tuż przy linii bocznej, co jej drużyna nagrodziła uściskami i poklepywaniem. Dwa razy zdarzyło się, że Christopher i Lee, wyskakując jednocześnie do piłki po przeciwnych stronach siatki, zderzali się piersiami. Za drugim razem Chris przewrócił ją przy tym, a spadając, nadepnął jej na kostkę. Przeszedł natychmiast pod siatką na jej stronę.

- Nic się pani nie stało? - Wyciągnął do niej rękę.

- Nic. Wszystko gra - uspokoiła go, po czym zwinnie stając na nogi, dodała:

- Ty ciamajdo.

- Na pewno nic? - Chris strzepnął jej z pleców kilka suchych trawek.

- Zobaczysz, jeszcze ci odpłacę! - zagroziła. Była w doskonałym humorze.

- Wracaj na swoją połowę boiska.

Gra zakończyła się, kiedy rudowłosy Ruffy, wracając po ostrym zagranu na swoją pozycję, puścił bąka, i to bardzo głośnego, co wywołało salwę śmiechu.

- Pora zacząć piec mięso - stwierdziła Lee i ruszyła w stronę tarasu, ocierając pot z czoła.

Ktoś odkręcił wodę i wąż ogrodowy zaczął przechodzić z rąk do rąk, aby każdy mógł się napić. Rozległy się trzaski otwieranych puszek z piwem i napojami.

- Kto się zajmie kukurydzą?

Zabrali się za nią Barry i Sylvia. Wyławiali z balii ze słoną wodą nie obrane kolby, otrząsali je i kładli na ruszcie, a po chwili odwracali na drugą stronę, chwytając azbestowymi rękawicami. Tymczasem Orrin z Lloydem piekli mięso. Po całym podwórku rozeszły się zapachy, od których wszystkim pociekła ślinka. Liczni pomocnicy wynosili z kuchni półmiski z potrawami. Ponieważ słońce uniosło się wyżej, trzeba było przestawić stoły do cienia.

- Myślę, że część steków już się nadaje do jedzenia - obwieścił Orrin.

Sylvia zdarła liście z pierwszej, olśniewająco żółtej kolby i przeciągnęła po niej pędzlem zanurzonym w roztopionym maśle.

- Kukurydza gotowa!

Procesja biesiadników ruszyła powoli wokół bufetu, obok stanowiska z kukurydzą, ku ruszkom z mięsem, z których unosiły się kłęby wonnego dymu.

- Czy ktoś chce mrożonej herbaty?

- Daj, mam, ja się tym zajmę. - Janice wyjęła z rąk Lee oszroniony dzbanek i zaczęła rozdawać papierowe kubki.

Pani Reston jako jedna z ostatnich nałożyła na swój plastikowy talerz sałatkę ziemniaczaną, pieczoną fasolę, pikle oraz mięso. Zniosła ten zestaw do długiego piknikowego stołu, przy którym siedział Chris wraz z Joeyem, Juddem i jeszcze paroma osobami.

- Hej, posuń się - powiedziała, trącając go biodrem. Chris przestawił swój talerz, a Lee wślizgnęła się na ławę obok niego.

- Jak kukurydza? - zapytała.

- Mmmm... - Oba policzki miał umazane masłem. Uśmiechnął się do niej szeroko, po czym ogryzał kolbę dalej, wsparty łokciami na brzegu stołu. Lee usiadła tak samo i zaczęła wygryzać kolejne rzędy lśniących od masła, żółtych ziarenek. Posoliła kolbę, a kiedy odstawiała solniczkę na miejsce, ciepłe nagie ramię Chrisa dotknęło jej ramienia.

Odsunęli się od siebie. Jedli kukurydzę, udając, że to się wcale nie stało. Po drugiej stronie stołu Judd i Joey wymieniali uwagi na temat ulubionych gatunków muzyki. Rap

walczył z country.

Od sąsiedniego stolika doleciał głos Janice: - Mamo, pieczona fasola jest boska.

- Tak samo jak sałatka ziemniaczana - dodał Chris. - Kawalerowie niezbyt często jadają takie rzeczy.

- Nawet ci, którzy potrafią gotować? - zapytała.

- Gotuję głównie rzeczy bardzo proste.

- Robienia sałatki ziemniaczanej nauczyła mnie moja matka. Ona zna pewien sekret.

- Jaki?

- Trzeba dodać trochę zalewy ze słodkiej marynaty. - Głos Lee wzniósł się odrobinę. -

Prawda, mamo?

- Co prawda? - Przy sąsiednim stoliku Peg odwróciła się na krześle, spoglądając przez ramię.

- Zalewa z marynaty do sałatki ziemniaczanej.

- To prawda. Ale twoja, kochanie, ani trochę nie ustępuje mojej. Lloyd ruszył dookoła, dolewając chętnym mrożonej herbaty.

- Bardzo miły piknik, moja droga - powiedział, klepiąc Lee po ramieniu.

- Hej, ciociu Lee! - zawołał jeden z krewnych, siedzących przy sąsiednim stole.

- Słucham, Josh.

- Czy to prawda, że jak miałaś jedenaście lat, wjechałaś samochodem dziadka przez wystawę do sklepu?

Lee wypuściła z rąk ogryziony kaczan i złapała się za głowę.

- O mój Boże!

- Wjechałaś, ciociu?

Twarz gospodyni zalał rumieniec.

- Tato, czy to ty mu o tym powiedziałaś? - warknęła.

- Wjechała, dziadziusiu?

- Hm... Josh, mówiłem ci już, właściwie niezupełnie wjechała. Tylko kawałek, samym przodem auta.

Christopher rzucił uśmiech w stronę prawego ucha Lee, które było czerwone jak cynie w jej ogrodzie.

- O co tu chodzi? - drażnił się z nią cicho.

- Chętnie bym ci przyłożyła, tato! - wrzasnęła z wściekłością.

- Nic dziwnego, że nie była pani zła, kiedy Joey prowadził - nabijał się z niej Chris. - On przynajmniej poczekał, aż skończy czternaście lat. No i nie robił tego na głównej ulicy



miasta.

- Hej, a słyszeliście o tym, jak mój ojczulek sikał przez siatkę? - powiedział ktoś. -  
Opowiedz im, tato.

Teraz z kolei Orrin znalazł się na cenzurowanym. Śmiał się i udawał zakłopotanie, wszyscy go jednak przekonywali, by opowiedział tę po wielekroć powtarzaną historyjkę.

- To było w dzieciństwie. Mieszkaliśmy na farmie, a ja spałem z moim bratem, Jimem, oczywiście w pokoju na piętrze. Któregoś lata wpadliśmy na pomysł, że możemy zaoszczędzić sobie kłopotu i nie łązić po nocy do wygodki, tylko siusiać po prostu przez siatkę w oknie. Dość długo nam się udawało, ale następnego roku, kiedy ojciec wymieniał okiennice, zauważył, że w jednej z siatek przerdzewiało oczko mniej więcej na wysokości... - Orrin pokazał odległość, unosząc jedną dłoń nad ziemią - siusiaka kilkuletniego smarkacza. I wtedy dostaliśmy za swoje.

- Co się stało?

- Musieliśmy łuskać kukurydzę. Tata posadził nas na skrzyni z kaczanami, dał nam taką starą ręczną łuszczarkę i powiedział: „Do roboty, chłopcy! I nie ruszajcie się stąd, dopóki ta skrzynia nie będzie pusta. „, No cóż, zlitował się koło kolacji, pewnie mama się za nami wstawiła. Ale powiem wam, że nigdy przedtem ani potem nie miałem na rękach takich pęcherzy.

W ciągu całego opowiadania Christopher obserwował Judda. Chłopak wsunął jedną stopę pod ławę i wyciągał szyję, aby zobaczyć coś ponad głowami otaczających go ludzi. Jak każdy dwunastolatek wpatrywał się z uwagą w mówiącego, zasłuchany, zapomniawszy o pustym widelcu, który trzymał przy ustach. Śmiał się wraz z innymi. Po raz pierwszy, pełen nie skrywanej fascynacji, widział na własne oczy, jak jedno pokolenie przekazuje drugiemu rodzinną tradycję.

Kiedy opowieść dobiegła końca, powiedział do Joeya:

- Myślałem, że dziadkowie to same... no wiesz, zgredy, ale twój jest zdecydowanie prima sort.

- Taa, ja też tak uważam - uśmiechnął się Joey.

Na deser zjedli arbuza, po czym odbył się konkurs w pluciu pestkami, który wygrała Sylvia. Jako nagrodę dostała paczkę sztucznych ogni.

Potem dalej grali w siatkówkę, w kule i krykieta, a gdy zaczął zapadać wieczór, zjedli to, co zostało i zaczęli sprzątać na podwórku i w kuchni. Zanim wyruszyli do parku, wszystko zostało pozbierane, umyte i spakowane.

- Słuchaj, Chris - zagadnął Joey - mogę jechać z tobą i Juddem?

- Pewnie.

- A dla mnie znajdziecie miejsce? - zapytał Lloyd.

- Mowa! Pan wskakuje.

Lee pojechała z rodzicami, a Janice z koleżankami. Cała kawalkada wyruszyła sprzed domu w chwili, gdy słońce dotykało horyzontu, a w okolicy raz po raz rozlegały się trzaski fajerwerków.

W parku zamieniono na parkingi tereny otaczające kompleks boisk baseballowych. Jadące zderzak w zderzak samochody wzbijały w górę obłoki kurzu, który osiadał powoli na kolejnych pojazdach. Niebo utraciło kolor, wypłowiło jak irys zbyt długo przetrzymywany w wodzie. Od piaszczystej ziemi bil jeszcze skwar dnia, ale górą nadciągał już chłód. W oddali, przytłumione przez kurz, migają kusząco kolorowe światła festynu, a jego odgłosy, tłumione od czasu do czasu wybuchami sztucznych ogni, nęciły przybywających. Dzieci biegały pomiędzy samochodami. Dorośli kroczyli powoli, najstarsi dźwigali złożone leżaki.

Joey i Judd popędzili przodem, wzbijając kłęby kurzu. Rozmawiali z ożywieniem o emocjach, których spodziewali się po festynie.

- Wygląda na to - zauważył Lloyd, idąc za nimi wraz z Chrisem - że ci dwaj nieźle się dogadują.

- Lepiej niż się spodziewałem.

- Hej, wy tam, zaczekajcie na nas - rozległ się za nimi głos Lee. I oto pani Reston znalazła się obok Chrisa, a ponieważ Lloyd podszedł do jej rodziców, zapowiadało się, że pozostanie z nim przez resztę wieczoru.

- Przejdziecie się na festyn? - zapytała Lee starszych państwa. - Nie, dziękuję - odparła jej matka. - Mam już chyba dość wrażeń na dzisiaj. Siadę sobie na kocu i poczekam na fajerwerki. Orrin i Lloyd byli tego samego zdania.

- Nie obrażcie się, jeśli my chwilę pospacerujemy?

- Ależ skąd. Bawcie się dobrze - powiedziała starsza pani.

- To na razie. Znajdziemy was później.

Ruszyli przez zakurzoną trawę w stronę czerwonych, niebieskich i żółtych neonów, w stronę zapachu prażonej kukurydzy oraz chrupek, w stronę szumu silników festynowych urządzeń i dźwięków jarmarcznej muzyki.

- Dziękuję za dzisiejszy dzień - powiedział Christopher - a zwłaszcza za to, że pozwoliła pani przyjść Juddowi.

- Proszę bardzo. Miło mi było gościć was obu.

- Nie sądzę, aby zdarzyło mu się przeżyć kiedyś coś takiego. O ile mi wiadomo, nie

ma dziadków. Patrzyłem na niego, kiedy pani ojciec opowiadał swoją historyjkę. Ten dzieciak był jak zahipnotyzowany.

- Cała reszta słyszała już to opowiadanie tyle razy, że znają je na pamięć.

- O to właśnie chodzi. Chciałem, żeby zobaczył, jak funkcjonuje prawdziwa rodzina, a wyście mu to umożliwili.

- Możesz go przyprowadzać, kiedy tylko zechcesz.

- Wygląda na to, że przypadli sobie z Joeyem do gustu. Pod koniec dnia rozmawiali ze sobą i chichrali się przez cały czas.

Kiedy doszli do miejsca, gdzie odbywał się festyn, Chris zerknął na swą towarzyszkę. Przed wyjściem z domu Lee na nowo pomalowała usta. Przez ramię przewieszony miała sweter. Światła lampionów barwiły jej twarz różnymi kolorami, odbijając się w oczach, które nagle, gdy znaleźli się pośród ferworu zabawy, posmutniały. Chris wyczuł, że pani Reston wspomina Grega, być może jego dzieciństwo, gdy błagał ją o jeszcze jedną przejażdżkę, o pieniądze na jeszcze jeden smakołyk. Ile razy w ciągu jego życia rodzice Grega przyprowadzali go tutaj Czwartego Lipca? Rok po roku, aż stało się to tradycją. Teraz ta tradycja trwała, już bez niego.

Doszli do głównej alejki. Lee, zatrzymawszy się, spoglądała dookoła, a Chris czuł, że z żalu nad nią kraje mu się serce.

- Może pani coś przynieść? - zaproponował. Licha to była oferta, ale cóż innego mógł zrobić? Pani Reston pokręciła głową odchodząc o kilka kroków, zapewne po to, aby ukryć łzy. Chris podszedł do niej i położył jej dłoń na ramieniu.

- Kiedy był dzieckiem, przychodziła tu z nim pani, prawda?

Przytaknęła sztywno.

- W takim dniu jak dzisiaj... - powiedziała po dłuższej chwili. - Człowiek radzi sobie doskonale przez cały czas, a potem staje wobec czegoś takiego i jest tak, jakby... i czeka, że on wybiegnie z tłumu.

- Pewnie jako ośmiolatek.

- Ośmio - , dziewięcio - , dziesięciolatek.... że poprosi o pieniądze na samochodziki. To chyba przez te zapachy. Najczęściej dzieje się tak wtedy, kiedy się czuje znajome zapachy. Zauważyłeś to?

- Zauważam to w domu w łazience. Tam jest gorzej niż gdziekolwiek indziej. Jak gdyby jego woda po goleniu wsiąkała w ściany.

Stali nieruchomo. Ręka Chrisa nadal spoczywała na jej ramieniu. Obok przechodzili ludzie, mężczyzna w białym fartuchu i białej papierowej czapce sprzedawał różowe cukierki

w stożkowych torebkach.

- Przejeźdźmy się czymś - zaproponował Christopher.

- Nie bardzo mam ochotę.

- Ja też nie, ale mimo to przejeźdźmy się.

Lee odwróciła głowę, spojrzała przez ramię i ręka Chrisa osunęła się w dół.

- Nie mam ochoty, Chris.

- Co pani powie na diabelski młyn?

Popatrzyła na ogromne urządzenie. Zdawała sobie sprawę, że to właściwy sposób na wyrwanie się z emocjonalnej pułapki, w którą wpadli.

- No dobrze, chociaż obawiam się, że nie będę najlepszym kompanem.

Chris kupił całą wstęgę biletów, oddał cztery, po czym wsiedli do wagonika diabelskiego młyna. Lee nie miała łez w oczach, ale było widać, że kosztuje ją to wiele wysiłku. Usiedli na swoich miejscach, nie dotykając się. Maszyna poderwała ich od tyłu, zatrzymując się raz po raz, aby zabrać kolejnych pasażerów.

- Czytałem coś na temat smutku - powiedział Christopher. - Pisali, że najtrudniej jest znaleźć się w takich miejscach po raz pierwszy i że nie należy odwiedzać ich wszystkich od razu. Nie trzeba się z tym śpieszyć. Niech pani nie próbuje być bohaterką.

- Nie próbuję - odparła.

- Czyżby? To pani przygotowała kwiaty na jego trumnę. To pani poszła wprost do jego sypialni, żeby zabrać rzeczy. I to pani postanowiła, że Czwarty Lipca będzie taki sam jak zawsze. Może powinna pani spuścić trochę z tonu. Do diabła, Lee, patrzyłem na panią i czułem, jak mnie zatyka. Choć przez cały czas podziwiam pani siłę, zastanawiam się, jak pani daje radę. Chyba teraz wreszcie to panią dopadło.

Ni stąd, ni zowąd Lee zapłonęła gniewem. Smagneła go swymi rdzawymi oczyma.

- Jak śmiesz mnie krytykować! Ty przez to nie przeszedłeś! Nie wiesz, jak to jest!

- Nie, nie przeszedłem. Nie tak jak pani. Ale nikt nie oczekuje, że będzie pani superwoman.

Diabelski młyn ruszył; w zielonym świetle latarni na policzkach Lee pokazały się ślady łez. Christopher poczuł, jak ogromny żal napiera od środka na jego zębra.

- Och, Lee, już dobrze... Nie chciałem doprowadzić pani do płaczu. - Objął ją, przytulając jej głowę do swego ramienia. - Nie chciałem pani ranić. Próbowałem tylko wytłumaczyć, że być może zbyt wiele i za wcześnie bierze pani na siebie, a przecież nikt tego od pani nie oczekuje. Niech pani po prostu zwolni, dobrze?

Lee wtuliła się w niego gwałtownie, owineła ręką jego ramię i łkała, ściskając je

mocno. Trwali tak przez chwilę, aż ogromne koło wyniosło ich w górę, w ciemniejące niebo, gdzie zawisli, jak gdyby byli jedynymi istotami na całej Ziemi. Diabelski młyn wstrzymał nagle bieg, a ich wagonik zaczął się kołysać. Światła i gwar rozbrzmiewający w dole wydawały się odległe. W górze zapalały się pierwsze gwiazdy.

Chris dotknął ustami jej włosów. Pachniały nią i kurzem, i dymem z grilla.

- Przepraszam, Lee - szepnął.

- Masz rację - przyznała załamującym się głosem. - Rzeczywiście udawałam superwoman. Powinnam była poczekać, aż dzieci będą w stanie pomóc mi zlikwidować jego pokój. A dzisiaj, po zakończeniu pikniku, powinnam była zostać sama. Może gdybym tu nie przyszła, to wszystko nie zaczęłoby się na nowo.

Pociągnęła nosem i odsunęła się, wycierając twarz dłońmi. Chris nadal obejmował ją jedną ręką, nie zdejmując łokcia z oparcia.

- Czujesz się teraz lepiej?

Przytaknęła energicznie, jakby chciała przekonać samą siebie.

- I nie jesteś na mnie zła? Przecząco pokręciła głową.

- Nie.

Nacisnąwszy leciutko na jej kark, odwrócił jej twarz ku sobie i pocałował ją w czoło. Diabelski młyn dojechał do samej góry, po czym znowu się zatrzymał. Chris nadal leciutko ją obejmował. Ich oczy się spotkały i zatrzymały na sobie, a oni zadumali się nad tym dziwnym układem, jaki tworzył się między nimi.

- No dobrze, cieszymy się tą przejażdżką.

Uśmiechnęła się do niego blado. Wielkie koło zaczęło się kręcić, przenosząc ich z powrotem w krąg światła i rozgwar na dole. Chris zdjął rękę z szyi Lee, ale odszukał jej dłoń, splótł z nią swoje palce i położył na swoim nagim kolanie. Patrząc na połączone dłonie, jechali tak do chwili, gdy zdali sobie sprawę, że z dołu patrzy na nich mnóstwo oczu, a pośród tego tłumu może się znaleźć ktoś ze znajomych. Christopher przezornie puścił jej dłoń, po czym już do końca siedzieli w milczeniu. Nie dotykali się, lecz czuli nawzajem swoją obecność tak namacalnie, że można to było wyjaśnić tylko w jeden sposób.

Kiedy wysiedli z młyna, odnalazł ich Joey. Poprosił mamę o pieniądze, ale Chris wręczył mu pozostałe bilety, mówiąc:

- Daj połowę Juddowi.

- Jejku, dzięki.

- Racja, dzięki, człowieku.

- Spotkamy się przy samochodzie zaraz po fajerwerkach! - zawołała Lee za

odchodzącymi chłopcami.

Gdy zrobiło się całkiem ciemno, ruszyli w stronę boisk do baseballa, gdzie wszyscy czekali na początek pokazu. Park był ogromny. Nie mieli pojęcia, gdzie są pozostali, a ponieważ przez dziesięć minut nie potrafili ich wypatrzeć, dali sobie z tym spokój.

- Może usiądziemy tutaj - zagadnął Chris, kiedy pośród tłumu nieznajomych znaleźli względnie duży kawałek trawy.

- Czemu nie? - Lee rozłożyła swój sweter. - Podzielę się tym z tobą. Przycupnęła na niewielkim skrawku białej wełny. Dotykali się biodrami, pozwalając sobie przynajmniej na tyle kontaktu. Kiedy na niebie rozbłysły sztuczne ognie, wyprostowali nogi i wsparci z tyłu na rękach patrzyli w górę.

Ponad ich głowami rozjarzyły się setki diamentów, rubinów i szafirów. Ich ręce się spotkały, tak jak wcześniej, przy stole piknikowym, lecz teraz, pod osłoną ciemności, nie przerywali tego dotyku. Skóra muskała skórę, twarze mieli skierowane ku niebu, podobnie jak ludzie, którzy ich otaczali.

W górze łoskot i gwizd... kolejny rozbryzg połyskujących gwiazdek, tym razem niebieskich i czerwonych... pyk, pyk, pyk!... chór zachwyconych głosów.

- Ooooooch...

- Christopher? - zagadnęła Lee cichutko.

- Hm? - Odwrócił głowę i spojrzał na jej profil, widoczny tuż ponad ich złączonymi ramionami.

- Jesteś dla mnie bardzo dobry - powiedziała, nie odrywając oczu od nieba.

## ROZDZIAŁ 7

Pewnego wieczoru, kilka tygodni po Czwartym Lipca, Janice wróciła z pracy za piętnaście dziesiątą. W domu było gorąco. Dziewczyna przeszła przez hol i stanęła w otwartych drzwiach sypialni Lee, wspierając się ramieniem o framugę. Wyglądała na zmęczoną.

- Cześć, mamó.

- Cześć, kochanie. - Lee siedziała na łóżku, czytając. Miała na sobie żółtą piżamę. - Duży ruch w sklepie?

Janice odgarnęła włosy i pokręciła głową.

- Nie bardzo. Jejku, mamó, jak tu gorąco. Szkoda, że nie zainstalowałaś klimatyzacji.

- Może weźmiesz chłodny prysznic? Poczujesz się lepiej. Janice wyciągnęła bluzkę ze spódnicy i rozpięła ją. Uniosła lewą stopę, zsunęła biały pantofel, powiesiła go sobie na palcu wskazującym, a następnie zrobiła to samo z prawym. Potem znowu oparła się o obramowanie drzwi.

- Mamó, mogę cię o coś zapytać?

- Oczywiście. - Lee poklepała materac, kładąc sobie na kolanach czasopismo, które czytała. - Chodź tutaj.

Janice usiadła na łóżku, podwijając pod siebie jedną stopę.

- Mamó, co robisz, jeśli wypróbowałaś już wszystko, co mieści się w granicach dobrego smaku, aby zwrócić na siebie uwagę jakiegoś gościa... a on cię nie dostrzeża?

- Jakiegoś szczególnego gościa?

- Tak... Christophera.

Przez pięć sekund Lee siedziała w całkowitym bezruchu. Potem zamknęła czasopismo i odłożyła je na nocną szafkę, by zyskać czas na sformułowanie odpowiedzi.

- Ach, rozumiem - powiedziała cicho, opierając się z powrotem na poduszkach.

- Mamó, on mnie traktuje jak młodszą siostrę! Nie mogę tego znieść.

- Jest między wami dość znaczna różnica wieku.

- Siedem lat to nie tak wiele. Ty byłaś o pięć lat młodszą od taty. Lee zastanowiła się nad tym.

- To prawda. Dwa lata więcej to w końcu nic strasznego.

- Więc dlaczego on zupełnie nie zwraca na mnie uwagi? Robiłam aluzje, ale on ich nie chce zrozumieć. Oglądam się w lustrze i wiem, że nie jestem żadną poczwara. Zachowywałam się przy nim jak dama, wciągałam go w rozmowy, prawilałam komplementy,

ładnie się ubierałam... Na wszystkie możliwe sposoby próbowałam dać mu do zrozumienia, że jestem nim zainteresowana i że mam wystarczająco wiele lat, aby traktować to poważnie. Więc o co chodzi?

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Dużo z nim przebywasz. Czy on coś o mnie mówi?

- Pyta, jak się miewasz. Obchodzisz go w tym samym stopniu co cała nasza rodzina.

- Obchodzę go... - powtórzyła Janice, krzywiąc się. Przyjrzała się swym pantoflom, po czym złożyła je na kolanach podeszwami do siebie. - Hura!... - Widać było, że jest przygnębiona. Na zewnątrz, w ogrodzie, cykały polne koniki. W salonie Joey oglądał telewizję. Dziewczyna mówiła teraz ciszej, zupełnie szczerze: - Okropnie mi się podoba, odkąd Greg nas sobie przedstawił. To było w komisariacie, a on miał na sobie mundur, właśnie zajechał wozem patrolowym. Słowo ci daję, mam, wysiadł z samochodu, a mnie serce... po prostu podskoczyło do gardła. Jestem przekonana, że on o tym wie. Kim twierdzi, że kiedy na niego patrzę, mam maślane oczy.

Spojrzała na matkę z wyrazem rozczarowania i obie roześmiały się. Niezbyt radośnie. Lee otworzyła ramiona. - Chodź do mnie, kochanie. Janice przechyliła się i przytuliła do niej.

- My, kobiety, mamy paskudne życie, prawda? - Lee pogłaskała podbródkiem włosy córki.

- Teraz już nie. Dziś mnóstwo kobiet proponuje randki mężczyznom.

- Więc dlaczego ty tego nie zrobisz?

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Lee odgarnęła jej włosy ze skroni. Były piękne, kasztanowe, sięgały do połowy pleców, wiły się w naturalny sposób. Janice odziedziczyła je po rodzinie Billa.

- Chyba chcę, żeby to on mi zaproponował spotkanie. W chwilę później ich rozmowę przerwał Joey.

- Co robicie?

Stanął w drzwiach, wspierając się o futrynę, tak samo jak przed chwilą Janice. Miał na sobie szarą koszulkę, szorty oraz brudne białe skarpetki, których czubki wydymały się jak balony.

- Rozmawiamy - odpowiedziała Lee.

- Taa? Założę się, że wiem o czym. Janice zakochała się w Chrisie, prawda?

Dziewczyna spojrzała na brata.

- Wiesz, Joey, chyba nie byłoby tak źle, gdybyś sam się w kimś zakochał. Może być trochę wydorósł i zaczął zwracać uwagę na higienę. Masz na koszuli pół boiska



baseballowego, a twój zapasek czuję aż tutaj.

- Czy mogłybyśmy chwilę porozmawiać na osobności, Joey? - zapytała Lee.

- Taa, jasne... Idę spać.

- Po kąpieli.

Skrzywił się z niesmakiem i odszedł od drzwi, zwieszając ramiona niczym szympan. W minutę później na drugim końcu korytarza rozległ się plusk prysznica. Janice podniosła się i usiadła plecami do Lee.

- Kim twierdzi, że powinnam po prostu do niego zadzwonić i poprosić go o coś. Żeby poszedł ze mną do kina czy coś w tym rodzaju. Co o tym sądzisz, mamó?

- Kochanie, to zależy od ciebie. Kiedy ja dorastałam, dziewczyny nie robiły takich rzeczy, ale zdaję sobie sprawę, że dzisiaj jest inaczej.

- Ale boję się, że znowu mi odmówi i będę się czuła jak idiotka.

- Znowu?

- Tamtego wieczoru zapytałam go, czy pójdzie popływać, ale wcześniej pływał już z tobą. Tym razem zaprosiłabym go wcześniej, na piątkowy albo sobotni wieczór. Może na obiad w jakimś niezobowiązującym miejscu... - Spojrzała tęsknie przez ramię. - Jak uważasz?

Lee patrzyła na córkę. Czuła, że zaczyna jej współczuć, jak matka. Janice była taka ładna! Jak to możliwe, że młody mężczyzna ją odtrąca?

- Uważam, że matki powinny trzymać się z dala od takich decyzji. Janice siedziała w pogniecionej bluzce na zmiętoszonej pościeli, wpatrując się w swe nagie kolana. W końcu roześmiała się ponuro.

- Do licha, mamó, wcale mi nie pomogłaś - powiedziała i wstała z łóżka.

W pół godziny później, kiedy w domu zapadła wreszcie cisza, Lee leżała w ciemnościach, przytulając ucho do poduszki. Zastanawiała się nad swoją reakcją na słowa Janice. Kiedy jej córka wymieniła imię Christophera, poczuła przyływ paniki. Czy może to była zazdrość? Śmieszne. Zważywszy wiek Chrisa, śmieszne było i jedno, i drugie. Był o piętnaście lat młodszy od niej, a ona nie miała żadnego powodu, by uważać go za więcej niż przyjaciela. A jednak uważała. Wyjątkowe było w nim to, że tak bardzo mu ufała. Był znacznie mądrzejszy, niżby wskazywał jego wiek. Być może sprawiła to praca, którą sobie wybrał, albo niewesołe dzieciństwo.

W ciągu miesiąca, jaki upłynął od śmierci Grega, widziała Christophera kilkanaście razy. Było oczywiste, że stał się dla niej substytutem zmarłego syna. Zdawała sobie z tego sprawę, lecz sądziła, że to typowa reakcja. Każda matka, która utraciła dziecko, będzie szukać towarzystwa osób mu bliskich, aby pogodzić się jakoś ze stratą. Kiedy w pobliżu byli jacyś

młodzi ludzie - nieważne kto - mogła rozmawiać o Gregu i pomniejszać ból. Czasem wpadały do niej dziewczyny, Nolan wstąpił nawet raz do kwaciarni, ot, tak sobie, przywitać się.

Co więc było innego w Christopherze?

Przewróciła się na plecy. Prześcieradła wydawały się lepkie. Zadawała sobie pytanie, dlaczego nie pomyślała o zainstalowaniu klimatyzacji, kiedy sklep okazał się udanym pomysłem i nie musiała oglądać każdego centa z obu stron. Te przeklęte cykady potrafią doprowadzić człowieka do szaleństwa. Odwróciła się na bok. Przesunęła jedną nogę na nie rozgrzany jeszcze kawałek prześcieradła. Wsunęła przykrycie między kolana.

A zatem co tak bardzo wyróżniało Christophera?

Nosił mundur i jeździł czarno - białym samochodem policyjnym. Kiedy widziała, jak jego wóz wjeżdża na podjazd, miała przez chwilę złudzenie, że to Greg; że to on wysiada zza kierownicy w granatowym mundurze z mnóstwem odznak na piersi. Na litość boską, nawet kolory były takie same - kasztanowe włosy, niebieskie oczy, opalona twarz. Miał taką samą kręłą sylwetkę. Komenda policji wynajmowała siłownię za restauracją Perkinsa, toteż Lee miała wrażenie, że każdy z funkcjonariuszy jest barczysty, muskularny i dba o swoją sprawność, bo któregoś dnia może od tego zależeć jego życie.

Dlaczego więc na diabelskim młynie trzymała Christophera za ręce? To był tylko pocieszycielski gest.

A pocałunek w czoło? Także wyraz pociechy.

A chęć dotykania jego nagiego ramienia?...

Ciągle wierciła się w pościeli.

Koniec z piciem mrożonej herbaty po ósmej wieczorem, bo chyba przez to nie może spać! Odwróciła się na drugi bok, patrząc w wypełnione światłem księżycy okno. Słuchała cykania i cichego szmeru liści potrącanych przez nocny wietrzyk. Potem zapadła cisza. Było tak cicho, że Lee uniosła głowę z poduszki, aby rozejrzeć się po ciemnym pokoju.

Głupia samotna kobieta, która już wiele lat temu wyrzekła się takich niepokojów! Cóż w nią, u licha, dziś wstąpiło? I wtedy usłyszała: gdzieś daleko cichutko wyła syrena. Jej dźwięk był tak słaby, że nawet świerszcze zaczęły cykać na nowo.

Czy on nadal pracuje na nocnej zmianie? Czy zdarzyły mu się następne pościgi samochodowe? No i proszę. Nie знаła odpowiedzi na te proste pytania, bo nie widziała go już od dwóch tygodni. Czyż to nie dowód, że nie było nic niestosownego w tym, że przez kilka chwil potrafili się za ręce na diabelskim młynie?

Spędziła kolejne dwa tygodnie nie widując go wcale. Przez cały ten czas znaczącą część każdego dnia zabierały jej czynności związane z załatwianiem rachunków Grega. Od

tygodni zmagala się z bankiem i właśnie gdy po raz kolejny rozmawiała z kimś o nazwisku Pacey, stwierdziła, że trudno jej pogodzić się z utratą syna, skoro musi toczyć te codzienne boje w jego sprawach.

- Ale mówiłam już panu, panie Pacey, nie będzie postępowania spadkowego. On nie miał dość majątku, żeby warto to było robić.

- W takim razie mam związane ręce.

- Dobry Boże, przecież to tylko czterysta dolarów na rachunku oszczędnościowym!

- Wiem o tym, ale jeśli syn był pełnoletni, nie ma pani prawa rozporządzać jego majątkiem, a on oczywiście był pełnoletni.

- A czy wiadomo panu, że choć przekazałam wam kopię aktu zgonu, przysłaliście mi wyciąg z kolejnego miesiąca? Chcę to po prostu zamknąć, żeby takie rzeczy się nie powtarzały.

- Bardzo mi przykro z tego powodu, pani Reston. Czasami wprowadzenie dokumentów do komputera zajmuje trochę czasu.

- A co z ratami za motocykl? To samo! Ponad miesiąc temu zawiadomiłam was, że mój syn nie żyje, a jego motocykl był ubezpieczony. Dzisiaj dostałam notę z żądaniem zapłaty zaległej raty wraz z karnymi odsetkami.

- Kiedy pani u nas była? - zapytał urzędnik po pełnej zaskoczenia pauzie, a gdy mu to wyjaśniła, powiedział: - Proszę chwileczkę poczekać.

Lee poczuła, że zaczyna ją boleć głowa. Ból narastał, gdy słuchała płynącego wprost do ucha zmysłowego barytonu. Załatwianie spraw Grega wciąż jej go przypominało - patrzyła na jego pismo w rejestrze książeczki czekowej, znajdowała notatki, które robił na dokumentach w swoich teczkach, odkrywała ślady planów, które snuł na przyszłość. Gdy natrafiała na przeszkody takie jak ta - a zdarzało się to często - nie bardzo umiała sobie poradzić. Czasem, pogadawszy na temat jakiegoś problemu z człowiekiem pokroju Pacey, nie potrafiła opanować rozdrażnienia i na chwilę wybuchła płaczem.

Wciąż jeszcze stała ze słuchawką przy uchu, kiedy drzwi sklepu otworzyły się i do środka wkroczył Chris w policyjnym mundurze. W tej samej chwili do telefonu wrócił Pacey.

- Pani Reston?

- Tak. - Patrzyła na Christophera, który stanął przy drzwiach, uśmiechając się do niej.

- Pani syn spłacił samochód, kłopot jednak w tym, że wykorzystał go jako zabezpieczenie pożyczki, którą zaciągnął na kupno motocykla.

- Wiem, panie Pacey! Powiedziałam wam o tym, kiedy u was byłam! Chodzi o to, że nie mogę przenieść aktu własności samochodu na córkę bez dowodu rejestracyjnego, a wy nie

wydacie mi go, póki nie zostanie spłacony motocykl, za który nie płacę ja, tylko towarzystwo ubezpieczeniowe, które jeszcze nie wysłało wam czeku.

Usłyszała, jak Pacey bierze głęboki oddech. Jego cierpliwość była na wyczerpaniu.

- W takim razie, pani Reston, czy nie byłoby znacznie prościej, gdyby przeprowadziła pani postępowanie spadkowe?

- Dziękuję panu - powiedziała drżącym głosem i trzasnęła słuchawką z taką siłą, aż zadźwięczał dzwonek aparatu.

Christopher stał, patrząc na nią przez całą długość sklepu. Pośród szeregów donic z żółtymi i niebieskimi hortensjami wydawał się zupełnie nie na miejscu. Lee, wparłszy obie dłonie w ładę, usiłowała się uspokoić, jednakże rozzalenie wzięło górę. Zwinęła dłoń w pięść i z całej siły walnęła w blat.

- Cholera jasna! - zawołała, zaciskając powieki.

- Co się stało? - Przeszedł pomiędzy ciętymi kwiatami i obrotowymi stojakami pełnymi pocztówek okolicznościowych. Stanął po drugiej stronie lady, wspierając się o nią łokciami, przegięty w biodrach w ten sposób, że ich twarze znalazły się na tym samym poziomie. - Zły dzień?

Lee odwróciła się do niego plecami. Zacisnęła dłonie na krawędzi blatu i uniosła głowę do góry, gwałtownie mrugając.

- Dlaczego ilekroć mnie widzisz, płaczę? Słowo ci daję, że całymi dniami udaje mi się tego unikać, tymczasem wchodzisz tutaj, a ja znowu beczę.

- Nie wiem - powiedział cicho Chris. - Wygląda na to, że to się rządzi swoimi prawami, prawda? Czuję się dzisiaj trochę przybity, więc pomyślałem, że wpadnę i zobaczę, jak się miewasz.

Znowu spojrzała na niego, zdobywając się na niedbały uśmiech. Kiedy patrzyła na jego czapkę z daszkiem, sztywny kołnierzyk i krawat, poczuła, że jej frustracja gdzieś znika.

- Sama nie wiem, do diabła.

- A o co chodziło z tym telefonem?

- Rozkosze spraw majątkowych.

- Ach, rozumiem... - Chris nadal wspierał przedramiona na ładzie. Zza lewego mankietu wysunęła mu się złota bransoletka zegarka. W wąską kieszonkę koszuli wetknięty miał jeden zausznik przeciwsłonecznych okularów. Ponieważ był pochylony, kołnierzyk, spięty starannie zawiązanym krawatem, który mocowała do koszuli spinka, napinał skórę na jego szyi. Mundur jak zwykle sprawiał, że wydawał się o dziesięć lat starszy. Można było pomyśleć, że jest jej rówieśnikiem.

- Może coś z tym zrobimy? - zapytał cicho. - Pójdziemy do kina? Na spacer? Porozmawiamy? Zapomnimy o wszystkim na chwilę.

- Kiedy? Wieczorem?

- Tak. Mam poranną zmianę.

- Możemy wziąć Janice? - zapytała Lee pod wpływem impulsu.

- Jasne - odparł bez chwili wahania, prostując się i poprawiając skórzany pas obwieszony ciężkimi akcesoriami. - Joeya też, jeśli masz ochotę. Co będziemy robić?

- Chyba najlepszy byłby spacer. Szybki, forsowny, długi spacer.

- Może po deptaku na zachód zapory?

- Doskonale.

- Mam po ciebie przyjechać?

- Pewnie.

- O której?

Lee zerknęła na zegarek.

- Kończę tutaj o piątej trzydzieści. Co powiesz na szóstą? Przygotuję kanapki.

- Świetnie.

- To na razie.

Natychmiast zadzwoniła do domu. Sygnał powtórzył się dziewięć razy, ale nikt nie podniósł słuchawki. Wykręciła numer sklepu w Northtown. Jakaś Cindy powiedziała, że Janice tego dnia nie pracuje, zadzwoniła więc do domu Kim i dowiedziała się od jej matki, że obie dziewczyny pojechały na uniwersytet załatwić coś w związku z jesiennym semestrem. Nie mówiły, kiedy wrócą.

- Gdyby z nią pani rozmawiała, proszę jej powiedzieć, żeby nie jadła kolacji i żeby była w domu o szóstej.

- Załatwione.

Sylvia miała wolny dzień, więc Lee sama zamknęła kwaciarnię. Zatrzymała się obok przydrożnego sklepiku i kupiła cztery zestawy kanapkowe, tak bogate, że brakowało w nich chyba tylko kuchennego zlewu. Wpadając do domu, zawołała:

- Joey? jesteś tu?

- Jo! - odkrzyknął z głębin swojego pokoju.

- Chcesz iść na spacer ze mną i Chrisem?

- Gdzie?

Przechodziła właśnie obok drzwi jego sypialni, rozpinając pasek sukienki. Chłopak leżał na łóżku i czytał magazyn „Hot Rod”.

- Po deptaku koło tamy - odpowiedziała.

- Dobrze. Ale mógłbym wziąć rolki? Nie cierpię takiego łażenia. Lee zaśmiała się.

- Nie mam nic przeciwko temu - odparła nieco głośniejszym głosem, zamykając drzwi swojej sypialni. - Tylko pospiesz się. On tu będzie o szóstej. Czy Janice już wróciła?

- Nie widziałem jej przez cały dzień. No cóż, pomyślała Lee, próbowałam.

Przebrała się w wyblakłe purpurowe szorty z dzianiny i dobraną do nich kolorem koszulkę, włożyła tenisowe skarpetki i adidas, przeciągnęła szczotką po włosach, przetarła twarz chusteczką, pomalowała usta i właśnie wychodziła z łazienki, kiedy Chris zapukał do drzwi.

- Gotowa? - zapytał.

- Tak.

- Gdzie dzieci?

- Joey idzie z nami. - Uniosła nieco głos. - Hej, Joey? Jesteś gotowy? Chłopak wpadł do holu. Niczym Tom Cruise przejechał w skarpetkach po lśniącej posadzce, trzymając w ręku łyżworolki.

- Gdzie masz buty? - zapytała Lee.

- Nie potrzebuję butów. Będę jeździł.

- Weź buty! - Władczy palec Lee skierowany był w stronę sypialni syna. - Ech, ci dorastający chłopcy! - dodała cicho.

Korzystając z nieobecności Joeya, napisała kartkę dla Janice i zostawiła ją na kuchennym stole: „Poszłam na spacer z Joeyem i Chrisem. W lodówce masz kanapkę. Wrócę wcześniej. Całuję, mama”.

- Joey, jak będziesz wychodził, zamknij drzwi - zawołała ruszając za Christopherem na zewnątrz. Siatkowy ekran zamknął się za nimi z trzaskiem. Ruszyli w stronę explorera.

- Z czym te kanapki? - zapytał Chris, zerkając ciekawie na biały worek. Lee uniosła pakunek. - Salami, szynka, ser, majonez, czarne oliwki, sałata, pomidory, cebula, słonecznik, korzeń sasafras, brukiew wodna, kluseczki ziemniaczane, masło orzechowe, kiszona kapusta i świńskie ucho. Co to ma znaczyć: „Z czym te kanapki?” Sądziś, że ktoś jest w stanie spamiętać, co oni tam wkładają?

Chris otworzył jej ze śmiechem drzwi furgonetki.

- Przepraszam za głupie pytanie.

Lee usiadła z przodu, zostawiając Joeyowi miejsce na tylnym siedzeniu. W minutę później, kiedy chłopak wyszedł z domu, wyruszyli. Opuściwszy szyby w oknach, rozkoszowali się wieczornym powietrzem, które świszczą im w uszach.

- Dzięki za tę propozycję, Chris. Jest tak przyjemnie... - Lee odchyliła głowę do tyłu, uniosła łokcie, zamknęła oczy i przegarnęła palcami włosy. - Gdyby mi przyszło rozmawiać z następnym bankierem, agentem ubezpieczeniowym albo facetem z firmy kamieniarskiej, chyba zaczęłabym krzyczeć.

Christopher zerknął na nią z ukosa. Zobaczył na tle przeciwległego okna jej profil z zarysem piersi i uniesionych łokci. Kiedy opuściła ręce, szybko skierował wzrok na drogę.

- Dziś żadnych takich. Ten spacer jest po to, żeby o tym wszystkim zapomnieć. Zgoda?

Posłała mu uśmiech.

- Zgoda.

Obezwładniający skwar lipca zdążył się już wypalić. Nastął znacznie łagodniejszy sierpień.

Gdy dojechali do zapory, było wpół do siódmej i w powietrzu wyczuwało się miłe ciepło. Niebo wydawało się zamglone, jakby oddzielała je zaparowana szyba, miało kolory melona i lawendy; pomarańczowe słońce, które na nim świeciło, było tak mętne, że dało się na nie patrzeć gołym okiem. W powietrzu unosił się zapach końca lata - dojrzewających zbóż, wędnących chwastów, kurzu i żniw.

Missisipi przelewała się z hukiem przez uniesiony przelew zapory. Na ukośnych stanowiskach parkingowych stały ciasno obok siebie samochody z bagażnikami do przewożenia rowerów na dachach. Pełni powagi rowerzyści, uzbrojeni w kaski i rękawiczki, odpoczywali przy balustradach, nie zsiadając ze swoich pojazdów. Obserwowali wędkarzy, którzy usiłowali coś złowić w spokojnej wodzie powyżej kipieli.

Joey zabrał się za wkładanie łyżworolek.

- Widzisz? Mówiłem ci, że nie potrzebuję butów - mamrotał, a kiedy skończył, obwieścił: - Jestem głodny. Mogę dostać kanapkę, mam?

- Oczywiście. - Lee wyciągnęła pakunek z torby i nad oparciem fotela podała go chłopcu, który zwieszał już nogi z otwartych drzwi. - Tylko żebyś nie rzucił papieru na deptak. Masz kieszeń?

- Mam, mam.

Stanął obok furgonetki w niebieskiej baseballowej czapeczce. Przebijając nogami do przodu i do tyłu odwinął papier, po czym odgryzł wielki kęs.

- Pośpieszcie się, ludzie! - powiedział z wydętym policzkiem. W ciągu ostatniego roku nos wybujał mu nad podziw, tracąc całą chłopięcość, natomiast pozostała część twarzy nie bardzo za nim nadażała. Ręce zaś stały się wielkie jak bochny.

Lee patrzyła na syna zastanawiając się, jakim sposobem przeprowadzić go od czternastu do dziewiętnastu lat w możliwie najkrótszym czasie. Kochała go, ale ten młodzieńczy etap dorostania był naprawdę koszmarny.

Przechyliła się przez siedzenie furgonetki, zaglądając do torby.

- Ty też zjesz kanapkę, Chris?

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałbym spacerować z pustym żołądkiem. - Chris znalazł właśnie swe przeciwsłoneczne okulary i teraz nasuwał na ich zauszuki ogniście różowy sznurek.

- Ja także. Zjemy potem.

- A jeszcze lepiej wezmę torbę spod siedzenia. Możemy zabrać kanapki i zjeść je gdzieś przy stole do pikników.

- Dobra myśl.

Christopher nasunął na nos okulary, zamknął furgonetkę, po czym przeszedł na drugą stronę. Lee włożyła kanapki do niebieskiej nylonowej torby, a on przymocował ją sobie do pasa.

Joey był już o trzydzieści jardów od nich. Sunął z wdziękiem na łyżworolkach, gryząc kanapkę i nie troszcząc się o nic.

- Boże, gdyby on jeszcze potrafił równie zgrabnie chodzić! - powiedziała Lee, odprowadzając go wzrokiem.

- Cud polega na tym, że z tego się wyrasta.

- Ale na razie wychowuję hormonalną burzę. Nie miałam pojęcia, że nosy potrafią rosnać tak szybko.

Ze śmiechem rozpoczęli spacer. Ruszyli na zachód, wzdłuż szlaku North Hennepin prowadzącego przez łąki upstrzone dzikimi astrami, między polami dojrzałej kukurydzy, w której buszowały bażanty, pośród zagajników rzucających postrzępione cienie. Ścieżka okrążała niewielkie bagna, gdzie czerwonoskrzydłe kosy wznosiły letnie okrzyki, mijała pozostałości dawnych farm, a czasem jakiś nowszy dom, który w tym parkowym krajobrazie wydawał się zupełnie nie na miejscu. Niekiedy zaskakiwali ich rowerzyści wypadający nagle zza pleców. Pedalowali zawzięcie, pozostawiając za sobą pęd powietrza. Spacerowicze i biegacze zbliżający się z przeciwka kiwali im głowami albo rzucali w przelocie pozdrowienie. Chwilami widzieli Joeya, momentami znikał im z oczu. Oddalał się od nich i wracał, furkocząc po asfalcie w niebieskiej czapeczce odwróconej daszkiem do tyłu, co jeszcze bardziej pogarszało jego wygląd chłopca przepoczwarzającego się w mężczyznę.

W pewnej chwili, patrząc na asfalt, który zachodzące słońce zamieniło w płynne złoto,



Lee przymrużyła oczy. Joey wysforował się do przodu; ścieżka ciągnęła się całe mile, aż do rezerwatu Elm Creek Park obok miasteczka Mapie Grove.

- Ciekawe, gdzie się podział ten hormonalny huragan - powiedziała.

- Nie martw się. Znajdzie się.

- Chcesz już wracać?

- Kiedy tylko rozkażesz.

Zmienił kierunek marszu, odwracając się plecami do blasku. Zerknęli na zegarki.

- Idziemy już ciut ponad godzinę - stwierdził Christopher. - Zmęczona?

- Zgadza się, jestem zmęczona, ale czuję się wspaniale.

- Robisz to regularnie?

- Nieregularnie. Tylko latem. A ty?

- Ćwiczę regularnie w ten czy inny sposób. Latem trochę więcej na powietrzu. Zimą raczej w siłowni, zwłaszcza po ciężkim dniu pracy.

Nie mogli rozmawiać maszerując, więc umilkli. Ich cienie na ścieżce stawały się coraz dłuższe. Zrobiło się chłodniej i żaby rozpoczęły swój koncert. W miejscu gdzie deptak przecinała asfaltowa droga, na niewielkiej polance, zobaczyli stół do pikników. Był przy nim stojak na rowery, kosz na śmieci oraz poidelko.

Lee pierwsza napiła się wody. Christopher stał za nią, patrząc na jej wygięte plecy. Stwierdził, że wszystkie krzywizny jej ciała stają mu się coraz bardziej znajome. Wreszcie oderwała się od fontanny i stanęła prosto. Uśmiechnęła się do niego zza dłoni, której grzbietem ocierała usta.

Chris pochylił się nad poidelkiem, nadstawiając obie ręce. Rozsunął szeroko łokcie, a jego okulary, wisząc na sznurku, obijały się o brzeg fontanny. Kiedy pił, Lee obserwowała bok jego szyi, rytmicznie pulsującą skórę tuż pod uchem, pochylony kręgosłup widoczny pod cienką koszulką aż po torbę sterczącą na pośladkach. Już bardzo dawno nie przyglądała się mężczyźnie w ten szczególny sposób, w jaki teraz wpatrywała się w Christophera.

- Aaach! - Wyprostował się z dźwiękiem, jaki często wydają mężczyźni, samczym, gardłowym dźwiękiem, którego Lee od wielu lat nie miała okazji słyszeć w swoim domu. Otarł twarz przedramieniem.

- Kanapki! Kanapki! - zawołała Lee, klaszcząc po dwakroć w dłonie niczym beduin przyzywający tancerki.

- Wyciągnij je - rzekł Chris, odwracając się tyłem. Lee rozsunęła zamek, patrząc tylko na torbę i na nic więcej - głupia kobieta podziwiająca mężczyznę o piętnaście lat młodszego od siebie! - po czym wyjęła kolację. Usiedli po przeciwnych stronach stołu i zabrali się do

jedzenia.

Patrzyli na siebie, na majonez w kącikach ust, na mokre na skroniach zmierzwione włosy, poczerwieniałą z wysiłku skórę. Odziali się na ten spacer byle jak, lecz to nie miało znaczenia - niewielu było ludzi, z którymi czuliby się tak dobrze jak ze sobą.

- I jak? - zaczęła Lee, wycierając usta twardą papierową serwetką z pomarańczowo - czarnym znakiem firmowym. - Były następne pościgi?

- Nie, dzięki Bogu.

- Co nowego słyszeć w komisariacie?

- Zostałem instruktorem strzelania.

- Oooo... gratuluję.

- Jednym z kilku.

- Ale jednak instruktorem. Czy to znaczy, że będziesz musiał znaleźć na piersi miejsce na jeszcze jedną odznakę?

- Nie odznakę, zaledwie mały znaczek na szpilce.

- Co robi instruktor strzelania?

- Właściwy tytuł brzmi: funkcjonariusz odpowiedzialny za strzelnicę. Muszę co kwartał organizować sprawdzian ze strzelania z broni służbowej na strzelnicy.

- Gdzie to jest?

- W małym budynku w parku, za Perkinsem.

- Tam gdzie siłownia?

- Tak.

- Byłam tam. Greg mnie raz zabrał. Pokazał mi, jak tarcze jeżdżą na metalowych szynach, założył mi ochraniacze na uszy i dał postrzelać. A więc masz przeprowadzać sprawdziany.

- Mogę też organizować ćwiczenia. W przyszłym tygodniu będziemy mieli strzelanie typu gamma, w którym bierze udział cały okręg.

- Co to jest: strzelanie typu gamma?

- Robi się je na maszynie gamma. To coś w rodzaju symulatora.

- I ty przygotowujesz to strzelanie na symulatorze?

- Nie. To, które przygotowuję, przebiega inaczej.

- Jak?

- No cóż, właśnie nad nim pracuję. Chłopcy będą musieli wystartować z piwnicy, przebiec trzy ciągi schodów, potem korytarzem, otworzyć drzwi i zestrzelić sześć czerwonych balonów z tarczy, na której będzie ich razem dwadzieścia cztery w różnych kolorach, a to

wszystko w ciągu dwóch minut.

- Dwóch minut? - Wydawało się jej, że to dość długo.

- Czy próbowałaś kiedyś oddać sześć celnych strzałów w ciągu dwóch minut? Zwłaszcza kiedy dyszysz jak parowóz, a w żyłach pulsuje ci adrenalina? W sekcji specjalnej mają w dodatku na twarzy maskę gazową. Albo jest ciemno i migają czerwone światła, zmieniając wszystkie kolory. To nie takie łatwe. Co gorsza, w sprawdzianie, który zaprojektowałem, będą to musieli zrobić sześć razy na sześciu różnych trasach.

- Sam to wymyśliłeś? Wzruszył ramionami.

- Są filmy i książki, z których można czerpać pomysły, no i w ciągu dziewięciu lat w firmie sam byłem na wielu takich sprawdzianach.

- Pewnie jesteś dobry.

- Więcej jest tak samo dobrych, są też lepsi. Na ogół trzęsę się mniej niż większość chłopców. Przynajmniej dopóki nie jest po wszystkim... wtedy dopiero zaczynam dygotać. Jak tamtego dnia, po pościgu.

Opowiedział jej o okropnych chwilach, jakie przeżywa po wszelkich ryzykownych akcjach, gdy adrenalina przestaje dopływać i zaczynają się dreszcze, o tym, jak trudno mu się potem skoncentrować, zasnąć, powrócić do normalnego życia.

- Właśnie dlatego przyjechałem wtedy naprawić ten wąż. Nie mogłem spać... musiałem po prostu wypalić nadmiar energii.

Umilkli. Czasami, gdy zapadała taka chwila ciszy, stwierdzali, że jest im odrobinę za przyjemnie patrzeć sobie w oczy.

- No... dość już o mnie. Powiedz, co u ciebie.

- Cóż... zastanówmy się. - Lee oderwała się od myśli o Chrisie. - Wkrótce rozpocznie się szkoła. Dla Joeya na początku września, dla Janice dwa tygodnie później. Janice będzie musiała sama płacić chesne, więc czasu ma teraz niewiele, bo pracuje. Dzisiaj była na uniwerku, coś tam załatwiała. W przyszłym tygodniu Joey zaczyna trening piłkarski. Muszę pomyśleć o wybraniu się z nim na zakupy. Nie tylko nos mu urósł w ciągu tego lata. Wszystkie dzinsy, jakie ma, sięgają powyżej kostek. - Złożyła papier, w który zawinięta była kanapka, i wsunęła go do torby, po czym spojrzała w otwartą na południe przestrzeń, gdzie zapadał już zmrok.

- Nie cierpię myśli, że Janice idzie na studia. Dom będzie taki pusty!

- Ma mieszkać w akademiku?

- Tak.

- Więc trzeba będzie ją przeprowadzić. Pomóc wam jakoś?

- Mogę pożyczyć ciężarówkę od Jima Clementa.
- Daj mi znać, gdybyś potrzebowała jednego silnego.
- Dziękuję. Powiem ci.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. W pobliżu kosza na śmieci pojawił się wróbel szukający okruszyn. Przechodząca obok siwowłosa para powiedziała im: cześć. Gdy starsi państwo odeszli, Christopherowi przyszło do głowy pytanie. Siedział w zadumie obawiając się, że jeśli je zada, urazi Lee i będzie to oznaczać koniec tych miłych chwil, które spędzali ze sobą. Ale w końcu zostali przyjaciółmi, dobrymi przyjaciółmi. Wciąż na nowo mówili o swoich uczuciach, cóż więc mogło być złego w mówieniu o tym? Zapytał ją, podpowiadał mu jakiś wewnętrzny głos. Po prostu zapytał. Zamiast tego wstał i zbierając się na odwagę, poszedł wyrzucić śmieci. Kiedy wrócił do stołu, usiadł okrakiem na ławce i wsparł się łokciem o blat, spoglądając w porośniętą trawą dal.

- Mogę cię o coś zapytać?
- Pytaj.

Odwrócił się, by spojrzeć jej w twarz.

- Czy umawiasz się czasem na randki?

- Na randki? - powtórzyła, jakby to słowo było dla niej całkiem nowe.

- Tak, na randki. - Pośpieszył z wyjaśnieniem : - Wiesz, Greg sporo o tobie opowiadał, ale nigdy nie słyszałem, żeby wspominał o facetach w twoim życiu. - Oczekał chwilę w milczeniu, po czym powtórzył: - No więc, umawiasz się z kimś?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo kiedy Bill zmarł, wystarczyły mi dzieci. Po prostu nigdy nie czułam takiej potrzeby.

- Przez dziewięć lat? - dopytywał się. - Nie spotykałaś się z nikim przez dziewięć lat?

- Ale straciłam w twoich oczach, nie? - Zanim zdążył zareagować na tę uwagę, ciągnęła: - To były bardzo pracowite lata. Chodziłam do szkoły, założyłam firmę... Kiedy Bill zmarł, Joey miał zaledwie pięć lat, starsi czternaście i szesnaście. Nie miałam czasu na randki. Dlaczego o to pytasz? Chris znowu zerknął na trawnik.

- Bo wydaje mi się, że dobrze by ci to zrobiło. Kiedy dziś wszedłem do sklepu, byłaś bliska łez ze złości. Tak wiele jest spraw, z którymi musisz się uporać po śmierci Grega! Chyba umawianie się z kimś pozwoliłoby ci się od tego oderwać. Wiesz, spotkanie z człowiekiem, z którym mogłabyś porozmawiać o swoich odczuciach.

- Przecież z tobą o tym rozmawiam - powiedziała cicho Lee. I zaraz dodała szybko,

jakby przyłapała się na jakimś nietakcie: - No i mam jeszcze rodzinę, dzieci... Nie jestem samotna. A jak jest z tobą?

- Czy ja z kimś chodzę?

- To trudne pytanie, jak sądzę.

- Od czasu do czasu.

- Aż kim chodzisz teraz?

- Z nikim szczególnym. Dziewczyny są raczej skłonne zrywać znajomość, kiedy się dowiadują, że jestem gliną. Chyba się boją czegoś poważniejszego, bo myślą, że dam się sprzątnąć czy coś w tym rodzaju.... Nie wiem. To stresujące życie, podobno zwłaszcza dla żon. Ostrinski wciąż próbuje namówić mnie, żebym umówił się z jego szwagierką. Jest rozwiedziona, ma dzieci, była żoną faceta, który oszukiwał ją przez cztery lata, przez cały czas zadając się z kim popadło, nawet z jedną z jej przyjaciółek. W końcu powiedziałem Ostrinskiemu, że dobrze, gdzieś ją zabiorę. Ma to być w sobotę, ale nie bardzo się do tego palę.

- Dlaczego?

- Dwoje dzieci i były mąż, cała przeszłość, z którą ona usiłuje sobie poradzić... - Chris ze smutkiem pokręcił głową.

- Prawie tak samo jak ja - zauważyła Lee.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że twój mąż...

- Nie, na Boga. Nasze małżeństwo było wspaniałe. Może właśnie dlatego z nikim się nie umawiałam. To, co miałam, było tak doskonałe, że byłoby trudno...

- Hej, ludzie, tutaj jesteście! - Joey zjechał ze ścieżki. Dysząc ciężko, przeczłapał przez trawę i wsparł obie dłonie na blacie stołu. Śmierdział okropnie. - Macie pojęcie, jak daleko dojechałem?

- Sądząc po tym, która jest godzina, to do Południowej Dakoty - stwierdziła jego matka.

- Zła jesteś na mnie, mamo?

- Właściwie zagadaliśmy się z Christopherem i nie zauważyłam, że już prawie ciemno.

- Jezu, to ulga. Wiesz co? Spotkałem tę dziewczynę... Sandy Parker. W ostatnim tygodniu wakacji urządza u siebie przyjęcie z okazji końca lata. Jestem zaproszony.

- Przyjęcie? Z dziewczynami? I ty chcesz tam iść?

- No, Sandy nie jest taka jak inne dziewczyny. Lubi jeździć na rolkach, łowić ryby i w ogóle. - Przesunął daszek do przodu i zaczął kręcić czapką, drapiąc się w głowę. - Mogę iść, prawda, mamo?

Lee i Chris wstali od stołu.

- Możesz.

Cała trójka ruszyła w stronę asfaltowej ścieżki. Znalazszy się na niej, Joey natychmiast pomknął do przodu.

- Zaczekaj przy samochodzie! - zawołała za nim Lee.

Do końca spaceru i przez całą drogę do Anoki Lee i Christopher mieli sobie niewiele do powiedzenia. W najbliższą sobotę czekało go spotkanie, które - jak oboje wiedzieli - miało stać się odtrutką na sytuację, w jakiej tkwili, na to, co nieśmiało rozwijało się między nimi od lipca: dwoje zupełnie nie dobranych wiekiem ludzi, odrobinę za bardzo zaczynających się cieszyć swoim towarzystwem.

Joey trajkotał przez całą drogę, nie zdając sobie sprawy z ich przygaszonych nastrojów. Gdy zajechali przed dom, Chris odprowadził ich do drzwi. Patrzył, jak Lee przekręca klucz w zamku, jak Joey wchodzi do środka w przepeconych skarpetkach, niosąc buty i łyżworolki.

- Nie mam do niego siły - rzekła Lee, patrząc, jak ekran z siatki zamyka się za nim z trzaskiem.

Żadne nie roześmiało się, choć tak by zrobili wcześniej tego wieczoru.

- Joey, wróć i podziękuj Chrisowi! - zawołała. Chłopak znowu pojawił się w holu.

- No właśnie... dzięki, Chris. Fajnie było - powiedział, nie otwierając siatki.

- Jasna sprawa. ... branoc, Joey.

Nastolatek oddalił się, a w chwilę potem trzasnęły drzwi łazienki. Lee stała o stopień wyżej od Chrisa, powtarzając sobie, że nie ma prawa reagować w ten sposób na jego randkę z młodą kobietą, jego rówieśnicą.

- Tak, było fajnie. Dziękuję. Znowu mnie uratowałeś. Potrzebowałam tego.

- Ja również.

Joey wyszedł hałaśliwie z łazienki, po czym mignął im w holu i wkroczył do kuchni, gdzie wkrótce zaczęły się otwierać i zamykać drzwi szafek oraz lodówki. Boże, jakże trudno było pozbierać myśli, poukładać te wszystkie uczucia, kiedy tuż obok tłukł się nastoletni chłopak!

- No cóż... - powiedziała Lee. - Baw się dobrze w sobotę. Daj tej kobiecie szansę. Kto wie?... Może ją bardzo polubisz?

Chris zdjął nogę ze stopnia. Stanął w pozycji, którą Lee nazywała „postawą gliniarza”, rozłożywszy ciężar ciała na obie stopy. Plecy miał wyprostowane, pierś wypiętą, a podbródek lekko uniesiony w górę. Na palcu wskazującym trzymał kółko z kluczami. Zadzwoił nimi,

po czym zamknął je w pięści.

- Tak, słusznie - przytaknął gardłowym głosem. - Kto wie?... - Potem już odwrócony plecami, dodał: - Dobranoc, pani Reston.

## ROZDZIAŁ 8

W sobotni wieczór Christopher, Pete Ostrinski, jego żona Marge i szwagierka, Cathy Switzer, mieli iść pograć w kręgle. Letnie rozgrywki dobiegły już końca, zimowe jeszcze się nie rozpoczęły, więc kręgielnia powinna być na wpół pusta.

Pete i Marge mieszkali w ładnym nowym domu w Mineral Pond, na wschodnich obrzeżach miasta. Wchodziło się tam z półpiętra, dwie sypialnie na górze były wykończone, dwie na dole jeszcze nie. Przed domem, pomiędzy pasmami darni rozwiniętej z rolki, wciąż jeszcze pokazywała się ziemia, a w środku pachniało świeżą farbą i nowymi wykładzinami dywanowymi.

Otworzywszy drzwi, Pete poprowadził Christophera do obu pań, które czekały w pokoju dziennym, gdzie zabawki zajmowały tyle samo miejsca co meble. Chris pocałował Marge w policzek. Cathy Switzer, gdy przedstawiono ich sobie, wstała z fotela i wyciągnęła do niego dłoń, która okazała się wilgotna. Szwagierka Pete'a była blondynką o ostrych rysach, przy całej swej chudości dość atrakcyjną, lecz gdy się uśmiechała, widać było jej dziąsła.

- Cześć, Chris - powiedziała. - Wiele o tobie słyszałam. Odpowiedział jej uśmiechem.

- To tak samo jak ja.

- Marge przygotowała coś do picia na patio - oświadczył Pete, zatem wszyscy ruszyli na zewnątrz, usiłując prowadzić jakąś rozmowę. Christopher sęczył sprite'a i przyglądał się ukradkiem Cathy Switzer.

Włosy miała uformowane w wielką, złożoną ze sterczących bezładnie spiral strukturę, której wykonanie musiało jej zająć sporo czasu. Chris nie był tym zachwycony. Do tego małe piersi i kościste biodra.

Całą jej postać cechowała niezwykła chudość, przywodząca na myśl zapałkę. Słowem - nie wyglądała zdrowo.

Przypomniał sobie, że Lee radziła mu, by dał tej kobiecie szansę, więc zagadnął:

- Pete mówi, że pracujesz w firmie handlującej osprzętem hydraulicznym.

- Tak, w biurze. Ale dwa wieczory w tygodniu spędzam w szkole. Chcę zdobyć licencję pośrednika sprzedaży nieruchomości.

A zatem miała w życiu jakieś cele i ambicje.

- Podobno grasz też w lidze kręglowej.

Rozmowa rwała się raz po raz jak wszystkie pogawędki na randkach w ciemno, a czas dłużył się ogromnie. W końcu opiekunka wróciła z dziećmi z parku, co na chwilę wprowadziło miłe urozmaicenie, po czym wszyscy czworo wyruszyli do kręgielni



samochodem Pete'a.

Cathy Switzer, jak się okazało, zabrała własną kulę. Kiedy po raz pierwszy pchnęła ją po piątym torze, Christopher pomyślał, że zobaczy, jak jej koścista rączka urywa się w łokciu. Ona jednak przykucnęła z wdziękiem, wysuwając lewą nogę przed prawą, przekrzywiła harmonijnie ramiona, po czym tak zgrabnie podkręciła kulę, że ta podrzuciła kręgle aż pod tablicę wyników. Kiedy wysięgnik opadł, aby je zgarnąć, wciąż jeszcze wirowały.

Oczywiście zdobyła komplet punktów.

Wszyscy zaczęli bić brawo, a Cathy zarumieniona wróciła na swoje miejsce obok Chrisa.

- Bardzo ładnie - pochwalił ją, uśmiechając się z ukosa.

- Dzięki - odparła, wdzięcznie łącząc dumę ze skromnością. Bawili się świetnie. Rozegrali trzy mecze, z których wszystkie wygrała Cathy z wysoko spiętrzoną fryzurą, rączkami jak zapalki i dziąslami, które odsłaniały się przy każdym uśmiechu. Potem pojechali na hamburgery, frytki i kielki. Siedzieli w tęczy barw rzucanych przez neon, z grającej szafy dolatywały dźwięki muzyki Fatsa Domino, a ze ścian uśmiechał się do nich James Dean.

- Lubię to miejsce - powiedziała Cathy. - Mark i ja często tu... och! - Zakryła usta dłonią. - Przepraszam - szepnęła, wbijając wzrok w czarny blat stołu.

- W porządku - oświadczył Chris. - Mark to twój były? Popatrzyła na niego z wyrazem zawstydzenia, po czym kiwnęła głową potakująco.

- Rozwód zakończył się dziewięć miesięcy temu, ale ciągle jeszcze zapominam się i mówię o nim, kiedy nie powinnam.

- Duppek - stwierdziła siedząca po drugiej stronie stołu Marge. Pete trącił ją w ramię.

- Marge, daj spokój, nie dzisiaj.

- Dobrze, przepraszam, że nazwałam dupka dupkiem.

Od tej chwili atmosfera stała się napięta, więc postanowili zakończyć wieczór. Po powrocie do domu Ostrinskih okazało się, że Cathy nie ma samochodu, toteż Chris zaproponował, że ją odwiezie.

Kiedy już wsiedli do furgonetki, włączył radio. Rozległa się muzyka. Cathy siedziała wtulona w swoją połowę siedzenia.

- Lubisz country? - zapytał.

- Pewnie - odpowiedziała, a gdy Willie Nelson zaczął wylazić ze skóry, aby wzbudzić w słuchaczach żal, dodała: - Przepraszam, że wspomniałam o moim byłym.

- Och, nie ma o czym mówić. Zdaje się, że byłaś z nim przez pięć lat. Słyszałem, że macie dwoje dzieci.

- Tak, Grady'ego i Robina. Jeden ma pięć, drugi trzy lata. Nigdy ich nie odwiedza. Ożenił się z moją najlepszą przyjaciółką i teraz zajmuje się jej dziećmi.

Chris zastanawiał się, co odpowiedzieć, w końcu przyznał:

- To przykre.

- Jesteś drugim facetem, z którym gdzieś wyszłam od czasu rozwodu. Ten pierwszy nigdy więcej się nie odezwał.

- Pewnie dlatego, że zaprezentowałam mu kręgle na poziomie zawodowym. Cathy zaśmiała się.

- Marka wkurzało, że gram w kręgle. On mógł sobie biegać po okolicy i chodzić do łóżka z moją najlepszą przyjaciółką, ale bardzo nie lubił, kiedy ja szłam z koleżankami z pracy na rozgrywki kręglowe.

Chris zaczął żałować, że ją zapewnił, iż może spokojnie opowiadać o tym gościu.

- Najbardziej boli to - ciągnęła - że tyle jest rzeczy, których nigdy nie robił ze mną i dziećmi, a teraz robi z nią i jej dziećmi. Wiem o tym, bo rozmawiałam z jego matką, a ona czasem wspomni o czymś przez przypadek. - Opowiadała tak o swoim byłym mężu, z rzadka jedynie przerywając, aby wskazać Chrisowi drogę do swego domu. - O, już jesteśmy? - zdziwiła się, kiedy tam dotarli.

- Momencik - powiedział Chris, po czym wysiadł, schował kluczyki do kieszeni i obszedł auto, aby otworzyć jej drzwi.

- Już bardzo dawno żaden mężczyzna nie zrobił tego dla mnie - stwierdziła Cathy. - Tego rodzaju rzeczy skończyły się na długo przed rozwodem. Poniekąd właśnie dzięki temu zorientowałam się, że coś jest nie tak.

Ruszyli razem betonowym chodnikiem, który po dwóch zakrętach pomiędzy budynkami doprowadził ich do nie oświetlonych drzwi. Cathy weszła na pierwszy stopień podestu i odwróciła się.

- No cóż, było mi bardzo miło - powiedziała. - Dzięki za kręgle, hamburgery i za wszystko.

- Mnie również się podobało - rzekł Chris. - Zwłaszcza kręgle, mimo że pobiłaś wszystkich na głowę. To przyjemność patrzeć, jak ktoś robi coś aż tak dobrze.

- Słodki jesteś - oświadczyła.

- Słodki? - powtórzył chichocząc. - Można wobec mnie używać różnych określeń, ale „słodki”?...

- Bo widzisz, przez cały wieczór wypłakiwałam ci się w ramię na temat Marka, a ty to znosiłeś. Czy to nie jest słodkie?

- Cathy... - Christopher cofnął się o krok. - Życzę ci powodzenia. Wiem, że trudno jest stracić kogoś w ten sposób, ale mam nadzieję, że wszystko się jakoś poukłada tobie i twoim dzieciom.

Cień, w którym stała Cathy, był tak głęboki, że Chris nie widział jej twarzy. Wydawało mu się, że dziewczyna wepchnęła dłonie w przednie kieszenie dżinsów. Natapirowane włosy tworzyły w ciemnościach niewyraźną aureolę wokół jej głowy.

Nagle poczuł dla niej litość.

- Wiesz, Cathy, powinnaś przestać o nim myśleć. Ktoś, kto traktuje w ten sposób swoją żonę i rodzinę, nie zasługuje na łzy.

- A kto mówi, że ja po nim płaczę?

Chris pojął, że sprawy z tą oszukaną przez życie kobietą zaszły dalej, niż sobie życzył. Cofnął się jeszcze o krok.

- Hm... pora już na mnie. Powodzenia, Cathy. Zdążył ujsć zaledwie metr, kiedy zawołała:

- Hej, Chris!

Odwrócił się. Zrozumiał, na co się zanosi, i nie bardzo ucieszyła go ta perspektywa. A jednak znowu owładnęła nim litość. Podszedł do krawędzi podestu, tak że ich twarze znalazły się na tym samym poziomie.

- Posłuchaj - szepnęła, kładąc mu ręce na kołnierzu. Usłyszał, jak z trudem przetyka ślinę. - Wiem, że ty także więcej się nie pojawisz, i nie mam ci tego za złe... poważnie, nie mam! - W jej głosie wyczuwało się trwogę. - Za dużo mówię o Marku, wiem, ale zanim odejdziesz, czy bardzo byś się obraził, gdybym cię pocałowała? Bo wiesz, on mnie opuścił już bardzo dawno temu, a ja wiem, że ty mnie nie lubisz i nie chcę, żebyś sobie poszedł myśląc, że przez cały czas proszę różnych dziwnych facetów, żeby mnie całowali. Jesteś gliną, tak jak Pete, więc ufam ci... to znaczy, wiem, że myślisz, że to bardzo głupie prosić o coś takiego, ale to było... ja byłam... byłam taka samotna... i... i byłoby bardzo słodkie z twojej strony, gdybyś po prostu tak stał i... ech, nieważne... i udawał, że jestem kimś innym... i pozwolił mi się pocałować.

Coś ścisnęło serce Chrisa. Rozumiał dobrze słowo „samotna”. Samotny był Judd Quincy, kiedy czekał, opierając stopę o ścianę sklepu. Samotny był mały Chris Lallek czekający, aż rodzice wrócą do domu, aby ich poprosić o pieniądze na mundur orkiestry. Ta koścista rozwiedziona kobieta, usiłująca sobie wmówić, że nie kocha już swego kochliwego małżonka, także była samotna.

Nie czekał, aż ona go pocałuje. Sam to zrobił - i był to szczery, niespieszny, wilgotny

pocałunek. Miał wrażenie, że trzyma w ramionach wiązkę chrustu, lecz starał się nie pamiętać o jej dźwiękach, które odsłaniały się w uśmiechu, i o nienaturalnym wyglądzie włosów, tworzących ogromną chmurę wokół drobnej, wąskiej twarzy.

Miał za sobą wystarczająco wiele takich pocałunków, by wiedzieć dokładnie, co się z nimi wiąże; znał ten powszechny rytuał poprzedzający fizyczne zbliżenie: ręce przesuwające się po plecach, lgnące do siebie języki, ciała splecione tak ciasno, że nie sposób stwierdzić, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie. Znał to wszystko i poddał się teraz temu.

Pocałunek dobiegł końca, kiedy dłonie Cathy przejechały po tylnych kieszeniach jego dżinsów, a jej uda rozsunały się zapraszająco. Współczucie Chrisa nie sięgało aż tak daleko.

Zdjął z siebie jej ręce i cofnął się o krok, zamykając w uścisku drobne dłonie kobiety.

- Cathy - powiedział gardłowo. - Muszę już iść. Trzymaj się.

- Tak. Ty też.

Kiedy oddalał się od podestu, nie mógł się powstrzymać przed westchnieniem ulgi.

Choć to dziwne zważywszy, że niespecjalnie polubił tę kobietę, przez kilka następnych dni wiele o niej myślał. W końcu zdał sobie sprawę z przyczyny - porównywał ją z Lee Reston. Cathy miała tę swoją fryzurę a la Dolly Parton, nie zaś proste, odporne na deszcz i wiatr uczesanie Lee. Miała profil jedenastoletniej dziewczynki, bez łagodnych krzywizn znamionujących dojrzałość. Jej twarz nie była krągła, zdrowa, tylko koścista i wychudzona. No i te dźwięki - o Boże! Czy naprawdę ją pocałował? Tam do diabła, ten pocałunek nie był taki straszny, kiedy tylko przestawał o nim myśleć. Christopher potrafił bez trudu uświadomić sobie, co jest największym brakiem Cathy Switzer: nie była Lee Reston.

Do licha, ależ ta kobieta utkwiała w jego myślach! Nie było dnia, żeby o niej nie myślał, żeby nie wynajdywał pretekstów do spotkań, pretekstów, z których zresztą najczęściej decydował się nie korzystać.

Przez jakiś czas po owej randce nie widywał się z Lee ani z nią nie rozmawiał. Potem któregoś dnia, kiedy stał w kuchni nakładając lody do miseczki, ktoś wsunął pod drzwi jego mieszkania kawałek papieru. Chris zareagował jak policjant - przyskoczył do drzwi i otworzył je gwałtownie, aby sprawdzić, kto jest po drugiej stronie.

Zobaczył Lee, która cofała się z przerażeniem.

- Chris!... - Przycisnęła dłoń do serca. - O Boże, ale mnie przestraszyłeś. Nie sądziłam, że jesteś w domu. Myślałam, że masz dzienną zmianę.

- Mam dzisiaj wolne. - Rozejrzał się po korytarzu, po czym popatrzył na leżącą na podłodze kopertę. - Co to jest?

- Coś twojego, co znalazłam pomiędzy papierami Grega. Chyba polisa

ubezpieczeniowa. Musiałam ją zabrać przez pomyłkę, kiedy wyjmowałam rzeczy z szuflady w kuchni.

Chris otworzył kopertę i przyjrzał się kartce.

- Ach, tak... Szukałem tego.

- Przepraszam - Lee wzruszyła ramionami.

- Mogłaś wysłać pocztą.

- Wiem. Ale właśnie tędy przechodziłam.

Popatrzył na nią. Miała na sobie zieloną płócienną spódnicę, białą bluzkę i pantofle na płaskim obcasie. Ta zdrowa, krzepka kobieta w średnim wieku tak bardzo różniła się od Cathy Switzer! Chris pomyślał, że postąpił właściwie: spróbował umówić się z kimś innym, poznać kogoś nowego, ale to mu tylko uświadomiło, jak dobrze się czuje w towarzystwie kobiety, która stała teraz przed nim w korytarzu.

- Wstąpisz? - Cofnął się, wskazując zapraszającym gestem kuchnię.

- Nie. Muszę wracać do domu, zrobić Joeyowi kolację.

- No cóż, trudno... - Stali przez chwilę, wmawiając sobie, że to bardzo słuszna decyzja, po czym Chris powiedział kusząco: - Do licha, przecież możesz wejść na minutkę, nie?

- Co robisz? - Lee wspięła się na palce i przechyliła do przodu, aby zerknąć poza otwarte drzwi.

- Jem lody.

- Na kolację?

- Tak. Chcesz trochę?

Wyprostowała się, opadając ponownie na pięty.

- Nie, naprawdę pójdę.

- W porządku - powiedział Chris. Godził się z jej decyzją, ale pomyślał, że skoro ma zamiar iść, to niech idzie, bo przecież oboje wiedzą, że tak naprawdę wcale tego nie chce. - Pozdrów ode mnie Joeya. Muszę iść - dodał z nutką irytacji - bo lody się topią.

- Nie musisz się od razu na mnie złościć. - Gdyby ktoś im powiedział, że zachowują się dziecinnie, oboje zaprzeczyliby gwałtownie.

- Nie złość się na ciebie.

- No dobrze, mogę zmienić zdanie w sprawie tych lodów? Zaprosił ją gestem, zamknął drzwi, po czym ruszył za nią do kuchni, gdzie wziął szklaną miseczkę i nałożył jej lody.

- Chcesz z jakąś polewą? - zapytał. Otworzył szafkę i zaczął czytać etykiety: - Jest czekoladowa, karmelowa i... - Wyjął ze środka spleśniałą butelkę czegoś tam, po czym

odwróciwszy się, cisnął ją z wprawą do kubła na śmieci, który stał obok kuchenki. - Obawiam się, że jest tylko czekolada i karmel.

- Karmel.

Chris nalał trochę wprost ze słoiczka, startł ściekającą kropelkę i oblizał palec. Zamknawszy pojemnik odstawił go do szafki, wyjął łyżeczki, potem przeniósł obie porcje na kuchenny stół.

- Siadaj - polecił jej.

Jedli w milczeniu, dopóki połowa lodów nie zniknęła. Wreszcie Lee zagadnęła:

- Jak tam twoja sobotnia randka w ciemno?

- Wspaniale - odparł. - Dziewczyna miała własną kulę do kręgli. Znowu przez chwilę trwała cisza.

- Masz zamiar spotkać się z nią znowu? - zapytała w końcu.

- A dlaczego chcesz wiedzieć? - Przyglądał się jej uważnie, Lee jednak unikała jego spojrzenia.

- Tak się tylko zastanawiałam.

Podniósł się, wziął obie miseczki, opłukał nad zlewem i wstawił do zmywarki. Kiedy skończył, nie wrócił do stołu, tylko wsparłszy biodra i obie dłonie o kant blatu wpatrzył się w plecy czekającej na jego odpowiedź kobiety.

- Nie - oświadczył w końcu.

Lee odwróciła się. Spojrzała na niego, lecz nie powiedziała nic.

- Ona była żalosna - wyjaśnił, wracając do stołu. Usiadł obok Lee. Na blacie leżał aparat do obcinania paznokci. Podniósł go i zaczął przesuwając między kciukiem a palcem wskazującym, odwracając do góry nogami, ilekroć jego palce dotykały stołu.

- To było żalosne biedactwo porzucone przez jakiegoś durnia, który wdał się w romans z jej najlepszą przyjaciółką, a potem się z nią ożenił.

- Czy moglibyśmy nadać jej jakieś imię? - zapytała Lee. Chris spojrzął na nią, przestając się bawić obcinaczem.

- Cathy - powiedział. - Cathy Switzer.

Lee siedziała nieruchomo, wsparłszy zaplecione łokcie na stole.

- Opowiadała o nim przez cały wieczór - ciągnął odłożywszy obcinacz. - Nie mogła przerwać gadania o tym, że nie lubił, jak chodziła grać w kręgle, że nie odwiedza już dzieci, że facet, z którym spotkała się po rozwodzie, po pierwszej randce nie pokazał się więcej... A kiedy odprowadziłem ją do drzwi, zaczęła powtarzać, że wie, że ciągle o nim mówiła i że ja też nigdy więcej nie przyjdę. Potem poprosiła, żebym ją pocałował. - Ich oczy spotkały się.

Nuta szorstkości, która pobrzmiwała w głosie Chrisa, gdzieś zniknęła. - Powiedziała, że jest samotna i że mi ufa, bo jestem gliną, i żebym ją po prostu pocałował jeden raz, nawet gdybym miał udawać sam przed sobą, że całuję kogoś innego.

Cisza, która zapadła, zdawała się trwać całe minuty.

- I zrobiłeś to? - zapytała w końcu Lee.

Nim odpowiedział, znowu minęło trochę czasu. Wciąż nie odrywali od siebie oczu.

- Tak - oświadczył wreszcie, tak cicho, że można było pomyśleć, iż mówi to ktoś inny, w jakimś odległym pokoju.

Siedzieli zupełnie nieruchomo, wsparci łokciami o stół. Pytanie Lee można było odczytać dwojako: czy pocałował tę kobietę, czy może udawał, że całuje kogoś zupełnie innego? Chris pomyślał, że lepiej nie wyjawiać całej prawdy, lecz wyczuł napięcie, które zapanowało. Zdał sobie sprawę, że Lee i tak przeżywa to mocno. Krążyli oboje wokół uczuć, jakie do siebie żywili, bojąc się do nich przyznać, lękając się ogromnej różnicy wieku i niepisanych zasad, które czyniły z niej problem. Mogli do końca świata udawać przyjazną obojętność, ale oboje wiedzieli, że rodzi się pomiędzy nimi uczucie, i jedno z nich musiało wyrazić je w sposób otwarty, bo ciągle skrywanie stawało się piekłem. Były wszakże rzeczy, o których Lee musiała przedtem usłyszeć, rzeczy, o których Chris mówił rzadko, rzeczy ważne dla niej.

- Myślę, że czas już, abym powiedział ci o sobie nieco więcej. Proszę cię o cierpliwość, bo część z tego zdążyłaś już usłyszeć, a to dość długa historia, ale jeśli nie wysłuchasz jej w całości, nie będziesz w stanie pojąć, dlaczego jestem, jaki jestem.

Usiadł wygodniej, aż jego krzesło zaskrzypiało. Znowu podniósł obcinacz. Ścisnął go w dłoni, wpatrując się weń z uwagą, jakby dokonywał jakiegoś naukowego eksperymentu.

- Powiedziałem ci już co nieco o tym, jak wyglądało moje dorastanie. Jak matka i ojciec zostawili mi opiekę nad młodszą siostrą. Ich obchodziło tylko to, skąd wezmą pieniądze na następnego drinka. Jedzenie nie miało znaczenia. Jeżeli było coś w domu, to świetnie, jeśli nie, pal to diabli.

- O dwa numery od naszego domu był sklep spożywczy - ciągnął. Nazywał się „Czerwona Sowa”. Dowiedziałem się, o której sprzątają tam dział warzywny, i dbałem o to, żeby czekać na tyłach, kiedy niejaki Sammy Saminski wynosił przywiedłe jarzyny, aby wyrzucić je do pojemnika. Niektóre były jeszcze całkiem dobre, jadalne. Sammy pozwalał mi zabierać je do domu. To był bystry gość. Wkrótce się zorientował, że Jeannie i ja praktycznie tylko tym się żywimy, więc w końcu zaczął wynosić także lepsze rzeczy. Wiedziałem, że to wszystko jest jeszcze całkiem dobre, ale brałem. I właśnie dlatego nauczyłem się gotować:

żebyśmy oboje z Jeannie mieli co jeść.

- Mavis i Ed wracali chwiejnym krokiem o dziesiątej, czasem o północy, nigdy nie było wiadomo, kiedy się ich spodziewać. Do dziś jest dla mnie tajemnicą, w jaki sposób udało im się przeżyć, bo nigdy nie widziałem, żeby jedli. Pili tylko i kłócili się, to wszystko. Ona raz po raz wzywała policję i wtedy właśnie po raz pierwszy wpadłem na pomysł, żeby zostać gliną. Kiedy pierwszy raz zobaczyłem, jak policjant wchodzi do nas w czystym niebieskim mundurze, pomyślałem, że zaraz zabierze Jeannie i mnie w jakieś lepsze miejsce. Wtedy jeden jedyny raz w życiu poczułam się bezpiecznie. Ale nie trwało to długo, bo zamiast zabrać nas, zabrali starego. Posiedział dzień czy dwa, a kiedy go nie było, matka jakby więcej się nami zajmowała. Ale potem ojciec wrócił i oboje zaczęli pić na nowo, jak gdyby nigdy nic.

- Raz kiedy wezwała policję, Ed miał delirium. Stał obok apteczki wciągając wargi do środka, bo wydawało mu się, że robaki wyzerają mu zęby. Pamiętam, jak matka wołała do niego: „Ed, Ed, tam nic nie ma!”, a on bredził: „Nie widzisz ich, Mavis? Te paskudztwa wyzerają mi zęby!”

- To jedna z najgorszych chwil, jakie pamiętam. Płakaliśmy oboje z Jeannie. Do diabła, nie mieliśmy pojęcia, co się dzieje. Wtedy przyszedł ten policjant, a ja tak bardzo chciałem, żeby nas stamtąd zabrał. Ale nie zabrał.

Christopher wpatrywał się przez chwilę w obcinacz do paznokci, po czym jakby oderwał się od przeszłości. Usiadł wygodniej na krześle, odchylił się do tyłu i mówił dalej:

- Kiedy miałem czternaście lat, Sammy Saminski wciągnął mnie na listę płac w „Czerwonej Sowie”. Skłamał co do mojego wieku. Zanim skończyłem szkołę średnią, kierowałem już działem warzywnym i zdołałem zaoszczędzić tyle pieniędzy, że było mnie stać na opłacenie dwóch lat szkoły zawodowej. Kiedy tylko mogłem, dawałem coś Jeannie. Gromadziła te pieniądze w sekrecie, a jak skończyła szesnaście lat, uciekła... - Odchrząknął. - Chyba mówiłem ci już, że moi rodzice nadal mieszkają w Anoce. Dalej piją i kłócą się. Nie mam już z nimi nic wspólnego.

Spojrzał na Lee - słodką drogą Lee - i pomyślał, że nie obchodzi go, czy ona dostrzega miłość w jego oczach. Był już piekielnie zmęczony ukrywaniem tego uczucia.

- A potem pojawiłaś się w moim życiu ty. Czy wiesz, ile dla mnie znaczysz? Jesteś tym wszystkim, czym oni nie byli. Jesteś wszystkim, czym powinna być matka. Jesteś miłą, kochającą i troskliwą. Gdy twoje dzieci cię potrzebują, jesteś przy nich bez względu na wszystko. Zarabiasz na życie, zaspokajasz wszelkie ich potrzeby. Mogą z tobą rozmawiać o wszystkim, a ty ich kochasz, kochasz szczerze, oni zaś odpłacają ci miłością. Mnie od



początku traktowałaś tak samo jak ich. A kiedy Greg zginął, poczułem się tak, jakbym zajął jego miejsce. I wiesz co? Dobrze mi z tym.

Zaczął mówić ciszej, ochrypłym szeptem:

- Potem ta kobieta... Poprosiła, żebym ją pocałował, i powiedziała, że mogę sobie wyobrazić, że jest kimś innym. Wiesz, kogo sobie wyobrażałem, prawda Lee?

- Chris, przestań! - Lee zerwała się, przeszła przez kuchnię i stanęła przy zlewozmywaku plecami do niego.

- Wiesz, wszystko mi się zupełnie pomieszało.

- Przestań, powiedziałam! - Wyraźnie było słychać w jej głosie przerażenie.

- Nie chcesz tego słuchać.

- Nie chcę utracić twojej przyjaźni, a tak się stanie, jeśli będziesz mówił dalej.

- Tak, wiem. Dlatego właśnie się boję.

- Więc przestań. Natychmiast. Zanim powiesz coś więcej. Chris myślał nad tym przez chwilę, czekając, aż się do niego odwróci. Gdy zdał sobie sprawę, że tego nie zrobi, szepnął:

- Dobrze.

Lee odkręciła wodę. Napiła się. Zakręciła kran. Żadna z tych czynności nie miała nic wspólnego z pragnieniem. Nie patrzyli na siebie od chwili, gdy poderwała się z miejsca.

- Muszę już iść - rzekła cicho.

Zdawało się, że minęła cała wieczność, a żadne z nich się nie poruszyło. Wreszcie Chris zapytał:

- Ile masz lat?

Wydała z siebie dziwny dźwięk, ni to śmiech, ni to chrząknięcie, po czym ruszyła w stronę drzwi, a kiedy je otworzyła, powiedziała:

- Tyle, że mogłabym być twoją matką. I wyszła.

Christopher siedział na kuchennym krześle, zadumany, rozczarowany, zły na siebie za to, że błędnie odczytał jej intencje i powiedział za dużo, przerażony myślą, że ich przyjaźń skończy się bezpowrotnie. Do licha, ona pewnie też się bała, a miała do stracenia bez porównania więcej niż on.

W dwadzieścia minut później poderwał się, znalazł kluczyki do samochodu, pojechał do komisariatu i wkroczywszy do pokoju patrolowego, ruszył wprost do kąta, w którym stał włączony komputer, migocząc zielenią ekranu.

Kiedy wpisał hasło „QMR” i czekał na zgłoszenie się programu, do pokoju wszedł Nokes. - Co ty tu robisz, do licha? - zapytał, gryząc jabłko.

- Szukam czegoś.

- Przecież masz dziś wolne.

Chris powolutku odwrócił się w fotelu i spojrzał na kolegę z wyrazem straszliwego cierpienia.

- Nokes, czy ty naprawdę nie masz nic lepszego do roboty, jak stać tutaj i chrupać mi tym jabłkiem prosto w ucho?

Nokes wzruszył ramionami i poszedł w stronę dyspozytorni.

Gdy Christopher ponownie spojrzał na ekran, QMR - zbiór danych o pojazdach samochodowych i ich właścicielach - prosił o podanie inicjałów operatora. Bez tego nie udzieliliby mu żadnych informacji.

Chris wystukał swoje inicjały i maszyna zgłosiła gotowość do pracy.

Wpisał numer rejestracyjny samochodu Lee, nacisnął klawisz kodowy, po czym odwrócił się wraz z fotelem, nasłuchując, czy w dyspozytorni odezwie się drukarka. Kiedy usłyszał jej pisk, ruszył w tamtą stronę. Toni Mansetti, dyżurny dyspozytor, oraz Ruth Randall, technik zajmująca się danymi, siedzieli na swoich miejscach, a Nokes, założywszy nogę na nogę, wsparł się pośladkami o krawędź stołu i kończył zajadać jabłko, leniwie popatrując na kilka ekranów telewizyjnych, monitorujących wjazdy na miejski parking po stronie ulicy.

Drukarka zakończyła pracę. Christopher sięgnął przez ramię Ruth Randall i oderwał kartkę.

Wychodząc z dyspozytorni, czytał dane, które udało mu się wydobyć z Biura Praw Jazdy Stanu Minnesota:

Lee Therese Reston zam. 1225 Benton Street, Anoka 55303, ur. 18. 09. 1948.

Raz jeszcze przeczytał ostatnią informację - data urodzenia: 18 września 1948.

Miała czterdzieści cztery lata.

Lee wyszła z mieszkania Chrisa zdenerwowana tak samo jak on.

Jak on śmiał! - myślała, leżąc bezsennie w ciemnościach. Jak śmiał zniszczyć tę kruchą równowagę, którą udawało im się zachowywać przez kilka ostatnich miesięcy! Potrzebowała go, bardzo ceniła chwile z nim spędzane, bo mogła rozmawiać o rzeczach, których, jak się zdawało, nikt inny nie pojmował. Mogła być sobą, mogła być radosna lub smutna - on akceptował każdy jej nastrój.

Jak śmiał to zniszczyć, dając jej do zrozumienia, że żywi do niej nie tylko przyjacielskie uczucia! Wszystko inne było przecież nie do pomyślenia, zważywszy różnicę wieku i jego stosunek do całej rodziny. Przecież on podoba się Janice! Joey ceni go prawie tak samo jak piłkę nożną, a każdy w rodzinie wie, ile czasu Chris spędza z nimi.

Dobry Boże - zgroza, co by to było, gdyby ktokolwiek się zorientował.

Zwłaszcza matka.

Sierpień przeminął i nastał wrzesień, a Christopher nie pokazywał się u Restonów. Joey najpierw rozpoczął trening piłkarski, potem szkołę. Lee ułożyła sobie plan zajęć w ten sposób, aby móc chodzić na rozgrywki juniorów, które odbywały się raz w tygodniu późnym popołudniem.

Do sklepu zaczęły docierać brunatne i kasztanowe wrzosa. Bukieciarki wplatały w wiązanki świeżych kwiatów małe białe kwiatki i złote zasuszone liście klonów. Przywieziono nową partię pojemników na kwiaty - w kształcie kaczek.

Kiedy Janice przeprowadziła się do akademika, Lee postanowiła nie korzystać z zaproponowanej przez Chrisa pomocy. Zamiast tego zmusiła do pracy leniwego syna, który przez dwie godziny każdego popołudnia nabijał sobie siniaki na boisku piłkarskim, ale gdy miałoby przyjść do przenoszenia mebli, stwierdzał, że jest zbyt zmęczony.

W połowie września, w śliczne niedzielne popołudnie, załadowali we trójkę materac Grega, ramę ze sprężynami oraz pozostałe części jego łóżka na półciężarówkę Jima Clementa i przewieźli do odległego o trzydzieści mil miasteczka studenckiego, a potem wtaszczyli na pierwsze piętro w akademiku.

Janice uścisnęła ich na pożegnanie.

- Nie martw się, mam samochód, więc będę często przyjeżdżała na weekendy - obiecała.

To chyba był najgorszy tydzień w życiu Lee. Zaczęła rozumieć, dlaczego samotna kobieta może poprosić obcego mężczyznę, aby ją pocałował, choć doskonale wie, że mężczyzna ten nigdy więcej się z nią nie umówi.

Takie śliczne jesienne dni.

Takie piękne jesienne wieczory.

Po kolacji - ho, ho! - Joey wychodził z łazienki pachnący dezodorantem, świeżo uczesany, w czystych skarpetkach, a nawet w butach.

- Wybieramy się całą paczką do miasta, na coca - colę - mówił.

Istotnie, cała paczka, chłopcy i dziewczyny, zjawiała się pod drzwiami i wołała na niego. Potem, o bardzo przyzwoitej godzinie, zjawili się z powrotem i stali przy wejściu w świetle księżycy, rozmawiając i śmiejąc się. Jedną z tych młodych osób, jak dosłyszała Lee, nazywała się Sandy Parker.

Lee zaczęła się czuć jak niechciana stara kobieta.

Potem osiemnastego września (w dniu, którego obawiała się tak samo jak pierwszej

wizyty u dentysty), dokładnie o dziesiątej trzydzieści dwie rano (na zawsze już miała zapamiętać tę godzinę - miała zwyczaj sprawdzać czas dostaw, więc sprawdziła także porę tej szczególnej, przeznaczonej dla niej), Ivan Smali, dostawca jej największego konkurenta, kwiaciarni Forrest Floral z Fourth Avenue, wszedł do sklepu Lee, niosąc kompozycję z róż American Beauty, tak wielką, że wyglądał z nią jak chodzący bukiet.

- Pani Reston? - stęknął spoza kosza, po czym postawił go na ladzie, przesuwając się w bok, by na nią spojrzeć. - Nie wiem, co się dzieje, ale zamówiono to u nas i kazano dostarczyć tutaj, do pani sklepu.

- Żartuje pan? - zapytała.

- Słowo honoru. Jest ich czterdzieści pięć - powiedział. Miał minę niczym lew z „Czarnoksiężnika z krainy Oz”.

- O Boże!... - Lee zasłoniła dłonią usta. Czowała, że zaczyna się rumienić. Sylvia, Pat i Nancy patrzyły ze zdumieniem. - To pewnie od rodziców - oświadczyła z nadzieją w głosie. - Albo od Lloyda. Założę się, że od Lloyda.

- Tu jest bilet. - Ivan wyłuskał kartonik spomiędzy liści i wręczył jej. Boże miłosierny! - przeraziła się Lee. Jeżeli to od Christophera, a Sylvia przeczyta tę kartkę, przejadę go jego własnym wozem patrolowym!

Na bilecie widniały słowa: „Twój sekret się wydał”.

No to będzie musiała znaleźć jakieś zgrabne wyjaśnienie.

- Dziękuję, Ivan - powiedziała. - Och, zczekaj. Otworzyła kasę i wyjęła pięć dolarów. Czowała się śmiesznie, dając we własnym sklepie napiwek doręczycielowi konkurencyjnej kwiaciarni. Ivan przyjął pieniądze, podziękował i wyszedł.

Ledwie drzwi się za nim zamknęły, wszystkie trzy kobiety zapytały jednocześnie:

- Od kogo to?

- Nie wiem - skłamała Lee.

- Czyżbyś się z kimś... umawiała? - Sylvia z wielkim trudem wymówiła to słowo.

- Ależ nie, na Boga.

- No to jak to wytłumaczysz?

- Wiem tyle co ty.

W domu postawiła kwiaty na środku stołu kuchennego. W ciągu wszystkich tych lat, które przepracowała jako kwiaciarka, nigdy nie stało tam tyle róż na raz. Cholerny głupek! W detalu te kwiaty kosztowały po trzydzieści sześć dolarów za tuzin. Nie licząc podatku i dostawy, musiał zapłacić dobrze ponad sto dolarów za coś, co ona mogła mieć od hurtownika za połowę tej kwoty.

Nie potrafiła nic poradzić na to, że była oczarowana. Siedziała na krześle, i zaciskała usta, by powstrzymać śmiech, ale w końcu nie dała rady. Roześmiała się perliście, czując, że z każdą chwilą robi się jej lżej na sercu.

- Lallek, ty młody durniu - powiedziała na głos - co ja mam z tobą zrobić?

Kiedy Joey po treningu szedł w stronę lodówki, zatrzymał się nagle i przez piętnaście sekund stał oniemiały ze zdumienia.

- Jejku, mam, ty to przyniosłaś?

- To nie są odpadki z mojego sklepu, jeśli to masz na myśli.

- To skąd te kwiaty?

- Nie wiem. - Wracając do domu, schowała kartonik do portfela. - Jest ich czterdzieści pięć.

- Po jednej na każdy hamburger, jaki zamierzam zjeść, jak tylko Janice dotrze do domu i zabierzemy cię gdzieś na kolację.

- Mówisz poważnie, Joey? Janice przyjeżdża do domu? - Lee poderwała się z miejsca, zapominając o różach.

- Zgadza się, więc idź się przebrać. Zabieramy cię do restauracji, jaką sobie wybierzesz, pod warunkiem że rachunek nie przekroczy dwudziestu dolarów.

Wpadłszy do domu, Janice wyściskała ją serdecznie.

- Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, mam! Czy Joey nie zdradził mojej tajemnicy?... O kurczę, to ty przyniosłaś te kwiaty?

- Zastanawiam się, czy to od dziadka Lloyda. Nie sądzę, żeby moi rodzice wydali aż tyle pieniędzy.

- Dziadek Lloyd, co? - Janice ruszyła w stronę łazienki, zerkając na kwiaty przez ramię. - Nie było przy nich bilecika? - zawołała zza zamkniętych drzwi.

Lee Reston udała, że nie dosłyszała, a kiedy siedzieli w samochodzie, jadąc w stronę Vineyard Cafe, o bileciku nikt już nie pamiętał.

## ROZDZIAŁ 9

Bała się do niego zadzwonić. Minęły dwa tygodnie. Trzy. A potem, pewnego popołudnia na początku października, stała na trybunie stadionu szkoły średniej Freda Moora pośród niezbyt licznie przybyłych rodziców innych uczniów. W dole, na boisku, toczyła się gra. W górze, na niebie, porywisty wiatr gnał grubą warstwę posepnych szarych chmur. Podmuchy unosiły żwir i kamyki, które uderzały w ogrodzenie. Boisko było mokre, bo poprzedniego wieczoru padał deszcz. Nawet z tej odległości Lee widziała, że będzie miała mnóstwo zabawy, zanim zdoła usunąć wszystkie plamy ze stroju Joeya.

Jej syn był bocznym obrońcą. Pozycja ta w trakcie większości meczów przysparzała niewiele chwały, zwłaszcza w mniemaniu matek, które nie miały przy sobie mężów i nie bardzo pojmowały, co się dzieje. Nagle jednak linia zawodników załamała się i Lee zobaczyła, jak jej niezgrabny syn pędzi przez boisko niczym OJ.

Simpson, unika chwytów, uchyla się przed wyciągniętymi ramionami przeciwników, a wreszcie, zatoczywszy łuk, odciąga ich ze swojej połowy.

Wetknąwszy małe palce obu dłoni między zęby, zagwizdała przeraźliwie.

- Hej, Joey, tylko tak dalej! - Gwizdnęła ponownie, tym razem nie na palcach, wymachując pięścią. - Pokaż, co potrafisz! - wrzasnęła ze wszystkich sił.

Na biegnącej powyżej boiska ulicy Christopher Lallek zaparkował czarno - biały wóz patrolowy, postawił kołnierz granatowej zimowej kurtki i trzasnął drzwiami auta.

W dole, na murawie, figurki w białych i niebieskich bluzach miały się w różne strony jak kropki na ekranie monitora. Chris wszedł za ogrodzenie, po czym ruszył wielkimi krokami w dół trybun, wypatrując numeru Joeya. Znalazł - była to niebieska osiemnastka. Gdy był w połowie drogi, chłopak dokonał diabło zgrabnego manewru, co stojący na widowni rodzice nagrodzili okrzykami. Popatrzywszy w prawo, wzdłuż trybun, Chris dojrzał Lee. Miała na sobie grubą kurtkę z niebieskiego drelichu, sięgającą niemal kolan. Postawiony kołnierz przylegał do jej zaróżowionych policzków. W ustach trzymała dwa palce i gwizdała przeraźliwie.

Uśmiechając się krzywo, Chris stanął na ławce, po czym ruszył w jej stronę. Lee uniosła w górę pięść, zawołała coś, klasnęła kilka razy, a potem wbiła ręce w kieszenie, kuląc się przed wiatrem.

Metalowa ławka zaczęła dzwonić pod stopami Chrisa.

Lee zobaczyła go. Jej przygarbione ramiona wyprostowały się, oczy pojaśniały, choć usta nie wychyliły się spoza sterczącego wysoko kołnierza.

- Cześć - powiedział Chris, zatrzymując się obok.

Zanim odpowiedziała, minęła długa chwila, podczas której ich oczy nadrabiały stracone dni, serca biły coraz mniej równomiernie.

- Cześć.

Podmuch wiatru zmierzwił jej włosy, szturchnął ich w plecy, usiłując zepchnąć z ławki.

- Dość długo cię nie widziałem.

- Faktycznie. - Odwróciła w końcu wzrok, z powrotem kierując go na boisko.

- Jak tam mecz? - zainteresował się Chris.

- Przegrywamy, ale Joey zagrał przed chwilą wspaniale.

- Zauważyłem. Widziałem też, jak gwizdałaś. Bardzo poruszające. Nie znam wielu kobiet, które potrafią gwizdać jak poganiacze bydła.

Uśmiechnęli się do siebie z ukosa, chociaż kołnierze nadal zakrywały im usta. W dole rozpoczęła się kolejna akcja, więc Lee zawołała:

- Bierz go, Joey! Bierz go!

Kiedy drużyny skupiły się przed następną zagrywką, Christopher ponownie zaczął się przyglądać Lee.

- Jak się miewasz?

- Jestem coraz starsza - odparła z pełną zadowolenia miną, nie odrywając oczu od boiska.

- Taa, słyszałem o tym.

Zdążyli obejrzeć całe dwie zagrywki, zanim Lee powiedziała:

- Dostałam twój e kwiaty. - Popatrzyła na niego z rozbawieniem. - Nie wiedziałam, czy mam ci dziękować, czy wepchnąć ci je do gardła.

- O ile sobie przypominam, nie zrobiłaś ani jednego, ani drugiego.

- Jak się dowiedziałeś?

- Wywołałem twój numer rejestracyjny w kartotece pojazdów samochodowych. Lee Therese Reston, urodzona 18 września 1948 roku.

- No dobrze, więc teraz już wiesz i może zrozumiesz, dlaczego tak się wtedy zdenerwowałam.

- Nie moglibyśmy zapomnieć tamtego dnia? To się więcej nie zdarzy. Lee gwałtownie odwróciła się plecami do boiska i zaczęła szybko przestępować z nogi na nogę, aby rozgrzać stopy. Miała na sobie czarne getry wpuszczone w czarne lakierki do kostek, wykończone futerkiem.

- Tęskniłem za tobą - powiedział, bacznie obserwując jej reakcję.

Przestała dreptać, znieruchomiła na moment z rękoma w kieszeniach, po czym znowu spojrzała na boisko.

- Ja też za tobą tęskniłam - przyznała i odwróciła twarz ku niemu. - A poza tym w życiu nie dostałam tylu róż w jednym bukietcie. Dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Przez kilka sekund cieszyli się odnowieniem przyjaźni, aż wreszcie usta Lee wykrzywiły się w grymasie.

- Głupi byłeś. W hurcie mogłam je dostać za połowę ceny. Christopher cofnął się ze śmiechem.

- Ale nie miałabyś nawet połowy tej frajdy, prawda? Gwizdek sędziego przypomniawszy im, gdzie są, lecz w grze znowu nastąpiła przerwa i obie drużyny zebrały się w grupki.

- To co? - zagadnęła Lee, jakby nieporozumienie nigdy nie miało miejsca. - Wpadniesz w sobotę wieczorem na pieczeń?

To jedno proste pytanie sprawiło, że w jego życiu znowu zapanowało szczęście.

- Nie musisz mnie dwa razy prosić.

Uśmiechnęli się do siebie z zadowoleniem i wtedy zatrzeszczało w radiotelefonie Chrisa.

- Jeden brawo siedemnaście - powiedział do aparatu.

W głośniczku odezwał się dyspozytor i dał mu jakieś zlecenie.

- Przyjąłem - potwierdził Chris, po czym wyjaśnił Lee, która nie zrozumiała ani słowa:

- Ucieczka nastolatka. Muszę to sprawdzić. O której w sobotę?

- Szósta trzydzieści.

Przytknął dłoń do daszka, przeszedł dwa kroki, ale zaraz zawrócił.

- Zrobisz sos do pieczeni?

- Zakładam, że lubisz sos.

- Nigdy nie nauczyłem się go robić.

- Cóż to za pieczeń bez sosu?

Tęskny uśmiech Chrisa zdradzał, że ostatnie, co by chciał w tej chwili robić, to uganiać się za nastolatkiem, który uciekł z domu. - To na razie.

Lee odwróciła się, patrząc, jak rusza do swoich obowiązków. Czarne buty z grubymi podeszwami wprawiały ławkę pod jej stopami w drżenie, kant granatowych spodni załamywał mu się pod kolanami, kurtka wzdymała się ponad skórzany pasem, gęsto obwieszonym różnymi akcesoriami.



Skręcił w lewo i zaczął sadzić wielkim susami po schodach, biorąc po dwa stopnie na raz. Odwrócona plecami do boiska, patrzyła, jak dochodzi do szczytu trybun, mija okalające stadion łańcuchy, a następnie rusza spiesznie w stronę wozu. Otwierając drzwi zerknął w dół. Zobaczył, że Lee odprowadza go wzrokiem, więc podniósł rękę w pożegnalnym geście.

Lee zauważyła jego uśmiech i też mu pomachała. Patząc, jak czarno - biały samochód odjeżdża, dziwiła się, że powrót Chrisa przydał jej życiu optymizmu, którego brakowało w nim, odkąd spłoszyła się i odsunęła od niego. To prawda, mogła się mylić, ale mój Boże! tak wspaniale było znowu czekać na wieczór w jego towarzystwie!

Kiedy w sobotę Christopher przybył do domu Lee, padał lodowaty, typowy dla października deszcz. Drzwi otworzył Joey.

- Cześć, Chris - powiedział.

- Co nowego, Joey?

- Widziałem cię na meczu w środę.

- Przepraszam, że nie mogłem zostać. Miałem wezwanie. Ale widziałem twoją akcję. Chłopie, aleś go przygwoździł!

- W ostatniej części załatwiłem go jeszcze raz! Jezu, człowieku, szkoda, żeś nie widział tego gościa. Nie mógł się pozbierać, a potem to dopiero się na mnie rzucili. Ten wielki drań...

Lee wystawiła głowę zza rogu, lecz nie mogła dojść do słowa. Pomachała Chrisowi dwoma palcami, podczas gdy Joey nadal paplał z podnieceniem. Prowadził gościa w stronę kuchni, nie zdając sobie sprawy z tego, że idzie tyłem.

Powrót tutaj, do tych ludzi, do miłej atmosfery, nappełnił serce Christophera poczuciem swojskości. Stół był nakryty dla trojga, ozdobiony kwiatami w kolorze brązu. Kuchnia była jasna i przytulna. Zza zaciągniętych zasłon dolatywało bębnienie deszczu o rozsuwane drzwi, a zapach wołowiny, gotowanej cebuli, kawy, unoszący się wraz z kłębamii pary z rondli na kuchence, sprawił, że Chrisowi napłynęła ślina do ust. Na dodatek była tam Lee - krążyła po kuchni w kapciach i bawełnianym kostiumie, przygotowując posiłek, podczas gdy jej syn trajkotał dalej, jakby rozmawiał z ojcem albo starszym bratem.

- ... a trener powiedział: „Powyrywaj im nogi!” i chyba o mało tego nie zrobiłem. Hej, mamo, Chris tam był, kiedy za pierwszym razem dostałem piłkę! Widział to!

- Tak, wiem. Cześć, Chris. - Stała przy kuchence, dodając zasmażkę do sosu. Żadne z nich nie zdradziło, jak bardzo się cieszy z tego, że są razem.

- Ładnie tu pachnie.

- Jasna sprawa. Nie jadłam dzisiaj wiele. Mam nadzieję, że nie obrazisz się, jeśli

podam od razu. Joey, możesz nalać mleka do szklanek?

- Pomóc w czymś? - zapytał Christopher.

- Jasne. Postaw sól i pieprz na stole. - Wręczyła mu dwa pojemniczki. - A potem sięgnij na górną półkę za moimi plecami i zdejmij dwie salaterki, na ziemniaki i marchewkę.

Przy tych prostych rodzinnych zajęciach, krążąc razem po kuchni, Christopher i Lee wyczuli we wzajemnym stosunku delikatną zmianę. Być może po prostu przez moment pozwolili sobie na zabawę w dom. On zdjął z półki naczynia, ona napełniła je i podała mu. Chris zauważył, że kobiety nakrywają do stołu inaczej niż mężczyźni. Spomiędzy brunatnych kwiatów sterczały wąsate kłosa zboża, lecz były tam także podkładki pod talerze oraz dwie świece w rdzawym kolorze, które Chris zapalił, gdy Lee podała mu zapalki.

Krzątanina trwała dalej: Joey nalewał mleko, Lee otwierała drzwiczki piekarnika, szukała chwyteków, napełniała wodą puste rondle. Potem podała Chrisowi następną miseczkę, aby postawił ją na stole.

W końcu wszyscy troje zasiedli wokół stołu zastawionego parującym jadłem - jak na obrazku Normana Rockwella. Pieczeń wołowa, tłuczone ziemniaki, gęsty ciemny sos, pomarańczowa marchewka, pachnący groszek na gęsto, nastroszona zielona sałata oraz brązowa papka w kamiennym rondlu tak gorącym, że Christopher oparzył sobie palce.

- Auu!

- Nic ci się nie stało?

- Nic. - Jak zahipnotyzowany znowu wyciągnął rękę... tym razem po łyżkę. - Co to jest?

- Farsz z chleba kukurydzianego z kielbasą wieprzową.

- O mój Bo - o - o - o - że!... - ostatnie słowo przeciągnął z zachwytem. Ucztowali niemal godzinę, podczas gdy krople deszczu stukały w okno jak tysiąc niecierpliwych palców. Ciepło z piekarnika rozchodziło się po kuchni, a czternastoletni chłopak zabawiał ich opowieściami o futbolu i szkolnych wybrykach. Śmiejąc się, dolewali sobie mleka. W końcu Joey zapytał Christophera, jak wyglądało jego pierwsze aresztowanie.

Chris uśmiechnął się z pobłażaniem dla samego siebie, po czym wyjaśnił, że pierwszego dnia pracy, gdy patrolował ulicę przy szkole podstawowej Lincolna, zauważył, że jakiś siedmiolatek siusia na rogu budynku. Dzieciak przeraził się na śmierć, kiedy wielki policjant w oficjalnym granatowym mundurze stanął nad nimi i wygłosił mu wykład. Potem, ilekroć ktoś w komisariacie przypominał sobie, jak to Chris Lallek pierwszego dnia pracy aresztował siedmiolatka za podsikiwanie szkoły, wszyscy parskali śmiechem.

Cała trójka zachichotała. Było im dobrze ze sobą.

- Jest jeszcze napój jabłkowy i lody - powiedziała Lee. Wypinając pierś, Chris pogładził się po brzuchu.

- Nie dam rady zjeść już ani kęsa - powiedział, po czym wypuścił z płuc powietrze i dodał: - Ale nałóż mi jeszcze trochę.

Po deserze zaś stwierdził:

- To był najlepszy posiłek od czasu, gdy ostatni raz jadłem u was. Dzięki, Lee.

- Miło jest znowu coś ugotować dla mężczyzny - odparła. Mówiła szczerze. Joey wszystko po prostu pożerał. Zjadłby nawet metalowe śrubki, gdyby podsmażyć je na maśle. Natomiast gotowanie dla mężczyzny było czymś innym i nie można zaprzeczyć, że w dzisiejszy posiłek Lee włożyła szczególny trud.

Zabrali się razem za sprzątanie kuchni, opłukiwanie talerzy i wkładanie ich do zmywarki. Wycierając kuchenkę, Lee zatrzymała się nagle i zapytała:

- Christopher, wiem, że nie powinnam cię wykorzystywać, ale czy mógłbyś wyświadczyć mi przysługę?

- Powiedz tylko co.

- Kiedyś włożyłam do pralki kilka szmat, a ona przy wirowaniu przeszła przez pół sutereny i teraz kiwa się w jednym rogu. Mógłbyś ją wypoziomować?

- Nie ma sprawy.

- Joey, zejdiesz z Chrisem na dół i pokażesz mu gdzie?

W starannie wykończonej pralni Lee światło było bardzo jasne. Z drążka na ręczniki zwisała para jej rajstop, przypięta plastikową klamerką. Chris pomyślał, że któregoś dnia chciałby je z niej ściągnąć. Joey znalazł jedną z poziomnic swojego ojca, po czym przechylił pralkę, tak że stała na dwóch nogach, a pozostałymi dotąd kręcili, aż stanęła poziomo.

Christopher otrzepywał właśnie kolana dżinsów, kiedy Lee stanęła w drzwiach pralni, rozcierając krem na dłoniach.

- Och, ustawiliście!... Dziękuję bardzo. - Przeszła obok Chrisa, ściągnęła rajstopy z drążka i poskładała. Większość rzeczy załatwiam sama, ale z tym nie dałabym sobie rady. Dzięki raz jeszcze.

Ruszyła z powrotem na górę, wołając: - Czy ktoś chce zagrać w parcheesi?

Rozpoczęli grę, ale w połowie ktoś zadzwonił do Joey, najwyraźniej dziewczyna. Głos chłopaka przeskakował z kontraltu na sopran i z powrotem.

- Och, cześć. Myślałem, że idziesz z rodziną do ciotki... Tak, ale zczekaj chwilę. - Zasłonił słuchawkę dłonią. - Mamo, mogłabyś odłożyć, jak dojdę do twojej sypialni?

Lee spełniła prośbę, po czym wróciła do kuchennego stołu i stanęła obok swego

krzesła, wspierając się na nim kolanem.

- Będzie gadał przez dwie godziny. Telefon to jego najnowsza zabawka. Chcesz grać dalej czy pooglądamy telewizję?

- A ty co chcesz robić?

- Oglądać telewizję. Jestem zmęczona. Napracowałam się dziś.

- Ja także. Pomogę ci to pozbierać.

Pozbierawszy wszystkie elementy gry do pudełka, przeszli do pokoju dziennego. Lee wcisnęła się w kątek sofy, a Chris wyciągnął się na podłodze.

- Hej, tu są krzesła - zawołała do niego.

- Nie, tak mi dobrze. - Uniósł podbródek, zerkając na nią przez głowę, potem znowu wpatrzył się w ekran.

- Dobrze, uparciuchu. - Rzuciła mu poduchę z sofy, trafiając go w twarz. - Dzięki - powiedział Chris i wepchnął poduchę pod głowę.

Na ekranie rozgrywała się jakaś nudna komedia sytuacyjna. Lee zmieniła kanał pilotem. Za zasuniętymi zasłonami deszcz nadal dudnił po szybach. W sypialni rozległ się śmiech Joeya, po czym jego głos znowu zniżył się do stłumionego pomruku. Lee ściszyła telewizor. Od czasu do czasu jej oczy wędrowały w stronę wyciągniętej na podłodze postaci, ku jej płaskiemu brzuchowi, skrzyżowanym kostkom i wszystkiemu, co było pomiędzy jednym a drugim. Pełna poczucia winy odwracała wzrok i z powrotem wpatrywała się w telewizor. Lecz jej oczy, chcąc nie chcąc, same tam wracały.

- Hej, Christopherze?

- Mhm.

- Myślałam sporo o tej twojej historii... o tym jak dorastałeś. - Chris leżał nieruchomo, z rękoma pod głową. - Cieszę się, że mi o tym powiedziałeś. Dzięki temu rozumiem, co cię łączy z Juddem.

- Nie opowiedziałem ci tego po to, żebyś mnie żałowała.

- Wiem, ale i tak się cieszę. Twoi rodzice... to chyba dość smętne istoty. - Przerwała, ale Chris milczał. - Czy sądzisz, że to by coś zmieniło, gdybyś spróbował pogodzić się z nimi?

- Nie, nie sądzę.

- A próbowałeś kiedyś?

- Daj spokój, Lee.

- Przecież to twoi rodzice.

Christopher usiadł i odwrócił się do niej. - Posłuchaj - powiedział spokojnie. - Musimy

wyjaśnić sobie jedno. Nie tocz ze mną batalii w ich sprawie. Wiem, że trudno ci to będzie przełknąć, ale ja ich nienawidzę. I to nie bez powodu. Według mnie rodzice nie dziedziczą prawa do szacunku swoich dzieci. Muszą sobie na niego zasłużyć. A moi, przed laty, nie skorzystali z okazji.

- Ale na pewno każdy powinien mieć drugą szansę.

- Powiedziałem, daj spokój, Lee. - Jego głos zdradzał, że z trudem panuje nad sobą.

- Ależ, Chris, rodzina jest taka ważna, a to twoi...

- Jeśli chodzi o mnie, to mogliby nie żyć.

- Christopher, to okropne, co mówisz!

Poderwał się na nogi, rzucił poduszkę na sofę i ruszył w stronę szafy przy wejściu.

Lee pobiegła za nim. - Christopherze, przepraszam. - Nim dotarł do holu, złapała go za rękę. - Przepraszam - powtórzyła.

- Chodzi tylko o to, że...

Chris gwałtownie odwrócił się do niej.

- Chodzi tylko o to, że ty żyjesz w wyśnionym świecie, Lee.

- Nigdy dotąd nie widziałam go w takim stanie, jego usta krzywiły się dziwnie w zawziętej twarzy o płaskich policzkach. - Sądysz, że jeśli na pikniku z okazji Czwartego Lipca twoja matka wywija batutą, a twój tato smaży steki, to jesteś w stanie jakoś sprawić, żeby cały świat to robił? Kobieto, jesteś taka naiwna! Urodziłaś się w tej idealnej rodzinie i stworzyłaś sobie własną, równie idealną, ale nie wszystkie rodziny są takie. W tym kraju żyją miliony Juddów, biednych, głodnych, odrzuconych, śmiertelnie przerażonych, ponieważ nie wiedzą, co się z nimi stanie następnego dnia. Dlatego właśnie sięgają po narkotyki i wstępują do gangów. Sprzedają herę, gwałcą. No cóż, ja jestem jednym z tych nielicznych szczęśliwców, którzy się z tego wyrwali, i to nie dzięki moim rodzicom. Więc nie prosz mnie, abym im wybaczył, Lee. Nie prosz mnie o to nigdy, bo tego nie zrobię.

Ująwszy jego twarz w obie dłonie, szepnęła: - Aż tyle gniewu. Nigdy dotąd go nie widziałam.

- Zostaw! - Chris wyszarpnął się, podrywając głowę do góry i odwracając w bok.

Lee opuściła ręce.

- Przepraszam - szepnęła.

Wyjął swą kurtkę z szafy. - Nie, to ja przepraszam. Ty zadałaś sobie tyle trudu, gotując dla mnie i w ogóle, a ja zepsułem ten przemiły sobotni wieczór. Tak miło mi się rozmawiało z Joeyem i... - Włożył kurtkę, zasunął zamek i zablokował suwak, spoglądając na nią błagalnie. - Przepraszam, że to wszystko zniszczyłem.

- Nie powinnam rozpoczynać rozmowy o twoich rodzicach. Obiecuję, że więcej tego nie zrobię, dobrze?

Wyciągnawszy z kieszeni parę rękawiczek, machnął nimi w stronę sypialni. - Mogę się pożegnać z Joeyem?

Lee cofnęła się, robiąc mu przejście. - Jasne.

Przeszedł przez korytarz i po raz pierwszy zerknął do jej sypialni - butelki perfum na toalecie, do połowy wysunięte szuflady wewnątrz otwartej szafy. Joey leżał na łóżku, na skłębionej narzucie w niebieskie kwiaty. Z jednego kolana zwisała mu ogromna skarpeta, skierowana podeszwą ku drzwiom. Pod głowę miał wciśnięte dwie poduszki, których powłoczki również ozdabiałały niebieskie kwiaty.

- Hej, Joey... na razie. Muszę iść.

- Już?... Chwileczkę - dodał chłopak do słuchawki. Christopher pomachał rękawiczkami. - Dzięki. Miło mi było.

Spróbuję wpaść na któryś z twoich meczów, zanim sezon się skończy.

- Tak, pewnie... fajnie, że przyszedłeś.

Lee nadal czekała przy drzwiach wejściowych. Chris zatrzymał się przy niej, składając, to znów rozkładając rękawiczki. Ich oczy spotkały się, odwróciły od siebie, znowu się spotkały.

- Nie złoszczę się na ciebie - powiedział. - Chodzi tylko o to, że... no, trochę to wyszło nie tak. - Poddał się wreszcie i spojrzał wprost w jej oczy o jesiennym kolorycie. Tak bardzo przypominały kwiaty, którymi ozdobiła stół. To były oczy, o których wiele myślał, gdy był daleko od niej, oczy, których nastrój nauczył się tak dobrze odczytywać. Kiedy się odezwał, jego głos był szorstki, ale cichy, bliski szeptu: - Co my robimy, Lee?

- Leczymy się - odparła.

- I to wszystko?

- Odwróciła wzrok. - Proszę, Christopherze.

Westchnął, klepnął się rękawiczkami po dłoni, po czym naciągnął je powoli. A więc chciała udawać, że to platoniczne uczucie. Do diabła, ten pomysł przeraził go bardziej niż uczucia, jakie wobec niej żywił.

- Mogę znowu do ciebie zadzwonić? - zapytał.

- Nie wiem - odpowiedziała. - To wszystko staje się dla mnie zbyt skomplikowane.

- Więc pozwól, że skomplikuję to jeszcze bardziej - rzekł Chris, po czym, zupełnie tego nie planując, pochylił się i pocałował ją w usta. By! to pocałunek na tyle krótki, aby nie wywołać żadnych natychmiastowych kłopotów, lecz zarazem na tyle długi, że zapowiadał na

przyszłość długotrwałe tarapaty. To nie było zwykłe cmoknięcie w policzek, jakim przyjaciel syna może obdarzyć jego matkę.

Powiedział cicho: - Przepraszam - i wyszedł, nie dając jej szansy na jakąkolwiek reakcję. Lee jeszcze przez chwilę stała z otwartymi ze zdumienia ustami.

Spodziewał się, że zadzwoni i rzeczywiście, zrobiła to, ale dopiero po jedenastej tego samego wieczoru. Chris wyobraził sobie, że przez cały ten czas Joey wisiał na telefonie, więc Lee mogła skorzystać z niego dopiero teraz.

Gdy rozległ się dzwonek, był już w łóżku. Leżał w ciemnościach, rozmyślając o niej. Odwrócił się na bok, namacał słuchawkę i powiedział: - Halo. - Halo - odpowiedziała, po czym umilkła. Chris odchrząknął. - Teraz, jak sądzę, ty jesteś zła na mnie.

- Nigdy więcej tego nie rób, kiedy mój syn jest w domu!

- Dlaczego?

- Och, na litość boską, Christopherze, co się z tobą dzieje?

- Co się ze mną dzieje? Nie wiem, czy mam cię traktować jak matkę, czy jak kochankę - oto co się ze mną dzieje! Więc czego chcesz ode mnie? Mam się, psiakrew, trzymać od ciebie z daleka? Bo mogę to zrobić, wiesz?

Przez długą chwilę w słuchawce panowała cisza. Potem Lee szepnęła: - Kurczę!

Chris nieomal widział jak opiera czoło na dłoni.

- Płaczesz?

- Nie, nie płacę!

Zaczął trzeć oczy, przy czym westchnął z taką mocą, że zabrzmiało to jak rzenie konia.

- Boże, Lee, sam nie wiem - powiedział, opuszczając dłoń na materac. Jego odpowiedź wywarła tym większy skutek, że żadne z nich nie zadało żadnego pytania.

Milczeli tak długo, że aż zaczęło mu dzwonić w uszach.

- Wiesz, to co przed chwilą powiedziałeś... - odezwała się wreszcie - to znaczy, że nie wiesz jak mnie traktować. No więc ze mną jest tak samo, też nie wiem, za kogo cię uważać. Nigdy w życiu nie spotkało mnie coś tak niesamowitego. Wchodzisz tutaj i jest zupełnie tak, jakby wszedł Greg. Tyle tylko, że bardzo dokładnie potrafię odróżnić ciebie od Grega. Ty jesteś... no cóż, ty jesteś zupełnie inny. Ty jesteś Christopherem i kiedy jestem z tobą, dzieje się coś dziwnego, nawet prawie wcale nie myślę o Gregu. Potem sobie idziesz, a mnie ogarnia poczucie winy, jakbym... jakbym była zboczona. To znaczy, ja też uczyłam się trochę psychologii, wiesz! I mitologii greckiej! Słyszałam o kompleksie Edypa! - W jej głowie wyczuwało się coraz więcej emocji, jakby kłóciła się sama ze sobą.

- Poczucie winy z jakiego powodu?

- Och, daj spokój... my nie gramy w żadnej komedii sytuacyjnej. To prawdziwe życie i nie wywiedziesz mnie w pole mówiąc rzeczy, których ja nie chcę powiedzieć.

Chris nie odezwał się. Słuchał cichutkiego szumu w telefonie, wyczuwając że niepewność płynie w obie strony przewodu.

- Słuchaj... - powiedziała w końcu Lee - chyba nie powinniśmy się widywać w najbliższym czasie. Czytałam także o smutku i jestem na tyle bystra, żeby dostrzec podobieństwa pomiędzy tym jak się zachowuję, a tym przed czym ostrzegają w tych książkach.

Wysłuchał jej słów, pozwolił, aby spadły na jego serce jak kamienie, po czym powiedział ochryple: - Dobrze... jeśli tego właśnie chcesz. W jej głosie czuło się przygnębienie: - Nie w tym rzecz, że tego chcę, rzecz w tym, że tak być musi.

- Tak, rozumiem. Minęła kolejna chwila rozedrganej ciszy, a potem Lee powiedziała:

- No cóż... jest późno. Rano idziemy do kościoła.

- No jasne.

- To... do widzenia.

- Do widzenia.

Żadne z nich nie odłożyło słuchawki. Czuli, że gdyby to zrobili, stałoby się - ich znajomość dobiegłaby końca. Toteż jeszcze przez kilka sekund słuchali swoich oddechów. Chris wyobrażał ją sobie w pościeli w niebieskie kwiaty.

- Raz jeszcze dziękuję za kolację - powiedział wreszcie.

- Szczerze mówiąc, czułem się jak Ozzie Nelson.

Lee nie potrafiła znaleźć powodu do śmiechu. W tej chwili nic nie wydawało się jej śmieszne. Miała wrażenie, że już nic nigdy takie się nie wyda.

- Pa, Christopherze.

- Pa, Lee.

Tym razem odłożył słuchawkę, po czym leżał w ciemnościach, zastanawiając się, czy ją oczy pieką tak samo jak jego.

Przyszłość bez niego wydawała się Lee okrucieństwem, na które sobie nie zasłużyła. Trwał właśnie ten okropny okres pomiędzy pierwszym mrozem a Świątami, kiedy perspektywa siedzenia w zamkniętych pomieszczeniach przez najbliższe sześć miesięcy pogłębiała jeszcze bardziej jej przygnębienie.

Janice była tak bardzo zajęta nauką, że Lee rozmawiała z nią tylko wtedy, kiedy sama zadzwoniła, ale nawet wówczas ich rozmowy były pośpieszne; najczęściej kończyła je córka.



- Jejku, mam, przepraszam, ale muszę lecieć. Ktoś na mnie czeka, a my się tu jak zwykle rozgadujemy.

Joey przeżywał pierwszą miłość. Często wieczorem, po kolacji, wystrojony jak fircyk, przemierza! milę do domu Sandy Parker, pozostawiając Lee szukanie sobie własnych rozrywek. Czasem Joey i Sandy spędzali czas u nich. Przesiadali na kanapie w salonie, robiąc do siebie maślane oczy, w przerwach zaś łaskocząc się nawzajem, co tak bardzo żenowało Lee, że w końcu zostawiła ich samym sobie i wycofywała się do swej sypialni, aby poczytać magazyn „Kwiaty”.

Orrin i Peg Hillier wybrali się do Nowej Anglii, skąd mieli ruszyć na południe, wybrzeżem Atlantyku. Planowali powrót przed Świętem Dziękczynienia.

Wystarczyło zadzwonić do któregoś z znajomych, a miałyby towarzystwo na wieczór. Dwukrotnie była na kolacji u Donny i Jima Clementów, poszła do kina z Sylwią i Barrym, któregoś wieczoru wybrała się nawet do Rum River Boutique, wraz z Nancy McFandon. W szkole Joeya odbywały się wywiadówki, w ogródku za domem czekały ją ostatnie tej jesieni prace, trzeba też było coś upiec na doroczny kiermasz ciastek w kościele.

Jednak większość wieczorów spędzała samotnie.

Kiedyś krótko po dziesiątej zgasła światło i stała przy oknie z frontu. Wcierając krem w dłonie, podziwiała ogromny księżyc, gdy nagle na ulicy pojawił się czarno - biały samochód patrolowy. Jechał tak powoli, że Lee przez moment myślała, iż kierujący nim policjant zdołał ją dostrzec w ciemnym oknie. Nie miała wątpliwości, że to Christopher. Niebieskawe światło księżycy wydobyło z mroku białe drzwi, przesuwające się wolniutko. Była przekonana, że to nie mógł być nikt inny.

Dobry Boże.

Zamarła w bezruchu, czując jak krew napływa jej do twarzy, jak coś w niej się porusza, jakby jakiś wewnętrzny głos, nad którym nie mogła zapanować, próbował go zawołać.

Oczywiście nie zatrzymał się, po prostu przejechał cichutko. Nagle poruszyła ją świadomość, że Chris nocami obserwuje jej dom.

Podeszła do łóżka. Położyła się na plecach, wpychając przykrycie pod pachy. Leżała tak nieruchomo, z rozpląszczonymi piersiami, jak gdyby taka pozycja mogła zniweczyć tęsknotę, którą czuła przed chwilą przy oknie.

Podjęłaś słuszną decyzję, powiedziała sobie. Romans z nim byłby katastrofalny. Skandaliczny. Wyobraź sobie, co by ludzie powiedzieli.

Mimo że upominała tak samą siebie, wcale nie było jej łatwiej zasnąć. Nie zdołała też

wypełnić tej ogromnej pustki, która ziała w jej życiu. Nie potrafiła nawet wyrzucić Christophera z umysłu na następne dni i noce.

Wytrwała w swym postanowieniu, że nie zobaczy się z nim więcej. Deszcze połowy października zamieniły się w późno październikowe mrozy i nastąpiła ta ogłupiająca pora roku, gdy tak trudno jest znieść samotność. Świat przywdział złocone szaty. Wypolerował jabłka, pomalował na pomarańczowo dynie leżące na polach, wysuszył kolby kukurydzy.

Miasto zaczęło przygotowywać się do Halloween. Od roku 1920, odkąd miejscowe władze, chcąc ukrócić staromodne kawały, jak choćby wystawianie wozów na dachy, czy przewracanie przybudówek, urządziły pierwsze obchody tego święta, miasto Anoka obwołało się światową stolicą Halloween. Tego roku, jak zawsze, impreza goniła imprezę. Odbyło się Skrzypcowe Jamboree, Dyniowe Kręgle, w których drużyna Anoka Tornadoes walczyła ze swymi arcyrywalami, Kardynałami z Coon Rapids, zawody karciane rajców miejskich, turniej w rzucaniu podkowami, bingo, konkurs pieczenia placków z dynią oraz wybory najlepiej pasujących do siebie warg. Zorganizowano też Bieg Szarego Ducha i Jednomilowy Spacer. Na terenach targowych Rycerze z Columbus ufundowali „dom, w którym straszy”, handlowcy brali udział w wyprzedaży pod hasłem „Księżycowe Szaleństwo”, a uczniowie liceum Anoki wymalowali wystawy wszystkich sklepów w centrum. Kulminację wydarzeń miały stanowić parada dzieci w piątek po południu oraz „Wielka Parada”, w sobotę po południu, po której w szkole średniej miała się odbyć koronacja Miss Anoki.

Wszystkie te uroczystości miały niezwykle korzystny wpływ na handel.

A ponadto przysparzały mnóstwa dodatkowej pracy policji.

Jako właścicielka sklepu w śródmieściu, w dodatku sklepu branży kwaciarskiej, Lee znalazła się w samym centrum tego zamieszania.

Wyglądało na to, że wszyscy chcą sobie postawić na schodkach przed wejściem chryzantemy w doniczkach, że każdy chce mieć rękaw wiatrowy w kształcie ducha i stos dyń, z których mógłby zrobić maski i lampiony. Większość właścicieli domów przystroiła bogato podwórka, toteż w mieście zapanowała świąteczna atmosfera. Drzewa oraz odrzwia domów obwieszane były podobiznami duchów i czarnymi szkieletami. Obok latarń leżały bele siana, strachy na wróble i dynie.

A w kwaciarni Lee suche, jesienne wieńce do przystrajania drzwi frontowych sprzedawały się niemal tak samo dobrze jak wiązanki świeżych kwiatów.

Któregoś dnia zjawili się uczniowie ze starszych klas szkoły średniej, aby pomalować im wystawę. Lee i Sylvia, na tyłach sklepu, przebierały powiędnięte kwiaty. W całym wnętrzu unosił się zapach napoju jabłkowego, który grzał się w elektrycznym czajniku, obok

drzwi wejściowych, pod tabliczką z napisem: „Poczęstuj się”. Nastolatki malowały szyby, piły jabłecznik i bawiły się doskonale. Na pięterku, w pokoju biurowym, księgowy sporządzał bilans, jak zwykł to czynić co dwa tygodnie, a na dole, pomiędzy wystawionym towarem, snuła się dwójka klientów, w towarzystwie Pat Galsworthy, która odpowiadała na ich pytania. Natomiast Lee odwalała czarną robotę, wymieniając wodę w puszcze z kolorowymi kwiatami spokrewnionymi z rzodkwią, które wydawały tak przenikliwy zapach, że aż piekły ją oczy.

- Boże, ależ to cuchnie - powiedziała, przekładając kwiaty do świeżej wody. Potem wylała starą i napełniła puszkę roztworem wybielacza chlorowego.

Sylvia zajmowała się myciem innego pojemnika. - Mama wczoraj telefonowała - powiedziała. - Byli w Brattleboro, w Vermont. Do ciebie też dzwoniła?

- Ostatni raz we wtorek.

- Powiedziała, że tam jest pięknie.

- Wiem. Wspominała, że trudno im stamtąd wyjeżdżać.

- Mówiła coś o Święcie Dziękczynienia?

- Nie.

- Tego roku chciała urządzić je u siebie. - Świetnie.

- Powiedziała, że do chwili powrotu stęskni się już za gotowaniem i że przyjadą wystarczająco wcześnie, żeby mieć mnóstwo czasu na wszystkie przygotowania.

- Wspaniale. Cieszę się, że ja nie będę musiała tego robić. W tym roku naprawdę nie jestem w nastroju.

- Oczywiście będzie chciała, żeby każda z nas coś przyniosła.

- Jestem pewna, że poprosi mnie o paszteciki. Uwielbia moje paszteciki.

- Ja przyniosę potrawkę z brokułów z brunatnym ryżem. Och, przy okazji, mama prosiła, żebym ci powiedziała, że możesz zaprosić Chrisa.

Lee przelewała właśnie wodę z jednego pojemnika do drugiego, ale nagle przerwała, spoglądając na siostrę. Sylvia, która niczego nie zauważyła, ciągnęła dalej: - Oboje z ojcem naprawdę go polubili. Czy wiesz, że on nawet wysłał im kartkę z kondolencjami po śmierci Grega? Mama wprost nie mogła się nadziwić. Poza tym wiem, że zrobił na niej wielkie wrażenie, kiedy Czwartego Lipca wybrał ją do swojej drużyny siatkówki. Rozmawiałaś z nim ostatnio?

Sylvia uniosła wzrok, a Lee spiesznie wróciła do mycia pojemników.

- Nie, nie rozmawiałam.

- No to zadzwoń i powiedz mu, że jest zaproszony na świąteczny obiad.

- Tak, dobrze... zadzwonię.

- A jak tam Joey i jego sprawy sercowe? - Rozmowa potoczyła się dalej bez poruszania tematu Chrisa. Nastolatki zakończyły malowanie szyby wystawowej, po czym wróciły do sklepu, aby podziękować właścicielom, że się na to zgodziły. Sylvia przyniosła z chłodni pomarańczowe goździki i na pożegnanie dała każdemu z nich po jednym. Potem zjawił się na dole księgowy, stwierdzając, że zakończył sprawozdanie i potrzebuje kilku podpisów. Osuszywszy dłonie, Lee podpisała papiery, podczas gdy Sylvia wraz z Pat Galsworthy przygotowywały sklep do zamknięcia.

Gdy pracownica pożegnała się i wyszła, pozostawiając obie siostry sam na sam, Lee wyłączyła radio i spojrzała na Sylvie, która nakładała płaszcz. Otworzyła już usta, aby powiedzieć, że nie chce zapraszać Christophera na Święto Dziękczynienia, ale zrozumiała, że jeśli to zrobi, Sylvia popatrzy na nią z bezgranicznym zdumieniem i zapyta: - Dlaczego?

Nie odezwała się więc. Wzięła swój płaszcz, po czym wyszły obie tylnymi drzwiami, wprost w wir suchych liści, które - niesione przez wiatr - szeleściły cicho, tańcząc w kółko w wąskim przejściu pomiędzy budynkami. Sylvia zdążyła już dojść do swego samochodu, kiedy Lee zawołała w jej stronę: - Sylvio... co do Święta Dziękczynienia...

Jej siostra odwróciła się i czekała z kluczami w dłoni.

Jednak Lee nie miała żadnego logicznego powodu, żeby wykluczyć Chrisa z ich świątecznych planów, więc nagle zaczęła improwizować.

- Mam nowy przepis na potrawkę z warzyw, który chciałabym wypróbować. Może ty zrobiłabyś w tym roku paszteciki?

Sylvia miała wątpliwości. - Mama będzie rozczarowana. Nie potrafię ich tak przyrumienić jak ty.

- No cóż, to może zrobię i paszteciki, i potrawkę.

- Poczekajmy, aż mama wróci. Wtedy omówimy jadłospis. „Ty tchórzliwa istoto”!  
Pomyślała Lee, wsiadając do swego auta.

Nie zapaliła silnika, tylko siedziała, ściskając bezradnie kierownicę. Czuła się głupio, że odpycha Christophera, w święta, które na pewno chciałby spędzić z jej rodziną. Sytuację pogarszał jeszcze fakt, że wbrew swoim zasadom planowała kłamstwo; w stosownym czasie miała zamiar powiedzieć wszystkim, że w Święto Dziękczynienia Christopher ma służbę.

Rankiem, w dniu „Wielkiej Parady”, miasto Anoka oszalało. Już na kilka godzin przed południem zaczęły zjeżdżać tysiące ludzi, aby zrobić zakupy, zjeść lunch i zająć dobre miejsce przy krawężniku na trasie przemarszu. Po wszystkich ulicach sunęły wolniutko samochody, szukając miejsca do zaparkowania. Przed wystawami snuły się stada matek wlokących za sobą poprzebierane dzieci. Zerknąwszy na ulicę, spoza namalowanych tempera

kolb kukurydzy, Lee zobaczyła ludzi, którzy ustawiali na chodniku przed sklepem składane krzeselka.

Wnętrze sklepu przypominało dom wariatów. Jedna czy dwie osoby naprawdę coś kupowały, ale reszta robiła tylko zamieszanie. Jakaś kobieta, z rozwrzeszczanym dzieckiem na ręku, oglądała kartki z życzeniami, ale w pewnym momencie jej pociecha rzuciła się do tyłu i kartki się pogniosły. Kilku małych chłopców odkryło darmowy napój. Natychmiast zaczęli wybiegać ze sklepu i wracać do niego z kolegami, używając papierowe kubki, aż do opróżnienia imbryka. Jakaś starsza pani, na której twarzy malowało się cierpienie, podeszła do Lee, pytając: - Czy mogłabym skorzystać z toalety?

Potem do sklepu wpełznął się jeden z organizatorów konkursu Miss Anoka, wołając: - Potrzebuję bukietów dla kandydatek, natychmiast!

Telefon dzwonił bezustannie. Przed kasą stała kolejka. W pewnej chwili, kiedy drzwi otworzyły się po raz kolejny, przeciąg wywrócił druciany stojak z cyklamenami w doniczkach.

Wreszcie, o pierwszej, Lee złapała się za głowę.

- Dość już! - powiedziała. - Zamykamy!

Z uczuciem ulgi zamknęły drzwi, założyły kurtki i wyszły na ulicę, aby dołączyć do tłumu, który stał wzdłuż krawężników Main Street czekając aż kolorowy pochód przejdzie obok w takt werbli szkolnej orkiestry.

Jak miło było się odprężyć! W tak śliczny dzień przebywanie na zewnątrz sprawiało prawdziwą rozkosz. Niebo było błękitne, tu i ówdzie upstrzone puszystymi, białymi chmurkami. Termometr na banku wskazywał plus osiem stopni, toteż stojąc w słońcu, w dżinsowej kurtce, Lee czuła się wspaniale. W dali, tam gdzie ulica krzyżowała się z rzeką, Rum River z szumem przelewała się przez zaporę. Przed wszystkimi zakładami i sklepami wzdłuż Main Street wystawione były flagi: amerykańskie, szkolne, pomarańczowo - czarne oraz inne, służące jedynie ku ozdobie.

Tuż obok przejechał wolniutko samochód policyjny. Lee poczuła, że serce przestaje jej bić, ale za kierownicą siedział ktoś inny, nie Christopher.

O kilka jardów dalej zebrała się grupka nastolatków, śmiejąc się i przepychając. Jeden z nich wyrzucił wysoko w górę dynię wielkości piłki do koszykówki. Owoc uderzył w asfalt, rozbryzgując się na dziesięć jardów wokoło. Stojący w pobliżu ludzie odskoczyli do tyłu, strzepując z ubrań pomarańczowe strzępy dyni. Jedni się śmiali, inni przeklinali i narzekali.

Na najbliższym rogu Christopher ustawił swój wóz patrolowy pod kątem, odcinając ruch w bocznej uliczce. Czerwone, migające światła pozostawił włączone. Stał właśnie przed

swym samochodem i obserwował tłum, kiedy dynia uderzyła w trotuar.

Natychmiast ruszył w tamtą stronę.

Szedł jezdnią wzdłuż krawężnika, przed frontem zgromadzonych ludzi. Nie spieszył się, ale było widać, że wie, dokąd zmierza.

- Wyście to rzucili, chłopaki? - zapytał, doszedłszy do trzech hałaśliwych nastolatków.

- Ależ skąd, człowieku - odparł jeden z nich. - To jakaś staruszka. Poszła w tamtą stronę, prawda, Kevin?

- Tak, tam właśnie poszła - potwierdził Kevin. Christopher był nadal spokojny. - Będziecie to musieli sprzątać.

- Odwal się - powiedział któryś z chłopców.

- Poleciała właśnie stąd - potwierdził jeden z gapiów.

O jedną przecnicę dalej pojawiła się kolorowa straż przednia pochodu, za którą maszerowała orkiestra - siedemdziesiąt par białych butów miało przejść przez dyniową miazgę.

- No już! - ponaglił Christopher. - Bo jeśli orkiestra zjawi się, zanim to zrobicie, to zacznę spisywać nazwiska, a jestem przekonany, że wiele ze stojących tu osób będzie chciało wysłać wam rachunki z pralni.

Jeden z nastolatków zmiękł.

- Czym to mamy pozbierać?

Ktoś podał mu gazetę. Trzej chłopcy wyszli na jezdnię, zebrali rękami pomarańczową maź i zawinęli ją w papier pod czujnym wzrokiem funkcjonariusza Lalleka, który stał, wsunawszy kciuki za pas.

Kiedy wracali biegiem do krawężnika, nadchodzili już kolorowi gwardziści Legionu Amerykańskiego z flagami w dłoniach. Tuż za nimi dudniła orkiestra. Christopher wyciągnął rękę w stronę, z której przyszedł. - Tam jest kosz.

Chłopcy pomrukując ruszyli we wskazanym kierunku.

Lee, która stała na krawężniku przed swoim sklepem, widziała to wszystko. Co prawda zdecydowała się wyrzucić Christophera ze swego życia, ale jednak jego widok - zwłaszcza w mundurze, w trakcie pełnienia obowiązków - nadal sprawiał, że jej serce biło jak oszalałe. Było tyle hałasu, że nie słyszała jego słów, ale ani na chwilę nie oderwała oczu od tej scenki. Chris, jak zwykle, wydał się jej niezwykle atrakcyjny. Różnobarwna czołówka pochodu przeszła obok, a Lee nawet na nią nie spojrzała. Nadciągnęła orkiestra, a ona nie pamiętała o tym, żeby patrzeć, jak ładnie maszerują. Zamiast tego wpatrywała się w daszek czapki Christophera, widoczny ponad głowami dzielących ich ludzi, z nadzieją, że i on ją

zauważy. W chwili gdy przepływał obok niego sztandar Stanów Zjednoczonych, Chris zdjął czapkę i oddał honory.

Patrzył na flagę.

Lee patrzyła na niego.

Kiedy tak stał wyprostowany, pełen godności, miała wrażenie, że te wszystkie bębny łomoczą w jej piersiach.

Po przejściu pocztu sztandarowego Christopher założył czapkę z powrotem i nachylił się nad jakimś dzieckiem, aby mi coś powiedzieć. Zaśmiał się, pogłaskał małą główkę, po czym spojrzał wzdłuż ulicy, którą nadchodziła grzmiąca mosiądzem orkiestra.

Nagle, jak gdyby wyczuwając, że jest obserwowany, odwrócił się i spojrzał przez ramię w stronę Lee. Ich oczy się spotkały. Żadne się nie uśmiechnęło, ale on ruszył ku niej, z tym samym niewzruszonym spokojem, z jakim zbliżał się do chłopców, którzy rzucili dynię.

Pełna wzburzenia Lee wpatrzyła się w orkiestrę, która przechodziła obok równiutkimi szeregami. Marsz dobiegł końca, ale natychmiast rozległ się dźwięk werbla wybijany przez sekcję instrumentów perkusyjnych - bruum! trr - trr! bruum! - tenorowe i basowe bębny toczyły ze sobą dialog z takim wigorem, że w uszach pękały bębni.

A potem Christopher stanął przed nią i Lee nie mogła dłużej powstrzymać się przed spojrzeniem w jego gładko ogoloną twarz. Usta Chrisa poruszyły się. Witał się z nią zapewne, ale bębny zagłuszyły jego słowa. Lee także powiedziała mu „cześć”, lecz to również utonęło w łoskocie. Na tym spotkaniu ciążyło ich wzajemne zauroczenie oraz fakt, że się go wyparli. Zachowywali więc uprzejmy dystans, zwłaszcza że patrzyło na nich całe miasto Anoka, no i siostra Lee. W końcu Chris uświadomił sobie, jak długo się jej przygląda, więc przytknąwszy palec do daszka czapki ukłonił się uprzejmie Sylvii i Pat Galsworthy.

Jakiś chłopak na rowerze BMX krążył tuż za orkiestrą i lada chwila mógł wjechać w jej ostatni szereg.

- Muszę iść - powiedział Chris, po czym umknął, korzystając z pretekstu, jakiego dostarczały mu jego obowiązki.

Wbrew woli, Lee odprowadzała go wzrokiem. Patrzyła, jak kieruje chłopca na pobocze, a potem, odpowiadając na pozdrowienia, podchodzi do kogoś z tłumu i wsparty jedną nogą na krawężniku wdaje się w pogawędkę.

Nadciągnęli następni uczestnicy parady - marszałek wielki, dzieciaki w kostiumach, strażnicy grobów na warkoczających harleyach, znowu poprzebierane dzieci.

Lee udawała, że przygląda się przemarszowi, ale przez cały czas kątem oka obserwowała Christophera. A on witał się z ludźmi, głaskał główki dzieciaków. Złapał

cukierek rzucony przez jednego z kłownów i wręczył go maluchowi. Zdjąwszy z pasa radiotelefon, przytknął go do ust, spojrział posepnie na zachód, po czym odwrócił się zdecydowanie, ruszając w stronę swego samochodu. Kiedy przechodził obok Lee, spojrzął na nią przelotnie, a w chwilę potem już go nie było.

Parada trwała nadal - nie kończący się ciąg dzieciaków w przebraniach, zespół z Forest Lake, zespół z Hopkins, platforma z kucharzami ze Szkoły Średniej Coon Rapids, następne platformy, kolejne zespoły, drużyna piłkarska na ciężarówce, wraz z grupą dziewczyn wymachujących pomponami, cały orszak Miss Anoka - lecz dla Lee Reston defilada skończyła się, zanim jeszcze czerwone samochody miejskiej straży pożarnej ogłuszającym wyciem syren obwieściły jej finał.



## ROZDZIAŁ 10

Nie zadzwoniła do niego w sprawie Święta Dziękczynienia.

Osiemnastego listopada wrócili jej rodzice i Peg natychmiast do niej zatelefonowała. Chciała, żeby Lee upiekła paszteciki z dynią. Świąteczny posiłek planowała na dwadzieścia trzy osoby.

- Chris oczywiście przychodzi, prawda? - zapytała.

- Nie jestem pewna. Obawiam się, że ma dyżur - odparła Lee.

- Och, jaka szkoda - powiedziała Peg.

Lee odłożyła słuchawkę z ogromnym poczuciem winy.

W poprzedzający Dziękczynienie wtorek państwo Hillier wybrali się do Czerwonej Sowy po indyka na świąteczny obiad. W przejściu pomiędzy szafami z mrożoną żywnością Peg o mało nie zderzyła się z Chrisem, który właśnie zakończył służbę i, wciąż jeszcze w mundurze, kupował sobie coś na kolację.

- Christopher! O mój Boże, to ty!

- Dzień dobry, pani Hillier.

Uścisnęła go serdecznie, a on odwzajemnił jej uścisk, trzymając porcję mrożonego kurczaka z dala od jej pleców. Potem podał rękę Orrinowi. Przez chwilę rozmawiali o podróży państwa Hillier do Nowej Anglii, o zdumiewających barwach jesieni, które udało im się zobaczyć, oraz o krytych mostach w stanie Vermont. Starsi państwo pochwalili architektoniczne cuda Charlestonu i wspaniałe pola golfowe w Myrtle Beach.

W końcu Peg powiedziała: - Tak strasznie mi było przykro, kiedy się dowiedziałam, że nie możesz do nas przyjść na świąteczny obiad.

Christopher nie bardzo wiedział, o co chodzi, ale zdołał jakoś ukryć zaskoczenie. - Ja także żałuję, że mnie to ominie. Wie pani, jak kawaler ceni domową kuchnię.

- Miałam nadzieję, że dostaniesz wolne na Święto Dziękczynienia, ale Lee powiedziała, że musisz iść do pracy.

Ni stąd, ni zowąd Chris wypaplał prawdę: - Dopiero o trzeciej.

- Dopiero o trzeciej! Skoro tak, to sprawa załatwiona. Jemy o pierwszej, więc zdążysz.

Uśmiechnął się. - Dziękuję, pani Hillier. W takim razie przyjdę.

- Gorący jabłecznik z korzeniami będzie gotowy o jedenastej, więc przyjdź wcześniej.

- Pani rodzina tak miło mnie przyjmuje. Naprawdę nie wiem, jak mam dziękować.

Pani Hillier wydawała się zadowolona. Poklepała go po ramieniu. - Nonsens - powiedziała. - Przecież ty jesteś jak członek rodziny. I żeby tego dowieść, uściskała go na

pożegnanie niczym rodzona babcia.

W przeddzień Święta Dziękczynienia Lee przygotowała elegancki stroik na stół. Rodney miał go dostarczyć do domu jej rodziców. Była to bogata kompozycja z morelowych jaskrów oraz mnóstwa gałązek granatu, związanych ciemnozielonym bluszczem i strzępiastą, dwukolorową wstążką. Ułożyła to wszystko na lśniącej owalnej tacy z polerowanego mosiądzu, dołączając karteczkę: „Wszystkiego dobrego z okazji Święta Dziękczynienia. Witamy w domu. Ucałowania, Sylvia i Lee.

Pracując nad tym stroikiem, wspominała Święto sprzed roku, kiedy cała rodzina zebrała się w jej domu, i był z nimi Greg. Ile to już miesięcy od jego śmierci? Pięć, a jednak wciąż jeszcze zdarzały się dni, kiedy bardzo cierpiała, uświadamiając sobie, że odszedł na zawsze. Spodziewała się, że - normalną koleją rzeczy - najtrudniej będzie jej w święta.

Kiedy ułożyła ostatni zawijas wstążki i cofnęła się, aby ocenić dzieło, do stołu podeszła Sylvia.

- Ojej - powiedziała z uznaniem. Przez chwilę stały obie, podziwiając kolor, harmonię i układ kompozycji. - To arcydzieło. - Sylvia położyła dłoń na ramieniu siostry. - Chciałabym choć raz w życiu ułożyć coś takiego.

- A ja - powiedziała Lee, obejmując ją w pasie - chciałabym lepiej sobie radzić w sprawach handlowych. To dlatego tak dobrze nam się współpracuje, prawda?

- Mama będzie zachwycona.

- Mhm.

Sylvii wydawało się, że siostra jest nadzwyczaj cicha i przygnębiona.

- Stało się coś?

Lee nie odpowiedziała, wpatrywała się tylko w kwiaty.

- Myślisz o Gregu? - Widząc łzy w jej oczach, Sylvia przyciągnęła ją do siebie i mocno przytuliła.

- To po prostu to Święto Dziękczynienia... pierwsze bez niego. Powinniśmy dziękować za wszelkie błogosławieństwa, a ja nie czuję się teraz szczególnie błogosławiona.

- Wiem - szepnęła Sylvia. - Wiem.

Stały przez chwilę, patrząc na kwiaty, które nagle straciły na znaczeniu.

- Poczułam się taka samotna, Sylvio - wyznała cicho Lee.

- Och, kochana. - Głos Sylvii przepojony był smutkiem. Lee zamrugnęła. Otarła łzy z policzków, potrząsając głową.

- A niech to, nie wiem, co się ze mną dzieje! Przecież mam mnóstwo powodów do wdzięczności... - Ucisnęła Sylvie. - Dzięki, siostrzyczko. Już mi lepiej. Sam fakt, że

zrzuciłam to z siebie, trochę mi pomógł.

Tego samego wieczoru, w domu, Lee wyliczyła sobie wszystkie inne dobrodziejstwa, za które powinna być wdzięczna. Na dworze padał śnieg; lekki, puszysty całun bieli okrywał ziemię. Janice przyjechała z college'u, Joey został w domu, więc wszyscy troje mieli mnóstwo zabawy, przygotowując razem cztery placki z dynią oraz potrawkę z karczochów.

Nazajutrz, kiedy się obudzili w Święto Dziękczynienia, niebo było perłowszare, a cały świat wyglądał jak spowity gronostajowym futrem. Śnieg przestał padać, wiatr ucichł zupełnie.

- Taaak! - powiedziała Lee, wyjrzawszy przez okno, wciąż jeszcze w nocnej koszuli.

Wystroili się w najlepsze rzeczy, po czym pojechali do kościoła, a stamtąd wprost do domu Hillierów.

Peg i Orrin mieszkali o kilka mil na północ od Anoki, nad Rum River, na bardzo kosztownej, czteroakrowej działce porośniętej czerwonymi dębami. Przybrane w świeżą biel drzewa wyglądały nad wyraz strojnie. Czarne, sękate gałęzie, odcinając się ostro od śniegu, tworzyły nieruchomy, oszałamiający obraz, przywodząc na myśl rysunek piórkiem. Podjazd był długi, zakręcony, biegł pomiędzy dębami w stronę rozłożystego, parterowego domu z cegły w kolorze łososiowym.

Fotografia tego budynku była kiedyś opublikowana w czasopiśmie „Better Homes and Gardens”. Z całego tego miejsca, zarówno z wnętrza domu, jak i jego otoczenia, promieniowała klasa i dobry smak. W trakcie budowy, która była prowadzona na zamówienie, Peg Hillier osobiście wybierała każdy detal i drobiazg, pomagając nie tylko budowniczym, ale także dekoratorce z Minneapolis, której klientelę stanowili urzędnicy korporacji 3M, lekarze z Kliniki Mayo oraz członkowie Orkiestry Stanu Minnesota.

Kiedy Lee dotarła tam wraz z dziećmi, Peg osobiście otworzyła im drzwi. Pomimo lekko zaokrąglonego brzuszka nadal była idealnie zadbaną kobietą.

- Moi kochani. Wszystkiego dobrego z okazji święta. - Kiedy wymieniali pocałunki i uściski, balansując w powietrzu ciastem oraz potrawką, pojawił się Orrin. Odebrał ich płaszcze, po czym rozpoczęły się kolejne uściski.

- Popijamy sobie w pracowni - powiedziała Peg - więc idźcie prosto tam.

- Musiałam się zatrzymać po drodze, żeby kupić lody - oznajmiła Lee - ale karton był brudny. Umyję tylko ręce i zaraz do was dołączę.

W łazience, wokół wanny w kształcie liścia koniczyny, stały dzbany z suchymi gałązkami oraz wielkie kosze pełne czarnych i białych ręczników. Myjąc ręce, Lee słyszała śmiech Sylvii oraz odgłosy powitań. Otworzyła szufladę, znalazła szczotkę swojej matki i

przeciagnęła nią po włosach. Rozległ się dzwonek u drzwi. Przyszedł kolejny gość, więc przy wejściu znowu odezwało się kilka głosów, które po chwili odpłynęły w stronę pracowni.

Marnie, maleńka wnuczka Sylvii, przebiegła przez hol. Weszła do łazienki, stukając w kafelki lakierkami.

- Cześć, ciociu Lee - powiedziała.

- Cześć, Marnie!

- Mam nową sukienkę! - Sukieneczka była obramowana koronką i miała suto marszczoną spódniczkę.

- Ooo, jest bardzo ładna!

- Mamusia kazała mi wysiąkać nos. - Dziewczynka stanęła na paluszkach, ale nie mogła dosięgnąć pudełka z chusteczkami, które stało na szafce z umywalką, więc Lee jej pomogła. Dziecko przez cały czas paplało... o swoich nowych białych rajstopach, o tym, że mamusia zabrała dla niej zimowe spodenki i buty, żeby potem mogła pobawić się z braćmi na śniegu.

W końcu Lee zgasiła światło. Wyszły obie z łazienki.

- Chcesz zobaczyć kwiaty? - zapytała Lee. Dziewczynka przytaknęła, podając jej rączkę.

Przeszły przez hol, do którego właśnie wchodziła kolejna ciotka z wujkiem, po czym ruszyły na tyły, gdzie mieściła się jadalnia, a obok niej pokój dzienny. Widok, jaki roztaczał się z tych pomieszczeń, był największą zaletą domostwa. Cała wschodnia ściana usadowionego wysoko ponad rzeką budynku wykonana była ze szkła. Rozciągający się za nią pejzaż zapierał dech w piersiach, zwłaszcza gdy tak jak dzisiaj woda kłębiła się pomiędzy lesistymi brzegami pełnymi wiewiórek i sójek, które przydawały im akcentów, jakich żadna dekoratorka, bez względu na swoje umiejętności, nie potrafiłaby zapewnić.

Stoły - dwa, zestawione razem - nakryte nieskazitelnym, lśniącym obrusem, ustawiono pod łukiem łączącym oba pokoje, wyłożone bardzo jasną szarobrazową wykładziną, wypełnione mnóstwem prostych, funkcjonalnych mebli z białą tapicerką. Na białym adamaszkowym obrusie rozstawiony był serwis z bawarskiej porcelany, wybrany przez dekoratorkę z myślą o dopełnieniu tradycyjnego wystroju.

Jeżeli było coś, czym Peg mogła się szczycić, to właśnie dobry smak.

Marnie płaśała w kółko, trzymając się za zgiętą w kolanie nóżkę i dotykając oparcie krzesła. Była zbyt mała, aby te wszystkie wspaniałości, połyskujące w świetle, które padało z długich, jasnych okien, robiły na niej jakiegokolwiek wrażenie.

Lee przyjrzała się kwiatom. Doprawdy wydawały się godne stołu Peg Hillier. Ruszyła

wzdłuż pomieszczenia. Minawszy kilka nakryć, stwierdziła, że jej matka jak zwykle zadbała o każdy szczegół. Kto dziś, oprócz Peg Hillier, używał jeszcze karteczek z nazwiskami?

- Ty zrobiłaś ten bukiet? - zapytała Marnie, nadal podskakując na jednej nóżce.

- Tak, ja.

- Ładny.

- Dziękuję.

Dziewczynka pomknęła dalej. Lee po raz ostatni spojrzała na kwiaty, po czym ruszyła w stronę radosnej paplaniny, dobiegającej z pracowni. Był to obszerny frontowy pokój. W kominku z mosiężnym ekranem, płonął wesoły ogień. Członkowie rodziny siedzieli na kanapach z brązowej skóry bądź stali grupkami, gawędząc z ożywieniem, jak to zwykle bywa w porze powitań. Stojąca obok okrągłego stolika Peg nalewała chochelką gorącego jabłeczniaka do kryształowej szklanki; potem włożyła do niej laseczkę wanilii i podała napój...

Christopherowi Lallekowi!

Lee poczuła, że jej twarz oblewa się rumieńcem, a pierś ścisła stalowa obręcz.

Chris wziął z rąk Peg szklankę oraz serwetkę i podziękował z uśmiechem. Unosząc napój do ust, odwrócił się w stronę Janice, która stała obok ze szklanką jabłeczniaka w dłoni. Powiedziała coś do niego, a Chris zaśmiał się, pociągając kolejny łyk. Spodnad brzeżka swojej szklanki dostrzegł wreszcie oniemiałą Lee, która ciągle jeszcze tkwiła w drzwiach. Z nich dwojga to właśnie on zdołał zachować zimną krew. Kiedy, nie przestając się uśmiechać, opuścił szklankę i powiedział do Janice: - O, jest twoja mama - nikt by się nie domyślił, że pomiędzy nim a panią Reston istnieje jakiegokolwiek napięcie.

Lee ruszyła ku niemu; cóż innego mogła zrobić?

- Mamo, dlaczego nie powiedziałaś, że Christopher też tu będzie? - zapytała Janice z ożywieniem, odwracając się do niej.

- Myślałam, że ma służbę.

- Okazało się, że dopiero o trzeciej - powiedział Chris, po czym pochylił się, i pocałował ją w policzek. - Wszystkiego dobrego z okazji Święta Dziękczynienia, pani Reston. Cieszę się, że jednak udało mi się przyjść.

- Ja także - odparła, przyznając w głębi serca, że mówi szczerze, Boże, jakże za nim tęskniła. To ona zażądała, aby się rozstali, ale z czasem zaczęła uważać, że to życzenie, którego nie sprowokowały przecież uczucia, jakie do niego żywiła, było jedną z największych pomyłek w jej życiu. Powiedziała mu kiedyś, że nie czuje się samotna, a potem, wczoraj, oświadczyła Sylvii coś wręcz przeciwnego. Teraz zdawała sobie sprawę, że samotność rozpoczęła się w chwili, kiedy on pojawił się w jej życiu, a potem został z niego usunięty.

Chris miał na sobie spodnie z szarej wełny, białą koszulę, kwiecisty niebieski krawat i wspaniały granatowy sweter z szalowym kołnierzem. Był ładnie zbudowany, sprawny, schludny i wiedział, jak nosić ubranie. Tak rzadko widywała go w czymkolwiek poza mundurem albo dżinsami. Latem rzecz jasna nosił szorty, ale dzisiejszy strój sprawił, że jego wygląd wzbudził w Lee uczucia, jakich nie doświadczała od czasu śmierci Billa.

To był po prostu pociąg seksualny, w najczystszej postaci, i Lee przyznała się do tego po raz pierwszy.

Patrzyła na Chrisa stojącego pośród jej rodziny. Każdy go znał. Wszyscy lubili. Ale jaka byłaby ich reakcja, gdyby zaczęła się z nim umawiać? Naprawdę umawiać.

Janice promieniała. Stała obok Chrisa, raz po raz podnosząc na niego pełen uwielbienia wzrok i rzucała jakieś uwagi, które co chwila skłaniały go do śmiechu. Raz dotknęła go, co prawda tylko przelotnie, ale Lee wiedziała, jakiego rodzaju uczucia kobiety wyrażają takimi muśnięciami. To był flirt, choć bardzo delikatny. Przyglądając się ich rozmowie, musiała przyznać, że stanowią piękną parę. On - zadbany trzydziestolatek, okaz zdrowia. Ona - dwudziestotrzyletnia dziewczyna, z ciemnymi, falującymi włosami i doskonałą cerą, bez jednej zmarszczki w kącikach ust lub oczu, w pełnym rozkwicie młodości. Boże na wysokościach, Lee nie potrafiła tego pojąć. Skąd mogło się wziąć takie dziwaczne zauroczenie? Dlaczego ona? Dlaczego nie Janice, nieporównanie bardziej odpowiednia?

Peg zawołała z kuchni, że potrzebuje pomocy, więc Orrin poprosił kilka kobiet, żeby napełniły kieliszki winem i przyniosły półmiski, a sam pomógł pokroić indyka i wydobyć z niego nadzienie.

Krążąc wokół stołu z karafką wina w dłoni, Lee dostrzegła to, co wcześniej umknęło jej uwagi: karteczkę z nazwiskiem Christophera leżącą pomiędzy miejscem jej i Janice.

Nie pytając go o zdanie, poszła do lodówki, znalazła sok z żurawin i naląła mu go do kieliszka.

Dzięki starannie wykaligrafowanym przez Peg karteczkom, podczas siadania do stołu było znacznie mniej zamieszania niż zazwyczaj. Christopher, znalazłszy się pomiędzy dwiema paniami Reston, uprzejmie podsunął im krzesła, a dopiero potem sam zasiadł na swoim.

- Połączmy teraz wszyscy nasze dłonie i pomódlmy się - powiedział Orrin.

Splecione ręce utworzyły pierścień wokół stołu. Po lewej stronie Lee miała Joeya, po prawej Christophera. Jego dłoń była gładka i ciepła, jej dłoń, tak często chwytająca kolczaste lodygi, tak często zanurzająca się w chlorowanej wodzie, była szorstka i sucha. Przez chwilę

myślała właśnie o tym, ale w większym stopniu uświadamiała sobie, że ten ciepły, mocny uścisk łączy nie tylko ich dłonie, że przepływa między nimi jakiś prąd.

Orrin pochylił głowę.

- Dobry Boże, w Dniu Dziękczynienia wszyscy zgromadzeni wokół tego stołu składają Ci dzięki za zdrowie, pomyślność i szczęście. Dziękujemy za Twą szczodrość i prosimy, abys otaczał nas opieką w nadchodzącym roku. Prosimy Cię także, abys objął opieką Grega, którego nie ma w tym roku wśród nas, ale który jest z Tobą... - Lee poczuła, że palce Christophera zaciskają się mocniej na jej dłoni i odwzajemniła uścisk. - ... oraz abys pomógł każdemu z nas pogodzić się z jego nieobecnością i nie podawać w wątpliwość powodu, dla którego powołałeś go do siebie. W nadchodzących miesiącach obdarz, Panie, siłą zwłaszcza Lee, Janice i Joeya. Póki w przyszłym roku o tej samej porze nie zbierzemy się znowu... dzięki Ci, Panie, za wszystko. Tylko kilka osób uniosło głowy zaraz po modlitwie. Christopher też nie puścił dłoni Lee; trzymał ją jeszcze przez chwilę pod obrusem, patrząc na łzy, które kręciły się w jej oczach pod spuszczonej powiekami.

- Cieszę się, że tu jestem - szepnął, po czym raz jeszcze uściskawszy jej dłoń, puścił ją. Och, ten obiad. Ten wspaniały, okropny, pełen napięcia obiad z Christopherem siedzącym tak blisko, że czuła zapach jego swetra, że dotykała jego rękawa, że wciąż obserwowała jego dłonie manipulujące sztuczkami. A przy tym przez cały czas udawała, że to wszystko nie ma żadnego szczególnego znaczenia. Jej niezwykłą małomówność rodzina przypisała zapewne modlitwie Orrina, choć wszyscy pozostali dość szybko przyszli po niej do siebie i zaczęli trąkotać.

Lee nie chciała, żeby reszta biesiadników zaczęła komentować jej nastrój, więc zmusiła się do zagadnięcia Christophera.

- W twoim kieliszku jest sok z żurawin - wyjaśniła.

- Dziękuję.

- A więc masz dziś środkową zmianę. - Tak. Od trzeciej do jedenastej.

- Dużo będzie pracy?

- Dzisiaj tak. Mnóstwo dzieciaków z college'ów przyjeżdża na weekend do domów i zbiera się w barach. A wiesz: dzieciaki plus alkohol...

Zerkając z ukosa, Lee zobaczyła jak Chris odstawia na bok talerz z połową porcji ziemniaków z sosem.

- A co u ciebie? - zapytał. - Jutro będzie ruch, co?

- Zgadza się, największe zakupy w ciągu całego roku. Jutro i w sobotę. Nie bardzo mi się do tego spieszy.

- A potem przedświąteczna gorączka.

- Już się zaczęła. W naszej branży trzeba zacząć przygotowywać bożonarodzeniowe stroiki tak, żeby były gotowe na weekend po Święcie Dziękczynienia.

Rozmawiali wyłącznie o drobiazgach, unikając mówienia o tym, co było dla nich naprawdę ważne. Janice i Joey siedzieli tuż obok, mogli słyszeć każde słowo, więc zachowywali się jak przyjaciel Grega i matka Grega.

O drugiej Chris spojrzął na zegarek, po czym powiedział do Peg: - Przepraszam, że wpadłem jak po ogień, ale za pół godziny muszę być na odprawie, ubrany jak glina. - Odsunął krzesło i wstał, przytrzymując krawat. - A to znaczy, że muszę jeszcze wpaść do domu.

Peg wydawała się rozczarowana. - Tak szybko? Nie zjadłeś jeszcze placeka.

- Za chwilę pękne. Może ktoś zje mój kawałek.

- Zapakuję ci.

- Och, nie, to nie jest konieczne. Wszystko było takie pyszne. Ciągnęli ten dialog jeszcze przez chwilę. Chris ruszył ku drzwiom, a Peg wstała, żeby jednak zapakować mu placek, nie zważając na jego uprzejmą odmowę. Orrin również się podniósł, natomiast pozostali goście pożegnali Christophera od stołu. Po chwili wstała także Lee. Przeszła do holu, gdzie jej ojciec podawał gościowi szary wełniany płaszcz i kraciasty szalik. Gdy Chris je założył, z kuchni wyszła Peg z trójkątną foliową paczuszką.

- Oto twój placek. W Święto Dziękczynienia obiad bez placeka z dynią po prostu się nie liczy. Lee to upiekła.

- Dziękuję - powiedział Chris. - Widzę, że Lee musi każdego gościa czymś obdarować. Dziękuję za kolejne cudowne święto. - Pocałował Peg w policzek, uściśnął dłoń Orrina, po czym pocałował w policzek także Lee.

Ona zaś otworzyła mu drzwi, mówiąc: - Pa.

- Pa. I jeszcze raz dziękuję.

Wsparta dłonią o uchylone drzwi, patrzyła, jak idzie po mokrym asfalcie w stronę swojego explorera, zaparkowanego nieco dalej, na kończącej podjazd pętli. Podmuch wiatru uniósł koniec jego szala. Chris otworzył furgonetkę i odwrócił się, żeby jej pomachać. Zawsze machał w ten sposób na pożegnanie. Kiedy znowu zobaczyła ten gest, poczuła przypływ pełnej ciepła zażyłości.

Jak zwykle, z chwilą jego odjazdu dzień stał się cichy i bezbarwny.

Lee została z dziećmi do wpół do siódmej, kiedy to jej córka oświadczyła, że chce wrócić do domu, aby się przebrać. Miała tego wieczoru wyjść gdzieś z przyjaciółmi.

Po powrocie Joey i Lee przebrali się w domowe rzeczy i usiedli przed telewizorem.



Janice włączyła radio w łazience i zaczęła poprawiać makijaż i uczesanie. Wpół do dziewiątej wpadły po nią Jane i Sandy. Lee z Joeyem oglądali powtórkę jakiegoś starego świątecznego filmu.

Piętnaście po dziewiątej zadzwieczał dzwonek.

Spojrzawszy na wyciągniętego na sofie Joeya, Lee stwierdziła, że jej syn śpi jak suseł.

Wstała z fotela i poszła otworzyć.

Na schodkach przed wejściem zobaczyła Christophera. Był w mundurze; za nim, na podjeździe, stał jego wóz patrolowy z włączonym silnikiem i światłami postojowymi.

Otworzyła drzwi, a on je przytrzymał, przyglądając się Lee ubranej w szlafrok i pantofle.

- Chcę z tobą porozmawiać - powiedział. Bez uśmiechu, bez przymilania się, po prostu stwierdzając fakt. - Czy mogłabyś wyjść na chwilę do samochodu?

- Joey jest w domu.

- No to powiedz mu, dokąd idziesz i wyjdź, proszę.

- Nie możemy porozmawiać w domu?

- Nie, nie przy Joeyu.

Nagle wszystko zaczęło w niej dygotać. Jakież on był nieugięty w tej sprawie, jak usilnie dążył do konfrontacji, którą ona starała się odwlec na dziesiątki sposobów.

- Dobrze - powiedziała. - Wezmę tylko kurtkę. - Otworzyła schowek na płaszcze, po czym zawołała w stronę pokoju: - Joey, przyjechał Christopher. Wychodzę na chwilę do jego samochodu, żeby porozmawiać.

Chłopak odwrócił się na lewy bok, twarzą do oparcia kanapy, i coś zamruczał. Telewizor grał dalej.

Lee ruszyła w stronę wozu patrolowego. Chris otworzył jej drzwi od strony pasażera i zaczął czekać, aż wsiądzie. W samochodzie działała dmuchawa, więc było ciepło. Pomiedzy ich siedzeniami niczym barykada piętrzyła się cała masa sprzętu. Przy lewym kolanie Lee stał karabin, lufą do góry. Głośnik, zamontowany na tablicy obok wielkiego radia mrugającego czerwonymi światłkami, skierowany był w stronę fotela kierowcy. Za drewnianym uchwytem na kubek, który przyczepiony był do fotela, tkwiło pionowo kilka notesów. Przód auta oddzielony był od tyłu szklaną przegrodą, za którą widniała stalowa siatka.

Chris wsiadł, zatrzasnął drzwi, po czym ściszył radio, w którym trzeszczał bezustannie głos rejonowego dyspozytora. Zdjął czapkę i wepchnął ją za głośnik. Wreszcie, wsparłszy się nadgarstkiem o kierownicę, spojrzął na Lee.

Przez chwilę panowała pełna niepewności cisza, a potem odezwali się jednocześnie.

- Tych kilka ostatnich tygodni... - powiedział on.

- Przykro mi z powodu... - powiedziała ona. Oboje przerwali.

Lee pierwsza podjęła przerwane zdanie: - Przykro mi z powodu tego zaproszenia na Święto.

- Nie o to chodzi. Doskonale rozumiem, dlaczego nie zadzwoniłaś.

- To był egoizm z mojej strony. Przepraszam.

- Przeprosiny przyjęte. A teraz pozwól, że powiem to, co przyjechałem powiedzieć. - Rozparł się w fotelu, patrząc przed siebie, na wrota jej garażu, które przynajmniej dzisiaj były zamknięte. - Te ostatnie tygodnie były paskudne. Nie podoba mi się to, że nasze sprawy pozostały w takim zawieszeniu. Byłem przygnębiony, a ty?

- Samotna. - Lee także patrzyła na wprost, przez przednią szybę. Chris odwrócił się, by spojrzeć na jej profil, który mgliście rysował się na bladej poświacie deski rozdzielczej. Światelka radia kładły się rubinową mgłą na jej rzęsach i różowiły policzki. Jej usta zdradzały smutek.

- Znam wszystkie powody, dla których nie powinniśmy się nadal widywać, ale kiedy je zsumuję, wychodzi na to, że to wszystko niewiele znaczy. Prawda jest po prostu taka, że chcę cię znowu widywać. Poza tym, postawmy sprawę jasno, nie przychodzę tu po lazanie, która została z obiadu, ani po współczucie, ani żeby zastępować ci syna. Chcę, żebyśmy byli razem bez tego bagażu pomiędzy nami, ale pracuję dzisiaj na popołudniowej zmianie, więc pora jest kiepska. Najbliższy wolny wieczór mam w niedzielę. Czy pójdziesz ze mną do kina?

- A co powiem Joeyowi?

- Powiedz mu prawdę.

- Och, Chris, nie mogę tego zrobić.

- Dlaczego?

- Wiesz dobrze dlaczego.

- Nie wahałaś się, kiedy latem trzeba mu było powiedzieć, że idziemy na spacer albo popływać, albo przejechać się na diabelskim młynie.

- Różnica polega na tym, że wtedy najczęściej szedł z nami.

- Nie. Różnica polega na tym jak ty to odbierasz, nie na tym, co on sobie pomyśli. Jeżeli mu powiesz, że wychodzisz ze mną, on to zaakceptuje. Po prostu mu powiedz, otwarcie i szczerze.

- Boję się - odparła Lee.

Chris sapnął z rozdrażnieniem, wsparł łokieć na krawędzi okna, uszczyptał się w dolną wargę i odwrócił wzrok w lewo.

- Po prostu się boję! - powtórzyła Lee, spuszcżając nieco z tonu.

- Taa, to bardzo przerażające, pójdźcie do kina - powiedział Christopher, odwracając ku niej twarz. Jego głos nabrał nagle stanowczości. - Nie próbuj nic z tego robić. Powiedz mu po prostu: „Idziemy z Chrisem do kina. Na razie”, a potem ze mną wyjdź.

Lee myślała nad tym przez chwilę, po czym, dziwiąc się sama sobie, wyraziła zgodę: - Dobrze, powiem.

Wyglądało na to, że jego też zaskoczyła.

- Naprawdę? - zapytał z niedowierzaniem.

- Tak, naprawdę.

Chris podkreślił gałkę radiotelefonu, choć Lee wcale nie usłyszała słowa „bravo”, hasła wywoławczego policjantów z Anoki.

- ... zgłasza pojazd jadący pod prąd południowym pasem Main.

- Czterdzieści jeden do bazy - powiedział Chris, zdjąwszy mikrofon z tablicy rozdzielczej. - Odnotowaliście, czy chodzi o Zachodnią, czy Wschodnią Main?

- O Wschodnią.

- Dziesięć cztery - potwierdził przyjęcie zgłoszenia, po czym zwrócił się do Lee: - Muszę jechać.

Gdy otworzyła drzwi auta, we wnętrzu zapaliło się światło. - To widzimy się w niedzielę.

- Zadzwoń ci o której.

- Dobrze. Wysiadła.

- Hej, Lee?

Pochyliła się, zaglądając w głąb samochodu.

- Świetny placek. Zjadłem w czasie przerwy. Lee uśmiechnęła się i zatrzasnęła drzwi.

W niedzielny wieczór nie miała się czym martwić. Janice wróciła do siebie późnym popołudniem, a Joey snuł się apatycznie po domu. W końcu zadzwonił do młodego Whitmana, po czym obwieścił: - Wybieram się do Denny'ego, pograć w gry wideo. Podwieszysz mnie?

- Jasne - powiedziała Lee. Nieoczekiwanie wszystko stało się całkiem proste, nawet jej przygotowania do wyjścia.

Mając do dyspozycji cały dom, zaczęła się wahać, co na siebie włożyć, ile czasu poświęcić na makijaż, czy użyć perfum czy też nie. Boże drogi, po raz pierwszy od dwudziestu sześciu lat wybierała się na randkę. Była przerażona!

Włożyła dzinsy (chcąc pomniejszyć wagę tego wydarzenia) i wciągany przez głowę

sweter, zrobiła ten sam makijaż co każdego zwykłego dnia i użyła tej samej co zwykle ilości perfum. Włosy? No cóż, włosy miała jakie miała. Potrząsnęła nimi, wspominając długą, młodzieńczą grzywę Janice. Znowu zaczęła się zastanawiać, jak mężczyzna w wieku Christophera może przedkładać ją nad jej córkę.

Przyjechał dokładnie o umówionej porze. Lee pobiegła mu otworzyć z dziwnym uciskiem w piersiach, może odrobinę się rumieniąc. Zachodziła w głowę, w co też się, u licha, pakuje.

Chris miał na sobie dzinsy i puchową kurtkę. Okazywał znacznie mniej podniecenia niż ona.

- Cześć - powiedział, wchodząc do środka i zamykając drzwi barkiem. - Gotowa?

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym najpierw zadzwonić do Joeya. Jest u Denny'ego Whitmana, grają w gry telewizyjne. Nie jestem pewna, czy mam go przywieźć do domu, czy nie.

- W porządku.

Podczas gdy ona wykręcała numer i rozmawiała z synem, Chris wszedł za nią do kuchni. Chodził w kółko, klepiąc się po udzie skórzanymi rękawiczkami. Zerknął na stojącą na piecu szklaną formę do ciasta z resztką brzoskwiniowego deseru, popatrzył na kartkę z napisem „Odebrać zegarek od jubilera”, przyklejoną do drzwi lodówki. Pochylił się nad stołem i przeczytał zawiadomienie o dyżurach nauczycieli, które Joey przyniósł ze szkoły.

Oczywiście słyszał, jak Lee mówi: - Idę z Christopherem do kina, ale powinniśmy wrócić około wpół do dziesiątej - a po krótkiej przerwie wyjaśnia: - „Firma”.

Patrzył na nią, celowo słuchając, jak odpowiada na pytanie Joeya, który chciał wiedzieć, co zamierzają obejrzeć.

Porozmawiała z synem jeszcze przez chwilę, po czym odłożyła słuchawkę.

- Ojciec Denny'ego przywiezie go do domu - powiedziała. Na całe szczęście Christopher powstrzymał się przed uwagami typu „a nie mówiłem”.

Przy wejściu podał jej kurtkę, potem otworzył jej drzwi do samochodu... zupełnie jak na prawdziwej randce.

W czasie filmu siedział wtulony w fotel, z rękoma na bocznych oparciach. Chwilami ich łokcie stykały się. Gdy w pewnej chwili dwoje aktorów całowało się na ekranie, żadne z nich nie odrywało oczu od tej sceny, zastanawiając się intensywnie, o czym w tej chwili myśli drugie.

Potem, w samochodzie, zapytał ją: - Podobało ci się?

- Tak. A tobie?

- Nie tak bardzo jak książka.

- Och, to było lepsze niż książka.

Dyskutowali przez całą drogę do domu. Kiedy tam dotarli, dom wyglądał tak samo, jak Lee go zostawiła. Sypialnia Joeya była z drugiej strony domu, więc nie wiedzieli, czy chłopak już wrócił.

- Wejdiesz na deser brzoskwiniowy i lody? - zapytała Lee. - Pewnie.

Wysiedli z auta i weszli do domu.

- Joey? Jesteś w domu? - zawołała, zdejmując kurtkę. Żadnej odpowiedzi.

Lee rzuciła kurtkę na fotel w salonie, po czym zajrząwszy do jego pokoju, stwierdziła, że jest tam ciemno. Kiedy wróciła do kuchni, Christopher zdążył już powiesić swoją kurtkę na oparciu krzesła.

- Nie ma go jeszcze. Wie, że jeśli nie chce mieć kłopotów, musi być w domu przed dziesiątą. - Było za piętnaście. Wyjęła dwie miseczki, nałożyła do każdej deser i wstawiła je do kuchenki mikrofalowej, po czym sięgnęła do zamrażarki po lody. Próbowała wygarnąć je z pojemnika, lecz choć napinała mięśnie, zmrożona masa nawet nie drgnęła.

- Może ci pomóc? - zapytał Chris. Podała mu łyżkę i otworzyła szufladę, by poszukać łyżeczek.

Rozległ się brzęczek kuchenki. Lee podstawiała miseczki, zaczekała, aż Chris nałoży do nich lodów, a potem przeniosła je na stół. On w tym czasie schował resztę lodów do zamrażarki.

Zrobili to wszystko niemal nie ocierając się o siebie.

Usiedli. W domu panowała zupełna cisza - nie grało radio ani telewizor, Joey nie kręcił się w pobliżu.

Lee wzięła łyżeczkę i wbiła ją w deser, potem uniosła wzrok, aby stwierdzić, że Christopher przygląda się jej uważnie, siedząc nad swoją porcją nieruchomo, z nadgarstkami wspartymi o brzeg stołu.

- Miejmy to już za sobą - powiedział, po czym odstawił deser, wyjął miseczkę z dłoni Lee i przyciągnął ją do siebie, wokół narożnika stołu. Pozwoliła mu posadzić się na kolanach, objąć i pocałować. Od samego początku nie było żadnego przekomarzania, niczego nie udawali. Pocałunek był w pełni erotyczny, mokry, intensywny. Chris odchylił głowę do tyłu i otworzył usta, dotykając jej zębów i języka. Lee otoczyła jego szyję ramionami, poddając się temu... poddając... aż serce zdawało się rozsadzać jej żebra, aż prawie nie mogła oddychać. Napawali się smakiem swych ust i dotykiem ciał w sposób, który każde z nich wyobrażało sobie wiele razy, w splocie śliskich języków i wilgotnych warg. Minęła minuta, potem dwie.

Chris uniósł ją na swych kolanach, przegiął w bok i pochylił się nad nią, aż splekli się razem, niczym dwa powalone przez burzę drzewa.

Potem powoli, z ociąganiem, rozluźnił uścisk, ich ciała rozplotły się, a jej twarz znowu znalazła się wyżej niż jego. Ich usta rozłączyły się, ale pozostały blisko siebie. Oddychali z wysiłkiem. Ręce Chrisa nadal obejmowały ją lekko.

To on odezwał się pierwszy. Głos z trudem przechodził mu przez gardło: - Nie byłem pewien, czy zdołam przełknąć te brzoskwinie, jeśli się z tym nie uporam.

- Ja także - odparła, schodząc mu z kolan, aby wrócić na swoje krzesło.

Podnieśli łyżeczki, po czym każde zjadło kawałek ciepłego deseru z zimnymi lodami. Powietrze wydawało się duszne, jakby było za mało tlenu jak na ich potrzeby. Lee podniosła wzrok i zobaczyła, że Chris ją obserwuje. Trzymając łokcie na stole, wyjmował właśnie łyżeczkę z ust. Dziewięć lat, w trakcie których pozbawiona była fizycznej miłości, spadło na nią nagle niczym pejcz, owinięło się wokół jej ciała, wytrąciło jej łyżeczkę z dłoni, zwlokło ją z krzesła i pchnęło z powrotem ku niemu.

To stało się tak szybko. W jednej sekundzie siedziała sobie bezpiecznie, a już w następnej stała nad nim, trzymając jego twarz w dłoniach, unosząc ją ku sobie, aby podjąć na nowo to, co przed chwilą przerwali. Później, nie przerywając pocałunku, przełożyła nogę ponad jego zgiętymi kolanami, chcąc na nich usiąść, ale zahaczyła biodrem o kant stołu. Chris obrócił swe krzesło, odstawiając je nieco od stołu i dopiero wtedy usiadła na nim okrakiem.

Opuścił ręce, przyciągając ją do siebie. Lee pieściła go, całowała ciepłe, jędrne wargi, a jego dłonie, obejmujące jej uda od spodu, sunęły coraz niżej, prawie po zgięcie kolan. Pili nawzajem ze swych ust słodycz brzoskwiń i lodów, czuli gładkość swych splecionych języków i warg, które ocierały się o siebie w bezustannym poszukiwaniu. Tak długo to odkładali, że ten pocałunek wydawał im się teraz wspólną nagrodą. Jednakże robili to wszystko akurat na wprost drzwi wejściowych, więc w głowie Lee przez cały czas dudniła myśl: „Nie przychodź jeszcze, Joey, proszę cię, jeszcze nie!”

Kiedy już wszystko w niej oszalało, oderwała się od niego jak pijana, zdając sobie sprawę, że musi wstać.

- Nie mogę...

Otwarte usta Chrisa stłumiły jej słowa. Jego ręce znowu przytwierdziły ją do miejsca, w którym siedziała. Odchylił plecy od oparcia krzesła. Tak długo szukali różnych wymówek, że teraz poznawali się nawzajem z rozkoszną ulgą, dając upust swoim uczuciom. Ona zapomniała o tym, że Chris jest tak młody, bo w takim zbliżeniu wiek nie miał żadnego znaczenia. On nie pamiętał o tym, ile ona ma lat, bo to nigdy nie obchodziło go w takim

stopniu jak ją. Całując się, byli po prostu mężczyzną i kobietą, a przy tym tak bardzo do siebie pasowali.

Choć niechętnie, przerwali jednak pocałunek.

Ich usta rozłączyły się, ale oczy nie chciały tego zrobić. Siedzieli oczarowani sobą, oszołomieni, oddychając ciężko. Dłonie Chrisa nadal gładziły jej uda, odziane w niebieskie dżinsy.

- Joey może przyjść - szepnęła Lee, po czym powoli zdjęła nogę z jego kolan. Przez chwilę jeszcze trzymał prawą dłoń na jej kolanie, póki nie cofnęła się z ociąganiem, wracając na swoje krzesło.

Każde z nich usiadło przed swoim deserem, otoczonym teraz kałużą roztopionych lodów. Lee uniosła łyżeczkę i patrzyła, jak biała ciecz ścieka powoli z jej czubka. Spojrzała na Chrisa.

- Wiesz, ile czasu minęło, odkąd to robiłam?

- Nie, ale chcę wiedzieć.

- Dziewięć lat.

- Żartujesz? To nie jest normalne. Lee wzruszyła ramionami.

- Nie całowałaś się z nikim, odkąd zmarł twój mąż?

- Całowałam się, kilka razy, w jakiś rok po jego śmierci. Ale nigdy w ten sposób. Sprawdzałam po prostu, czy potrafię, ale potem miałam tylko ochotę pobiec do domu i umyć zęby.

- A teraz jak się czujesz?

- Czuję... jestem trochę przestraszona. Trochę zdziwiona. Ale mycie zębów jest ostatnią rzeczą, o jakiej bym teraz pomyślała.

Na twarzy Chrisa pojawił się uśmiech, ale zaraz, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, znikł, przytłoczony ciężarem tego, co się stało, tęsknotą ich ciał, które wołały o jeszcze, pewnością nieomal, że to dopiero początek. Siedzieli nieruchomo pośród tętniącej pustki tego domu, zapomniawszy o jedzeniu, patrząc na siebie w pełnym ukrytych znaczeń milczeniu.

Wreszcie Christopher odsunął się od stołu i rzekł: - Chyba lepiej już pójdę.

Jego głos, gardłowy od tłumionego napięcia, brzmiał obco. Wstał, wsunął ręce w rękawy kurtki, po czym zapiął ją do wysokości kieszeni. Wyjął rękawiczki, ale trzymał je w dłoniach, nie zakładając.

Lee, siedząc na brzeжку swego krzesła, pochyliła się do przodu. Położyła ręce na niebieskim materiale dżinsów ciasno opinającym jej uda i popatrzyła na niego.

- Dzięki za deser - powiedział Chris. - Przykro mi, że go nie dokończyłem. - Zerknął na swoje rękawiczki, potem znowu spojrzął na nią. - No, mówiąc szczerze, to tak naprawdę nie jest mi przykro.

Uśmiechnęła się do niego niepewnie. Wstała, a Chris ruszył wolnym krokiem w stronę wyjścia. Przy drzwiach odwrócił się do niej.

- Może chciałabyś coś zrobić... - urwał, jak gdyby miał zamiar wzruszyć ramionami. - Kiedyś. W tej chwili to trudne. Nasze plany zajęć zupełnie się nie zgadzają.

- Poczekajmy - odparła. - W sklepie będzie teraz duży ruch i aż do Bożego Narodzenia będziemy mieli otwarte do późna. Chyba zatrudnimy na ten okres kilka sezonowych ekspedientek, ale i tak nie bardzo wiem, do której będę musiała siedzieć w pracy.

- Jasne - powiedział Chris, zdając sobie sprawę, że trzeba postępować ostrożnie. Otworzył drzwi. - No cóż, zadzwonię.

- Tak, zadzwoń.

Ta ostrożność ponieważś powstrzymała ich przed pocałunkiem na pożegnanie. To, co zaszło na krześle w kuchni, kazało mu jeżeli nie uniknąć, to na pewno wycofać się i przemyśleć wszystko od nowa.



## ROZDZIAŁ 11

Okazało się, że zachowanie tajemnicy przychodzi Lee Reston z trudem. To, co zrobiła, zaskoczyło ją i poruszyło. Rozpaczliwie pragnęła porozmawiać z kimś, komu by ufała.

Przebiegała w myślach listę kandydatów. Sylvia? Sylvia, przy wszystkich swych zaletach, była zatwardziałą świętoszką. Nigdy nie rozmawiała o niczym, co tyczyłoby seksu. Ona i Barry byli małżeństwem nigdy nie okazującym sobie publicznie najmniejszej czułości. W ogóle okazują sobie tak niewiele miłości, że Lee często zastanawiała się, co oni robią w sypialni.

Matka? Matka zupełnie nie wchodziła w rachubę, absurdem było w ogóle o niej myśleć. Peg Hillier za najważniejsze uważała stosowne zachowanie, toteż opowieść o siadaniu na pierwszej randce okrakiem na kolanach młodszego o piętnaście lat mężczyzny, a do tego jeszcze na kuchennym krześle, mogła wywołać tylko jedną reakcję starszej pani - metaforyczne postawienie córki w kącie.

Janice? Och, *mea culpa, mea culpa*. Postępek Lee, zważywszy uczucia Janice do Christophera, z których się jej zwierzyła, był karygodny. Sama myśl o córce sprawiała, że Lee czuła się jak nierządnica. Jakaż z niej matka?

Więc może któraś z jej ekspedientek? Lecz przyjaźń po godzinach, zacierająca linię pomiędzy pracodawczynią a pracownicą, wydawała się jej niewskazana, ponieważ utrudniała kierowanie firmą w trudniejszych chwilach.

Gdyby tylko Joey był starszy. Niestety, jej syn był w wieku, kiedy dotknięcie biustonosza dziewczyny uważa się za grę wstępną. Minie jeszcze wiele lat, zanim będzie mogła swobodnie rozmawiać z nim o tym, jak to robią motylki.

Lloyd? Niewiele brakowało, a doszłaby do wniosku, że właśnie jej teść, Lloyd mógłby pomóc wyjść z tego jakże trudnego impasu, ale poruszanie tego tematu wobec ojca jej zmarłego męża byłoby jednak krępujące.

Jak na ironię, jedyną osobą, której ewentualnie mogłaby zaufać w tej intymnej materii, był sam Christopher, a w tej chwili uważała, że mądrzej będzie zachowywać wobec niego dystans. Odkryła, że coś, co powiedział w niedzielny wieczór, było zbyt prawdziwe, by mogła czuć się z tym dobrze: że tak długi okres spędzony bez pocałunku mężczyzny nie jest czymś normalnym. Teraz, kiedy złamała ten post, nęciło ją obżarstwo.

W pracy stała się roztargniona. Nazajutrz po randce z Chrisem dyskutowała z siostrą na temat ceny czerwonych goździków, która w okresie przedświątecznym stawała się niebotyczna. Sylvia powiedziała, że żałuje, że nie zamówiły ich więcej w ubiegłym miesiącu,

kiedy można było uzyskać największe upusty.

Lee otrząsnęła się z zamyślenia, uświadamiając sobie, że siostra zadała jej jakieś pytanie.

- Och, przepraszam. O co chodzi?

Sylvia przyglądała się jej uważnie, ze zmarszczonym czołem. - Lee, u licha, co się z tobą dzisiaj dzieje?

- Nic. Co powiedziałaś?

- Zapytałam, czy nie uważasz, że powinnyśmy wynająć kilka uczennic ze szkoły średniej do cięcia i pakowania gałązek na święta?

- Oczywiście. Świetny pomysł. Dlaczego miałybyśmy płacić pensję kwiaciarce za taką prostą pracę. Och... wiesz co, Sylvio? - Lee przerwała, kierując całą swą uwagę na siostrę. Chciała jakoś rozproszyć jej troskę. - Zamów dużo pachnącego cedru, dobrze? Wiesz, bardzo lubię jego aromat.

- Dobrze się dziś czujesz? - zapytała Sylvia.

- Świetnie.

- To uważaj na to, co robisz. Włożyłaś właśnie do chłodni gałęzie choinek razem z goździkami.

Lee sprawdziła. Rzeczywiście było tak, jak powiedziała Sylvia. Stało tam wiadro zielonych gałązek, od których zapachu, gdyby zostały w tej samej komorze, goździki mogłyby zwiędnąć.

- Przepraszam - powiedziała z zakłopotaniem, wyjmując pojemnik.

Śniła na jawie o tym, że siada na kolanach Christophera i całuje go mocno, aż do bólu.

Minęły dwa dni, a on nie zadzwonił. Jej sklep mieścił się przy Main Street, komisariat policji zaś o jedną przecznicę od Main, na Jackson Street, co oznaczało, że czarno - białe samochody bez przerwy jeździły przed jej wystawą, mknąc do wezwań lub z nich wracając. Można było pomyśleć, że Lee rozwinęła w sobie jakiś szczególny zmysł, bo podnosiła głowę, ilekroć ulicą przejeżdżał wóz patrolowy. Zazwyczaj pomiędzy nią a oknem wystawowym stało kilka roślin, przez które nie mogła nic zobaczyć, ale czasami dostrzegała spoza nich samochód policyjny i wtedy wyobrażała sobie, że za kierownicą siedzi on. Bywało też, że auta przemykały obok z pulsującymi światłami i włączonymi syrenami, a wtedy jej serce zaczynało łomotać.

W tydzień po Święcie Dziękczynienia, kiedy podlewała jakieś kwiaty na wystawie, mignął jej za szybą czarno - biały wóz. Uniosła głowę i zobaczyła go wreszcie, jechał na patrol. Pomachał jej, ona pomachała jemu... po czym stała z zapomnianą konewką w dłoni,

patrząc na auto, które zniknęło już w głębi Main Street. Serce szalało jej w piersiach jak cyrkowy akrobata.

Zaledwie w kilka minut później na tyłach sklepu, obok kasy, zadzwonił telefon.

- Lee, to do ciebie - zawołała Sylvia.

- Dziękuję. - Lee odstawiła konewkę i podeszła do lady. - Halo?

- Halo - odezwał się Christopher. - Bardzo ładnie wyglądasz na tej wystawie.

Nie miała pojęcia, co powiedzieć, więc nie powiedziała nic, stała tylko jak manekin, próbując się nie rumienić.

- Ktoś jest w pobliżu, czy tak?

- Tak.

- Czy miewasz czasem wolne dni w środku tygodnia?

- Czasem. Teraz, w okresie przedświątecznym, kiedy mamy otwarte wieczorami, nieco częściej zmieniamy godziny pracy. A o co chodzi?

- O pomoc przy choince. Nigdy dotąd nie miałem drzewka, ale pomyślałem sobie, że w tym roku jakieś ustawię. Czy mogłabyś pomóc mi wybrać ozdoby?

- Kto dzwoni? - zapytała Sylvia.

- Christopher - odparła Lee, nie zasłaniając mikrofonu.

- Chce, żebym mu poradziła, jakie wybrać ozdoby na choinkę.

- Potem, już do słuchawki, zapytała: - A czy to nie mogłoby być wieczorem?

- Lee, jedną minutkę - przerwała Sylvia.

- Zaczekaj chwilkę, Chris - powiedziała Lee.

Wyraz twarzy jej siostry świadczył, że to, co chce powiedzieć, napęnia ją poczuciem winy. - Ja też muszę wziąć dzień wolny, żeby zrobić świąteczne zakupy. Rób, co sobie zaplanowałaś. Ja zastąpię ciebie, jeśli ty zastąpisz mnie. Zwariujemy obie, jeśli się stąd na chwilę nie wyrwiemy.

- O jakim dniu myślałaś? - zapytała Lee Chrisa.

- O jakimkolwiek. Ale jeżeli chcesz, żeby to był cały dzień, to mam wolne w najbliższy wtorek i środę.

- Wtorek? - zagadnęła Sylvie Lee, a gdy siostra kiwnęła potakująco, powiedziała: - Może być wtorek, Chris.

- Wpadnę po ciebie do domu o dziesiątej.

- Świetnie.

Kiedy odłożyła słuchawkę, Sylvia zaczęła biadolić: - Nie wiem, jak sobie dam radę ze wszystkim przed świętami. Co roku jest to samo. Chciałam z tobą porozmawiać o wolnym

dniu, ale wciąż był tutaj taki młyn, że nie miałam sumienia.

- A masz rację. Dostaniemy obie kota, jeżeli nie wyskoczymy gdzieś od czasu do czasu.

Tego popołudnia Lee zdała sobie sprawę z czegoś, co wcześniej nie przyszło jej do głowy. Ludzie nie komentowali tego, że wciąż gdzieś chodzi z Christopherem, bo widzieli w nim chłopca, a nie mężczyznę. Było wręcz nieprawdopodobne, żeby kobieta w jej wieku angażowała się w jakiegokolwiek romantyczne związki z trzydziestoletnim mężczyzną, więc nikt nie wystawił nawet czuzków. Co więcej, chodziło o przyjaciela jej syna. Być może widzieli w nim tego, kim był na początku: kogoś w rodzaju syna, żytego z całą rodziną i bardzo przez nią lubianego. Idea była prosta: familiarność w roli kamuflażu.

Trudno jej było pogodzić się z faktem, że w powszedni dzień, rankiem, zamiast pójść do sklepu, urządza sobie wagiary, stroi się w eleganckie rzeczy i czeka, aby iść się wygłupiać z mężczyzną, który sprawił, że przez ostatnie dwa tygodnie snuła rozważania godne nastolatki. A jednak tak właśnie było. Z lustra w łazience patrzyły na nią oczy jaśniejsze niż zazwyczaj, a kiedy nakładając makijaż zobaczyła kolor swoich policzków, zrezygnowała z różu. Już tyle lat minęło od chwili, gdy czuła ożywienie na myśl o spędzeniu z kimś czasu. Przyglądała się swojemu odbiciu, wyobrażając sobie, co by powiedział mężczyzna, gdyby zobaczył to, co ona teraz: kobietę w średnim wieku, dość zadbaną, dość przystojną, z prostymi, zupełnie prostymi włosami, odzianą w czarne dzianinowe spodnie, akwamarynowy golf oraz stebnowaną bluzkę z bawełny w czarno - żółto - niebieską kostkę. Zmartwiła się na myśl, że może ten strój jest zbyt młodzieżowy; uważała, że nic nie wygląda głupiej niż kobieta w jej wieku, która pozuje na osiemnastolatkę.

Generalnie jednak, wyjąwszy te rumieńce na policzkach, była z siebie zadowolona. Zgasiła światło w łazience.

Christopher przyjechał punktualnie. Lee nie była pewna, jak zareaguje na ich pierwsze spotkanie od czasu schadzki na kuchennym krześle, więc gdy eksplorator dojeżdżał do końca podjazdu, była już przed drzwiami domu. Załedwie Chris wystawił jedną nogę z auta, zobaczył, że Lee idzie ku niemu. Zaczekał na nią w otwartych drzwiach furgonetki. Doszedłszy do niej z przeciwnej strony, wsiadła do środka.

On również wsiadł i uśmiechnął się do niej. Boże, pomyślała Lee, nie pozwól mu nachylać się nade mną i całować mnie tutaj w biały dzień, na oczach wszystkich sąsiadów.

Chris nie zrobił tego.

- Dokąd jedziemy? - zapytał zawróciwszy.

- Lindstrom, Minnesota - odpowiedziała Lee.

- Lindstrom, Minnesota? - To było o godzinę drogi od Anoki.

- Jeśli chcesz.

- A co tam jest?

- Bożonarodzeniowy Świat Gustawa. Dwa urocze budynki z przełomu wieków, tuż przy głównej ulicy miasta, w których Boże Narodzenie trwa przez cały rok. Nie byłam tam od bardzo dawna, ale o ile pamiętam, każdy staje się tam dzieckiem, a poza tym są tam świąteczne ozdoby z całego świata. Sądzę, że to ci się spodoba.

Samochód ruszył. Lee czuła, że Chris nie odrywa od niej oczu. Posłała mu uśmiech, na który chyba czekał, bo zaraz potem zajął się kierowaniem.

Dzień sprzyjał ich planom. Niebo było szare, lecz gdzieś tam prześwitywały kryształowo czyste smugi. Szron, który przez noc nagromadził się na pniach drzew, spływał teraz po nich połyskującymi strużkami. Na poboczach sterty odgarniętego śniegu sięgały do kolan, a małe brzdące z szalikami na buziach zjeżdżały z nich na kawałkach niebieskiego plastiku. Z radia płynęła świąteczna muzyka; dmuchawa tłoczyła do wnętrza furgonetki stały strumień ciepłego powietrza.

Wyjechawszy za miasto, pomiędzy pola, ruszyli na wschód.

- Muszę kupić choinkę - powiedział Chris. - Jak myślisz, lepsza będzie sztuczna czy prawdziwa?

- Prawdziwa. Sztuczne są obrzydliwe. A poza tym wcale nie pachną.

- Lubisz zapach sosny?

- Uwielbiam. To moja ulubiona pora roku w sklepie, bo tak tam teraz pięknie pachnie. W każdej niemal wiązance, jaką robimy, są iglaste gałązki. Każdego dnia dostajemy nową partię. Przywożą je w wielkich pudłach, więc trzeba je przycinać na odpowiednią długość, ale kiedy się to robi, zwłaszcza gdy tnie się pachnący cedr, wrażenie jest niezapomniane. Cedr ma woń cytryny zmieszanej z sosną. I nigdy tego aromatu nie traci.

- Nie słyszałem nigdy o pachnącym cedrze. W ogóle nie wiem, co to jest.

- Dowiesz się, jak go powąchasz. Ale kupujemy też wiele innych gatunków: białą sosnę, balsaminę, jodłę, tuję, jałowiec. Z jałowcem pracuje się najgorzej. Okropnie niszczy ręce.

Chris zerknął na jej dłonie, ale miała rękawiczki.

- Sylvia po prostu nie chce nic z nim robić. Z tym, że ona nie robi tyłu wiązańek co ja. Ona jest handlowcem. Ja jestem kwiaciarką.

- Mówiła coś na temat naszego dzisiejszego wyjścia?

Ich oczy spotkały się na chwilę, po czym Chris ponownie skierował uwagę na szosę.

- Nie. Powiedziała tylko, że ona też potrzebuje wolnego dnia, żeby zacząć przedświąteczne zakupy.

Nie poruszali więcej tego tematu.

- Powiedz mi coś więcej o tym, co robisz na co dzień - poprosił Christopher.

Był jedną z tych nielicznych osób, które zadawszy pytanie, słuchają potem odpowiedzi. Kiedy Lee opowiadała o sklepie, zdała sobie sprawę, że jako matka trojga absorbujących dzieci, od wielu lat nie spotkała nikogo, kto by się naprawdę interesował jej codziennymi sprawami. To ona miała się interesować życiem Janice i Joeya, natomiast oni rzadko pytali o jej problemy.

Opowiedziała o zwyczajnym dniu w kwiaciarni: o czekaniu na klientów, projektowaniu wiązanek, wyrzucaniu starego towaru, myciu wiader, odbieraniu świeżych kwiatów, obrywaniu ich dolnych liści, o różnych sposobach hartowania roślin przed umieszczeniem w wiązance. Powiedziała mu, że połowa jej kwiatów pochodzi z Ameryki Południowej, gdzie pestycydy są używane znacznie swobodniej niż w Stanach, więc czasem martwi się, że jej organizm wchłania ich zbyt wiele poprzez dłonie. Wyjaśniła, że skóra rąk absorbuje je łatwiej niżby się można było spodziewać. Chris zerknął na jej dłonie, ale nadal miała na nich rękawiczki.

Opisała mu pudła, które przysłano z Kolumbii przez Miami, gdzie szukający kokainy agenci przebijali je metalowymi prętami, tak że kartony docierały na miejsce pełne dziur, jakby przeszły przez jakąś strzelaninę. Opowiedziała o radości, jaką daje uczestnictwo w targach, wspomniała o tym, że najbliższe odbędą się w styczniu w Minneapolis. Stwierdziła, że tej zimy interes idzie bardzo dobrze: otrzymali właśnie stałe zamówienie z kościoła metodystów na dostarczanie w każdą sobotę kwiatów ciętych za dwadzieścia dolarów. Tego rodzaju zamówienia to sam miód, ponieważ nie traciło się czasu na robienie wiązanek, a rachunki były zawsze regulowane w terminie. Powiedziała, że będą musiały wraz z Sylwią wynająć nową bukieciarkę, bo Nancy jest w ciąży i zbliża się termin rozwiązania. Chris zapytał, w jaki sposób można rozpoznać dobrą bukieciarkę, więc wytłumaczyła mu, że najlepiej po rękach. Te dobre nigdy nie pracują w rękawiczkach, a zamiast nożyczek używają noży. Dodała, że okres przedświąteczny jest szczególnie uciążliwy dla rąk ze względu na żywicę roślin iglastych i terpentynę, której trzeba używać do zmywania.

- Pokaż swoje ręce - poprosił Chris.

- Nie.

- Zdaje się, że masz coś do zarzucenia swoim dłoniom, a ja nigdy nie widziałem, żeby im czegoś brakowało.

- Są zawsze poplamione.

- Oto nowe oblicze Lee Reston - oświadczył Christopher, - wstydzi się własnych rąk.

- Zgadza się.

Chris nie ponowił prośby.

Podwórze sklepu Gustafa zdobiły drewniane renifery naturalnej wielkości z wierzbowymi girlandami na szyjach, ciągnące za sobą wstęgi w czerwono - zieloną kratę.

W środku pachniało morwą; wszędzie migotały światła, a kolędy rozbrzmiewały milionami tonów: szwajcarskimi dzwoneczkami, kurantami, dzwoneczkami od sań, pozytywkami. Sufity, ściany, podłogi, wszystko jak z filmów Disneya, zawałone były wystawionymi na sprzedaż świątecznymi ozdobami. Bombki i dzwonki, żołnierzyki i błyskotki, światełka na choinkę i ozdoby podwórkowe. Był także pokój z taką ilością miniaturowych, pomalowanych w różne kolory ozdóbek z drewna, że wyglądał jak sklepik w Oslo. W maleńkich fotelikach na biegunach siedziały lalki z porcelanowymi twarzami. Święci Mikołaje wszelkiego autoramentu, z rumianymi policzkami i figlarnymi oczyma, uśmiechali się do nich, stojąc barwnym szeregiem.

- Wesołych Świąt - powiedział ekspedient przebrany za pomocnika świętego Mikołaja.

- Wesołych świąt - odpowiedzieli mu jednocześnie.

- Proszę mi powiedzieć, gdybym mógł w czymś pomóc.

- Powiemy.

Zwiedzili wszystkie magiczne pokoje starego budynku.

Christopher znalazł brodę świętego Mikołaja i zaczepił ją sobie na uszach. - Ho, ho, ho! - huknął najniższym basem, na jaki umiał się zdobyć. - Czy byłaś grzeczna, dziewczynko?

- Niezupełnie - odpowiedziała Lee, rzucając mu szelmowskie spojrzenie. To słowo wymknęło się jej, zanim zdała sobie sprawę, jak bardzo jest kokieterijne.

Zdjąwszy brodę, Chris odwiesił ją z powrotem na ścianę. Lee czuła, że zaraz dotknie jej ramienia i powie coś intymnego o tym, co zaszło ostatnim razem. Aby go ubiec, przeszła do następnego pomieszczenia. Pospieszył za nią, a kiedy skręcił za róg, zobaczył, że stoi twarzą do drzwi, w białym czepku, przytulając do policzka białego pluszowego misia.

- A ja pod foinką fciałbym wnalesć tylko te dwa weby pfednie, co ich nie mam w gębie - zaśpiewała.

W chwilę później zobaczyła go z wielką skarpetą w dłoni. Trzymał ją wysoko, wskazując coś oczyma. Na czubku skarpety widniało imię CHRIS.

Potem znalazła parę najbrzydszych na świecie klipsów. Miały kształt choinkowych

świąteczek. Przyłożyła je sobie do uszu. - Czy uwierzysz, że naprawdę można je zapalić?

Wybuchnęła śmiechem. Lee odłożyła klipsy na miejsce.

Kiedy spojrzała na niego po raz kolejny, trzymał wysoko nad głową gałązkę jemioli i uśmiechał się prowokująco.

- Och, nie - oświadczyła tonem przygany. - Nic z tego. Nie w miejscu publicznym.

- A co? - zapytał z miną niewiniątka, rozglądając się dokoła. - Potrzebujesz kuchennego krzesła?

- Christopher - skarciła go szeptem.

Odłożył jemiolę na drewniane sanki, po czym podszedł do niej wolniuteńko. Stał tak, że nie mogła iść dalej.

- Drażliwy temat? - zapytał.

- Niezupełnie. Właściwie to tak, trochę. To znaczy, nie wiem. Po prostu jestem trochę zaskoczona tym, co zrobiłam.

- I żałujesz?

Powoli pokręciła głowę. Spojrzała na niego. Stali tak blisko siebie, że wystarczyłby najdrobniejszy ruch, a całowaliby się znowu, tutaj, w Bożonarodzeniowym Świecie Gustafa.

Potem wybrali dla niego ozdoby choinkowe - maleńkie kolorowe światełka, połyskujący złotem łańcuch, wielkie złożone dzwonki i szklane bombki, w których, gdy na ich przezroczystą powierzchnię padało światło, widać było płatki śniegu spływające cicho w dół. Kupili stojak pod drzewko, grubą czerwoną świecę, otoczoną wianuszkami z ostrokrzewu oraz pudełko długich cukierków na choinkę, które zafascynowały Chrisa. Twierdził, że nigdy dotąd czegoś takiego nie widział.

Kiedy zawlekli swą zdobycz do samochodu, zapytał: - Jesteś głodna? - Było już wpół do drugiej.

- Jak wilk.

Zerknął w lewo i w prawo, wzdłuż głównej ulicy miasta Lindstrom, w stanie Minnesota, po czym rzekł: - To przejdźmy się... zobaczymy, co się nam uda znaleźć.

Trafili do lokalu o nazwie Rainbow Cafe, gdzie podawano kawę w grubych białych kubkach, gdzie serwetki stały na stołach w metalowych stojakach, a miejscowi opowiadali dowcipy, siedząc nad kawą przy barze.

Lee zamówiła kanapkę, a Chris kazał sobie podać wołowinę na gorąco, oczywiście z całą górą ziemniaków i z sosem.

Kiedy już sobie podjedli, znaleźli tuż obok banku placyk, na którym sprzedawano choinki. Kupili dwie pachnące, zielone norweskie sosenki, które przymocowali na dachu



explorera, po czym ruszyli z powrotem do Anoki.

Przez długą chwilę, nawet wtedy gdy w kabinie zrobiło się już ciepło i przytulnie, jechali w milczeniu. Chris włączył cicho radio, a Lee wtuliła się w fotel, wspierając jedno kolano o deskę rozdzielczą. Zerknął na nią. Siedziała swobodnie, z rękoma splecionymi na brzuchu. Miała krótko obcięte paznokcie, a skóra na jej palcach była pełna plam i zadrapań. Ten widok sprawił, że wydała mu się bardziej rzeczywista.

- O której Joey wraca do domu? Spojrzała na zegarek, po czym odparła: - Mniej więcej właśnie teraz.

- A ty musisz tam wracać?

Jej głowa spoczywała na oparciu fotela. Lee odwróciła się, żeby na niego spojrzeć i przez następne pięć sekund pędzili drogą w milczeniu. Samochód podskakiwał na twardych resorach. Chris dostrzegł, że w którymś momencie po zakończeniu lunchu Lee zdążyła pomalować usta. Ona zauważyła, że jego włosy, podobnie jak jej, wyglądają wciąż tak samo. Po całym dniu spędzonym poza domem, po strząsaniu śniegu z choinek i przywiązywaniu ich na wietrze do dachu furgonetki, włosy nie spadały mu na twarz, były równie doskonałe jak zawsze. Uwielbiała wprost te włosy.

Czy musi wracać do domu?

- Nie - odpowiedziała.

Potem pomyślała, że on już wcale nie spojrzy na szosę. Zawiózł ją do siebie. Nacisnął guzik pilota otwierającego automatyczne drzwi, po czym wjechał do podziemnego garażu. Wrota z łoskotem zamknęły się za nimi.

- Może ty weźmiesz paczki, a ja drzewko - zaproponował, kiedy ustawił samochód na miejscu.

- Narobisz sobie bałaganu, jeżeli nie osadzisz go w stojaku tutaj, na dole - powiedziała Lee, kiedy odwiązał choinkę.

- Och, racja. - Był nowicjuszem w tych sprawach.

Osadzenie drzewka wymagało narzędzi, ale wszystkie miał w furgonetce. Po dziesięciu minutach był gotów. Lee otworzyła mu drzwi, a on wyniósł przez nie choinkę ze stojakiem. Kiedy stanęli przed jego mieszkaniem, podał jej klucze, mówiąc: - Oba zamki.

Otwierając drzwi, Lee myślała o tym, jak bardzo różni się pod tym względem od Christophera. Ona zostawiała drzwi garażu otwarte dniem i nocą, a często nie zamykała nawet domu, on - policjant - przywiązywał wagę do bezdusznych zamków.

Gdy znaleźli się w środku, Chris postawił choinkę i powiedział:

- Za moment wróć. Zdejmij kurtkę i czuj się jak u siebie. Wszedł do łazienki. Kiedy

wrócił, zobaczył, że Lee rozmawia przez telefon w kuchni.

- Cześć, kotku, tu mama.

- Och, cześć, mamó. Fajnie, że dzwonisz. Czy zostało jeszcze trochę tych zawijańców z mięsem, które były wczoraj na kolację?

- Są w lodówce, w kwadratowym pojemniku z żółtą pokrywą.

- To świetnie! Jezu, konam z głodu. W szkole na lunch były flaczki. Słuchaj, o której będziesz w domu?

Lee uniosła wzrok i zobaczyła, że Christopher stoi w drzwiach pokoju. Ssał choinkowego cukierka, przysłuchując się rozmowie. - Wróć przed ósmą. - Ich oczy spotkały się i pozostały wpatrzone w siebie.

- Dobrze, czyli nie muszę czekać z jedzeniem, prawda?

- Prawda. Odgrzej sobie rolady. I ziemniaki, jeśli masz ochotę. W lodówce jest kwaśna śmietana.

- Świetnie, to mi się podoba.

- No to widzimy się około ósmej, tak?

- Tak, pewnie, chyba że pójdę do Sandy.

- Ale w domu przed dziesiątą, proszę pana, zrozumiano? Była w stanie wyobrazić sobie jak jej syn przewraca oczyma.

Zaczynał się ostatnio zżymać na tę godzinę. - Tak jest, zrozumiano.

- No, to pa! Kiedy odłożyła słuchawkę, Christopher zapytał: - Wszystko gra?

- W porządku. Miał na lunch flaczki, ale wygląda na to, że przeżył tę ciężką próbę.

Chris zachichotał. - Chodź, pomóż mi się zdecydować, gdzie to mam postawić.

Ponieważ popołudnie było mroczne, zapalili lampy, włączyli radio i zaczęli przyglądać się umeblowaniu pokoju dziennego.

- Jak myślisz, gdzie? - zapytał Chris.

Zrobili miejsce na wprost przesuwanych szklanych drzwi, po czym ustawili kanapę na samym środku pokoju, przodem do okna. Efekt był niesablonowy, ale choinka wyglądała z tego miejsca wspaniale, a ponieważ sprzęt stereofoniczny stał przy ścianie za kanapą, dźwięk również dochodził wspaniale.

- Co najpierw? - zapytał Chris, rozpakowując paczki z zakupami.

- Lampki - wyjaśniła Lee, a kiedy zaczął wyciągać je z pudełek, zagadnęła: - Christopher, czy naprawdę nigdy nie robiłeś tego w domu?

- Nigdy - odparł, całkowicie pochłonięty swym zajęciem. Usłyszała w jego głosie szorstkie tony i uznała, że nie jest to pora na niemiłe wspomnienia.

- Włącz je najpierw, żebyś widział, co robisz. Myślę, że najlepiej zacząć od czubka, a potem schodzić coraz niżej. Jak tam cukierek?

- Aromatyczny. Poczęstuj się.

Drzewko miało sześć stóp wysokości, więc Chris dekorował górne gałęzie, a Lee dolne, przy czym każde ssało po twardym, podłużnym cukierku. Założywszy lampki, wyjęli połyskującą girlandę. Z głośników płynęła sentymalna piosenka Kenny Rogersa o pewnym małżeństwie, które bawi się w Wigilię w świętego Mikołaja. Lee podała Christopherowi jeden koniec łańcucha, mówiąc: - Zaczynj od czubka - po czym sarn zaczął oplatać górne gałęzie, podczas gdy ona robiła to samo z dolnymi. Sunąc tak od jednej gałązki do drugiej, znalazła się nagle przy Chrisie. Kiedy usiłowała przejść pod jego wyciągniętą ręką, złocista girlanda wsunęła się jej do ust. Lee chciała się uwolnić, ale skutek był taki, że zaczepiła ją tylko o swój golf, wyrrywając połyskującą ozdobę z rąk Chrisa i z ostatniej gałęzi, na której zdołał ją zaczepić.

- Och, popatrz, co narobiłam. Przepraszam.

- Hej, teraz więcej jest tego na tobie niż na drzewku.

Lee uniosła głowę. Do szminki na jej wargach przykleiło się jedno złociste włókienko, które połyskiwało jak okruch spadłej gwiazdy.

- Nie ruszaj się - powiedział Chris, wyciągając dłoń, aby je usunąć. Włókienko przywarło do lśniącej szminki, więc musiał pod ważyć je paznokciem, Lee, z rozchylonymi wargami, unosząc wzrok ku jego twarzy, stała nieruchomo jak posąg. Zwlekali z tym przez cały dzień. Dopóki przebywali w miejscach publicznych, byli parą odpowiedzialnych, trzeźwo myślących, panujących nad zmysłami dorosłych. Unikali ognistych spojrzeń, dotknięć, intymnych uwag oraz dziesiątków innych rzeczy, na jakie mogłoby sobie pozwalać dwoje zdrowych, pełnokrwistych, zauroczonych sobą ludzi. Ale jej usta były rozchylone... a on dotykał ich palcem... a pocałunki sprzed dwóch tygodni przez cały czas wypełniały ich myśli... a chropawy głos, który do nich docierał, śpiewał o największym podarunku, jaki można otrzymać.

Chris pochylił głowę i przywarł do jej ust tak delikatnie, że na głowie Lee nie drgnął ani jeden włos. Złoty łańcuch wypadł mu z dłoni i wylądował na podłodze w połyskujących splotach, niczym przepaska porzucona przez anioła. Stali tak chwilę, ledwie dotykając się wargami, nachyleni lekko ku sobie, aż wreszcie Lee, cofnąwszy się odrobinę, wsparła się na jego piersi, aby odzyskać równowagę. Chris otworzył oczy, ujął jej dłoń i uniósł ją do ust, by pocałować zniszczone palce.

Patrząc jej prosto w oczy, powiedział cicho: - Skończmy najpierw to.

Dokończyli dekoracji drzewka nie dotykając się więcej. Podawali sobie uprzejmie kolejne ozdoby, w pełni świadomi, że jest dopiero szósta.

Kiedy już wszystkie świecidełka wisiały na choince, a cała podłoga usłana była świątecznym śmieciem, Lee przyklęła, żeby pozbierać opadłe igły, tekturowe pudła i kawałki celofanu. Chris zgasił światło, podszedł i położył jej dłoń na głowie.

- Zrobię to jutro. Chodź tutaj. - Widząc jej wahanie, pochylił się i przesunął dłonią po jej ręce, żeby zmusić ją do odstawienia tekturowego pudła pełnego sosnowych igieł.

- Chodź - szepnął znowu, a potem, podniósłszy ją z ziemi, poprowadził w stronę kanapy.

Usiadł, przyciągając ją ku sobie. Poducha ugięła się. Lee osunęła się lekko na niego, a on objął ją w talii, przechylił głowę, po czym ofiarował im obojgu jedyny prezent gwiazdkowy, jakiego w tej chwili pragnęli. Pieścił jej wargi, przesuwał językiem po jej języku i wymazywał całą tłumioną tęsknotę tego dnia, a także poprzednich dni i nocy, podczas których leżeli bezsennie każde w swoim łóżku, zastanawiając się, kiedy znowu do tego dojdzie. Cieszyli się tą najśłodszą z chwil, a ich pocałunek o smaku choinkowego cukierka trwał... i trwał... i trwał.

Gdy otworzyli oczy, ujrzeli czerwone, zielone, niebieskie i złote światełka, które pstrzyły kolorowymi plamami ściany, meble, ich ubrania i włosy.

- Możemy teraz o tym porozmawiać? - zapytał Chris, nie zdejmując ręki z jej talii.

- O czym porozmawiać? - szepnęła.

- O tym, jak się czujemy od tamtego wieczoru. O tym, co czuliśmy przez cały dzisiejszy dzień. O tym, co przed chwilą sprawiło, że nie chciałaś wstać z kolan i przyjść tutaj.

Minęła chwila, zanim Lee odważyła się to nazwać.

- Poczucie winy.

- Z jakiego powodu?

- Z powodu tego, co zrobiłam na tym kuchennym krześle.

- Nie zrobiłaś nic takiego.

- Czyżby?

- Nie powinienem dziś robić sobie żartów na ten temat. Przepraszam. Nie wiedziałem, że tak bardzo się tym przejmujesz.

- Zastanawiałam się, jak by na to spojrzeli inni - moja matka, córka, siostra. Chyba nazwałyby to uwiedzeniem.

- To dotyczy nas obojga.

- Ale ja jestem o piętnaście lat starsza od ciebie.

- Więc nie wolno ci okazywać swoich uczuć?

- Zaszokowałam samą siebie.

- Mnie także zaszokowałaś, ale byłem zachwycony.

- To trwało tak długo, wiesz, i nagle nie mogłam się powstrzymać przed pocałowaniem cię. Nie mogę się powstrzymać... przed leżeniem tutaj. Miałaś rację, to nie jest normalne obywać się tak długo bez... takiego fizycznego kontaktu. Minęły już dwa tygodnie od chwili, kiedy pocałowaliśmy się na tym krześle, a ja przez cały ten czas nie byłam w stanie myśleć o niczym innym.

- I dlatego czujesz się winna.

- Oczywiście. A ty nie?

- Nie. Jesteś kobietą. Ja jestem mężczyzną. Nie widzę powodu, żeby czuć się winnym.

- Chodzi chociażby o nasz wiek.

- Domyślałem się, że zaczniesz o tym.

- Druga sprawa to mój długi post. Sądzę, że kobiety mogą robić bardzo głupie rzeczy, kiedy po całych latach obywania się bez tych spraw jakiś młodszy mężczyzna poświęca im trochę uwagi.

- Więc jestem dla ciebie tylko tym... ? Młodszy mężczyzną, poświęcającym trochę uwagi?

- Nie, wiesz dobrze, że nie.

- To skąd ten wielki problem? Całujemy się tylko.

- Byłeś przyjacielem Grega.

- Dzisiaj jego imię padło po raz pierwszy. Wiesz o tym? Nie wiedziała. Dojrzał to w jej oczach.

- Słuchaj, tylko nie obwiniaj się znowu. To normalne, że spędzamy ze sobą cały dzień i myślimy tylko o tym, żeby się dobrze bawić. Co do mnie, myślę, że raczej nam się to udało.

- Udało się. Było cudownie.

- To znamienne, że ani razu nie wspomnieliśmy o Gregu, nie uważasz?

- Tak, uważam. Ale od jego śmierci minęło dopiero sześć miesięcy, więc może... może...

- No, śmiało, powiedz. Może ciągle jeszcze powoduje tobą żal, a to wszystko jest jego częścią.

- Cóż, może tak właśnie jest.

- Może. Ale może wcale nie. A jeśli nawet, to co? Rozmawiamy o tym, niczego nie

kryjemy. Jeżeli właśnie tym kieruje się któreś z nas, to wkrótce się przekonamy. Blask przygaśnie i nie będziemy już tak bardzo chcieli ze sobą przebywać. Choć osobiście uważam, że tak się nie stanie.

- Dlaczego?

- Bo Janice się w tobie durzy.

- Wiem o tym.

Lee uniosła głowę z jego ramienia.

- Wiesz?

- Wiedziałem o tym od dawna.

- I nadal chcesz to ze mną robić?

- Nigdy, w najmniejszym stopniu, nie zachęcałem jej do niczego. Możesz ją zapytać.

- Nie muszę - powiedziała Lee, kładąc głowę z powrotem. - Sama mi to wyznała.

- No więc widzisz. Masz jeszcze jakieś problemy?

- Ty to traktujesz tak po prostu.

- To jest proste. Wszystko czego chcę, to poleżeć tu sobie trochę, całując cię i ciesząc się moją pierwszą choinką, no i może jeszcze sprawić, żebyśmy oboje czuli się przez chwilę nieco mniej samotni. To całkiem proste. - Jego głos stał się miękki, uwodzicielski. - To tylko moje usta... - Przynal się bliżej. - ... na twoich.

Jakie on miał niewiarygodne usta. Jak wspaniale potrafił ich używać, kiedy ssal jej wargi i poruszał głowę, zachęcając ją, aby zrobiła to samo. Całował ją tak, jak nie była całowana od czasów narzeczeństwa, przeciągle, soczyście, powoli i zmysłowo, jak gdyby chciał powiedzieć: Skoro się tak umówiliśmy, to zrobmy to dobrze. Te słodkie pochlebstwa nie pozostawały bez echa. Lee uwolniła się od wszelkich myśli i pozwoliła, żeby zmysłowość wciągnęła ją do swego matecznika. Poddawała się jego przewodnictwu, nurzała się w nim i w jego smaku. Długie, wilgotne pocałunki spletały ciaśniej ich ciała. Chris uniósł kolano, a Lee zrobiła mu na nie miejsce pomiędzy swoimi nogami, przyjmując z radością jego mocny, zdecydowany nacisk.

- Mmm... - wydał z siebie pełen zadowolenia pomruk. Przesunął rękę wyżej, gładząc jej plecy kolistymi ruchami. Dotykał jej karku, ramion, sunął otwartą dłonią wzdłuż kręgosłupa aż po talię.

Już tak dawno nie leżała obok mężczyzny, nie dopasowywała się do niego, nie czuła brzuchem, jak budzi się w nim samiec. Tyle czasu minęło, odkąd dotykała rękoma twardych, muskularnych ramion, odkąd gładziła krótkie, sprężyste włosy. Te jego włosy - ach - tak odmienne w dotyku od jej włosów, kiedy wsunęła w nie palce, poczuła ich zapach,

specyficzny, indywidualny zapach, który już zawsze miała wiązać z jego osobą.

Było tak, jak powiedział - czuła się tak cudownie, że zupełnie nie miała ochoty tego przerwać. Jego wilgotne wargi oderwały się od jej ust i zaczęły błąkać się po twarzy, obsypując ją pocałunkami - policzki, brwi, linię włosów, nos. Zwilżał jej skórę, czasem znacząc ślad koniuszkiem języka. Przycisnął usta do jej szyi, jego język zatoczył trzy małe kółeczka, budząc zapach perfum, którymi spryskała się rano.

Wreszcie uniósł głowę.

Spojrzawszy z bliska w jego oczy, Lee zobaczyła w nich odbicie trzech choinkowych lampek.

- Dobry w tym jesteś, wiesz? - mruknęła.

- Ty także.

- Odrobina treningu.

- Chcesz jeszcze trochę potrenować?

- Z radością... ale ręka mi drętwieje. - Od piętnastu minut Chris leżał na jej ramieniu.

- Mogę to naprawić - powiedział, po czym przeturlał się na nią, wsunął jej rękę pod plecy i przesunął ją po kawałeczku, aż leżała pod nim równiuteńko, na samym środku kanapy.

Patrzyli sobie w oczy, szukając w nich przyzwolenia.

- Lee, mówiłem poważnie - szepnął Chris. - Tylko pocałunki, jeżeli nie chcesz niczego więcej.

- To, czego chcę, i to, na co sobie pozwolę, to dwie - różne rzeczy. Pocałował ją w usta. Unosząc się lekko na łokciach, zgiął nogę tak, że jego kolano dotykało jej biodra.

Gdy pocałunek się skończył, objęła rękami jego szyję i przyciągnęła go do siebie.

- Och, Christopher - westchnęła. - Tak mi z tobą dobrze, że mogłabym tu zostać przez całą noc.

- Dobry pomysł - odparł. - Ja mam zadzwonić do Joeya, czy ty to zrobisz? Wybuchnęła śmiechem, lecz jej brzuch nie był w stanie się unieść pod jego ciężarem.

- Śmieć się jeszcze - poprosił stłumionym głosem, tuż przy jej uchu. - To wspaniałe.

Ona jednak znieruchomiała. Zamknawszy oczy, rozkoszowała się tymi chwilami bliskości, świadomością, że wciąż jest godna pożądania, że znowu tuli się do mężczyzny.

- Lee? - szepnął jej w ucho Chris.

- Co? - mruknęła, leniwie przeczesując palcami włosy na jego karku. Uniósł głowę, a potem oparł się na łokciach. - Obiecuj mi, że nic będziesz już próbowała tych sztuczek, co podczas Święta Dziękczynienia.

- Przepraszam cię za to - powiedziała.
- Chcę spędzić z tobą Boże Narodzenie.
- Spędzisz, obiecuję. Ale co mamy robić, żeby się to wszystko nie wydało?
- Zaufaj mi. Jeszcze kilka tygodni temu nie wiedziałas, co do ciebie czuję, prawda?
- Miałam pewne podejrzenia.
- Kiedy? - zawołał, jakby chciał oskarżyć ją o kłamstwo.
- Dawno temu, już Czwartego Lipca.
- Czwartego Lipca!

- Kiedy siedzieliśmy obok siebie, jedząc prażoną kukurydzę. I kiedy wpadliśmy na siebie w trakcie gry w siatkówkę. I na diabelskim młynie. Kobiety na ogół wyczuwają takie rzeczy wcześniej niż mężczyźni.

- Dlaczego nic nie powiedziałaś?
- Nigdy bym nie powiedziała, gdybyś ty najpierw czegoś nie powiedział.
- Dlaczego?

- Z tych wszystkich powodów, o których rozmawialiśmy wcześniej: różnicy wieku, ze względu na to, co powiedzą moje dzieci, a także dlatego, że jesteśmy oboje w żałobie i łatwo zranić nasze uczucia. Jest tyle powodów, że zaczynam się teraz zastanawiać, czy jestem przy zdrowych zmysłach.

Trzymając łokcie tuż przy jej ramionach, przyłożył kciuki do dołeczków w jej policzkach i leciutko je nacisnął. Patrzył, jak jej wargi krzywią się w wymuszonym grymasie, a potem, gdy cofnął kciuki, znowu się rozluźniają. Patrzył w jej oczy, pełne szczęścia, pomimo tego co mówiła.

Kiedy się odezwał, w jego głosie wyczuwało się szczerłość. - Wszelkie matczyne obsesje, jakie miałem w związku z tobą, to już przeszłość. Wierzysz mi?

Spojrzała w jego twarz, na której nie było teraz śladu uśmiechu. Zadrzała. Jakiś głos w jej wnętrzu ostrzegał, że jeśli utracą kontrolę nad tym, co rozpoczęli, może to w końcu zranić ich oboje. Uniosła głowę, aby go pocałować. Raz. Szybko.

- Tak. A teraz muszę iść.
- Dlaczego?

- Bo to mi się za bardzo podoba. Bo ty mi się za bardzo podobasz. Czuję się zbyt dobrze, za wiele radości mnie dziś spotkało i wszystko zaczyna mi się mieszać. - Wpatrywał się w nią uważnie, jakby rozważał pilnie każde jej słowo. - I jeszcze z tego powodu, że boję się tego, co rozpoczęliśmy. A ty nie?

Po raz kolejny zastanowił się głęboko, zanim odpowiedział: - Nie, ja nie. Nie tak jak



ty. - Potem zszedł z niej, wstał i, trzymając ją za obie dłonie, pomógł się podnieść. - Chodź.  
Zawiozę cię do domu.

## ROZDZIAŁ 12

Następnej soboty Lee zamknęła sklep o dziewiątej wieczorem. Miała za sobą wyczerpujący dzień, który w większości spędziła na nogach. Popyt na wiązanki ze świeżych kwiatów ciętych stał się tak wielki, że postanowiła wraz z Sylvią już teraz zatrudnić dodatkową bukieciarkę i zatrzymać ją później, kiedy po świętach Nancy zakończy pracę. Nowa pracownica miała na imię Leah. Pochodziła z Azji. Wniosła do firmy „Absolutely Floral” świeżość oraz nowe podejście do układania bukietów. Jej wiązanki były proste, częstokroć asymetryczne i oszalamiające. Lee przez dziesięć minut przyglądała się jej pracy, a gdy porozumiała się z Sylvią oczyma, wiedziała, że to ktoś, kogo szukały. Zaproponowały jej dziesięć dolarów za godzinę, kiedy zażądała dwunastu, zgodziły się na jedenaście, przekonane, że robią dobry interes.

Jednak mimo dodatkowej pracy, pomimo dodatkowych dostaw, które Rodney przywoził codziennie, ledwie nadążały z przygotowywaniem poinsecji dla kościołów, stroików na świąteczne stoły oraz wiązanek okolicznościowych, zamawianych zarówno przez osoby prywatne, jak i przez firmy. Tego dnia miały ponadto trzy śluby, no i jeszcze taką masę klientów w sklepie, że Lee musiała wezwać na kilka godzin Joeya, aby pomógł pakować rośliny i wynosić je do samochodów, wyrzucać śmieci, myć wiadra, czyścić gabloty i zamiatać podłogę na zapleczu, gdzie przygotowywano wiązanki. Zatrzymała go do piątej, po czym dała mu piętnaście dolarów oraz całusa w charakterze podziękowania. Chłopak ruszył ku drzwiom, mówiąc: - Wybieramy się gdzieś dzisiaj całą paczką, więc nie będzie mnie w domu, kiedy wrócisz.

Było piętnaście po dziewiątej. Lee dotarła do domu niemal zupełnie wyczerpana. Bolały ją stopy, bolały ją nogi, zacięła się w rękę scyzorykiem i to także bolało. Musiała chwycić tak wiele gałązek jałowca, że całe dłonie miała czerwone i spuchnięte. Od miażdżenia młotkiem zdrewniałych łądyg rozboleła ją głowa. O tej porze roku oraz w okolicach świętego Walentego to dudnienie rozlegało się przez cały czas; odgłosy dobiegające z jej sklepu przywodziły na myśl warsztat stolarski, a nie kwiaciarnię. Kiedy usiadła w ciszy domu, nieobecność tego dźwięku wydała się jej nie tyle słyszalna, co wyczuwalna.

Przerzuciła płaszcz przez krzesło w kuchni, a sama opadła na drugie i zaczęła przeglądać pocztę. Była zbyt zmęczona, żeby otworzyć dwie koperty, które leżały w skrzynce pośród rozmaitych rupieci. Ziewnęła, patrząc z roztargnieniem na kartkę Joeya leżącą na czerwonej, kraciastej serwecie, obok donicy z kwiatami. „Mamo, idziemy całą paczką pograć

w kręgle, a potem wybieramy się do Karen Hanson, trochę się powyglupiać. Będę w domu około 10.30. Jego godzina policyjna zaczynała się o dziesiątej. Był okres przedświąteczny, chłopak bez protestów przyszedł pomóc jej w sklepie. Postanowiła tym razem potraktować go ulgowo.

Odrzuciła sobie puszkę zupy pomidorowej Campbella: przelała ją do kubka, po czym zaniósła parujące naczynie do łazienki. Napelniwszy wannę, zanurzyła się w niej aż po pachy. Siedziała pochylona do tyłu, od czasu do czasu, kiedy jej się przypomniało, pociągała łyk zupy. Głównie jednak drzemała, pozwalając kubkowi kołysać się na swym kolanie.

Ocknęła się, kiedy zupa popłynęła jej po nodze, barwiąc wodę na pomarańczowo. Usiadła z jękiem, umyła się, wytarła i upudrowała całe ciało, po czym założyła ciepłą, miękką piżamę. Przeszła do salonu, zapaliła jedną lampę, włączyła telewizor i otulona pledem położyła się na kanapie, aby poczekać na Joeya.

W jakiś czas potem ocknęła się przestraszona. Spała tak mocno, że przez chwilę nie wiedziała, która jest godzina, jaki dzień i co się dzieje. Na ekranie Raymond Burr głądził coś w starej powtórcie Perry'ego Masona. Był sobotni wieczór. Czekwała na Joeya. Była godzina... Lee zerknęła na zegarek...

Za dziesięć dwunasta!

Usiadła, odrzucając pled. Serce łomotało jej wściekle po tym nagłym przebudzeniu. Poczula, że ogarnia ją lęk o syna. Nigdy się nie spóźniał! Nigdy! Może o dziesięć czy piętnaście minut, odkąd zaczęły w nim szaleć hormony, a na scenie pojawiła się Sandy Parker.

Skoro go nie było, coś musiało się stać.

„O Boże, tylko nie to! Tylko nie następne dziecko!” Ta myśl przemknęła przez jej mózg, któremu wciąż jeszcze brakowało tlenu po jej nagłym poderwaniu się z pozycji leżącej. Pochyliła się do przodu, a potem znowu usiadła, aby odzyskać równowagę. Była równie pewna tego, że nie wrócił do domu, jak tego, że nie żyje. Raz jeszcze to samo co z Gregiem i z maleńkim Grantem. O Boże, trzecie dziecko, a teraz zostało jej już tylko jedno. Ogarnęła ją panika, zerwała się z kanapy i pobiegła do jego pokoju, aby stwierdzić, że jest pusty. Łóżko było zmiętoszone, ale wciąż jeszcze zasłane od rana, na podłodze, obok pary hantli i pojemnika z płytami kompaktowymi leżały robocze ubrania chłopca, te, które miał na sobie dzisiaj.

- Joey! - krzyknęła, odwracając się z obłędem w oczach. Pobiegła w stronę kuchni. - Joey, jesteś tu?

Nad piecem nadal paliło się światło, tak jak je zostawiła. W zlewie nie było naczyń,

nie było widać żadnych śladów myszkowania.

- Och, Boże... Boże... - jęknęła z rozpaczą. Porównała godzinę na swoim zegarku z tą, którą wskazywał zegar kuchenny. - Gdzież on może być?

Była już północ, kiedy wykręciła numer komisariatu policji w Anoce. Nie 911, pod którym zgłosiłby się okręgowy dyspozytor, tylko bezpośredni numer komisariatu na Jackson Street.

Odebrała jakaś kobieta. Lee z wielkim trudem opanowywała panikę w głosie.

- Mówi Lee Reston. Jestem matką Grega Restona, to znaczy byłam matką Grega Restona. Wiem, że to brzmi głupio, ale mój czternastoletni syn, Joey, gdzieś zniknął. To znaczy, nie wrócił do domu na czas, a on zawsze jest punktualny. Zawsze. Zastanawiam się tylko, czy przypadkowo nie było... no wie pani... jakichś doniesień... jakiejś wiadomości o nim... czegokolwiek.

- Dobry wieczór, pani Reston. Mówi Toni Mansetti. Przykro mi. Nic takiego nie ma. Ale oczywiście dam o tym znać przez radio funkcjonariuszom, którzy pełnią dyżur.

- Nie! - zawołała Lee, nie wiadomo dlaczego sądząc, że póki to jest nieoficjalne, Joeyowi nic się nie stanie. Potem dodała ciszej: - Nie. Pewnie coś go po prostu zatrzymało i lada moment wróci do domu. Poszedł gdzieś z grupą kolegów, więc zapewne wszystko w porządku.

- Nazywa się Joey i ma czternaście lat?

- Tak.

- Mogłaby mi pani go opisać?

- Och, nie, nie. Nie chcę... jemu nic... proszę o tym zapomnieć.

- Jest pani pewna?

- Tak. Ja... dziękuję pani, Toni. Na pewno zjawi się lada moment.

Odłożywszy słuchawkę, Toni Mansetti przeszła do pokoju patrolowego, ale nie było tam żadnego z dyżurujących policjantów. W okresie przedświątecznym przestępczość zawsze się nasilała, a już najgorzej było w sobotnie wieczory.

Samobójstwa, włamania, rabunki i całe mnóstwo narkotyków. Częstokroć zdarzały się domowe awantury z różnych śmiesznych powodów: z czyją rodziną spędzić święta, kto wydał zbyt wiele na gwiazdkowe prezenty, kto z kim flirtował w czasie świątecznego przyjęcia urządzanego przez firmę. Brak gotówki, alkohol oraz samotność sprawiały, że telefon 911 odzywał się znacznie częściej niż o jakiegokolwiek innej porze roku. Gdy Toni Mansetti zajrzała do pokoju patrolowego, nie zastała żadnego z pięciu funkcjonariuszy, którzy pełnili dziś dyżur.

Wróciwszy do radiostacji, wezwała Ostrinskiego, który krążył po mieście. Zgłosił się natychmiast.

- Pete, mówi Toni. Miałam właśnie telefon od matki Grega Restona. Była trochę wystraszona, powiedziała, że jej czternastoletni syn nie wrócił jeszcze do domu z jakiegoś spotkania nastolatków, ale nie chciała, żebym ogłosiła, że zaginał. Na wszelki wypadek miej oczy otwarte, dobrze?

- Dziesięć - cztery. Toni, czy Lallek jeszcze tam jest?

- Nie, skończył służbę o jedenastej i zaraz potem wyszedł.

- Zrób mi grzeczność, dobrze? Zadzwoń do niego do domu i powiedz mu o tym. Jest zaprzyjaźniony z tą rodziną, więc myślę, że chciałby o tym wiedzieć. On, tak samo jak wszyscy, ma kłopoty z zaśnięciem po zejściu ze środkowej zmiany. Chyba nie będzie jeszcze spał.

- Przyjęłam, Pete. Zadzwoń.

Chris położył się już do łóżka, lecz nie spał jeszcze, gdy zadzwonił telefon. Przewrócił się na bok, po czym, namacawszy w ciemnościach słuchawkę, powiedział: - Taa.

- Chris, tu Toni, z komisariatu. Mieliśmy właśnie telefon od matki Grega Restona z wiadomością, że jej czternastoletni syn, Joey, zaginał. Rozejrzemy się za nim, ale Ostrinski sądził, że chciałbyś o tym wiedzieć.

Christopher stał już obok łóżka. Naciągając przewód słuchawki sięgał po swoje rzeczy: - Co dokładniej wiadomo?

- Powiedziała tylko, że wyszedł z grupką przyjaciół i nie wrócił do domu o godzinie, którą podał. Odłożyła słuchawkę, zanim zdążyłam wydobyć z niej rysopis. Wyglądało na to, że wpadła w panikę.

- Ma jakieś pięć stóp i siedem cali, krótkie, kasztanowate, lekko falujące włosy, nie nosi okularów, prawdopodobnie ma na sobie czerwoną kurtkę z białymi rękawami, bez żadnych napisów. Jest bardzo podobny do Grega. Adres domowy: 1225 Benton Street. Przekaż to przez radio, dobrze, Toni? I dzięki, że zadzwoniłaś. Zaraz tam pojadę. Ona się zamartwi na śmierć.

- Chcesz, żebym tam wysłała patrol?

- Na razie nie. Zadzwoń, jeśli będzie potrzeba.

- Przyjęłam. Powodzenia, Lallek.

Christopher nie należał do ludzi, którzy się modlą, ale w tej chwili przez jego umysł przeleciała modlitwa skierowana do Lee Reston: „Trzymaj się, Lee. Jadę już, jadę. Nic mu nie będzie. On nie zginał, tak jak tamta dwójka, ale wiem, przez co przechodzisz, więc trzymaj

się, maleńka, póki tam nie przyjadę i nie pomogę ci przez to przejść”.

Kiedy jechał do jej domu, lekceważąc wszelkie zasady ruchu, jakich się kiedykolwiek nauczył, czuł, jak jego serce łomocze ze strachu. Wiedział, co Lee teraz czuje.

Piętnaście minut po północy, zobaczywszy światła skręcającego na jej podjazd samochodu, Lee wyszła bosą, w piżamie, na lodowaty stopień przed wejściem.

Światła zgasły, wyłączono silnik, trzasnęły drzwi, po czym na chodniku pojawił się Christopher. Zbliżał się ku niej wielkimi krokami.

Jego widok był dla niej najcenniejszym podarunkiem, jaki kiedykolwiek otrzymała od losu. Sama obecność Chrisa - jego opanowanie, zdrowy rozsądek, kompetencje - ujęły nieco ciężaru przytłaczającego jej serce. On wiedział, zawsze wiedział, kiedy jest jej potrzebny. To było niesamowite.

- Masz jakieś wiadomości? - zapytał, zanim do niej dotarł.

- Nie. Och, Christopherze, tak bardzo się boję.

Wyszła mu na spotkanie do połowy chodnika. Objął ją ramieniem i poprowadził w stronę domu. Zewnętrzne drzwi zdążyły już zająć parą, ponieważ nie zamknęła wewnętrznych. - Włącz do środka. Mój Boże, przecież ty nawet nie masz butów.

Łzy, które powstrzymywała, póki była sama, zaczęły ją piec pod powiekami. Teraz miała się z kim podzielić brzemieniem swojej troski.

- Nigdy jeszcze tego nie zrobił. Zawsze miał wyznaczoną godzinę i trzymał się jej bez protestów.

Kiedy znaleźli się w środku, Chris zamknął drzwi, a Lee rzuciła mu się w ramiona. - Tak bardzo się cieszę, że jesteś. Jak się dowiedziałeś?

- Zadzwonili do mnie z komisariatu. - Przytulił ją na moment, po czym chwycił jej dłonie i cofnął się lekko. - Powiedz mi, gdzie się wybierał, o której wyszedł i z kim był.

- Powiedział, że idzie zagrać w kręgle z paczką przyjaciół. Wyszedł ze sklepu około piątej, pomagał mi tam dzisiaj po południu, bo taki był ruch. Powiedział, że po kręglach wybierają się do domu Karen Hanson. To jedna z dziewczyn, z którymi się umawia. Jest ich cała paczka, zawsze wszystko robią razem. O, tutaj zostawił kartkę.

Zaprowadziła Chrisa do kuchni.

- To są naprawdę dobre dzieciaki - powiedziała, kiedy czytał krótki liścik.

- Znasz tych Hansonów?

- Tak. Zadzwoiłam już tam i matka Karen powiedziała, że dzieciaki poszły do domu około dziesiątej piętnaście. - Dziesiątki strasznych możliwości, jakie niosły ze sobą te słowa, przyprawiły ją o kolejne łzy, ale Chris pozostał chłodny i rzeczowy.

- Piechotę?

- Tak. Ilekroć poproszą, różni rodzice odwożą je do domów, ale bardzo często idą po prostu dużą grupą. Nie myślałam, żeby go zapytać, czy mam dziś po niego pojechać. On wie, że wystarczy zadzwonić, a zaraz przyjadę i go zabiorę.

- Zaglądałaś do jego pokoju?

- Tak. Nic to nie dało.

Chris ruszył w tamtą stronę, a ona poszła za nim. Stała w drzwiach z mocno splecionymi rękoma, patrząc jak zapala światło i ogląda wszystko powoli. Zastanawiała się, co może dostrzec jego wprawne oko. Po raz kolejny poczuła przyływ wdzięczności za to, że zrozumiał, jak trudno byłoby jej znieść to samotnie.

- To są ubrania które miał dzisiaj na sobie?

- Tak.

- Czy według ciebie brakuje tu czegoś?

- Nie. Tylko jego kurtki, tej, którą zawsze nosi.

W pewnej chwili, kiedy Christopher wciąż jeszcze rozglądał się po pokoju, poczuła, że musi się wytłumaczyć ze swej rodzicielskiej bez troski.

- Pewnie się zastanawiasz, dlaczego nie zadzwoniłam wcześniej, ale przyszłam dziś z pracy o dziewiątej i byłam tak zmęczona, że wykapałam się tylko i zasnęłam na kanapie. Kiedy się obudziłam, nie mogłam uwierzyć, że jest prawie północ, a jego nie ma domu.

Christopher zgasił światło. Wrócił do kuchni.

- Nie sądzę, aby było się o co martwić już teraz. Takie rzeczy często się zdarzają. Rodzice zgłaszają zniknięcie dzieci, a one po prostu wracają do domu później niż zazwyczaj, ot i wszystko. - Uścisnął Lee i pogładził ją po plecach.

- Ale Joey by zadzwonił. Wie, jak bardzo się martwię.

- Skąd może wiedzieć, skoro nigdy wcześniej nie miałaś do tego powodu?

- Bo mnie zna, to wystarczy. Nie byłby...

Drzwi wejściowe otworzyły się i do domu wszedł Joey, w czerwonej wełnianej kurtce z rękawami z białej skóry, z policzkami zaróżowionymi od mroźnego, nocnego powietrza.

Gniew i ulga walczyły w Lee o lepsze. Ruszyła ku niemu stanowczym krokiem, pytając: - Gdzie byłeś?

Chłopak rozpiął jedną ręką zatrzaski kurtki. - Łaziłem z bandą.

- Czy wiesz, która jest godzina! - ryknęła.

Otwierając drzwi szafy, żeby powiesić w niej kurtkę, spuścił lekko głowę, ale poza tym w żaden sposób nie okazał, że podziela jej zainteresowanie czasem.

- Jest już prawie w pół do pierwszej.

- Spóźniłem się pierwszy raz w życiu. Nie rozumiem, w czym problem. Lee z trudem opanowała chęć, żeby trzasnąć go w głowę.

- Problem w tym, że byłam bliska obłędu ze zmartwienia. To właśnie jest problem! Kiedy ty beztrudnie „łaziłeś sobie z bandą”, ja zastanawiałam się, czy jeszcze żyjesz, czy już umarłeś! Zadzwoiłam do rodziców twojej koleżanki i dowiedziałam się, że wyszedłeś o dziesiątej piętnaście. Gdzie byłeś od dziesiątej piętnaście?

- U Sandy - odpowiedział tak cicho, że ledwie go zrozumiała.

- U Sandy - powtórzyła z sarkazmem. I właśnie w tym momencie zobaczyła na jego szyi malinki. Nagle wszystko stało się jasne. W holu zapadła niepokojąca cisza. Po chwili przerwał ją Chris:

- A zatem jesteś zdrow i cały, Joey?

Chłopak wzruszył ramionami, spojrzał lękliwie i wymamrotał coś niezrozumiale.

Stojąca obok Lee poczuła się winna, kiedy usłyszała pytanie, które sama miała zadać. Była jednak tak zdenerwowana na syna, że z trudem powstrzymywała się, żeby go nie uderzyć.

- Lepiej zadzwonię do komisariatu - powiedział Christopher do Lee, po czym ruszył w stronę kuchennego telefonu. Kiedy wykreślał numer, w holu panowała cisza.

- Tak, Toni? Tu Chris Lallek. Z Joeyem Restonem wszystko się wyjaśniło. Możesz powiedzieć patrolom, że wrócił do domu i nic mu nie jest.

Gdy odłożył słuchawkę, niedowierzanie na twarzy Joeya mieszało się z zakłopotaniem.

- Kazałaś mnie szukać policji? - powiedział chłopak do matki z nutką niepokoju.

- Młody człowieku, ty sobie chyba nie zdajesz sprawy, że dzieciakom w twoim wieku zdarzają się różne rzeczy, kiedy późną nocą łążą po ulicach.

- Ale, kurczę, mam... policja.

Lee znowu miała ochotę rzucić się na niego, ale Chris rzekł: - No cóż, skoro jest w domu cały i zdrowy, to chyba będę leciał. - Przeszedł obok Lee, a kiedy mijał Joeya, położył mu rękę na ramieniu. - Ona ma rację, wiesz? A poza tym napędziłaś jej okropnego stracha.

Chłopak otworzył usta i wbił oczy w ziemię, ale nie powiedział nic.

Dźwięk otwieranych przez Chrisa drzwi oderwał Lee od myśli o gniewie. Przemierzywszy hol, stanęła tuż obok niego. - Dziękuję, Christopherze. Bardzo, bardzo ci dziękuję. - Miała wielką ochotę go uściskać, ale z uwagi na obecność Joeya mogła tylko położyć dłoń na rękawie jego kurtki. - Nie jestem w stanie wyrazić, ile dla mnie znaczyło,



kiedy zobaczyłam cię na tym chodniku.

- Zawsze do usług - odparł Chris. - Na razie. ... branoc, Joey - dodał, zanim wyszedł.

- Taa, ... branoc.

Cisza, która zapanowała w holu po wyjściu Christophera, zdawała się dudnić. Joey postanowił schronić się w bezpieczne miejsce, choć raz przedkładając swój pokój nad myszkowanie w lodówce. Nie pokazał się w holu, dopóki jego matka nie powiedziała nadzwyczaj surowym głosem:

- Joey, przyjdź do dużego pokoju.

Sama poszła tam pierwsza. Usiadła sztywno na sofie i czekała. Syn ruszył za nią, idąc w ten szczególny sposób, w jaki chodzą nastolatki, które coś przeszkrobały, z wystawionym w górę karkiem i nisko opuszczonym podbródkiem. Przycupnął na brzegu krzesła, na prawo od Lee. Pochylił się do przodu, z łokciami wspartymi na kolanach, pilnie wpatrując się w dywan pomiędzy swymi tenisówkami.

- No dobrze, to porozmawiajmy o tym - powiedziała Lee.

- O czym mamy rozmawiać? - Zerknął na nią, ale nie minął nawet ułamek sekundy, a znowu odwrócił wzrok.

- O tym, co robiliście w domu Sandy.

- Nic. Po prostu oglądaliśmy telewizję.

- I w ten sposób dorobiłeś się malinek na szyi? Oglądając telewizję?

Było jasne, że nie miał o nich pojęcia. Rumieniąc się, uniósł dłoń do kołnierza koszuli.

- Czy rodzice Sandy byli w domu? Po chwili, wciąż wpatrując się w podłogę z miną winowajcy, pokręcił głową.

- A gdzie byli?

- Na jakimś świątecznym przyjęciu.

Znowu zapadła cisza... długa, bardzo długa cisza, w trakcie której rozedrgany żołądek Lee zaczął się uspokajać, a jej gniew powoli łagodniał. Przechyliła się ponad bocznym oparciem kanapy i wyciągnawszy rękę, ujęła obie dłonie syna. Kiedy się odezwała, jej cichy głos pobrzmiwał błaganiem.

- Nigdy więcej mi tego nie rób.

Joey zamrugał mocno, jak gdyby jego spuszczone w dół oczy napelniały się łzami. - Nie zrobię.

- Wiem, że to wydaje ci się śmieszne, ale jeśli od śmierci Grega stałam się trochę nadopiekuńcza i nerwowa, to po prostu musisz to znosić. Nigdy dotąd tego nie mówiłam, ale kiedy jest się matką, która straciła jedno z dzieci, bardzo trudno jest nie martwić się za

każdym razem, kiedy te, które zostały, znikają z pola widzenia. Naprawdę staram się racjonalnie podchodzić do swoich obaw, ale dzisiaj to było straszne. Po prostu okropne.

Joey nadal mrugał szybko, z oczyma wbitymi w dywan.

- Nie sądz, że nie wiem, co się dzisiaj działo, bo wiem. Ja też miałam kiedyś czternaście lat i wiem, jak trudno jest opuścić kolegów, kiedy zabawa trwa w najlepsze. Ale, Joey, ty i Sandy macie dopiero po czternaście lat... jesteście tacy młodzi.

- Mamo, my nic nie robiliśmy, naprawdę.

- Czyżby?

Spojrzał na nią wyzywająco. - Całowaliśmy się, to wszystko. - Na stojąco czy na leżąco?

Wzniósł oczy w sufit i pokręcił z niesmakiem głową. - Jezu, mamo, dajże spokój.

- Od dziesiątej trzydzieści do dwunastej trzydzieści.

Joey wbił wzrok w przeciwległy kąt pokoju; nie odpowiedział.

- Posłuchaj - powiedziała Lee, siadając nieco swobodniej - nie ma na świecie matki ani ojca, którzy nie musieliby odbywać takich rozmów z każdym ze swoich dzieci. Nie ma też takich, którzy nie odbywaliby ich kiedyś ze swoimi rodzicami. Wiesz, że nie jestem ślepa. Dostrzegałam pewne sygnały. Mój Boże, dorosłeś praktycznie z dnia na dzień i wiem, że wraz ze wzrostem pojawia się ciekawość, pierwsza miłość, różne próby... mam rację?

Chłopak pochylił się, jakby miał zamiar wstać.

- Mamo, czy mogę już iść spać?

- Nie, nie możesz - odpowiedziała spokojnie. - Jeżeli byłeś wystarczająco dorosły, żeby leżeć z dziewczyną i dawać sobie robić malinki, to jesteś także wystarczająco dorosły, aby przetrzymać tę rozmowę.

Joey ponownie oparł łokcie na kolanach i, splatając palce, przyłożył paznokciec jednego kciuka do drugiego.

Lee zebrała się na odwagę, po czym wypowiedziała te wielkie słowa: - Od dawna już wiesz wszystko o stosunkach seksualnych, ponieważ sama ci o tym opowiadałam. Teraz przekonujesz się na własnej skórze, jak to się zaczyna. Ale, Joey, to jest niebezpieczne. Sądzisz, że możesz sobie pozwolić na małą grę wstępną i na tym poprzestać, ale sytuacja może ci się wymknąć spod kontroli, i nagle okaże się, że jesteś ojcem.

W końcu spojrzał jej prosto w oczy. - Mamo, nie robiliśmy tego, dlaczego mi nie wierzysz?

- Wierzę ci, ale mimo to mnie wysłuchaj. Chcę ci powiedzieć, że teraz, w twoim wieku, najlepsze co możesz zrobić, to trzymać się grupie. Spotykaj się z Sandy, wcale nie

twierdzą, że nie wolno ci mieć dziewczyny, ale unikajcie sytuacji, w których bylibyście sam na sam. Mogłabym ci wygłosić kazanie na temat prezerwatyw, ale masz to w szkole, w telewizji, w gazetach i niemal wszędzie, gdziekolwiek byś dzisiaj spojrzeł. W tej chwili, jak sądzę, wystarczy, że będziesz czternastoletnim chłopcem, no może takim, który całuje dziewczynę na pożegnanie. Zgoda?

Kiwnął głową bez przekonania. Wyciągnąwszy rękę, Lee uniosła jego podbródek.

- I od tej pory, jeżeli masz zamiar się spóźnić, to do mnie dzwoń.

- Będę dzwonił.

- A o całej reszcie też trochę pomyślisz? Przytaknął.

- Dobrze. W takim razie sądzę, że powinniśmy trochę się przespać.

Wstała z kanapy. Joey nadal siedział zdeprymowany na swoim krześle.

- Nie przejmuj się - powiedziała, przegarniając mu włosy palcami. - Świat się jeszcze nie kończy.

Szarpnął głową, uchylając się przed tą pieśczęcią. Z posępną miną unikał wzroku matki.

- No dobrze - westchnęła Lee. - Ja idę spać. Dobranoc. Znalazłszy się w sypialni, zgasła lampkę przy łóżku i wsunęła się pod kołdrę, ale zamiast spać, leżała tylko, wpatrując się w wąską smugę światła, która wpadała przez uchylone drzwi. Lampa w salonie zgasła. Szczęknęły otwierane drzwi łazienki, zaszumiała splukiwana muszla klozetowa, rozległ się plusk wody z kranu, a potem z sypialni Joeya doleciał stuk spadających na podłogę butów.

Kiedy Lee zamknęła już oczy, głos syna kazał jej znowu je otworzyć.

- Mamo?

- Tak?

Postać chłopca przesłoniła smugę światła w drzwiach. Joey otworzył je szerzej. Stał w holu z opuszczonymi ramionami, a padające z tyłu światło tworzyło poświatę wokół jego włosów, które Lee przed chwilą zmierzwiła.

- Naprawdę jest mi przykro, że tak cię przestraszyłem - powiedział. - Nigdy nie myślałem o tym, co mi powiedziałaś, to znaczy, że tak się o nas martwisz, kiedy nas nie ma. Nie chciałem ci tego zrobić.

Lee poczuła, że coś dławi ją w gardle.

- Chodź tutaj - powiedziała.

Okrążywszy łóżko, Joey przeszedł na „jej” stronę, po której nie przestała spać po śmierci Billa, chociaż miała dalej do drzwi. Usiadł na skraju materaca, pochylając się nad matką.

- Kocham cię - powiedziała Lee, obejmując go - i to jest najważniejsze w tym całym dzisiejszym zamieszaniu. Gdybym cię nie kochała, nie przejmowałabym się tym, gdzie jesteś i co robisz.

- Ja też cię kocham, mamo.

Wraz z tymi słowami tkwiąca w gardle Lee gruda smutku rozplynęła się.

Następnego dnia, tuż po kościele, zadzwonił Christopher.

- Jak tam sprawy z Joeyem?

- Porozmawialiśmy sobie i wszystko się wyjaśniło.

- Widziałem, że na to się zanosi, więc pomyślałem, że najlepiej będzie, jak się zmyję.

Jaki on był troskliwy. Po raz kolejny, tak samo jak nocą, kiedy leżała w łóżku, zauważyła, że czegokolwiek by potrzebowała, on zawsze jest na miejscu, gotów do pomocy. Zwracanie się do niego stało się tak naturalne, że trudno by jej było wyobrazić sobie życie bez tego człowieka. Nie dość, że poprzedniej nocy zjawił się natychmiast, to teraz dzwonił, jak prawdziwy przyjaciel, pełen troski zarówno o nią, jak o Joeya.

- Christopher, nie wiem, jak ci podziękować, że przyszedłeś. Zapomniałam już, jakie stresujące jest samotne wychowywanie nastolatka. Kiedy cię zobaczyłam, poczułam... - nie potrafiła dobrać odpowiednich słów. Nawet w tej chwili, kiedy z nim rozmawiała, doznawała tej samej ulgi i wdzięczności, co poprzedniej nocy.

- Co takiego? - przynaglił ją Chris.

- Poczułam ulgę. Było mi dobrze, że choć raz mogę obarczyć kogoś moimi zmartwieniami. Tak często wydaje mi się, że wiesz, jak bardzo mi jesteś potrzebny i natychmiast się zjawiasz, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Mam wrażenie, że... zawsze mogę się do ciebie zwrócić. Chyba za bardzo na tobie polegam, ale już sama twoja obecność... tak wiele dla mnie znaczy, Christopherze.

- Bardzo lubię ci pomagać.

W słuchawce zapadła cisza. Ich uczucia wykroczyły już poza granice przyjaźni stali się już prawie - kochankami.

Po chwili Chris odchrząknął. - Wiele o tobie myślałem od wtorku. Czy mógłbym cię dzisiaj zobaczyć? Pomyślałem sobie, że może zabrałbym ciebie i Joeya na jakąś przekąskę.

- Przepraszam, Christopher - powiedziała Lee tęsknie - ale jest u mnie Lloyd. Właśnie miałam się zabrać za robienie kurczaka na obiad.

- Weź go ze sobą. Jego też chętnie znowu zobaczę.

Lee spojrzała w stronę ściany, która dzieliła ją od pokoju dziennego, gdzie Lloyd czytał niedzielną gazetę, a Joey bawił się jakąś grą wideo.

- Dobrze. Zapytam ich. - Wznosząc nieco głos, zawołała:

- Lloyd? Joey? Czy odpowiada wam wypad na niedzielną przekąskę z Chrisem?

Joey wyszedł z pokoju, wciąż jeszcze nie przebrany po kościele.

- Tak, pewnie... a gdzie?

Lee zakryła dłonią słuchawkę. - Nie będę go pytać gdzie - szepnęła. - To by było niegrzeczne.

- Ja z chęcią - zawołał Lloyd.

- Obaj się zgodzili - powiedziała Lee Christopherowi. - Mnie też to odpowiada. Schowam kurczaka do lodówki i zrobię go jutro.

- Co powiesz na wypad do Edinburgh?

- Nigdy tam nie byłam, ale słyszałam, że to fantastyczne miejsce.

- Wpadnę po was za pół godziny.

W Country Clubie, w Edinburgh, usadzono ich pod oknem, które wychodziło na pokryte śniegiem pola golfowe. Pośrodku sali centralny akcent głównego bufetu stanowił wyrzeźbiony z lodu delfin. Dokoła, przy stolikach wszelkich możliwych rozmiarów, siedziały rodziny, które także wpadły coś przegryźć. Gdziekolwiek Lee spojrzała, widziała dziadków, rodziców oraz dzieci, trzy wystrojone w odświętne ubrania pokolenia, które wyszły z domu, aby razem spędzić czas pośród rozmów i śmiechu. Ich czwórka - ona, Christopher, Joey i Lloyd - wyglądała jak jedna z tych rodzin. Przez chwilę wyobrażała sobie, że naprawdę tak jest, że ona i Christopher stanowią parę, która wybrała się na miły niedzielny posiłek pośród innych ludzi. Ostatniej nocy zmagali się razem z wywołanym przez Joeya kryzysem, a dzisiaj byli tutaj, tak samo jak ci, którzy ich otaczali, starając się zapomnieć o tym incydencie i żyć dalej normalnie.

Usiadła naprzeciw Christophera, przysłuchując się rozmowie, którą prowadził z Lloydem. Opowiadał mu o psach, które służyły w policji w Anoce, potem z kolei starszy pan wspomniał czarnego labradora, którego miał jako dziecko, kiedy mieszkał na farmie. Joey także włączył się do rozmowy, opowiadając anegdotkę o tym, jak pies jego kolegi pogryzł w kroku wszystkie majtki, całej rodziny, leżące w koszu z brudną bielizną.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Pojawiła się kelnerka, żeby dolać im kawy.

- Wiecie, chyba pójde po jeszcze trochę tej potrawy - powiedział Lloyd.

- Ja też, dziadku - zgodził się z nim Joey. - Ale najpierw skosztuję puddingu z sosem karmelowym.

Christopher i Lee zostali przy stoliku.

- Lubię Lloyd'a - powiedział Chris, patrząc w ślad za odchodzącymi.

- Ja także.

Ponownie spojrzął na nią i stwierdził, że oczy Lee wpatrują się w niego bez wątpienia z podziwem, a niewykluczone, że nawet z miłością.

- Czy twój mąż był do niego podobny?

- Chyba tak, pod niektórymi względami. Tyle że Bill był nieco mniej cierpliwy, może nawet nieco bardziej skłonny do oceniania innych ludzi niż Lloyd. Przypuszczam, że miał to po matce.

- To dziwne, że mówisz takie rzeczy o Billu.

- Dlaczego?

- Bo powiedziałaś mi kiedyś, że twoje małżeństwo było idealne.

- Idealne małżeństwo wcale nie oznacza, że ludzie, którzy je tworzą, są doskonali. Zazwyczaj znaczy to, że nie zauważają swoich niedoskonałości.

Chris myślał o tym przez chwilę, po czym zapytał: - Czyżby więc nie układało ci się z teściową?

- Układało mi się z nią świetnie. Ale ona lubiła wygłaszać swoje opinie. Po śmierci Billa, kiedy nie spłaciłam domu pieniędzmi z ubezpieczenia, powiedziała mi, że oszalałam. Uważała, że nie powinnam iść do szkoły i zakładać firmy, bo co by było, gdyby mi się nie udało. Potem, kiedy Sylvia postanowiła rzucić pracę w swojej firmie rozliczeniowej i przyłączyć się do mnie, Ruth stwierdziła, że to się nigdy nie uda. Dwie siostry pracujące ze sobą dzień w dzień? Powiedziała, że nie minie wiele czasu, a rzucimy się sobie do gardeł. A jednak jakoś się ze sobą dogadujemy. Każda z nas ma swoje mocne strony i tego się trzyma. Ona zajmuje się interesami, a ja bukieciarę.

Joey wrócił do stolika z wielkim deserem, który był specjalnością tej restauracji. Pochylił się nad talerzem, wbijając łyżeczkę w pudding.

- Christopher, wiesz co? - powiedział z pełnymi ustami.

- Co?

- W przyszłym miesiącu są moje urodziny, kończę piętnaście lat. To znaczy, że mogę dostać prawo jazdy.

- To twoja mama będzie musiała uważać.

Potem zjawił się Lloyd i rozmowa zaczęła przeskakiwać z tematu na temat.

W końcu Christopher zerknął na zegarek.

- Strasznie przykro mi to mówić, ale jest już po wpół do drugiej, co znaczy, że za godzinę muszę się zgłosić na odprawie.

- Czy zdążę zjeść jeszcze tylko jeden kawałek deseru? - zapytał Joey. - Nie miałem

jeszcze okazji spróbować tego czegoś czekoladowego z całą masą orzechów.

- Idź, zamów sobie szybko i weź do serwetki - powiedziała Lee, po czym, patrząc jak spieszenie odchodzi, dodała: - To worek bez dna.

Chichocząc wstali wszyscy od stolika.

Chris zawiózł ich do domu. Zanim odjechał, podziękowali mu, a w chwilę potem Lloyd oświadczył, że właściwie to też myślał o tym, żeby zaraz pojechać do siebie; był zmęczony, w domu zaś czekała na niego niedzielna krzyżówka. Odjechał w chwilę po Chrisie.

Popołudnie upłynęło Lee na pakowaniu świątecznych prezentów i robieniu kulek z prażonej kukurydzy przy dźwiękach bożonarodzeniowej muzyki płynącej z magnetofonu. Z radością powitała nadejście zmierzchu, który przyniósł ze sobą lekki śnieg. I w samym środku tej mrocznej pory dnia ktoś zapukał do drzwi. Kiedy Lee otworzyła, zobaczyła Christophera. Tym razem miał na sobie mundur, a w skórzanym futerale przypiętym do pasa tkwiło jego wierne radio.

- Cześć! - powitała go. Otworzyła zewnętrzne drzwi, wpuszczając go do środka.

Trzymał w ręku serwetkę z tłustą, kwadratową plamą na spodzie. - Joey zapomniał czekoladowego deseru w mojej furgonetce.

- Och, dzięki - powiedziała Lee. Wziąwszy od niego pakuneczek, zaniósła go do kuchni.

Poszedł tam za nią. Stał obok stołu, spoglądając na bałagan. Była pewna różnica pomiędzy tą nie sprzątniętą kuchnią a brudnymi pomieszczeniami jego młodości. Ten nieład pełen był domowego ciepła.

- Pakujesz prezenty, co?

- Pakowałam, ale mam zamiar odłożyć to wszystko. Zbyt długo się schylałam i teraz bolą mnie plecy. Filiżankę kawy czy coś w tym rodzaju?

- Nie, dziękuję, ale co to jest to, co tam leży?

Lee spojrzała we wskazanym kierunku. Nie mogła powstrzymać uśmiechu, kiedy zobaczyła chłopięcą postawę Chrisa: stał z dłonią przytkniętą grzbietem do nosa, wystawiając palec wskazujący w kierunku, o który mu chodziło.

- Chyba chodzi ci o kulki z prażonej kukurydzy. Czyżbyś chciał się poczęstować?

W odpowiedzi Chris poruszył brwiami, niczym Graucho Mara.

- Weź sobie.

Podczas gdy ona zabrała się za sprzątanie papierów ze świątecznymi nadrukami, on - zdjawszy plastikową osłonkę z różowej kulki - ugryzł kawałek.

- Mmm... - Lepka masa przyłgnęła do jego zębów. Musiał poruszyć szczęką na boki, aby ją odkleić i pogryźć. - Ty to zrobiłaś?

- Tak. Rodzinna tradycja.

- Mmm...

Oparł się o szafkę, przeżuując kleisty deser. Patrzył, jak Lee sprząta ze stołu, przeciera go szmatką, kładzie na środku bożonarodzeniowy stroik, a potem bierze miotłę i zaczyna zamiatać. Miała na sobie niebieskie džinsy oraz ogromną, bawełnianą koszulę ozdobioną hasłem: UWIELBIAM MINNESOTĘ! Na stopach miała białe skarpetki z brudnymi podeszwami, podobne do tych, jakie zwykł nosić jej syn. Kiedy tak krążyła po kuchni, Chris wspominał wtorek, kiedy leżał z nią na swojej kanapie.

- Gdzie Joey?

- Odsypia wczorajszą noc. Przez większość popołudnia nie istniał dla świata. Chris odłożył kulkę na blat szafki, oblizał palce, podszedł do niej od tyłu, zabrał jej miotłę i oparł jej kij o krawędź stołu.

- Chodź tutaj - powiedział, prowadząc ją za rękę w stronę roboczej części kuchni, gdzie nie można ich było zobaczyć z przedpokoju. - Nie miałem okazji zrobić tego dziś rano i doprowadzało mnie to do szaleństwa. - Objął ją i pocałował, stojąc na środku zapaćkanej kuchni. Na blatach szafek stały butelki z syropem oraz maszynka do prażenia kukurydzy, zlew był pełen brudnych rondli, a podłogę zalegały kawałki wstążek i ścinki papieru do pakowania. Lee nie stawiała oporu. Zarzuciła mu ręce na szyję, tuląc się do jego piersi okrytej metalizowaną, kuloodporną kamizelką. Początkowo ich pocałunek był przyjacielski, wydawało się, że będzie trwał krótko, ale potem zaczęli się kołysać, rozchyłili wargi i było im tak cudownie, że po chwili zaczęli kręcić głowami. Chris wsunął jej ręce pod koszulę, dotykając jej nagich pleców tuż ponad paskiem. Nawet gdy w jego radiotelefonie coś zatrzeszczało, wyciągnął tylko rękę, aby poprawić głośność i nie przestawali się całować.

- Czy to do ciebie? - zapytała, nie odrywając się od niego.

- Nie.

Potem dalej czerpali przyjemność ze swoich ust, aż w końcu przeciąganie tego zaczęło wydawać się absurdem. Oni jednak nie robili następnego kroku.

Wreszcie Lee cofnęła usta, ale nie zdjęła rąk z jego szyi. - To takie podniecające - powiedziała ironicznie, uśmiechając się do niego krzywo. - Zupełnie jakby się przytulało ceglana ścianę.

- Muszę to nosić, kiedy jestem na służbie - wyjaśnił, zerkając na swą nieprzyjazną kamizelkę - ale jeśli chcesz mnie uściskać bez tego, podaj tylko datę, a ja się pojawię.



- We wtorki o siódmej wieczorem Joey chodzi zazwyczaj do kina, bo wtedy są ulgowe seanse.

- Nie mogę. Mam służbę.

- W środę o siódmej. Wtedy Joey nie chodzi do kina, ale co tam, do diabła, zaszokujemy go.

- Nie mogę. Mam służbę.

Trzymała go mocno, z przyklejonym do twarzy szelmowskim uśmiechem.

- Przyjemniaczek z ciebie. Najpierw namawiasz kobietę, żeby ci złożyła propozycję, a potem wynajdujesz wymówki.

- Co powiesz na wtorkowe południe w moim mieszkaniu? Przygotuję lunch. „Szybki numerek w czasie przerwy” przemknęło przez głowę Lee. - Mówisz poważnie?

- Mhm. Coś lekkiego, co cię nie rozleniwi. - Uśmiechnął się dwuznacznie, nadal muskając dłońmi jej gładkie plecy. Ponieważ stała z podbródkiem wbitym w jego pierś, odchylił się do tyłu, aby spojrzeć jej w oczy.

- To randka - powiedziała Lee, wysuwając się z jego objęć.

Tamte słowa wciąż do niej wracały. Czy to rzeczywiście miało być to? Szybki numerek w czasie przerwy? Czy on patrzył na to tak samo jak ona? Czy bał się wszystkich związanych z tym komplikacji? Czy dręczyła go niepewność, co się stanie, kiedy nikt nie będzie mógł im przeszkodzić?

We wtorek rano, tuż przed zgaszeniem światła w łazience i wyjściem do pracy, spojrzała zdumiona na swe odbicie w lustrze. Dobry Boże, wybierała się na romantyczną schadzkę w samo południe. Jak inaczej wytłumaczyć te wszystkie przygotowania? Z jakiego innego powodu ogoliłaby nogi, spryskała się perfumami i wyszorowała paznokcie do żywego mięsa? Do tego jeszcze wygoliła sobie pachy, założyła najlepszą bieliznę i upewniła się, że na jej rajstopach nie poleciało ani jedno oczko, mimo że miały być schowane pod spodniami.

Czyżby miała zamiar je zdjąć?

Nie, nie miała takiego zamiaru! Chciała po prostu być przygotowana na wszelkie ewentualności.

Poranek włókł się nieznośnie. Spośród wszystkich roślin, jakie miała przygotować, udało jej się skończyć tylko farbowany wrzos, który tak pobrudził jej palce, że wyglądały jak wymoczone w atramencie. Zanim w południe opuściła sklep, poszła do łazienki i szorowała je jak jeszcze nigdy dotąd, po czym nałożyła na nie tyle aromatycznego kremu z olejkiem migdałowym, ile tylko jej skóra była w stanie wchłonać. Odświeżyła też szminkę i przyczesła włosy.

- Hej, Syl? - zawołała, przechodząc przez sklep. - Być może nie . będzie mnie nieco dłużej niż zazwyczaj. Masz coś przeciwko temu?

- Nie. Będę tu. Zobaczymy się, jak wrócisz.

Gdy wjeżdżała na parking przy domu Chrisa, gdy szła w stronę budynku, gdy pukała do jego drzwi, czuła się tak, jakby planowała coś nikczemnego. Spotykała się z mężczyzną na lunchu. No i co z tego?

No i w jej żołądku trzepotały skrzydełkami motyle, a kiedy Chris otwierał drzwi, bawiła się nerwowo kosmykiem włosów.

- Cześć. - Cześć.

Niewykluczone, że jej policzki stały się odrobinę bardziej różowe.

- Naprawdę przysłaś. Nie byłem tego pewien.

- Dlaczego nie?

- Nie wiem. Po prostu nie byłem pewien.

Christopher cofnął się, a ona weszła do środka. Przy drzwiach zdjęła buty, pozwoliła mu zdjąć z siebie kurtkę i powiesić ją.

- Głodna? - zapytał.

- Jak wilk. Co jemy?

- Kanapki z sałatką jajeczną i zupę pomidorową.

- Uwielbiam zupę pomidorową. Sałatkę jajeczną też.

- No cóż... wszystko gotowe. - Zaprosił ją gestem do kuchennego stołu. - Muszę tylko nalać zupę. Siadaj.

Talerze pochodziły z jej starej, zielonej zastawy. Pękate kanapki składały się z warstwy sałatki jajecznej wtłoczonej pomiędzy dwie pajdy gruboziarnistego chleba, na brzegach których wystawały listki czerwonej sałaty. Każda z kanapek przekrojona była na pół, a obok leżał maleńki stos pikli z koperkiem. Sztućce były z różnych kompletów. Papierowe ręczniki zastępowały serwetki. Środek stołu ozdobiła ta gruba czerwona świeca, okolona wianuszkiem ostrokrzewu, którą Chris kupił, gdy byli razem u Gustafa. Pomimo jasnego, słonecznego dnia świeca była zapalona.

Postawiwszy na blacie dwie parujące miseczki zupy pomidorowej, gospodarz usiadł do stołu.

- Christopherze, to jest śliczne.

- Nic wymyślnego, tak jak mówiłem.

- Czerwona strzępiasta sałata.

- Kiedy pracowałem w Czerwonej Sowie, dowiedziałem się, że istnieją różne rodzaje

sałaty.

- I ten stroik na stole.

- To głównie twoja zasługa. O ile dobrze pamiętam, to właśnie ty powiedziałaś, że nie można czuć się samotnie w pokoju, w którym pali się świeca. Właśnie dlatego to kupiłem.

- Chyba poznaję te talerze.

- Nie wątpię.

- Dostałam je tuż po ślubie z Billem. To było jeszcze, zanim ceny benzyny poleciały pod niebo. Żeby zachęcić klientów, stacje benzynowe proponowały różne premie. „Darmowy talerz przy każdym tankowaniu” - właśnie w ten sposób je zdobyłam.

- Spełniają swoje zadanie.

- O tak. Sprawiają, że czuję się jak w domu. Uśmiechnęli się oboje, odgryzając po pierwszym kęsie kanapek.

W kącikach ich ust pojawiły się drobiny sałatki jajecznej.

Lee zapytała, jak miewa się Judd i czy Chris widział go ostatnio. Christopher wyjaśnił, że stara się widywać chłopaka co tydzień. Tym razem wziął go do policyjnej siłowni, żeby sobie trochę poćwiczył.

Lee zagadnęła o Boże Narodzenie. Chciała wiedzieć, czy w domu chłopca będzie ono jakimkolwiek świętem. Chris odparł, że tacy rodzice jak ci, którzy trafili się Juddowi, zazwyczaj doznają w święta poczucia winy i coś jednak organizują dla swoich dzieciaków. Dodał jednak, że jest to okres dużego spożycia narkotyków i alkoholu, więc nigdy nie wiadomo, co się może stać.

Zapytała go, czy myślał kiedykolwiek o tym, żeby adoptować Judda.

- Nie - odpowiedział Chris. - Pomagam mu, kiedy mnie potrzebuje i on o tym wie. On rozumie, że życie obeszło się z nim paskudnie, ale sam musi dać sobie z tym radę. Ja mogę mu tylko w tym pomóc. Natomiast nigdy nie chciałem mieć własnych dzieci, ani adoptowanych, ani żadnych innych. Wiedziałem o tym już wtedy, gdy jako dwunastolatek musiałem zastępować rodziców mojej siostrze.

Sączyli gorącą zupę, przegryzając kanapkami.

- Co ty masz na palcach? - zapytał Chris, spoglądając na dłoni, w której trzymała chleb.

Lee upuściła kanapkę i schowała rękę pod papierowy ręcznik, który miała rozłożony na kolanach. - Farbę. Dziś rano układałam wrzos. Pyskają go tym paskudztwem, które plami zupełnie jak atrament.

Chris przechylił się, ujął jej nadgarstek i położył go na blacie.

- Nie musisz chować przede mną swoich rąk, wiesz? To uczciwe ręce. Lubię je.

Kiedy skończyli, oświadczył: - Przepraszam, że nie ma deseru, ale trudno jest zachować linię, jeśli się jada desery, a tłuste gliny nie są w stanie biegać, kiedy zajdzie taka potrzeba... serio więc... to wszystko.

- Ja także nie potrzebuję deseru. To było po prostu świetne. Wstała, sięgając po naczynia, ale Chris zaoponował: - Zostaw je.

To moja robota.

Uświadomiła sobie, że jest jego gościem, więc powiedziała tylko:

- Dobrze.

Podczas gdy on zabrał się za opłukiwanie miseczek po zupie, ona przeszła do pokoju dziennego, gdzie nie zdołała pohamować się przed sprawdzeniem ziemi we wszystkich doniczkach, jakie tam stały. Potem zerknęła do pojemniczka w stojaku pod choinką i stwierdziła, że jest tam prawie sucho.

- Christopher, wstydz się. Jak nie będziesz podlewał swojego drzewka, to doczekasz się tu pożaru. - Wróciła do kuchni, pytając:

- Masz jakiś dzbanek, którym mogłabym napęlnić pojemniczek?

- Napęlniła podane naczynie nad kuchennym zlewem, po czym przeszła z powrotem do pokoju. Gdy na czworakach nalewała wodę, zobaczyła, że pod choinką leży tylko jeden prezent. Zastanawiała się, dla kogo on może być.

Chris zakręcił kran i wszedł do pokoju akurat w chwili, gdy skończyła podlewanie. Odchyliła się, przysiadając na piętach. Odebrał od niej dzbanek i odstawił go na bok, a sam usiadł na dywanie tuż przy niej, opierając się na rękę.

- Ten prezent jest dla ciebie - powiedział. - Chciałbym, żebyś go otworzyła.

- Dla mnie?

Skinął głową. - Otwórz.

- Ale przecież jeszcze nie ma świąt, a ja nic nie mam dla ciebie.

- Jesteś tutaj. To jedyny prezent, jakiego mi trzeba. Otwórz to. Pudełko było owinięte w srebrzystobłękitną folię, przewiązaną delikatną, srebrną wstążką. Pacuszka miała kształt etui na naszyjnik. Lee otworzyła ją ochoczo, jak dziecko.

Wewnątrz znalazła prostą, białą kopertę, z której wyjęła dwa bilety lotnicze oraz kolorową broszurę reklamującą Ogrody Longwood w Kennet Square, w stanie Pensylwania. Nie zwróciła większej uwagi na bilety, natychmiast otworzyła broszurę, pozerając wzrokiem zdjęcia rzeźb, oranżerii, pnączy wistarii oraz mnóstwa różnego gatunku kwiatów. Dopiero po chwili zauważyła, że bilety są do Filadelfii.

- Wycieczka? - zapytała unosząc roziskrzone oczy. - Fundujesz mi wycieczkę?

- Dla dwóch osób. W przyszłym roku, w lipcu, kiedy wszystko będzie kwitnąć. Możesz zabrać, kogo zechcesz. Pomyślałem, że zechcesz pojechać z Sylwią, albo może z Lloydem.

- Och, Christopherze... - znowu spojrzała na czarującą kolorową broszurę, odczytując na głos: - Ogrody Longwood... oaza idealnego spokoju, pełna krętych ścieżek, świątyń, płomiennych barw...

- Poszedłem do pewnej agentki i ona pomogła mi to wybrać. Powiedziała, że to jedna z najlepszych wycieczek, a ja pomyślałem sobie, że pewnie jeszcze nie byłaś na czymś takim. Doszedłem do wniosku, że powinnaś się wybrać.

- Och, Christopherze... - kiedy uniosła twarz, oczy miała pełne łez. Zarzuciła mu ręce na szyję. Kartki folderu z szelestem ocierały się o jego plecy. - Przez całe życie marzyłam takiej podróży.

Chris uściśnął ją z uśmiechem. Jej reakcja była dokładnie taka, jak się spodziewał. - Założę się, że spotkasz tam mnóstwo osób z niebieskimi palcami i żadna z nich nie będzie się z tego tłumaczyć.

Przykłęknąwszy w zagięciu jego biodra, Lee ucałowała go. Serce biło jej jak oszalałe, tak bardzo ekscytował ją ten podarunek. Potem cofnęła głowę, spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała: - Nikt nigdy nie dał mi prezentu, który sprawiłby mi aż taką radość. Nikt nie odczytuje moich myśli tak jak ty, Christopherze Lallek. Jak to się dzieje że znasz mnie tak dobrze?

- Nie wiem.

- Czasem mam wrażenie, że widzisz, co się dzieje w mojej głowie. Gdyby ktoś mnie zapytał, co bym uznała za idealny prezent dla siebie, pewnie nie potrafiłabym sama tego określić, a jednak ty wiedziałeś, co to jest.

Chris tylko się uśmiechnął.

Tuląc go do siebie spojrzała ponad jego ramieniem na broszurę. - To musiało kosztować cię majątek. Wiem, że powinnam protestować, ale nie mam takiego zamiaru. Za bardzo chcę tam pojechać! Ogrody Longwood! Mój Boże, Chris, ty jesteś za dobry, żebyś mógł istnieć naprawdę!

Znowu go pocałowała. W tej chwili byli oboje tak doskonale szczęśliwi, że mogli to uczcić tylko dzieląc ze sobą niezmaconą radość z tego, że żyją i są razem, że mają siebie i mogą ze sobą spędzać to nieprawdopodobne, słoneczne, grudniowe południe.

Chris przewrócił się na plecy, pociągając ją za sobą. Lee z rozkoszą osunęła się na jego pierś, położyła się na nim i całowała go, całowała, całowała, nie mogąc nacieszyć się tą

chwilą po tak wielu latach spędzonych bez mężczyzny. Och, to ciepłe, mokre wnętrze jego ust, jak dobrze było znowu dotykać go językiem. A jego jędrne, mocno zbudowane ciało - ono także pozwalało jej przeżywać na nowo tę dawno zapomnianą przyjemność. Pocałunek zmienił tonację i folder, który trzymała w ręce, zaczął jej przeszkadzać. Położyła go na dywanie i odepchnęła, aż stuknął w dzbanek, w którym przyniosła wodę. Uwolniwszy w ten sposób dłoń, wsunęła ją we włosy Chrisa. Wiedziała doskonale, co wyczuwa pod swym prawym udem, które spoczywało między nogami Chrisa. Uniosła nieco kolano i przycisnęła nim twarde, wezbrane ciało mężczyzny, ciesząc się niezmiernie z jego pożądania. On także uniósł kolano, wsunął je pomiędzy jej nogi, po czym odrywając głowę od podłogi odwrócił ich oboje na bok. Złapał ją od tyłu, rozpościerając szeroko palce na jej wełnianych spodniach, w miejscu gdzie zaznaczała się na nich okrągła linia pośladków. Przewrócił się na nią, a ona pomogła mu w tym, naciskając podeszwą tylną stronę jego łydki. Przez cienki nylon, który spowijał jej stopę, czuła szorstki materiał jego dżinsów. Po śmierci Billa zastanawiała się czasem, czy coś takiego przydarzy się jej jeszcze. Leżała samotnie w ciemnościach, tęskniąc za kimś, kogo mogłaby dotykać w ten sposób, aby poczuć, że żyje i jest pożądana.

- Och, Christopherze - szepnęła mu w usta - tak dobrze mi z tobą. Wszystko jest w tobie wspaniałe. Włosy, mięśnie, nawet wąsy. Już tak dawno nie dotykałam w ten sposób męskiej twarzy. - Potarła policzkiem jego świeżo ogoloną skórę, rozkoszując się jej gładkością, obsypując ją pocałunkami. Dłonie Chrisa wsunęły się pod jej sweter, nakrywając piersi. Lee zadrżała, wygięła się w łuk i znieruchomiała, z zamkniętymi oczyma chłonąc na nowo te wszystkie seksualne doznania, których przez tyle lat była pozbawiona. - Tak dawno. Czasem zastanawiałam się, czy nie wyschnę, czy nie stanie się tak, że nie będę mogła tego robić. A teraz ty jesteś tutaj i sprawiasz, że po tylu latach mogę to znowu odczuwać. Wszystko powraca pędem, a ja znowu czuję się jak kobieta i, oooch, tak mi dobrze.

- O czym myślisz? - zapytał Chris ochryłym głosem. Lee obsypywała jego twarz pocałunkami. - Chcesz się ze mną kochać?

- Nie mogę. Chcę, ale nie mogę. Nie mam nic, a to jest...

- Ja mam.

- Planowałeś to.

- Oboje to planowaliśmy.

- Może i tak. - Przeczesała palcami jego włosy. Oboje mieli zamknięte oczy. - Od niedzielnego wieczoru chodziło mi po głowie takie sformułowanie: „Szybki numerek w czasie przerwy”, ale gdybym sama kupiła jakiś środek antykoncepcyjny i przyniosła go ze sobą, to byłabym... wiesz. Nie potrafiłam się do tego zmusić. Christopherze, ja mam

czterdzieści pięć lat.

- I od śmierci swojego męża nie byłaś tak podniecona.

- Muszę wracać do sklepu.

- Tak, o niczym innym nie marzysz. - Wciąż mieli zamknięte oczy. Chris pieścił jej piersi, napełniając ją drzeniem aż po czubki palców. Ich nogi nadal splatały się ze sobą, stopa Lee wspierała się o jego łydkę. Wsunął jej dłoń pod plecy, jakby chciał rozpiąć jej biustonosz.

- Nie rób... proszę. Wystarczy już. Proszę, Christopherze... proszę... Mogę się zapomnieć.

Znowu zaczął ją pieścić przez biustonosz.

- I tak w końcu wylądujemy w łóżku i ty o tym wiesz.

- Mój Boże, ktoś mnie tu uwodzi.

Odchyliła głowę do tyłu, a Chris ją całował jej szyję.

- Owszem, ktoś cię uwodzi.

- Trzydziestoletni chłopak.

- Trzydziestolatek nie jest już chłopcem.

- Nie jest, czuję to.

- To co pani powie... pani Robinson?

Uśmiechnęła się. Otworzywszy oczy, opuściła je w dół, napotykać jego spojrzenie. On także się uśmiechał, żartował z niej sobie. Leżeli na dywanie, wpatrując się z bliska w swoje twarze... jej oczy były rdzawe, jego niebieskie.

- Uświadomiłam sobie właśnie, że robię dokładnie to, przed czym przestrzegałam Joeya w sobotnią noc. Ładna ze mnie matka: jednym kątem ust wygłaszam kazania, a drugim flirtuję, ale, niech to diabli, Christopherze, tak mi z tobą dobrze, że nie mogę wprost tego wyrazić. Ale jeśli pójdziemy do łóżka - co wtedy? Dokąd nas to doprowadzi? Co będzie, jeśli ktoś to odkryje?

- Potrafisz znaleźć mnóstwo przeszkód, wiesz? Może doprowadzi nas to tylko do tego, że będziemy się dobrze ze sobą bawić, ale co w tym złego? Cieszenie się sobą w łóżku wydaje mi się normalnym dopełnieniem cieszenia się sobą poza łóżkiem. Co więcej, oboje jesteśmy wolni. Oboje jesteśmy dorośli. Oboje bardzo tego pragniemy.

- Powiedz to jeszcze raz, mój chłopcze. - Lee sturlała się z niego i usiadła. Była roztrzęsiona, rozkojarzona, nie wiedziała, co myśleć. Ich nogi wciąż jeszcze były ze sobą splątane. Nie uwalniając się całkiem, wsparła łokieć na kolanie i odgarnęła włosy z twarzy. - Dobrze, przypuśćmy, że pójdziemy do łóżka. Żyję we współczesnym świecie, wśród współczesnych problemów. Chciałabym coś wiedzieć o twoim dotychczasowym życiu

seksualnym.

Chris także usiadł, rozchylając szeroko nogi. Ujął jej stopę, wsunął gładką podszewę w swoje krocze i przytrzymał ją tam lekko, jedną ręką, gładząc jej skórę poprzez nylon rajstop.

- Jeżeli prezerwatywa ci nie wystarcza, to powiedz tylko, a jutro rano pójmę do lekarza i dam sobie zrobić testy na AIDS.

Może i Lee żyła we współczesnym świecie, ale usłyszawszy to zdanie, otworzyła usta ze zdumienia. Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Nic z tego, co dzisiaj powiedział, nie poruszyło jej bardziej niż te słowa - chcieć zrobić coś takiego, cóż to za akt wiary ze strony mężczyzny!

- Mówisz poważnie, prawda?

- Oczywiście, że mówię poważnie. Rozpocniemy z czystą kartą. Patrzyła na niego, czując, że ogarnia ją nowy lęk. Pomyślała, że być może - Jezu Chryste, jak mogło do tego dojść? - zaczyna go kochać. Mężczyznę o piętnaście lat młodszego od siebie.

- Ostatnio - ciągnął dalej spokojnie - byłem w łóżku z kobietą jakieś dwa lata temu. Chodziliśmy ze sobą przez mniej więcej pół roku, a potem ona wyjechała do Teksasu. Dostała tam pracę. Wcześniej były chyba cztery inne, jeszcze w szkole średniej. Nigdy nie byłem, że tak powiem, kobieciarzem. Można mnie raczej określić jako samotnika.

Lee wysunęła stopę spomiędzy jego nóg i usiadła na niej. Ujęła jego rękę w swoje obie dłonie. Przyglądała się jej, to rozsuwając szeroko palce, to znów łącząc je ze sobą.

Po chwili zamyślenia uniosła wzrok na jego czystą, ładną twarz.

- Potrzebuję trochę czasu, żeby to przemyśleć, Christopherze. Wciąż nie wydaje mi się to właściwe.

- Bo jestem młodszy?

- Poniekąd.

Spojrzał na swoją dłoń zamkniętą w jej dłoniach, na rozchylane i zsuwane palce.

- Cóż, tego nie jestem w stanie zmienić. Zawsze już będę młodszy i zawsze znajdą się tacy, którzy oskarżą cię o deprawowanie nieletnich. Wiem o tym.

Zapadła pełna przygnębienia cisza. Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Bardzo, bardzo podoba mi się mój prezent. Spośród wszystkich ludzi, jakich zdarzyło mi się znać, żaden nie wykazał takiej intuicji jak ty. Nawet Bill, mówię poważnie.

Chris uśmiechnął się do niej niepewnie. - No cóż, to jakiś początek, prawda?

Lee także się uśmiechnęła. - A teraz naprawdę już muszę wracać do pracy. Czy mogę najpierw skorzystać z twojej łazienki?



- Pewnie.

Wzięła ze sobą torebkę. Przyczesła włosy i pomalowała usta. Kiedy wyszła, Chris wyjmował z szafy jej kurtkę. Pomógł jej się ubrać, a potem odwrócił ją ku sobie.

Przechylając głowę, pocałował ją na pożegnanie, przeciągle i delikatnie.

Kiedy skończył, Lee położyła mu na ustach palec wskazujący.

- Dziękuję za lunch.

- Proszę uprzejmie. Zawsze do usług.

- I za bilety.

Chris uśmiechnął się tylko w odpowiedzi i pocałował ją w palec. - Czekam na ciebie w Wigilię - powiedziała cicho, odrywając się do niego. - O jedenastej. - Ostatnie słowo wypowiedziała szeptem: - Pa.

## ROZDZIAŁ 13

Zarówno w Wigilię, jak i w Boże Narodzenie, Chris miał służbę od trzeciej do jedenastej. Wiadomo było, że w ten szczególny wieczór, podczas tej akurat zmiany, nadzwyczaj dużo jest nagłych wezwań, choć na ogół okazywało się, że wcale nie są one tak pilne. Pochodziły od ludzi samotnych, bez rodziny i przyjaciół, którzy - żeby nie spędzać Wigilii samotnie - wymyślali sobie jakieś dolegliwości w nadziei, że trafią na pogotowie. Tam można było spotkać ludzi, porozmawiać; ktoś zwracał na nich uwagę, ludzkie ręce pielęgnowały ich i dotykały.

Dyżurujący tego dnia mogli się spodziewać telefonu starej Loli Gildress, która śmierdziała tak okropnie, że po dowiezieniu jej na miejsce policjanci musieli przez kilka minut wietrzyć wozy patrolowe. Woreczek żółciowy Franka Tinkera również każdego roku dawał znać o sobie. Staruszek nazywał każdego policjanta „synkiem”, proponował szczyptę tabaki ze swej tabakierki, przez całą drogę pluł do puszki po napoju i zawsze pytał funkcjonariuszy, którzy wieźli go do szpitala, czy nie mieliby nic przeciwko temu, żeby pojechać przez Brisbin Street. Tam zaś kierował swe kaprawe ślepie na pewien jednopiętrowy budynek, gdzie jako chłopiec mieszkał wraz z sześciuosobową rodziną, z której poza nim nie żył już nikt. Zwykle dzwoniła także Elda Miński, a kiedy do niej przyjeżdżali, wybiegała z domu w nadgryzionym przez mole kołnierzu z lisa, rocznik 1930, oraz ogromnym, ozdobionym cekinami turbanie, wciśniętym na łysą głowę. Bardzo chciała opowiedzieć policjantom o tym, jak umknęła przed rosyjską rewolucją i przyjechała do Ameryki, aby śpiewać opery na tych samych scenach, na których występowali Caruso i Paderewski. Wszelako osobą, na którą wszyscy naprawdę czekali, była Inez Gurney, ta słodka, starsza pani, zgięta jak klucz basowy, która wychodziła ze swego domu drobnymi krokami - największymi, na jakie mogła się zdobyć - niosąc puszkę niemieckich herbatników maślanych, aby poczęstować nimi każdego, kto będzie tak miły, by życzyć jej wesołych świąt.

W tym roku na wezwanie Inez odpowiedział Christopher.

Kiedy zapukał do jej drzwi, była gotowa do wyjścia. Na głowie miała robioną na drutach wełnianą czapkę, zawiązaną pod brodą, na nogach antyczne kalosze, zapinane z przodu na zamki błyskawiczne, a wokół kostek ozdobione futerkiem. Chodziła nie odrywając obcasów od ziemi.

- Coś nagłego, pani Gurney? - zapytał Chris, dotykając palcem daszka czapki.

- Tak, na Boga, ale nie było potrzeby tak się spieszyć. - Samogłoski świszczą na jej

sztucznej szczęce, odstającej od zapadniętych dziąseł. - W tej chwili czuję się trochę lepiej. Gdybyś zechciał podać mi rękę i zabrać to, młody człowieku...

Chris wziął od niej czerwoną puszkę z wymalowanym na wieczku świątecznym stroikiem, po czym poprowadził staruszkę w stronę wozu patrolowego.

- Pomyślałam sobie, że lekarzom mogą posmakować moje maślane herbatniki. - Co roku mówiła to samo. - Oczywiście ty także możesz ich spróbować. Och, jejku, jejku... - Próbowała spojrzeć w niebo, lecz osteoporoza nie pozwoliła jej na to. - Swoją drogą, czyż nie piękny dzisiaj wieczór? Jak sądzisz, czy uda się nam zobaczyć gwiazdę betlejemską?

- Myślę, że tak, ale ja nie wiedziałbym, która to jest. A pani? Przystanął, aby dać jej odpocząć. Staruszka znowu spróbowała spojrzeć w górę, przyginając kolana i preżąc sztywne, stare ciało.

- Nie, chyba nie, ale kiedy byłam mała, tato nauczył mnie rozpoznawać Kasjopeję, Oriona i wszystkie gwiazdozbiory. Mieszkaliśmy na farmie koło Ortonville. Jeejku, nad prerią to dopiero było niebo. Byłeś kiedyś w Ortonville, młody człowieku?

- Nie, proszę pani, nie byłem.

- To rolnicza kraina. A przy tym jest tam mnóstwo gęsi. Jesienią odlatywały całymi chmarami. Było ich tak dużo, że po prostu zasłaniały słońce. A kiedy usiadły na polu kukurydzy, to ich głosy niosły się jak dźwięk trąbek aż do Montevideo. Tata zawsze strzelał jedną na Święto Dziękczynienia i jedną na Boże Narodzenie.

Ruszyli dalej w stronę wozu patrolowego. Christopher trzymał staruszkę pod ramię, dostosowując krok do jej drobnych kroczków, podczas gdy ona opowiadała mu o bożonarodzeniowych obiadach na farmie pod Ortonville, o farszu z kiszonej kapusty, który robiła jej matka. Zdradziła mu też, co w jej domu rodzinnym dodawano do buraków, aby były zarówno słodkie, jak i kwaśne. Przyznała też, że sama nigdy nie nauczyła się przyrządzać buraków tak jak matka.

Kiedy doszli do samochodu, trzeba było pomóc jej wsiąść, a potem wsunąć jej nogi do środka.

- Niech pani uważa na torebkę - powiedział Chris, zamykając drzwi. Z wozu powiadomi! dyspozytora, gdzie jest i dokąd się kieruje.

- Czy chcesz skosztować moich ciasteczek? - zapytała pani Gurney.

- Z przyjemnością. Jestem kawalerem, więc nie jadam zbyt często domowych słodyczy.

- Używam tylko prawdziwego masła i kardamonu. Niektórzy sądzą, że to gałka muszkatołowa, ale to jest kardamon. To mój sekret. - Biedziła się strasznie z otwarciem

puszki. Końce palców miała mocno zagięte, a jej skóra przypominała upstrzony przez myszy ryżowy papier. - No i proszę - powiedziała kiedy pokrywka wreszcie ustąpiła.

Po drodze do Szpitala Miłosierdzia Chris zjadł trzy ciasteczka. Kiedy powiedział jej, że w życiu nie jadł czegoś tak smacznego, na pomarszczonej twarzy staruszki pojawił się uśmiech. - ....

Potem, w jasno oświetlonej izbie przyjęć szpitala, patrzył, jak pani Gurney odjeżdża w fotelu na kółkach, ze swoją puszką na kolanach, opowiadając młodej pielęgniarce o prawdziwym maśle i kardamonie, których użyła do swoich ciasteczek.

Kiedy wrócił do samochodu, Chris poczuł niewysłowny smutek. W ustach miał jeszcze posmak tej nieznannej przyprawy o dziwnej nazwie - kardamonu. W wozie pozostał leciutki zapach naftaliny, więc Chris pomyślał, że może pani Gurney trzyma ją w łóżku, aby zakonserwować swoje ciało. Biedactwo. Biedna, samotna staruszka. A przecież, mimo swej samotności, czuła potrzebę obdarowania kogoś na Wigilię. Czy jest coś bardziej żalosego niż osoba, która nie ma kogo obdarować?

Te myśli przypominały mu o własnych rodzicach, którzy - obdarowani przez los dwojgiem dzieci - zmarnowali ich oboje. Ciekawe, co robią dzisiaj w swoim posepnym małym mieszkaniu w Jackson Estates. Czy mają choinkę? Uroczystą kolację? Prezenty? Cokolwiek? I gdzie teraz jest Jeannie? Nadal kiśnie w Los Angeles z tym swoim handlarzem narkotyków? Wciąż jest taka gruba, ma tłuste włosy?

Wciąż żyje tak samo jak ich rodzice? Wyobraził sobie, jak by to mogło być, gdyby Jeannie została tutaj, skończyła szkołę średnią, wyszła za mąż za jakiegoś porządnego faceta i miała z nim dzieci. Jak jej dom wyglądałby dzisiaj? Czy on sam poszedłby tam z prezentami dla siostrzeńców i siostrzenic? Może pomagałby szwagrowi wkładać zabawki do skarpet dzieciaków. Spróbował sobie wyobrazić swoich rodziców w roli dziadków, ale ten obraz nie chciał powstać w jego umyśle.

Boże, jakie ciche były w Wigilię ulice miasta. Samochody widziało się tylko przed kościołami. Choć raz bary były pozamykane. Nawet świąteczne ozdoby, które zwieszały się z lamp na Main Street, wydawały się smutne.

Przejechał obok domu Lee, ale nie zobaczył żadnego ruchu. Prawdopodobnie oni także byli w kościele.

Objechał rondo na końcu Benton Street i jeszcze raz minął jej dom, nie mogąc się doczekać końca służby, żeby tam wrócić.

Kiedy zawrócił do centrum, jego radio milczało. Nie zatrzymał się na zachodnim końcu Main, tylko pojechał dalej, w kierunku swojego domu. Sprawdził, czy ma radio przy

pasie, po czym ruszył do mieszkania. Podszedł do lodówki, otworzył jej drzwi i stał długą chwilę, spoglądając na szynkę. Wielki kawał mięsiwa, owinięty w siatkę; musiał ważyć z osiemnaście funtów. Takie szynki dostali wszyscy funkcjonariusze, którzy latem odpowiedzieli na wezwanie i uratowali syna jakichś bogatych ludzi, który wpadł do basenu.

Tutaj była ta szynka.

Tam, w Jackson Estates, byli jego rodzice.

Sięgając po bryłę mięsa, Chris zdał sobie sprawę, że nie różni się tak bardzo od Inez Gurney.

Hol w Jackson Estates pachniał stęchłymi warzywami. Na ścianach widniało mnóstwo czarnych plam. Krawędzie futryn były zupełnie starte, a na niektórych drzwiach widać było ślady kopania. W połowie obskurnego korytarza leżał zardzewiały, trójkątny rowerek i trzy papierki po cukierkach. Chris zapukał do drzwi oznaczonych numerem sześć i czekał. Chyba nawet Trzej Królowie nie szli do Betlejem tak długo, jak jego matka do drzwi.

- Cześć, Mavis - powiedział Chris, kiedy je w końcu otworzyła.

- Czego chcesz?

- Przyszedłem tylko życzyć wam wesołych świąt.

- Kto przyszedł, Mavis? - doleciał z wnętrza ochrypły głos.

- Pospiesz się i zamknij te cholerne drzwi, dobrze? Ten dom jest zbudowany jak klatka na kurczaki!

- Dobra, dobra! - warknęła kobieta przepitym głosem.

- Skończ z tym biadoleniem, sukinsynu. - Potem, zwracając się do Chrisa, dodała: - No to wejdz. Ty tu stoisz na korytarzu, a stary mi truje dupę.

Kiedy wszedł do środka, usłyszał kaszel ojca. Stary siedział w rozlatującym się fotelu, obok metalowego stolika pod telewizor. Prócz butelki whisky i szklanki, na blaszonym blacie stał słoik cukierków Vick, pudełko chrupek kukurydzianych i talerz po jakimś gotowym daniu. Leżał tam też program telewizyjny. Pomiedzy tronem starego a podobnym zestawem, stojącym o dwa kroki dalej, wysoka na jakieś półtorej stopy choinka przechylała się niczym krzywa wieża w Pizie. Świątełka, przymocowane do niej na stałe, lśniły mgliście poprzez dym z papierosa Mavis, który wciąż jeszcze tlił się w popielniczce. Ona w przeciwieństwie do męża, piła miętówkę.

W pokoju unosił się zapach wódki, zmieszany z aromatem cukierków, dymu i sosu do steków, zaschniętego na dnie ich foliowych talerzyków.

- I co powiesz, starszku? - zapytał Christopher, wchodząc do cuchnącego pokoju. Z głośnym stuknięciem położył szynkę na stole w przyległej kuchni.

- Nic nie powiem. Skurwysyński katar mnie dopadł. Co się stało, że przychodzisz tu wystrojony w mundur? Chcesz pokazać mamusi i tatusiowi, jaki jesteś ważny?

- Ed, daj chłopcu spokój - powiedziała Mavis. Zaniosła się chrapliwym kaszlem wskazującym, według nikotynowej skali Richtera, na jakieś dwie paczki dziennie.

- Przyniosłem wam szynkę - wyjaśnił Chris.

- Szynkę... no cóż, to miłe - stwierdziła Mavis. - Masz, napij się.

- Jestem na służbie.

- Ach, słusznie. Co tam, do licha... jednego malucha. Są święta.

- Ja nie piję.

- No tak, prawda.

- On nie pije, Mavis - zaczął szydzić stary. - Nasz świętoszko waty, wymachujący splotką, uczciwy obywatel gliniarz, nie bierze tego paskudztwa do ust, prawda, panie oficerze?

Dlaczego znowu tu przyszedł? Dlaczego znowu naraził się na ból, jaki zawsze przynosiły mu te chwile utraty zdrowego rozsądku.

- Powinniście spróbować skończyć z pićm - powiedział Edowi. - Jeżeli tylko zechcecie, chętnie wam pomogę.

- Przyszedłeś wygłosić swoje bożonarodzeniowe kazanie, co? Skończę z pićm, jak będę chciał! Powiedziałem ci już! Jak ci się zdaje, że możesz tu przyjść, rzucić cholerną szynkę na stół i zacząć nas umoralniać, to zabieraj stąd dupę!

- Daj spokój, Ed - uspokajała go Mavis. - Siadaj, Chris.

- Nie mogę. Ciągłe mamy pilne wezwania, chociaż to Wigilia. Pomyślałem tylko...

Co pomyślał? Że się zmienili? Że ulegli magicznej przemianie, kisańc tu dzień po dniu w alkoholowym bigosie, który sami sobie zgotowali? Jezu, jak oni cuchnęli, jacy byli żałośni.

- Miałaś jakieś wiadomości od Jeannie? - zapytał.

- Ani słowa - odparła Mavis. - Można by pomyśleć, że będzie miała na tyle przyzwoitości, żeby przysłać matce i ojcu kartkę na święta, ale nawet tego się nie doczekali.

Nie pojmowała, nie dostrzegała tego, że wcale nie zasługują na miłość ani jakkolwiek uwagę ze strony swoich dzieci. Począć dziecko w swym łonie i wydać je na świat to za mało, żeby człowiek był godny miana „rodzica”.

Chris poczuł, że w miarę jak na nich patrzy, coraz bardziej zaczyna go mdlić.

- No cóż... życzę wam smacznego. Muszę już iść.

Mavis poszła go odprowadzić, chociaż wolał, żeby została w swoim fotelu; nie czułby stęchłego zapachu wódki i dymu w jej oddechu, jej cuchnące ciuchy nie ocierałyby się o jego

mundur i nie musiałby oglądać jej poplamionych nikotyną palców na klawce.

Na szczęście nie dotknęła go, ani - co byłoby jeszcze gorsze - nie pocałowała w policzek, jak czasem robiła.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, pomknął w stronę świeżego powietrza, ku czystej, rozgwieżdżonej nocy, pośród której, gdzieś tam, ludzie modlili się w kościołach, obdarowywali się prezentami i śpiewali kolędy przy dźwiękach fortepianu.

„Lee, proszę, bądź tam, kiedy przyjadę o jedenastej,” pomyślał.

Zgodnie z tradycją państwo Hillierowie spędzali Wigilię w domu Lee, natomiast pierwszy dzień świąt u Sylvii. Lloyd co roku przychodził w Wigilię około południa i zostawał na noc, aby rano być przy otwieraniu prezentów. Janice oczywiście przyjechała z college'u.

Ku zaskoczeniu Lee, Sandy Parker też wpadła do nich po południu na jakąś godzinę. Choć Lee nie lubiła jej zbyt mocno, stwierdziła, że zaczyna patrzeć na tę kędzierzawą, ciemnonocną brunetkę jak na osobę, z którą jej syn ćwiczy pierwsze pocałunki, a może nawet coś więcej.

Nolan, Sandy, Jane i Kim, kochani młodzi ludzie, którzy przeculi, że podczas tych świąt w miejscu, gdzie niegdyś zasiadał Greg, będzie ziała wielka, smutna dziura, także wpadli do domu Restonów.

O szóstej odbyło się w kościele nabożeństwo przy świecach, po którym Lee podała wszystkim potrawę z ostryg i ciasto żurawinowe z gorącą polewą, które w jej domu były tradycyjnymi wigilijnymi potrawami.

Wszyscy otworzyli prezenty od Orrina i Peg, lecz z resztą postanowili poczekać do następnego ranka. Obejrzeliby występ Pavarottiego ze studwudziestoosobowym chórem, transmitowany z jakiejś ogromnej, gotyckiej świątyni. Tak bardzo brakowało im Grega, że co chwilę ktoś odchodził na bok, żeby się wypłakać.

O dziesiątej Orrin i Peg oświadczyli, że wracają do domu.

- Och, nie możecie zostać jeszcze trochę? - zapytała Lee. - Christopher kończy służbę o jedenastej i ma do nas przyjść.

- Przykro mi, kochanie, ale nie możemy. Musimy wstać dość wcześnie, żeby pojechać do Sylvii i otworzyć prezenty wraz z jej rodziną.

- Nie wiedziałam, że Chris przychodzi dzisiaj - powiedziała Janice. - Sądziłam, że zjawi się dopiero rano.

- Biedak musiał pracować w Wigilię od trzeciej do jedenastej, więc obiecałam mu, że zostawię trochę potrawki z ostryg, żeby mógł wpaść przed północą na małą przekąskę.

- Życz mu od nas wesołych świąt - poprosiła Peg. - Może wpadniemy jutro, albo, jeśli macie ochotę, wstąpcie do Sylvii po południu.

- Może wstąpimy, ale wiecie jak to jest. W Boże Narodzenie wszyscy lubią tu siedzieć i bawić się swoimi nowymi zabawkami.

Kiedy Orrin i Peg wyszli, Lee obwieściła: - Pora wkładać prezenty do skarpet.

Nigdy nie zarzucili tego zwyczaju. Każde z nich, nawet Lloyd, poszło do swego pokoju, aby wyjąć torbę małych podarunków, które wszyscy chomikowali przez kilka ostatnich tygodni. Skarpeta, oznaczona w zeszłym roku imieniem Greg, w tym roku ozdobiona była napisem Chris.

- Mam nadzieję, że żadne z was nie ma nic przeciwko temu, że w tym roku włączyłam Chrisa - powiedziała Lee.

- Chris jest w porządku - stwierdził Joey.

- Mam coś specjalnego do jego skarpety - obwieściła Janice.

- Co takiego? - zapytał jej brat.

- Nie twój interes. Dla ciebie też mam coś specjalnego.

- Co?

Dziewczyna wepchnęła zawinięty w serwetkę prezent do jego skarpety.

- Daj zobaczyć!

- Zmykaj, wściubinosie!

Zaczęli się szamotać na dywanie. Patrząc na nich, Lloyd uśmiechał się szeroko.

Piętnaście po jedenastej, kiedy przybył Chris, wszystko już ucichło. Na choince paliły się światełka, w telewizji powtarzano stary koncert świąteczny Jamesa Galwaya, a skarpety z prezentami zwisały z poręczy stojącego obok drzewka fotela, który, odkąd tylko znalazł się w domu, służył jako namiastka kominka.

Christopher, wciąż jeszcze w mundurze, wszedł do środka, niosąc stertę prezentów. Wszyscy obiegli go natychmiast, zachwycając się pakunkami, pomagając mu się rozebrać, życząc wesołych świąt. Wreszcie Janice wzięła go za rękę i poprowadziła w stronę pokoju dziennego.

- Chodź, zobacz co tu jest dla ciebie.

Gdy ujrzał skarpetę ze swoim imieniem, poczuł, że w sercu wzbiera mu coś wielkiego. Patrzył na nią oczyma, które nagle zaczęły go piec i zastanawiał się, w jaki sposób udało mu się zostać przygarniętym przez tę rodzinę. Jak urzeczony wyciągnął rękę...

I dostał w nią przyjacielskiego klapsa.

- Nie, jeszcze nie! - skarciła go Janice. - Musisz poczekać do rana, tak samo jak



wszyscy.

- Czy nie wymagasz za wiele? - odparł żartem.

Janice ujęła dłoń, którą przed chwilą klepnęła. Zaborczym gestem wsunęła palce pomiędzy palce Christophera. - Popatrz tutaj... jest tego więcej.

Rzeczywiście, pod choinką leżały prezenty opatrzone jego imieniem. I to nie jedna, a kilka paczek!

- Dziadek, Joey i ja obgadaliśmy sprawę. Uznaliśmy, że powinieneś tu zostać na noc, bo wtedy będziesz z nami rano, kiedy się obudzimy. Mamo, zgadzasz się, prawda? Żeby Chris został na noc?

Christopher zaczął protestować. - Hej, zaczekaj chwilkę, Janice. Nie wydaje mi się...

- Mamo, zgadzasz się, prawda? - powtórzyła dziewczyna.

- Oczywiście, że się zgadzam.

- Dziadek śpi w pokoju Joeya - wyjaśniła Janice - a ty możesz spać na kanapie.

- Janice, naprawdę... Nie zdjąłem jeszcze munduru i... - Joey ma jakiś stary, rozciągnięty dres, prawda, Joey?

Wyglądało na to, że zdecydowano za niego. Nie minęło wiele czasu, a zdjawszy krawat, pas z kaburą i kuloodporną kamizelkę, siedział na podłodze w salonie z miseczką potrawy z ostryg na kolanach. Reszta rodziny rozwaliała się wokół niego, zajadając po drugim kawałku ciasta. Wyłączyli telewizor, paliły się tylko światełka na choince. Chris skończył potrawkę, zjadł kawałek ciasta, po czym opowiedział o Loli Gildress, Franku Tinkerze, Eldzie Miński i Inez Gurney. Nie wspomniał, że zawiózł szynkę rodzicom.

Powiedział o tym Lee nieco później, kiedy już wszyscy rozeszli się do pokoi. Dano mu szczoteczkę do zębów, koce, poduszkę i dres Joeya. Lee przeszła korytarzem, gasząc światło i stukając do drzwi. - Dobranoc wszystkim - wołała.

- Kto rano wstanie pierwszy, budzi całą resztę, dobrze?

- Dobrze - odpowiedzieli wszyscy, moszcząc się w swoich łóżkach. Poszła do kuchni, gdzie nad piecem paliła się ostatnia lampka. - Joey - y - y - y - zawołała. - Znowu zapomniałeś zgasić światło w kuchni.

Przechodząc obok salonu, powiedziała: - Dobranoc, Christopherze. Nie zaśnij przy tej choince.

- Lee, przyjdź tu na chwilkę, dobrze?

Weszła do pokoju. Chris leżał na plecach, z rękoma wsuniętymi pod głowę, okryty starą kołdrą jej matki.

Stała obok niego.

- Tak? - powiedziała cicho.

Wyciągnął dłoń ponad głowę. Lee wsunęła w nią swoją, a Chris przyciągnął ją na skraj kanapy. Uklękła na podłodze, tuż przy nim.

Ujął jej twarz w obie dłonie i przyglądał się jej uważnie w przyćmionym świetle lampek, padającym zza jego pleców.

- Kocham cię, Lee - powiedział.

Nie spodziewała się tego, w każdym razie nie tak szybko, nie w tak bezpośredni sposób. Myślała, że może kiedyś, kiedy bardziej się zżyją, powie jej coś w tym rodzaju. Lecz te proste słowa, których powodem nie stała się żadna randka, a jedynie świąteczny nastrój, poruszyły ją bardziej niż wszelkie wywołane namiętnością wyznania. Każdą komórką swego ciała pragnęła być bliżej niego. Nie mogła już dłużej powstrzymać tych słów, a wypowiadając je, nie potrafiła się pohamować, by nie dotknąć jego twarzy.

- Ja też cię kocham, Christopher.

Nie pocałował jej, westchnął tylko i przyciągnął ją do siebie, tak że jej głowa spoczęła na jego piersi, a czoło dotknęło podródk.

- Chcę ci coś powiedzieć. Muszę ci to powiedzieć, dobrze? Przytulona do jego piersi, słyszała jak przełyka ślinę.

- Oczywiście - odpowiedziała.

Odczekał kilka chwil, jak gdyby chciał odzyskać równowagę, zanim przejdzie do rzeczy.

- Pojechałem dziś wieczorem odwiedzić moich rodziców. Zawiozłem Inez Gurney do szpitala i zrobiło mi się jej tak cholernie żal, że jest zupełnie sama w Wigilię. A kiedy wsiadłem z powrotem do wozu, zacząłem myśleć o Mavis i Edzie, chyba wydali mi się bardzo podobni do starej Inez. Do diabła, są święta... oni mieszkają po drugiej stronie miasta... a ja ich wcale nie widuję. - Przerwał na chwilę, po czym ciągnął dalej, jakby wyrывая się z roztargnienia. - W każdym razie... - Odchrząknął. - Pojechałem ich odwiedzić. Wstąpiłem do domu, wziąłem szynkę, którą pewien wdzięczny obywatel obdarował pracowników naszego komisariatu, i zawiozłem im. - Lee znowu usłyszała, jak przełyka z trudem. - To było okropne. To po prostu dwójka starych, schorowanych pijaków, których nic nie obchodzi ani ja, ani oni sami. Siedzą tam tylko, przepijając życie. To takie cholernie bezsensowne.

Spojrzał na światelka na choince. Łzy, które zakręciły mu się w oczach, zamieniły je w tysiące gwiazdek.

Lee uniosła głowę, aby spojrzeć mu w twarz.

- Christopherze, posłuchaj mnie. - Zobaczyła jego połyskujące oczy, ujęła róg kołdry i otarła mu łzy. - Oni dali ci życie i za to powinieneś być im wdzięczny. W jakiś sposób, pośród ich wstrętnych genów i chromosomów znalazło się kilka dobrych, dzięki którym stałeś się dobrym człowiekiem, takim, który troszczy się o bliźnich. Ale z drugiej strony - unikali wszelkiej odpowiedzialności. Już nigdy więcej nie będę cię namawiała, żebyś do nich poszedł, bo nie zasługują na ciebie. Podobno alkoholizm jest chorobą. Ale charakter nie jest. Ich charakteru, a raczej jego braku, nie da się niczym wytłumaczyć. Odkąd cię poznałam, odkąd dowiedziałam się, jak wyglądało twoje dzieciństwo i jak wpłynęło na twoje dorosłe życie, doszłam do wniosku, że masz rację: rodzice muszą zdobywać miłość dzieci. Oni nie zrobili nic, żeby zdobyć twoją. A teraz przestań już siebie winić za to, że nie potrafisz ich kochać.

Pocałował ją w czoło i rzekł: - Jesteś dla mnie taka strasznie dobra.

Lee, wsparta jedną ręką na piersiach Chrisa, przegarniała palcami jego włosy, muskając kciukiem czoło. - Tak, jestem - szepnęła.

- A ty jesteś dobry dla mnie.

Popatrzył na nią nieco zdziwiony. - Czy naprawdę powiedziałaś, że mnie kochasz?

- Powiedziałam. Oboje powiedzieliśmy... i to wcale nie mimo chodem. To chyba coś znaczy, prawda?

Dumali nad tym przez chwilę.

- Dzięki za skarpetę - powiedział w końcu Chris.

- Nie wiesz jeszcze, co w niej jest. Może guzik z pętelką. Gwałtowne emocje, z którymi zmagał się przez cały wieczór, wzięły wreszcie górę. Objął ją mocno, przycisnął do piersi i zaciskając powieki, które piekły go nieznośnie, wsunął twarz w jej włosy. Poddał się mieszaninie przygnębienia i beztroski, którą przyniósł mu ten wieczór.

Rodzice - to była zupełna porażka.

Ta kobieta koła jego ból.

- Dziękuję ci za to wszystko - powiedział łamiącym się głosem.

- Nie mam pojęcia, czym sobie na to, do diabła, zasłużyłem.

Lee pozwoliła mu się obejmować. Słuchała, jak przełyka wielkie grudy wzruszenia. W końcu, kiedy ją puścił, uniosła głowę i spojrzała mu w twarz.

- Czujesz się teraz lepiej?

Kiwnął potakująco głową, ocierając łzy wierzchem dłoni.

Z ogromną czułością pocałowała go w usta, po czym szepnęła:

- Zobaczymy się rano. I żadnego grzebania w skarpetach, dopóki wszyscy nie wstaną.

Janice obudziła się pierwsza, krótko po wschodzie słońca. Przemknęła na palcach do kuchni, włączyła ekspres do kawy, po czym wsunęła głowę do salonu. Christopher leżał na boku, z rękoma uniesionymi do twarzy. Spod kołdry wystawało jego podciągnięte do góry kolano oraz goła stopa.

Dziewczyna przyjrzała się jej - to była średniej wielkości, szczupła stopa, z kilkoma jasnymi włoskami na palcach. Przyjrzała się jego prawej dłoni, której swobodnie przygięte palce skierowane były ku górze. Popatrzyła na jego włosy, tak gęste i sprężyste, że po całej nocy nie wydawały się wcale zmierzwiłone. Spojrzała na jego usta, lekko rozchylone we śnie, zachęcające do pocałunków.

W korytarzu szcęknięły otwierane drzwi i Christopher otworzył oczy. Trzasnęły drzwi łazienki, a wtedy obudził się zupełnie, zobaczył stojącą w wejściu Janice i zaczął się przeciągać, unosząc łokieć w stronę sufitu.

- Ooo... cześć... - wymamrotał, wciąż jeszcze się przeciągając.
- Zaspałem?
- Nie. Wszyscy właśnie zaczynają się budzić. - Uśmiechnęła się.
- Wesołych świąt.
- Dzięki. Wzajemnie. Czyżbym czuł zapach kawy?
- Jasne. W łazience będzie teraz korek, więc wypij filiżankę, zanim doczekasz się swojej kolejki.
- Dzięki. Wypiję.
- Wczoraj wieczorem, kiedy się już położyłam, słyszałam że rozmawiałeś z mamą. Czekała przez chwilę, aż Chris zastanowi się, co by chciała usłyszeć.
- Tak. Musiałem jej o czymś opowiedzieć.
- Długo rozmawialiście?
- Niedługo. Może z dziesięć minut.
- Jest wspaniała, prawda. Można z nią mówić o wszystkim.
- Z całą pewnością. Wiem o tym od Grega. Zawsze to o niej mówił.
- Odkąd zaczęły się święta, było tu bez niego dość paskudnie, ale wszyscy nadrabialiśmy miną.
- Wiem. Ja też za nim tęsknię.

Janice wsparła policzek o dłoń, którą trzymała na framudze. - Dziękuję ci za to, że wypełniłeś jego miejsce, Chris. To, że tutaj jesteś, wiele dla nas wszystkich znaczy. Zwłaszcza dla mamy.

Fakt, że przez całą resztę dnia udawało im się ukrywać uczucia, był przejawem czystej

determinacji. Wciąż jeszcze w szlafrokach i dresach siedzieli na podłodze w salonie, wyjmując łupy ze skarpet. Śmiali się serdecznie ze swoich znalezisk, takich jak cukierki w kształcie robaków, guma do żucia o nazwie „jaja Moskita”, długie jak spaghetti sztuczne rzęsy, skarpetki udające niedźwiedzie łapy oraz czerwone nosy kłownów, które wszyscy zaraz założyli, nie przestając oglądać prezentów. Janice kupiła Joeyowi podręcznik wychowania seksualnego dla nastolatków, który wywołał trochę śmiechu i lekki rumieniec, Lloyd zaś ofiarował wszystkim kupony do McDonalda. Ponadto Christopher znalazł w swojej skarpecie małe buteleczki płynu po goleniu, talię kart do gry, breloczek do kluczy, a także pieczętę ze swym domowym adresem (podarunek od Joeya, który zaskoczył go, oznaczał bowiem, że już od dawna planowano, iż będzie tutaj tego ranka). Od Janice natomiast dostał dwa bilety na mecz Timberwolvesów.

- Jeśli nie masz z kim iść, to daj mi znać. Uwielbiani Wolvesów - powiedziała dziewczyna.

- Ojej, dzięki, Janice - odparł Chris. - To całkiem możliwe. Gdy wszystkie skarpety były już puste, napili się soku i kawy, po czym znowu zasiedli w salonie, aby rozpakować prezenty spod choinki. Christopher starannie obmyślił swoje podarunki dla każdego z nich. Joeyowi ofiarował przedmiot pożądanego nastolatka - okulary słoneczne Oakley z niebieskimi szklami o metalicznym połysku i z takimż sznurkiem do zawieszania na szyi. Janice zafundował wyprawę do Horsta. Był to, jak zapewniały go dziewczęta z komisariatu, jeden z lepszych salonów piękności w Bliźniaczych Miastach. Lloyd dostał od niego członkostwo pewnego klubu rekreacyjnego z własną trasą spacerową. A ponadto każdy z domowników otrzymał ostatnie zdjęcie, jakie zrobił Gregowi, powiększone do rozmiaru dziewięć na trzynaście i oprawione w ramkę.

Te zdjęcia oczywiście wywołały łzy, ale... Lloyd, stojąc z ramką w dłoni i wycierając oczy rękawem szlafroka, wyraził to najzgrabniej:

- Tego nam było trzeba. Brakowało nam go bardzo, a nie mówiliśmy nic. Nie wiem jak wy, ale ja, ilekroć mi się przypominał, a zdarzało się to często, odchodziłem na bok, żeby sobie popłakać. A teraz, dzięki Chrisowi, on znowu jest tu z nami, w tym pokoju, w sercach nas wszystkich. Dziękuję, Chris... dziękuję bardzo.

Otrząsnąwszy się nieco ze wzruszenia, dokończyli otwieranie prezentów. Joey dał Chrisowi powieść detektywistyczną w miękkiej oprawie, Lloyd portfel, Janice płytę kompaktową Wynonny Judd, a Lee koszulę oraz sweter w tym samym kolorze. Dopiero później, wyjmując koszulę z plastikowego worka i wyciągając z niej szpilki, Chris znalazł w kieszonce bransoletkę z czternastokaratowego złota. Zwisało z niej na złotej nitce małe

serduszko z czerwonej folii, z wytłoczonym na nim nazwiskiem producenta. Wewnątrz, na przewidzianym do tego miejscu, widniały słowa: Z miłością, Lee.

Podczas gdy pozostali zabrali się za sprzątanie pokoju, Chris przymierzył otrzymane rzeczy - były w sam raz - po czym został już w nowej, pozaginanej koszuli i policyjnych spodniach, zjadł z nimi obiad, wypróbował z Joeyem jego nową grę wideo i ułożył kawałek puzzli. W końcu, kiedy już zbierał się do powrotu, przez chwilę znalazł się sam na sam z Lee.

- Znalazłem bransoletkę - powiedział - ale to za drogie.

- Wyraża to, co czuję. Założyłeś ją?

Chris wyciągnął nadgarstek, dając dowód, że nie ma zamiaru wyrzekać się prezentu, bez względu na to, czy jest za drogi, czy nie. - Dziękuję, Lee. Naprawdę jestem nią zachwycony.

Dotknęła palcem ogniw łańcuszka. - Ja również.

- I tym serduszkim. Pocałowała go w przecięty bransoletką nadgarstek.

- Szkoda, że nie możesz zostać.

- Ja też żałuję. Wybieracie się potem do Sylvii?

- Nie jestem pewna. Strasznie miło jest po prostu sobie tutaj leniuchować.

- Jeżeli będę tędy przejeżdżał, zatrąbię. No cóż, lepiej pożegnaj się z innymi. Lloyd i Joey siedzieli w salonie, zajęci grą wideo. Przerwali na chwilę, żeby powiedzieć mu do widzenia. Janice przymierzała rzeczy w swoim pokoju. Kiedy Chris zapukał do jej drzwi, wyszła na korytarz w swetrze, z metką na rękawie.

- Muszę iść - powiedział. - Dzięki za najlepsze w życiu święta.

- Ja tobie także dziękuję. - Objęła go jedną ręką za szyję i przytuliła na moment. - I pamiętaj, jeśli będzie ci potrzebne towarzystwo na meczu, zadzwoń.

Chris poklepał ją po plecach, po czym rozstali się.

Lee odprowadziła go do drzwi. Kiedy już wyszedł na zewnątrz, odwrócił się i powiedział: - Za trzy dni znowu będę miałienne zmiany, a cały noworoczny weekend mam wolny. Chciałbym zabrać cię gdzieś na sylwestra, więc wymyśl jakąś wymówkę. Albo jeszcze lepiej - powiedz im prawdę.

Rzucił jej to wyzwanie i odszedł. Zamykając drzwi, Lee gorączkowo szukała w głowie jakiegoś pretekstu.

## ROZDZIAŁ 14

W dwa dni po Bożym Narodzeniu Lee dostała od Christophera śliczną kartkę świąteczną. Napisał na niej:

*Droga Lee,*

*choć w Wigilię usiłowałem wyjaśnić Ci, ile dla mnie znaczy fakt, że mogę spędzić święta z Tobą i Twoją rodziną, to nie sądzę, aby mi się to udało. Twoja rodzina jest wszystkim tym, czym moja nie jest, a przebywanie z Tobą nie tylko jest przyjemnością, ale i czegoś uczy. Gdyby było więcej takich rodzin, ludzie z mojej branży zostaliby bez pracy. Przebywanie z tobą stało się teraz najlepszą częścią mego życia. Jesteś wielką damą, niezwykłą osobą i cudownym przyjacielem. Dzięki stokrotne za wszystko, co dla mnie zrobiłaś, a zwłaszcza za prezenty pod choinką.*

*Koszula i sweter podobają mi się bardzo, a ta bransoletka - och! Zupełnie się tego nie spodziewałem. Noszę ją co dzień, myślę o Tobie, kiedy ją zakładam i za każdym razem kiedy spojrzę na swój nadgarstek. Do końca życia nie zapomnę tych świąt, a mam przeczucie, że tak samo będzie z sylwestrem. Nie mogę się doczekać.*

*Z ucałowaniem, Christopher*

Od lat nie dostawała czułych liścików od mężczyzn. Czytając te słowa znowu była romantyczna, rozedrgana, pełna życia - przeżywała to wszystko, czego doznaje uwodzona kobieta. Wydało jej się niezwykle, że mężczyzna, który nie zaznał pozytywnego wpływu matki, mógł napisać coś takiego. On także był niezwykle, skoro się na to zdobył.

Siedząc w domu przy kuchennym stole - tym samym, przy którym pocałowali się po raz pierwszy - raz po raz na nowo czytała liścik. Myślała o tym, jak nieoczekiwanie ten młody człowiek pojawił się w jej życiu, w chwili gdy nie szukała nikogo, kto by wypełnił w nim pustkę. Prawdę mówiąc, nie wiedziała nawet, że ta pustka istnieje, dopóki nie zjawił się on, wnosząc w jej życie oczekiwanie i podniecenie, wprawiając w zamęt jej wdowie serce, które przez tyle lat nie znało takiego niepokoju.

Jakie to dziwne i niespodziewane, że zakończyła Wigilię klęcząc obok mężczyzny - w dodatku tak młodego - słuchając, jak mówi, że ją kocha i odpowiadając mu tym samym wyznaniem. A jednak tak właśnie było. Kochała go. Nie miała pojęcia, co z tego wyniknie, lecz przemiana, która zaszła w jej życiu, wydawała się tak niewiarygodnie cudowna, że Lee miała zamiar nadal robić sobie prezent z jego obecności, cieszyć się każdą spędzoną z nim chwilą.

Zadzwonił, gdy odczytywała kartkę po raz piąty. Jego głos potrafił sprawić, że

natychmiast stawała się promienna. Mógł po prostu powiedzieć: - Cześć - tak jak zrobił w tej chwili, a w jej piersi rozkwitało szczęście i czuła się wspaniale jeszcze długo po zakończeniu rozmowy.

- Czytałam właśnie twoją kartkę - powiedziała mu - ... po raz któryś z rzędu.

- Każde słowo jest tam szczere.

- Kocham każde z tych słów. Minęły lata, od kiedy dostałam taką kartkę od mężczyzny.

- Mówisz to bardzo często: minęły lata.

- Bo minęły. Przeszkadza ci to?

- Nie. Właściwie to dość miło mi to słyszeć. Cieszę się, że to właśnie ja przywracam cię do życia.

- Niewątpliwie tak jest.

- To co powiesz na tańce? Czy minęły także lata, odkąd ostatnio tańczyłaś?

- Szczerze mówiąc - tak.

- Masz ochotę pokręcić się trochę w sylwestra?

- Tak! - W jej głosie wyczuwało się podniecenie. - Och, tak! Od wielu lat nie kupiłam sobie balowej sukni! - Chris wybuchnął śmiechem. Lee także się zaśmiała. - Znowu to powiedziałam, prawda?

- Chłopaki z naszego wydziału zarezerwowali parę stolików w sali balowej Bel Ray. Będzie grał High Noon.

- Kto to jest High Noon?

- Najlepszy zespół country w okolicy.

Lee zastanawiała się przez chwilę nad tym zaproszeniem. - Mówisz: chłopaki z wydziału?

- Jesteś gotowa spotkać się z nimi w roli mojej dziewczyny?

- A jak sądzisz, co powiedzą?

- Będą się ze mnie nabijać, ale nie przy tobie.

- No cóż, jeśli ty to zniesiesz, to i ja to zrobię. Dobrze tańczysz?

- Znośnie. A ty?

- Mam poczucie rytmu, ale pewnie wyszłam trochę z wprawy.

- Wybierzemy się najpierw na obiad?

- I jeszcze obiad? Christopher, rozpieszczasz mnie.

- Bardzo bym chciał. Co byś powiedziała, gdybym wpadł po ciebie o siódmej?

- Świetnie. - Po chwili przerwy dodała: - Christopherze, jestem taka podekscytowana.



Nie byłam na żadnym sylwestrze od 1983 roku.

- To będzie noc, której nie zapomnisz.

- Czy któreś z was ma coś przeciwko temu, żeby Christopher zabrał mnie na sylwestra? - zapytała Lee Janice i Joeya.

- Nie mam nic, jeśli tylko dasz mi pieniądze na pizzę - powiedział Joey. Janice zrzęda trochę mina. - Coś takiego! Gdybym wiedziała, tobym się nie umawiała z Nolanem i Jane.

Lee spojrzała na córkę z lekką irytacją. Czyżby była aż tak stara i zgrzybiała; czyż fakt, że Christopher może mieć ochotę wyjść z nią gdzieś bez dzieci, był zupełnie niepojęty? Niewiarygodne, Janice nie odgadła, że to prawdziwa randka. Jeśli jednak nie dostrzegą tego, co oczywiste, to trudno. Lee nie miała zamiaru niczego jej wyjaśniać.

- Policjanci zarezerwowali kilka stolików w sali balowej Bel Ray. Mamy zamiar się tam wybrać.

- Tańczyć? - zawołała Janice.

- Tak, tańczyć. Czy to coś złego?

- No, nie, ale... kurczę, mam, latka leca, prawda?

- Oj leca, leca. Jestem bardzo podekscytowana. A ty co robisz w sylwestra?

- Wybieram się na przyjęcie jednej dziewczyny, z którą pracowałam zeszłego lata w The Gap. Powiedziała, że mogę przyprowadzić kogo tylko chcę, więc zapytałam Nolana i Jane, czy nie wybraliby się ze mną.

- A co z tobą, Joey?

- Czy mógłbym zaprosić tu Denny'ego?

- Jeśli jego mama się zgodzi, mimo że ja wrócę dość późno. I żadnych dziewczyn.

- Żadnych dziewczyn. Sandy pojechała z rodziną na narty do Kolorado. Ale zapłacisz za pizzę.

- Zapłacę.

- To w porządku. - Joey wziął głęboki oddech. - Możemy grać na wideo przez całą noc.

Lee kupiła nową suknię. Była zabawna, miała mnóstwo falban i dwuwarstwową, czerwoną spódnicę. Kupiła też pasujące do niej lakierki i rajstopy z prawdziwego jedwabiu. Potem zawiesiła na uszach kolorowe klipsy, a na szyi, ponad wyciętym w kształt serca dekoltem, dobrany kolorem naszyjnik.

Christopher przyjechał po nią w dzinsach i sportowej marynarce. Na szyi miał aksamitkę, a na nogach kowbojskie buty. Zanim wyprowadził ją na zewnątrz, wygłosił kilka komplementów na temat jej wyglądu, podał jej płaszcz, otworzył przed nią drzwi i w ogóle

był uprzedzająco grzeczny, jak każdy zakochany młodzieniec przychodzący w konkury.

Gdy wyszli, Joey powiedział do Janice, która stała w holu z napiętym wyrazem twarzy: - On chyba lubi mamę.

- Oczywiście, że lubi mamę. Wszyscy lubią mamę.

- Ale ja chcę powiedzieć, że oni ze sobą chodzą, czy coś w tym rodzaju.

- Chodzą ze sobą! Och, Joey, na litość boską, mama ma czterdzieści pięć lat, a Christopher tylko trzydzieści! Po prostu jest dla niej miły, bo Greg nie żyje, więc w przeciwnym razie byłaby samotna.

- Otwórz oczy, ptasi mózdzku! Widziałas, jak ona była ubrana? Według mnie wcale nie wyglądała na starszą panią.

Dziewczyna spojrzała w sufit, jakby chciała powiedzieć „o, Boże”, po czym wróciła do łazienki skończyć się czesać. Czternastoletni bracia potrafią być tacy tępi!

Janice częściowo miała rację. Christopher był miły dla Lee. O kilka przecznic dalej zaparkował swego explorera przy krawężniku i całował ją właśnie tak zachłannie, że z jej warg znikła połowa szminki, którą przed chwilą nałożyła. Jego lewa ręka krążyła pod jej płaszczem, pieszcząc piersi, a język przesuwiał się wewnątrz jej ust.

- Jesteś pewna, że chcesz iść na tańce? - zapytał, dotykając czołem jej czoła, kiedy pocałunek dobiegł wreszcie końca.

- Tak - odpowiedziała z uśmiechem. - Najpierw.

Zjedli coś w Finnegan's - niewiele, bo przez cały czas rozmawiali, śmiali się i flirtowali, więc kiedy kelner po raz trzeci przyszedł po ich talerze, pozwolili mu je zabrać, choć zostało na nich jeszcze sporo jedzenia.

- Dobry Boże, ależ ty ładnie wyglądasz - powiedział Christopher.

- Dobry Boże, ależ ty jesteś przystojny - powiedziała Lee.

- To nowa suknia?

- Wszystko jest nowe. Ja chyba też.

- Będiesz nowa, zanim ta noc się skończy. - Ścisnął jej dłonie na blacie stołu, pozerając ją oczyma. - Mam coś dla ciebie. - Cofnął rękę, wyjął z kieszeni jakiś papier i wręczył go jej. Była to zielona kartka, złożona jak urzędowe pismo. Lee rozłożyła ją i zobaczyła nagłówek: „Laboratoria Medyczne Lufldna”. W dolnej części strony rzuciły jej się w oczy dwa słowa: HIV negatywny.

Zapłonęła gwałtownym rumieńcem. Miała wrażenie, że całe jej wnętrze spłynęło nagle w seksualne okolice jej ciała. Ze zdumieniem spojrzała na niego ponad kartką.

- Christopher... mój Boże, ty to zrobiłeś!

- Wydawało mi się, że to najrozsądniejsze, co mogą dzisiaj zrobić. Ale nie chcę, żebyś się czuła do czegokolwiek zobowiązana. Wybór nadal należy do ciebie.

Lee przytknęła dłoń do prawego policzka, potem do lewego.

- Na litość boską, czy ja się czerwienię?

- Owszem, i bardzo ci z tym ładnie.

- Nie mogę uwierzyć, że naprawdę to zrobiłeś!

- Dlaczego? Przecież ci powiedziałem.

- Ale... ale to był tylko... tylko pomysł.

- Czyżby?

Popatrzyła mu w oczy. - Nie, chyba nie - powiedziała łagodnie. A po chwili dodała: - Tylko że ja niczego takiego nie zrobiłam. Chcesz tego ode mnie?

- Nie, o ile ty i Bill byliście sobie wierni, a sądzę, że byliście.

- Tak, byliśmy.

- A od tamtej pory nie było nikogo innego, więc tylko ja stałem pod znakiem zapytania. Teraz wszystko jest jasne.

Lee znowu ujęła obie jego dłonie. - To wyraz wielkiego zaufania, panie Lallek.

Spojrzał na jej ręce, gładząc je kciukami. - Na tym właśnie opierają się dobre układy, a chciałbym, żeby nasze były jak najlepsze.

Popatrzyła na niego z miłością, po czym zapytała cicho: - Czy bardzo byś się pogniewał, gdybym teraz wstała, przeszła na twoją stronę stołu i pocałowała cię? Tutaj, w samym środku tej restauracji?

Jeden kącik jego ust powolutku podniósł się do góry w uśmiechu.

- Chyba nie przełożysz nogi przez moje krzesło tak jak wtedy, prawda?

Odpowiedziała mu uśmiechem, wyobrażając sobie, jak w tej czerwonej sukni i w butach na wysokim obcasie siada na nim okrakiem, pośrodku wytwornego lokalu, w świetle świec stojących na lnianych obrusach. - Spróbuję się powstrzymać.

Pociągnął ją za rękę, więc wstała, aby zrobić to, co mu obiecała. Nawet jeśli nie siedzieli w samym środku tej restauracji, nawet jeśli nigdzie nie było widać kelnera, a pośród klientów nie było żadnych znajomych, ten brak skrupułów był dla nich obojętnym zaskoczeniem.

Ujęła jego twarz w swe szorstkie dłonie i musnęła jego usta pocałunkiem, a potem, nie odsuwając się od niego, zapytała szeptem:

- Czy naprawdę musimy iść tańczyć? Chris musiał się uśmiechnąć.

Potrafił tańczyć teksaskiego twostepa.

Lee patrzyła na pary, które krążyły po parkiecie przeciwnie do ruchu wskazówek

zegara, lecz kiedy Chris pociągnął ją za rękę, uchyliła się.

- Ja tego nie umiem!

- A skąd wiesz?

- Christopher, narobię ci wstydu.

- Nigdy w życiu. Chodź, spróbuj. Wejźmy do środka, żeby nikomu nie przeszkadzać. Pokażę ci kilka kroków.

Ustała. Kiedy zgodziła się, aby ją nauczył, zauważyła, że wewnątrz tanecznego kręgu także i inni mozolą się nad podstawowymi krokami.

- Kilka razy w tygodniu, zanim orkiestra zacznie grać, odbywają się tu lekcje - wyjaśnił Chris - więc zawsze jest kilku początkujących.

Rzeczywiście, tak jak mu powiedziała, miała poczucie rytmu, a taniec nie okazał się tak trudny, jak się obawiała. Już po chwili prześlizgiwała się pod jego ramieniem, a on przemykał pod jej wyciągniętą ręką. Krążąc po parkiecie, potrafili całkiem zgrabnie wykonać podstawowe figury - promenadę i obrót.

- Nie sądziłam, że aż tak dobrze tańczysz - powiedziała Lee. Wokół nich - szur, szur, szur - kowbojskie buty szlifowały parkiet.

- Ostatnia dziewczyna, z którą się umawiałem - ta, która wyprowadziła się do Teksasu - chciała, żebym się nauczył. Braliśmy razem lekcje.

- Powinam jej podziękować. Tańczyć z tobą to radość.

- Spróbujemy czegoś nowego?

- Czy to trudne?

- Nie, dasz sobie radę. Przygotuj się, zabiorę cię w „Podróż dookoła świata”. Uniósł rękę, owinał ją wokół swego ciała, po czym zaczął się z nią kręcić dookoła.

Kiedy postawił ją na ziemi i na nowo ruszyli podstawowym krokiem, śmiała się głośno, ledwie łapiąc oddech.

- Udało się!

Pełen szczerego zadowolenia uśmiech Chrisa przeppełnił ją szczęściem.

Przy stolikach zarezerwowanych dla pracowników wydziału policji siedziało mnóstwo świętujących glin z żonami, które miały pełnić rolę kierowców. Wszyscy byli weseli, chwilami nawet hałaśliwi. Ku zaskoczeniu Lee, nikt nie okazał zdziwienia. Wszyscy uznali ją po prostu za dziewczynę Christophera. Kiedy Pete Ostrinski zaprosił ją do tańca, poszła z nim bez skrepowania. Toni Mansetti zapytała, jak sobie radzi jej syn. Żona sierżanta Andersona opowiedziała jej niecenzuralny dowcip na temat rajstop, co pozostałe panie, które go już znały, przyjęły salwą śmiechu. Zaczęły wszystkie spoglądać podejrzliwie na swoje kostki, tak

jak w poincnie kawału, co wywołało jeszcze większą wesołość.

Potem Christopher próbował nauczyć ją bardziej skomplikowanej figury, nazywanej skrzydłem, ale nogi plątały im się raz po raz, aż dostali takiego ataku śmiechu, że musieli się poddać, postanawiając zostawić to do następnego razu.

Zespół zaczął grać „Kochaj mnie”, piosenkę Collina Raye'a. Chris ruszył powoli w stronę parkietu, ciągnąc za sobą Lee. - Chodź - powiedział - odstawimy małe tango - przytulango.

Nastrój uległ zmianie. Pary tańczyły ciasno przytulone do siebie. Zamiast krążyć po parkiecie wszyscy zaczęli się kołysać, wykonując łagodne półobroty. W sali zapanował półmrok, oświetlały ją tylko umieszczone pod sufitem niebieskawe reflektory, wycelowane w zespół. Lustrzana kula rzuciła plamy światła na twarze i ramiona tańczących. Christopher otoczył Lee ramionami, łącząc dłonie w zagłębieniu jej pleców, ona zaś splótła palce na jego karku, wparła się w niego biodrami i patrzyła w jego uszczęśliwioną twarz.

- Dobrze się bawisz? - zapytał.

- Mhmmm... jesteś największą radością, jaką dało mi życie od bardzo, bardzo dawna.

Dotknął nosem czubka jej nosa, po czym pochylił się, jakby chciał ją pocałować.

- Twoi kumple patrzą - mruknęła.

- Guzik mnie to obchodzi.

Pocałował ją, a potem przycisnął tak mocno, że ich ciała, wtulone w siebie, zdawały się stanowić jedność. Tak spleceni, kołysali się rytmicznie w takt refrenu: - Kochaj mnie... kochaj mnie... kochaj...

Cofnął twarz, spoglądając w jej podmalowane, rdzawe oczy.

- Co byś powiedziała, gdybym zaproponował: „Wyjdźmy stąd i pobądźmy trochę sami”?

- Od razu? Przed pierwszą przerwą?

Przytaknął, przyciskając jej biodra do swoich i obracając się w takt muzyki.

- Powiedziabym: „Wyjdźmy”.

- Mówisz poważnie?

- Zejdźmy po prostu z tego parkietu, weźmy płaszcze z szatni i nie wracajmy tu.

- Zauważą, że nas nie ma. Będą się zastanawiać, dokąd tak wcześniej poszliśmy.

- Naprawdę się tym nie przejmuję. A ty?

- Ani trochę.

Przypieczętowawszy to porozumienie uśmiechem, odwrócili się i ruszyli pomiędzy tańczącymi poprzez upstrzony plamami światła parkiet w kierunku wyjścia. Wiedzieli

doskonale, że zawarli milczącą umowę i zanim minie ta noc, skonsumują swój związek.

Na zewnątrz panował dotkliwy ziąb. Ruszyli objęci w pół w stronę furgonetki. Gdy do niej wsiedli, Chris, zapalając silnik, powiedział: - Usiądź tutaj, koło mnie.

Zatem Lee, nie zapiawszy pasa, pojechała do jego domu siedząc na podwiniętej stopie, z policzkiem wtulonym w szorstki tweed na jego ramieniu. Pocałowała go w skroń, potem w ucho. Odszukał w ciemnościach jej wolną rękę i przycisnął ją dłonią do swego ciepłego uda. Ilekroć przenosił stopę z gazu na hamulec lub odwrotnie, czuła, jak napinają się jego mięśnie. Chris włączył radio i nastawił jakąś łagodną muzykę country, więc nie musieli rozmawiać. Kiedy tak jechali, gładził lekko jej palce opuszkami swoich.

Dotarłszy do domu, zaparkowali samochód w garażu, po czym wjechali windą na górę. Patrzyła, wciąż jeszcze z pewnym zdziwieniem, jak ten młody, przystojny mężczyzna, z elegancko, krótko obciętymi włosami, pochyla się lekko, wkładając klucz do dziurki. Wiedziała, co się stanie po drugiej stronie tych drzwi.

Christopher zapalił górne światło, wpuścił ją do środka, a następnie zdjął swe kowbojskie buty i zajął się płaszczami. Potem wziął ją za rękę.

- Proszę tędy - powiedział, ruszając w stronę sypialni. Lee pozwoliła mu się prowadzić. Idąc, nucił „Kochaj mnie” i rozwiązywał swą aksamitkę.

W pokoju oświetlonym jedynie słabym światłem wpadającym z korytarza, odwrócił się, żeby ją pocałować. Przygiąwszy lekko kolana, objął Lee w pasie obiema rękoma, oderwał ją od ziemi i przeniósł na łóżko.

Ich życie zmierzało do tej chwili tak długo, a decyzja, którą podjęli, była tak zgodna, że to, co miało ich spotkać, przyjęli ze swobodą i zadowoleniem.

- Och, Christopher - powiedziała Lee, kiedy położył się na niej - tak bardzo cię pragnę.

- No to jest nas dwoje... ale powiedz to jeszcze raz. Od tak dawna chciałem to usłyszeć.

- Tak bardzo cię pra...

Usta Chrisa stłumiły jej słowa. Już w trakcie tego pierwszego, gwałtownego pocałunku, ich ręce pomknęły niczym strzały ku miejscom, których pożąдали. Po raz pierwszy pieścili się przez ubranie, mówili sobie nawzajem wnętrzami przygiętych dłoni jak to będzie, jak chcą, żeby to było, narastał w nich żar, czuli, jak ich nogi rozchylają się, ułatwiając dostęp rękom. Steżeli na chwilę w bezruchu, koncentrując się na tym, co każde z nich odczuwało pod swoją dłonią i dłonią tego drugiego. Położyli się na boku, z otwartymi oczyma, patrząc w swe twarze, rozjaśnione padającym od dołu kremowym światłem, przyjmując prezent, który ofiarowywały im ich własne uczucia.

Stuk... stuk... uderzyły w podłogę lakierki na wysokim obcasie. Lee zamknęła oczy, westchnęła i przewróciła się na plecy. Opierając jedną stopę na prześcieradle, z suknią podciągniętą aż po biodra, znowu oddawała się czysto cielesnej przyjemności, jaką dawały męskie dłonie sunące po jej ciele. Chris przechylił się, aby poprzez kilka warstw damskich fatalasek ucałować jej pierś.

- Zaczekaj, Christopherze... - szepnęła Lee. - Może najpierw się rozbierzemy?

Ukląkł na środku łóżka, po czym, pociągnawszy ją za rękę, pomógł jej zrobić to samo.

- Nie wiedziałem, co sądzisz o rozbieraniu się. To niezbyt przyzwoite.

- Niezbyt przyzwoite jest robienie takich rzeczy w ubraniach. Najlepiej im będzie na podłodze.

Częściowo on rozebrał ją, częściowo ona jego, a to co było najtrudniejsze, każde zdjęło samo. Kiedy byli już nadzy, nadal klęcząc na środku łóżka, Lee dosiadła go nagle, prawie tak samo jak wtedy, na kuchennym krześle, i objęła go oburącz za szyję. Choć byli tak blisko siebie, ich ciała ciągle jeszcze nie stanowiły jedności.

- Hej, cóż to takiego? - zażartował Chris, zaskoczony jej bezceremonialnością.

- Chowam się.

- Przed czym?

- Przed twoimi oczyma. Od tamtego dnia, kiedy ubieraliśmy twoją choinkę, leżałam czasem w łóżku, myśląc o tej chwili. Tęskniłam do niej i bałam się jej zarazem.

- Dlaczego? - Odchyliwszy się od niej, Chris uniósł dłoń, aby przesunąć palcami wzdłuż krawędzi jej włosów.

- Bo... jak sądzę, dziewczyny, z którymi się kochałeś, były młode i niczego im nie brakowało. Ich skóra była pewnie jędrna i opalona, nie miały rozstępów, zmarszczek ani żyłaków, nie miały tak potwornie zniszczonych dłoni, ani żadnej z tych paskudnych rzeczy, które miewają czterdziestopięcioletnie kobiety.

- Lee - powiedział Chris, odsuwając ją nieco od siebie. Położył jej ręce na ramionach.

- Zapominasz o jednym. - Pocałował ją, przesuwając dłonią po jej ciele, po czym szepnął wprost w jej usta: - Ja ich nie kochałem.

Wraz z tymi prostymi słowami jej nieśmiałość zniknęła gdzieś nagle, została, podobnie jak ich ubrania, jedynie maleńką kupką na podłodze, pozwalając jej cieszyć się kobiecością. Christopher położył się na boku. Oparty na łokciu gładził otwartą dłonią jej nogi, brzuch, żebra, ujął najpierw jedną pierś, potem drugą, po raz pierwszy nagie, przechylił się, aby zakosztować ich smaku. Gdy jego ślina zwilżyła jej skórę, Lee oblizwała wargi, opuściła rękę i zaczęła go dotykać, z przyjemnością zapoznając się z jego intymnymi kształtami. Po

tak wielu latach odrętwienia nie trzeba było wiele, aby doprowadzić ją do szczytu - wystarczyły same dotknięcia. Leżała skąpana w słabej poświacie z korytarza, okazując mu największe zaufanie, na jakie mogła się zdobyć: pozwalała, aby patrzył, jak jej ciało wiję się i drży. Odrzuciwszy głowę do tyłu wydawała z siebie chrapliwe dźwięki, a w zaciśniętych pięściach trzymała prześcieradło.

A potem Chris stał ponad nią na czworakach, szeptał wprost w jej usta: - Ty chcesz to założyć, czy ja mam to zrobić?

- A ty jak byś chciał? - zapytała, zdając sobie sprawę, że i on czekał na to długo. Bez wątpienia wiele razy wyobrażał sobie niektóre części tego rytuału.

- Ty to zrób - odparł, wkładając jej w dłoń maleńki pakuneczek. Odwrócił się na plecy i założył ręce pod głowę. Kiedy go dotknęła, z jego gardła doleciał cichy dźwięk.

- Dwa lata to piekielnie długo - powiedział zdławionym głosem, leżąc z zamkniętymi oczyma. - W głowie mi się nie mieści, że ty obywałaś się bez tego przez dziewięć.

- Teraz, kiedy jestem tutaj, mnie także nie.

- Pospiesz się, błagam... bo umrę.

- Och, nie umieraj - poprosiła go. Skończywszy, rzuciła się na niego i zaczęła go całować. - Proszę, nie umieraj, jeszcze nie w tej chwili. Jest kilka rzeczy, które chciałabym z tobą zrobić.

Objął ją mocno, odrywając plecy od materaca. Ich nogi splotły się ze sobą. - Och, słodka kobieto, właśnie uratowałaś mi życie - powiedział.

Jak wszyscy kochankowie, którzy robią to po raz pierwszy, choć tak zachłanni i pełni zapалу, potykali się, czyniąc te wstępne kroki, uciekali się do żartów, żeby jakoś przebyć nie zbadany teren.

Lecz gdy już przeturlali się po łóżku i spojrzeli na siebie, ich wesołość znikła gdzieś nagle. Zachwył pozbawił ich mowy. W tej chwili mogli się porozumiewać jedynie oczyma. Christopher usadowił się na niej, a potem w niej, powoli i głęboko.

- Lee... Lee... - szepnął tuż przy jej wargach. - Nareszcie.

I w końcu stali się oboje harmonią i zgodnym rytmem. Ich ciała tętniły na najwyższej nucie miłosnej przyjaźni, którą rozwijali przez ostatnie pół roku. Smutek minionych miesięcy odpłynął gdzieś z wolna. Te wszystkie łyzy, rozmowy, spotkania prowadziły właśnie do tego momentu. Do tej chwili! Oto Christopher i Lee, czyniący ze swych zwyczajnych osobowości coś całkiem niezwykłego.

- Ty... ty - szepnęła gwałtownie, przyciskając go do siebie piętami i rękoma. - ... To byłeś ty, przez cały czas, a ja o tym nie wiedziałam.



- Myślałem, że mi powiesz, że jestem dla ciebie za młody, i że będziesz chciała mnie odprawić.

- Myślałam, że jestem dla ciebie za stara i że wyjdę na idiotkę, chociażby myśląc o czymś takim.

- Nigdy... chciałem tego, jeszcze zanim po raz pierwszy dotknąłem cię czy pocałowałem.

- Tak mi z tobą dobrze. Tak bardzo mi tego brakowało.

- Powiedz mi, co byś chciała... zrobię wszystko.

Lee nie pragnęła niczego, życie nie mogło jej dać nic lepszego niż to, co już miała. On jednak nadal dotykał ją, całował i pieścił na tysiące sposobów, pytając szeptem: - Dobrze ci ze mną? Dobrze?

- Tak... dobrze mi... o tak - odpowiadała.

Poczuła, jak Christopher wyciąga rękę, potem usłyszała pstryknięcie wyłącznika nocnej lampki. Gdy otworzyła szeroko oczy i spojrzała na niego, wciąż jeszcze trzymał ramię ponad głową.

- Chcę cię widzieć. Mogę?

Ogarnął ją wstyd. Chciała powiedzieć: „Wyłącz to!”. Przecież w świetle różnice pomiędzy nimi będą zbyt wyraźne, a misterna pajęczyna wieku nie będzie już rozpląwać się w bursztynowej poświacie padającej zza jego ramion. Chciała, żeby w pokoju nadal było ciemno, lecz zanim zdążyła otrząsnąć się ze zdumienia, Chris usiadł na niej okrakiem.

W jego ciemnych, kędzierzawych włosach widać było ślady jej palców. Oczy miał błękitne jak dwa oceany. Wbijał je w nią natarczywie, bawiąc się jej piersiami, głaszcząc je i miętosząc. Opuszki jego palców krążyły wokół jej zaróżowionych sutków, potem, zataczając półkola, zsunęły się niżej, wreszcie duże, męskie dłonie nakryły oba wzgórkki.

- Powiedz, że mogę - poprosił ochryłym z podniecenia głosem.

- Możesz.

Widział, że wciąż jest zażenowana, chociaż jemu - kochankowi - jej ciało wydawało się czarujące. Pochylił się nad nią i przesuwając dłonią po czole, jakby sprawdzał czy nie ma gorączki, odgarnął jej włosy z twarzy.

- Nie wstydz się - szepnął - nie wstydz się, Lee. Pozwól, abym kochał cię całą, tak samo, jak kocham twoje wnętrze.

Otoczywszy szyję jego ramieniem, z cichym, przyzwalającym dźwiękiem przyciągnęła otwarte usta Chrisa do swoich. Zastanawiała się, czy jakikolwiek mężczyzna w jej życiu zdołał wypełnić ją aż takim uczuciem. W tej chwili wydawało się to

nieprawdopodobne. Ten pocałunek, przesycony łagodnym kuszącym pożądaniem, lecz pożądaniem obopólnym, przydawał ich wzlotowi bogactwa. To był właściwy czas i stosowne miejsce, a zdrowa, fizyczna żądza, którą odczuwali, skłaniała ich do działania.

- Och, Christopher... - mruknęła drżącym głosem. - Dzięki tobie czuję to wszystko, co zawsze chce czuć kobieta.

A on znowu zaczął się w niej poruszać.

Lee pogładziła jego nogi, po czym, rozpostarłszy dłonie na jego biodrach, patrzyła jak światło lampki przesuwają się po jego jędrnej skórze, a na twarzy, stężelej od namiętności, wykwitają kropelki potu. Po chwili zaczął ciężko oddychać. Osunął się na nią, rozrzucając szeroko ręce, łokcie zaś przyciskając do tułowia. Mrugał tak powoli, że Lee pomyślała, iż choć dzieli ich zaledwie kilka cali, nie widzi jej wcale, całkowicie skoncentrowany na swych odczuciach, które właśnie wirują na jakimś złoconym ekranie jego umysłu.

Wydał z siebie kilka dźwięków, które każdy, prócz niej, będącej źródłem jego rozkoszy, uznałby za niemile.

Dobrnawszy do końca, zadrzał i opadł na nią niczym łódź osiadająca na plaży. Lee objęła obiema rękoma jego masywne ciało. Kiedy wsunęła mu palce we włosy, stwierdziła, że jest spocony. Poczula zapach - to były kosmetyki, rozgrzana skóra i lekka nuta dymu z sali balowej.

Powolutku przesuwając paznokciami po głowie Chrisa. Nie widziała jego twarzy, wtulonej gdzieś w prześcieradło ponad jego ramieniem, ale raz poczuła, jak zadrzał.

Kiedy jego tętno spadło, a oddech wyrównał się nieco, Chris wsunął piętę pod jej kolano i odwrócił ich oboje na bok. Odszukał poduszkę i wsunął ją im pod głowy, po czym przez długą, błogą chwilę wpatrywali się w swoje twarze, z rozchylonych ust i rytmu wolno opadających i unoszących się powiek czytając, jak bardzo są zaspokojeni. Lee dotknęła opuszką palca jego dolnej wargi, potem musnęła ją pocałunkiem, leciutkim niczym dotknięcie skrzydeł motyla.

Chris uśmiechnął się.

- O czym myślisz? - zapytała.

- Wcale nie myślę. Po prostu jestem szczęśliwy. Pogładziła jego dolną wargę. - Było mi bardzo dobrze.

- Mnie też było bardzo dobrze.

- Jak myślisz, jakie są szanse, że kobieta skończy przed mężczyzną?

- Nie wiem.

- Ja sądzę, że bardzo niewielkie.

- Nigdy nie miałem pewności, czy udało się to którejkolwiek z moich dziewczyn.
- A teraz masz pewność?
- Nie zastanawiałem się nad tym, ale to pewnie dlatego, że tak długo tego nie robiłaś.

Powiedzieć, że byłaś gotowa, to mało.

- Naprawdę tak uważasz? - Nadal gładziła jego wargę.
- Powiedziałem ci już kiedyś, że wcale nie jestem kobieciarzem.
- No cóż, dla tej akurat kobiety jesteś kobieciarzem.

Złapał zębami czubek jej palca, przygryzł lekko, pozostawiając biały ślad powyżej paznokcia. Potem puścił go z pocałunkiem i opuszki Lee znalazły się na jego podbródki. Zamknęli oczy. Odpoczywali, nie było im spieszno do rozłąki, rozkoszowali się pozbawionym wszelkiego napięcia ciepłem spełnionej miłości. Jego owłosione nogi tkwiły pomiędzy jej gładkimi, czasem jedno lub drugie poruszało leniwie dłonią albo stopą. Ona myślała o tym, jak bezwolne i odprężone jest jej ciało, do niego docierało powoli, że po raz pierwszy przeżyła z nim orgazm. Kiedy po chwili odezwał się cicho, otworzyła oczy.

- Czy byłoby świństwem z mojej strony, gdybym cię zapytał o twoje seksualne życie z mężem?

- Nie sądzę. To, co przed chwilą zrobiliśmy, usuwa wiele barier, prawda?
- Więc jak ono wyglądało?

Lee zastanowiła się przez chwilę nad odpowiedzią.

- Przed ślubem pełne poczucia winy. Potem znacznie lepsze, choć bywało różnie. Czasem robiliśmy to cztery razy na tydzień, czasem tylko kilka razy w miesiącu, zależnie od tego, co poza tym działo się w naszym życiu. Ale nad moimi orgazmami musieliśmy się pomęczyć nieco bardziej, niż ty i ja przed chwilą.

Po chwili milczenia Chris uniósł głowę z poduszki, pocałował ją w usta, po czym położył się z powrotem.

- Chcesz coś wiedzieć? - zagadnął. - To zakrawa na ironię, ale śmiertelnie się bałem, że nie będzie ci ze mną tak dobrze jak z nim.

Wszędzie piszą, że aby te rzeczy się udawały, potrzeba czasu i cierpliwości, więc wyobrażałem sobie... - Wzruszył ramionami, nie kończąc myśli. Zerknął gdzieś w bok, a potem znowu na nią.

- Powiedziałem ci kiedyś, że nie przestraszę się tego, co może zająć między nami, ale mnóstwo w tym było fanfaronady. Bałem się bardzo, a najbardziej tego, że ja mam tylko trzydzieści lat, a ty jesteś o tyle starsza i bardziej doświadczona. Wiesz, to potrafi być bardzo onieśmielające dla mężczyzny. Myślałem sobie: „Co będzie, jeśli zacznę się o nią starać, a

ona da mi po łapach jak niegrzecznemu dzieciakowi?”

- Przerwał na chwilę, po czym dodał: - Ale nie dałaś.

- Naprawdę sądziłeś, że zrobię coś takiego?

- Nie wiedziałem.

- Nie widziałeś, że mam na ciebie ochotę?

- Widziałem, ale sądziłem, że zapanujesz nad sobą ze względu na te niepisane prawa dotyczące wieku.

- Skoro już wyznajemy sobie różne rzeczy, to ja też coś ci powiem. Kiedy po raz pierwszy zauważyłam, że bujasz się we mnie, pomyślałam sobie: „Kurczę, on jest taki młody”. Muszę też przyznać - w końcu jestem tylko człowiekiem - że miałam także inną, okropną niewybaczalną myśl, która dokonała cudów z moim ego: czyż to by nie było sprytne, znaleźć sobie takiego młodego chłopaka? I od tamtej pory to właśnie mnie wstrzymywało, bo byłabym bardzo płytką kobietą, gdybym właśnie dlatego poszła z tobą do łóżka; tylko po to, żeby zaliczyć młodszego mężczyznę. Teraz to się wreszcie stało, a ja wcale nie zrobiłam tego z tamtego powodu; zrobiłam to, bo cię kocham, bo lubię cię i szanuję, bo tak wspaniale się z tobą bawię. Ale muszę przyznać, że twój wiek, twoja młodość, twoje nieskazitelne ciało przyprawia mnie o dreszcz, którego się nie spodziewałam.

Chris oparł głowę na jednej ręce, a drugą zaczął ją pieścić. Ułożywszy grzbiet dłoni pomiędzy jej piersiami, zaczął przesuwać palce raz w lewo, raz w prawo, zupełnie jakby ją odkurzał.

- Cieszę się, że mamy za sobą ten pierwszy raz. To strasznie szarpie nerwy. Teraz będzie już dużo łatwiej.

- Och, więc będziemy to jeszcze robić? - zazartowała z uśmiechem. Chris nie odrywał oczu od swej ręki, gładzącej jej miękką skórę. Na piersiach Lee pojawiła się gęsia skórka, maleńkie włoski zjeżyły się, a sutki nabrzmiały. - Będziemy to robić wiele, wiele razy. Tak często, jak tylko będziemy mogli. - A zatem romans całą parą. Czy właśnie to zaczynamy?

Przestał odkurzać jej piersi. Wziął w dłoń jej policzek, wspierając ucho na zgiętym łokciu.

- Możesz to sobie nazywać, jak tylko chcesz. Cokolwiek by to było, jest to o wiele za dobre, żeby poprzestać na jednym razie.

Lee przyglądała mu się w świetle lampki, padającym z góry, zza głowy; pożerała wzrokiem miodowego koloru aureolę, która okalała jego ciemne włosy, rdzawe rzęsy wokół niebieskich oczu, regularne rysy wprawiające ją w bezkresny zachwyt. Wpatrywała się w jego usta, miękkie i lśniące od pocałunków... dotknęła ich, nie mogła się powstrzymać.

- Wszystko tak bardzo mi się w tobie podoba. Nie mogę po prostu uwierzyć, że to się stało, że pokonałiśmy te wszystkie bariery. Nie dziw się, że przez jakiś czas będę nienasycona, nadrabiam stracony czas.

- Nie szkodzi. - Ujął jej dłoń i zaczął przygryzać jej krawędź. - Nienasycone kobiety są najlepsze.

Kiedy pchnęła go na plecy i wturlała się na niego, trudno było orzec, które z nich jest bardziej nienasycone.

Nieco później, unosząc głowę, aby spojrzeć na budzik stojący na nocnej szafce, obudziła go. Do tej pory zdążyli się przykryć, a na jej twarzy, w miejscu, które we śnie wtulała się w ramię Chrisa, czerwieniła się nieregularna plama.

Ocknął się, spoglądając na nią z sennym uśmiechem.

- Muszę iść do domu - szepnęła.

- Och, nie... - odwrócił się do niej i, rozstawiwszy szeroko ręce, przytrzymał ją na posłaniu. - Niece.

- Nie mogę zostać. Joey jest w domu z Dennym, swoim kolegą, a Janice też ma wrócić.

Chris oderwał głowę od poduszki, uniósł lewą rękę, spojrział na zegarek, po czym znowu się położył. - Nie ma jeszcze nawet dwunastej.

- No to zrobiliśmy mały falstart.

Zachichotał gardłowo. Leżał z zamkniętymi oczyma, obejmując ją luźno. - Chciałbym, żebyś mogła zostać do rana.

- Wiem. Ja też. - Odrzuciła przykrycie i wstała. - Ale nie mogę. Chris odwrócił się na plecy, po czym z rękami pod głową patrzył, jak Lee zaczyna się ubierać. Przyglądał się, jak zakłada bieliznę, wygina ręce, aby zapiąć na plecach biustonosz, a potem siada na brzegu łóżka i wciąga na nogi rajstopy. Kiedy już założyła sukienkę, powiedział: - Chodź tutaj. Pomogę ci zapiąć. - Lee okrążyła zagłówek łóżka i usiadła tyłem do niego. Uniósł się, pocałował ją w kark, po czym wsunął dłonie w rozcięcie sukienki i nakrył nimi piersi, składając usta na pochyłości jej ramienia.

- Uwielbiam patrzeć, jak się ubierasz, jak chodzisz po mojej sypialni. Właśnie tak to sobie wyobrażałem.

Przykryła jego dłonie swoimi, a gdy poczuła ich ciepło wewnątrz szorstkiego stanika sukienki, przechyliła głowę na bok i zamknęła oczy.

- Uwielbiam to - szepnęła - dotyk twoich rąk, które mnie obejmują. Męskie ręce tak bardzo różnią się od kobiecych. Kiedy jest się bez mężczyzny, tak jak byłam ja, brakuje

oczywiście seksu, ale czasami jeszcze bardziej tęskni się za tym: za dotknięciem, otarciem się o kogoś innego, oparciem się na kimś, kto jest większy, inaczej pachnie, jest inny w dotyku. Obiecuj mi, że będziemy to czasem robić... po prostu cieszyć się sobą, niekoniecznie po to, by uprawiać seks.

- Obiecuję. A teraz ty musisz mi coś obiecać.

- Co?

- Że czasem będziesz się dla mnie ubierać, właśnie tak, jak przed chwilą: powoli i spokojnie. A ja będę sobie leżał i patrzył na ciebie. Właśnie przed chwilą przyszło mi to do głowy: każdy może patrzeć, jak ktoś inny się rozbiera, ale jeszcze bardziej intymne jest oglądanie ubierania się. Poznaje się kolejność, w jakiej robi to dana osoba - najpierw majteczki, potem biustonosz, wreszcie rajstopy. Dziś w nocy, kiedy już odwiozę cię do domu, będę to sobie wspominał, zanim zasnę.

Lee westchnęła, odchylając głowę do tyłu. Zaczęli się lekko kołysać. Chris obejmował ją nadal, a jego wargi wciąż jeszcze dotykały jej szyi. Było im ze sobą tak dobrze, że w każdej chwili mogli z powrotem zasnąć, ale poczucie obowiązku zwyciężyło. Lee poruszyła się.

- Naprawdę muszę już iść. Zapnij mnie.

Kiedy to zrobił, wzięła z nocnej szafki biżuterię i wsunęła stopy w lakierki. Wzięła kartkę z jego notesu, a potem patrzyła, jak Chris siada na łóżku, aby pozbierać z podłogi swoje ubranie. Wstał. Zaczął się ubierać: zapiął koszulę, zasunął rozporek, wepchnął koszulę w spodnie, podciągnął je, zapiął guzik w pasie, a wreszcie zasunął zamek rozporoka do końca.

- Masz rację - powiedziała, podchodząc do niego. Z łokciami na jego ramionach, zaczęła się bawić jego włosami. - To jest bardziej intymne. Nigdy dotąd o tym nie myślałam.

- Cieszę się, że ci się podobało - odparł z wymuszonym uśmiechem, zapinając mankiety za jej plecami.

- Pomyślałam sobie coś jeszcze.

- Co takiego? - Ujął ją lekko pod boki, wsuwając kciuki we wgłębienia pod jej piersiami.

- Że jeśli uprawiało się seks z kimś obcym, to głupio jest patrzeć, jak się potem ubiera. To by było niesmaczne, prawda? Ale patrząc na ciebie - pocałowała go leciutko - czułam się tak, jakbym czytała postscriptum miłosnego listu.

Wparli się w siebie biodrami i wymienili jeszcze jeden wspaniały, obezwładniający pocałunek.

Kiedy dobiegł końca, Chris powiedział bardzo poważnie: - Kocham cię, Lee.

Wchłonęła w siebie te słowa, nic nie mówiąc. Czekwała, aż zapadną jej w duszę,

wypełniając wszystkie puste nisze, które od tylu lat czekały na te skarby.

To zdanie wszystko potwierdzało, było idealnym zamknięciem ich pierwszego intymnego wieczoru.

- Ja też cię kocham, Christopherze.

Po tym, jakże stosownym podsumowaniu, zabrał ją do domu.

## ROZDZIAŁ 15

W Nowy Rok wszyscy w domu Restonów spali do późna. Była już za dziesięć dziesiątą, kiedy obudziła się Janice. Wyszła z sypialni i poczłapała w stronę łazienki, odnotowując z leniwą obojętnością, że drzwi do pokoju matki są nadal zamknięte. Dopiero kiedy zakończyła toaletę i w drodze powrotnej zajrzała do Lee, zdała sobie sprawę, jak rzadko się zdarza, aby jej matka spała aż tak długo.

Lee leżała na brzuchu, z jedną dłonią wsuniętą pod policzek, drugą wspierając o zagłówek łóżka. Rozciągnięta ukośnie pod kołdrą oddychała miarowo. Czerwona sukienka, którą miała wczoraj na sobie, zwisała schludnie z oparcia krzesła. Jeden z jej lakierków stał na podłodze, a drugi leżał obok, przyrzucony rajstopami i biustonoszem.

Janice przyjrzała się matce. Pomyślała z zakłopotaniem, że być może domysł Joeya był słuszny. Jeżeli tak, to ona, Janice, wyszła na idiotkę. To musi być prawda: matka kupiła nową, czerwoną suknię z falbanami, a do tego jeszcze buty! Lee, która rzadko kupowała ciuchy, nie pokazała jej nawet wcześniej tych rzeczy, nie było żadnych ochów i achów, jak można by się było spodziewać. Czyżby ukrywała je, łudząc się, że gdy Christopher po nią przyjedzie, Janice nie będzie w pobliżu?

Dziewczyna zamknęła cicho drzwi pokoju matki i zajrzała do sypialni Joeya. Było tam duszno, pachniało przepoconymi skarpetkami oraz łupinami pomarańczy, które schły na parapecie. Chłopak także spał twardo. Leżał na plecach z zadartą do góry głową, rozrzucając na prześcieradle swe wielkie dłonie. Denny Whitman, zawinięty w śpiwór na podłodze, również nie istniał dla świata.

Janice weszła do środka, zamknęła za sobą drzwi, po czym ostrożnie przekroczywszy Denny'ego, podeszła do łóżka brata.

- Hej, Joey - szepnęła, siadając obok niego w swej długiej, flanelowej koszuli. - Joey, obudź się.

Chłopak odepchnął ją nogą i odwrócił się twarzą do ściany, mamrocząc coś, co zabrzmiało jak „złoto” oraz „mirra”.

Janice szturchnęła go, szepcząc: - Joey, obudź się. Muszę z tobą porozmawiać. - Szturchnęła go mocniej. - Do licha, Joey, odwróć się wreszcie!

Zrobił to z poczciwością wściekłego bulteriera.

- Jezu, daj mi spokój, dobrze? Śpię jeszcze!

- Joey, muszę cię o coś zapytać. Bądź cicho, żebyśmy nie obudzili Denny'ego.

- Zapytaj mnie później.



- Chcę tylko wiedzieć, o której wróciła mama, to wszystko.

- Nie wiem.

- Nie spałeś jeszcze.

- Nie. Było wcześniej.

- Wcześniej? - jej serce, tknięte nagłą nadzieją, podskoczyło radośnie.

- Tak, przed północą. Wiem na pewno, bo mieliśmy z Denny włączony telewizor. -

Chłopak przetarł oczy, potem ziewnął potężnie.

- Był z nią Christopher?

- Nie, podwiózł ją tylko.

- Nie wstąpił?

- Nie. Jezu, dlaczego jej o to wszystko nie zapytasz?

- Przecież nie mogę jej pytać, jeśli to, co mówisz, jest prawdą i ona chodzi z nim na poważnie. Myślisz, że tak jest?

- Do licha, nie wiem. On tu jest cały czas.

- Ale o północy go nie było? Jesteś pewien?

- Jestem - jęknął z niezadowoleniem. - Powiedziałem ci już, podrzucił ją, ona weszła, zjadła trochę prażonej kukurydzy z Denny i ze mną, a potem kazała nam wyłączyć grę wideo, żeby sobie pooglądać jakiś głupi tłum na Times Square.

- Więc może z nim nie chodzi. To znaczy, może jednak są tylko przyjaciółmi. Spojrzała z nadzieją na brata, ale Joey wzruszył tylko ramionami.

- Skąd mam to wiedzieć?

- A czy nie zostaliby ze sobą przynajmniej do północy, gdyby chodzili na poważnie, jak to ująłeś? To znaczy... gdybyś był z Sandy na sylwestra, to co byś robił o północy?

Chłopak zarumienił się. - Jezu, dlaczego ty nie dasz człowiekowi spokoju?

- Joey, słuchaj... - położyła dłoń na jego dłoni, po czym ciągnęła dalej tonem pełnym szczerości: - Jesteś moim bratem. To ważne. Jeśli ona chodzi z Chrisem i jeśli to jest poważne, to sądzę, że powinniśmy powiedzieć o tym ciotce Sylvii albo komuś.

- Dlaczego?

- Żeby ciotka Sylvia mogła przemówić mamie do rozsądku.

- Dlaczego?

- Na litość boską, przecież ona jest o piętnaście lat starsza od niego.

- No to co?

- No to co! Jak ty możesz sobie leżeć i mówić „No to co?” Chcesz, żeby zrobiła z siebie idiotkę?

Joey patrzył na nią przez chwilę, po czym stwierdził: - Nie rozumiem.

Janice pochyliła się z rezygnacją i zaczęła drapać się w głowę, mierzwiąc włosy. Joey był jednak za młody. Krążyła wokół tematu seksu, lecz on nie był na tyle dojrzały, aby to pojąć. Zdała też sobie sprawę, że mówienie o tym w kontekście ich matki i Chrisa nie byłoby z jej strony właściwe. Joey użył sformułowania „chodzą ze sobą”, a ona przetłumaczyła to sobie na „sypiają ze sobą”.

W końcu jednak wiedziała tyle samo co brat.

- Joey, posłuchaj - powiedziała mu. - Ty teraz częściej z nią przebywasz, bo ja jestem w szkole. Kiedy tam wrócę, to wiesz, miej ją na oku, dobrze? - Przerwała, ale chłopak patrzył na nią nic nie rozumiejąc. - Gdyby zaczęła późno wracać, albo... albo... no wiesz... gdyby dużo bywała poza domem, dzwoń do mnie.

Zanim Joey zdążył odpowiedzieć, Janice poczuła, że ktoś na nią patrzy. Zerknąwszy w dół, na podłogę, stwierdziła, że Denny Whitman obudził się i słucha ich rozmowy.

Zerwała się z łóżka. - Śpijcie dalej, chłopaki. Przepraszam, że was obudziłam.

Kiedy Lee wreszcie wstała, Janice bacznie wystawiła czułki, ale jej matka po prostu wyszła z łazienki, rozsiewając zapach pasty do zębów i, jak zwykle, nastawiła ekspres do kawy.

- Dzień dobry, kochanie - powiedziała. - Dobrze się wczoraj bawiłaś?

- Było w porządku. A ty?

- Bawiłam się wspaniale, dopóki nie spróbowałam zrobić czegoś, co nazywa się skrzydłem. O mały włos nie wyrwałam sobie rąk ze stawów.

- Skrzydło?

- To taka figura w tańcu country. Christopher próbował mnie nauczyć, ale tak wszystko poplątałam, że daliśmy sobie spokój.

Janice patrzyła, jak matka krząta się po kuchni, otwiera szuflady, wyjmuje bulki, kroje je i wkłada do opiekacza, wyciąga serek i dżem, bierze karton soku pomarańczowego i potrząsa nim, żeby się wymieszał, jak wykonuje te wszystkie zwyczajne czynności, które wszystkie matki wykonują każdego ranka. Czegóż ona, Janice, się spodziewała? Czy naprawdę sądziła, że gdyby jej matka miała romans z Chrisem, zdołałaby to dostrzec? Że matka wyglądałaby dziś rano jakoś inaczej? W jej głowie zaświtała pewna myśl, lecz Janice stłumiła ją i myśl przemknęła zbyt szybko, aby dziewczyna zdążyła sobie wyobrazić swoją matkę w roli seksualnej partnerki mężczyzny, którego uwagę usiłowała przykuć, odkąd go tylko poznała. Pozostał jednak jakiś niepokój. Po prostu o matkach nie myślało się jak o istotach wyposażonych w seksualność. No, może jeśli ojcowie jeszcze żyli, ale seks z

kimkolwiek innym wydawał się zupełnie nie na miejscu.

- Mamo?

- Lee skończyła nalewać sok do szklanki, po czym spojrzała na córkę. Z dziobka kartonu, który trzymała nieruchomo, skapywały krople. Janice stała oparta o blat szafki, przyciskając do ciała złożone ręce, palce nóg zaś wbijając w dywanik przed zlewozmywakiem.

„Co jest między tobą, a Chrisem?”

To niewypowiedziane pytanie można było odczytać z nachmurzonej miny Janice, z jej napiętej postawy i zaciśniętych warg. Lee instynktownie odgadła, o czym myśli córka, lecz uznała, że jeśli dziewczyna chce to wiedzieć, powinna zapytać. Nie chciała sama poruszać tego tematu. Bała się, że zrani Janice, wywoła jej krytykę. Co więcej - to, co zdarzyło się pomiędzy nią a Chrisem, było zbyt świeże, zbyt kruche, aby o tym mówić, wystawiając się na niezadowolenie rodziny.

- Tak, kochanie? - zagadnęła Lee.

Kiedy nalewała drugą szklankę soku, nie wypowiedziane pytanie nadal wisiało pomiędzy nimi. Gdy wręczała sok Janice, zadzwonił telefon.

Odwracając się twarzą do blatu, a plecami do matki, Janice podniosła słuchawkę.

- Halo? - Po chwili podała ją Lee, przewieszając dłoń przez ramię. - To do ciebie.

Lee odstawiła szklankę z sokiem, odebrała słuchawkę i powiedziała: - Szczęśliwego Nowego Roku.

- Tobie również: szczęśliwego Nowego Roku - zawołał Chris. Był uszczęśliwiony i roześmiany.

- Och, cześć Christopherze. Jak przeżyłeś wczorajszą noc? Nie połamałam ci rąk na tym parkiecie?

- Ani jednej.

- Bawiłam się świetnie, ale łydki mnie bolą od tańczenia na wysokim obcasie. - Obawiam się, że mogą cię boleć z innego powodu.

Lee zaśmiała się, a wtedy on dodał: - Kocham cię.

Ze względu na Janice, zareagowała perlistym śmiechem. - Naprawdę? Nigdy bym się nie domyśliła.

- Czy mogę kupić trochę lo mein i wpaść cię odwiedzić dziś po południu?

- A sądzisz, że chińskie restauracje będą otwarte?

- Jeżeli nie, to zjemy grzanki i obejrzymy mecz.

- Świetnie. Sprawdzę, ile nas będzie - Lee odsunęła słuchawkę od ucha i zagadnęła: -

Christopher chce do nas później wpaść z jakąś chińszczyzną. Liczyć cię?

- Pewnie - powiedziała Janice, nie odwracając się do matki, po czym wyszła z kuchni, nie tknąwszy nawet soku.

W ciągu całej wizyty Christophera Janice obserwowała ich niczym kot, lecz jeśli nawet byli ze sobą blisko, to w żaden sposób nie dali tego poznać. Przez większość dnia Chris siedział ze skrzyżowanymi w kostkach nogami, wtulając kark w poduchy kanapy. Oglądał kręgle wraz z Joeyem i Dennyem, dyskutując o poziomie graczy. Lee, w kostiumie z szarej dzianiny i aksamitnych klapkach, siedziała wtulona w fotel w salonie, czytając książkę. O piątej wstała, aby rozgrzać samochód i odwiedzić Denny'ego do domu. Christopher także się podniósł, proponując: - Jeżeli chcesz, to ja go odwiozę.

- Nie, siedź sobie tutaj, jak ci dobrze. Ja pojedę. Wrócę za jakieś dziesięć minut.

„Jeśli tych dwoje coś kombinuje, to ja jestem Mae West!” - pomyślała Janice. Oboje zachowywali się tak, jakby potrzebna im była solidna dawka testosteronu.

Po powrocie Lee podgrzała chińskie danie w kuchence mikrofalowej, przyniosła każdemu z nich talerz do salonu, a następnie wróciła na fotel, aby zjeść swoją porcję, nie przerywając czytania.

O ósmej Christopher przeciągnął się i rzekł: - No, chyba już pójdę.

Lee z pewnym trudem oderwała oczy od lektury.

- Jedną minu... - Uniosła palec, po czym czytała dalej, żeby dokończyć akapit.

- Nie przerywaj sobie. Trafie do wyjścia.

- Och, nie! Nie! - Lee ocknęła się wreszcie i wstała z fotela, zostawiając na poduszce rozłożoną książkę. - Po prostu tak dawno nie czytałam, że zapomniałam się trochę.

- Czytaj dalej. Nie musisz mnie odprowadzać.

Lee ziewnęła, po czym splótłszy palce, wyciągnęła dłonie daleko przed siebie, przeciągając się od pasa w górę.

- Leniwy dzień.

- Tak, poleniuchowaliśmy sobie. - Chris wziął swoją kurtkę, aby założyć ją w holu. - Dzięki, że pozwoliłaś mi pętać się pod nogami. - Pocałował ją w policzek, nie kryjąc się wcale przed dziećmi, które patrzyły na to z pokoju. - Hej, Joey, Janice... na razie, cześć.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Janice uznała z pewną ulgą, że była w błędzie, że Joey był w błędzie, że Christopher jest dla ich matki jedynie substytutem Grega.

Pierwszego roboczego dnia po Nowym Roku, o drugiej po południu - w porze przerwy na lunch - Lee zapukała do drzwi mieszkania Christophera. On zaś otworzył je gwałtownie, po czym zwarli się w uścisku, nieomal zdzierając z siebie skórę. Całowali się, jak gdyby

następnego dnia miało to zostać zakazane. Chris przycisnął ją do drzwi wejściowych, ale potem zmienił zdanie, odciągnął ją od nich, aby zsunąć z niej płaszcz i rzucić go na podłogę. Pocałunek był soczysty, seksualny, niecierpliwy - tak upajający i przenikliwy jak wszystkie pocałunki, które kończą okres wymuszonego utajenia i wytyczają teren na przyszłość. Nie przerywając go, Chris chwycił jej piersi i docisnął ją do drzwi, które pod ich wspólnym ciężarem zamknęły się z trzaskiem. Poczuli wstrząs, a na klatce schodowej rozległo się echo.

Kiedy przebrzmiało, Lee złapała niezbyt delikatnie dwie garście włosów ponad jego uszami. - Nigdy więcej mi tego nie rób! W życiu nie spędziłam tak ohydneho dnia! Miałam ochotę przejść na tę kanapę, żeby cię zmiażdżyć, ale mogłam tylko siedzieć na drugim końcu pokoju i czytać głupią książkę.

Chris zaśmiał się. - Chcesz powiedzieć, że mnie pożądałaś?

Chwyciła go mocniej, wrzeszcząc: - Pożądałam? Pożądałam!

- Potem zaczęła warczeć. Trzymając go za włosy, kręciła jego głowę, jakby chciała zerwać ją z karku.

- Jak tam twoje łydki? - zapytał z krzywym uśmiechem.

- Pocałuj mnie ładnie, to ci powiem.

Pocałował ją ładnie, tym razem delikatnie, a ona przyglądała mu włosy i łagodnie trzymała w dłoniach jego głowę. Kiedy ponownie spojrzał jej w oczy, powiedziała cicho: - Moim łydkom przydałaby się małeńka terapia.

- Ach - odparł Chris - właśnie o czymś takim myślałem. Poderwał ją z ziemi i zaniósł niczym pannę młodą do pokoju dziennego, gdzie nie było już choinki, a meble stały na swoich zwykłych miejscach. Opadł na kanapę, po czym zsunął Lee ze swych kolan, tak że jej nogi nadal leżały na jego udach, i pochylił się, aby ją pocałować. Poznając na nowo smak jej ust, rozpiął guziki jej lawendowego zakietu. Kiedy wsuwał rękę pod sweter, który miała na sobie, Lee przerwała pocałunek.

- Christopherze, mam dla ciebie bardzo złe wieści.

Jego dłoń zatrzymała się. Spojrzał jej w oczy z niepokojem.

- Wczoraj wieczorem dostałam okres.

Przez trzy sekundy patrzył tylko z niedowierzaniem. Potem odskoczył do tyłu, jakby przeszyła go kula, cofnął ręce, odrzucił głowę na oparcie kanapy i jęknął: - Oooch, nieeee...

- Przykro mi - powiedziała, wzduszając ramionami i krzywiąc twarz.

- Ile dni to potrwa?

- Cztery lub pięć.

Uniósłszy głowę, Chris otworzył oczy. Położył palec na jej ustach, prostopadle do

warg. - A więc jest pani dla mnie niedobra, madam, bo jak pani wie, tylko tego chcę od pani.

Lee pocałowała go w palec. - A ja myślałam, że kochasz mnie za te moje kulki prażonej kukurydzy.

Łypnął w kąt pokoju, pomyślał przez chwilę, po czym spojrzał na nią z szerokim uśmiechem. - Teraz, kiedy mi o tym przypomniałaś... myślę, że dam radę wytrzymać przy tobie jeszcze cztery lub pięć dni.

- Chwycił ją za łokcie, przyciągając do siebie. - Chodź tu. - Przez chwilę gramolili się niezgrabnie, aż wreszcie Lee usiadła na nim okrakiem, podtrzymywana przez jego dłonie, wsunięte pod pachy pomiędzy swetrem a zakietem. Pochylił ją ku sobie i pocałował, tym razem bez cechującej grę wstępną gwałtowności, znacznie spokojniej, co było chyba jeszcze bardziej czarujące. Miał cudownie łagodne wargi, wilgotne i odprężone, całowali się niespiesznie, przesuwając nosy to w lewo, to w prawo, cztery razy. Kiedy skończyli, wpatrzyli się w siebie z zachwytem, a dłonie każdego z nich błąkały się po ciele drugiego bez celu, jak płetwy stojącej w miejscu ryby, on gładził jej piersi, ona włosy na jego karku. To były dobre, bezcenne i ciche minuty, w trakcie których przekonywali się, że seks może poczekać. Podobali się sobie coraz bardziej, z każdą chwilą spędzoną razem... a także z każdą chwilą spędzoną osobno. Mówiły im o tym ich oczy oraz pożądlive uśmieški.

- Coś ci powiem - oświadczył cicho Chris. - Dla mnie Nowy Rok też był bardzo trudny. Wiedziałem, że nie powinienem przychodzić, ale po prostu musiałem.

- Cieszę się, że przyszedłeś. Gdybyś ty nie przyszedł do mnie, ja musiałabym przyjść do ciebie, a nie miałam pojęcia, jaki znaleźć pretekst.

Chris zaczął zapinać jej zakiet. - To okropne, kiedy trzeba wynajdywać preteksty, prawda?

Lee odgarnęła jego włosy palcami. Z przyjemnością dotykała ich sprężystych pasemek, wchłaniała zapach szamponu i skóry, tak specyficzny dla Chrisa.

- Janice wie - powiedziała, drapiąc go leciutko w głowę.

- Spodziewałem się tego. Bardzo się wczoraj trzymała na uboczu. - Wydaje mi się, że rankiem o mało nie zapytała mnie wprost.

Żakiet Lee był już zapięty. Chris położył dłonie w zagłębieniu jej talii. - Co byś odpowiedziała?

Przestała bawić się jego włosami. - Powiedziałabym jej prawdę.

- Mówisz poważnie? Potakujący ruch jej głowy był tak nieznaczny, że Chris uwierzył od razu.

- Chciałam po prostu dać nam trochę czasu. Jak sędzę, należy się to nam, zanim

zacznę mieszać w tym kotle, który na pewno zacznie wrzeć, kiedy wszyscy się dowiedzą.

- Naprawdę tak sądzisz?

Przytaknęła, wbijając oczy w wycięcie jego swetra.

- Wszyscy, z wyjątkiem Joeya. On za tobą przepada i jest na tyle młody, że nie ma uprzedzeń. Natomiast Janice poczuje się upokorzona, Sylvia będzie wstrząśnięta, a moja matka... - Lee wywróciła oczy do sufitu, potem wbiła je w coś po swej lewej stronie. - Moja matka będzie najgorsza ze wszystkich.

- Czy to aż takie ważne, co oni sobie myślą?

- No cóż, oczywiście, że ważne. - Bez żadnej potrzeby poprawiła kołnierzyk jego koszuli w wycięciu swetra, potem położyła mu dłonie na obojczykach. - To moja rodzina.

- Chcesz powiedzieć, że wyprą się ciebie czy coś w tym rodzaju?

- Nie, nie wyprą się mnie.

- Zatem wyprą się mnie. - Powiedział to bez urazy. Patrząc jej w oczy stwierdzał po prostu, że nie można wykluczyć czegoś takiego; że jest to coś, z czym muszą sobie poradzić.

Lee westchnęła, po czym otoczywszy jego głowę ramionami, przytuliła ją do piersi. - Och, mam nadzieję, że nie. Chciałabym wierzyć, że nie są aż takimi hipokrytami.

Siedzieli nadal w miodowym świetle popołudnia wpadającym przez okna. W tej nietypowej pozycji, z całą jej intymnością, było im ze sobą tak dobrze. Chris odwrócił twarz w bok, a Lee, wsunawszy palce w krótkie włosy na czubku jego głowy, to przegarniała je, jak przy myciu, to znów naciągała lekko. Powtarzała te ruchy wciąż na nowo, nie mogąc nacieszyć się wrażeniem, jakiego przysparzały jej dłoniom po tylu latach, w trakcie których nie dotykała mężczyzny. Jego włosy, policzki, brwi, płatki jego uszu, jego klatka piersiowa, nawet ubrania, które miał na sobie, wydawały się tak odmienne od jej rzeczy, spowijały bez porównania silniejsze mięśnie i masywniejszy kościec. Jego dłoń znowu błąkała się po jej plecach, z roztargnieniem sunęła w dół i w górę, jak przewrócone na bok wahadło.

Chris zamknął oczy, ulegając nastrojowi. Także i on rozkoszował się jej kobiecością, dotykiem nóg, które oplatały jego - biodra, paznokciami drapiącymi jego głowę, jej dłońmi na swoim ubraniu i oddechem na czole. Słońce rozgrzewało jego lewy policzek, a jej piersi - miękkie i podatne - prawy. Zapach Lee bardzo przypominał jej kwaciarnię, czuło się w nim zioła, lawendę i kwiaty. Ciało, które obejmował rękoma, wydawało się tak kruche w porównaniu z jego własnym. Pod palcami, którymi gładził jej plecy, czuł coś niematerialnego, jak skrzydła ptaka.

Mężczyzna... kobieta... tak różni od siebie...

Tak niewiarygodnie, cudownie różni...

- Zjesz coś? - zapytał, kiedy już oboje byli bardzo rozleniwieni i obojętni na wszystko, prócz słońca oraz ruchu swych dłoni.

- Mhm... - powiedziała nie otwierając oczu, z ustami wtulonymi w jego włosy. - A co masz?

- Trochę salami i sera. Pieczywo. Jabłko.

- Hmmm... a czy muszę?

- Powinnaś coś zjeść.

- Mogłabym żyć bez tego.

Uśmiechnął się, nieomal drżąc pod delikatnymi dotknięciami dłoni w swoich włosach.

- O której musisz wracać?

- Nie powinnam zostawać zbyt długo. Sylvia ma dziś po południu wizytę u dentysty.

Chris westchnął, z żalem wysunął głowę spod jej dłoni i spojrzał w górę. Włosy miał zmierzwione.

- Znowu siedzisz na mnie okrakiem. Straszna z ciebie rozpustnica.

Lee zeszła z jego kolan, po czym łapiąc go za rękę, pociągnęła za sobą. - Chodź, poszukajmy tego salami.

Trzymając się za ręce, pogrążeni w miłości, poszli w stronę kuchni. Po drodze zastanawiali się, jak długo jeszcze uda im się utrzymać ten romans w tajemnicy, dokąd ich doprowadzi i dlaczego ilekroć zaczynają rozmawiać o jego skutkach, stają się poważni, jakby mieli na zawsze zmienić swoją przyszłość, choć nie mieli pojęcia w jaki sposób.

Wkrótce po zakończeniu ferii zimowych Christopher odebrał telefon ze szkoły. Promienny, zimowy dzień był tak ciepły, że z chodników, na których topniał śnieg, unosiła się para. Pokój w komisariacie, gdzie pisał właśnie meldunek z jakiegoś wypadku, pachniał poranną kawą i olejem do czyszczenia pistoletów. Kiedy podniósł słuchawkę, usłyszał kobiecy głos:

- Mówi Cynthia Hubert, dyrektor gimnazjum. Mamy tu ucznia klasy siódmej, Judda Quincy, który narobił sobie kłopotów. Twierdzi, że jeśli do pana zadzwonimy, przyjedzie pan i poręczy za niego.

Christopher westchnął z rezygnacją, zwieszając ramiona. Odchylił się do tyłu na swym obrotowym krześle.

- Co zrobił tym razem?

- Ukradł nauczycielce pieniądze z portfela.

Chris zamknął oczy, szczypiąc się w grzbiet nosa. Niech diabli wezmą tego dzieciaka. Zdawało mu się, że robią postępy. - Jest pani pewna, że to on? - Nauczycielka złapała go na



gorącym uczynku.

- Czy jest tam funkcjonariusz łącznikowy?

- Tak, Judd jest pod jego opieką.

- Proszę posłuchać... niech pani nie robi nic, dopóki tam nie przyjadę, dobrze?

Dyrektorka milczała przez chwilę, nie mogąc się zdecydować.

- Dobrze - powiedziała wreszcie z westchnieniem - zaczekamy. Kiedy Chris, ubrany w mundur, dotarł na miejsce, Judd siedział w gabinecie radcy prawnego Gimnazjum Freda Moore'a. Panowała tam pełna napięcia cisza, jaka często towarzyszy udowodnionej winie. Chłopak siedział na niebieskim, plastikowym krzeselku, wpatrując się w swoje tenisówki - pompki. Był chudy i niechlujny. Christopher skinął głową Randy'emu Woodwardowi, który z ramienia ich komisariatu zajmował się tą szkołą. Tuż za nim do pokoju weszła dyrektorka, szczupła, szpakowata kobieta w prostej szarej sukience i okularach w złotej oprawie. Chris odwrócił się i uścisnął jej dłoń.

- Dziękuję za telefon, pani Hubert. - Zerknął na Judda. Chłopak nadal wpatrywał się w swe buty, przypominające obuwie żołnierza piechoty, który przemierzył całe Prusy.

- Czy mógłbym porozmawiać z nim przez chwilę w cztery oczy? - zapytał Chris.

Policjant i dyrektorka wyszli, pozostawiając ich samych.

Christopher podszedł do Judda. Stał przed nim patrząc w dół, na zmierzwione włosy, ptasią szyję, wygniecioną, brudną koszulkę, wystającą spod poplamionej kurtki dżinsowej i spodnie z poprzecznymi rozdzarciami na obu kolanach. Stał przez dłuższą chwilę z rękoma na biodrach. W pokoju panowała cisza, tylko zza ściany dobiegały stłumione odgłosy rozmowy. Ktoś używał zszywacza, dzwonił telefon.

- Ukradłeś te pieniądze? - zapytał wreszcie Christopher. Chłopak nic nie odpowiedział. Zwiesił tylko głowę jeszcze niżej, wpatrując się w języki swoich tenisówek.

- Ukradłeś? - powtórzył cicho Chris. Judd kiwnął potakująco głową.

Słowa przygany nie chciały jakoś sformować się w zdania w umyśle Christophera. Tyle już razy pouczał Judda, grał twardego faceta, starając się uświadomić temu dzieciakowi, że świat nie jest sprawiedliwy, ale po prostu trzeba z tym żyć i brnąć ku dorosłości, kiedy będzie można podejmować decyzje samemu. Dzisiaj jednak zrozumiał jedno: ten chłopak ma zaledwie dwanaście lat, więc kiedy słyszał, że ma cierpliwie czekać do siedemnastu czy osiemnastu, kiedy wreszcie ukończy szkołę średnią, musiało mu się wydawać, że oczekuje się od niego zdobycia stypendium Rhodesa. Judd był przerażonym, dezorientowanym, niekochanym dzieckiem, które prawdopodobnie nie dostało dziś rano śniadania, nie wspominając już o matczynym całusie przy wyjściu do szkoły.

Nagle Christopher zrobił coś, czego nigdy dotąd nie zrobił: przyklęknął na jednym kolanie, aby objąć Judda. Chłopak przylgnął do niego i zaczął płakać. Chris trzymał go mocno, przełykając z trudem ślinę, by również nie wybuchnąć płaczem. W nozdrza bił mu stęchły zapach skóry i ubrań Judda. W sąsiednim pokoju sekretarka zdążyła chyba zużyć cały ładunek zszywek i wszyscy nieobecni zdołali dodzwonić się do szkoły, aby dać znać, że są chorzy, a oni nadal trwali tak w milczeniu, przytuleni do siebie. Ilekroć Christopher próbował się cofnąć, Judd przywierał do niego mocniej.

- Co się stało? - zapytał Chris. - Coś w domu? Poczul jak chłopak wzrusza ramionami.

- Chcesz się stamtąd wynieść? Chcesz mieszkać w domu dziecka?

- Chcę mieszkać z tobą - powiedział Judd.

Chris zdjął rękę chłopca ze swojej szyi i posadził go z powrotem na krześle. - Przykro mi, Judd, ale nie możesz. Do sprawowania takiej opieki potrzeba zgody sądu, a poza tym co bym z tobą robił, pracując na nocnej zmianie?

- Nic by mi nie było. - Chłopak otarł oczy grzbietami nadgarstków. - Po prostu oglądałbym sobie telewizję i kładł się do łóżka, kiedy byś mi kazał.

- Przykro mi, Judd, nie da rady - odparł Christopher, czując jak pęka mu serce.

W oczach, które chłopiec podniósł do góry, była szczerość, jakiej Christopher dotąd nie widział.

- Mógłbym robić dla ciebie różne rzeczy, odkurzyć ci czasem mieszkanie albo odgrzać puszkę zupy.

Tak właśnie wyglądało dla Judda przyrządzanie posiłku: odgrzać puszkę zupy. Chris objął swym męskim ramieniem jego chłopięcą szyję, zastanawiając się, ile brudu skrywa ta śniada skóra. Potem podniósł się i usiadł na sąsiednim niebieskim krzeselku, opierając łokcie na kolanach.

- Powiedz mi, co się stało w domu.

- Zabrali mi bony na lunch, żeby kupić sobie kokę. Potem próbowali dać mi jej trochę, powiedzieli, że chcą mnie wyrobić.

- Wyrobić cię?

- No wiesz, pokazać mi jakby coś nowego.

- To znaczy kokainę?

Judd przytaknął, a Christopher poczuł, że robi mu się gorąco. U tego rodzaju typków jak rodzice tego chłopaka, zabieranie dzieciakom bonów na dotowane posiłki zdarzało się często, ale próba wciągania własnego dziecka w narkotyki była dla Chrisa czymś nowym. Poczul, jak wszystko się w nim kurczy. Miał piekielną ochotę odszukać Wendy i Raya

Quincych, a potem walić ich pięściami po głębach, aż będzie im potrzebna operacja plastyczna.

- Powiedzmy to sobie jasno. - Uniósł podbródek chłopca, zmuszając go, aby spojrzał mu prosto w oczy. - Twoja mama i tato kupili kokainę za pieniądze z twojego lunchu, a potem próbowali cię skłonić, abyś jej zażył. Jesteś pewien, że tak to właśnie było?

Judd szarpnął głową, wyrrywając podbródek z jego dłoni. - Jak powiedziałem, że tak było, to tak właśnie było.

- A więc ukradłeś pieniądze, żeby zjeść za nie lunch? Chłopak na nowo zaczął przyglądać się swym butom.

- Judd, tym razem muszę wiedzieć wszystko dokładnie, żadnych kłamstw, żadnych półprawd. Czy dlatego ukradłeś te pieniądze?

- Tak, chyba tak - wymamrotał chłopiec.

- Chyba?

- I jeszcze dlatego, że wiedziałem, że jak to zrobię, to po ciebie zadzwonią. Christopher wstał z krzesła. Przycupnął na pięcie, aby spojrzeć w twarz Judda.

- Posłuchaj mnie, dobrze? Bo tym razem to naprawdę ważne. Nie mogę cię oddać do domu dziecka bez zgody twoich rodziców, a nie sądzę, żeby się zgodzili. Ale mamy inną możliwość. Mogę cię od nich zabrać i zatrzymać na policji przez dwadzieścia cztery godziny. Kiedy tylko to zrobię, pracownik opieki społecznej wystąpi z wnioskiem do prokuratora okręgowego i zostaniesz przesłuchany przed sądem. Jeżeli posuniemy się do tego, będziesz musiał powiedzieć sędziemu to samo, co przed chwilą powiedziałeś mi: że rodzice próbowali cię skłonić do zażycia kokainy. Zrobisz to?

Kiedy sprawy zachodziły tak daleko, częstokroć w ostatniej chwili dzieci nie chciały zeznawać przeciw swoim rodzicom, bojąc się, że utracą ich i dom.

- Zrobisz to, Judd?

Poprzez wielkie łyzy, które drżały na jego rzęsach, chłopiec wpatrywał się w swe brudne dłonie.

- A będę mógł potem mieszkać z tobą? „Nie łam mi serca, chłopcze. „

- Nie, nie będziesz. Ale jest bardzo możliwe, że na czas procesu, zostanę twoim kuratorem.

- Moim kuratorem? - Judd podniósł wzrok.

- Miałbym za zadanie troszczyć się o twoje dobro i dbać o to, aby podejmowano właściwe decyzje. Ale musisz zrozumieć jedno: jeżeli to wszystko rozpocznę, jeżeli zatrzymam cię na policji na dwadzieścia cztery godziny, jeżeli zgłoszę to do opieki

społecznej, a oni skierują sprawę do prokuratora, to zostaniesz odebrany rodzicom na stałe.

Judd myślał nad tym przez chwilę, po czym spróbował nieśmiało bronić swej matki, która na niego nie zasługiwała: - Moja mama... ona czasem świetnie gotuje.

Chris poczuł ucisk w gardle. Kiedy się odezwał, jego głos brzmiał tak, jakby próbował coś przełknąć i mówić jednocześnie. - Tak, wiem. Czasami są w porządku. Ale zazwyczaj nie są. To chorzy ludzie, Judd, a nie chcą dać sobie pomóc. Może jeśli nie będziesz już z nimi mieszkał, zrozumieją to. Postaramy się znaleźć ci dobry dom dziecka, gdzie będą cię kąpać i karmić, gdzie co dzień będziesz dostawał pieniądze na lunch. Ale wybór należy do ciebie - ty musisz zdecydować.

- A będziemy dalej mogli grać czasem w koszykówkę, ty i ja? I chodzić razem do siłowni?

- Tak, Judd, będziemy. Postaram się o to.

Dzieciak nie potrafił podjąć ostatecznej decyzji, więc Chris zrobił to za niego. Wstał, kładąc rękę na głowie Judda. - Wiesz, co ci powiem. Zabierzemy cię już na dzisiaj ze szkoły. Zaczekaj tu, dobrze?

W gabinecie dyrektorki zastał Randy'ego Woodwarda, panią Hubert oraz nauczycielkę, której zostały skradzione pieniądze, panią Prothero. Zamknął drzwi, po czym bez żadnych wstępów oświadczył: - Mam zamiar zatrzymać go na policji i załatwić przesłuchanie przed sądem.

- Myślisz, że to coś da? - zapytał Woodward.

- Chcę wnieść w jego sprawie pozew CHIPS.

- Przemyślałeś to dobrze? - zaniepokoił się policjant. Pozew CHIPS oznaczał próbę sądowego pozbawienia rodziców opieki nad dzieckiem. Żaden odpowiedzialny funkcjonariusz policji ani pracownik służb socjalnych nie wszczywałby tej procedury nie upewniwszy się najpierw, że czyni słusznie.

- Ukradł, ponieważ rodzice sprzedali jego bony na dotowany lunch, a za te pieniądze kupili kokainę. Potem próbowali skłonić Judda, żeby też sobie niuchnął.

Pani Prothero - schludna dziewczyna o typowo amerykańskim wyglądem, może jakieś dwa lata po college'u - przysłoniła dłonią usta, wyraźnie blednąc. Pani Hubert siedziała za swoim biurkiem spokojna, lecz zamyślona.

- Gdyby można było, chętnie bym wziął trzydzieści stóp liny, przywiązał te sukinkoty za moim śnieżnym skuterem i zabrał ich na czterogodzinną przejażdżkę po lesie - powiedział cicho Randy Woodward.

- Problem w tym, że kiedy doszliby do siebie, chcieliby tylko dostać działkę - odparł

Christopher. - Chłopiec musi się wykąpać i coś zjeść. Obawiam się, że nie jest w tej chwili syty. Potrzebne mu także czyste ubranie, którego, jak sądzę, nie znajdzie się u niego w domu. Zadzwońisz do Służb Socjalnych? - zapytał Woodwarda.

- Natychmiast, jeśli tylko pani Hubert się zgadza. Dyrektorka kiwnęła potakująco głową. - Sądzę, że tak będzie najlepiej.

- Pani Prothero?

Młoda kobieta ocknęła się z zamyślenia. Minę miała nietęgą. - Tak, oczywiście. Dobry Boże, nie miałam pojęcia, że w jego domu jest aż tak źle.

- Kiedy już zadzwonisz - powiedział Christopher do Woodwarda - sam go zawiozę do izby dziecka. Chłopak mnie zna, a będzie trochę wystraszony.

- Jasne. Będę ci wdzięczny. Człowiekowi serce się kraje, kiedy musi to robić. Serce się kraje - słodki Jezu, serce Chrisa było niemal w strzępach. Zawiózł małego, przerażonego dzieciaka do niewielkiego, schludnego domku na północno - wschodnich obrzeżach Anoki, a potem odprowadził go podjazdem pomiędzy zwałami śniegu. Judd patrzył wprost przed siebie ze stoickim wyrazem twarzy, choć jego dżinsową kurtkę z trudem można było uznać za stosowne na środek zimy okrycie. Przez cały czas Chris pamiętał, jak mocno to dziecko ścisnęło go w biurze radcy w szkole.

Hoża pięćdziesięcioparoletnia kobieta w spodniach i zielonym swetrze otworzyła drzwi i wpuściła ich do środka.

- To jest pani Billings - przedstawił ją Chris.

- Witaj, Judd - powiedziała kobieta z tak fałszywą słodyczą, że Christopher poczuł się diabelnie winny, zostawiając z nią chłopca. W każdym razie dom był bardzo czysty, a na ścianach pokoju dziennego wisiały święte obrazki.

- Potrzebna mu kąpiel i coś do zjedzenia - powiedział kobiecie.

- Jest zatrzymany na dwadzieścia cztery godziny w oczekiwaniu na przesłuchanie.

Zanim wyszedł, położył dłoń na ramieniu Judda. Chłopak był zbyt wysoki, aby przed nim klękać, ale też za niski, by go po prostu uściskać, więc Christopher nie bardzo wiedział co zrobić. W końcu nie wytrzymał i przygarnął do siebie, aby się z nim pożegnać. Tym razem, w obecności obcej osoby, Judd nie odwzajemnił uścisku.

- Słuchaj, teraz już wszystko będzie dobrze, wiesz?

- Kiedy cię znowu zobaczę?

- Przesłuchanie odbędzie się w ciągu dwudziestu czterech godzin. Prawo nie zezwala, żebym był przy nim obecny, ale przyjadę po ciebie osobiście wozem patrolowym.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

- Pójdę jutro do szkoły?

- Nie, jutro chyba jeszcze nie. Prawdopodobnie właśnie o tej porze będziesz przesłuchiwany.

- Po co to przesłuchanie?

- W języku prawniczym nazywa się to przesłuchaniem przed wszczęciem postępowania. Znaczy to, że sędzia zadecyduje, czy są dostateczne powody po temu, aby zabrać cię na stałe z domu. Wcześniej będzie z tobą rozmawiał na ten temat prokurator okręgowy. Powiedz mu prawdę. Po prostu powtórz to, co powiedziałaś mi w szkole.

Judd z przygnębioną miną słuchał swego przyjaciela policjanta. - No cóż, słuchaj, muszę już iść. Jak wiesz, jestem na służbie. Chłopak skinął głową.

Chris zmierzwił mu włosy, podziękował pani Billings i wyszedł. Otwierając drzwi auta, obejrzał się za siebie. Judd stał nieruchomo w oknie od frontu, patrząc w ślad za nim. W samochodzie Chris musiał wysiąkać nos i solidnie odchrząknąć, zanim zdołał podnieść mikrofon, aby zgłosić się dyspozytorowi.

Kiedy jechał z powrotem do biura Służb Socjalnych, żeby dowiedzieć się, na którą wyznaczono przesłuchanie, uświadomił sobie jedno: dzieciak ani razu nie odezwał się dzisiaj rapowym żargonem. Lęk pozbawił go wszelkiej chęci do brawury.

Tego wieczoru zadzwonił do Lee. - Muszę się z tobą zobaczyć.

- Stało się coś? - zapytała.

- Tak, chodzi o... - O co właściwie chodziło? O j ego pracę, o j ego cholerną, niewdzięczną pracę, choć przecież w trakcie szkolenia uczono go, aby nigdy nie angażował się emocjonalnie w sprawy ludzi, którym miał służyć. - Chodzi o Judda.

Lee zgodziła się natychmiast, nie zadając żadnych dodatkowych pytań. - Przyjeżdżaj w każdej chwili. Będę w domu przez cały wieczór.

Dotarł tam o wpół do dziewiątej. Czuł się ociężały, przygnębiony, potrzebował... potrzebował czegoś... czegoś, co nie bardzo potrafił nazwać. Może wsparcia.

Lee wpuściła go do pogrążonego w półmroku holu.

- Kochanie, co się stało? - zapytała, patrząc na jego ściągniętą twarz.

Nie zdjawszy nawet kurtki, wziął ją w ramiona. Wtulił twarz w jej włosy. Położyła dłonie na jego plecach i stali tak w mrocznym wejściu, za ażurową ścianką, poprzez którą z pokoju dziennego można było zobaczyć plecy Lee. Ani nad drzwiami, ani w kuchni nie paliło się światło. Tylko w salonie, gdzie chociaż raz nie grał telewizor i nie wylegiwał się Joey, świeciła jedna słaba lampka, rzucająca im do stóp mętny blask.

- Po prostu jeden z tych dni, bez których mógłbym się obyć.
- Co się stało z Juddem?
- Wszcząłem dziś postępowanie o odebranie praw jego rodzicom.
- Był jakiś specjalny powód?

Opowiedział jej o bonach na lunch, o kokainie, o tym, co zaszło w biurze dyrektorki i o tym jak zawiózł Judda do izby dziecka. - Najgorsze jest to, że po tym wszystkim, co przeszedł ten dzieciak, wcale nie jestem pewien, że robię dobrze.

- Ale kokaina...

- Wiem. Wiem. - Trzymał ją lekko, potrzebował ciepła jej ciała, jej bliskości, jej dłoni na swych plecach. - Ale ja tam byłem, Lee, i wiem, jak on się czuje. To jednak jego dom, choć tak bardzo różni się od domów innych dzieci. A w końcu dom ma się tylko jeden. Jeśli dziecko utraci matkę i ojca, skąd może mieć pewność, że znajdzie się dla niego ktoś inny? Widziałem dzisiaj oczy Judda. Czuję to, kiedy przywarł do mnie z całej siły, jakby chciał mnie udusić. Potem powiedział: „Chcę mieszkać z tobą, Chris”, a ja musiałem mu odmówić. Jezu, Lee, powinnaś była go widzieć. Kiedy tak siedział na tym twardym, biurowym krzesełku, wyglądał jak mały uchodźca. Był brudny, obszarpany, śmierdział. Nie miał nawet przyzwoitej zimowej kurtki i jestem przekonany, że nikt mu nie dał śniadania... a ja mam wolną sypialnię i zarabiam na tyle dużo, że bez trudu mógłbym się nim zająć, ale co zrobię z dwunastoletnim chłopcem, skoro przez połowę czasu pracuję na noc, a nie mam nikogo, kto by się nim zajął?

Lee nie miała na to odpowiedzi. Tuliła go tylko, słuchając, jak opowiada półgłosem o swoich odczuciach.

- Ostrzegano mnie, żebym do tego nie dopuścił, żebym nigdy nie zbliżał się za bardzo do takich dzieciaków, ale musiałbym być zupełnie bez serca, gdybym tego nie zrobił.

- Dziś wieczorem Juddowi jest ciepło, ktoś go nakarmił i troszczy się o niego. Dzięki tobie.

Chris westchnął, po czym wsparł podbródek na jej głowie i zamknął oczy. Próbował czerpać z niej siłę, wzmocnić się na tyle, aby wymazać przykre wspomnienia tego dnia, one jednak trzymały się go uparcie.

- Dzieciaki są najgorszą stroną tej pracy - powiedział po chwili.

- Nie przestępcy, nie kanciarze, nawet nie ofiary wypadków. To dzieciaki ruszają człowieka najbardziej.

- Wiem - powiedziała Lee, gładząc go po plecach. - Greg zawsze mówił to samo.

- Kilka lat temu, w tym roku, gdy Greg wstąpił do policji, dostałem wezwanie z North

Side. Ktoś zauważył tam małą dziewczynkę, która szła ulicą na bosaka. To był piękny, letni dzień. Kiedy ją znalazłem, było około drugiej po południu. Jak sędzę, miała może ze trzy lata i słowo daję, że tego dnia nikt nie zrobił dla niej nic. Po ubrankach było widać, że ubrała się sama, biedactwo. Miała na sobie jakąś brudną sukieneczkę, była bez majtek, do tego te bosa stopki, brudne i skołtunione włoski. Dreptała ulicą, ciągnąc za rękę jakąś lalkę bez włosów. Była o wiele przecznic od domu. Po prostu sobie wyszła i nikt nie zauważył jej braku. Kiedy się zatrzymałem i wysiadłem z samochodu, ssała z płaczem paluszki. Jeszcze zanim do niej podszedłem, wyciągnęła obie rączki, a gdy złapała mnie nimi za szyję, żadna siła nie mogła jej ode mnie oderwać. Musiałem zadzwonić po pomoc, bo kiedy próbowałem ją od siebie odczepić, żeby kierować, płakała. Sam ją zaniósłem do izby dziecka, a gdy chciałem oddać ją kobiecie, która tam pracowała, płakała i nie chciała puścić mojej szyi.

- Chris milczał przez chwilę, po czym dodał: - Nie zapomnę tego dnia do końca życia.

- Nie wolno ci czuć się winnym, że nie zabrałeś Judda - powiedziała Lee.

- Ale czuję się. To ja nawiązałem z nim kontakt, ja stałem się dla niego starszym bratem, więc teraz czuję się tak, jakbym go zdradził.

- Masz za miękkie serce.

- Jak człowiek może mieć zbyt miękkie serce?

- Christopher, mój drogi, to właśnie jeden z powodów dla których cię kocham.

- Och, Lee... - Chris odchylił się lekko i ujął jej twarz w obie dłonie, niczym kielich, z którego miał zamiar się napić, pocałował ją z wdzięcznością i czcią, po czym nadal stał, nie wypuszczając jej twarzy z rąk.

- Nie byłem dziś pewien, czy potrzebna mi kochanka, matka czy żona, więc przyszedłem po wszystko.

- Żona? - powtórzyła Lee.

- Gliny muszą bardzo polegać na swoich żonach, a ja nie mam żony. - Musnął jej policzki kciukami. - Dzięki, że jesteś.

- Jeżeli w jakikolwiek sposób ci pomogłam, to bardzo się cieszę, ale mam swoje własne powody, żeby otwierać ci drzwi, i nie są one całkiem altruistyczne. - Stanęła na palcach, wyciągając rękę, żeby przyciągnąć jego głowę do ust. - Myślałam o tobie przez cały dzień.

Całowali się właśnie, kiedy Joey wyszedł ze swojego pokoju. Na nogach miał tylko skarpetki. Przemierzył korytarz, wszedł do salonu z przeciwnej strony i nagle zatrzymał się, zobaczywszy matkę, która stała w półmroku holu oplatając ramionami czyjąś szyję, całując tego kogoś.



Poczuł w dołku coś dziwnego. Jakieś dziwne, poruszające odczucie, od którego zaczęła drżeć wewnętrzna strona jego ud. To był Christopher, Joey nie miał wątpliwości, choć widział tylko rękawy kurtki oraz dłonie na plecach swojej matki. Znał przecież tę kurtkę. Lewa ręka Chrisa osunęła się niżej, obejmując biodra jego matki, przyciskając ją mocniej. Lee szepnęła coś, czego Joey nie był w stanie usłyszeć, lecz pomruk męskiego głosu upewnił go, że to Christopher. Otwarte dłonie mężczyzny zsunęły się niżej, łapiąc matkę za pośladki, co ona przyjęła tuląc się mocniej do niego, zupełnie tak samo jak to Joey widywał na filmach.

Chłopak poczuł, że cały się rumieni. Cofnął się do korytarza, gdzie stanął nieruchomo, przez nikogo nie zauważony. Słuchał ich cichych pomruków oraz długich chwil ciszy, które zapadały pomiędzy nimi, potem odgłosu pocałunków, jakich dotąd nie słyszał i dziwnych dźwięków, podobnych do tych, jakie sam wydawał, gdy jadł coś dobrego. Znowu wyrzwał z za rogu i zobaczył, że ręce Christophera znikają z pleców jego matki, aby wsunąć się pod jej sweter. Krawędź ściany zasłaniała mu widok, ale widział na pewno, że Chris dotyka jej piersi. Jezu! Jego matka! Więc ona, mając tyle lat, robiła jeszcze takie rzeczy? Jejku, to oni prawdopodobnie szli także na całość. Joey doznał tego dziwnego podniecającego uczucia, stężał cały i stwardniał, a jego oddech stał się świszczący. Zerknął po raz ostatni, po czym wśliznął się cicho do sypialni matki, gdzie na nocnej szafce stał drugi telefon. Bezszelestnie zamknął za sobą drzwi, podniósł słuchawkę i w ciemnościach, po omacku, wybrał numer. Potem położył się na plecach na środku łóżka i powiedział:

- Cześć, Denny, tu Joey. Muszę z tobą pogadać o jednej niesamowitej sprawie, która właśnie się wydarzyła...

## ROZDZIAŁ 16

Sędzia orzekł, że do czasu rozprawy, która została wyznaczona na koniec lutego, Judd powinien pozostać w izbie dziecka. Nie zgodził się natomiast na to, aby Christopher został kuratorem chłopca, twierdząc, że o jego dobro troszczy się już prokurator okręgowy oraz pracownik opieki socjalnej. Christopher odwiózł Judda do domu pani Billings, obiecawszy mu na pożegnanie, że co wtorek, o ile będzie na to pozwalał rozkład jego zajęć, poćwiczą sobie razem w policyjnej siłowni.

Joey Reston postanowił, że nie powie nikomu prócz Denny'ego Whitmana o tym, co zobaczył w holu swojego domu. Gdyby powiedział Janice, jego siostra rozbiłaby związek matki z Chrisem, a to by oznaczało koniec dość podniecających wydarzeń, takich jak to ostatnie, które tak go zafascynowało, że postanowił spróbować takich figli z Sandy Parker. Oczywiście będzie to najpierw musiał omówić z Dennyem, aby mieć pewność, że gdy zabierze się do rzeczy ze swoją dziewczyną, zrobi wszystko jak należy i nie przestraszy jej.

Janice wróciła do college'u, a Lee postanowiła, że kiedy tylko okaże się to możliwe, powtórzy seksualne przeżycia z Christopherem. Zadzwoiła do niego.

- Joey zapisał się na kurs prawa jazdy. Jutro wieczorem, od siódmej, nie będzie go przez dwie godziny. Co wtedy robisz?

- Mam wolne. Możesz przyjechać?

- Tak. - Odetchnęła z ulgą. - Spróbuj mnie tylko powstrzymać.

- W piątek też mam wolne. Co robisz w piątek wieczorem?

- Nic. A Joey idzie na mecz koszykówki.

- Dwa wieczory z rzędu. To rozpusta.

- Och, Christopherze, od lat tak się nie czułam.

- To znaczy jak?

- Wiesz.

- Może i wiem, ale i tak mi powiedz.

- Tak sexy. Jestem taka poruszona. Myślę o tym przez cały czas. Chyba powinnam czuć się winna, ale tak nie jest.

- Dlaczego powinnaś czuć się winna?

- Okłamuję dzieciaki.

- Ależ skąd. Zachowujesz po prostu część swojego prywatnego życia dla mnie i nie mówisz im o tym.

- To najprzewrotniejsza opinia, jaką kiedykolwiek słyszałam.

- Powiedziałem ci: jeśli kiedykolwiek zechcesz oświadczyć swoim dzieciom: „Chodzę z Christopherem”, daj mi znać. Zjawię się natychmiast i powiem im o tym razem z tobą.

- Jeszcze nie - powiedziała niczym skąpiec delektujący się swym bogactwem - jeszcze nie w tej chwili. Przez jakiś czas chcę cię mieć tylko dla siebie.

Zapadła cisza. Przez chwilę każde z nich przywoływało w myślach obraz drugiego. Czuli szczęście i tęsknotę, jak wszyscy kochankowie, którzy nie mogą być razem.

- Chciałbym być teraz z tobą - powiedział Chris.

- Ja też.

- Jesteś w łóżku? - zapytał.

- Tak. - Dzwoniła do niego co wieczór o jedenastej, po zgaszeniu światła. - A ty?

- Tak, leżę po ciemku. Co masz na sobie?

- Strasznie brzydką, wypłowiałą i starą koszulę nocną z flaneli. Ma pewnie z dziesięć lat.

- Leżysz na plecach?

- Nie, na boku, zwinięta w kłębek, ze słuchawką na poduszce.

- Z koszulą wsuniętą między nogi?

To pytanie w niewiarygodny sposób wpłynęło na jej psychikę. - Czy to ma być jeden z tych perwersyjnych telefonów, o których tyle się słyszy?

- Tak, sądzę, że tak, ale nigdy jeszcze nie prowadziłem takich rozmów, więc nie myśl, że to o mnie słyszałaś. Rozmawiam tak tylko z tobą. Czy ta koszula jest wsunięta pomiędzy twoje nogi?

- Tak - szepnęła Lee, po czym zamknęła oczy i oddychając łąpczywie, jakby obejmowały ją ręce Chrisa, wyobrażała sobie jego twarz, jego mocne palce i nagie ciało. Ich dwa telefony łączyła jedynie cisza.

- Lee? - szepnął Christopher po dłuższej chwili.

- Tak?

- Kiedy już zostawisz Joeya na kursie, nie zwlekaj ani minuty z przyjazdem tutaj.

Nie zwlekała. Siedem po siódmej przekroczyła próg jego mieszkania, a w dwie minuty później żadne z nich nie miało na sobie choćby jednego kawałeczka materiału. Nie marnowali też czasu na wędrowkę do jego sypialni, tylko runęli na podłogę w pokoju dziennym, gdzie grało radio, a obok kanapy paliły się dwie lampy. Tym razem Lee nie miała nic przeciwko temu, aby na nią patrzył. Rozchyliła nogi, tak jak tego chciał, pozwalając mu całować najbardziej intymne części swego ciała, specjalnie w tym celu uperfumowane.

Ich zespolenie było pełne namiętności, wyzbyte wszelkich zahamowań. To był

cudowny, naturalny przymus, który po tak długim okresie wymuszonej wstrzemięźliwości wiódł ich od jednej rozkoszy do drugiej. Pogrążając się bez reszty w radości, jaką im to dawało, z wdziękiem i wyuzdaniem próbowali coraz to nowych pozycji.

Kłęczeli właśnie twarzą w twarz, kiedy nagle Lee odchyliła się do tyłu, wyrzucając ręce do góry i wyginając ciało w mostek. Dłoń Chrisa podtrzymywała jej plecy.

- Czujecie... - powiedziała zdławionym głosem - aż po... samo serce... mój Boże... o, mój Boże...

- Nigdy nie przypuszczałem, że będziesz aż taka.

- Nigdy nie byłam... do tej pory...

Przyciągnął ją do siebie, a ona podniosła się z tą samą leniwą swobodą, z jaką opadała do tyłu, po czym całowała go, wiała się pod nim, mierzwiła mu włosy, wilżąc jego usta dotknięciami swoich.

- Lee... Lee... ciągle nie mogę uwierzyć, że jestem z tobą, że to robimy.

Miała czterdzieści pięć lat, była wolna i nadrabiała stracony czas.

Gdy doszła do szczytu, Chris stłumił jej okrzyk poduszką z kanapy, w obawie, że usłyszą go mieszkający niżej sąsiedzi. Gdy on doszedł do szczytu, Lee z uśmiechem spuściła wzrok, czerpiąc radość z widoku ich połączonych ciał. Chris był tak piękny w swym paroksyzmie, wygiął plecy w kabłąk, oddychając ze świstem otwartymi ustami. Lee dotknęła jego spoconego czoła, wsunęła palce pomiędzy rozchylone wargi, a wtedy on zamknął usta, otwierając oczy.

Potem leżeli na bokach na szorstkim dywanie, obejmując się nogami i nie spuszczać z siebie wzroku. Tuż przy ich głowach drżała gałązka fikusa, poruszana gorącym powietrzem nawiewanym z klimatyzatora. Pod żebrami wyczuwali niskie, basowe tony radia, niosące się po podłodze. Wiatr, który szalał na zewnątrz, bił w okna śniegiem, ale Christopher i Lee, skąpani w szafranowym świetle lamp, czuli wewnętrzne ciepło.

- Jesteś niesamowita - powiedział wyczerpany Chris.

- Nie mam pojęcia, skąd się to bierze.

- Zbyt długo tego nie miałaś.

- To coś więcej, jak sądzę. Zmieniłam się.

Dotknął jej dolnej wargi, odciągnął ją lekko, po czym puścił, pozwalając jej wrócić do naturalnej pozycji. - Kiedy zacząłem o tobie myśleć pod kątem seksu, wyobrażałem sobie, że będziesz bardzo sztywna, że będziesz się zachowywać w sposób bardzo stosowny.

- Byłam taka. To ty mnie zmieniłeś.

- Jak zdołałem tego dokonać?

- Nie wiem. Po prostu... - Lee przewróciła się na plecy, wyciągając jeden łokieć ponad głowę. Pierś, którą w ten sposób odsłoniła, natychmiast zajęła wolną rękę Christophera, niżej jednak ich ciała nadal leżały luźno splecione. - Zjawiasz się, taki silny, trzydziestoletni, i robisz ze mnie kobietę zwariowaną na punkcie seksu, choć zawsze byłam taka... no wiesz, praktyczna, pochłonięta pracą. Teraz nie wiem już, co robię, wciąż kombinuję, jak by się tu urwać ze sklepu i kochać się z tobą, a każdy dzień bez ciebie wydaje się długi jak miesiąc.

- To samo jest ze mną. Ale to coś więcej niż seks. Ty jesteś dla mnie czymś więcej.

- A czym? - zapytała, wciąż wyciągnięta na plecach, podczas gdy czubek palca Chrisa sunął po jej brzuchu, okrążał sutek, zagłębiał się w pępek i znowu wracał na brzuch.

- Tamtego dnia, po Nowym Roku, kiedy przyszedł do mnie w południe i nie mogliśmy się kochać, wystarczyło mi, że mogę patrzeć, jak siedzisz w słońcu na moich kolanach. Kiedy praca da mi w kość, mogę zawsze przyjść do ciebie, tak jak wtedy, kiedy zadzwoniłem do izby dziecka... to wszystko stanowi dla mnie część większej całości. I tamta część jest równie ważna jak ta.

Uśmiechając się leniwie, Lee odwróciła się lekko ku niemu. Jej pierś odzyskała swój kształt, który tak dobrze pasował do Chrisa dłoni. - Równie ważna? - zagadnęła filuternie.

- No, prawie - poprawił się, szczerząc zęby. Zachichotała bezgłośnie, po czym przeturlała się twarzą do niego.

Wsunęła palce we włosy na jego karku, patrząc mu bacznie w twarz. Jej chichot przybierał na sile.

- Dla mnie także.

Uniosła się z podłogi i wsparta na jednym łokciu, położyła się lekko na Chrisie, aby złożyć na jego ustach pocałunek, w którym było więcej miłości niż namiętności.

- Dajesz mi tyle szczęścia - powiedziała, odgarniając mu włosy znad uszu takim ruchem, jakby trącała struny lutni.

- Cieszę się.

- I wiesz co?

Chris, pełen błogiej sytości, czekał, co powie.

- Naprawdę wierzę, że związek między dwojgiem ludzi można ocenić na podstawie tego, jak zachowują się potem. Jak sądzisz?

Christopher pomyślał, że chciałby spędzić z tą kobietą resztę życia, że taka jest jego odpowiedź.

- Och, Lee... - westchnął, obejmując jej szyję zgiętą w łokciu ręką, po czym usadowił ją pośród zatok i mielizn swego ciała, pozwalając aby nie wypowiedziane przemówiło

dobitniej niż wszelkie słowa, jakie mógłby powtórzyć.

Tej nocy śnił się jej Greg, dopiero trzeci raz od jego śmierci. Sen był prosty i bardzo krótki: jej syn wszedł po prostu do kuchni, poprawiając na głowie czerwoną czapkę z daszkiem. - Zajmę się tym węzłem, mamó - powiedział. Lee obudziła się zdezorientowana. Przez kilka sekund, zanim całkiem się ocknęła, wierzyła, że on nadal żyje. Potem, kiedy przypomniała sobie, że naprawdę umarł, że nigdy nie zobaczy jego twarzy ani nie usłyszy głosu, poczuła, jak jej serce zaczyna gwałtownie bić.

Aby się upewnić, że nie śpi, zaczęła dotykać różnych rzeczy: pościeli, swego czoła, nocnego stolika, który czubkiem jej wyciągniętych palców wydał się twardy i zimny.

Co oznaczał ten sen? I dlaczego przydarzył się właśnie dzisiaj, tuż po tym, jak spędziła czas z Christopherem? Czy miał to być sygnał, że Chris naprawdę zastępuje jej Grega, jeżeli nie w sensie fizycznym, to uczuciowym?

Tego dnia, wciąż jeszcze pełna melancholii po owym śnie, Lee miała także drugi powód, aby przypomnieć sobie Grega - zadzwonił do niej Nolan Steeg.

- Halo - powiedział po prostu - co u pani słysząc? Dźwięk jego głosu wywołał w niej jeszcze większą zadumę, choć przecież nigdy nie przestała jej poruszać wrażliwość tych młodych ludzi, którzy nadal do niej dzwonili, zamiast zapomnieć, że kiedykolwiek istniała w ich życiu. Kochany, troskliwy Nolan jak bardzo podnosiła na duchu świadomość, że Greg znaczył dla niego tak wiele i to, że jego rodzina także nie była mu obojętna. Przez dziesięć minut gawędziła z Nolanem o jego pracy, o kursie, na który zaczął chodzić Joey, o powrocie Janice do szkoły i o zimowej pogodzie. Wreszcie, gdy porozmawiali już o wszystkim, z wyjątkiem tego, o czym wciąż myśleli, Nolan rzekł: - Nie wiem dlaczego, ale bardzo dużo myślałem dziś o Gregu.

Jakaż to ulga, móc z nim wreszcie mówić bez ogródek.

- Och, Nolandzie, ja także... Śnił mi się dziś w nocy.

- Mnie nigdy się nie śnił. Szkoda, bo byłoby miło znowu go zobaczyć.

- To niewiarygodne, że zadzwoniłaś właśnie dzisiaj, kiedy tak bardzo tego potrzebowałam. Nie wszyscy zdają sobie sprawę, że ciągle jeszcze czasem muszę z kimś o nim pomówić.

- Przez całe życie był moim przyjacielem. Tych kilka miesięcy to za mało, żeby pogodzić się z jego utratą. Nie wyobrażam sobie, ile czasu musi zabrać to pani. Cieszę się po prostu, że mogę z panią o tym porozmawiać.

Odłożywszy słuchawkę, Lee pomyślała, że jest w tej chwili zawieszona pomiędzy pełnymi szczęścia wspomnieniami a pełną smutku teraźniejszością. Telefon Nolana ożywił w

niej tyle wspomnień z różnych lat - ci dwaj chłopcy w szkole podstawowej, w gimnazjum, tak jak teraz Joey, w liceum, ich wspólne randki, wyprawy na mecze, pucowanie pierwszych samochodów na podjeździe (uwijali się nadzy do pasa, podczas gdy radiodbiorniki w ich autach ryczały tak, że aż drżały liście na okolicznych drzewach). Przez cały dzień te wspomnienia to przyprawiały ją o pieczenie pod powiekami, to znów wywoływały na jej twarzy podświadomy, błogi uśmiech.

Czekało ją jednak jeszcze jedno przypomnienie, zupełnie jakby los postanowił zniweczyć wszelkie postępy, jakie poczyniła od czerwca. Kiedy wieczorem wracała do domu, włączyła radio w samochodzie. Cóż mogła usłyszeć, jak nie „When I Call Your Name” Vince’a Gilla? Szansa, że w trakcie pięciominutowej jazdy trafi na tę akurat piosenkę, była doprawdy niewielka. A jednak usłyszała ją - z zimnych głośników popłynęło ku niej trzecie, najwyrazistsze wspomnienie o Gregu.

Muzyka. Jej nostalgia uderzyła w Lee ze zdradziecką siłą. To była ostatnia z jego ulubionych melodii, piosenka, która sączyła się z radiodbiorników w całej Ameryce, w rozmaity sposób przemawiając do ludzkich uczuć. Lecz nie do uczuć Grega. Do niego już nie. Co czuł, kiedy słyszał te słowa? O kim myślał? Czy była jakaś konkretna dziewczyna, którą kochał, utracił i za którą tęsknił? Dziewczyna, którą być może w końcu by poślubił? Miał z nią dzieci? Przeżył szczęśliwe życie?

Ta piosenka obudziła w niej myśli, które w ciągu ostatnich siedmiu miesięcy Lee nauczyła się tłumić:

Gdyby tylko...

Gdyby tylko...

Gdyby tylko...

Zaczęła płakać, jeszcze zanim dotarła do domu. Gdy weszła do kuchni, zastała tam Joeya, który wrzucał makaron do garnka z wrzątkiem.

- Mamo, zrobisz mi makaron z serem? Ale pospiesz się. Muszę być w... - Kiedy zobaczył jej łzy, na jego twarzy pojawił się lęk.

- Mamo, co się stało?

Podszedł do niej natychmiast, aby ją objąć.

- To Greg - wyjaśniła Lee przez zapchany nos. - Jakoś strasznie dziś za nim tęsknię.

Joey, nic nie mówiąc, przytulił ją mocniej.

- Ja także. Nie wiem dlaczego.

- Nie mam pojęcia. Dzwonił do mnie Nolan. Powiedział to samo.

- Dlaczego nagle wszyscy o nim myślimy?

- Któż to może wiedzieć. Może to tętno Ziemi, biorytmy, układ gwiazd. Wydaje nam się, że mamy to już za sobą, a potem stwierdzamy, że jeszcze do tego daleko.

- Taaa... - powiedział skrzekliwie chłopak tuż przy jej włosach. - niech to diabli.

Lee pogładziła go po plecach, uśmiechnęła się ze smutkiem, po czym powtórzyła po nim: - Taaa... niech to wszyscy diabli.

Przez ostatnie pół roku Joey ją przerósł. Ta świadomość przygnębiła ją jeszcze bardziej - wkrótce jej syn stanie się dorosły i wyprowadzi się z domu. Mimo tej myśli, a może właśnie dzięki niej, uwolniła się z jego objęć. Życie musiało przecież być ważniejsze od śmierci.

- A więc zacząłeś robić makaron z serem. - Znalazła papierowe chusteczki i podała kilka Joeyowi. Wysiąkali nosy, wytarli oczy, a potem Lee przykręciła nieco palnik, aby makaron nie wykopiał.

- I musisz być w szkole o siódmej trzydzieści?

- Taaa - powiedział niepewnie. - Anoka gra z Coon Rapids. - Był to najważniejszy mecz roku.

Ujawszy twarz Joeya w obie dłonie, Lee poklepała go pieszczotliwie po policzku.

- Jeszcze trochę, a nie będę musiała zawozić cię na takie imprezy.

- Dziś wieczorem zawozi nas mama Denny'ego.

- Świetnie. Więc bierzmy się za ten sos serowy.

Gdy Joey poszedł, sprzątnęła w kuchni, po czym przebrała się w dzinsy i podkoszulek. W domu panowała cisza. Zmywarka do naczyń dudniła swym rytmicznym łup - łup - łup, rozsiewając cytrynowy zapach płynu do naczyń. Wszystkie rośliny wymagały podlania, lecz Lee poczuła nagle, że po całym dniu, całych dniach oraz latach podlewania roślin i dotykania ich liści, nie ma ochoty robić tego więcej.

Zatęskniła raptem za Janice, tak gwałtownie, że poczuła to jak ukłucie w sercu - skąd to się brało? Przecież w ciągu minionych miesięcy przywykła do tego, że jej córka wyjeżdża do college'u. Wykręciła numer akademika Janice, ale nikt nie odbierał - piątkowy wieczór, która zdrowa, normalna i ładna studentka koedukacyjnego college'u nie poszłaby gdzieś z przyjaciółmi? Lee odłożyła słuchawkę, wsparła się łokciami na kuchennym blacie i dziabnęła czubkiem palca makaron z serem, który stygł w plastikowym pojemniku.

Dziab... dziab... dziab...

Tylko spokojnie, nerwy na wodzy...

Spokojnie... spokojnie...

Aż w końcu wstrzymywany płacz ośwładnął ją z taką siłą, że padła płasko na blat,



opuszczając bezwładną dłoń obok pojemnika z makaronem.

Christopher zjawił się w chwili, gdy wycierała twarz. Wszedł do środka, niosąc dwie wypożyczone kasety wideo oraz czerwone pudełeczko z plackiem z Baker Square.

Zadał jej to samo pytanie co Joey:

- Lee, co się stało? Pociągnęła nosem.

- To głupie.

- Co jest głupie? Chodź tutaj... - Nie czekając aż to zrobi, sam podszedł i przygarnął ją do chłodnego, przesyconego zapachem zimy nylonu kurtki. Objął ją delikatnie, po czym, wtulając wargi w jej czoło, zapytał raz jeszcze: - Co jest głupie?

- Greg - zdołała z siebie wydusić, nim na nowo wybuchnęła płaczem. Tylko on jeden nie powiedział nic, i właśnie tego było jej trzeba. Chciała po prostu, aby ten akurat mężczyzna tulił ją do siebie, kochał, kołysał, gładził i rozumiał. Pociecha, jaką dawali jej inni ludzie, znaczyła wiele - bez wątplenia znaczyła - ale przez cały dzień Lee tęskniła do tej właśnie minuty, żeby móc się wtulić w osłonę, jaką dawały jej ramiona Christophera, poczuć całkowite ukojenie. Nikt inny, bez względu na to jak bardzo bliski czy kochany, nie był w stanie zaspokoić tej potrzeby, którą Chris zaczął zaspokajać w jej codziennym życiu. I tak samo jak on przychodził do niej, kiedy życie stawało się zbyt skomplikowane, tak teraz ona zwracała się do niego.

Pozwolił się jej wypłakać, po czym otoczył ją ramieniem i zaprowadził powoli do saloniku. Usiedli na kanapie w ciemnościach, które rozpraszało jedynie brzoskwiniowe światło z odległej kuchni. Kuląc się niczym ślimak pod liściem, Lee przyłgnęła mocno do niego, a Chris przełożył jej nogi przez swoje kolana i oparł policzek na jej włosach.

Po chwili zaczęła mu opowiadać o tym dniu, o tryptyku wspomnień, który odnowił jej smutek: swoim śnie, telefonie Nolana i ulubionej piosence Grega. Zwierzyła mu się, jak bardzo było jej przykro, gdy stwierdziła, że wcale jeszcze nie wyleczyła się z żalu.

- Chyba nadal jestem, jak to mówią, skłonna do załamania, choć minęło już tyle miesięcy.

- „Jak to mówią”? Kto tak mówi?

- Książki, czasopisma, ludzie w telewizji. Wszyscy twierdzą, że po utracie kogoś bliskiego jeszcze przez długi czas jest się bezbronny, więc powinno się poczekać z wprowadzaniem zmian w swoim życiu.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś bezbronna z powodu mnie?

- Och, Christopherze, nie wiem, co chcę powiedzieć. Sądziłam, że najgorsze już za mną, a teraz znowu jestem tam, gdzie byłam siedem miesięcy temu.

- Nie bardzo. Przebyłaś od tamtego czasu długą drogę. Zdrowy rozsądek Chrisa uspokoił ją trochę.

- Pewnie masz rację. Gdzieś w głębi duszy czuję, że mam skłonność do nadmiernego dramatyzowania. Ale dla mnie to nie jest melodramat. Odczuwam to jak wielką, bolesną pustkę, która nigdy nie przeminie.

Chris wiedział doskonale, co zaszło tego dnia: przeżywszy kolejny nawrót smutku po utracie syna, Lee na nowo zaczęła analizować ich seksualny związek i zapewne zaczęła podejrzewać, że to jedynie przesadna reakcja na cios, który ją spotkał. Czyżby oboje kurczowo czepiali się życia, a przez swoją erotyczną przygodę chcieli sobie dowieść, że go nie marnują? Czy aby jakoś usprawiedliwić to, co przy każdej okazji robili, na kanapach, podłogach czy na jego łóżku, oszukiwali samych siebie, wmawiając sobie, że się kochają? Czy, kiedy minie okres prawdziwej żałoby, stwierdzą, że wykorzystywali się tylko nawzajem, aby go jakoś przetrwać?

- Wiesz, Lee, nie jesteś jedyną osobą, która nie potrafi dać sobie rady ze smutkiem. Co ze mną?

Siedziała nieruchomo, z nogami wciąż przerzuconymi przez jego kolana. Pod dłonią, którą trzymała przy piersi Chrisa, wyczuwała spokojny rytm jego serca.

- Czy sądzisz, że gdy to się skończy, zostanie nam tylko ból? - zagadnęła. Nie odpowiedział.

- Każde z nas utraci najlepszego przyjaciela, prawda? - zapytała ciszej. Chris nawet nie drgnął. - Jesteś zdaje się bardzo pewna, że to się kiedyś skończy.

Przez głowę Lee przemknęły główne powody, dla których tak właśnie musiało się stać: Jego wiek. Jej wiek. Matka. Janice. Jakież inny wynik był możliwy? Bez wątplenia któregoś dnia musiało nastąpić bolesne zerwanie.

- Lee, czy dla ciebie to tylko chwilowy wybryk? - zapytał Chris.

Tym razem ona siedziała nieporuszona.

- Tak? - powtórzył pytanie, a gdy mu nie odpowiedziała, przedstawił swój punkt widzenia: - Chcesz zakończyć nasz związek, żeby nie mówić o nim rodzinie?

Szarpnęła się ostro do tyłu, spoglądając w jego pogrążoną w cieniu twarz. - Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz - oświadczyła.

Popatrzył na nią, przekrzywiając głowę. - Wiesz co, Lee? To pierwsze kłamstwo, jakie usłyszałem z twoich ust.

Zjeżyła się. Chciała wstać z kanapy, lecz Chris złapał ją za rękę, przyciągając z powrotem do siebie.

- Daj spokój - powiedział. - Nie powinniśmy teraz o tym mówić. W końcu masz za sobą taki niedobry dzień. Przyniosłem trochę placka. Zjesz kawałek? Z serem i jabłkami.

- W tej chwili nie jestem w nastroju. - Wstała, tym razem nie zatrzymywana przez niego, i wyszła z pokoju.

Chris westchnął, ze znużeniem zsunął się na brzeg kanapy, po czym przez kilka minut, z łokciami wspartymi na kolanach, rozmyślał nad sytuacją. Wreszcie podniósł się i poszedł za nią do kuchni.

Lee zdążyła już schować makaron do lodówki. Stała teraz przy zlewozmywaku, spoglądając w czern za oknem.

- Lee - powiedział przeproszającym tonem, kładąc jej dłoń na ramieniu.

Nie zareagowała na jego dotknięcie.

- Więc co mam zrobić? - zapytała.

- Nie wiem.

- No cóż, ja też nie wiem. Kiedy ludzie się o nas dowiedzą, wszystko się zmieni, a ja tego nie chcę.

- Dobrze. - Opuścił rękę. - W porządku. Pomyślałem sobie tylko, że byłoby nam łatwiej, gdybyśmy byli wobec nich uczciwi i przestali się kryć.

Stali tak, bojąc się na siebie spojrzeć. Zastanawiali się, o co dokładnie im chodzi. Łatwo było rozpocząć romans, kontynuować trudniej. Jeśli miał pozostać jedynie krótkim epizodem, nie było powodu, żeby wiedziały o nim dzieci. Jeżeli nie, to za wcześnie jeszcze było o tym mówić.

- Chcesz, żebym sobie poszedł? - zapytał Chris.

- Nie.

- To czego chcesz?

- Chcę... - Lee odwróciła się. Na jej twarzy malowało się niezdecydowanie. - Chcę być dzielna i nieustraszona, ale nie jestem. Boję się, co ludzie powiedzą.

Christopher wciąż na nią patrzył. Po części ją rozumiał, po części zrażało go to, że Lee nie chce dla niego rzucić wyzwania całemu światu. On był na to gotów, dlatego więc ona nie chciała? Zrozumiał to jednak w końcu. Przecież straciła już męża i syna. Nie chciała utracić także córki, a któż mógł wiedzieć, jak zareaguje obrażona, zakochana, dwudziestotrzyletnia dziewczyna, kiedy dowie się, że przegrała z własną matką, mającą czterdzieści pięć lat? A co z matką Lee, jej ojcem i siostrą?

Nie miał na to żadnych odpowiedzi, więc uchylił się przed nimi na chwilę, zabierając się za podawanie placka. Otworzył drzwi szafki, wyjął dwa talerzyki, potem ukroił dwa

kawałki ciasta, znalazł widelczyki i przeniósł to wszystko na stół. Usiadł plecami do Lee i ostentacyjnie włożył do ust kęs ciasta. Miało posmak smutku.

- Nie zjesz swojego placka? - zapytał.

Lee podeszła wreszcie, usiadła, zjadła kawałek, po czym zaczęła się wpatrywać w talerzyk i zapomniała o jedzeniu.

Chris patrzył na nią. Jej oczy wciąż umykały przed jego wzrokiem, podbródek uparcie kierował się w dół, a usta znowu zaczynały drżeć, choć wylała już dzisiaj tyle łez. Do diabła, przecież nie chciał doprowadzać jej do płaczu.

- Lee - powiedział pełnym udreki głosem. - Przepraszam.

Kiedy na niego spojrzała, zobaczył na jej rzęsach łzy, nie na tyle jeszcze wezbrane, aby spłynąć po twarzy.

- Kocham cię. Nie powinienem tego mówić akurat dzisiaj. Przepraszam.

Ich widelce w tym samym momencie stuknęły w talerzyki. Poderwali się z krzesel, żeby paść sobie w ramiona, z sercami nabrzmiętymi miłością, lękiem i świadomością, że cierpienia, których każde z nich się spodziewało, już się zaczęły.

- Słodki Jezu - jęknął Chris z rozpaczą, nie otwierając oczu.

- Kocham cię.

- Joey będzie w domu za pół godziny - powiedziała Lee.

- Musimy się spieszyć.

Wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni, tam zaś kochali się z niezwykłą czułością, ponieważ tym razem kierował nimi całkiem nowy nastrój - chęć zadośćuczynienia. Przeniknęła wszystkie ich dotknięcia, pomruki, spojrzenia.

Bowiem Christopher bardzo żałował, że zamiast rozproszyć jej smutek, powiększył jeszcze jego brzemię, natomiast Lee dręczyło przecucie, że Chris ma jednak rację, twierdząc iż chce z nim skończyć, zanim dowiedzą się dzieci.

W ciągu następnych tygodni życie wynagrodziło im tamten smutek. Dawało im wspólne chwile, ratując każde z nich przed sobą, bo kiedy byli razem, ja znaczyło jakby mniej. Będąc ze sobą, postrzegali swoje ja, wraz ze wszystkimi jego potrzebami poprzez to, co każde z nich dawało drugiemu.

Głównym ich problemem w tym okresie był fakt, że mają dla siebie tak mało czasu.

Kradli godziny.

Zarywali popołudnia.

Stali się ekspertami w uprawianiu miłości w dziesięć minut, a nawet szybciej. Czasem jednak sycili się przyjaźnią, a wtedy seks musiał czekać. Przyjaźń - rozkwitająca z coraz

zwiększą siłą - wносиła w ich związek zupełnie nowy rodzaj satysfakcji.

„Seks, mówili sobie, no tak, seks. Ale bądźmy szczerzy, w uprawianiu seksu każdy może osiągnąć pewien stopień wprawy, prawda?”

Natomiast przyjaźń, och, to dopiero było osiągnięcie.

Być może przeceniali przyjaźń, ponieważ wystraszyli się tamtej wieczornej rozmowy, kiedy to Chris zasugerował, że Lee może go wykorzystać i porzucić, gdy przestanie odczuwać żal po stracie syna.

A jednak głębsze uczucia Chrisophera dopadły go wreszcie. Stało się to pewnego ranka, kiedy wszystko było tak doskonałe, że każdą cząstką swojego jestestwa czuł zadowolenie - każdą, prócz maleńkiego zakątka pragnień, w którym dotkliwa zadra żądy dawała o sobie znać, ilekroć otarła się o jego radość.

Poprzednią noc Joey spędził wraz z Whitmanami w pewnym motelu z krytym basenem, świętując piętnaste urodziny Denny'ego. Natomiast Christopher po raz pierwszy w życiu obudził się o świcie obok Lee.

Otworzył oczy i zobaczył ją w swoim łóżku: leżała na brzuchu z lewą ręką wsuniętą pod poduszkę, a prawą opartą o zagłówek z bejcowanej na ciemny kolor sosny. Światło dnia było jeszcze zbyt słabe, by rzucać cienie, toteż spowijał ją gęsty półmrok, przydający jej skórze barwy hiszpańskiego mchu. Pośród wyzbytej kolorów szarości, która zalewała jej odkryte łopatki, ramiona i twarz, widać było tylko rzęsy Lee. Usta miała otwarte, lecz wydawało się, że nie oddycha. Maleńki fałd skóry pod jej lewym okiem (prawe wtuliła w poduszkę) rzucił pierwszy tego ranka cień, potem pojawił się drugi, obok nosa, i jeszcze jeden, w kątku ust. Chris zobaczył, że prawy kciuk Lee drgnął, potem to samo stało się z lewą nogą, uniesioną pod kołdrą aż po jedno biodro. Pod krótko przyciętym paznokciem tego kciuka - szorstkiego i lekko spłaszczonego - widać było ślady wczorajszej pracy. Odkrył, że kocha jej zażenowanie własnymi dłońmi, że kocha te dłonie, zniszczone pracą, poplamione, zabarwione chlorofilem, poranione przez szorstkie okruchy gleby.

Przewrócił się na brzuch, układając ciało w zwierciadlane odbicie jej postaci: poduszka pod policzkiem, podciągnięte kolano, stykające się z czubkiem jej kolana; dłoń na zagłówku poszukała jej dłoni, znalazła ją, ich palce splotły się luźno. Lee, nieświadoma jego dotyku, spała nadal. Dotknął kciukiem jej kciuka, po czym gładząc jej szorstką opuszkę, przyglądał się jej twarzy. Chciał, aby wolno mu było zawsze budzić się tak obok niej. Pragnął przez resztę życia, tuż po przebudzeniu, mieć przed oczyma chropowate dłonie, niesforne włosy, rozchylone wargi.

Czekał, aby jej to powiedzieć, obserwował cierpliwie, jak świt nabiera mocy, a światło

wydobywa cienie z jej skóry i włosów. Te włosy stały się kasztanowe, usta różowe, a rozsypane na odsłoniętych ramionach piegi rdzawe.

Lee otworzyła oko i stwierdziła, że Chris na nią patrzy. Unosząc głowę, podrapała się energicznie pod nosem, przymrużyła oczy, a potem znowu wtuliła się w poduszkę. Nie wypuszczając jego palców, otworzyła lewe oko, a na widocznej ponad poduszką połową jej ust pojawił się uśmiech.

- ... dobry - wymamrotała.

- Dzień dobry.

Zamknęła oko. - Obserwowałeś mnie.

- Mhmm.

- Jak długo?

- Całą noc. Nie chciałem utracić ani minuty.

- Kłamca.

- Od świtu.

- Mmmm... - wyglądało na to, że ma zamiar zdrzemnąć się jeszcze trochę, więc pozwolił jej na to. Z dudniącym sercem zastanawiał się, jak sformułować pytanie, bojąc się, że odpowie mu „nie” i zerwie ich związek. Rozmyślał o tych wszystkich latach, kiedy żył tak naprawdę nie szukając tej jedynej, i o tym jak potem odnalazł ją w osobie, po której najmniej można się tego było spodziewać.

Trzydzieści lat jego dotychczasowego życia prowadziło do tej jedynej niezwykle ważnej chwili, która miała wpłynąć na resztę jego dni. Nigdy nawet nie pomyślał o przecwiczeniu tego wyznania. Wyobrażał sobie, że będzie wiedział, kiedy nastąpi właściwy moment, a co do słów - no cóż, do diabła, mężczyzna po prostu musiał je wykrztusić, nie zważając na łomoczące serce i obawy, że dostanie kosza.

Może nawet zdrzemnęła się jeszcze trochę, kiedy tak trzymał jej rozluźnione palce, kiedy ich kciuki stykały się ze sobą, gdy gruda obaw podchodziła mu do wciśniętego w poduszkę gardła.

Dobry Boże, co będzie jeśli ona powie: nie? Gdzie zdoła znaleźć kobietę, która mogłaby się z nią równać?

Jej kciuk zaczął zataczać maleńkie kółka. A więc jednak nie drzemała.

- Lee? - powiedział cicho Chris.

Otworzyła lewe oko. Na jej rdzawej źrenicy widać było ciemniejsze plamki, jak na płatku tygrysiej lilii.

- Hmm?

Chris uniósł głowę, zsunął jej dłoń z zagłówek i pocałował nasadę kciuka. Lęk przed jej odpowiedzią tak długo odbierał mu mowę, że w końcu zapytała go: - Co, kotku?

- Kocham cię i chcę się z tobą ożenić - powiedział, patrząc na ich splecione dłonie.

Uniosła głowę. Miała szeroko otwarte oczy, a na jej twarzy malowały się różne reakcje: kompletne zaskoczenie, niezgoda na chwilę, na którą nie była gotowa, słabość do niego, złagodzona przez świadomość siły, którą jej dawał.

- Och, Christopherze - powiedziała, podrywając się i opierając o zagłówek; nagie piersi zasłoniła kocem. - Bałam się, że któregoś dnia to powiesz.

- Bałaś się? Powiedziałem, że cię kocham. Ty powiedziałaś, że kochasz mnie. Dlaczego się boisz?

- Dzieli nas piętnaście lat.

- Wiedzieliśmy o tym od początku, a przecież rozpoczęliśmy ten romans. - Chris także usiadł przy zagłóweku, przykryty po biodra, z poduszką za plecami, krzyżując wyciągnięte przed siebie nogi.

- Będziesz musiała wymyślić coś bardzo sprytnego, żeby mnie przekonać, że to ma jakiegokolwiek znaczenie.

- Zapominasz o tym, co ma znaczenie.

- Na przykład o czym?

Gdy uparcie nie chciała niczego wymienić, zrobił to sam:

- Opinia publiczna - możemy zacząć od tego?

- W porządku, zacznijmy. - Jej głos nabrał ostrości. - Albo dokładniej: opinia rodziny. I nie mam tu na myśli mojej matki, siostry, ojca czy Joeeya. Chodzi mi o Janice. Zacznijmy od Janice.

- Pozwól, że powtórzę coś, co mówiłem ci już kilkakrotnie. Nigdy i ani razu - słowem, czynem czy aluzją - nie zrobiłem najmniejszego kroku w stronę Janice. Uścisnąłem ją kilka razy tuż po śmierci Grega, ale wtedy wszyscy ściskali wszystkich, więc to się nie liczy. Nigdy też nie kryłem, że gdzieś z tobą wychodzę albo coś robię. A jeśli spróbujesz sobie przypomnieć, to ty też nie.

Lee wsunęła paznokieć kciuka pomiędzy zęby.

- Kryłaś? - dopytywał się.

Splotła dłonie na uniesionych kolanach, po czym potulnie odparła:

- Nie.

- Prawdę mówiąc, zdarzało się, że pytałaś swoje dzieciaki, czy nie mają nic przeciwko temu, zgadza się?

- Tak.

- Ostatnio nie dalej jak na sylwestra, prawda?

- Tak.

Począł, aż ta myśl zapadnie jej w głowę, po czym ciągnął dalej: - Wszelkie uczucia do mnie, jakie Janice podejrzewała u siebie, były wyłącznie jednostronne, a jeśli wychowałeś swoje dzieci tak, jak przypuszczam, to ona zda sobie sprawę, że masz prawo do szczęścia i udzieli nam swojego błogosławieństwa. Jeżeli nie... - Rozłożył szeroko ręce i pozwolił im opaść. - Zajmiemy się tym wtedy, kiedy będziemy musieli. Nie znam odpowiedzi na wszystkie pytania.

- Ale Janice byłaby upokorzona. Przecież zwierzyła mi się, że cię lubi, kupiła ci na Gwiazdkę te bilety i niemal wprost oświadczyła ci, że chciałaby iść z tobą na ten mecz.

- A czy to nasza wina? Czy powinniśmy ze sobą zerwać tylko dlatego, że Janice pali się do mnie? Przyznaję... może być wstrząśnięta, kiedy jej o tym powiemy, ale przywyknie do tej myśli. Czy masz jeszcze jakieś inne zastrzeżenia?

- To nie są zastrzeżenia, Christopherze, to zdrowy rozsądek.

- A zatem, czy masz jeszcze jakieś inne tego typu powody?

- Nie podoba mi się twój ton.

- A mnie się nie podoba twoja odpowiedź!

- Nie podoba mi się to wszystko. Nigdy się jeszcze nie kłóciliśmy.

- Do diabła, Lee, przecież właśnie to robi mężczyzna, kiedy kobieta odrzuca jego oświadczenia: zaczyna o nią walczyć!

- No dobrze - powiedziała, rozkładając ręce, jakby chciała docisnąć powietrze do swoich bioder. - W porządku. - Koc zsunął się jej z piersi. Podciągnęła go i wcisnęła pod pachy. - Możesz nie brać pod uwagę tego, co da się zmienić, ale nie wolno ci lekceważyć różnicy wieku, która nas dzieli. To nigdy się nie zmieni.

- Wcale tego nie chcę. Kocham cię taką, jaka jesteś, ty kochasz mnie takim, jaki jestem, i nie wydaje mi się, aby miało to ulec zmianie, kiedy będziemy starsi.

- Ale, Christopherze... - nie dokończywszy własnej myśli, zaczęła kiwać głową, jakby to wszystko było dla niej zbyt irytujące.

- „Ale, Christopherze, co z dziećmi?”. To masz zamiar powiedzieć, prawda? - Ich oczy spotkały się i Chris dostrzegł, że jej wzburzenie nieco opadło. Poczuł, że sam także stracił nieco animuszu. Zdał sobie sprawę, że w tej kwestii najtrudniej przyjdzie mu ją przekonać. Kiedy odezwał się znowu, w jego głosie była powaga i szczerłość. - Nie chcę żadnych dzieci, Lee. Nigdy nie chciałem. Mówiłem ci już o tym wiele tygodni temu. Już mając kilkanaście lat



pojąłem, że nie chcę narażać żadnego dziecka na to, co sam przeszedłem. A odkąd dorosłem i zostałem policjantem, widziałem tyle biednych, nie kochanych, głodnych brzdąców, że po prostu nie chcę powoływać na świat następnych, ryzykując, że spotka je to samo.

- Ależ twoje dzieci nie byłyby biednymi, nie kochanymi i głodnymi brzdącami. Byłbyś takim dobrym ojcem - powiedziała płaczliwie Lee.

- Mogę nim być dla twoich, jeśli się pobierzemy. Może nie dla Janice, ale dla Joeya. Ja już go Kocham, a jeśli się nie mylę, to jego uczucia wobec mnie są diabelnie bliskie tego samego. Już od śmierci Grega grałem rolę jego ojca, a jeżeli za mnie wyjdiesz, to po prostu stanę się nim oficjalnie.

Wiedziała, że ma rację co do jej syna. Joey darzył nabożną czią nawet powiew powietrza pozostawiony przez przechodzącego Chrisa.

- Poza tym zapominasz o Juddzie - ciągnął spieszenie dalej. Obiecałem sobie, że nie opuszczę go, dopóki nie zdobędzie dyplomu i nie uzyska solidnych podstaw do dorosłego życia. Będzie mnie potrzebował. Zanim go przez to wszystko przeprowadzę, będę miał dość ojcostwa... i myślę, że masz rację, będę w tym dobry. Na tyle dobry, aby skierować tego dzieciaka na właściwe tory, bo bez względu na to, czy wróci do swoich rodziców, czy też zostanie w domu dziecka, będzie musiał sporo przejść i właśnie ja mogę mu w tym pomóc... przecież sam przez to przeszedłem.

- Jeśli zaś chodzi o Janice, to nie sądzę, abym kiedykolwiek stał się dla niej ojcem, na to jest za stara, ale potrafię stworzyć rodzinę i wypełnić to miejsce, które jest puste od śmierci Billa. Wiem, że w wypadku Janice zabierze to trochę czasu, ale kiedy ona się zakocha - naprawdę zakocha, w jakimś miłym, młodym człowieku, którego kiedyś pozna - zapomni, że kiedykolwiek brała mnie pod uwagę. A gdy zobaczy, że tobie jest dobrze, także będzie szczęśliwa.

Lee wsparła głowę o zagłówek łóżka i zamknęła oczy. Jakież to dziwne, gorzko - słodkie fatum sprawiło, że spotkali się i zakochali w sobie. Jakże to niesprawiedliwe, że tak przypadkowa rzecz jak pewna liczba - piętnaście - rozdzieliła ich, odgradzając od szczęścia. Kochała go - och, jej serce nie wątpiło w to ani przez moment - lecz oprócz miłości istniała przyszłość, w którą on, za młody na to, nie chciał patrzeć, więc ona musiała o tym myśleć za niego. Odwróciła twarz w stronę Chrisa.

- W twoich ustach wszystko brzmi tak logicznie. Ująwszy jej dłoń, trzymał ją na prześcieradle pomiędzy nimi.

- W miłości nic nie jest logiczne - odparł bardzo cicho - nie w takiej miłości jak moja. Ja po prostu... - Z niedowierzaniem pokręcił głową. - Do diabła, ja po prostu wpadłem. Po

same uszy.

Nagle. Bum! i proszę bardzo: Oto kobieta, z którą chcę spędzić życie. Gdy po raz pierwszy zdałem sobie z tego sprawę, zadygotałem, ale nie z powodów, o których myślisz. Nigdy mnie nie obchodziło, że jesteś starsza, ani że ludzie będą gadać. Przestraszyłem się, bo wiedziałem, że gdy nadejdzie ten dzień i poproszę cię o rękę, powiesz właśnie to, co przed chwilą usłyszałem.

Kiedy patrzył na ich połączone dłonie, Lee widziała dokładnie, jak bardzo zdruzgotała go jej odmowa. Kochała go w tej chwili tak bardzo, że popuściła odrobinę wodze fantazji i wyobraziła sobie, że jest jego żoną, a wszyscy znajomi są tym uszczęśliwieni. Lecz sytuacja, w jakiej się znaleźli, nie skłaniała bynajmniej do mrzonek. Próbując zmieścić wszystkie uczucia w pełnym miłości tonie swojego głosu, powiedziała:

- Proszę cię, Christopherze, zrozum... muszę to powiedzieć. Jestem kobietą rodzinną, oddaną rodzinie. Pozbawienie cię dzieci, które mogą wnieść w twoje życie tyle radości, wydaje mi się przejawem egoizmu, a nie miłości.

- Powiedziałem ci już, Lee... - Spojrzał jej w oczy i rzekł z niewzruszonym przekonaniem: - Nie chcę mieć własnych dzieci.

- Każdy chce.

- Mylisz się. Nie powinnaś przykładać do wszystkich swojej miary. Westchnęła, głęboko i przeciągle, a jej spojrzenie odpłynęło gdzieś w dal.

Chris pogładził jej kciuk.

- Pięćdziesiąt procent amerykańskich rodzin nie reprezentuje już tradycyjnego modelu, wiedziałaś o tym? - zapytał. - Pięćdziesiąt procent. Dobrze byśmy do tego pasowali.

To mogła być prawda, ale Lee poczuła nagle że ta statystyka nie ma dla niej znaczenia. Rzeczowa uwaga Chrisa zepsuła jej humor. Pięćdziesiąt procent... pięćdziesiąt. Boże, co się stało z tym krajem?

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, pogrążeni we własnych myślach; on z gardłem ściśniętym przez rozczarowanie, ona przekonana, że gdyby powiedziała tak, to za kilka lat, gdy postarzeje się wcześniej od niego, a może nawet utraci popęd seksualny, Chris zacznie żałować tego, czego chciał się wyrzec: że nie ożenił się z kimś młodszym i nie ma własnych dzieci. W ciągu najbliższych dziesięciu lat, może nawet pięciu, miała wejść w okres przekwitania, a on, u szczytu życiowej formy, miałby ją wtedy na karku. Po uczciwym rozważeniu wszystkiego wydawało się, że przyjęcie jego propozycji, zrobienie mu tego, byłoby właściwie niemoralne.

- Oj, Christopherze - westchnęła. - Nie wiem.

Kiedy się odezwał, w jego głosie pobrzmiwały błagalne tony.

- Czy moglibyśmy się położyć, Lee? Proszę! To pierwszy poranek, kiedy budzimy się razem, a tu ty siedzisz oparta o swoją poduszkę, ja się opieram o swoją... Wolałbym cię obejmować, kiedy o tym rozmawiamy.

Uległa tej łagodnej, mającej ją udobruchać namowie, pozwalając mu poprawić poduszki. Położyli się twarzami do siebie, przykryci do ramion kocami. Przytuleni, splótłszy nogi, gładzili się nawzajem po plecach, choć była to pieszczota bardziej krzepiąca niż erotyczna.

- Och, Christopherze - westchnęła uszczęśliwiona, że znowu tuli się do jego dużego, nagiego ciała, choć nadal niepewna przyszłości - przepraszam, że się na ciebie rozzłościłam, ale to taka trudna decyzja.

- Czy zdajesz sobie sprawę - zapytał - jak mocno już wtopiłem się w twoje życie? Robię to wszystko, co robiłby mąż. Pomagam ci kupować choinkę. Mocuję ją w stojaku. Naprawiam ci węże do podlewania, poziomuję twoją pralkę, koszę ci trawnik i objeżdżam twoje dzieci, kiedy nie chcą ci pomagać. Pocieszam cię, gdy jesteś smutna, i kocham się z tobą, kiedy jesteś nieszczęśliwa. Czasem zasiadam na krześle przeznaczonym dla mężczyzny przy końcu stołu, a ty lubisz mnie tam widzieć, nie mów mi, że nie. Zabieram twojego syna na przejażdżkę i daję mu pierwszy raz poprowadzić. To ja chodzę na jego mecze i ja przybiegam, gdy o północy boisz się, że zginął. Nie robiłem tego wszystkiego celowo. Nie chciałem podstępem wkraść się w życie twojego domu, co nie zmienia faktu, że tak się stało. Więc kiedy mi mówisz, że nasze małżeństwo nie byłoby udane, brzmi to diabelnie niewiarygodnie, Lee.

- Nigdy nie powiedziałam, że nie byłoby udane. Powiedziałam, że są ku niemu przeszkody.

- Życie jest pełne przeszkód. Przeszkody są po to, żeby je pokonywać.

Lee zastanowiła się nad tą mądrością, tak podobną do tych, które padały z jej ust. Ciepłe dłonie Chrisa nie przestawały jej przekonywać.

Boże, jak cudownie było tak z nim leżeć, czuć tuż przy sobie jego ciało. Jak łatwo byłoby powiedzieć „tak” i do końca życia rozkoszować się tym luksusem. Przez tyle lat budziła się sama, a przecież mężczyźni i kobiety zostali stworzeni po to, aby być razem. Wyobraziła sobie, jak mówi swojej matce, że ma zamiar za niego wyjść, potem jednak odepchnęła tę myśl, ponieważ klóciła się ona z przyjemnością, którą dawały jej jego ręce, jego zapach, ciepło i seksualność, jaką budził pomiędzy nimi.

- W takim razie powiedz mi coś - poprosił, odchylając się do tyłu, aby spojrzeć jej w

oczy. - Gdyby nie istniały te wszystkie uboczne sprawy, gdyby nie było różnicy wieku, zadurzenia Janice, ani tej twojej opinii publicznej, której będziemy musieli stawić czoło, gdyby chodziło tylko o ciebie i o mnie, to czy znając mnie, tak jak mnie znasz, kochając mnie i wiedząc, że ja cię kocham... wyszłabyś za mnie?

Spojrzała w jego ukochane, niebieskie oczy i odpowiedziała tak, jak nakazało jej serce.

- Tak - stwierdziła bez wahania. - Tak, wyszłabym... ale, Christopherze, życie nie jest takie pro...

Położył jej palec na ustach.

- Dość... powiedziałaś to. Wyszłabyś za mnie. Chcesz tego. Skup się na tym przez chwilę, dobrze? Zamiast wyszukiwać we wszystkim minusy.

Znowu padli sobie w ramiona, jej gładkie nogi znalazły się pomiędzy jego owłosionymi.

- Och, Christopherze - westchnęła, który to już raz tego ranka?

- Jaka szkoda, że nie mogę po prostu się zgodzić, że to wszystko nie jest takie proste.

- Był taki moment, parę chwil temu - nie rozmawialiśmy na ten temat, ale wiedziałem, o czym myślisz. Że być może zwróciłaś się do mnie przede wszystkim z rozpacz, próbując pogodzić się z utratą Grega. Mam nadzieję, że już tak nie uważasz.

- Nie... i przepraszam cię za te myśli.

- Przestań czytać te książki - powiedział Chris. - Wbijają ci do głowy rozmaite teorie. Jesteśmy ze sobą dlatego, że się kochamy, a nie po to, aby się wspierać w rozpacz, zgadza się?

Odchyliła się, żeby spojrzeć mu w twarz. - Zgadza się - szepnęła - dlatego, że się kochamy.

A wtedy on, ująwszy jej twarz w dłonie, powiedział to jeszcze raz, tak po prostu: - Wyjdź za mnie, Lee.

Zamknęła oczy i pocałowała go, żeby zyskać czas na znalezienie nowych argumentów, lecz kiedy pozostawała pod wpływem jego nagości, przychodziło jej to ze znacznie większym trudem. Ich nogi splatały się ciasno. Chris był już teraz całkiem pobudzony, a wszystkie zmysły Lee odpowiadały na jego wezwanie.

- To nieuczciwe - szepnęła tuż przy jego wargach - prosić mnie w takich okolicznościach.

- Wyjdź za mnie. - Ich rozmowę raz po raz przerywały krótkie pocałunki.

- Czy mogę się nad tym trochę zastanowić?

- Jak długo?

- Dzień, tydzień, może dłużej, dopóki nie uwolnię się od presji porannych nalegań pod kocem. Nie wiem, jak długo, Christopherze. Przykro mi, ale nie wiem.

- Ale kochasz mnie?

- Tak.

- I zastanawiając się, będziesz wciąż o tym pamiętała?

- Tak.

- Masz zamiar porozmawiać z kimś o tym?

- Chyba nie.

- To dobrze, bo znam parę osób, które próbowałyby wybić ci to z głowy.

- Ja także.

Chris porzucił żartobliwy ton, po czym przytulił się do niej i powiedział namiętnie: - O Boże, jak ja cię kocham. Błagam, zgódź się. - Ja też cię kocham. Spróbuję.

## ROZDZIAŁ 17

Wstali około ósmej i wykąпали się. Lee pierwsza wzięła prysznic, ubrała się i właśnie zaglądała do lodówki, kiedy Chris wszedł do kuchni, wycierając włosy ręcznikiem. Miał na sobie szare spodnie od dresu, które zsuwały mu się z brzucha.

- Chciałam przygotować śniadanie, żeby uczcić naszą wspólną noc, ale tu nic nie ma.

Stanął tuż przy niej, rozsiewając zapach szamponu i mydła.

- Przepraszam, maleńka. Zazwyczaj jem na mieście.

- Chcesz pojechać na śniadanie do mnie? Mam mnóstwo rzeczy, które można wrzucić do omletu. Joeya jeszcze nie będzie, więc możesz bezpiecznie wrócić ze mną do domu.

- To znaczy do twojego domu - uściślił, po czym poszedł się ubrać. Pojechali osobnymi samochodami. Dotarli na miejsce tuż przed dziewiątą.

Kiedy Lee zajechała na podjazd, krew uderzyła jej do głowy - przed garażem stał samochód Janice. Przez chwilę Lee wpatrywała się w niego, ściskając kierownicę i wstrzymując oddech. Wreszcie z rezygnacją wypuściła powietrze z płuc. Christopher zaparkował tuż za nią i przeszedł obok jej okienka w stronę garażu. Podniósł wrota, a gdy wjechała do środka, czekał, żeby otworzyć drzwi jej auta. Stanąwszy w chłodnym wnętrzu, spojrzeli najpierw na samochód Janice, a potem na siebie.

- No cóż, to chyba to, jak sędzę - powiedział Chris.

- Nie miałam pojęcia, że wybiera się do domu.

- Nie zadzwoniła?

- Nie.

- I co masz zamiar jej powiedzieć?

- Moglibyśmy powiedzieć, że byliśmy w kościele.

- W dzinsach?

- Masz rację. Poza tym zawsze chodzę na nabożeństwo o dziesiątej. Ciekawe, kiedy przyjechała.

- Sądząc po szronie na szybach, mogła tu być całą noc.

- Mam nadzieję, że nic się nie stało. Lepiej wejdę do środka i sprawdzę. Kiedy się odwróciła, chwycił ją za rękę.

- Lee, chcę iść z tobą.

- Będzie wściekła.

- Wytrzymam to.

- I zakłopotana.

- Chcę, żebyśmy stanęli przed nią razem. Ponoszę za wszystko winę tak samo jak ty. Poza tym jeśli nie śpi, to pewnie widziała, jak zajeżdżamy razem, a nie chcę, żeby wyglądało na to, że się chyłkiem wymykam, zostawiając tobie wyjaśnienie wszystkiego.

Weszli razem frontowymi drzwiami. Janice stała przy kuchennym stole, trzymając przy twarzy woreczek z lodem. Spiorunowała ich wzrokiem.

- Janice, co się stało? - Lee pobiegła wprost ku niej, nie zatrzymując się nawet, żeby zdjąć kurtkę.

- Nic! - warknęła dziewczyna przez zaciśnięte zęby.

- Co ci się stało w szczękę?

- Ząb mądrości. Gdzie byłaś, o ile to nie jest oczywiste!

Lee zdjęła kurtkę i przewiesiła ją przez oparcie krzesła. - U Chrisa.

- Przez całą noc? Mamo, jak mogłaś? - Twarz Janice zapłonęła gwałtownym rumieńcem. Nie chciała spojrzeć na Christophera.

- Przykro mi, że dowiedziałas się o tym w ten sposób.

- Gdzie jest Joey?

- Spędza noc z Whitmanami w Holiday Inn.

- Czy on wie, co się dzieje?

- Nie.

- Mój Boże, nie mogę w to uwierzyć. - Janice zakryła twarz dłonią i odwróciła się.

Christopher stanął tuż za Lee. Nie dotykał jej.

- Twoja mama i ja zastanawialiśmy się, czy mówić ci o tym, czy nie, ale ona uznała, że potrzebuje nieco więcej czasu na uporządkowanie swoich uczuć.

- Swoich uczuć! Swoich! - Odwróciła się ku niemu gwałtownie. - A co z moimi? Co z uczuciami Joeya? To oburzające!

- Dlaczego? - zapytał spokojnie Chris.

- Nie jestem ciemna - warknęła dziewczyna. - Kobieta nie zostaje na noc w mieszkaniu mężczyzny, jeżeli w grę nie wchodzi seks. Może nie mam racji?

- Janice, jesteś niemila - krzyknęła Lee. Christopher zachował spokój.

- Od czerwca twoja mama i ja widywaliśmy się często.

- Od śmierci mojego brata! Nazwij sprawy po imieniu! To wtedy to wszystko się zaczęło, prawda? Klasyczne: kobieta w żałobie szuka współczucia u młodszego mężczyzny.

- Ja też go u niej szukałem.

- Przecież mogliście mi powiedzieć! Mogliście... powiedzieć coś, zanim... zanim ja... - Czują się upokorzona. Uciekła do roboczej części kuchni, po raz kolejny odwracając się do

nich plecami. Christopher przeszedł obok Lee, muskając jej ramię, po czym ujął dziewczynę za ramię, zbyt jednak lekko, aby ją odwrócić.

- To wszystko było bardzo skomplikowane, Janice - powiedział cicho. Dziewczyna odwróciła płonąca rumieńcem twarz; nie chciała na niego patrzeć. - Ty wiesz dlaczego. - Puścił jej rękę.

- Musiałam wyjść na idiotkę, kiedy dałam ci te bilety na Gwiazdkę, mówiąc to, co powiedziałam - stwierdziła z oczyma wbitymi w podłogę.

- Nie. To ja nie miałem racji. Powinienem być powiedzieć ci już dawno, co czuję do twojej mamy.

Łypnęła na niego wściekle.

- To dlaczego nie powiedziałeś?

- Bo kiedy zaczęliśmy się umawiać, byliśmy tacy sami jak wszyscy. Nie wiedzieliśmy, do czego to doprowadzi.

Janice, zbyt skrępowana, żeby stać przy nim, przepchnęła się obok, minęła Lee, i stanęła wojowniczo w przejściu, tam gdzie korytarz skręcał w stronę sypialni.

- Mamo, na litość boską, on ma trzydzieści lat! Co ludzie powiedzą?

- Jak sądzę, dokładnie to samo co ty. Że jest dla mnie za młody. A zatem mam sobie dać spokój, żeby nie denerwować ludzi?

- Powinnaś dać sobie z nim spokój, bo wyjdiesz na idiotkę! Lee poczuła, że zaczyna ogarniać ją gniew. - Tak sądzisz, Janice?

Dlaczego?

Dziewczyna, zaciskając zęby, rzucała piorunujące spojrzenia to na matkę, to na Christophera.

- Dlaczego wyjdę na idiotkę, Janice? Czy dlatego, że w grę wchodzi seks? - Chris otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Lee uniosła dłoń. - Nie, Christopherze, wszystko w porządku. Ona ma dwadzieścia trzy lata, jest wystarczająco dorosła, żeby usłyszeć prawdę. Jesteś teraz na mnie zła, Janice. No cóż, ja też jestem na ciebie zła, bo zakładasz, że ponieważ między Christopherem a mną jest piętnaście lat różnicy, on mnie wykorzystuje. Czy ujęłam to właściwie?

Dziewczyna odrobinę pobladła i wbiła oczy w podłogę.

- Uważasz, że Christopher jest tego rodzaju człowiekiem? Janice była zbyt upokorzona, aby cokolwiek odpowiedzieć.

- Posłuchaj, myśleliśmy o tym i sporo o tym rozmawialiśmy. Tyle tylko że nie chodzi wyłącznie o to, czy Christopher wykorzystuje mnie, czy nie, ale także o to, czy ja go nie



wykorzystuję, żeby uwolnić się od śmierci Grega. Nie wykorzystuję. Kocham go. Przykro mi, jeżeli to nie pasuje do twoich wyobrażeń na temat zachowania matki, ale mam swoje uczucie, swoje potrzeby i czasem czuję się samotna. Myślę nawet o mojej przyszłości. Ja nie jestem stara, Janice, jestem tylko starsza od Christophera, ale kto może wiedzieć, od którego momentu jest się za starym? Czy zanim umówię się z mężczyzną, muszę uzyskać pozwolenie rodziny?

Janice spojrzała na nią z udręką. Na rzęsach połyskiwały jej łzy. - Ale, mam, on jest przyjacielem Grega. On... on jest dla ciebie bardziej synem.

- Nie. To ty tak uważasz. W ciągu ostatnich ośmiu miesięcy nasze układy całkowicie się zmieniły. Może zainteresuje cię to, że zanim połączył nas seks, staliśmy się dla siebie, bardzo, bardzo dobrymi przyjaciółmi.

- Co na to powie babcia? - zapytała Janice z odrobiną wyzwania w głosie. Lee stłumiła pragnienie, aby spojrzeć na Christophera i poszukać u niego pomocy. - Babcia powie otwarcie, co myśli i to nie będzie przyjemne, ale to nie babcia kieruje moim życiem, tylko ja sama.

- No cóż, widzę, że nic z tego, co mówię, nie jest w stanie zmienić twojej decyzji, więc idę się położyć. Nie spałam przez pół nocy, czekając na ciebie, a ząb mnie boli jak diabli.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś? Sądzę, że wiedziałaś, że będę u Christophera. Przyjechałabym do domu.

- Chciałam się przekonać. No i przekonałam się.

Odwróciła się na pięcie i pomaszerowała do swojej sypialni. Kiedy trzasnęły drzwi, Christopher i Lee zostali w próżni, jaką wytworzył gniew Janice. Nie bardzo wiedzieli, co sądzić o swoich uczuciach. Z kranu kapłała woda. Lee spróbowała go dokręcić, ale uparty, monotonny dźwięk nie ustawał. W końcu Christopher podszedł do niej od tyłu i bez słowa położył jej dłonie na ramionach. Potem odwrócił ją i wziął w ramiona.

- Przepraszam - powiedziała Lee. Teraz, kiedy gorączkowa wymiana zdań dobiegła końca, była bliska łez. - To musiało być dla ciebie straszne.

- Mniej więcej tego właśnie się spodziewałem. A ty?

- Tego co powiedziała ona, tak. Zaskoczyła mnie moja własna reakcja.

- Zaskoczyła cię?

- Myślałam, że będę pełna poczucia winy, a tymczasem kiedy ona zaczęła wygłaszać swoje sądy, poczułam, że ogarnia mnie złość. Jakie ona ma prawo mieszać się w moje życie? Kłopot z moimi dziećmiakami polega na tym, że nigdy nie dostrzegały we mnie kobiety. Dla

nich zawsze byłam tylko „mama”. Od śmierci Billa zawsze byłam do ich dyspozycji, i pewnie uważali, że już tak zawsze będzie; wyłącznie tak. Sam pomyślał, że mogłabym potrzebować mężczyzny do tego, zupełnie zbija ich z tropu.

- A jednak nie jestem pewien, czy powinnaś jej o tym mówić.

- O czym mówić? - Lee odchyliła się, patrząc na niego badawczo.

- Że nasza znajomość ma charakter erotyczny.

- Dlaczego nie? Do licha, mam przecież do tego prawo. Z tobą albo jakimkolwiek innym mężczyzną, którego wybiorę. Chciałam, żeby o tym wiedziała.

- A jednak sposób, w jaki to powiedziałaś, był dla niej wstrząsem.

- Chciałam, żeby wszystko było jasne.

- I bez wątplenia jest.

- Christopher, nie mam ochoty kłócić się także z tobą! - Wysunęła się z jego ramion, schowała rękawicę do podnoszenia garnków, która leżała na blacie, i zamknęła szufladę biodrem. - A poza tym nie wiem, o co się sprzeczamy! Najpierw mówisz, że chcesz, żebym powiedziała swoim dzieciom. Ja tego nie robię, więc się kłócimy. Potem im mówię, i zaczynamy się kłócić, że to zrobiłam.

- Lee... Lee... - Znowu chwycił jej ramiona, zmuszając by odwróciła się ku niemu. - Daj spokój. Ja też w tym wszystkim poruszam się po omacku. Chciałbym po prostu znaleźć najlepszy sposób przekazania tych wieści reszcie twojej rodziny, bo czeka nas od nich to samo, co przed chwilą zaserwowała nam Janice. Chociaż mam przecucie, że gdy przyjdzie do twojej matki i siostry, będzie gorzej. One dopiero obarczą cię całą winą.

Lee przywarła do niego mocno. - Och, Christopherze, nie cierpię się z tobą kłócić. Kocham cię. Chcę, żebyśmy byli razem, ale popatrz, co się dzieje już przy pierwszej osobie, a jeszcze nawet nie wspomniałam o małżeństwie.

Cofnął się, spoglądając na nią z zaskoczeniem. - To znaczy, że myślisz o tym.

- No oczywiście, że o tym myślę. Jak mogłabym nie myśleć. Kocham cię. Nie chcę spędzić reszty życia samotnie.

- Och, Lee... - Oczy Chrisa powiedziały jej, jak bardzo go zaskoczyła. Nie mógł jednak cieszyć się tym w tej chwili; miał jej do powiedzenia coś bardzo ważnego. Położył dłoń na jej karku i powiedział z całą szczerością: - Zatem obiecuj mi, że spróbujesz nie wpaść w złość, kiedy będą ci mówić, że gorszysz maluczkich, kiedy będą cię oskarżać o to, że jesteś samotną, przepełnioną smutkiem kobietą, która nie wie, co robi; gdy będą twierdzić, że ja cię tylko wykorzystuję, że jedyne, o co mi chodzi, to twój dom, samochód czy o co tam jeszcze; że jeśli tylko jakiś kociak w szortach zakręci mi tyłkiem przed nosem, natychmiast będę miał

cię dość. Jeżeli się nie mylę, będziesz tego musiała wysłuchać nie raz. Ale z takim podejściem najlepiej możemy walczyć, pokazując im, że jesteśmy szczęśliwi. Złością nic nie zyskamy, prawda?

Lee wsparła czoło na jego piersi, ze znużeniem zamykając oczy. - Czy oni naprawdę to wszystko powiedzą? - Tak sądzę.

Stali tak przez jakiś czas, czerpiąc od siebie nawzajem siłę. Wreszcie Lee zapytała:

- A będziesz?

- Co będę?

- Będziesz miał mnie dość, gdy tylko jakiś kociak w szortach zakręci ci tyłkiem przed nosem?

Chris podłożył jej palec pod brodę i uniół jej twarz do góry. - A jak ci się zdaje?

- Przyznaję, że trochę o tym myślałam; nie powiem, że nie.

- Byłabyś nienormalna, gdybyś nie myślała, ale to coś, z czym nie da się walczyć słowami. Tu wchodzi w grę zaufanie. Jeżeli mówię, że cię Kocham i chcę się z tobą związać na całe życie, to po prostu musisz mi wierzyć i od tego musimy zacząć. Zgoda?

Gdzieś w głębi serca Lee poczuła spokój. Jakiż on był przekonujący. Jaki mądry. Gdyby przysiągł, że nigdy nie spojrzy na inną kobietę, nie byłaby taka pewna. To proste stwierdzenie nieuniknionego faktu sprawiało, że uświadomiła sobie, że Chris właśnie wskazał jej fundament, na którym wspierają się wszystkie trwałe małżeństwa. To przekonanie, które podzielała, wzmacniałoby ich związek - gdyby do niego doszło.

Wyciągnęła szyję i pocałowała go - bez nacisku, nie tak, jakby chciała odcisnąć w laku pieczęć, ale leciutko, aby zapewnić go o swym zaufaniu.

- Lepiej pójdę zobaczyć, co tam z zębem Janice. Jest zbyt uparta, żeby tu wrócić, a wydaje mi się, że miała spuchniętą szczękę.

- Mam tu zostać czy sobie iść?

- Zostań. Przyszedłeś na śniadanie i mam zamiar ci je przygotować. Ale najpierw zajrzę do niej.

Janice leżała na boku, twarzą do ściany. Lee usiadła za jej plecami.

- Poszedł sobie?

- Nie, jest tu nadal. Zrobię mu śniadanie. Co się dzieje z twoim zębem mądrości? Rozbolał cię ni stąd, ni zowąd?

- Zapalenie. Muszę go wyrwać.

- Który to? Górny czy dolny?

- Dolny.

- Odwróć się do mnie.

- Nie musisz się o mnie martwić. Potrafię sama troszczyć się o siebie - oświadczyła dziewczyna.

- Nie bądź taka zawzięta, Janice. Nie przestanę martwić się o ciebie tylko dlatego, że się z nim umawiam.

Janice przewróciła się na plecy, wbijając oczy w jakiś mebel za plecami matki. Lee dotknęła jej skroni.

- Mój Boże, dziewczyno, masz gorączkę. Brałaś aspirynę?

- Tak.

- Dawno?

- Około trzeciej nad ranem.

Wniosek był jasny: Janice nie spała, czekając na powrót matki.

- Przyniosę ci jeszcze jedną. Bardzo boli?

- Nie jest to zbyt przyjemne, ale co mogę zrobić w weekend? Muszę poczekać do jutra, żeby zadzwonić do doktora Winga.

- Otwórz usta. Pozwól, że spojrzę.

- Mamo, to jest jakieś zapalenie, ząb jest podrażniony. Co tam można zobaczyć?

- Masz jakiś obrzęk koło tego zęba?

Janice przewróciła oczyma. - Tak, jest obrzęk. Ale nie umrę do jutra, więc po prostu daj mi spokój.

Lee nie miała wyboru. Wróciwszy z aspiryną oraz szklanką wody, powiedziała: - Jest coś takiego jak pogotowie dentystyczne, więc jeśli będzie bardzo źle, zawiozę cię do szpitala.

Janice połknęła tabletki, popiła je wodą, oddała szklankę matce, po czym znowu odwróciła się twarzą do ściany. Nie było wątpliwości, co chce przez to wyrazić: Nie dziękuję ci. Nie wybaczam. Nie chcę, żebyś mi matkowała!

Lee popatrzyła na plecy córki, westchnęła i wyszła z pokoju.

W poniedziałek o pierwszej chirurg szczękowy usunął Janice oba prawe zęby mądrości. Jeden był podrażniony i zainfekowany. Drugi, jak stwierdził lekarz, sądząc po dziwnym kącie, pod jakim napierał na sąsiedni ząb, poszedłby wkrótce w jego ślady.

Kiedy dziewczyna ocknęła się z odretwienia wywołanego przez środek znieczulający, płakała bez powodu, co podobno było normalną reakcją na ów lek. Jedna z pracujących w gabinecie pielęgniarek powiedziała Lee, że Janice przez jakiś czas będzie trochę oszołomiona. Wyjaśniła też, co dawać jej jeść i jak się nią opiekować, żeby nie dopuścić do powstania bardzo bolesnego suchego zębodołu. Lee otrzymała receptę na środki przeciwbólowe, po

czym wyszła z gabinetu podtrzymując szlochającą córkę, która w kółko paplała: - Nie mam pojęcia, dlaczego płaczę. Po prostu nie wiem.

- Przez ten lek - wyjaśniała Lee. - Przejdzie ci za jakąś godzinę.

W domu położyła Janice do łóżka, podłożyła jej pod policzek ręcznik i podstawiła miseczkę do odpluwania. Podała tabletkę przeciwbólową i zaproponowała, że podgrzeje trochę rosołu z kury, ale dziewczyna powoli zamknęła oczy, zapadając w sen, który był ubocznym efektem znieczulenia.

Lee pochyliła się nad łóżkiem i odgarniając włosy z czoła córki, pocałowała ją.

W tej chwili rola matki wydawała się równie prosta jak w czasach, gdy jej dzieci były niemowlętami. Głaskanie po głowie, podawanie tabletek, gotowanie specjalnych potraw, kiedy były chore - takie potrzeby łatwo było zaspokoić. Lee poczuła się uspokojona, a nawet uzdrowiona, kiedy tak dotykała swej córki, gdy troszczyła się o nią, zwłaszcza po wczorajszej sprzeczce.

„Janice, pomyślała, proszę cię, nie odbieraj mi swojej miłości. Błagam, nie każ mi wybierać pomiędzy tobą a Christopherem. Nie ma potrzeby, kochanie. Złamiesz mi serce, odwracając się w ten sposób ode mnie. „

Na krótko przed kolacją zadzwonił Christopher.

- Jak tam Janice?

- Teraz śpi, ale wieczorem będzie ją boleć. Na szczęście dentysta przepisał na to jakieś pigułki.

- Potrzeba jej czegoś? Czy mogę jakoś pomóc?

- Po prostu miej nadal cierpliwość do moich dzieci - odparła Lee. - To może trochę potrwać, zanim się przekonają.

- Mogę to znieść tak długo, jak długo będę wiedział, że jest do tego powód. Czy myślałaś choć trochę o tym, żeby za mnie wyjść?

- Tak, myślałam o tym. O niczym innym nie myślę.

- I?

- I brzmi to bardzo kusząco, ale nadal nie wiem.

- Wiesz co?

- Co?

- Znowu to robię.

- Co robisz znowu?

- Gram rolę męża i ojczyma, nawet w tej chwili. Pomyśl o tym, Lee.

Wracając do domu po zakończeniu służby, wstąpił do niej.

- Cześć - powiedział, kiedy Lee mu otworzyła. - Nie mogę zostać. Umówiłem się z Juddem, ale chciałem to przynieść dla Janice. Powiedz jej, że mam nadzieję, że się jej spodoba. - Wręczył jej zestaw kaset magnetofonowych z nagraniami najnowszych bestsellerów. - Po myślałem sobie, że może dzisiaj lepiej odpreży ją słuchanie niż czytanie.

Lee pocałowała go w policzek, zdając sobie sprawę, że ten człowiek robi wszystko, żeby coraz trudniej jej było odrzucić jego oświadczenia. A ponadto... robi to po raz kolejny. Tak, co zrobiłby każdy dobry mąż i ojciec.

- Christopher ci to przyniósł.

Janice zerknęła przez ramię, popatrzyła na taśmy, które jej matka położyła na łóżku, po czym oświadczyła cierpko: - Już to czytałam. - Nie dotykając kaset, odwróciła się z powrotem do ściany.

To, że własna córka ją zignorowała, zabolalo bardziej, niż Lee była w stanie sobie wyobrazić.

Fakt, że jedno dziecko sprawiło jej ból, w całkiem naturalny sposób pchnął ją w stronę drugiego. Szukając zrozumienia, być może jakiegoś sojusznika, a może po prostu przyjaznego uśmiechu, poszła tego wieczoru do pokoju Joeya. Chłopak siedział na podłodze, oklejając srebrną taśmą swe ulubione, schodzone buty.

- Cześć - powiedziała Lee wsuwając głowę do środka.

- Och, cześć! - Joey obejrzał się przez ramię.

- Mogę wejść?

- Pewnie. Jak tam Janice?

- Teraz śpi. Trochę marudziła.

- Jejku, mam nadzieję, że mnie się to nigdy nie zdarzy. Tato Denny'ego mówi, że ciągle jeszcze ma wszystkie zęby mądrości i nigdy nie miał z nimi kłopotu.

- Janice gnębią nie tylko zęby mądrości.

- A co jeszcze? - Joey przerwał swoje zajęcie i patrzył, jak Lee przechodzi przez pokój, a potem siada po turecku na samym środku jego łóżka. Miała na sobie obszerny czerwony dres, z rękawami podciągniętymi po łokcie.

- Denerwuje się na mnie.

- O co?

- Będę z tobą szczerą, Joey, bo to dla mnie bardzo ważne.

- Pewnie wykapowała, co cię łączy z Chrisem, nie?

Nawet gdyby Lee wsadziła sobie na głowę worek, nie zdołałaby ukryć swego zaskoczenia. - Nie wydajesz się zbyt wstrząśnięty. Jak długo o tym wiesz?

Chłopak wzruszył ramionami. Przesunął kilkakrotnie ręką po srebrnej taśmie, wyglądając ją na brzegu podeszwy.

- Nie wiem. Zobaczyłem kiedyś, jak się całujecie, ale już wcześniej jakby się domyślałem.

- I co o tym sądzisz?

- Kurczę, myślę, że to super.

Lee uśmiechnęła się szeroko. Kto powiedział, że to radość wychowywać dziewczynki? Ona mogłaby mieć samych synów. Chłopcy nie mieli tak chwiejnych charakterów.

- To poważna sprawa, prawda, mam?

- Tak, poważna.

- Tak właśnie myślałem. Więc panie w twoim wieku wychodzą za facetów w jego wieku, czy jak?

- Nie znam żadnej, która by to zrobiła, a ty?

Joey wzruszył tylko ramionami, po czym przyciął następny kawałek taśmy.

- Miałbyś coś przeciw temu, gdybym to zrobiła?

- Kurczę, nie. Dlaczego miałbym mieć?

- Bo ludzie mogliby się z ciebie nabijać, mówić, że twoja matka deprawuje nieletnich i tak dalej.

- Jezu, ludzie potrafią być tacy durni. Jeżeli coś takiego powiedzą, to znaczy, że cię nie znają. Ani Chrisa.

- Poprosił mnie wczoraj wieczorem - wyznała Lee.

- Żebyś za niego wyszła?

- Tak.

- Czy Janice o tym wie?

- Jeszcze nie.

- A babcia?

- Babcia nie wie o niczym.

- Jejku, jak się dowie, to się zesra.

Lee nie zdołała powstrzymać się przed śmiechem. - Nie powinieneś używać takich słów, młody człowieku.

- Taa... no, ale użyłem, więc musisz mnie ukarać, mam. Boże, on naprawdę szybko dorastał. Lee czuła, że najbliższe trzy lata w jego towarzystwie będą dla niej radością. Był tak odświeżająco bezpośredni.

- I co odpowiedziałaś Chrisowi? - zapytał Joey.

- Że jego propozycja jest bardzo kusząca.

- Chcesz za niego wyjść?

- Tak.

- Ale boisz się, co powie babcia, tak?

- Babcia, Janice, Sylvia, ty. No, ciebie to już nie dotyczy. Wygląda na to, że odpowiada ci ten pomysł.

- Kurczę, tak. Jesteś samotna od śmierci taty. Czasami nie wiem, jak to znosisz. To znaczy, ja i Denny czasem ze sobą rozmawiamy, wiesz? Na przykład wtedy, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem, jak całujecie się z Chrisem. Zadzwoiłem do niego i powiedziałem, że jesteś chyba strasznie szczęśliwa, odkąd się z nim spotykasz i że wygląda na to, że nie robiłaś takich rzeczy od dawna.

- To znaczy - nie całowałam facetów? Nigdy nie miałam na to ochoty, dopóki nie pojawił się Chris.

- Naprawdę, mamó? - Popatrzył na nią z filuternym uśmiechem. - To myślę, że powinnaś na to iść.

Jej syn był bez wątpienia prezentem od losu. Lee siedziała na jego łóżku, z łokciami na kolanach, patrząc z uśmiechem, jak okleja kolejną warstwę taśmy podeszwę tenisówki.

- Sądzę, że już wiesz, jak bardzo cię kocham. Czy ty masz zamiar w tym chodzić? - zapytała.

Chłopak uniósł do góry swoje dzieło. - Kurczę, tak. Są zabójcze.

- Chyba sobie przypominam, że kupiłam ci na Gwiazdkę nowe.

- Pewnie, i bardzo cię za to kocham, ale nie na tyle żeby wyrzucić te tylko dlatego, że trzeba je trochę podkleić. To moje najlepsze buty.

Lee pokręciła z niedowierzaniem głową. Zeszła z łóżka, pocałowała syna w czubek głowy, po czym poszła do siebie, aby zadzwonić do Christophera i przekazać mu najświeższy raport na temat stanowiska dzieci.

Janice została w domu jeszcze przez jeden dzień, a potem wróciła do szkoły, wciąż zachowując rezerwę wobec matki.

Lee pracowała tego dnia jak zwykle. Wróciła do domu późnym popołudniem i zabierała się do przygotowania kolacji. Najpierw jednak zeszła do piwnicy, aby przełożyć poranne pranie z pralki do suszarki. Wracała właśnie na górę, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi.

- O, mama! - powiedziała otwierając. - Co cię sprowadza? I Sylvia... - Pół godziny



wcześniej rozstała się z siostrą w sklepie.

Zdejmując rękawiczki, Peg Hillier minęła córkę szytwnym krokiem.

- Przyszliśmy z tobą porozmawiać.

Lee patrzyła w plecy matki, wyprostowane jak pika, spoglądała na jej powiewający płaszcz i nieruchomy kark, zdając sobie sprawę, że wpadła w kłopoty.

- Och. Założę się, że wiem o czym.

- No jasne, że wiesz - Peg odwróciła się ku niej. - Janice do mnie zadzwoniła.

- Może zechcesz najpierw wejść, mamó? Zdjąć płaszcz? Może będziesz łaskawa usiąść i wypić filiżankę kawy? Ty także, Sylvio. - Wyrzała na zewnątrz. - Czy to już cała armia, czy przyszło was więcej? Gdzie tato... i Lloyd? Oni też powinni przy tym być, prawda?

- Nie próbuj być taka sprytna, bo to nie robi na mnie wrażenia, Lee. Zamknij te drzwi i powiedz mi, co cię na litość boską napadło! Żeby kobieta w twoim wieku czepiała się chłopaka w wieku swojego syna?

Lee z rezygnacją zamknęła drzwi.

- Połóżcie płaszcze na kanapie. Zaparzę kawę - powiedziała.

- Nie chcę żadnej kawy! Chcę wyjaśnień!

- Przede wszystkim - on nie jest w wieku mojego syna. Ma trzydzieści lat, a...

- A ty masz czterdzieści pięć. Dobry Boże, Lee, czy ty oszalałaś?

- Nie bardzo, mamó. Zakochałam się.

- Zakochałaś! - Oczy Peg o mało nie wyskoczyły z orbit. - Więc tak to nazywasz? Ty spałaś z tym chłopcem. Janice powiedziała, że się do tego przyznałaś.

- Lee, to takie świństwo - dodała Sylvia.

- A co zrobiła mama? Zadzwoniła zaraz do ciebie i powiedziała ci o wszystkim, żebyście mogły tu przyjechać i bombardować mnie razem.

- Zgadzam się z mamą. To hańba, że masz romans z Christopherem, chociaż rozumiemy obie, ile stresów dostarczyła ci śmierć Grega. To normalne, że chciałaś się do kogoś zbliżyć, ale, Lee, chłopak w tym wieku...

- To nie jest chłopak! Może przestaniecie tak o nim mówić!

- Zważywszy waszą różnicę wieku, można go uznać za chłopca.

- Muszę przyznać - powiedziała Peg - że jego też bym nigdy o to nie podejrzewała.

Wydawało mi się, że to taki miły młody człowiek. Czego on u licha szuka?

- Szuka?

- Tak, szuka! Mężczyzna w jego wieku u takiej starej kobiety.

- Takiej starej! Piękne dzięki, mamó.

- Możesz próbować oszukać samą siebie, ale nie mnie. Szukał dokładnie tego, co dostał! Ale pomyśleć, że zrobił ci to po tym, jak byłeś dla niego taka dobra, jak otworzyłaś mu drzwi i przyjęłaś go do swojej rodziny, po tym jak byłeś dla niego niczym matka. Pomyśleć, że pozwoliłaś mu się uwieść!

- Mamo, mówię ci, zakochaliśmy się w sobie! To nie było tak, że w dzień po śmierci Grega poszłam do łóżka z Chrisem! Zaczęliśmy się widywać, było nam ze sobą dobrze i dopiero wtedy, po kilku miesiącach, nasze stosunki nabrały charakteru intymnego.

- Nie chcę tego słuchać. - Peg odwróciła w bok ściągniętą twarz. Pałeczkę przejęła Sylvia: - Przyznałaś się swojej córce, że z nim sypiasz... Lee, co chciałaś przez to osiągnąć?

- Nie wolno mi już przespać się z mężczyzną? O to chodzi? - Obie napastniczki patrzyły na Lee w osłupieniu, a ona ciągnęła dalej. - Mam być mamuszką, która się tylko poświęca, czeka, żeby zacerować swoim dzieciaczkom skarpetki albo ugotować im coś, co lubią, kiedy mnie będą odwiedzać? Nie mam żadnego prawa do własnego życia?

- Oczywiście masz prawo do własnego życia - odpowiedziała Sylvia - ale na litość boską, wybierz do tego kogoś w swoim wieku.

- Dlaczego? Co złego w tym, że wybrałam Christophera?

- Lee, bądź wobec siebie szczerą - upomniała Sylvia. - To wszystko wygląda bardzo dziwnie. Traktowałaś go jak syna, przez ile lat? Potem, kiedy umiera Greg, zbliżacie się do siebie i bardzo szybko łądujecie w łóżku. Jak to wygląda, jak sądzisz? I jak długo, według ciebie, on z tobą będzie?

- Może cię zainteresuje, Sylvio, że Christopher poprosił, abym za niego wyszła.

- Dobry Boże! - Peg wypuściła z płuc powietrze i unosząc rękę do ust, usiadła ciężko na kuchennym krześle.

- Żebyś za niego wyszła? - Także Sylvia usiadła ogłuszona.

- Tak. I mocno się nad tym zastanawiam.

- Och, Lee, sama nie wiesz, co robisz. Nie minął jeszcze nawet rok od śmierci Grega, więc założmy, że potrzeba ci kogoś, kto pomógłby ci przetrwać ten straszny okres, ale wiązać się na całe życie z kimś tak młodym. Jak taki związek może przetrwać?

- Jak może przetrwać jakikolwiek związek, zważywszy ile w tym kraju jest dzisiaj rozwodów? Jeżeli kogoś kochasz, to mu ufasz, wychodzisz za niego zakładając, że to będzie trwało, ponieważ oboje stwierdziliście, że tak będzie.

Teraz prowadzenie przejęła Peg: - Nigdy nie byłaś członkiem żadnej z tych żalonych grup, ale gdybyś była, wiedziałabyś, że robisz dokładnie to, przed czym ostrzegają: z rozpaczą rzucasz się w związek z mężczyzną. Jesteś samotna, utrata Grega była straszliwym

doświadczeniem, i czeka cię chwila, gdy twoje dzieci opuszczą dom. Rozumiem to, moja droga, ale spójrz w przyszłość. Gdy ty będziesz miała sześćdziesiątkę, on będzie miał czterdzieści pięć lat. Naprawdę sądzisz, że nie będzie wtedy pragnął młodszej kobiety?

Lee nie chciała na to odpowiedzieć.

- A co z dziećmi? - włączyła się Sylvia. - Czy on nie chce mieć dzieci?

- Nie.

- To nienormalne.

- Ale to także nie twój interes, prawda, Sylvio? Chris i ja rozmawialiśmy o tym wszystkim, co tu dziś poruszyłyście. Jeśli wszystko uzgodnimy i zdecyduję się za niego wyjść, to spodziewam się, że uszanujecie mój wybór.

Peg i Sylvia wymieniły spojrzenia, które mówiły, że Lee zupełnie straciła rozum oraz że bardzo by chciały przekonać ją, iż popełnia życiowy błąd. Peg westchnęła dramatycznie, po czym wpatrzyła się z roztargnieniem w stojący na środku stołu kosz z owocami. Spróbowała innej taktyki.

- Zastanawiam się tylko, co Bill by na to powiedział.

- Dobry Boże - Lee wywróciła oczy do sufitu. - Bill nie żyje, mam. Ja żyję. Mara przed sobą mnóstwo dobrych, pełnych zdrowia lat. To nieuczciwe z twojej strony sugerować, że powinnam pozostać wierna zmarłemu mężczyźnie.

- Och, nie bądź głupia. Ja wcale tego nie sugeruję. Ale Bill był ojcem twych dzieci. Czym może dla nich stać się ten mężczyzna? A skoro już przy tym jesteśmy, to wypada poruszyć inny niemiły punkt. Janice powiedziała mi, że jakiś czas temu wyznała ci, że sama żywi do Christophera pewne uczucia.

- Owszem, wyznała. A powiedziała ci, czy on kiedykolwiek, w jakikolwiek sposób odwzajemnił jej zainteresowanie? - Gdy Peg nic na to nie odpowiedziała, Lee ciągnęła dalej: - No więc - nie odwzajemnił. Jej zauroczenie Christopherem skomplikowało nam wszystko, ale o tym także rozmawialiśmy i doszliśmy do wniosku, że nasze własne szczęście też ma jakieś znaczenie. A najszcześliwsi jesteśmy ze sobą.

- Więc nie masz zamiaru tego zakończyć?

- Nie, nie mam. On mi daje szczęście. Ja daję szczęście jemu. Dlaczego miałabym to odrzucić?

- Przyjdzie dzień, gdy będziesz tego żałować.

- Możliwe. Ale to samo możesz powiedzieć na temat połowy wyborów, jakich się dokonuje w życiu. Z drugiej strony taki dzień, kiedy tego pożałuję, może nigdy nie nadejść, a byłoby smutno odrzucać to wszystko bez powodu.

- Więc naprawdę masz zamiar za niego wyjść? - zapytała Sylvia.

- Myślę, że... tak.

- Szczerze mówiąc, Lee - stwierdziła jej siostra - to jeżeli to tylko ze względu na... no wiesz... - Sylvia wykonała w powietrzu nieokreślony gest.

- Myślę, że słowo, którego szukasz, to „seks”, Sylvio, i gdyby chodziło tylko o to, to czy nie sądzisz, że już dawno temu znalazłabym sobie jakiegoś mężczyznę? Seks jest tylko częścią naszego związku.

Muszę przyznać, że po tylu latach obywatelstwa bez niego wydaje mi się niesamowite, że mogę to mieć w każdej chwili. Ale przyjaźń i szacunek grają równie ważną rolę.

Sylvia zrobiła się różowa jak nie dosmażony stek. Nie wiedziała, gdzie schować oczy.

- Przepraszam, Sylvie. Wiem, że to temat, na który nigdy nie rozmawiasz, ale sama go poruszyłaś.

- O ile wiem - ciągnęła wyniośle Sylvia ze ściągniętymi ustami - w sobotę wieczorem zostałam w jego mieszkaniu na całą noc. Co sobie pomyślą twoje dzieci?

- Mój syn uważa, że powinnam za niego wyjść.

- Ma czternaście lat. Cóż on może wiedzieć?

- Wie, jaki jest Christopher. Uwielbia go. Powiedział mi: „Wiesz, mamó, myślę, że powinnaś na to iść”.

Peg, nie kryjąc lekceważenia, spojrzała z ukosa na swą młodszą córkę. - Jeśli nawet skorzystasz z rady Joeya, to i tak myślę, że będziesz tego żałować.

- Myślę, że powinnaś przyzwycząć się do tej myśli, mamó, bo mam zamiar przyjąć propozycję Christophera.

Peg ukryła twarz w dłoniach, opierając łokcie na stole. - Boże w niebiesiech, co na to powiedzą moje przyjaciółki?

- Ach... Teraz dotknęłaś prawdziwego problemu, prawda, mamó?

- No cóż, to jest problem! - parsknęła Peg, unosząc nagle głowę. - Jak wiesz, ludzie lubią mówić.

- Tak. Poczynając od mojej córki. Dziękuję ci, Janice.

- Nie zaczynaj winić Janice! - W starszej pani wzbiera! gniew.

- Dzwoniąc do mnie, postąpiła słusznie.

- Och, tak, właśnie widzę. Ta rozmowa tak wiele wyjaśniła. Ale to prawda, mamó. Swoje największe zmartwienie zostawiłaś na koniec: co pomyślą ludzie? Ciebie to zawsze tak bardzo obchodziło. Co pomyślą, jeśli puszczę Vince'a Gilla na pogrzebie? Co powiedzą, jeżeli pochowam Grega w jego ulubionej czapce? Jakie będzie ich zdanie, jeżeli wyjdę za

przystojnego, trzydziestoletniego mężczyznę, zamiast za ślicznie łysiejącego nudziarza w średnim wieku, który sprawi, że będę stateczna, jak na mój wiek przystało? No cóż, mam, prawda jest taka, że nie obchodzi mnie, co oni powiedzą. Bo jeśli będą patrzeć na mnie krzywo, to nie są przyjaciółmi, jakich bym sobie życzyła.

- Zawsze potrafiłaś wszystko wytłumaczyć, Lee, ale tego wytłumaczyć się nie da. Ludzie będą szeptać za twoimi plecami. Twoje dzieci będą bez wątpienia musiały wysłuchiwać uszczypliwych pytań, a wszyscy członkowie klubu, do którego należy twój tato i ja, będą chcieli wiedzieć, czy to prawda, że on ma tylko trzydzieści lat.

- Więc odpowiedz im szczerze, mam. Dlaczego nie możesz tego zrobić? Dlaczego nie możesz po prostu odpowiedzieć: „Tak, ma trzydzieści lat, jest wspaniałym, miłym i delikatnym człowiekiem] jest troskliwy i sprawił, że moja córka jest tak szczęśliwa, jak nie była od śmierci swego pierwszego męża”. Dlaczego nie możesz tego powiedzieć, mam?

- No jasne! - powiedziała z obłudą Peg. - Zwal wszystko na mnie, jakbym to ja wywołała tę hańbiącą sytuację. Dziecko, wyprowadzasz mnie z równowagi!

- Mam, zawsze cię kochałam, ale ty nigdy nie byłaś w stanie przyznać, że nie masz racji, a tym razem jej nie masz.

- Lee, na miłość boską - zbesztła ją Sylvia.

- Ty także, Sylvie Ty także nie masz racji. Kocham tego człowieka. Mam zamiar wyjść za niego i żyć z nim szczęśliwie.

- No więc wyjdź sobie za niego! - Peg poderwała się z krzesła i pomaszerowała do saloniku po płaszcz. - Ale nie przyprowadzaj go do mnie na wielkanocny obiad!

## ROZDZIAŁ 18

- Powiedziały dokładnie to, co przewidziałeś. - Nieco później tego samego wieczoru Lee rozmawiała z Chrisem przez telefon.

- Nie była to, zdaje się, przyjemna rozmowa.

- Okropna. Ale tak jak mnie prosiłeś, trzymałam nerwy na wodzy.

- Chyba niewiele to pomogło.

- Nie. Tyle tylko że byłam z siebie dumna.

- Ale czuję, że jesteś naprawdę wykończona. - Nie otrzymał odpowiedzi, więc zapytał: - Tak?

- Och... - Lee wypuściła z płuc powietrze. - Wiesz... - Naszła ją chwila smutku. Nie wiedziała, jak poradzić sobie ze złością na ludzi, których kochała. - To przecież moja rodzina.

- Taaa... Znam to uczucie. Czyż to nie ironia? Moja rodzina odstręcza mnie, bo nie troszczy się o mnie wcale, twoja z kolei przejawia za dużo troski.

- Pewnie to prawda, ale trudno uwierzyć, że w ogóle ich obchodzę, kiedy próbują sterować moim życiem.

- Kochanie, naprawdę mi przykro, że musiałaś przez to przejść. - W jego głosie wyczuwało się szczery smutek.

- Chcesz wiedzieć, co było śmieszne? Moja siostra, Sylvia, największa świętoszka na świecie, kiedy chciała mnie zbesztać za mój wybujały popęd seksualny i powiedzieć mi, że to zapewne jedyny powód, dla którego chcę wyjść za ciebie, nie potrafiła się zmusić, aby wypowiedzieć to słowo.

- Powiedziałaś im, że chcesz za mnie wyjść? - Jego głos zabrzmiał tak, jakby Christopher stanął nagle na baczność.

- Tak, powiedziałam, ale nie sądzę, żeby to była w tej chwili najmądrzejsza rzecz. Wszyscy są wytrąceni z równowagi, wszyscy mnie pouczają, więc sądzę, że najlepiej będzie, jeśli najpierw damy im szansę przywyknąć do tej myśli.

- Ale zrobisz to? Mówisz - tak?

- Mówię, że chcę.

- Kiedy, Lee?

- Nie wiem kiedy.

Minęło kilka sekund. Lee czuła wyraźnie, że Chris stara się uspokoić. - Dobrze. - Poznawała po jego głosie, że nie chce naciskać jej zbyt mocno. - Rozumiem. Ale nie czekaj zbyt długo. Najdroższa, kocham cię tak bardzo. Nie chcę już tracić więcej czasu na samotne

życie.

W kwiaciarni zapanowała napięta atmosfera. Od następnego dnia, ilekroć znalazły się poza zasięgiem słuchu innych, Sylvia zapędzała Lee do rogu i wygłaszała tyrady na temat jej romansu, wypominając jej, że tak straszliwie zdenerwowała matkę i daje zły przykład dzieciom. Czyż nie widzi, jakie to niestosowne? Czyż rodzice nie uczyli jej, że takie zachowanie jest naganne? I to z mężczyzną tak młodym, że mógłby być jej synem! Czyż nie widzi, że on chce ją tylko wykorzystać i w końcu zrobi z niej idiotkę? To po prostu nienormalne, aby chłopak w jego wieku zakochał się w kimś w ich wieku. Czy naprawdę jej nie obchodzi, że znajomi mamy i taty będą zadawać kłopotliwe pytania? Przecież już własne dzieci Sylvii zaczynają je zadawać.

- A one jak się dowiedziały?

- Podśluchały moją rozmowę z Barrym.

- Och, wspaniale. Piękne dzięki, siostrzyczko.

Sylvia odrzuciła stos kopert, które właśnie przeglądała. - To nie ja tu jestem winna, Lee, więc lepiej uważaj! Ktoś musi przywrócić ci rozsądek, a któż inny ma to zrobić? Mama? Janice? Obie są tak przerażone, że nie chcą nawet z tobą rozmawiać!

Niestety, była to prawda. Joey obchodził swoje piętnaste urodziny, lecz Janice - która rok wcześniej postarała się przyjechać tego dnia do domu - pozostała w szkole i przysłała mu jedynie kartkę. Peg i Orrin wysłali prezent pocztą, po czym zadzwonili, tłumacząc że nie mogą przyjechać na tort, ponieważ Orrinowi założono tego dnia mostek i strasznie bolą go zęby.

Natomiast Lloyd przyszedł. Przyniósł chłopcu kasztanową koszulę z wielkim, białym „A” na piersiach, która miała mu się przydać w przyszłym roku, gdy będzie chodził do liceum. Pojechali we troje do ulubionej restauracji Joeya, gdzie Lloyd zauważył bardzo dyskretnie: - Dość mało was w tym roku, prawda?

Cała historia wyszła na jaw, ale Lloyd - ten miły, nieskory do oceniania innych Lloyd - powiedział tylko: - O rany, to jest pewien problem, prawda?

Pewnego południa w kwiaciarni pojawił się Orrin.

- Lee, zabieram cię na lunch - oświadczył, a potem, w trakcie posiłku, dobre siedem razy powtarzał jej, jak bardzo zdenerwowała matkę oraz że musi przerwać te wygłupy i powiedzieć temu chłopcu, że powinien znaleźć sobie kogoś w swoim wieku!

Lee zakipiała gniewem. - Jesteście wszyscy bandą oszczerczych hipokrytów! Christopher był dla mnie dobry, kiedy mnie pocieszał i pomagał mi po śmierci Grega, gdy odbierał Janice z lotniska, wysyłał tobie i mamie kartki z kondolencjami i załatwiał mnóstwo

drobnych spraw, które w przeciwnym razie spadłyby na was! Ale teraz, kiedy przespał się ze mną, traktujecie go, traktujecie nas oboje, jakbyśmy byli jakimiś zбочeńcami seksualnymi. Nie wydaje mi się, aby to o was dobrze świadczyło!

Posiłek zakończył się w niemiłej atmosferze. Żadne z nich nie miało ochoty znosić obecności drugiego choćby minutę dłużej.

Lee zadzwoniła do Janice do college'u, jak co tydzień, lecz córka odpowiadała jej tylko zdawkowymi pomrukami, tonem który mówił jasno: Ja tylko toleruję tę rozmowę, nie biorę w niej udziału. Na pytanie, kiedy Janice przyjedzie znowu do domu, dziewczyna odpowiedziała wprost: - Nie wiem.

Więść o ataku, jaki Lee przypuściła na swego ojca, rozeszła się lotem błyskawicy po całej rodzinie, toteż wyrodna córka musiała wysłuchać z ust Sylvii kolejnego kazania na temat tego, co jest dobre, a co złe. W tej oracji było więcej jadu niż w poprzednich, bo teraz Sylvia broniła swych rodziców i piętnowała Lee za ich traktowanie. Napięcie w sklepie stało się tak wyraźne, że pozostałe pracownice także zaczynały zrzędzić. Potem pewnego dnia Pat Galsworthy zapytała Lee: - Czy ty naprawdę chodzisz z mężczyzną, który ma tylko trzydzieści lat? - Lee wybuchnęła; powiedziała, że to nie jej cholerny interes i że jeśli chce zachować tę pracę, to zostając sam na sam z księgową, powinna ograniczać się do dyskusji na temat nowych trendów w kwaciarstwie.

Przeprosiła ją później, ale prawda była taka, że rozdźwięk pomiędzy nią i Sylvią wpływał na nastrój w firmie. Stwierdziwszy, że trudno im zachować wobec siebie uprzejmość, straciły ochotę nawet na dyskusje o sprawach codziennych - zamówieniach, rachunkach, zestawieniach - tak ważnych dla sprawnego funkcjonowania firmy. Ten brak porozumienia zaowocował nieporządkiem, problemami w dostawach oraz ogólnym napięciem wśród wszystkich pracowników sklepu.

Któregoś czwartku zadzwonił Christopher.

- Włóż na siebie coś ładnego - powiedział. - Mam wolny wieczór, więc zabieram cię na obiad do Carousel, w centrum Saint Paul.

W obrotowej restauracji, pośród świateł miasta rozświetlających noc wokół nich, wyjął z kieszeni pierścionek z diamentem tak wielkim, że nie dałoby się go nosić pod rękawiczką.

- Och, Christopher... - westchnęła Lee, nie odrywając oczu od wykładanego niebieskim aksamitem pudełeczka z zaręczynowym klejnotem. - No popatrz tylko... co ty narobiłeś?

- Kocham cię, Lee Reston. Chcę, żebyś była moją żoną. - Ujął jej dłoń, wsuwając



pierścionek na palec. Jak zwykle miała za krótkie paznokcie i szorstką skórę.

- Ale on jest taki duży. I co z nim zrobię, skoro przez cały dzień zajmuję się ziemią i kwiatami.

- Włóż go do szufladki w toaletce i zakładaj po powrocie do domu. Wyjdiesz za mnie?

Lee uniosła wzrok, do oczu napłynęły jej łzy.

- Och, Christopherze, nie mogę uwierzyć, że to mi się przydarza. Chcę... wiesz, że chcę. Ale jak mam to zrobić. - Reakcja rodziny ciążyła jej tak bardzo, że nie wiedziała, co ma myśleć. Kochała tego mężczyznę, wierzyła, że mogliby żyć ze sobą szczęśliwie, ale podjęcie decyzji nie było aż tak proste. - Cała reszta mojego życia rozpada się w strzępy. Wybacz mi... nie mogę tego nosić - dodała, najdelikatniej jak potrafiła, po czym zdjęła pierścionek i włożyła go z powrotem do pudełeczka. - Po prostu nie mogę. Poza tym jest o wiele za piękny jak na moje brzydkie ręce.

Chris popatrzył z rozpaczą na pierścionek, potem na Lee, która była tak przygnębiona, że z trudem wytrzymała jego wzrok. W końcu ujął jej dłonie i trzymał je na stole.

- Lee, nie rób tego - błagał ją z całego serca. - Proszę.

- Wiesz, co mam zamiar powiedzieć, prawda?

- Nie, nie mów tego, proszę...

- Ale wszyscy obrócili się przeciwko mnie. Wszyscy.

- Oprócz Joeya.

- Tak, oprócz Joeya. Ale nawet on na tym cierpi. Janice nie przyjechała na jego urodziny, dziadkowie również. Sylvia i ja prawie nie odzywamy się do siebie w pracy. Te wszystkie złe uczucia zaczynają się odbijać na naszej firmie. Co mam zrobić?

Opuścił wzrok i gładził jej dłonie kciukami. Twarz posmutniała mu jeszcze bardziej, a przedłużające się milczenie upewniło Lee, że Chris wie, jak wiele komplikacji wprowadził w jej życie i zdaje sobie sprawę, że gdyby za niego wyszła, byłoby zapewne jeszcze gorzej. Nie mógł się jednak zdobyć na to, aby chowając pierścionek do kieszeni, uwolnić ją od siebie.

Pojawił się kelner. Postawił przed nimi zamówione dania, parujące, aromatyczne dzieła sztuki kulinarnej.

- Dziękuję - mruknęli oboje, po czym podniósłszy widelce udawali, że jedzą, ale dłubali tylko w potrawach.

- Wiesz, jak ważna była dla mnie zawsze rodzina - ciągnęła Lee pełnym bólu głosem. - Wiele trudu włożyłam w to, żeby po śmierci Billa nie rozpadła się. Rodzice zawsze mi w tym pomagali, a Sylvia i ja byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami. Kiedy otworzyliśmy sklep,

radziłyśmy sobie tak dobrze, że nawet moja mama nie mogła w to uwierzyć. A teraz... -  
Wzruszyła ramionami. - Teraz to wszystko się rozlatuje.

- I dlatego mnie odtrącasz.

- Nie ujmuj tego w ten sposób.

- Ale to prawda. Sądziłem, że nasz związek coś znaczy, a ty chcesz mnie skreślić, bo twoja rodzina mnie nie aprobuje. Jak według ciebie mam się czuć?

- Mnie też to boli, Christopherze.

Chris wbił oczy w nocny krajobraz, który rozpościerał się za oknem. W miarę obrotu restauracji, sylwetkę dalekiego Minneapolis zastąpiła ciemna wstęga rzeki. Przestał udawać, że je i siedział nieruchomo, trzymając w palcach nóżkę kieliszka z wodą. W końcu ponownie spojrzał na Lee.

- Nigdy nie powiedziałem ani słowa przeciwko twojej rodzinie. Sądzę, że pomimo tego co ci teraz robią, to dobrzy ludzie. Ale jedynym powodem, dla którego skazują mnie na potępienie, jest mój wiek. Naprawdę wierzę, że uważają mnie za przyzwoitego, prawego, godnego szacunku gościa, który przez resztę życia będzie cię traktował jak najlepiej. Ale mam tylko trzydzieści lat, a ty masz czterdzieści pięć, więc mówią, że oszalałaś, że to nie przetrwa. Nabijają ci głowę tymi wszystkimi bzdurami! To takie cholernie niesprawiedliwe. Robisz błąd, ustępując pod ich naciskiem.

- Być może, ale na razie tak właśnie musi być.

- Na razie? Co to znaczy?

Lee wzięła głęboki oddech, po czym wypowiedziała słowa, które łamały jej serce: -  
To znaczy, że przez jakiś czas nie powinniśmy się widywać.

Chris znieruchomiał, jakby poraziła go siła tych słów. Oboje wiedzieli, że „przez jakiś czas” może oznaczać „nigdy”.

Skoro jej rodzina nie aprobowала tego teraz, to czyż można było liczyć, że w przyszłości zmieni zdanie?

Zacisnął zęby i ponownie wpatrzył się w odległe światła z twarzą skamieniałą w pełną rozpacz maskę.

- Proszę cię, Christopherze, nie patrz tak. Ja też chciałabym, żeby było inaczej.

On jednak nadal siedział zadumany. Ich kolacja zastygała na talerzach w zimne bryły. W końcu Chris zdjął z kolan serwetkę, poskładał ją i położył obok swego talerza.

- No cóż - powiedział, nie patrząc na Lee - jeśli to ma być koniec, zakończmy to bez przykrych słów. Nie ma sensu, żebym był jeszcze jedną osobą, która przysparza ci problemów. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, Lee, to możemy już iść. Nie bardzo jestem

głodny.

Podróż z centrum St. Paul do Anoki zajęła im pół godziny. Przez całą drogę Chris był przesadnie troskliwy, w szatni pomógł jej włożyć płaszcz, w drodze do furgonetki podał jej ramię, otworzył drzwi samochodu i zamknął je za nią. Cały czas skrupulatnie przestrzegał ograniczeń prędkości, prowadził idealnie, przed czerwonymi światłami zwalniał tak łagodnie, że Lee nie czuła prawie, kiedy się zatrzymywali. Włączył radio, ustawiając je na umiarkowaną głośność, ustawił ogrzewanie tak, że dmuchało jej w stopy, na każdym zakręcie uruchamiał kierunkowskazy.

Przez cały czas miała wrażenie, że w piersiach nadyma się jej balon, naciskając na płuca, wypierając z nich powietrze tak bezlitośnie, że zaczynało go jej brakować.

Bolało ją serce.

Piekły oczy.

Jej gardło przypominało zawiązany na supeł wąż ogrodowy. Gdyby ją błagał, wściekał się, prowadził jak wariat. Nie, on zachowywał tę doskonałą, stoicką kontrolę nad samym sobą.

Pod jej domem pozostawił silnik na jałowym biegu, po czym obszedł maskę, aby otworzyć drzwi furgonetki, podał jej rękę, kiedy z pewnym trudem wysiadła z wysokiego auta w swoich butach na obcasach. W końcu podał jej ramię, odprowadził ją po oblodzonym chodniku do drzwi wejściowych.

Lee zatrzymała się, rozdarła z powodu swojej decyzji. Już w tej chwili była pełna bólu; wiedziała, że po jego odjeździe zatrzśnie się wokół niej pustka. Przed domem nie paliły się światła, tylko wieczorny wiatr krążył wokół ich kostek. Zleżały śnieg zdążył już poszarzeć, okrywał podwórko wokół nich niczym ciemny, sfilcowany koc. W powietrzu wisiała chłodna wilgoć, która przenikała ubrania i skórę, zdając się dochodzić do samego serca.

Chris ujął jej dłonie w rękawiczkach. Stali rozdzieleni sześcioma calami przestrzeni, ze spuszczonej głowami, wpatrując się w ciemny betonowy chodnik u swych stóp.

Lee uniosła wzrok.

On zrobił to samo.

I w tej samej chwili, kiedy ich oczy się spotkały, jego samoopanowanie prysnęło jak bańka mydlana. Przycisnął ją do siebie z całych sił i pocałował, a pocałunek ten wyrażał całą udrękę, jaką sprawiało mu to rozstanie. Była w nim miłość, opętanie i ból. Obarczał ją winą, mówił jej bez żadnych niepotrzebnych słów, jak bardzo będzie cierpiał, gdy odejdzie.

Równie nagle jak wziął ją w ramiona, odsunął ją od siebie i rzekł: - Nie będę do ciebie

dzwonił. Jeśli zechcesz mnie zobaczyć, wiesz, gdzie mnie szukać.

Odwrocił się gwałtownie, po czym zeskoczywszy z obu stopni jednym susem, pomaszerował w stronę samochodu.

Zdarzało się jej już tak płakać. Trzy razy w życiu płakała aż tak, więc wiedziała, że i tym razem to przetrwa. To było równie gwałtowne, tak samo zżerało i pozbawiało sił jak wtedy, kiedy umarł jej maleńki Grant... i Bill... i Greg. Z tą tylko różnicą, że tym razem wybrała to sama.

Ale jakiegoż innego wyboru mogła dokonać?

Była kobietą nie nawykłą do sytuacji bez wyjścia, więc to pytanie, raz po raz przelatujące przez jej myśli, wydawało się jej obce. Pojawiło się też i inne: Jak ludzie, którzy cię kochają, mogą narażać cię na takie piekło?

Wciąż na nowo przeżywała pożegnalny pocałunek, wciąż na nowo widziała, jak Christopher odwraca się i spieszenie odchodzi, słyszała gniewny trzask drzwi jego furgonetki, patrzyła, jak odjeżdża niczym wiatr, z piskiem opon, z rykiem silnika, przyspieszając tak gwałtownie, że tył jego samochodu zarzucił, uderzył w stertę śniegu po drugiej stronie ulicy, odbił się od niej i wrócił na środek jezdni. Radio w furgonetce grało tak głośno, że nawet przez zasunięte szyby słysząc było jego dudnienie. Na pobliskim skrzyżowaniu minął znak stop, nawet nie zwalniając. Christopher!

Policjant.

Wyznawca i strażnik prawa.

Mężczyzna, któremu właśnie złamała serce.

A teraz ona, sama ze złamanym sercem, leżała w łóżku bezwładnie, jakby wyskoczyła z okna dziesiątego piętra, łkając tak głośno, że aż jej syn obudził się i uchylił drzwi jej pokoju.

- Mamo?... Mamo?... - szepnęła z przerażeniem. - Co się stało, mamo?

Nie mogła mu odpowiedzieć, nie chciała odpowiedzieć. Łkała nadal, pozwalając Joeyowi martwić się i zastanawiać - jakąż nędzną, jakąż bezmyślną była matka.

Wylewała z siebie łzy zawiedzionej miłości, całym jej ciałem wstrząsało spazmatyczne, zabójcze łkanie, czuła tak straszny żal, że nie wiedziała, jak przetrwa samotne dni bez Chrisa. Kto teraz zadzwoni, by zapytać, jak minął dzień? Kto stanie u jej drzwi z ciastem, kto zaprosi ją na spacer albo na kupowanie choinki? Kto ją będzie obejmował, gdy zapragnie bliskości, kto ją zrozumie, gdy będzie się chciała wypłakać, kto przyjdzie śmiać się wraz z nią w chwilach szczęścia?

Leżała wyciągnięta na boku, apatyczna, bezwładna. Nie była w stanie nic zrobić,

choćby wstać i wziąć następne pudełko chusteczek, przykryć się, zdjąć ubranie i biżuterię.

Tętniło jej w skroniach, bolały ją oczy, czuła pieczenie w nosie. Ilekroć westchnęła, zaczynała drżeć.

Nie chcę już więcej płakać. Proszę, nie pozwól mi już płakać.

Kiedy, podnosząc z wysiłkiem głowę, po raz ostatni spojrzała na zegarek, była czwarta trzydzieści cztery.

Obudziła się trzynaste po dziesiątej. Kiedy zobaczyła, jak jest późno, usiadła gwałtownie na łóżku. Już od ponad godziny powinna być w pracy! Zdołała wstać, potem znowu usiadła, trzymając się za obolałą głowę. Prześcieradło na łóżku było sfałdowane niczym plastyczna mapa. Poszewka poduszki wymagała prania. Na podłodze leżała sterta przemokniętych chusteczek.

O Boże.

Boże.

Boże!!!

Pozwól mi przetrwać ten dzień. Jutro będzie już lepiej.

Kiedy zmusiła się, by wstać i zaczęła człapać po pokoju, ktoś do niej zapukał. Odwróciła się zaskoczona, akurat w chwili gdy Joey otworzył drzwi.

- Mamo, nic ci nie jest? - zapytał niepewnie.

- Joey, co ty robisz w domu? Nie jesteś w szkole?

- Nie poszedłem dzisiaj.

Lee wyglądała żałośnie, wciąż miała na sobie rzeczy z poprzedniego wieczoru, wymięte i ponaciągane - spódnicę, bluzkę, pończochy, sweter, w ogóle wszystko. Nagle zrozumiała, jak bardzo musiała go wystraszyć.

Zamknęła oczy, przyłożyła dłoń do czoła i próbowała zatrzymać grzechot, który rozlegał się w jej głowie.

- Mamo, co się stało?

Miała wrażenie, że chłopak stoi o ćwierć mili od niej. Dobrnęła do niego i objęła go lekko.

- Christopher i ja zerwaliśmy ze sobą wczoraj wieczorem.

- Dlaczego? - zapytał niewinnie Joey.

To proste pytanie sprawiło, że znowu zaczęła płakać. Słone łzy zapiekły ją pod obrzmiałymi powiekami.

- Wszyscy zaczęli się przy chrzaniąc, oto dlaczego! - powiedziała zadziornie. - A to takie niesprawiedliwe i ja... i... - I na nowo zaczęła beczeć. Zawisła na ramionach Joeya,

pokazując mu, jak zachowuje się dziewczyna, kiedy utraci chłopaka. Zawodziła niczym wiatr w dziurze po sęku. Peszyło ją to ale nie potrafiła się powstrzymać. Boże wszechmogący, cóż ona wyprawia, wyplakuje się na ramieniu tego biednego dzieciaka? Będzie miał tego dość, kiedy skończy siedemnaście lat i zerwie ze swoją dziewczyną.

Joey objął ją niezgrabnie. - Już dobrze, mamó. Nie płacz. Masz jeszcze mnie.

- Och, Joey, tak mi przykro... przykro mi. Nie chciałam cię prze... estraszyć.

- Kurczę, pomyślałem, że to coś strasznego, że masz raka czy coś w tym rodzaju. Jeżeli to tylko Christopher, to możesz do niego po prostu zadzwonić i się z nim pogodzić. On cię naprawdę kocha, mamó, możesz mi wierzyć.

Lee odzyskała kontrolę nad sobą. Oderwała się od syna.

- Gdyby tylko to było takie proste - powiedziała, człapiąc w stronę łazienki. Zapaliła światło.

- O, bogowie - wymamrotała, zerknąwszy do lustra. Joey, który poszedł za nią, stanął właśnie w drzwiach.

- Słowo daję, wyglądasz jak nieboskie stworzenie.

- O rany, dzięki. - Lee odgarnęła z czoła te kilka pasm włosów, które nie sterczały jeszcze w górę jak łodygi dmuchawca. Nigdy nie przypuszczała, że twarz osoby, której nikt nie pobił, może mieć takie kolory.

- Nie sądzisz, że powinnaś zadzwonić do sklepu i powiedzieć cioci Sylvii, dlaczego się spóźniasz?

- Nie powiem jej ani jednego cholernego słowa - oświadczyła Lee bezbarwnym głosem - poza tym, że dziś nie przychodzę. Jak się jej nie podoba, to niech sobie przeżuje zwiędłą gladiolę. A co z tobą? Chyba lepiej zadzwonię do szkoły i powiem im, że przywiozę cię trochę później?

- Mógłbym dziś nie iść, mamó?

Te słowa przykuły jej uwagę. Oderwała się od lustra, spoglądając na syna, który nadal stał w drzwiach łazienki. - Nie iść?

- Chodźmy oboje na wagary - zaproponował. - Moglibyśmy pomyśleć o jakiejś rozrywce.

Na brzegach czarnej chmury rozpacz z wczorajszego wieczoru zaczynały się pokazywać jaśniejsze pasma.

- To znaczy, że chcesz spędzić dzień wałęsając się ze starą babą, która ma purpurowe wzory na twarzy i oczy jak krowie bebechy?

- Tak - powiedział z łobuzerskim uśmiechem. - To może być fajne. Podszedłszy do

niego, oparła się o ścianę łazienki, z ręką na biodrze: - Co będziemy robić?

Joey wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Moglibyśmy... - pomyślał przez chwilę, po czym dokończył beztrąsko - ... pograć sobie trochę w salonie wideo albo zrobić zakupy na Promenadzie Amerykańskiej. A co powiesz na to, żebyśmy zjedli gdzieś śniadanie, a potem poszli na jakiś poranek. Ja mogę poprowadzić.

Żołądek Lee zaczął się lekko trząść; drżenie podchodziło coraz wyżej, aż wypłynęło na twarz w postaci uśmiechu.

- A więc to o to ci chodziło?

- Właściwie to dopiero przed chwilą o tym pomyślałem, ale cały ten program wydaje się lepszy niż pójście do szkoły.

Lee odepchnęła się od ściany i niespodziewanie pocałowała syna w czoło. - Dobrze, więc mamy plan. Daj mi pół godziny na doprowadzenie się do porządku i możemy ruszać.

Postanowili, że kolejno będą decydować, co robić. Zaczęli od salonu Circus, gdzie w różnych maszynach zostawili całe trzynaście dolarów i pięćdziesiąt centów, grając dopóty, dopóki Lee nie przegoniła syna na Dopalaczu. Następnie zatrzymali się w Dairy Queen Brazier, aby zjeść hamburgery, frytki i deser bananowy. Potem pojechali do St. Paul, do sklepu Joe's Sporting Goods, zajrzeć na wyprzedaż nart, która odbywała się tam przed końcem sezonu, a stamtąd do Instytutu Sztuki w Minneapolis, gdzie uznali, że najbardziej podobają im się artyści holenderscy.

Ten dzień stał się jedną z tych pamiętnych kart w księdze życia, do której mieli w przyszłości wracać wiele razy. To było coś, czego nigdy dotąd nie robili - byli na wagarach. Lee wychowywała swe dzieci zgodnie z zasadami starej, dobrej etyki Środkowego Zachodu, lecz to jednorazowe ich odrzucenie związało ją z synem bardziej niż wszelkie rodzicielskie reprimendy.

Joey opowiadał o swojej dziewczynie, Sandy. Mówił o tym, jak bardzo jest miła i przyznał, że zaczyna w sobie zauważać „te uczucia”.

Lee, w bardzo podobnym tonie, mówiła o Christopherze.

Joey stwierdził, że naprawdę lubi swojego nauczyciela matematyki, pana Ingrama. Wspomniał, że myśli o tym, aby w liceum zapisać się na geometrię i trygonometrię, bo pan Ingram powiedział mu, że ma do tego talent.

Rozmawiali o przyszłej pracy Joey a.

- Nie chcę być gliną - oświadczył chłopiec.

Te słowa przypomniały im o Gregu. Zaczęli mówić o tym, jak dobrze dają sobie radę

ze swym żalem i o rzeczach, które wciąż im go przypominają.

Joey zapytał ją, czy kiedykolwiek robiła coś takiego - czy chodziła na wagary - z Janice albo z Gregiem. Odparła, że nie, po śmierci taty była zbyt zajęta, uczyła się, otwierała firmę, potem martwiła się, że każda godzina spędzona poza kwiaciarnią może ją doprowadzić do upadku.

Wtedy Joey oświadczył, że woli ją taką.

- To znaczy jaką? - zapytała.

Wzruszył ramionami, po czym stwierdził: - No, nie wiem. Jesteś po prostu... szczęśliwsza, luźniejsza. To znaczy, sama to przed chwilą powiedziałaś. Rok temu nie pozwoliłabyś mi opuścić szkoły. Wsadziłabyś mnie do auta i zawiozła tam, a wtedy nie mielibyśmy tej całej frajdy. Bardzo się zmieniłaś, odkąd pojawił się Christopher.

- Czyżby? - zapytała ze smutkiem.

- No, a tobie nie wydaje się, że tak jest?

Czy to Christopher ją zmienił? Śmierć Grega? A może po prostu stała się starsza i mądrzejsza?

- Cóż, synu - powiedziała, obejmując go ramieniem - to był diabelny rok. Nikt nie przechodzi tego, co my przeszliśmy, nie zmieniając się wcale. W każdym razie cieszę się, że wolisz mnie taką.

Przechodzili właśnie obok marmurowej rzeźby zatytułowanej „Dama w welonie”, kiedy Joey zatrzymał się i spojrzał matce prosto w twarz.

- Nie pozwól im, mamó, żeby ci go zabrały. To znaczy babci, cioci Sylvii i Janice. Wiem, że one opowiadały ci różne rzeczy, ale myślę, że powinnaś wyjść za Chrisa.

Lee patrzyła na posąg, zastanawiając się jak można wyrzeźbić w kamieniu zasłoniętą welonem twarz. A jednak tak było, w twardym, białym marmurze wyraźnie widać było i twarz, i welon.

Odwróciwszy się do syna, wzięła go w ramiona. Przechodzący w pobliżu ludzie przyglądali się im ciekawie, lecz Joey był już na tyle dorosły, aby publiczne okazywanie uczuć przez matkę przyjąć bez uników.

- Chcę tego, Joey, bardzo chcę. Ale to wywołuje tyle rozdzwięków w naszej rodzinie.

- Kurczę blade, co oni wiedzą?

Jego niezgrabne poparcie podniosło ją na duchu. - Dziękuję ci, kochanie.

Puściła go. Ruszyli dalej długim korytarzem, jej kroki odbijały się echem, jego tenisówki popiskiwały na posadzce.

- To, co mi powiedziałaś, wiele dla mnie znaczy - powiedziała Lee. - Cały ten dzień



wiele dla mnie znaczy. Wczorajszej nocy nie wiedziałam, jak przetrwam kolejny dzień. Myślałam, że zupełnie wyschnę, że umrę bez Christophera, a tymczasem popatrz. Jestem tutaj, podziwiam tę galerię i przekonuję się, jak elastyczna jest ludzka dusza. Pomogłeś mi przeżyć pierwszy dzień, a skoro dałam sobie radę dzisiaj, to uda mi się i dalej.

- Więc nie będziesz się z nim więcej spotykać?

- Nie, nie będę. Szli dalej.

On spojrzał na obraz po lewej.

Ona popatrzyła na malowidło po prawej.

- Wiesz co myślę, mamó?

Pytanie odbiło się do wysokiego sklepienia, pod którym szli, i powróciło do nich. Dłoń Lee zwieszała się z ramienia syna, który szedł z rękoma wbitymi w kieszenie rozpiętej zimowej kurtki.

Stuk... skrzyp... stuk... skrzyp... Jej pantofle i jego oklejone taśmą tenisówki wędrowały razem przed siebie.

- Myślę, że robisz wielki błąd.

Ta myśl powracała często w czasie wolno upływających dni, które nastąpiły po rozstaniu Christophera i Lee. Jakże ospale płynął czas, wyzbyty impetu, jaki dawało mu oczekiwanie na szczęście. Jak ciężkim brzemieniem była praca bez perspektywy milej rozrywki po jej zakończeniu. Jak bardzo dręczyła samotność w chwilach, które tak długo spędzało się z kimś innym.

Zjedli razem tak wiele posiłków, wysłuchali tylu piosenek w radio, tak często bywali w swoich domach, korzystali ze swych łazienek, szczotek do włosów, sztuców, zaglądali nawzajem do swych lodówek.

Pamiętki zostały wszędzie.

Obok jej telefonu Chris zostawił policyjny długopis ze słowami: „NAGŁY PRZYPADEK? DZWOŃ pod 911”. Lee czuła się, jakby szukając sensu pośród wirów życia, co dzień zmagając się z nagłymi wypadkami. Nie było wieczoru, żeby nie musiała walczyć sama z sobą; tak bardzo chciała do niego zadzwonić, jak radził długopis.

Gotując, przypomniała sobie, że Chris bardzo lubił przyrządzane przez nią dania. Prażoną kukurydzę. Chińskie potrawy. Spaghetti z klopsikami. Jedząc kolację tylko w towarzystwie Joeya, myślała o tym, że już za trzy lata jej młodszy syn ukończy liceum. Co dalej? Czy potem zawsze będzie jadła samotnie?

Któregoś dnia odwróciła ozdobioną kwiatkami kartkę, którą Chris napisał, gdy kiedyś wpadł podczas służby. Wiadomość brzmiała; Tereny targowe w Anoce - system alarmowy.

Kazano mu akurat sprawdzić jakiś budynek. Na pożegnanie musnął jej usta pocałunkiem, po czym wyszedł, przepaszając, że nie może zostać dłużej.

Pewnego wieczoru, kiedy otworzyła schowek na rękawiczki, znalazła małą, nocną latarkę, którą kupił i włożył tam, karcąc ją za zbytnią ufność i tłumacząc, że powinna bardziej się pilnować.

Czasopismo w pokoju dziennym leżało otwarte na artykule, który czytał, kiedy po raz ostatni na nią czekał.

Pralka rozchytała się znowu. Lee była bliska łez, ale w końcu poddała się i poprosiła sąsiada, Jima Clementa, aby przyszedł ją wypoziomować. Kiedy otworzyła drzwiczki kredensu, znalazła wazon, w którym przysłał jej róże z konkurencyjnej kwiaciarni.

Niezliczoną ilość razy dziennie przed oknem jej sklepu przejeżdżały czarnobiałe samochody policji miasta Anoka. Nie zdarzyło się, aby spojrzęła na któryś bez ucisku w sercu. Potem przez resztę dnia czuła tęsknotę i pustkę.

Ale najgorsze były noce, kiedy leżała samotnie w łóżku, tęskniąc za nim i ciałem, i duszą, zastanawiając się, ile dobrych szczęśliwych lat odrzuciła i obwiniając samą siebie za to, że zmarnowała je tylko po to, by uspokoić swoją rodzinę. Co wieczór o jedenastej toczyła ze sobą bój, żeby nie podnieść słuchawki i nie powiedzieć: - Cześć, jak ci leci? Jak minął dzień? Kiedy cię zobaczę? - Pewnej nocy naprawdę ją podniosła, wybrała numer, lecz po pierwszym dzwonku odłożyła, zwinęła się w kłębek i zaczęła płakać.

Próbowała ukrywać przygnębienie przed Joeyem, ale ono wiło się w niej jak pasożyt, wysysając jej dawną radość życia. Nie umiała się cieszyć osiągnięciami syna ani codziennymi czynnościami, nie czuła zadowolenia pod koniec solidnie przepracowanego dnia, nie próbowała już odnajdywać jasnych stron zamiast ciemnych.

Nie, z chwilą odprawienia Christophera pozbyła się optymizmu, dobrego humoru, poczucia satysfakcji i szczęścia - wszystkich pozytywnych sił, które wiodły ją przez życie. Próbowała je odzyskać, lecz wszelkie próby okazywania dawnego ducha, jakie czyniła przez wzgląd na Joeya, wypadały, dobrze o tym wiedziała, żałośnie i fałszywie.

Bardzo podobnie było z Christopherem.

Dni bez niej biegły monotonnym, bezcelowym rytmem. Pracował. Ćwiczył na siłowni. Trenował na strzelnicy. Pojechał wymienić olej w explorerze. Zabrał Judda na film z Bruce'em Lee.

Do dnia, w którym skończyły mu się czyste mundury, nie zdawał sobie sprawy, że za wszelką cenę unika swego mieszkania, ze wszystkimi wspomnieniami, jakie w nim wywoływało. Jak dawno temu robił pranie? Kiedy ostatnio jadł u siebie? Kiedy rozsuwał

zasłony w pokoju dziennym?

W końcu zrobił to, co musiał.

Wyprał i wyprasował mundury. Odkurzył wykładziny. Podlał kwiatki. Zmienił pościel.

W prześcieradłach i poszwach wciąż jeszcze błąkał się jej zapach. Kosmetyki, kobieta, seks - kiedy pościel powędrowała do pralki, wraz z kłębami pary zaczęły unosić się wspomnienia.

Zostawiła w jego łazience emulsję do rąk. Stwierdziła, że on nigdy jej nie ma, więc kupiła buteleczkę do swych poplamionych, wiecznie szorstkich dłoni. Po ich rozstaniu otwierał czasem pojemniczki, aby wchłonąć zapach emulsji, jak alkoholik na odwyku, który odkorkowuje swój trunek, wącha go i zaczyna marzyć.

Były także inne pamiątki.

Pół pudełka prezerwatyw w łazience.

W lodówce jakiś napój o dziwnym smaku, który Lee kupiła pewnego razu pod wpływem impulsu, wyjaśniając, że nazwa była kusząca, więc musiała sprawdzić, jak to smakuje. Oranżada czekoladowo - wiśniowa. Przechowywał ją w nadziei, że kiedyś wróci i napije się jej, tak jak planowała. W samochodzie paczka papierowych chusteczek z okresu, gdy po raz ostatni miała katar.

W pokoju dziennym kanapa, na której po raz pierwszy położyli się obok siebie; podłoga, na której się kochali; radio nastawione na stację, której słuchali, kiedy to robili; rośliny, które pozwoliła mu zatrzymać po śmierci Grega, w doniczkach, do których tak często wsadzała palec, żeby sprawdzić, czy są podlane.

Usytuowanie jej sklepu za rogiem, tuż obok komisariatu, sprawiało, że niezliczoną ilość razy dziennie musiał obok niego przejeżdżać. Za każdym razem oglądał się przy tym w nadziei, że ją zobaczy w drzwiach lub za oknem. Lecz nigdy jej nie dostrzegł. Widział tylko kwiaty na wystawie albo klientów wchodzących przez drzwi.

Podczas tych późnozimowych dni samotność nabrała dla niego nowego znaczenia. Pewnego razu, kiedy kupował w drogerii dezodorant i żyletki, natknął się na stojaki z ozdobnymi kartkami. Przystanął, po czym kręcąc jednym z nich, wybrał kilka na chybił trafił i przeczytał, co było na nich napisane:

Kocham cię, bo...

Przykro mi...

Kiedy cię nie ma...

Targany sentymentalizmem czytał je kolejno, myśląc o tym, aby wysłać jej którąś.

Którąś? Do diabła, chciał jej wysłać dziesięć, tuzin, codziennie jedną; ich przesłania były tak trafne. Kochał ją, było mu przykro; kiedy jej nie było, z jego życia zniknęła wszelka radość.

Od ich zerwania minęło już blisko sześć tygodni, kiedy pewnego poniedziałkowego poranka Chris wybrał się do Gimnazjum Freda Moore'a, aby dostarczyć jakieś papiery policjantowi, który zajmował się szkołą. Zbliżając się do przeszklonego biura ujrzał, jak drzwi się otwierają i staje w nich Lee.

Zobaczyli się. Stanęli jak wryci. Serca podskoczyły im do gardeł. Policzki zapłonęły ogniem.

- Lee - wykrztusił Chris, kiedy drzwi zatrasnęły się za nią.

- Cześć, Christopherze. - Przycisnęła rękę do piersi, jakby nie mogła złapać tchu. Korytarze były puste i ciche, pierwsza lekcja już się zaczęła.

- Co ty tu robisz?

- Wyprałam w weekend spodenki gimnastyczne Joeya, no i oczywiście dziś rano zapomniałam ich zabrać, więc musiałam mu je podrzucić. A co ty tu robisz?

- Przywiozłem pewne dokumenty policjantowi łącznikowemu. Próbowali wymyślić coś jeszcze, ale żadne słowa nie miały znaczenia. Liczyło się tylko to, że znów patrzą sobie w oczy, mówiąc bez słów, że nic się nie zmieniło, że ból trwa nadal, tęsknota nie zniknęła. Stali twarzą w twarz, kradnąc te chwile, patrzyli na siebie pożądliwie i czuli, jak po tylu tygodniach odrętwienia ich serca znowu biją żywo.

Lee miała na sobie znajome rzeczy - dżinsową kurtkę, spod której wystawała lawendowa bluzka.

Chris prezentował się okazale w swym granatowym mundurze ze srebrnymi odznakami, ciasno zawiązanym krawatem i czapką z daszkiem.

Tkwili tak nieruchomo, z otwartymi ustami, odbijając się w lśniącej posadzce szkolnego korytarza. Czuli, jak kłębią się w nich uczucia. Żadne nie miało ochoty ruszyć w swoją stronę, ale przecież nie mogli stać tak wiecznie.

Chris otrząsnął się pierwszy. Przerzucił ciężar ciała na drugą nogę, trzymane w ręku papiery zwinął w rulon. - Jak tam... - Odchrząknął i zaczął od nowa: - Jak tam Joey?

- Świetnie.

- A pozostali?

- Och, wszyscy mają się doskonale. A co z Juddem?

- Te dokumenty dotyczą właśnie jego. - Machnął rulonem. - Sąd odebrał prawa jego rodzicom. Sądzę, że jest teraz znacznie szczęśliwszy. Jest w domu dziecka z czwórką innych dzieci, każde z nich pochodzi z innej grupy etnicznej.

- O, to dobrze. Cieszę się. Wiem, jak bardzo się martwiłeś. Zapadła cisza.

- To co porabiałaś ostatnio? - zapytał Chris po chwili.

Na jej twarzy błąkał się wyraz rozczarowania, była jak zahipnotyzowana. Zachowywała się tak, jakby zupełnie nie usłyszała jego pytania.

- Mój Boże, jak ja za tobą tęskniłam - wyznała szeptem.

- Ja też za tobą tęskniłem - powiedział ze smutkiem Chris.

- Co wieczór o jedenastej myślę o tym, żeby podnieść słuchawkę.

- Wystarczy, że to zrobisz.

- Wiem. Dlatego mi tak ciężko.

- Więc z twoją rodziną nic się nie zmieniło?

- Nie rozmawiam z nimi zbyt wiele.

- Aż tak źle?

Nie mogła zdobyć się na to, by przyznać, jak jest źle.

- Myślałem, że beze mnie ma być lepiej - rzekł Chirs.

- Wiem - szepnęła Lee. Tęsknota, niczym pole magnetyczne, tworzyła wokół nich spiralne kręgi.

- Bo ja... ja... - gdyby wypowiedziała choć jedno słowo więcej, wybuchnęłyby płaczem, więc przełknęła wszelkie wyjaśnienia.

- Nadal chodzi o wiek, prawda? To nie tylko oni, to także ty. Drzwi biura otworzyły się i wyszło stamtąd dwóch uczniów.

Gawędząc ze sobą, nieśli jakąś kartkę na tablicę ogłoszeń i taśmę samoprzylepną. Lee i Christopher odskoczyli od siebie, cofnęli się o krok, powiększając przestrzeń, która ich dzieliła.

Gdy głosy uczniów się oddaliły, Chris rzekł: - Słuchaj... muszę lecieć. Ktoś na to czeka. - Pomachał zwiniętymi w rulon papierami.

- Jasne - powiedziała Lee. - Poza tym to ani czas, ani miejsce.

Zrobił kolejny krok do tyłu. - Miło było cię zobaczyć. Za każdym razem gdy przejeżdżam obok twojego sklepu, mam nadzieję, że będziesz w oknie, ale... - Wzruszył ramionami, nie kończąc myśli.

- Christopherze... - Wyciągnęła rękę, jakby chciała go zatrzymać, lecz nie zrobiła tego.

Chris namacał za plecami uchwyt szklanych drzwi, przez które bez trudu mogło ich zobaczyć kilka pracujących wewnątrz osób. - Wystarczy, że zadzwonisz, Lee.

Z tymi słowy wszedł do środka, pozostawiając ją w pustym holu.

Wszelkie postępy, jakie zdołała poczynić, wymazało tych kilka minut, gdy patrzyła w

jego twarz, słuchała jego głosu. Przekonała się, że nadal jest udręczony tak samo jak ona. Tęsknota... miłosierny Boże, nigdy nie czuła tak potężnej tęsknoty, jak podczas tych kilku krótkich, ważnych chwil, kiedy zachowując stosowny dystans, stała naprzeciwko niego w korytarzu, z dudniącym sercem i krwią pulsującą w skroniach.

Następnego dnia, a nawet i kolejnego, wystarczyło, że przypomniła sobie o tym spotkaniu, a reagowała dokładnie tak samo: burzą uczuć, która kierowała wszystkie jej myśli ku sprawom seksu. Tak łatwo wywołał w niej tę reakcję. Wystarczyło, że wkroczył w jej świat, a wszystko stało się niezwykle.

Jednak w ciszy, jaka zwykle panowała w jej domu, pojawiło się dojmujące uczucie zawodu.

Znowu zaczęła popłakiwać, nie słuchała, kiedy Joey mówił coś do niej, często wzdychała, a domowe obowiązki nie bardzo ją obchodziły.

W sklepie zaś ta niepewna zgoda, jaka zaczynała się rysować pomiędzy nią a Sylvią, legła pewnego dnia w gruzach. Lee liczyła akurat żonkile w wielkim białym wiadrze, kiedy jej siostra podeszła ze słowami:

- Wiesz, Barry poznał w swoim biurze mężczyznę, mniej więcej w twoim wieku, i...

- Nie, dziękuję.

- Nie pozwolisz mi nawet dokończyć?

- A po co? Żebyś mnie mogła umówić z tym facetem i przestać się wstydzić tego, co zrobiłaś Christopherowi i mnie?

- Wcale się tego nie wstydzę.

Lee spojrzała siostrze prosto w oczy. - A powinnaś. Gdyby nie ty, byłabym dziś mężatką.

Sylvia była na tyle przyzwoita, że się zarumieniła.

Spiąwszy gumką dwanaście żonkili, Lee przycięła ich końce i wstawiła do wody. - Zastanawiałam się, Sylvio, czy nie byłabyś zainteresowana odsprzedaniem mi swojej części firmy?

Usta jej siostry otworzyły się szeroko. - Lee, mój Boże, czy jest aż tak źle?

- Albo może ja mogłabym ci sprzedać swoją część, tylko że ja nadal potrzebuję stałych dochodów, a ponieważ Joeyowi zostały zaledwie trzy lata do matury, muszę pomyśleć o pomaganiu mu w college'u i o tym, żeby mieć jakieś zajęcie, kiedy on już opuści dom. Dlatego byłoby lepiej, gdybym to ja odkupiła twoją połowę, a nie odwrotnie.

Sylvia rzuciła się do przodu, dotykając dłoni siostry. Dłoń była mokra, tkwił w niej scyzoryk.

- Naprawdę tego chcesz, Lee?

Lee cofnęła dłoń, wracając do pracy. - Tak, chyba tak.

- No cóż, ale ja nie.

Żonkile były przycięte i powiązane w pęczki. Lee miała je zanieść do frontowej części sklepu. - Przemyśl to sobie.

Następnego dnia zadzwoniła jej matka. Najwyraźniej Sylvia zaalarmowała ją, opowiadając że Lee zaczyna się separować od rodziny.

- Lee, tato i ja zastanawialiśmy się, czy nie wpadłabyś do nas z Joeyem na obiad któregoś wieczoru w tym tygodniu.

- Nie, przykro mi, mam, nie wpadniemy. Oszłomiła Peg tak samo jak Sylvie.

- Ale...

- Mam, akurat coś robię. Nie mogę rozmawiać.

- Rozumiem. No cóż... zadzwoń kiedyś.

Lee nie odpowiedziała. Jakże wspaniale było stosować wobec matki jej własną taktykę.

Oczywiście Janice zadzwoniła także. Teraz było już jasne, że cała trójka konferuje ze sobą tak zajadle, że linie telefoniczne zaczynają dymić.

- Cześć, mam - powiedziała jej córka.

- Witaj, Janice - odparła chłodno Lee.

- Jak się czujesz?

- Samotnie.

Trzy punkty dla mnie, pomyślała Lee, czekając aż jej córka wymyśli odpowiedź.

- Mam, dzwoniła do mnie babcia. Powiedziała, że myślisz o tym, żeby zakończyć interesy z ciocią Sylwią. Nie możesz tego zrobić.

- Dlaczego?

- Bo... Bo tak wam dobrze idzie, i lubisz to, co robisz.

- Wiesz, Janice, kiedyś lubiłam. Ale jakoś mi się wydaje, że to już nie jest takie ważne.

- Ale jesteś w tym taka dobra.

- To także nie daje mi ostatnio zbyt wiele satysfakcji.

- Czy mogłybyśmy o tym porozmawiać, gdybym przyjechała na ten weekend do domu?

- Nie. To decyzja, którą chcę podjąć sama. A poza tym to będzie dość pracowity weekend. W sobotę pracuję, a w niedzielę po kościele jest kiermasz ciast. Po południu umówiłam się do kina z Donną Clements.

Raz jeszcze zaskoczyła swą córkę, nie zapraszając jej natychmiast do domu, choć w trakcie takiej wizyty mogłyby nareszcie zawrzeć pokój.

Lee stwierdziła, że nie chce pokoju. Gniew, który teraz czuła, ożywił ją. Odkąd zaczęła się ta cała sprawa nie było w niej tyle życia. Kiedy Janice odłożyła słuchawkę, Lee niemal widziała ją, jak stoi nieruchomo, z ręką na telefonie, wpatrzona w ścianę, dostrzegając że ścieżki ich życia zaczynają się rozchodzić.

A jednak w jakiś czas po owym emocjonalnym rozwodzie z trzema osobami, które dotąd znaczyły w jej życiu najwięcej, okazywany w ten sposób gniew, zaczął drażnić także ducha Lee.

W pracy stała się nieuprzejma.

W najmniej odpowiednich momentach zaczynała płakać.

Bywała niemiła w stosunku do Joeya, który na to absolutnie nie zasługiwał.

Pewnego wieczoru, po kolacji, wszedłszy do łazienki, chłopiec zobaczył, jak szorowała na czworakach muszlę klozetową. Ponieważ była odwrócona tyłem do drzwi, nie mógł widzieć, że płacze.

- Co robisz, mamó? - zapytał niewinnie.

- A na co to wygląda? - . odcięła się. - Nie widzisz, co robię? Szoruję sedes, który udaje ci się obsikać za każdym razem, kiedy tu wchodzisz! Nie pojmuję, dlaczego chłopcy nie potrafią trafić do takiej dużej dziury! A potem kobiety muszą to czyścić! Odejdź! Przeszkadzasz mi!

Cofając się, trąciła go w kostki. Joey odskoczył do tyłu.

- Ja to wyczyszczę, jeśli chcesz - powiedział, urażony jej nagłym atakiem.

- No pewnie, teraz to wyczyszczisz. Teraz, kiedy już ja to zrobiłam! Po prostu się wynieś!

Chłopak chyłkiem przemknął do swego pokoju, zamykając za sobą drzwi. Tego samego wieczoru, nieco później, usłyszał jak jego matka szlocha, tak samo jak wtedy, kiedy zerwała z Christopherem.

Następnego dnia w pracy zadzwonił telefon. Odebrała go Sylvia. - To Lloyd - wyjaśniła, kładąc słuchawkę na ladzie.

Lee wytarła ręce w fartuch. Poczuła, że wstępuje w nią nadzieja. Lloyd zawsze tak na nią działał, a już tak dawno go nie słyszała ani nie widziała. Kiedy podniosła słuchawkę, na jej twarzy malowało się zadowolenie, co wyczuwało się w jej głosie:

- Lloyd?

- Witaj, kochanie.



- Tak miło cię słyszeć.

- Jak tam dziś sprawy w tym twoim sklepie?

- Mamy mnóstwo narcyzów i wierzbowych bazi. Czy to znaczy, że już wiosna?

- Pewnie tak, bo podłapałem wiosenne przeziębienie. Czułem się tu trochę ostatnio jak więzień i zacząłem się zastanawiać, czy nie zechciałabyś rozjaśnić trochę życia samotnego, starego kawalera, wybierając się z nim na kolację?

- Dzisiaj?

- Tak właśnie myślałem. Zjadłem w tym tygodniu kilka posiłków w Centrum Seniora, a po nich można się tylko wyrzygać. Co byś powiedziała na piękny, tłusty, soczysty stek w winiarni?

- Och, Lloyd, to brzmi cudownie.

- Pomyślałem, że wpadłbym po ciebie o siódmej.

- Będę gotowa.

Odłożywszy słuchawkę, Lee zobaczyła, że Sylvia przygląda się jej ciekawie, ale nic jej nie wyjaśniła.

W winiarni Lloyd zamówił karafkę czerwonego wina. Kiedy kelnerka odeszła, napelniwszy uprzednio ich kieliszki, pociągnął łyk i rzekł: - Może przejdę od razu do rzeczy, Lee. - Jego zwięzły, rzeczowy ton przeszył ją chłodem. - Chodzi o Christophera Lalleka.

- Och nie, tato, ty także?

- Nie, nie. Ja nie - uspokoił ją, pochylając się do przodu z wyrazem ubawienia na twarzy. - Nie mam zamiaru powiększać szeregów tych pomylonych głupców, którym się wydaje, że mają prawo ci mówić, jak powinnaś żyć.

- Nie masz zamiaru?

- Najmniejszego. Przyszedłem tu, aby przemówić ci do rozsądku, ale nie chodzi mi o taki rozsądek, jaki oni mają na myśli. No więc, co to ma znaczyć? Słyszałem, że powiedziałaś Christopherowi, że nie chcesz się z nim więcej widywać.

- Pewnie Joey do ciebie zadzwonił.

- Prawdę mówiąc, dzwonił do mnie dość regularnie. Opowiadał mi, jak ciężko z tobą ostatnio żyć i o tym, że płaczesz sobie na dobranoc. Jakiś czas temu opowiedział mi o pewnej długiej rozmowie, którą odbyliście w trakcie zwiedzania galerii. Przy okazji - spędzając z nim dzień w ten sposób, sprawiłaś, że ten chłopak uważa, iż ma najwspanialszą mamę na świecie. Ale wracając do rzeczy - zerwałaś z Christopherem.

- Tak, zerwałam.

- Bardzo szlachetnie... i bardzo niemądrze, nie uważasz? Lee była zbyt oszołomiona,

aby odpowiedzieć.

Lloyd położył dłoń na jej dłoni. - Lee, kochanie, znam cię od dawna. Widywałem cię smutną i szczęśliwą, ale nigdy nie widziałem cię szczęśliwszej niż w ciągu kilku ostatnich miesięcy, kiedy spotykałaś się z tym młodym człowiekiem. Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że nie jestem pewien, czy kiedykolwiek widziałem cię tak szczęśliwą, gdy byłaś żoną mego syna. On na pewno wybaczy mi, że to mówię, bo wasze małżeństwo było udane i, Bóg mi świadkiem, w żaden sposób nie próbuję tego umniejszyć. Ale ten... ten młody Lochinwar przydał ci blasku, który razi oczy tych, którzy sami go nie posiadają. Możliwe, że część z nich czuje odrobinę zazdrości. - Puścił jej dłoń, pociągnął łyk wina, po czym z zamyśleniem wpatrzył się w kieliszek. - Nie jest łatwo tkwić w małżeństwie, które trwa dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści lat, patrząc jak ktoś w twoim wieku zakochuje się i znowu zaczyna wyglądać jak dojrzała brzoskwinia. Nie twierdzę, że twoja matka i siostra nie są zadowolone ze swoich związków. Chcę tylko powiedzieć, że nawet najlepsze stadło po jakimś czasie staje się odrobinę zleżałe i nieświeże. A co do mojej wnuczki... To bardzo łatwo zrozumieć. Była oczywiście wściekła, kiedy zaćmiła ją własna matka. Ale nie pozwól, żeby któraś z nich wyperswadowała ci twoje szczęście. Ciężko na nie zapracowałaś. Wychowałaś te dzieci, po śmierci Billa dałaś im dziewięć dobrych lat i przez ten czas prawie nie myślałaś o sobie. Kiedy zaczęłaś umawiać się z Christopherem, po raz pierwszy postawiłaś siebie przed nimi, a był na to - wybaczyć, że to mówię - już najwyższy czas. Wiesz, dzieci potrafią stać się samolubne. Można dać im z siebie tyle, że zaczynają uważać, iż należy im się wszystko.

- Ostatnio nie dawałam im za wiele - przyznała Lee.

- To sprawa chwilowa. To dlatego, że gdy się nie jest szczęśliwym, nie ma się zbyt wiele do ofiarowania. No i co masz zamiar z tym zrobić?

- Nie wiem.

- Nie sądzisz, że nadszedł czas, aby się im przeciwstawić? Wszystkim: twojej matce, siostrze i córce.

- Sądziłam, że właśnie to robię.

- Nie. Ty postępujesz jak dziecko, które chce zrobić mamie na złość, odmrażając sobie uszy. A powinnaś iść do tego mężczyzny, którego kochasz i powiedzieć mu, że za niego wyjdiesz. A cała reszta niech sobie żuje zwiędłą gladiolę. Chyba tak właśnie mawiasz, prawda?

Lee zaśmiała się mimowolnie. Kelnerka przyniosła sałatki, a Lloyd natychmiast zagłębił w swojej widelec, prawie nie przerywając monologu.

- Przyszła mi do głowy jeszcze jedna myśl i - jak sądzę - od tamtego wieczoru. , kiedy

opowiedział mi o awanturze wywołanej przez te głupie baby, zdążyłem ją gruntownie rozważyć. Mam wrażenie, że Bill, gdyby mógł, dałby ci swoje błogosławieństwo. Chciałby, żebyś była szczęśliwa. W końcu jesteś matką jego dzieci. Jeśli ty będziesz szczęśliwa, one koniec końców także będą szczęśliwe.

- Naprawdę tak uważasz, tato?

- Tak uważam.

- Mama zasugerowała, że zadając się z Christopherem, jestem nielojalna wobec Bil Ja.

Lloyd pokręcił tylko głową. - Słowo daję, ta kobieta... Ona chce dobrze, ale czasem mam ochotę kopnąć ją w tyłek. Matki mają... sama wiesz. Mają to swoje wyobrażenie, co jest dobre dla ich pociech, a kiedy to się nie sprawdza, potrafią być bardzo gwałtowne. Wmawiają sobie, że robią to dla swoich córek, ale tak naprawdę chcą po prostu postawić na swoim.

- Och, Lloyd, nie potrafię ci powiedzieć, jaka to ulga słyszeć te słowa od ciebie.

- Mówię, co myślę. Tak naprawdę nie należę do twojej rodziny, więc mogę podchodzić do tego wszystkiego o wiele bardziej bezstronnie niż oni. A teraz zjedz swoją sałatkę i przestań na mnie patrzeć, jakbyś chciała mi się rzucić na szyję, bo ludzie gotowi pomyśleć, że to ja deprawuję nieletnich.

- Lloydzie Reston - powiedziała Lee, uśmiechając się ciepło do niego - jesteś najdroższym, najrozsądniejszym, najukochańszym człowiekiem na świecie.

- No, prawie, ale niezupełnie „naj”. Sądzę, że pierwsze miejsce należy się temu gościowi, którego kochasz. Kręciłem się koło was na tyle często, żeby zauważyć, jak bardzo się nawzajem szanujecie i podziwiacie, jak diabelną frajdę sprawia wam przebywanie w swoim towarzystwie.

- Tak właśnie jest.

- Więc jeśli wolno mi być tak bezczelnym... rozumiem, że wasz romans ma też charakter seksualny. No cóż, Lee, okaż więcej siły. Prawdopodobnie właśnie to im tak doskwiera. Wybacz, że to mówię, ale w ciągu tych wszystkich lat odkąd ich znam, tylko jeden jedyny raz widziałem jak twoja siostra dotyka swego męża. To było na jakimś wspólnym pikniku, spadł mu na kark kleszcz, a ona mu go zdjęła. Co do twoich rodziców, no cóż, nie będę wygłaszał żadnych uwag na ich temat, lecz podejrzewam, zważywszy na wiek, że żądza nie ma w ich domu zbyt poczesnego miejsca. Uważam, że jeśli znalazłaś młodego, dziarskiego mężczyznę, który kocha cię z całej duszy i chciałby cię olśnić, daj mu się olśnić. A teraz jedz, no już.

Lee czuła się tak lekko, że miała wrażenie, iż za chwilę uniesie się z krzesła i uderzy w sufit.

- Czy mogę powiedzieć jeszcze tylko jedno? - zapytała.

- Byle szybko. W brzuchu mi burczy.

- Kocham cię.

Zerknąwszy na swą uszczęśliwioną synową, Lloyd odparł: - Tak, domyślałem się tego. Kręciłem się koło ciebie tak długo, że nie miałaś innego wyboru, jak mnie pokochać.

Wbił widelec w swoją cesarską sałatę. Ona rzuciła się na swoją.

Gdy wycierali usta lnianymi serwetkami, patrzyli na siebie znacząco, z konspiracyjnymi uśmiezkami.

## ROZDZIAŁ 19

Decyzję podjęła jeszcze zanim Lloyd dowiózł ją do domu, podjęła decyzję. Wystarczyło jego błogosławieństwo, żeby zrozumiała, jak bardzo się myliła odtrącając Christophera. Słowa Lloyd'a znaczyły więcej niż opinia całej reszty, bo jeśli on - ojciec jej pierwszego męża - mógł udzielić jej prawa do ponownego szukania szczęścia, to inni bez wątpienia także byli do tego zdolni.

Zanim wysiadła z samochodu, pocałowała go w policzek i poklepała w ramię. Potem pobiegnęła w stronę domu, krokiem tak lekkim, jakby unosiła się w powietrzu.

Z niecierpliwym biciem serca wykręciła numer mieszkania Christophera.

- Bądź w domu, bądź w domu - szeptała, ale zamiast Chrisa zgłosiła się automatyczna sekretarka.

Wiadomość, którą miała do przekazania, była zbyt doniosła, żeby zostawić ją na taśmie. Lee zadzwoniła do komisariatu.

- Pracuje na środkowej zmianie, pani Reston - wyjaśnił jej dyspozytor. - Kończy o jedenastej. Zerknęła na zegarek. Było po dziesiątej.

Nagle ruszyła pędem. Do łazienki, do wanny, z wanny w czyste rzeczy. Trzymaj się, Christopherze, już biegnę, myślała gorączkowo. O 10.45 weszła do pokoju Joeya i obudziła go.

- Hej, Joey?... Kochanie?

- Hm? Mama? Która to godzina? Chyba dopiero przed chwilą poszedłem spać.

- Zgadza się. - Lee usiadła na brzegu jego łóżka. Padające z za jej pleców światło z korytarza tworzyło na podłodze złocisty wachlarz.

- Jest dopiero za piętnaście jedenasta. Przepraszam, że cię budzę, ale wybieram się do Christophera. Chciałam tylko, żebyś wiedział, na wypadek gdybyś się obudził i mnie nie zastał.

- Do Christophera?

- Sądziłam, że nie masz nic przeciw temu.

- Nie, skądże. Tak trzymać, mam.

- Mogę późno wrócić, bo on dopiero teraz kończy pracę.

- Dziadek musiał ci dziś niezłych rzeczy nagadać.

- Owszem, nagadał. A ja mam zamiar zrobić to, co według niego i ciebie zrobić powinnam. Chcę wyjść za Chrisa.

- Naprawdę? - Mimo gęstego półmroku Lee dostrzegła łobuzerski uśmiech na twarzy

chłopca. - Jezu, mam, to wspaniale.

- Chcę mu to dzisiaj powiedzieć.

- Noo, w takim razie... może nie powinienem się ciebie spodziewać do rana. Lee pomyślała ze zdumieniem, że w ciągu jednego pokolenia społeczeństwo całkowicie zmieniło swój stosunek do seksu pozamałżeńskiego. Jej matka nie była w stanie zaakceptować nielegalnego romansu, natomiast Lee mogła siedzieć na łóżku swego syna, żartując z nim na ten temat.

- Obiecuję, że Wróczę, żeby przygotować ci śniadanie.

- Gofry? - zapytał Joey.

- Czy to szantaż? - Nienawidziła robienia gofrów, zajmowały zbyt wiele czasu.

- Kurczę, to nawet zapytać się dziecka nie wolno?

- No dobrze, gofry.

- Świeeeeetnie!

- Jestem ci winna więcej niż gofry, prawda?

- Och, mam...

- Tak jest. Jestem ci winna przeprosiny. Naprawdę mi przykro, że wtedy, kiedy wszedłeś do łazienki, tak się zachowałam. Nie miałam prawa na ciebie warczeć ani mówić tego, co powiedziałam. Wiem, że zrobiłam ci przykrość.

- No cóż, domyśliłem się dlaczego.

- I zadzwoniłeś do dziadka, żeby mu powiedzieć, że musi ze mną porozmawiać, tak?

- Przecież mnie byś nie posłuchała.

Poprawiła koce, którymi był przykryty, potem pochyliła się, przyciskając go do materaca. - Jesteś bardzo spostrzegawczym młodym człowiekiem, Joeyu Reston. Któregoś dnia będziesz dla jakiejś kobiety wyjątkowym mężem. - Cmoknęła go w policzek.

- I to wcale nie za długo. Właśnie poprosiłem Sandy o rękę, a ona się zgodziła. Może pochodzimy do szkoły jeszcze z rok i pobierzemy się.

Lee otworzyła usta ze zdumienia. Zanim jednak adrenalina zaczęła w niej szaleć, chłopak roześmiał się piskliwie, mówiąc: - Żartowałem tylko.

- O mój Boże... - Przyciągnęła rękę do serca. - Przestraszyłeś mnie na śmierć.

- Odpląciłem ci tylko za to, co powiedziałaś mi w łazience. Nie wydaje mi się, żeby gofry i przeprosiny wyrównały całkiem rachunki.

Stuknęła go w pierś kantem dłoni. - Ty nieznośny brzdącu.

- Taaa... , ale kochasz mnie, prawda?

- Kocham. - Wszystko w jej wnętrzu się śmiało. - Tak, bez wątplenia cię kocham. -

Przez chwilę siedziała na łóżku swego syna, czując jak ogarnia i unosi ją szczęście, jak wszystko wraca na swoje miejsce. - No, chyba już pójdę, żebym tam była, jak Christopher wróci do domu.

- Powiedz mu ode mnie: cześć. I powiedz mu, że jeśli mu życie miłe, powinien nauczyć się sikać do muszli tak, żeby nic nie skapnęło na podłogę.

- Josephie Reston!

- Dobranoc, mamó. Baw się dobrze.

- Poczekaj tylko na Prima Aprilis. Już ja coś dla ciebie wymyślę.

- Słuchaj, kobieto. Muszę się trochę przespać. Idę jutro do szkoły.

- Dobra, dobra, już idę.

Pocałowała go raz jeszcze i ruszyła w stronę drzwi. Kiedy już przy nich była, Joey powiedział: - Poważnie, mamó. Cieszę się.

Lee rzuciła mu uśmiech, po czym z lekkim sercem wyłączyła światło w holu.

Kiedy dotarła pod dom Christophera, było piętnaście po jedenastej. Podchodząc do jego drzwi, czuła jak wszystko w niej drży z oczekiwania. Było to tego rodzaju oczekiwanie, które czterdziestoparoletnia kobieta uważa za dawno minione - ten świeży, rozkwitający optymizm, który czuła po wyjściu za Billa, może nawet świeższy, bo miłość, którą czuła teraz, była tak zupełnie nieproszona. To nie Lee ją wybrała, to miłość wybrała ją. Jakaż była głupia, że pozwoliła swojej rodzinie okraść się z tego szczęścia, nawet na tak krótko. To było jej życie, tylko jej, a życie to nie próba kostiumowa. Ponieważ życie płynie tak szybko i tylko w jedną stronę, miała obowiązek wobec samej wycisnąć z niego tyle szczęścia, ile tylko zdoła. Christopher zaś był kluczem do tak wielkiej połaci tego szczęścia.

Zapukała do drzwi. Kiedy czekała, aż jej otworzy, miała pod powiekami jego obraz, a serce pełne pożądania. Po kilku sekundach po drugiej stronie drzwi rozległ się jego głos.

- Kto tam?

Zawsze policjant, zawsze ostrożny.

- Lee.

Szczęknięta zasława i drzwi otworzyły się, odpychając jego czarne, robocze buty na dywaniku. Chris stanął przed nią w samych skarpetkach, ciągle jeszcze w mundurze, z włosami, na których pozostał odcisnięty ślad czapki. W rękę trzymał żółty plastikowy pojemnik wołowej potrawy do odgrzewania w kuchence mikrofalowej, z którego wystawała łyżka. W mieszkaniu pachniało świeżo odgrzanym mięsem.

- A to ci niespodzianka.

- Bynajmniej. Tamtego dnia, w szkole, oboje zrozumieliśmy, że nie możemy żyć bez

siebie.

- Może ty zrozumiałaś, ale nie ja. Sądziłem, że już naprawdę po wszystkim. Uśmiechnęła się do niego nieprzytomnie, błędząc oczyma po jego włosach, kochanych, niebieskich oczach, aż po pełne wargi. - Funkcjonariuszu Lallek, czy zgodzi się pan, żebym weszła do środka i pocałowała pana?

Zdjęła buty, po czym bezceremonialnie objęła go i pocałowała. Chris odwzajemnił pocałunek, obejmując ją jedną ręką; w drugiej wciąż trzymał swój posiłek. Był to pocałunek pełen sentymentalnej słodyczy, raczej niespieszny niż nieopanowany. Lee tak wspaniale mieściła się pod jego pochyloną głową o schludnie przyciętych włosach. Całował ją z zamkniętymi oczyma, a jego wargi i język, ich kształt i dotyk, wydawały się jej tak znajome jak wnętrze własnych ust. Bez pośpiechu rozkoszowała się tym pocałunkiem, omywała go leniwymi pociągnięciami języka, które mówiły mu, jak głupią była kobietą. Gdy pocałunek dobiegł końca, stali dalej spokojnie, uśmiechając się do siebie.

- Mmm... co jesz?

- Beefaroni.

- To pyszne.

- Zjesz porcję? Mogę ci odgrzać.

- Hm - mm... Odgrzewane to już nie to samo. Ale może ty chcesz dokończyć swoje?

- Teraz, kiedy jesteś tutaj, nie za bardzo.

- Jednak zjedz. Popatrzę. Uśmiechnął się krzywo. - Popatrzysz?

Lee oparła przedramiona o jego kuloodporną kamizelkę. Objęła czubkiem palca wskazującego jego usta.

- Popatrzę jak to - mruknęła - zamyka się na łyżce, a potem porusza w czasie żucia. Tęskniłam za tym widokiem.

- My policjanci spotykamy różne zboczenia - zachichotał Chris.

- Jedz te twoje tanie kluski - poleciła mu wielkopańskim tonem. Christopher uwolnił rękę i zaczął energicznie machać łyżką, spoglądając na nią spod plastikowego kubka. Kiedy miał już pełne usta, Lee pocałowała go w wypchany policzek, który poruszał się w miarę żucia. Uśmiechnął się.

- Stęskniłaś się za mną czy jak? - zapytał, gdy udało mu się przełknąć.

- Mhm. Ale to nie dlatego chcę za ciebie wyjść. Wyjdę za ciebie, żebyś wypoziomowywał moją pralkę, kosił mój trawnik, odgarniał śnieg i tak dalej.

Łyżka zatrzymała się w pół drogi. Chris odchylił się, aby spojrzeć na nią z dystansu. - Chcesz za mnie wyjść?



- Tak, funkcjonariuszu Lallek. Mam zamiar z tobą uciec.

- Uciec?

- I to szybciej niż zdołasz powiedzieć: „Beefaroni mistrza Boyardee”.

- Poważnie?

- Mam dość ludzi, którzy mówią mi, co powinnam, a czego nie. Mam dość sypiania samotnie, jedzenia samotnie i patrzenia jak nocą, kiedy myślisz, że śpię i ciebie nie widzę, przejeżdżasz obok.

- Skąd o tym...

- Widziałam cię. Przejeżdżałeś tak w niedzielę o dziesiątej i w poniedziałek tuż przed zejściem ze służby, a także w wiele innych wieczorów.

- A dzisiaj?

- Nie było mnie w domu. Jadłam kolację z Lloydem, słuchając jego kazania. Potem, kiedy wróciłam do domu, wzięłam kąpiel, wyperfumowałam się pod kolanami, założyłam czystą bieliznę i powiedziałam Joeyowi, że wybieram się tutaj, aby ci się oświadczyć.

- Aż tak? Czysta bielizna? Gdzie się wyperfumowałaś?

- W tych wszystkich miejscach, gdzie dwoje będzie z tego miało większą przyjemność niż jedno.

- Masz, potrzyмай. - Wręczył jej pojemnik, po czym wziął ją na ręce i polecił: - Trzaśnij zasuwą.

Kiedy wykonała rozkaz, zaniósł ją do kuchni, gdzie nad stołem paliło się światło, a szuflada ze sztućcami była do połowy otwarta.

- Postaw to na szafce - powiedział.

Uwolniwszy się od pojemnika, Lee splotła mu dłonie na karku, a Chris zaniósł ją do sypialni. Gdy znalazła się nad łóżkiem, puścił jej kolana. Uklękła na materacu. Trzymając w dłoniach jej twarz, złożył na jej ustach pocałunek długi i powolny niczym rzeka, której leniwy nurt zapowiada bardzo długą podróż. Kiedy skończył, pozostali tuż przy sobie, owiewając się w ciemności oddechami, kierując swe serca wprost ku wspólnej przyszłości. Wraz z tą pełną powagi chwilą, beztroską, która towarzyszyła ich powitaniu, rozproszyła się z wolna.

- Christopher, przepraszam - szepnęła Lee. - Kochałam ciebie, a słuchałam ich, przepraszam.

- Życie bez ciebie było piekłem.

- Dla mnie również.

- Ale nie chciałem wchodzić pomiędzy ciebie a twoją rodzinę. Nadal nie chcę.

- Dzięki Lloydowi zrozumiałam, że to ich problem, a nie nasz. Jeśli mnie kochają,

zaakceptują cię. A przecież kochają mnie, wiem, że tak jest, więc chcę im dać jeszcze jedną szansę. Czy ożenisz się ze mną, Christopherze?

- Ożeniłbym się z tobą tu i teraz, gdybym tylko mógł.

- Nie żartowałam, kiedy mówiłam, że chcę z tobą uciec. Sądysz, że moglibyśmy to zrobić?

- Mówisz poważnie? - zapytał, znowu zaskoczony.

- Jak najbardziej. Nie dam nikomu okazji, żeby znowu na mnie wpływał. Chcę po prostu wsiąść w samolot i gdzieś polecieć. Powiem tylko Lloydowi, bo muszę go poprosić, żeby został w domu z Joeyem, kiedy nas tu nie będzie. Zawsze uważałam, że to takie romantyczne: wziąć ślub w ogrodzie. Sądysz, że moglibyśmy skorzystać z biletów do Longwood Garden, czy w Pensylwanii nadal jest zima?

- Obawiam się, że nadal. Ale na Południu jest już wiosna. Może tam uda się nam znaleźć jakieś miejsce.

- Och, Christopherze, mówisz poważnie? Naprawdę to zrobisz?

- Zbliży się mój urlop. Mogę porozmawiać z sierżantem i sprawdzić, co na to powie. Z takiego ważnego powodu będą może chcieli zmienić grafik.

- Och, to dobrze. Ale może teraz przestaniemy snuć plany i zdejmijemy z ciebie ten metalowy kaftanik. To takie paskudne.

Podczas gdy Chris zaczął rozluźniać krawat i rozpinać koszulę, Lee przeszła na kolanach na drugi koniec łóżka, gdzie opadła na kolana, aby zapalić lampkę. Pokój zalało światło, a ona wróciła do Chrisa. Zabrała się do spełniania tak bardzo miłych dla siebie powinności, pomagając mu uwolnić się od wszystkich atrybutów jego zawodu, który ich połączył. Kiedy tak się rozbierali, zastanawiała się nad tym, co tak często zaprzętało jej myśli - czy Greg o nich wie? Czy to możliwe, aby widząc jak oboje są szczęśliwi, uśmiechał się gdzieś spomiędzy niebiańskich wyżyn? Czy szczerząc zęby mówi: „Niezła robota, dziadku”? Czy gdzieś tam, w górze, znalazł swego braciszka, czy cieszy ich ta ziemską błogość, jaką ich matka odnalazła z najlepszym przyjacielem Grega?

Kiedy jednak zdjęli już z siebie wszystko, zakończyła te rozmyślenia i oboje, już objęci, padli na prześcieradło. Pędząc ku sobie, stali się oboje doskonałymi istotami, które sławiły nie tylko swe ciała, ale także swą miłość.

Dwa dni zajęło im znalezienie odpowiedniego ogrodu i poczynienie przygotowań. Trzeciego zaś, w czwartek, polecili do Mobile w stanie Alabama, gdzie wynajętym samochodem pojechali wprost do tamtejszego szpitala. Tam kazali sobie przeprowadzić badania krwi, a w cztery godziny później wyniki zawieźli do Sądu Okręgowego w Mobile, na

skrzyżowaniu ulic Government i Royal. Zapłacili za ślub i umówili się z niejakim Richardem Tarvernem Johnsonem z urzędu stanu cywilnego, że następnego ranka o jedenastej spotkają się z nim w pobliżu mostu spinającego dwa brzegi Jeziora Lustrzanego w Ogrodach Bellingrath.

Lee Reston nigdy jeszcze nie widziała azalii kwitnących w naturalnym środowisku. Zobaczyła je dopiero w dniu swojego ślubu - ponad 250000 krzewów, niektóre z nich ponad stuletnie. Miliony kwiatów, we wszystkich możliwych odcieniach różu, spływały kaskadami z gałęzi sięgających ponad jej głowę. Krzewy rosły wszędzie, okalały ścieżki, otaczały porośnięte mchem pnie wodnych dębów, odbijały się w sadzawkach, jeziorach i nurcie rzeki Isle - aux - Oies, nad brzegiem której wzniesiono posiadłość Bellingrath.

Ogrody zajmowały 800 akrów. Były pełne ażurowych altan, połyskujących fontann, bulgoczących kaskad, zielonych trawników oraz kwiatów... kwiatów, które były wszędzie. Kiedy szli na spotkanie z Johnsonem, Christopher musiał raz po raz przypominać Lee, że są umówieni, bo wciąż patrzyła dokoła; to na ogromne dęby, to na mieniące się wszystkimi barwami tulipany i żonkile rosnące wzdłuż ścieżek.

- Och, patrz - wołała. - Och, popatrz tylko. W życiu czegoś takiego nie widziałam. - Fala purpurowych hiacyntów zamieniała powietrze w ambrozię. - Powąchaj je, Christopherze! Pachną tak cudownie, że kręci mi się w głowie!

Pociągnął ją za rękę. - Chodź, najdroższa, ogrody zwiedzimy później. Nie chcemy przecież spóźnić się na nasz ślub.

Most nad Jeziorem Lustrzanym był wygięty w łuk, a jego poręcze wspierały się na drewnianych kratownicach. Za nim, na drugim brzegu, widać było ogródek skalny oraz letni domek, otoczony kolorowym kwieciami. Bliżej, po tej stronie mostu, czekał na nich Johnson, urzędnik stanu cywilnego okręgu Mobile. Był to typowy południowiec, co potwierdzał jego akcent. Miał czterdzieści parę lat, rzadziejące blond włosy oraz okulary, a uśmiech jaśniejący na jego twarzy, świadczył, że pan Johnson zdecydowanie przedkłada ukwieconą scenię Bellingrath nad przywodzące na myśl bibliotekę pomieszczenia sądu, w których zazwyczaj wykonywał swe obowiązki.

To on poprzedniego dnia pobierał od nich opłatę za ślub, toteż rozpoznał ich, kiedy się zbliżyli.

- Dzień dobry, panie Lallek, panno Reston. Cóż za piękny poranek na ślub.
- Dzień dobry, panie Johnson - odpowiedzieli mu jednocześnie.
- Te azalie robią wrażenie, słowo daję.
- Pani Reston jest właścicielką kwaciarni - powiedział Christopher. - Idąc przez

ogród, przystawała co chwilę i miałem duże trudności z doprowadzeniem jej tutaj.

Johnson zachichotał. - W takim miejscu każdy musi się zatrzymać. No cóż... czy możemy zaczynać?

Było ich tylko troje: Johnson w swoim służbowym garniturze, Lee w ciemnoszarej organdyńskiej sukience i pantoflach na wysokim obcasie, oraz Christopher w granatowym ubraniu z gardenią w klapie. Ich troje i para łabędzi na jeziorze za ich plecami, a w dali, nieco z boku, stadko flamingów w kolorach zachodzącego słońca, które brodziły w wodzie zajęte własnymi sprawami: jedzeniem lunchu i trawieniem go w pozycji na jednej nodze. Na rosnących nisko kwiatach, tuż nad jeziorem, odzywały się zięby, z góry zaś, z gałęzi wodnego dębu ponad ich głowami, odpowiadał im czasem wróbel albo gajówka.

Żadnych gości, których trzeba by rozsadzać.

Żadnych kręcących się po bokach dostawców.

Żadnej pompy ani ceremonii.

Tylko dwoje zakochanych ludzi, całkowicie odprężonych w dniu swojego ślubu.

- Możemy to zrobić tak, jak sobie państwo życzyacie - powiedział Johnson. - Jestem tu po to, aby nadać tej ceremonii charakter oficjalny. Mogę odczytać kilka słów z książki albo państwo powiecie to, co uznacie za stosowne.

Christopher i Lee spojrzeli na siebie. On miał w ręku jej aparat fotograficzny, ona lilię. Żadne z nich nie pomyślało dotąd o ceremonii. Tak naprawdę odbyła się ona tego wieczoru, kiedy postanowili to zrobić. Wtedy było ich tylko dwoje.

- Chciałbym powiedzieć coś sam - postanowił Christopher.

- Ja także.

- Doskonale - zgodził się z nimi Johnson. - Proszę powiedzieć, kiedy będziecie państwo gotowi.

Christopher odłożył aparat na trawę, po czym ujął obie dłonie Lee.

- A więc... - rzekł, lecz zaraz przerwał, aby się zastanowić. Spojrzawszy jej w oczy, wypuścił z płuc powietrze nieomal ze śmiechem, bo nie miał pojęcia, co powiedzieć. W końcu zaczął:

- Kocham cię, Lee. Kochałem cię wystarczająco długo, aby się przekonać, że czynisz mnie lepszym człowiekiem, i sądzę, że to ważne. Chcę z tobą być przez resztę życia. Przyrzekam, że będę ci wierny, że pomogę ci wychowywać Joeya i będę się o was oboje troszczył najlepiej jak potrafię. Przyrzekam, że będę dla ciebie dobry i zabiorę cię do tyłu ogrodów, ile tylko zdołamy zobaczyć do końca życia, że będę cię szanował i kochał aż do dnia mojej śmierci, co wcale nie przyjdzie mi z trudem. - Uśmiechnął się, a ona

odpowiedziała mu uśmiechem. - Och, jeszcze jedno, obiecuję szanować także twoją rodzinę, obiecuję, że na wszelkie możliwe sposoby postaram się im udowodnić, że to małżeństwo było właściwym wyborem dla nas obojga. - Przerwał, chcąc zebrać myśli. - Och, obrączka... - Wyjął ją z kieszeni. Nie był to ów pierścionek z wielkim kamieniem, który Chris usiłował dać jej wcześniej, tylko prosty, złoty krążek, odporny na codzienne obtłukiwanie, na które miał być narażony. Nie było na nim żadnych kamieni, z powodu których trzeba by go zostawiać w szufladzie toaletki.

- Kocham cię - powiedział, wsuwając jej obrączkę na palec. - Miałaś rację. Ten pierścionek jest znacznie lepszy, bo nigdy nie będziesz musiała go zdejmować. - Uśmiechnął się, patrząc jej głęboko w oczy, a potem rzekł do Johnsona: - To chyba wszystko.

Urzędnik skinął głową. - Panno Reston?

Lee popatrzyła na dłonie Christophera, które trzymała w swoich, potem uniosła wzrok ku jego twarzy. Czuła spokój, była bezgranicznie szczęśliwa.

- Byłeś dla mnie prawdziwym podarunkiem losu, Christopherze. Pojawiłeś się w moim życiu, kiedy najmniej się tego spodziewałam, w chwili gdy tak bardzo kogoś potrzebowałam. Nie miałam pojęcia, że się w tobie zakocham. Jakie to szczęście, że tak się stało. I będę cię kochać do końca naszych dni. Będę na ciebie czekać, gdy będziesz wracał wykończony z pracy. Wiem, że nie zawsze łatwo jest być żoną policjanta, lecz któż lepiej ode mnie wie, w co się pakuję? Obiecuję cię wspierać we wszystkich sprawach, których będziesz bronił, zwłaszcza dotyczących dzieci, bo jestem pewna, że Judd nie będzie ostatnim, któremu zastąpisz ojca. Zrobię dla nich wszystko, co będę mogła. Stworzę nam dom, który zawsze będzie otwarty dla twoich przyjaciół... i twojej rodziny, jeśli tak postanowisz. Pójdę z tobą do każdego ogrodu na tej planecie, do którego zechcesz mnie zabrać. - Uśmiechnęła się szeroko, zmuszając go, by odpowiedział tym samym, wkrótce jednak jej twarz spoważniała. - Jakoś te stare słowa są najlepsze... w chorobie i w zdrowiu, w dostatku i w biedzie, dopóki śmierć nas nie rozłączy. Tak właśnie cię kocham. Podaj mi drugą obrączkę - powiedziała łagodnie.

Chris wyjął z kieszeni obrączkę, a ona nasunęła mu ją na palec i ucałowała. Unosząc oczy ku jego twarzy, szepnęła: - Kocham cię, Christopherze.

- Kocham cię, Lee.

Pocałowali się. Za nimi, na tafli jeziora, para łabędzi podpłynęła do siebie, a w chwili gdy się mijaly ich głowy i szyje, ułożyły się w kształt serca, jak gdyby na przysięgi, które właśnie złożyli nowożeńcy, spłynęło błogosławieństwo.

- Ogłaszam - oświadczył pan Johnson - że stan Alabama uznaje to małżeństwo za prawomocne i legalne, co zostanie odnotowane w kartotece Sądu Okręgowego w Mobile.

Ceremonia dobiegła końca, lecz trwała tak krótko, że oboje nowożeńcy czuli się niepewnie, jak gdyby chcieli powiedzieć: Czyż nie powinno to zająć nieco więcej czasu?

Pan Johnson dopełnił jednak formalności: - Gratuluję państwu, państwo Lallek. - Uścisnął im dłonie, po czym dodał: - Gdybyście zechcieli państwo podpisać akt ślubu, to by było wszystko.

Kiedy oboje podpisali dokument, zrobił im zdjęcie aparatem Lee, a jeszcze później przechodzący obok turysta sfotografował ich troje.

- No cóż, życzę wam obojgu powodzenia - powiedział pan Johnson.

Pozostawił ich nad jeziorem. Patrząc sobie w oczy, chichotali oboje, bo pod pewnymi względami tych kilka oficjalnych słów, jakie wypowiedział, zakrawało na farsę. W końcu jednak śluby były sprawą serca, a nie dat i poświadczonych podpisów.

Kiedy odszedł, Christopher złapał rękę Lee i przycisnął do swego serca. - No, pani Lallek. Spróbujmy jeszcze raz.

Ten pocałunek widziały tylko łabędzie oraz kremowe chmury płynące po błękitnym, podbarwionym białą niebie. Trwał tak długo, że Lee, chcąc wreszcie zacząć zwiedzanie ogrodów, przerwała go pierwsza. Jako istota wyzbyta nieśmiałości, wyjaśniła mu to w sposób szczerzy: - Pocałujesz mnie później, Christopherze. Nie mogę się doczekać, aż zobaczę te kwiaty.

Przez pierwsze trzy godziny swojego małżeństwa krążyli po ogrodach, fotografując się nawzajem.

Noc poślubną spędzili w miejscu, które nazywało się Chatka Kerry, odrestaurowanej wozowni, położonej na terenach przedwojennej posiadłości o nazwie Sharrow. Właścicielka, niejaka pani Ramsey, szczupła matrona o końskiej twarzy i siwiejących, gładko przyczesanych włosach, oświadczyła, że zadzwoni i odwoła przyjazd swoich krewnych z Monroeville, którzy właśnie wybierali się do niej na noc. - Nigdy nie zapłacili mi nawet złamanego centa, a oczekują, że punktualnie o ósmej na stole będzie śniadanie. Kuzynka Grace może po prostu przyjechać innym razem. Dzisiejszej nocy wy, nowożeńcy, dostaniecie najlepszy pokój, jaki mam.

Usadziwszy ich w ogrodzie, pod głogiem, który ponoć został posadzony przez jej prapradziadka jeszcze przed wojną secesyjną, pani Ramsey podała im glazurowane kurczęta z korzenno - orzechowym nadzieniem. Gdy zapadł zmierzch, zapaliła na stole osłoniętą kloszem świecę, po czym przyniosła tort, pokryty kremem waniliowym, na którym wymalowała za pomocą czekoladowego syropu dwa splecione ze sobą serca. Położywszy dłonie na ramionach swych gości, powiedziała w zamyśleniu: - Oby wasze wspólne życie

było tak szczęśliwe, jak moje z pułkownikiem. - Nie wyjaśniła im wszakże, kim był ów pułkownik. Nalała tylko do ich kieliszków czegoś, co nazywała mrożoną małmazją miętową, a potem zniknęła w mroku.

Christopher i Lee wzniesli toast.

Wypili.

Wpatrzyli się w siebie.

Bez pośpiechu adorowali się wzrokiem, a choć noc zapraszała ich do przytulnej chatki w ogrodzie, siedzieli nadal, delektując się oczekiwaniem oraz współbrzmieniem uczuć, które się w nich odzywały. Mrożona małmazja miętowa była ciut gorzkawa, ale odświeżała. Ponad ich głowami, w lekkim wieczornym wietrze liście głogu szeleściły niczym papier. Ażurowy blat metalowego ogrodowego stolika zaczynał ziębić w łokcie. Świeca rzucała na ich twarze rubensowski poblask.

Christopher opróżnił swój kieliszek i odstawił go na blat z cichym brzękiem.

- Pani Lallek... - powiedział, sprawdzając językiem smak tych słów. - Czy zechciałaby pani udać się na spoczynek?

- Panie Lallek - odpowiedziała mu z uśmiechem - udam się na spoczynek z wielką radością.

Chris wstał. Jego krzesło, stuknąwszy w bruk, wydało dźwięk przypominający przytłumione dzwony. Pomógł wstać Lee i podał jej ramię.

- Może poszukamy pani Ramsey, żeby jej podziękować?

- Koniecznie.

Skrecając w stronę domu, ruszyli po nierównym bruku. Nozdrza mieli pełne zapachu wistarii.

- Zauważyłem, że inaczej się tu wyrażam - powiedział Chris. - Posłuchaj mnie tylko, w domu powiedziałbym „rozmawiamy ze sobą”, a tutaj mówię, że ze sobą „mówimy”. Tam zapytałbym „czy nie powinniśmy poszukać”, natomiast tutaj „może poszukamy”.

- Bez wątplenia Południe rzuca urok.

Rzucało nadal, kiedy podziękowawszy gospodyni i pożegnawszy się z nią, ruszyli ramię w ramię pod gałęziami rozłożystego dębu, obok głogu, w stronę wozowni, gdzie czekało na nich łóżko z baldachimem. Narzuta była już zdjęta, a na ich poduszkach leżały dwa cukierki na dobranoc.

Kiedy Lee była już naga, Chris położył ją na łóżku, a sam wyciągnął się obok.

- Lee... och, Lee - mruzczał. - Moja żona, nareszcie.

Ona także wymówiła jego imię, przygarniając go do swego ciała, a jeszcze bardziej do

swej duszy.

- Christopherze, mój mężu.

Żona.

Mąż.

Kochankowie.

Pośród tej gęstniejącej, południowej nocy nie pragnęli niczego więcej.

Lloyd wpadł na ten pomysł zupełnie sam. Zwierzył się jedynie Joeyowi, zanim wysłał te zaproszenia. Do swojej wnuczki Janice. Do Sylvii i Barry'ego Eidow. Do Orrina i Peg Hillierów. Oraz do Judsona Quincy'ego.

*Pozwalam sobie zaprosić na weselną kolację z okazji ślubu Lee Reston i Christophera Lalleka, którzy w ostatni piątek pobrali się w Ogrodach Bellingrath. Kolacja odbędzie się w przyszłym domu młodej pary, na Benton Street 1225, w środę o 17. Proszę, nie sprawcie zawodu im ani mnie.*

*Szczerze oddany Lloyd Reston*

Każde z nich zadzwoniło tuż po otrzymaniu liściku. Nie kryli swojej irytacji, wygłaszali do Lloyd'a tyrady, jakby to jego należało winić za brak zdrowego rozsądku, który wykazała Lee. Każdemu z nich starszy pan mówił: - Chwileczkę, Joey chce ci powiedzieć dwa słowa.

A wtedy chłopak przelewał do słuchawki swój szczerzy entuzjazm: - Cześć, babciu, czyż to nie wspaniałe? Przyjedziecie, prawda? Mama dzwoniła, jest tak zabójczo szczęśliwa! Ja także! I dziadek Lloyd! Dziadek i ja przygotowujemy tę weselną kolację. Nie wiemy dokładnie co zrobimy, ale przeglądamy książki kucharskie i szukamy czegoś, co wydaje się dobre i łatwe. Przychodźcie?

Każde z nich nadąsane, łapiąc się we własne sidła, odkładało słuchawkę. Syn Lee był pełen zachwytu. Jej były teść błogosławił ten związek. A teraz obaj pałętali się niezgrabnie po kuchni, przygotowując uroczysty posiłek, od reszty rodziny zaś oczekiwali jedynie wzięciu w nim udziału.

Na litość boską, jak mogli im odmówić, nie wychodząc na kompletnych głupków?

Lloyd poprosił o pomoc Judda. Odebrał obu chłopców ze szkoły tuż po zakończeniu lekcji, po czym wszyscy trzej zabrali się za ustawianie na kuchennym stole najlepszej porcelany. Przyczepili do lampy trzy weselne dzwonki z papieru. Pokroili jakieś pięć funtów polędwicy wołowej, podsmażyli ją w wielkim garnku, dodali trochę cebuli i grzybów, dolali burgunda i bulionu, dosypali właściwych przypraw, a potem już tylko mieli nadzieję, że we właściwym momencie pojawi się jakaś kobieta, aby zagaścić sos.



Pokroili sałatę, otworzyli trzy puszki kukurydzy, ugotowali w kuchence mikrofalowej błyskawiczny ryż, koszyk do pieczywa wyłożyli serwetką, tak jak zawsze robiła Lee, porozdzielali słodkie bułeczki, które miały stanowić przystawkę, na każdym z talerzy ułożyli dwa kawałki masła, a na górnej półce w szafce Joeya ukryli kupiony w ciastkarni tort.

Na kilka minut przed czwartą Lloyd włożył kurtkę.

- Pamiętajcie - powiedział chłopcom - jeżeli nikt nie zjawi się do piątej, zdejmujecie ze stołu wszystkie dodatkowe nakrycia, dobrze? Powinienem przywieźć tu twoją mamę i Chrisa najpóźniej o wpół do szóstej. To znaczy, o ile ich samolot wylądjuje o czasie.

W drodze powrotnej z lotniska prowadził Christopher, a Lee wygłaszała monolog na temat Ogrodów Bellingrath. Nie przerywała nawet na chwilę, dopóki, znalazłszy się pod domem, nie stwierdzili, że na podjeździe nie ma miejsca dla explorera.

- ... mogliśmy wrócić do... - przerwała, nie kończąc myśli. Popatrzyła na kolekcję pojazdów. - To wygląda na samochód mamy. I Janice... a tam Sylvii i Barry'ego. - Odwróciła się gwałtownie, przeszywając wzrokiem mężczyznę, który siedział z tyłu. - Lloyd, co ty zrobiłeś?

- Wejdźmy do środka, to się przekonamy.

Stała obok furgonetki wpatrując się w dom. Wyglądała na przerażoną. Ujawszy jej dłoń, - Christopher spojrzał ponad jej głową na starszego pana.

- Więc co zrobiłeś, Lloyd?

- Zaprosiłem ich, to wszystko.

- Ale tato... - powiedziała Lee. - Żadne z nich nie wie.

- Wiedzą.

- Och, do diabła - jęknęła Lee. Spojrzała na Christophera, szukając u niego pomocy, której nie mógł jej udzielić.

- Trzeba im spojrzeć w oczy - powiedział.

Chłopcy włączyli głośną muzykę. Matka Lee stała przy kuchence, mieszając coś pilnie. Jej ojciec otwierał butelkę wina. Sylvia ustawiała na środku stołu bukiet białych róż. Wszyscy wyglądali na bardzo zajętych, tylko chłopcy podbiegli do drzwi, paplając z podnieceniem.

- Wielkie nieba, Judd też tu jest! - zawołał zaskoczony Christopher. Jego młody przyjaciel „przybił mu piątkę” i złożył gratulacje, podczas gdy Joey rzucił się na szyję matce. Reszta gości oderwała się od swych zajęć i krążyła niepewnie dookoła. Chłopcy przechwalali się przygotowaniami, jakie poczynili wraz z Lloydem, z głośników płynęła muzyka, a Lee stała przy samych drzwiach i bała się przejść te siedem czy osiem kroków dzielących ją od

rodziny. Czula się jak piosenkarka, która zaczęła od złej nuty. Tuż obok stał Christopher, czekając na jej posunięcie, a Lloyd, za ich plecami, wieszał w szafie płaszcze.

- No cóż... to bardzo miła niespodzianka - powiedziała wreszcie Lee, ruszając z miejsca.

Najpierw podeszła do Sylvii. Gdy stanęły o krok od siebie, napięte i niepewne, czuła, jak jej serce łomocze gwałtownie. Kto był pierwszy? Chyba jednak Lee wzięła na siebie ten trudny pierwszy krok ku pojednaniu.

Ich uścisk był pełen sztywności - sterczące w powietrzu łokcie, wygięte do tyłu plecy.

- Chyba oszalałaś - szepnęła Sylvia do ucha siostry. - To się nigdy nie uda.

- Po prostu się nam przyglądaj - odparła szeptem Lee. Następna była jej matka. Ten uścisk był mocniejszy, lecz miał ten sam charakter. - Czyś ty straciła rozum, uciekając w ten sposób? Kiedy Lloyd mi powiedział, o mało nie umarłam.

- Dziękuję, że przyszłaś, mammo.

Orrin był pierwszą osobą, która naprawdę ją przytuliła. - Twoja mama twierdzi, że oszalałaś, ale ja nigdy nie widziałem cię szczęśliwszej, kochanie.

- Dziękuję, tato. Jestem bardzo szczęśliwa... - Lee odwróciła się do ostatniej z obecnych. - Janice...

Dziewczyna, mocno zarumieniona, zwlekała z powitaniem. Lee wzięła ją w ramiona, przełamując lody. Tuliły się do siebie dłużej i mocniej, niż to czyniły od wielu miesięcy, z poczuciem ulgi, że szczelina, która dzieliła je przez wiele tygodni, zaczyna się zamykać.

- Och, mammo... - szepnęła Janice niepewnie.

Lee usłyszała, jak jej córka przetyka z trudem, na próżno usiłując zapanować nad emocjami. Pogładziła ją mocno po plecach, jakby chciała powiedzieć: Nie płacz, kochanie, teraz już wszystko będzie dobrze.

Wśród powszechnego gwaru powitanie rodziny Lee z Christopherem wypadło w najlepszym razie zdawkowo, lecz Janice - chwala jej za to - zmusiła się do okazania przyzwoitości. Podeszła wprost do Chrisa i choć bardzo się rumieniła, uścisnęła go serdecznie, robiąc tym swej matce najlepszy prezent ślubny.

- Nietrudno zauważyć, jak bardzo jesteście oboje szczęśliwi. Gratuluję.

- Dziękuję ci, Janice. Zarówno w imieniu twojej mamy, jak i własnym.

- Chciałabym tylko, żebyś wiedział. Poznałam chłopaka, którego naprawdę bardzo lubię. Jutro wieczorem wybieramy się na naszą drugą randkę.

Christopher uśmiechnął się.

- To bardzo dobrze. Przyrowadź go wkrótce do domu, żebyśmy mogli go poznać.

Patrząc na tę scenę, Lee poczuła, jak wzbierają w niej emocje, jak ściskają ją za gardło i kłębią się w sercu. Odwróciwszy się, pobiegła do kuchni, aby w samotności wytrzeć łzy. Christopher, który to zauważył, poszedł za nią. Stał z tyłu, obejmując ją jedną ręką. Lee uchwyciła się jej obiema dłońmi, odchyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy, przetykając z trudem.

- Och, Christopherze... - szepnęła.

- Wiem - odpowiedział, całując jej włosy.

- Czy mógłbym zmienić płytę? - Judd wyszedł właśnie zza rogu, lecz na ich widok stanął jak wryty. - Och! Czy coś się stało?

Tuż za nim pojawił się Joey. - Nie mógłbyś. Chodź, głupolu, daj im spokój.

I stało się jakoś tak, że łzy obeschły, w kuchni pojawiło się mnóstwo ludzi, sos został zagęszczony, jedzenie powędrowało na stół i wszyscy usiedli. W saloniku śpiewał Vince Gili. Do jednych kieliszków nalano wina, do drugich sprite'a. Wokół stołu zaczęły krążyć pogaduszki i półmiski z jedzeniem. Gwar i zamieszanie, jakie panują zwykle w czasie rodzinnych posiłków, zrobiły swoje. Zapomniano o zachwianych stosunkach, które wciąż jeszcze wymagały pewnej pracy w przyszłości. Lloyd wstał z kieliszkiem w dłoni.

- Jeśli pozwolicie...

- Nie, dziadku - przerwał mu Joey. - Myślę, że tym razem ja powinienem to zrobić.

Starszy pan był zdziwiony. Wahał się przez chwilę, ale w końcu usiadł z powrotem na swoim krześle, ustępując pola wnukowi.

Joey wstał z miejsca i unosząc swój kieliszek sprite'a kolejno w stronę wszystkich osób, wygłaszał na ich cześć toasty:

- Za dziadka Lloyda, który zgromadził nas tutaj. Za ciocię Sylvie, która przyniosła kwiaty. Za wujka Barry'ego, który sprowadził tu ciocię Sylvie... - Wszyscy wybuchnęli śmiechem. - Za Judda, który będzie musiał polubić muzykę country zamiast rapu. Za babcię i dziadka Hillierów, którzy dali nam najlepszą mamę na świecie. Ale przede wszystkim za mamę i Christophera, za państwa młodych. Mam nadzieję, że zawsze będziecie tak szczęśliwi jak dzisiaj. Mam też nadzieję, że będziecie często wyjeżdżać i zostawiać mnie z dziadkiem Lloydem, bo kiedy on jest tutaj, wszystko mi wolno. Rany, co wieczór jadłem pizzę, siedziałem do jedenastej trzydzieści, a raz pozwolił mi poprowadzić samochód aż do domu Sandy!

Kiedy śmiech ucichł, Joey ciągnął dalej: - Poważnie... w tym roku zrozumiałem w pewnym stopniu co naprawdę jest ważne. Wszyscy zrozumieliśmy, więc zakończę, mówiąc po prostu: Mamo, Christopherze, życzymy wam długiego i szczęśliwego życia. To dotyczy

wszystkich nas tutaj - powiódł oczyma wokół stołu, a potem uniósł je ku niebu - i tych, którzy są tam, w górze. Tato? Greg? Grant? Wstawcie się tam za nimi, dobrze?

I podczas gdy wokół weselnego stołu kieliszki brzękały o siebie, topniały serca, a panna młoda nie mogła powstrzymać łez, trzy dusze spojrzały na to z góry, ze swego nieziemskiego mieszkania, uśmiechnęły się do siebie z zadowoleniem, po czym, obejmując się nawzajem, odeszły, aby czekać.